

Margaret Weis

Tracy Hickman

Smocze kości

2010

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Bones of the Dragon

Data wydania:

2008

Wydanie polskie

Data wydania:

2010

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki:

Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce:

Michael Komarck

Przełożyła:

Maria Smulewska

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

ISBN 978-83-7510-438-7

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Angel Jane Peterson, za każde piękniejsze jutro – dziadek Hickman

Tracy Hickman

Mojej drużynie flyballowej, BC Boomerangs, oraz naszym psom. Dixie, Joey, Bandit, Razor, Chloe, Riley, Scooter B, Scooter C, Feisty, Scotty, Figment, Scout, Fly, Shelby, Frasier, Shifter, Ginger, Shooter, Homer, Simpson, Jem, Skaner, Smush, Kanga, Solar, Luke, Squirt, Lunar, Stewie, Max, Streyeker, Mojo, Target, Nikki, Tempe, Ranger, Zoomer – dziękuję Wam za przyjaźń i świetną zabawę!

Margaret Weis

WYRD

Niź skręca się

i wije na kole.

Przecinam ją,

umiera.

Księga I

Ogry

Rozdział 1

Polowanie zakończyło się fiaskiem. Czterej młodzi mężczyźni wyruszyli z wioski sześć dni temu. Mieli nadzieję, że zdobędą dla swoich ludzi dziczyznę. Tymczasem złapali jedynie kilka chudych, niedożywionych królików, które ledwie zaspokoily głód samych myśliwych. Teraz zniechęceni młodzieńcy wracali do domu.

Torgunowie w zasadzie nie zajmowali się polowaniem, chyba że dla sportu. Klan ten hodował bydło i owce, kaczki i gęsi. Zimą trzymali je w obórkach i karmili zbożem zebrany podczas letnich miesięcy. Z powodu ulewnych deszczów jednak żniwa były tej jesieni wyjątkowo marne. Zima, czas bogini Svanses, była długa i mroźna; zginęło wiele zwierząt i ludzi. Wiosną w Torgunach odżyła nadzieja, ale czas bogini Desirii był tego roku jak kiepski żart. Najpierw Akaria zesłała nadmierne deszcze, potem nagle poskapiła wody. Teraz, pod koniec wiosny, ledwie wyrosłe zboże już więdło tuż nad suchą ziemią.

W tej krainie śniegu i mrozu nawet w idealnych warunkach zawsze trudno było o uprawę ziemi. Okres wegetacji był krótki, ziemia pełna skał i kamieni. Mimo tych trudności, a może właśnie dzięki nim, Vindrasi żyli tu od wieków. I nawet najstarsi z tego klanu nie pamiętali aż tak ciężkich czasów.

W drodze powrotnej czterej przyjaciele rozdzielili się, żeby zwiększyć szanse na spotkanie zwierzyny. Bracia Bjorn i Erdmun poszli drogą północną, Skylan i Garn – południową. Ci dwaj szli w milczeniu. Skylan, który nie lubił porażek, kroczył ponury i wściekły. Garn milczał, bo zwykł był mówić jedynie wtedy, gdy miał do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Był wczesny ranek, tuż przed świtem. Młodzi mężczyźni wstali tego dnia wcześniej, by zdybać jelenia, gdy będzie jadł świeżą zieloną trawę lub spragniony zbliży się do strumienia. Tego roku nie było jednak jeleni, bo nie było trawy. Strumień zaś wysechł niemal całkowicie. Dziecko mogłoby przejść na drugi brzeg, nie zamoczywszy sobie nawet kolan.

Skylan patrzył, jak słońce wyłania się zza wzgórz, i coraz bardziej pochmurniał. Aylis, bogini słońca, była wściekła, niszczyła natychmiast każdą, nawet najmniejszą chmurkę, a wraz z nią nadzieję na deszcz, którego tak bardzo potrzebowali.

Dzień zapowiadał się pogodny i upalny. Znowu.

– Zaczynam podejrzewać, że Aylis nas nienawidzi – zauważył kwaśno Skylan. – Gdy podczas ciężkich miesięcy Svansol modliliśmy się do niej o światło, ani razu się nie pojawiła, pozostawiając nas na łasce Svanses i jej śniegu, mrozu i zimna. Teraz w czasie Desirii nie możemy się opędzić od Aylis. Modlimy się do bogini wody o deszcz, ale przecież to Aylis przepędza Akarię, pali nasze zboża, zabiera nam wodę...

– Zupełnie jakby Torval nie był w stanie dojść do ładu z tymi swoimi kobietami – zakpił Garn.

– Niewykluczone, że jego kobiety są takie jak nasze i robią, co im się żywnie podoba – mruknął Skylan, myśląc tak naprawdę o jednej, bardzo upartej kobiecie.

Rzucił te słowa lekko, ale odruchowo dotknął amuletu, który zawsze nosił na szyi. Był to niewielki srebrny topór zawieszony na rzemyku. Oby bóg wojny nie poczuł się urażony ich komentarzami.

– Nie nam rozmawiać o takich rzeczach – poprawił się pośpiesznie Skylan. – Torval mógłby się obrazić i wpaść w szal.

– Trudno mi sobie wyobrazić, jak zdołałby pogorszyć naszą sytuację – odrzekł Garn z goryczą. – Przeżyliśmy właśnie najcięższą zimę od lat, pocieszając się, że w końcu nadejdzie wiosna, czas nowego życia. Tymczasem wiosna przyniosła tylko suszę i śmierć.

Skylan zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Czczył bogów bez żadnych zastrzeżeń i wolałby, żeby Garn nie mówił o nich takim tonem, zupełnie pozbawionym szacunku. Skylan mógłby zganić go jakoś, ale znał Garna od dziecka. Byli nie tylko przyjaciółmi – byli jak bracia, wychowali się razem. Skylan wiedział aż za dobrze, że kłócąc się z Garnem, tylko sprowokuje go do jeszcze bardziej bluźnierczych słów. Toteż milczał.

Skylan wierzył w swych bogów całym sercem i nigdy nie miał żadnych wątpliwości, być może dlatego, że – jak by pewnie powiedział Garn – jego wiara nigdy nie została poddana żadnej próbie. W chwili narodzin Skylan Ivorson otrzymał błogosławieństwo od samego wodza bogów – Torvala: zaiskrzył się wojenny topór boga, który walczył ze swymi wrogami w niebiosach. Firmament rozświetlił się dokładnie w chwili, gdy Skylan wydał swój pierwszy krzyk. Kiedy Norgaard, ojciec Skylana, a zarazem wódz klanu Torgunów, opowiedział Aldrif, ówczesnej Kapłance Kai, o tej iskrze i o tym, że widział ją cały klan, Aldrif potwierdziła, że bóg Torval rzeczywiście pobłogosławił dziecko i że wyrośnie ono na dzielnego wojownika i obrońcę swego ludu. To, że przy porodzie odumarła Skylana matka, nadało temu znakowi jeszcze głębsze znaczenie.

Wszyscy Torgunowie święcie wierzyli w to błogosławieństwo, a najbardziej wierzył w nie sam Skylan. Był najsilniejszym młodzieńcem w klanie, najodważniejszym wojownikiem, najlepiej posługiwał się mieczem, włócznią i toporem. Był przystojny. Miał oczy koloru fal, po których Vindrasi żeglowali na swych okrętach, a włosy złote jak promienie Aylis. Opalony, dobrze zbudowany, umięśniony, nosił się dumnie.

Skylan po raz pierwszy stanął ze swoją tarczą w bitwie, gdy miał czternaście lat. Wtedy też po raz pierwszy zabił człowieka. Mniej więcej w tym samym czasie wziął sobie pierwszą kobietę, a potem sypiał z tymi dziewczętami, które nie dbały o cnotę, lub z niżej urodzonymi, których rodzice mieli nadzieję, że dzięki pchnięciu ich w objęcia syna wodza zapewnią im utrzymanie. W obozie Torgunów było już kilkoro dzieci o oczach błękitnych jak morze i włosach złotych jak słońce.

Skylan z radością witał każdego nowego bękartą i od czasu do czasu obdarowywał jego matkę jakimś prezentem. Wiedział, że tego właśnie się od niego oczekuje. Nie zamierzał się jednak żenić z żadną z nich. Dwa lata temu, gdy skończył szesnaście lat, przestał „uganiać się za spódniczkami”, jak podśmiewał się z niego Garn. Dwa lata temu Skylan uznał, że się zakochał. Nazywała się Aylaen Adalbrand i była pasierbicą kuma jego ojca, Sigurda Adalbranda. Miała wtedy piętnaście lat. Teraz była już siedemnastolatką.

Cała trójka – Aylaen, Garn i Skylan – przyjaźniła się, odkąd tylko ich opiekunowie położyli troje niemowlaków razem na kocu. Bawili się zawsze razem, co nie było właściwie w zwyczaju, bo dziewczęta trzymano raczej w domu, by pomagały w gospodarstwie. Jednak ojciec Aylaen nie żył, a jej matka wyraźnie nie była w stanie zapanować nad krnąbrną córką, która umykała jej, za nic mając swoje obowiązki, i wraz ze Skylanem i Garnem spędzała całe dni na zabawie i walce.

Skylan nie pamiętał już nawet, czym ją wtedy tak rozwścieczył – może pociągnął ją za ten długi rudy warkocz – dość, że pewnego dnia Aylaen rzuciła się na niego jak dzika kotka, drapiąc i uderzając po twarzy tak mocno, że aż poszła mu krew z nosa. Wreszcie powaliła go na ziemię. Żaden chłopiec nigdy nie pokonał Skykana. Ale w tamtej chwili tak zachwyił go atak ze strony Aylaen, że zupełnie stracił głowę i zapomniał o walce, a ona wyszła z tej potyczki zwycięska, ssąc pokaleczoną piąstkę. Był to bez wątpienia dzień jej chwały.

Dwa lata temu Skykan powiedział Aylaen, że zamierza się z nią ożenić. Co prawda wystawiła język i wyśmiała go ze szczętem, ale bynajmniej go to nie zraziło. Od tamtej chwili nie spał już z żadną. Złożył ojczymowi Aylaen ofertę małżeństwa, a Sigurd, potargowawszy się nieco dla przyzwoitości, przyjął go oczywiście. Skykan czekał już tylko na to, by mieć okazję do zdobycia tyle srebra, ile potrzeba mu było, by zapłacić wiano i móc się wreszcie ożenić z dziewczyną. U Vindrasów małżeństwa zawsze były aranżowane. Kobieta jednak miała prawo odmówić zalotnikowi, a Aylaen przy każdej okazji zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za Skykana. Robiła to jednak tak żartobliwie, że nie miał żadnych wątpliwości, iż nie mówi poważnie. W końcu był synem wodza; taki mariaż był cenny dla każdej rodziny i jej ojczym dobrze o tym wiedział.

Dawno już zresztą powinien był zdobyć to srebro wraz z innymi łupami, ale wszystko ułożyło się nie po jego myśli.

Mimo to jednak Skykan nadal był pewien, że bóg mu sprzyja – przecież i tak był przystojnym, silnym, zdrowym mężczyzną i zarazem najzdolniejszym i najbardziej

poważanym wojownikiem w swym klanie. Ale trudno było się oprzeć wrażeniu, że ostatnio nic nie szło tak, jak powinno – ani dla niego, ani dla Torgunów w ogóle. Skylan zupełnie nie mógł tego pojąć. Torgunowie należeli kiedyś do najpotężniejszych klanów wśród Vindrasów. Dawniej ich okręt, zwany *Venjekar*, czyli „kucie żelaza”, wracał pełen bydła, srebra, zboża i klejnotów. Te ostatnie przeznaczone były dla smoka Kahg jako zapłata za jego usługi.

Teraz – jakby wisiała nad nimi jakaś klątwa.

Najpierw żniwa były niezwykle marne, potem nastąpiła wyjątkowo sroga zima, teraz męczyła ich wyniszczająca susza. Nie pomagały najazdy na sąsiadów. W zupełnie niezrozumiały sposób zawsze ktoś ich ostrzegł, zanim straszny okręt ze smokiem zbliżył się do ich obozu – ludzie uciekali w góry, chowali skarby i zwierzęta. Torgunowie zastawali jedynie wałęsające się smętnie koty i puste żeliwne gary.

Skylan i jego wojownicy zmuszeni więc byli zapuścić się na nieznaną terytoria i przez chwilę zdawało się, że szczęście znów im sprzyja. Trafili na osadę pełną tłustych ludzi i jeszcze tłustszego bydła. Lecz gdy Treia, Kapłanka Kości, zaniósła modły do smoka Kahg, by przyłączył się do nich w walce, smok nie odpowiedział. Skylan i jego dzielni wojownicy nie przejęli się tym za bardzo. Przecież byli w stanie sami złupić tę wioszczkę pełną tchórzy.

Pech chciał jednak, że tę samą osadę wyznaczili sobie za cel inni wojownicy. Chłopak stojący na oku okrętu dojrzał liczne żaglowce krążące na horyzoncie jak mewy nad zdechłymi rybami. Zbliżały się. Skylan ze zdumieniem rozpoznał trójkątne żagle odwiecznego wroga – ogrów. Liczebna przewaga tych wojowników była bezdyskusyjna i Skylan, choć z wielkim żalem, musiał wydać rozkaz, by ich jeden jedyny smoczy okręt wycofał się na morze.

Nienawidził cofać się przed walką, ale bez smoka Torgunowie nie mogli przecież liczyć na pokonanie i wieśniaków, i paskudnych ogrów. Szybki, lekki *Venjekar* niemal unosił się ponad falami i bez trudu umknęli wrogowi. Nikt się jednak z tego nie cieszył. Wrócili do domu na pokładzie pustego statku. Ich serca przepęłniał wstyd.

– Gdyby tylko Kahg walczył wtedy z nami – syknął teraz rozżalony Skylan. – Tarzalibyśmy się teraz w srebrze i mielibyśmy w bród bydła. Dlaczego nie odpowiedział na wezwanie Trei?

Garn nieco się zdziwił taką nagłą zmianą tematu, ale znał dobrze sposób rozumowania przyjaciela i po chwili odtworzył ciąg skojarzeń prowadzący od bogów do ostatniej porażki Torgunów. Już miał coś na to powiedzieć, ale Skylan nie dał mu dojść do słowa.

– Ja tam bym znów wyruszał na wyprawę, ale ojciec nie chce się zgodzić. Norgaard mówi, że nie powinniśmy wychodzić w morze, póki się nie dowiemy, dlaczego bogowie odwrócili się od nas. To śmieszne! – wybuchnął nagle i z całej siły uderzył pięścią w pień drzewa. – Mam już dość tego wszystkiego. Mamy tak siedzieć bezradnie i zawodzić tylko jak jakieś stare baby?

– A jednak wiesz dobrze, że Norgaard ma słuszość – odrzekł Garn. – I nikt nie ma prawa nazywać twojego ojca starą babą. Być może dni jego walki już minęły, ale jego serce jest nadal waleczne. Jego męstwo wciąż widać w jego synu.

Garn poklepał Skylana po ramieniu. Byli w tym samym wieku – mieli osiemnaście lat. Byli przyjaciółmi, kuzynami, byli związani braterstwem krwi. Dorastali w tym samym domu, ponieważ Garn był sam na tym świecie. Jego matka umarła od gorączki, ojciec osierocił go w jednej z łupieżczych wypraw. Matka Garna była przyrodnią siostrą Norgaarda, więc wódz Torgunów i jego żona Edda przygarnęli sierotę, by wychować go jak własnego syna.

Byli ze Skylanem nierozłączni. Wielu dziwiło się tej przyjaźni, bo trudno było znaleźć dwóch młodych ludzi tak od siebie różnych. Garn był cichy, wyższy od Skylana, smukły, mniej umięśniony. Dość dobrze walczył, ale daleko mu było do kuzyna. Miał jasną cerę, ciemne blond włosy i myślące, nieco ponure spojrzenie.

Zresztą jeśli chodzi o tę ich niezwykłą przyjaźń, Garn zastanawiał się już nad tym i doszedł do wniosku, że właśnie te różnice przyciągają ich do siebie, jak żelazo przyciąga magnetyt. Skylan natomiast nigdy nad tym nie rozmyślał. Garn był po prostu jego przyjacielem. Było to tak naturalne jak to, że rano wschodzi słońce.

Skylan zadumał się teraz nad tym, co Garn powiedział o jego ojcu. Nie był wcale taki pewien, czy się z nim zgadza, że ojca nie można nazwać starą babą, choć na samą tę myśl opadł go bezbrzeżny smutek i wstyd. Waleczne czyny Norgaarda Ivorsona, wodza Torgunów, urosły do legendy. Jednak pięć lat temu w ogniu walki Norgaard rzucił się z wysokich fortyfikacji, by schwytać wroga, upadł jakoś niezgrabnie i złamał nogę. Rana nie zagoiła się dobrze. Od tego czasu Norgaard chodził, opierając się na wysokim kijku. Żył męczony nieustannym bólem, choć nikt nie domyśliłby się tego, widząc jego spokojną twarz. O wielkim cierpieniu świadczyły jednak jęki, które wyrzywały się z jego ust nocami.

Mimo wszystko Norgaard nadal rządził mocną ręką. Jego syn natomiast pełnił funkcję Wodza Wojennego. Skylan właściwie nie miał ojca za słabeusza czy tchórza, ale po cichu uważał, że na starość – a Norgaard liczył już niemal czterdzieści pięć zim – ojciec stał się przesadnie ostrożny. Skylan nigdy nie skrytykowałby go na głos, Garn jednak dobrze wiedział, co myśli przyjaciel.

– Norgaard odpowiada za cały nasz klan – powiedział Garn – i nie powinien ryzykować życia naszych wojowników, gdy wie, że nie byłby w stanie wyżywić wdów i sierot, gdyby mężczyźni nie wrócili z wyprawy.

– Zamiast zginąć w walce, zginiemy z głodu, a przed Torvalem będziemy musieli stanąć z żebraczymi miskami zamiast mieczy – mruknął w odpowiedzi Skylan.

– Może gdyby Norgaard poprosił o spotkanie z Kapłanką Kai, Draya mogłaby nam powiedzieć, czy bogowie...

– Poprosił – uciał te gdybania Skylan. – Miesiąc temu. Nie odpowiedziała.

Garn spojrział na niego zaskoczony.

– Nie wiedziałem o tym.

– Ojciec nikomu nic nie mówił. Sądzi, że takie zachowanie Draï to zły znak, a nie chce, żeby ludzie zupełnie upadli na duchu.

Garn nie wiedział, co na to powiedzieć. Zatem rzecz się miała gorzej, niż przypuszczał. Teraz to już nawet on nie wiedział, co na to wszystko poradzić.

Dwaj młodzieńcy szli dalej w ciszy. Byli coraz bliżej swojej wsi. Mijali łąki pełne spalonej, brązowej trawy, która o tej porze roku powinna być zielona i soczysta. W bezlitosnym słońcu stały pojedyncze sztuki bydła – chude i kościste stanowiły zgoła żalony widok. Przy nich wałęsali się smętnie równie chudzi i kościści pastuszkowie, niemrawo odganiając muchy. Na widok Garna i Skylana poderwali się jednak i podbiegli, by spytać o polowanie. Dopiero gdy zobaczyli, że młodzi mężczyźni nie niosą niczego prócz broni, opuścili głowy i powłócząc nogami, wrócili na pastwisko.

Młodzi mężczyźni zostawili za sobą łąki i weszli w gęsty las porastający wzgórza. Stąd nadal nie było jeszcze widać ich wsi, choć znajdowała się tuż poniżej. Domy zbudowano nad samym brzegiem. Nie można było wymarzyć sobie lepszego położenia. Śmigłe okręty Torgunów w każdej chwili mogły stąd wyjść w morze w poszukiwaniu pożywienia i kosztowności, a jeśli tylko zbliżało się niebezpieczeństwo, kobiety i dzieci miały gdzie się skryć na wzgórzach.

Garn westchnął z ulgą, gdy ogarnął ich cień lasu, ale Skylan mruknął z niezadowoleniem i przyspieszył kroku. Nie lubił lasów. Dusił się w nich; zewsząd otoczony drzewami nie był w stanie oddychać czystym, morskim powietrzem. Poza tym las pełen był wrózek, driad, faunów, duchów i innych takich. Wszystkie te stworzenia wymykały się spod władzy bogów, jako że żyły na świecie na długo, nim bogowie w ogóle go znaleźli.

Właśnie w lesie przeżył Skylan najgorsze chwile swego życia. Jako dwunastolatek został tu wysłany wraz z innymi chłopcami podczas rytuału inicjacji. Miał przeżyć samodzielnie tydzień uzbrojony jedynie w nóż. Jego głównym zadaniem było ukryć się przed myśliwymi, którzy szukali jego i pozostałych chłopców, a gdy tylko któregoś złapali, triumfalnie zaciągali go z powrotem do wsi. Taki nieszczęśnik musiał jeszcze pozostać dzieckiem i dopiero po roku miał prawo znów podjąć próbę. Ale poza tym wyzwaniem Skylan musiał jakoś uniknąć driad, które mogły go uwieść, i faunów, by nie porwali go w jakieś diabelskie tany, z których nie wyszedłby już żywy.

Skylan modlił się wtedy do Torvala, by go ochronił, i Torval uczynił to. Skylan nie napotkał żadnych leśnych stworzeń, choć mógłby przysiąc, że w nocy słyszał ich hulanki. Potem za tę ochronę przed szalonym leśnym ludkiem złożył Torvalowi piękny dar.

Idąc tak teraz leśną ścieżyną, gdy pod nogami szeleściły mu liście i pękały gałązki, przypomniał sobie, jak leżał nocami z dłonią zaciśniętą na rękojęści noża i wsłuchiwał się w te pojękiwania, piski, krzyki i prychnania, a wyobraźnia podpowiadała mu, że leśne stwory gromadzą się już wokół niego i radzą, jak zaciągnąć go do swego podziemnego królestwa.

Nagle coś usłyszał. Zamarł. Uniósł dłoń, a Garn zatrzymał się natychmiast, widząc ten gest. Był to dziwny dźwięk – jakby łoskot i pomrukiwanie czy chrząkanie. Wyteżyli słuch. Coś wielkiego pędziło przez suche krzaki.

Spojrzeni po sobie. Hałas dobiegał ich z przodu, gdzieś po lewej. Skylan wciąż jeszcze był myślami przy leśnych stworzeniach, więc mocniej zacisnął dłoń na włączni. Nie było takiego człowieka, którego by się obawiał, ale na samą myśl, że natknęli się na włochatego trolla, robiło mu się słabo.

Nie szli dotąd zbyt cicho czy ostrożnie. Byli przecież tak blisko domu. Zdawało im się, że nie ma takiej potrzeby. Teraz jednak odruchowo przyczaili się i poruszali bezgłośnie w stronę tego czegoś, co wydawało tak dziwny hałas. Skylan dał Garnowi znak, żeby poszedł na prawo, a sam zszedł ze ścieżki na lewo. Umknęli w gęstwinę z zamiarem rzucenia się na to coś z dwóch różnych stron.

Skylan zobaczył go pierwszy i ogarnęło go zdumienie. Oraz ulga.

Dzik.

Skylan nieraz słyszał opowieści o tych ogromnych bestiach. Taka dzika świnia o wielkich kłach może ważyć nawet tyle co pięciu tęgich mężczyzn. Chłopak nigdy jednak nie widział tej bestii – nie było dzików w tej okolicy. Tego osobnika najprawdopodobniej susza wygnała z żerowiska gdzieś wyżej w górach, ale Skylan od razu uznał to za znak od Torvala. Była to po prostu odpowiedź na jego modlitwy. Może i bogowie gniewają się na Torgunów, ale przecież bez względu na wszystko Torval zawsze sprzyja dzielnemu wojownikowi.

Dzik albo ich usłyszał, albo wywęszył, bo uniósł potężny łeb i potoczył okiem wokół jak osaczony. Jego grube futro zjeżyło się, a z paszczy wydobyło się ostrzegawcze warknięcie. Był to prawdziwy potwór. Wielki łeb osadzony miał na masywnym, zgarbionym cielsku. Z jego paszczy wyrastały dwie pary kłów: górne, zwane fajkami, zdawały się ostrzyć dolne – słusznie zwane przez myśliwych szablami, jako że służyły one do rozdarcia mięsa ofiary. Ciężki korpus opierał się na krótkich, silnych nogach.

Na widok dzika Skylan przypomniał sobie wszystkie opowieści posłyszane od polujących na nie myśliwych. Wynikało z nich, że to silne, okrutne zwierzę walczy bezlitośnie aż do śmierci. Norgaard polował na dziki, gdy był jeszcze młody. Podczas łowów dzik zabił jednego z jego ludzi, rozrywając mu brzuch kłami. Na te bestie nie polowało się nigdy w pojedynkę. Mężczyźni szli całymi grupami, mieli specjalne sieci, którymi odcinali mu drogę ucieczki, oraz psy, które atakowały go ze wszystkich stron i odwracały uwagę od myśliwych.

Wszystko to przeleciało Skylanowi przez myśl i podjął decyzję w jednej chwili. Sam powali zwierzę z pewnością zesłane mu przez Torvala, a potem zwycięski zaciągnie je do wsi. Torgunowie będą mieli istną ucztę tej nocy – ba! – przez wiele nocy, a dzielnego młodzieńca będą nosić na rękach z wdzięczności. Aylaen wreszcie spojrzy na niego z miłością w tych swoich zielonych oczach – z prawdziwą miłością, a nie z tym miłym, pełnym pobjazania siostrzanym rozbawieniem, którego tak u niej nie znośił.

Obrzucił zwierzę spojrzeniem i zaczął się zastanawiać nad strategią walki. W cieniu drzew naprzeciw pojawił się Garn. Od razu zgadł, co Skylanowi chodzi po głowie, i zaczął wymachiwać na niego, by uciekał.

Nie zważając na gesty przyjaciela, Skylan uniósł włócznię i rzucił się w kierunku dzika, dając Garnowi tylko znak, żeby nie ruszał się z miejsca. Przypomniawszy sobie, że ojciec wspominał coś o tarczy z chrząstek na grzbiecie dzika, tarczy tak twardej, że można było na niej złamać włócznię. Ojciec mówił też, że aby zabić tę bestię, trzeba zadać jej od razu zabójczy cios.

I celować w samo serce.

Dzik wywęszył go, obrócił łeb w tę stronę, wbił w niego wzrok. Skylan bał się przez chwilę, że zwierzę mu po prostu ucieknie, jako że dziki nie mają przecież honoru, który by je zatrzymał w takiej sytuacji, i potrafią beztrudnie unikać walki. Ten jednak był głodny, a mięso to mięso, bez względu na to, czy chodzi na czterech czy na dwóch nogach. Dzik warknął głucho i rzucił się na Skylana.

Chłopak zamierzał właśnie zaatakować i przez chwilę zawahał się zdumiony, że to jego się tu atakuje. Dzik pędził na niego jak olbrzymi gład, aż syn wodza zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Garn darł się, żeby uciekał na drzewo, i przez chwilę Skylan nie wiedział już, czy nie powinien go posłuchać; potem jednak pomyślał o Torwalu. Bóg siedzi z pewnością przy stole w Komnacie Bohaterów, ucztuje i obserwuje walkę. Pękłby chyba ze śmiechu, gdyby zobaczył, jak młodzik wdrapuje się na drzewo, a dzik biega wokół, wściekle posapując.

Skylan podbiegł do drzewa, ale bynajmniej nie po to, by się na nie wspiąć. Oparł się tylko o nie plecami i tępy końcem włóczni. Najważniejsze to wytrzymać siłę ataku – inaczej dzik po prostu powali go na ziemię i rozszarpie kłami.

Widząc, że Skylan zamierza jednak walczyć, Garn wyskoczył z ukrycia i cisnął włócznią w dzika, by choć nieco zranić i osłabić rozjuszone zwierzę. Garn nie był tak silny jak Skylan, ale miał dobre oko i pewną rękę. Nieraz zwyciężał w tych potyczkach, w których dokładność była ważniejsza od siły.

Włócznia dźgnęła dzika w kark. Trysnęła krew. Bestia ryknęła z bólu, lecz nadal pędziła na Skylana.

– Torwalu, daj mi moc i celne oko – modlił się Skylan.

Nagle opadł go spokój. Znał dobrze to uczucie. Pojawiało się zawsze podczas bitwy. Uważał je za dar Torwala. Czas jakby się zatrzymał. Skylan skupił się w pełni na zadaniu. Nie dochodziło do niego chrząkanie dzika, jego warczenie, trzaski dobywające się spod racic. Nie słyszał krzyków Garna – jedynie bicie swego serca, krew szumiącą w uszach jak morskie fale, które co noc kołysały go do snu. Zaparł się nogami o ziemię, plecami o pień i zacisnął dłoń na włóczni.

Czerwone oczka dzika miały wściekle spojrzenia. Paszcza pełna była piany. Żółte kły wyrastające z dolnej szczęki uniosły się nieco. Ze wzrokiem utkwionym w przeciwniku runął do przodu, a wtedy Skylan wbił mu włócznię w szyję.

Poląła się krew. Dzik parsknął, ale bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Moc uderzenia pchnęła Skylana na drzewo, szarpnęła ramieniem, w którym trzymał włócznię, mało nie powaliła go na ziemię. Z trudem utrzymał się na nogach. Udało mu się jednak nie stracić równowagi i ze wszystkich sił pchał włócznię w głąb cielska bestii, bo jego cios bynajmniej nie zabił dzika. Ze zdumieniem patrzył na zwierzę, które było coraz bliżej. Rozjuszona bestia sama cisnęła swe potężne ciało na trzonek włóczni, rycząc dziko i zamachując się kłami, by dosięgnąć ofiary.

Choć zwierzę samo właściwie wykonywało całą pracę za Skylana, pchając włócznię coraz głębiej w swoje cielsko, było też z każdą chwilą bliżej. Kręcąc łbem, co raz to zamachiwało się na przeciwnika kłami mokrymi od krwi.

Skylan nie mógł już nic zrobić. Pozostało mu jedynie ze wszystkich sił opierać się o pień i trzymać włócznię, modląc się do Torvala, by nie pękła mu w dłoni. Pot zalewał mu oczy i niemal go oślepiał. Potrząsnął głową, by cokolwiek zobaczyć. Był coraz słabszy, zaczynał się trząść z wysiłku. Zdawało mu się, że Garn rzucił się na dzika z nożem, ale nie był pewien.

Krew bryzgała; kły błyskały złowieszczo. Skylan nie ustępował.

Nadziany na włócznię dzik kręcił się z całej mocy, niemal wyrywając broń z dłoni Skylana. Tracąc już dech w piersiach z wysiłku, chłopak zdecydował się na ostatnie pchnięcie. Resztkami sił wcisnął włócznię w głąb ciała napastnika.

Dzik zamachnął się kłami, warknął, zabulgotał posoką i padł na bok. Leżał tak w kałuży własnej krwi, a kończyny drżały mu jeszcze. Skylan nie puszczał włóczni. Patrzył czujnie, jak ze ślepi bestii powoli znika życie. Dzik zadrżał i zamarł wreszcie, ale nawet po śmierci w jego oczach wciąż było widać nienawiść.

Wtedy dopiero Skylan puścił włócznię i padł na ziemię tuż obok ciepłego jeszcze mięsa. Zbrukany krwią dzika i własną leżał pod drzewem i usiłował nabrać powietrza w rozpalone płuca. Kręciło mu się w głowie. Poczul ból. Spojrzał na siebie, próbując ustalić, jak dużych doznał obrażeń, ale jego poszarpane w drobne kawałki ubranie poprzyklepiało się do ran. Ręce i ramiona miał całe pocięte, a krew i ból rozlewały się dosłownie wszędzie.

Garn przykląkł przy nim. Ramiona miał zakrwawione po łokcie. Rozpruwszy obcisłe płócienne spodnie i długą koszulę przyjaciela, szybko oceniał jego obrażenia.

– Masz głęboką ranę na udzie – powiedział, oglądając Skylana od stóp do głów. – Ale krew sączy się powoli.

Był to dobry znak. Gdyby krew ciekła szybko, pulsując, Skylan skazany byłby na wykrwawienie.

– Masz też dużo innych ran, ale ta na udzie jest najpoważniejsza – uściślił Garn i wstał. – Masz cholerne szczęście – dodał z uśmiechem i pokręcił głową z niedowierzaniem.

Mimo bólu Skylan odpowiedział mu uśmiechem. To nie było szczęście. To było błogosławieństwo – w jego *wyrd*, w jego przeznaczenie, wpisana była sława.

Rozdział 2

Choć Garn chciał natychmiast zanieść Skylana do wsi, by opatrzone mu rany, przyjaciel uparł się, żeby nie zostawiać dzika na pożarcie wilkom.

– Bjorn i Erdmun nie mogą być przecież daleko – przekonywał Garna, siadając i opierając się o drzewo. – Wezwij ich tym swoim rogiem.

Skylan napił się wody z bukłaka, a potem z resztek koszuli zrobił opaskę, którą próbował zatrzymać krwawienie z rany na udzie.

Zwykle szybko wszystko mu się goiło. To także uważał za dar od Torvala. Rana piekła i pulsowała, ale starał się tym nie przejmować. Zresztą pomagała mu w tym słodka świadomość zwycięstwa – najlepsze lekarstwo na każdy ból. Z dumą oparł dłoń na włóchatym, krwawym brzuszysku dzika.

Garn chwycił swój róg barani i zadał trzy razy – dwa razy długo, raz krótko, co oznaczało, że potrzebują pomocy. Potem przechadzał się wokół nerwowo. Wcale nie był taki pewien, czy dwaj pozostali są jeszcze gdzieś w pobliżu.

Bjorn i Erdmun przybiegli jednak szybciej nawet, niż sobie to wyobrażał Skylan. Wskoczyli z lasu z uniesionymi włóczniami. Na widok przyjaciół powalanych krwią stanęli jak wryci i wlepili zdumione spojrzenia w olbrzymie cielsko dzika.

– Szybko wam poszło – zauważył Garn.

– Usłyszeliśmy hałas. Brzmiało to, jakby ktoś walczył... – powiedział Bjorn, nie mogąc oczu oderwać od zdobyczy Skylana.

– ...więc pobieглиśmy zobaczyć, co się dzieje – dokończył Erdmun.

Bracia mieli w zwyczajcu kończyć sobie nawzajem zdania.

Podeszli bliżej i przyglądali się dzikowi z pewnym niepokojem. Bjorn był w wieku Skylana – miał osiemnaście lat. Erdmun był dopiero szesnastolatkiem. Żaden z nich nigdy jeszcze nie widział takiej bestii.

– Sami go zabiliście? – spytał Erdmun.

– Nie. Skylan sam go zabił – wyjaśnił Garn, jak zawsze uczciwy i jak zawsze chętnie chwalcący innych.

– Ty dźgnąłeś go nożem – sprostował Skylan, wstając.

Garn roześmiał się.

– Chyba tylko go tym zirykowałem.

Skylan wstał zbyt prędko, potknął się i niemal przewrócił. Oparł się niepewnie o drzewo. Przeczekał zawrót głowy i spróbował zrobić krok w przód. Jeśli nie będzie poruszać nogami, rana zeszywnieje. Przeszył go taki ból, że na czoło wystąpił mu pot, a oddech stał się szybki i nierówny.

– Trzeba zaciągnąć ten zewłok do wsi – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Twój czy dzika? – spytał Garn i uśmiechnął się wesoło.

– Powinniśmy przechrzcić cię i odtąd zwać Błaznem Joabisem – stęknął Skylan, mając na myśli boga uczt. – Nic mi nie jest. Muszę tylko trochę odpocząć.

Ruch spowodował jednak krwawienie. Garn podarł resztki swojej koszuli i Skylan użył fragmentów płótna do mocniejszego zaciśnięcia rany.

Garn, Bjorn i Erdmun zabrali się do pracy. Mieli ze sobą mocne liny, które pomogłyby im w przetransportowaniu do wsi jelenia czy sarny, gdyby polowanie się udało. Teraz obwiązali nimi kark dzika i jego przednie nogi. Bjorn i Garn zaczęli ciągnąć, a Erdmun pchał z tyłu i tak udało im się przesunąć cielsko po ziemi, a za nimi zostawał krwawy ślad.

Z lasu nad brzeg szło się w dół, a jednak dzik okazał się tak ciężki, że trzech młodzieńcy byli wykończeni, nim pokonali zaledwie kilka kroków. Skylan kuśtykał tuż za nimi, nie chcąc się przyznać, jak bardzo rany dają mu się we znaki. W końcu jednak cała czwórka musiała się poddać i zatrzymać.

Garn wpadł wtedy na pomysł, by wysłać Erdmuna do wsi, żeby zawołał ludzi do pomocy przy dziku. Chłopak wrócił wkrótce z dwudziestu chłopów, dzieciarnią i psami. Przynieśli ze sobą wielkie sanie, których używali zwykle do transportowania kamieni ze wzgórz do wsi. Mężczyźni szli z pieśnią na ustach – z pieśnią na cześć Skylana.

Na widok młodego bohatera całego powalanego krwią dobitnie świadcząca o stoczonym przed chwilą walce mężczyźni krzyknęli z podziwu, a dzieci otoczyły Skylana pełne fascynacji. Chłopcy krzyczeli teraz jeden przez drugiego, że chcą być w przyszłości tacy jak on. Serce Skylana urosło z dumy. Szybko dotknął srebrnego topora wiszącego na szyi i głośno podziękował Torvalowi, by było jasne, jak wielką rolę miał w tej walce sam bóg.

Skylan nie omieszkał opowiedzieć wojownikom o udziale Garna w zwycięstwie, o tym, jak przyjaciel najpierw zaatakował bestię włócznią, a potem samym tylko nożem. Garn natomiast opisał przebieg całego starcia, nie pomijając nawet najdrastyczniejszych szczegółów. Mężczyźni słuchali z uznaniem, to kiwając głowami, to klaszcząc, to poklepując Skylana po plecach.

Usłyszawszy o ranach Skylana, jego młoda macocha Sonja wysłała mu uzdrawiający balsam zrobiony z wrotyczu, rybiego tłuszczu, oleju sosnowego, wosku, żywicy i rośliny zwanej nasięźrzałem. Skylan był jej bardzo wdzięczny za ten gest. Od razu zdjął zakrwawione opatrunki i posmarował rany maścią, która zapobiegała gniciu. Ból ustał niemal natychmiast.

Pozostali tymczasem zabrali się do przenoszenia dzika na sanie i mocowania go grubymi linami. Zabrało im to sporo czasu i nim skończyli, słońce było już w zenicie. W końcu, gdy zdobycz znajdowała się wreszcie na platformie, mężczyźni podnieśli Skylana i usadzili go na grzbiecie dzika. Jechał tak triumfalnie, gdy oni ciągnęli sanie po ścieżce.

Każdy wybój rozogniał rany, a smród martwej bestii przyprawiał Skylana o mdłości. Zarówno jego, jak i dzika oblażyły muchy. Mimo to jednak nie zamieniłby się nawet z samym Wodzem Wodzów Vindrasów. Pławił się w chwale i właśnie zaintonował pieśń na cześć Torwała, gdy posłyszeli jakieś krzyki. Pieśń zamarła im na ustach.

Po ścieżce biegła grupa kobiet i dzieci. Kobiety dzierżyły w rękach tobołki, a gdy zobaczyły mężczyzn, zaczęły wołać coś w panice. Skylan nie mógł pojąć, co się dzieje. Przerażone kobiety lamentowały wszystkie naraz i nie dało się zupełnie rozeznąć, co właściwie się stało.

Syknął na nie i zapadła wreszcie cisza. Wtedy dopiero wskazał na jedną ze starszych kobiet – Brynhildr. Była przyjaciółką jego zmarłej matki. Spokojna i rozsądna cieszyła się szacunkiem kobiet we wsi. Miała około trzydziestu lat. Teraz to ją zapytał, o co właściwie chodzi.

– W samo południe do naszej zatoki wpłynęły trzy okręty. Każdy z nich ma trzy żagle, które wyglądają tak – tu Brynhildr ułożyła z palców trójkąt – i płozy przy kadłubach. Żagle są w białoczerwone pasy.

– Ogry – wyszeptał Bjorn.

Skylanowi zrobiło się słabo. Poczucie triumfu zniknęło bez śladu. Postanowił jednak nie wyciągać pochopnych wniosków.

– To niemożliwe – stwierdził. – Ogry zostały daleko za nami. Nie uwierzę, póki sam tego nie zobaczę.

Zeskoczył z cielska dzika i pokuśtykał do miejsca, w którym drzewa rosły nieco rzadziej. Stąd widać już było zatokę Djvolk. Za nim, na skale, stanął Garn i kilku innych wojowników. Spojrzeli w dół. Zapadła ponura cisza.

Po spokojnych wodach zatoki płynęły trzy okręty, a każdy z nich miał żagle w pasy i charakterystyczny kształt kadłuba.

– Śledzili nas – powiedział Garn.

Skylan wpatrywał się w statki zdumiony i wściekły.

– To niemożliwe. Sam o to zadbałem.

Ale już gdy to mówił, czuł się nieswojo. Był bowiem przekonany – jak zresztą większość Vindrasów – że ogry to nieokrzesane osiłki o inteligencji na poziomie przeciętnego królika. W drodze do domu, gdy zobaczył, że ich okręty zmieniają się w małe punkciki na horyzoncie, uznał, że pościg jest zakończony, i nie oglądał się już za siebie. Nie poczynił żadnych kroków, by utrudnić im pościg, ani nie płynął na tyle szybko, by zgubić ich wolniejsze przecież okręty. Gorzej – kilkakrotnie pozwolił swoim ludziom zacumować gdzieś przy

brzegu, by dać im szansę na rabunek. W nocy palili ogniska; w dzień cumowali na otwartych przestrzeniach. Zachowywali się beztrzesko, bo Skylanowi nawet przez myśl nie przeszło, że ogry mogłyby płynąć za nimi.

– Taka jest widać wola Torwała – oświadczył teraz, tym samym uniewinniając się zupełnie. Gdy tylko minęło pierwsze zdumienie, był już gotów do walki z tym odwiecznym wrogiem Torgunów. – Bóg wojny jest po naszej stronie. Wysłał mi dzika jako znak. Dzięki temu najlepsi wojownicy są właśnie ze mną na wzgórzu, a nie we wsi. W ten sposób będziemy wypoczęci przed walką...

– Jaką walką? – spytał tylko Garn.

– Jak to „jaką walką”? – Skylan spojrzał na przyjaciela i wskazał na trzy okręty. – Walką z tymi draniami, którzy...

Garn pokręcił głową.

– Nie widzę żadnej walki. Nie słyszę szczęku oręża ani nawoływań rogów, ani bębnow wojennych. Nie widzę też, by nasze domy płonęły. Widzę natomiast, że z Domu Wodza unosi się dym obrzędowy.

Skylan zmarszczył brwi. Wszystko, co powiedział jego przyjaciel, rzeczywiście było prawdą. Ale to nie miało sensu. Po co najeżdzać jakąś osadę, jeśli nie w celach rabunkowych?

– Ogry przyjechały porozmawiać – ciągnął Garn. – Nie chcą rabować ani zabijać. Dziwne, prawda?

Skylan wcale się temu jednak nie dziwił. Z tego, co wiedział, ogry są nie tylko głupie, ale i leniwe. Zrobią wszystko, by uniknąć walki.

– Zatem my zaatakujemy pierwsi – zdecydował.

– Powinniśmy dowiedzieć się najpierw, co się dzieje – poradził mu jednak Garn. – Pamiętaj, że sam Torwał ochrania pokojowe rokowania. Jeśli naruszymy je, obrazimy boga.

– To prawda – dodała Brynhildr. – Ogry przybyły z gałęziami lauru.

Wróg przybywający na prawach rozejmu był chroniony przez bogów. Skylan przełknął ślinę i spróbował opanować wściekłość, by spokojnie pomyśleć nad tym, co powiedział przyjaciel. Spokojne myślenie o czymkolwiek nie należało do jego mocnych stron – był porywczy, wolał najpierw działać, potem myśleć. Był zresztą z tego dumny. Uważał, że tak właśnie postępuje prawdziwy wojownik i niech tacy jak Garn zastanawiają się nad nie wiadomo czym. Był jednak na tyle rozważny, by cenić sobie rozsądek przyjaciela. Czasem pozwalał nawet, by Garn mu doradzał.

– Wezmę więc Bjorna i trzech innych wojowników ze sobą do wsi i zobaczymy, co się dzieje – powiedział. – Ty poczekaj tu z resztą... No, co? Co ci się znowu nie podoba? – spytał zirytowany, bo Garn kręcił głową na jego słowa.

– Powinniśmy iść wszyscy razem. Norgaardowi przyda się pokaz naszej siły w Domu Wodza. Jeśli weźmiemy ze sobą cielsko dzika, nawet ogry będą pod wrażeniem twojego

męstwa. A gdy zobaczą, że tak spokojnie wracamy z polowania, rozumieją, iż się ich nie boimy. Gdybyśmy wpadli tam ni z tego, ni z owego, od razu pomyśleliby, że stchórzyliśmy...

– Dobrze, już dobrze – przerwał mu w połowie Skylan. Może i Garn miał czasem niezłe pomysły, ale czemu, u licha, tak rozwlekł je wyjaśniał.

Skylan wdrapał się więc z powrotem na dzika. Wolałby wprawdzie iść dumnie na czele, żeby ogry wiedziały, kto tu rządzi, ale wciąż miał cichą nadzieję, że dojdzie do walki, a jeśli tak, to on musiał oszczędzać siły. Nakazał kobietom i dzieciom skryć się w górach. Ruszyły od razu w stronę jaskiń, które służyły Torgunom właśnie w takich sytuacjach.

Skylan patrzył, jak się spieszą, i wypatrywał wśród nich Aylaen – jej pełnej wdzięku, smukłej sylwetki i burzy rudych włosów. Marzył o tym, by ujrzała jego zdobycz, ale dziewczyny nie było wśród uciekinierów. Zobaczył natomiast swoją macochę, Sonję. Nie wyglądała dobrze. Była w bardzo zaawansowanej ciąży. Taka wspinaczka zdecydowanie przerastała jej siły. Błada, zasapana, podtrzymywała brzuch dłonią. Brynhildr szła przy niej, pozwalając jej oprzeć się na sobie.

Gdy matka Skylana zmarła przy porodzie, Norgaard wziął sobie następną żonę w nadziei, że powije mu więcej synów, jako że Skylan był jedynakiem. Sonja urodziła mu troje dzieci, ale same córeczki i wszystkie one zmarły zaraz po porodzie.

Skylan lubił swoją macochę i teraz zawołał za nią coś na pocieszenie. Uśmiechnęła się do niego słabo i szła dalej niepewnym krokiem. Wtedy dał znak, by ruszać, i mężczyźni znów zaczęli ciągnąć sanie z dzikiem, przechwalając się przy tym, jakich to czynów dokonają, gdy już dojdzie do bitwy z ogrami.

Ciągnąc za liny i pchając, przesuwali sanie w dół po stromym i krętym zboczach, które prowadziło ku brzegowi. Nastrój wśród mężczyzn zmienił się znacznie: z radosnej beztronski przeszedł we wściekłość na ogry i determinację, by zapłaciły krwią za swoją bezczelność.

Ogry mieszkają w bardzo odległej krainie. Rzadko spotykało się je na terytorium Vindrasów. Niewielu Torgunów kiedykolwiek z nimi walczyło. Niewielu cokolwiek o nich wiedziało. Powszechnie uważało się, że ogry są głupie, ale wynikało to chyba głównie z tego, jak wyglądały, a nie z tego, że ktoś rzeczywiście sprawdził kiedyś poziom ich inteligencji.

Wysokie, masywne, umięśnione i grubokościste miały małe, okrągłe główki zupełnie nie pasujące do reszty ciała. Ich pulchne policzki, małe nosy, wielkie oczy i zaciśnięte usta upodabniały je do małych dzieci, toteż Vindrasi pogardzali nimi i uznawali, że są równie bystre jak niemowlaki.

Śledzenie smoczego okrętu przez tak długą drogę wymagałoby inteligencji, przebiegłości, energii i znajomości sztuki żeglarskiej, a ogry nie posiadały żadnej z tych cech. Przynajmniej tak zdawało się Vindrasom. Dlatego właśnie Skylan doszedł do wniosku, że musiały się tu zabłąkać zupełnie przypadkiem.

Zadowolony z takiego rozumowania już cieszył się na bitwę z ociężałymi, przygłupimi przeciwnikami i bardzo się rozczarował, gdy we wsi nie wałęsał się żaden ogr. Miał cały czas

cichą nadzieję na choć małą potyczkę, jeśli nie otwartą wojnę. Rokowania rzecz święta, ale jeżeli ogr go obrazi, Torval nie może go winić za bronienie własnego honoru.

Ulice Ludy świeciły jednak pustkami. Na wieś Torgunów składały się działki odgródzone płotami i ulicami. Były bardzo różnej wielkości, zależnie od majątności gospodarza. Na małych stała tylko obórka dla zwierząt oraz długi dom, w którym mieszkała i pracowała rodzina, obok, na niewielkim poletku, rosło zboże i warzywa. Inne – takie jak gospodarstwo ojca Skylana – były znacznie większe. Poza domem i obórką mieściły się tam różne zabudowania gospodarcze, między innymi kuźnia. Norgaard zatrudniał wielu ludzi do pomocy, dając im w zamian dach nad głową dla całej rodziny oraz dzieląc się zbiorami. A raczej – tak było dotąd. W tym roku z powodu marnych plonów nie było się czym dzielić.

Skylan skrzywił się mimowolnie na widok trzech okrętów, które tak zacumowały w zatoce Djvolk, że otaczały *Venjekar*, najcenniejszy skarb Torgunów. Wojownicy z rasy ogrów opierali spalone cielska o burty, patrząc leniwie i wyraźnie na coś czekając. Pewnie tak naprawdę byli równie skorzy do bójki jak Skylan. Ich dowódcy brali natomiast udział w rokowaniach.

Mężczyźni, którzy nie poszli po dzika i zostali we wsi, tłoczyli się teraz w Domu Wodza jako świadkowie rokowań. Większość kobiet i dzieci zdążyła uciec w góry, choć tu i ówdzie Skylan zdołał dojrzeć kobiecą twarz wyglądającą zza uchylonych drzwi.

Zaciągnęli dzika pod sam Dom Wodza, największy budynek we wsi. Vindrasi mieszkali w bardzo prostych, długich domach z dębowych desek pokrytych strzechą. Wewnątrz były one podzielone na kilka pomieszczeń. Jedno z nich miało drewniane platformy, na których układano koce do snu. W drugim była kuchnia z paleniskiem do gotowania oraz piecem.

W środkowej części domu znajdowało się najważniejsze pomieszczenie, a w nim to, co najcenniejsze, czyli krosno. Tu stały też drewniane skrzynie i plansza do gry w smocze kości, ulubionego zajęcia Vindrasów. Poza tym i może jeszcze kilkoma taboretami nie było więcej mebli. Ludzie siadali zwykle wprost na klepisku lub czasem na jakimś kocu. Jeśli w ogóle były okna, zasłaniano je ciężkimi drewnianymi okiennicami, żeby nie wdarł się ziąb. W długich domach było ciepło i przytulnie, ale i ciemno. Pełno było zawsze dymu, a jedyne światło dawały lampki olejne i świece.

Dom Wodza był podobny, ale znacznie większy i nie podzielono go na pokoje. Było to najważniejsze miejsce dla całego klanu. Tu załatwiano interesy, ucztowano i bawiono się. Sądzone przestępców i rozstrzygano spory. Tu regularnie spotykali się przywódcy poszczególnych rodzin. Tutaj wreszcie prowadzono rokowania z wrogami.

Jak było w zwyczaju, przed Domem Wodza stało teraz czterech wojowników torguńskich i czterech z plemienia ogrów. Skylan po raz pierwszy w życiu zobaczył ogra na własne oczy i musiał przyznać w duchu, że jest pod wrażeniem. Wiedział, że ogry są wysokie i potężne, ale nie myślał że aż tak. Skylan był średniego wzrostu i sięgał im do mostka. Zwykle nadrabiał

miną, przecząc szeroką klatę, muskularne ramiona, uda i łydki. Jednak przy dwa razy szerszych ograbach wypadał dość mizernie.

Ogry miały na sobie jedynie skórzane przepaski i pasy, do których przytroczone były ogromne topory i miecze. Broń wydawała się dobrej jakości. Każdy ogr miał też podłużną tarczę, tak wielką jak drzwi do długiego domu. Od stóp po szyję wyglądali przerażająco. Powyżej szyi jednak, na takiej górze mięsa, mięśni i kości, umocowana była łyśa, pызata główka tak gładka i bezmyślna jak u noworodka.

Pewnie właśnie, by nadać tym dziecinnyim twarzom groźniejszy wygląd, ogry miały zwyczaj używać barw wojennych, które pozwalały im też łatwo oznaczyć stopień danego wojownika. Każdy z czterech ogrów stanowiących osobistą straż swych dowódców miał niebieski pas ciągnący się od czubka głowy przez łyse czoło, nos, usta aż po brodę. Krzyżował się z nim szeroki czerwony pas przechodzący przez nos i dalej pod oczami. Zwykły szeregowiec miałby jedynie brązowy pas od karku po głowę.

Skylan jednak oczywiście nie miał o tym pojęcia. Dla niego te kolorowe farbki wyglądały po prostu głupio i dziecinnie. Poza tym odkrył jeszcze jedną rzecz. Ogry śmierdziały.

– Sam ten smród wystarczy, by powalić człowieka na ziemię – zauważył, nie starając się nawet ściszyć głosu.

Vindrasi byli ludźmi czystymi. Kapali się często, nawet w zimie. Wierzyli, że ich ciała są darem bogini życia, Desirii, a utrzymywanie ich w czystości jest sposobem okazania jej wdzięczności. Sądząc po zapachu, ogry najwyraźniej uważały, że ich cielska pochodzą od boga łajna.

Skylan zatrzymał swych ludzi gestem. Na widok jego uniesionej dłoni ciągnący dzika mężczyźni przystanęli. Ogry spojrzały na tę zdobycz, potem na Skyłana i jego rany i wytrzeszczyły oczka. Tak jak przewidział Garn – olbrzymi dzik robił wrażenie nawet na nich.

Skylan bynajmniej nie ukrywał, że utyka, tylko dumnie pokuśtykał w stronę ogrów. Jego rany świadczyły o odwadze. Zwrócił się do torguńskich wojowników stojących na straży Domu Wodza, ostentacyjnie ignorując wroga.

– Jestem Skyłan, syn Norgaarda, wodza Torgunów – oświadczył. Był to oczywiście tylko popis przed ogrami, bo tych czterech Torgunów znało go od dziecka. – Pragnę mówić z ojcem, wodzem Torgunów. Czy jest w środku?

– Pytał o ciebie, Skyłanie Ivorsonie. Nakazał nam wpuścić cię natychmiast po twoim powrocie – odrzekł jeden z wojowników, zachowując tak samo oficjalny ton, choć gdy się odsuwał, by go przepuścić, nie oparł się pokusie i puścił do niego oko.

Skylan kiwnął głową i gestem nakazał Garnowi i pozostałym, by szli za nim, po czym ruszył do drzwi Domu Wodza. Ogry przepuściły go bez słowa, ale zastąpiły wejście pozostałym. Wielkie cielsko jednego z nich bez trudu wypełniło całe drzwi.

– Jak śmiecie zabraniać tym ludziom dostępu do ich wodza?! Kozojebcy! – wrzasnął Skyłan, od razu odbierając to jako zniewagę.

Już wyciągał miecz z pochwy, a ogry chwytaly za broń, gdy włączył się Garn, wołając, żeby się uspokoili. Gestem wskazał Skylanowi, by zbliżył się do drzwi. Skylan niegrzecznie odepchnął jednego z ogrów i podszedł do przyjaciela.

– Nie kłóć się z nimi – szepnął Garn. – Lepiej, żeby wojownicy zostali na zewnątrz. W ten sposób znajdują się między okrętami ogrów a Domem Wodza.

Skylan od razu pojął, że przyjaciel ma rację. Jeśli rokowania się nie powiodą i ogry zaatakują, będą biegły od strony okrętów, a wtedy powstrzymają ich torguńscy wojownicy. Schował więc miecz, opanowując irytację, ale zrobił to bardzo powoli, teatralnym gestem, aż broń zagrzechotała w pochwie.

– Garn idzie ze mną – oświadczył, łapiąc przyjaciela za ramię i przyciągając w swoją stronę. – To mój brat.

Ogry nie wyglądały na przekonane, ale po krótkiej naradzie (która polegała na kilku mruknięciach i wzruszeniach ramion) pozwoliły przejść także Garnowi.

– Wy zostańcie tutaj, na świeżym powietrzu! – krzyknął Skylan do pozostałych wojowników, po czym wciągnął powietrze, skrzywił się i zatkał sobie nos. – Jeśli nie wrócimy, to znaczy, że się podusiliśmy.

Jego ludzie roześmiali się głośno. Skylan spojrzał na ogry pełen nadziei. Przecież jeśli teraz zareagują na tę obelgę atakiem, będzie miał prawo się bronić.

Ogry jednak patrzyły na niego zupełnie obojętnie. Skylan uznał, że są zbyt głupie, by w ogóle się zorientować, że ktoś je obraził. W życiu nie przyszłoby mu do głowy, że są zbyt zdyscyplinowane, by dać się tak łatwo sprowokować. Popatrzył znów na swoich ludzi, uśmiechnął się i przewrócił oczami, a oni zarechotali jeszcze głośniej i tręcali się łokciami z uciechy. Ich radość nie trwała jednak długo. Niektórzy zaczęli już liczyć przeważające siły wroga.

Norgaard Ivorson, wódz Torgunów, siedział na bogato zdobionym tronie stojącym w północnym krańcu Domu Wodza. Wyciągnął przed siebie obolałą nogę, bez ustanku masując ją sobie, żeby złagodzić ból. Pod ścianami stali pozostali Torgunowie.

Obecne były też dwie kobiety. Jedna z nich siedziała na krześle obok Norgaarda. Była to Treia, torguńska Kapłanka Kości, która umiała porozumiewać się z bogami. Była poza Norgaardem jedyną siedzącą osobą w całej sali. Jej młodsza siostra, Aylaen, stała tuż przy krześle, jakby chroniąc kapłankę.

Obie kobiety ubrane były oficjalnie – w tradycyjne wełniane fartuchy. Pod nimi widać było długie płócienne koszule. Fartuchy spięły na ramionach srebrnymi i złotymi broszami. Dodatkowo Kapłanka Kości przyodziana była w długi płaszcz wyszywany w runy, z luźnymi rękawami. Wydawało się, że nie tylko jest jej zupełnie obojętne, co się wokół niej dzieje, ale też że jest jej po prostu zimno, co było dziwne, bo w panującym upale pod tymi ciężkimi szatami musiała przecież być zlane potem.

Aylaen uśmiechnęła się na widok Garna i Skylana, ale uśmiech zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła, że ich ubrania powalane są krwią. Garn mrugnął do niej, żeby dać jej znać, że wszystko dobrze. Dziewczyna odpowiedziała kiwnięciem głowy, lecz widać było, że tak naprawdę wcale się nie uspokoiła.

– A ona co tu robi? – półgłosem Skylan spytał Garna, nie ukrywając niezadowolenia. – Powinna być teraz w górach tak jak pozostałe kobiety!

– Aylaen? W górach? – Garn tylko się uśmiechnął. – Przypomnij mi, przyjacielu, żebym ci ją kiedyś przedstawił, bo chyba zupełnie nie znasz tej dziewczyny.

– Taki wygłup byłby dobry, gdyby była dzieckiem – burknął Skylan. – Nie przystoi jej teraz, gdy jest już dorosła.

– Marudzisz, jakbyś był jej dziadkiem – próbował go mitygować Garn. – Ona jest tylko rok młodsza od nas.

Skylan jednak, pokonawszy dzika i wyśmiawszy ogra, czuł się teraz niezwykle męski i postanowił sobie, że Aylaen ma natychmiast wyjść. Zmarszczył brwi groźnie i zdecydowanym gestem pokazał jej drzwi.

Usta Aylaen zadrżały i doszło do niego, że gdyby nie powaga chwili, wyśmiałaby go. Ponieważ jednak takie zachowanie było wykluczone, szybko odwróciła wzrok i udawała, że go nie widzi.

Skylan wściekł się. Aylaen powinna być mu posłuszna. Była przecież jego narzeczoną – to znaczy prawie była jego narzeczoną, ale to już było zupełnie nieistotne. Od narzeczeństwa dzieliło ich tylko to głupie wiano, którego Skylan wciąż nie miał jak zapłacić jej ojczymowi. Przemówiłby jej do rozsądku kilkoma ostrymi słowami, ale Garn trącił go znacząco. Wszyscy się na niego gapili, nie wyłączając ogrów. Dopiero wtedy Skylan uświadomił sobie, że ich dramatyczne wejście zakłóciło obrady.

– Powiedziano mi, że mamy gości, ojczy – rzekł więc. – Przybyłem tak szybko, jak tylko mogłem. Dzik, którego upolowałem, leży przed drzwiami – dodał, jak gdyby zabijanie dzików było jego codzienną rozrywką. Rzucił okiem na ogry siedzące na ławce skonstruowanej z ogromnej deski opartej na kilku wielkich drewnianych kozłach.

Dwa z nich ubrane były mniej więcej tak jak te stojące na straży przed drzwiami – w skórzane spodenki i pasy. O tym, że byli wyżsi rangą, świadczyły ich barwy wojenne: biało-czarny pas od karku po brodę i drugi, czarny, przechodzący przez nos i policzki. Trzeci ogr odziany był w płaszcz z tygrysyj skóry. Pozostali wyraźnie się z nim liczyli, Skylan więc od razu uznał go za przywódcę wojennego. Każdy z dowódców miał przypasany miecz dwuręczny – duży, ale nie najlepszej jakości. Tak przynajmniej ocenił ich broń Skylan. Ich tarcze z wymalowanymi czarnymi krzyżami stały oparte o ścianę.

Czwarty ogr był ubrany zupełnie inaczej. Miał na sobie długi płaszcz z lśniących zielonych i niebieskich piór, a na głowie wielki pióropusz. Jego oczy obrysowane były czarną

farbą. Skylan pomyślał, że ten to wygląda zupełnie jak szop pracz, i z trudem powstrzymał się od śmiechu. Ten ogr nie miał przy sobie żadnej broni.

Norgaard wysłuchał przechwałek syna i westchnął cicho. Był smutnym, zgorzkniałym człowiekiem. Torgunowie powinni ginąć w walce, a nie żyć jako kaleki. Jego życie przepełniał ból niezagojonych ran i nieustanny strach o Torgunów. Za jego młodości Vindrasi byli potęgą. Przemierzali morza i oceany na smoczych okrętach i wracali w chwale obładowani klejnotami.

Teraz wszystko to przeminęło. Vindrasi nie walczyli już z godnymi siebie przeciwnikami. Nie zwyciężali. Ich wrogiem stały się marne żniwa, mroźne zimy, upalne lata, szalejące morze i niekorzystne wiatry. Bogowie odwrócili się od nich, a Norgaard nie wiedział dlaczego. Pytał o to Drayę, Kapłankę Kai, ale odpowiadała wymijająco.

Torgunowie nawet nie wiedzieli, że ich wódz cierpi. Jego pomarszczona, surowa twarz była jak rzeźbiona z granitu. Rzadko się odzywał, lecz kiedy mówił, to mądrze. Jego siwe włosy były koloru żelaza, co sprawiało, że wyglądał bardzo staro jak na swoje czterdzieści pięć lat. Trzymał się prosto, nigdy się nie garbił. Nawet gdy siedział, wydawał się wysoki. Teraz milczał z godnością, kryjąc swój ból i troski zarówno przed własnym ludem, jak i przed wrogiem. Podobnie zawsze postępował z synem, lecz teraz Norgaard zaczął się zastanawiać, czy nie był to błąd.

Skylan kochał Norgaarda tak, jak bogowie nakazują mężczyźnie kochać tego, który dał mu życie. Młodzieniec nie považał go jednak i Norgaard wiedział o tym aż za dobrze. Wódz musiał sam przed sobą przyznać, że jego syn ma pewną poważną wadę: zbyt lekko traktuje swoje obowiązki przyszłego wodza. Norgaard oczywiście winą za to obarczał samego siebie. Zawsze ochraniał syna tarczą swej opiekuńczości, by ostrza kłopotów i nieszczęść nawet go nie drasnęły. Nadejdzie jednak dzień – i może stać się to lada chwila – gdy Norgaard będzie musiał opuścić ten świat, a wtedy to Skylan stanie na czele klanu.

Ostatnio Norgaard usiłował wprowadzić syna w obowiązki wodza. Ale ilekroć zaczynał o nich mówić, Skylan natychmiast przypominał sobie, że musi iść się wysikać, a gdy już naprawdę nie był w stanie uciec ojcu, siedział i słuchał go z wyrazem bezbrzeżnej nudy, rozglądając się po pokoju za muchami do zabicia lub bez końca bawiąc się kośćmi do swojej ulubionej gry w smocze kości.

Norgaard nieraz już myślał sobie, że Skylan żyje tak, jak gra w te kości – podejmuje ryzyko na granicy brawury, robi ruchy odważne i bezczelne. Jeśli wygrywa, zgarnia wszystko. Jeśli przegrywa, jest to kompletna katastrofa.

Teraz pochwalił syna za upolowanie dzika i zaprosił obu młodzieńców, by dołączyli do rokowań. Skylan stanął po jego prawicy i spojrzał na ogry wyzywająco. Garn przystanął za przyjacielem, skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał się ogrom z ciekawością.

Norgaard otworzył usta, by powrócić do przerwanej rozmowy, ale Skylan był szybszy.

– Co was sprowadza do Ludy? – spytał butnie. – I kiedy wyjeżdżacie?

Torgunowie siedzący pod ścianami zachichotali cicho. Ogrzy wykrzywiły się wściekle. Ogrzy i Vindrasi mówili mniej więcej tym samym językiem, tak jak wszyscy mieszkańcy świata zwanego przez Vindrasów Ilyrionem. W zamierzchłych czasach wszystkie mieszkające tu rasy podlegały jednemu imperium żeglarzy. By usprawnić rządzenie tak rozległym terytorium, cesarz wydał nakaz, by wszyscy mówili językiem imperium.

Każda z ras zmieniała nieco nowy język, przystosowując go do swoich potrzeb. Dodawano nowe słowa, zmieniano wymowę i akcent. Rdzenie słów były jednak takie same i większość ogrów była w stanie porozumieć się z ludźmi.

Według legendy cesarz wierzył, że wspólny język sprawi, iż między skłóconymi rasami zapanuje pokój i zrozumienie. Niestety, stało się wręcz odwrotnie. Teraz świetnie rozumieli wzajemnie rzucane obelgi.

Norgaard zacisnął usta i spochmurniał.

– Wybaczcie memu synowi, panowie – zwrócił się do ogrów. – Młodzi ludzie są tacy nieroztropni. Pozwolą panowie, że zamienię z nim słowo na osobności.

Ogrzy przystały na to łaskawie. Po ich uśmiezkach widać było, że cieszą się na samą myśl, iż Skylan dostanie zaraz od ojca po uszach.

Ich zadowolenie nie uszło uwagi Skylana. Zatrzęsło go ze wstydu i wściekłości. Przełknął jednak dumę. Ojciec ganił go niezwykle rzadko i Skylan zachodził w głowę, czym zasłużył sobie teraz na jego gniew. W zielonych oczach Aylaen zobaczył rozbawienie.

Podszedł do Norgaarda i pochylił się w jego stronę.

– Czemu ganisz mnie na oczach tych prymitywów?

– Ponieważ na ich okrętach znajduje się stu siedemdziesięciu wrogich nam wojowników – szepnął Norgaard z naciskiem.

Torgunowie byli w stanie zebrać może siedemdziesięciu pięciu ludzi, ewentualnie dziewięćdziesięciu, jeśli liczyć też niedorostków. Skylan jednak się nie zrażał. Przed chwilą pokonał przecież dzika. Aż się palił do walki. Czuł, że sam jeden pokonałby tych wszystkich stu siedemdziesięciu ogrów.

– Każde dziecko wie, że w bitwie torguński wojownik wart jest co najmniej dwóch ogrów – odparował.

– Ja nic o tym nie wiem – syknął Norgaard. – A ja walczyłem z ogrami. Nie pamiętam natomiast, żebyś ty kiedykolwiek z nimi walczył, mój chłopcze.

– Nie, ojciec – przyznał niechętnie Skylan i zły na to, że ojciec nazywa go „chłopcem”, dodał obrażonym tonem: – I najwyraźniej nie będę miał okazji.

– Wręcz przeciwnie, Niestety – stwierdził Norgaard. – Nie wiem, co oni tu robią, ale czuję, że grozi nam niebezpieczeństwo. Ci dwaj to dowódcy. Ogrzy nazywają ich bożypanami. Ten trzeci to szaman. To, że szaman jest z nimi na okręcie wojennym, musi oznaczać, że dzieje się coś niezwykle dla nich ważnego, coś, co dotyczy ich bogów. Właśnie mieli mi o tym powiedzieć, gdy wszedłeś i obraziłeś ich. Przypominam ci, synu, że ogrzy przybyły tu na

rokowania. Zaprosiłem ich do Domu Wodza, a zatem są moimi gośćmi. Rokowania są święte. Goście są nietykalni. Torval patrzy na nas. – Norgaard pochylił się jeszcze bardziej. – Jeszcze jedno: czy widziałeś ich okręty, gdy wchodziłeś do wsi?

– Tak, ojcze.

– Nie rzuciło ci się może w oczy, że otoczyli nasz okręt?

Skylan zamarł. Widział to przecież, ale nie pomyślał, co to oznacza. Nagle doszło do niego, że może rzeczywiście zachował się nieroztropnie. Może nawet zasłużył sobie na reprimendę ojca... no, przynajmniej częściowo.

– Wybacz, ojcze – szepnął z pokorą. – Nie pomyślałem o tym.

– Ty nigdy nie myślisz, mój chłopcze – westchnął Norgaard. – Miotasz się zupełnie bez pomysłu, łapiesz za miecz z byle powodu...

– Tak postępuje prawdziwy wojownik – zaprotestował z dumą Skylan.

– Ale nie wódz. – Norgaard pokręcił głową, a potem wskazał na ogry. – Przepróż naszych gości.

Skylan wykonał nakaz ojca. W końcu Torval patrzył. Przeprószył ogry dość lakonicznie i szorstko, ale najwyraźniej im to wystarczyło. Skoro już ten stary, mądry pies uciszył swojego durnego szczeniaka, mogli wreszcie przejść do interesów.

– Mówiliśmy właśnie o tym, czemu Torgunowie zawdzięczają wizytę ogrów – przypomniał im Norgaard.

Dwaj bożypanowie spojrzeli na szamana z szacunkiem, czekając, aż przemówi.

Wstał. Jego dziwaczna postać robiła niesamowite wrażenie. Był wysoki i chudy, bynajmniej nie tak umięśniony jak wojownicy. Pióropusz z długich, czarnych, lśniących piór przydawał mu wzrostu. Na szyi zwisał mu sznur z kośćmi w srebrnych okuciach. Na włochatych rękach pełno miał srebrnych bransolet. Czarna farba wokół oczu czyniła jego spojrzenie przerażającym.

– Przybyliśmy tu, by opowiedzieć Vindrasom o wielkiej bitwie, która rozegrała się w niebiosach. Była to bitwa między waszymi a naszymi bogami – przemówił, a w jego oczach pojawił się straszny błysk. Nie wydawał się już taki dziecinny. – Nasi bogowie wygrali. Wasi przegrali. Wasi bogowie nie żyją.

I spokojnie usiadł, a jego pióra załopotwały. Wyglądał trochę jak wielki, tyczkowy bocian moszczący się na gnieździe.

Rozdział 3

Zapadła cisza tak absolutna, że wszyscy obecni mogli usłyszeć szum pióropusza. Widząc, że nikt z Torgunów nie ma nic do powiedzenia, bożypan odziany w płaszcz z tygrysa wstał i przemówił.

– Jako że Vindrasi nie mają już bogów, przybyliśmy zaofiarować wam naszą ochronę. W zamian musicie jedynie wyrzec się swoich bogów, co nie jest przecież takie trudne, jako że oni i tak już nie żyją. Odtąd będziecie czcić naszych. Poza tym dacie nam czterdzieści trzy sztuki bydła, trzynaście sztab srebra i siedmiu ludzi, w tym syna wodza, jako gwarancję waszej dobrej woli. Poza tym oddacie nam swój smoczy okręt.

Skylan pierwszy odzyskał głos.

– Kłamcy! – wrzasnął dziko.

Chwycił za miecz i rzucił się w stronę ogrów, ale zawiodła go jego zraniona noga. Potknął się i byłby upadł, gdyby nie chwycił go Garn. Przyjaciel trzymał go mocno i zdołał odciągnąć od ogrów, ale Skylan wyrywał mu się jak szalony. Norgaard rzucił tylko krótki rozkaz i dwóch torguńskich wojowników podbiegło Garnowi na pomoc.

– Torval nigdy by nie uciekł! – darł się Skylan, wciąż walcząc z próbującymi uspokoić go mężczyznami.

– Torval zsiąkał się ze strachu i zwiął – rzekł spokojnie bożypan. – A z nim ta wasza cała Smokini i reszta tchórzy.

Na te słowa Skylan rzucił się naprzód z taką furją, że pociągnął za sobą Garna i obu wojowników. Krew napłynęła mu do twarzy, oczy miały wściekłe spojrzenia, na usta wystąpiła piana. Ryczał i wił się jak szaleniec. Bożypanowie zerwali się na równe nogi, wyciągając miecze.

Skylan parł prosto na nich, wzbijając tumany kurzu z klepiska. Dwaj torguńscy wojownicy zwisali u jego ramion, a Garn wciąż trzymał go w pasie, lecz Skylanowi udało się przeciągnąć ich przez pół podłogi, nim wreszcie wspólnymi siłami powalili go na ziemię, ale nawet wtedy – z unieruchomionymi nogami i rękami, z wojownikiem siedzącym mu na piersi – Skylan wciąż jeszcze pomstował na ogry. Wrzeszczał, wyzywając ich od kłamców, tak głośno, że w końcu zabrakło mu tchu. Sapiąc rozpaczliwie, piorunował ogry wzrokiem i walił pięściami w ziemię, jakby były to ich zakute łby.

Nie tylko jego rozwścieczyły słowa szamana. Gdy minął pierwszy szok, pozostali mężczyźni poderwali się na nogi i przekrzykując się nawzajem, usiłowali powiedzieć, co myślą o tym wszystkim. Gestykulowali zaciekłe, darli się jeden na drugiego, tupali i uderzali bronią o tarcze. Dom Wodza trząsał się w posadach.

Wojownicy czekający przed domem nie słyszeli oczywiście słów ogra, ale nawet do nich dochodziły wrzaski Skylana i wojowników. Uznawszy, że wywiązała się walka, rzucili się do drzwi. Ogry stojące na straży uniosły tarcze i odepchnęły Torgunów, którzy klnąc, zaczęli pchać się na siłę do środka.

– Cisz! – huknął Norgaard. – Uspokójcie się natychmiast!

Był wszak niegdyś Wodzem Wojennym. Wiedział, jak wydać rozkaz na polu walki, jak przekrzyknąć szczęk stali, wojenne okrzyki, jęki rannych i umierających. Nieraz jego głos musiał się przedzierać przez większy tumult. Teraz spojrzał na syna wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu. Wojownicy, który wciąż przytrzymywali Skylana, popatrzyli na młodego człowieka niepewnie.

– Puśćcie mnie – mruknął Skylan i wyrwał się z ich uścisku. – Nic mi nie jest.

Miał nadzieję, że jest jasne dla wszystkich, a w szczególności dla ogrów i Aylaen, że wycofał się tylko dlatego, iż taki był rozkaz wodza. Wstał samodzielnie, ze złością odrzucając pomoc, i dopiero wtedy zobaczył, że otworzyła się jego rana. Po nodze ciekła mu krew.

W Domu Wodza zapanował spokój, ale nie cisza. Wypełniało go złowieszcze pomrukiwanie i szum jak podczas burzliwych potyczek między boginią Akarią i jej siostrą Svanses, które walczą czasem o władzę nad wiatrem i wodą, wzbudzając olbrzymie fale pochłaniające łodzie i topiące wsie. Wojownicy wewnątrz powrócili na swoje miejsca pod ścianą. Wojownicy na zewnątrz cofnęli się od drzwi. Żaden z nich jednak nie schował broni do pochwy.

Skylan spojrzał na Norgaarda, a z nim wszyscy Torgunowie obecni w Domu Wodza. Nie ulegało wątpliwości, czego oczekują – niech Norgaard obali natychmiast te oburzające stwierdzenia ogra, niech wyśmieje jego jeszcze bardziej oburzające żądania. Będzie wojna. To było dla wszystkich oczywiste. Czekali tylko na rozkaz swego wodza.

Norgaard milczał jednak.

Prawda była taka, że nie wiedział, co rzec. Nigdy przedtem nie znalazł się w podobnej sytuacji. Ogry nie zachowywały się jak tamte, z którymi niegdyś walczył. Tamte nigdy nie zadałyby sobie tyle trudu, by przyjść do ludzi, by z nimi rozmawiać, by żądać rokowań. Ogry, które on znał, przypląnąwszy do Ludy, spaliłyby wieś, wyrznęłyby ludzi w pień, ukradły co się da i odpłynęły.

Skąd ta zmiana? Co się dzieje? Norgaard zobaczył przed sobą niespokojne, niebezpieczne wody i czuł, że wpływając na nie, musi się mieć stale na baczności. Toteż milczał, pocierał brodę i patrzył na szamana w zamyśleniu. Tak jak przy grze w smocze kości, są w życiu

chwile, kiedy lepiej się wycofać, pozwolić wrogowi uczynić następny krok. Próbował nauczyć syna tej prawdy. Bez skutku.

– Czemu on nic nie mówi? – szepnął zniecierpliwiony Skylan.

– Milczenie jest złotem – przypomniał mu Garn. – Norgaard próbuje dociec, co się dzieje. Na przykład, dlaczego ogry po prostu nie zaatakowały? Po co im te rokowania?

– E tam – prychnął Skylan. – To ogry. Mają twaróg zamiast mózgu. Staruszkowi po prostu mowę odjęło ze strachu. Jeśli zaraz czegoś nie powie, ja to zrobię.

– Nie wtrącaj się, Skylan – ostrzegł go przyjaciel. – Pozwól ojcu robić, co do niego należy.

Skylan jednak zignorował przyjacielską radę. Odwrócił się w stronę Trei, milczącej, zapomnianej w ferworze wydarzeń. Aylaen stała przy siostrze, opierała dłoń na jej ramieniu. Obie patrzyły na Norgaarda, w ogóle nie zwracając uwagi na Skylana, więc aż podskoczyły na dźwięk jego głosu.

– Wzywam Kapłankę Kości, by obaliła tę bzdurę – powiedział Skylan. – Kapłanko, powiedz ogrom, że się mylą. Poproś Torvala, żeby dał nam znak, że żyje.

Treia nie powiedziała słowa, ale jej ciemne oczy błysnęły ze złości. Jej blada twarz nie zdradzała niczego, lecz Norgaard zauważył, że zaciska dłonie na poręczach krzesła tak mocno, że zbieleły jej kłykcie.

Skylan – niezwykle zadowolony z siebie i swojej przebiegłości – nie dostrzegł niczego.

Ale to, co zobaczył Norgaard, wystarczyło, by stracił nadzieję. Treia wie, że w niebiosach dzieje się coś złego. Boi się, że jeśli wezwie Torvala, bóg nie odpowie, a to tylko rozzuchwali ogry, którym – Torval jeden wie – nie potrzeba już wiele, by stało się najgorsze.

Przynajmniej w końcu wiadomo, dlaczego zażądały rokowań. Te kreatury dobrze wiedzą, że wieść o tym, iż bogowie opuścili Torgunów, załame wojowników i odbierze im bojowego ducha. Dlatego właśnie ogry postanowiły rozmawiać, zamiast walczyć. Norgaard od razu uświadomił sobie, że życie jego ludzi jest teraz w rękach Trei. Wszystko zależy od tego, co ona powie i co zrobi. W tej chwili żałował przede wszystkim tego, że nie zna Trei zbyt dobrze. Nie miał bowiem pojęcia, jak zareaguje kapłanka.

Treia pojawiła się we wsi niedawno. Była z plemienia Torgunów i urodziła się tu, ale gdy miała dwanaście lat, jej matka Holma poświęciła ją Smokini w nadziei, że w zamian Vindrash oszczędzi jej męża. Treia została więc wysłana do Vindraholmu, stolicy Vindrasów znajdującej się po drugiej stronie zatoki, i tam uczyła się wszystkiego, co powinna umieć Kapłanka Kości. Najwyraźniej bogini potraktowała tę transakcję z szacunkiem. Ojciec Trei żył jeszcze wiele lat. Jego córka jednak nigdy go już nie zobaczyła.

Dziewczyna mieszkała w Vindraholmie szesnaście lat. Tam wprowadzono ją w sekrety bogów. Dopiero niecały rok temu wróciła do Torgunów, gdy poprzednia Kapłanka Kości zmarła, struwszy się nieświeżym węgorzem.

Posępna Treia miała już dwadzieścia osiem lat, lecz nadal pozostawała niezamężna. Nikt też nie kwapił się, by prosić ją o rękę. Bynajmniej nie była nieatrakcyjna. Miała jasną cerę, grube, jasne włosy, pociągłą twarz i smukłą figurę. Z pewnością mężczyźni zainteresowaliby się nią, gdyby czasem się uśmiechała, ale jej nigdy nic nie bawiło. Nigdy nie wydawała się szczęśliwa. Nawet podczas świąt, gdy inni ucztowali, Treia z pogardą spoglądała na bawiących się i kryła się w domu pod byle pretekstem.

Była krótkowidzem i gdy tylko próbowała skoncentrować na czymś wzrok, zezowała. Zez oraz dziwna zdolność zgadywania cudzych myśli sprawiały, że uważano, iż jest w stanie zajrzeć w samą duszę człowieka. Dlatego właśnie większość ludzi we wsi – w tym także mężczyźni – czuła się przy niej bardzo niepewnie. Teraz rzuciła Skylanowi poirytowane spojrzenie, a potem spuściła ciemne oczy i wbiła wzrok w podłogę. Siostra powiedziała jej coś na ucho. Treia pokręciła głową.

Większość Torgunów wpatrywała się w nią z pewnymi siebie uśmiezkami. Widocznie było dla nich oczywiste, że Kapłanka Kości zaraz ostro zaprzeczy tym cudacznym słowom ogrów i ześle na nich gniew Torwała. Nie uszło jednak uwagi Norgaarda, że nie wszyscy. Niektórzy byli przecież na pechowej wyprawie jego syna i pamiętali z pewnością, że wtedy właśnie Treia usiłowała wezwać smoka Kahg, by walczył wraz z nimi, a smok nie odpowiedział.

Treia powiedziała im wtedy, że urazili Smokinię, Vindrash. Ale co, jeśli Vindrash nie milczy wcale z wyboru? Co, jeśli Smokini po prostu poległa lub została wygnana z niebios?

Treia milczała i coraz więcej Torgunów zaczynało się niepokoić. Norgaard odchrząknął cicho, żeby dać jej do zrozumienia, że musi przemówić, i to szybko. Kapłanka rzuciła mu tylko posępne spojrzenie i wreszcie wstała powoli.

Poruszała się majestatycznie i z wdziękiem. Jej krótkowzroczne oczy zamglone były tajemniczo. Na blade lica wystąpiły rumieńce. Obrzuciła salę niewidzącym spojrzeniem i wreszcie zatrzymała wzrok na ograch. Każdy jej gest pełen był dumy. Nawet ogry wydawały się przytłoczone tą wyniosłością. Przemówiła wprost do szamana.

– Udam się teraz do świątyni Vindrash. Tam wezwę naszych i waszych bogów – rzekła. – Poczekam do rana, by zobaczyć, którzy odpowiedzą. Niech nikt nie waży się zakłócać moich nocnych modłów.

Z głową dumnie uniesioną ruszyła ku wyjściu. Gdy mijała Norgaarda, rzuciła mu spojrzenie, które mówiło jasno: „Tylko gram na zwłokę, więc lepiej wykorzystaj ten czas, który udało mi się dla ciebie zdobyć”.

Szaman kiwnął na ogry stojące przy drzwiach, by odsunęły się i przepuściły wychodzącą kapłankę. Torguńscy wojownicy bez słowa zesli jej z drogi, tylko jeden zaofiarował, że ją odprowadzi, ale odmówiła mu z nieukrywaną pogardą.

Treia zareagowała tak nagle, że Aylaen przez moment patrzyła tylko zdumiona. Po chwili wahania pobiegła jednak za siostrą, która była już za drzwiami. Ogry nie zatrzymały jej, ale

taksowały wzrokiem z lubością, a jeden z nich szepnął coś do drugiego, wywołując obleśny uśmieszek pobratymca.

Skylan nie usłyszał tego komentarza, ale łatwo mógł się domyślić, co to było, i już łapał za miecz. Garn chwycił go jednak i zaczął mu coś szeptać do ucha. Tym razem Skylan posłuchał.

Bożypanowie naradzali się z szamanem. Norgaard milczał, milczeli torguńscy wojownicy zgromadzeni w Domu Wodza. Udawali oczywiście, że robią to z czystej uprzejmości, ale każdy wycęzał słuch, by pochwycić cokolwiek z szeptów ogrów.

Ci mówili jednak bardzo cicho. Norgaard wstał i udając, że musi rozprostować obolałą nogę, pokuśtykał nieco bliżej.

Przejęte rozmową ogry nawet go nie zauważyły. Mówiły szybko. Norgaard rozumiał piąte przez dziesiąte, ale i to mu starczyło, by pojąć, że ogry są zdezorientowane, nie wiedzą, co robić. Zażądały przecież, by Torgunowie uznali ich bogów, zwanych Bogami Raj, a tymczasem Kapłanka Kości zapowiedziała, że idzie się modlić do tych właśnie bogów. Kłamała czy nie (a jeden z bożypanów wyraźnie jej nie wierzył), szaman upierał się, że nie mogą teraz zaatakować Torgunów. Muszą dać Bogom Raj szansę na odpowiedź. Cokolwiek innego może urazić bogów, a przecież są wiele mil od domu i do pokonania mają zdradziecki ocean. Nie czas teraz ściągać na siebie ich gniew.

To przekonało bożypanów. Ogry to nie Vindrasi – bynajmniej nie kochają morza. A morze nie kocha ogrów.

Posłyszawszy dość, Norgaard pokuśtykał z powrotem na swoje miejsce.

Po krótkiej jeszcze naradzie odezwał się wreszcie bożypan w tygryziej skórze.

– Wierzymy święcie w moc i potęgę Bogów Raj. Damy waszej kapłance czas. Niech się do nich modli. Poczekamy na jej i twoją, wodzu, odpowiedź tej nocy. Tymczasem opowiemy wam więcej o naszych bogach podczas wspaniałej uczty, którą wydacie na naszą cześć.

Norgaard westchnął. Nakarmienie ogrów oznaczało koniec ich i tak już bardzo skromnych zapasów, ale nie śmiał im odmówić.

Bożypanowie wstali i udali się do wyjścia, a wraz z nimi szaman, potrząsając piórami na głowie. Norgaard szedł przy nich, gestem nakazawszy pozostałym wojownikom, by się nie ruszali z miejsc. Gdyby wszyscy Torgunowie wstali naraz, ich goście mogliby wyciągnąć niesłuszne wnioski z ich zachowania.

Norgaard odprowadził bożypanów do drzwi i wysłał z nimi czterech swoich wojowników w ramach eskorty.

– Upewnijcie się, że wrócili na okręty – rozkazał im cicho. – Potem też miejcie na nich oko.

Patrzył, jak ogry odchodzą ociężałym, pewnym siebie krokiem. Zostało mu więc kilka godzin, by wymyślić jakiś sprytny plan uratowania swoich ludzi.

Niewiele, ale lepsze to niż nic.

Kiedy poinformowano Norgaarda, że ogry są z powrotem na swoich okrętach, zwołał spotkanie rady plemiennej, na którą przybyły głowy rodzin. W większości byli to mężczyźni, ale część stanowiły także wdowy, które nie wyszły ponownie za mąż. Byli obecni także Skylan, jako przyszły wódz, oraz Garn, ponieważ przyjaciel nigdzie się bez niego nie ruszał.

Norgaard zaczął od opisanie sytuacji:

– Jutro rano musimy albo poddać się ogrom i spełnić ich żądania, czyli oddać im czterdzieści trzy sztuki bydła, trzynaście sztab srebra, siedmiu mężczyzn, w tym mego syna, oraz nasz smoczy okręt, albo podejmiemy walkę...

– Walczymy! – krzyknął Skylan.

– ...z armią niemal dwa razy większą od naszej – dokończył skrzypiącym głosem Norgaard.

– Gdzie tu wybór? – spytał zniecierpliwiony Skylan. – Oczywiście musimy walczyć.

– Wytną nas w pień – stwierdził Norgaard.

– Nie możemy przegrać – zaprotestował Skylan. – Torval jest z nami. – Z nabożnym szacunkiem dotknął srebrnego topora na swojej szyi.

– Czy Torval był z tobą na twojej ostatniej wyprawie? – spytał ostro Norgaard.

Rada czekała na odpowiedź Skylana, choć wszyscy doskonale znali fakty. Ta wyprawa nie przyniosła im nic poza ogrami.

– Bóg nie mógł być wtedy z nami – rzekł Skylan. – Teraz wiem już dlaczego. Torval i Vindrash zajęci byli walką w niebiosach, której bynajmniej nie przegrali, jak twierdzą ci łajdacy! Czy chcesz powiedzieć, że powinniśmy się poddać i zaspokoić ich żądania?

– To prawda, że jeśli będziemy walczyć, możemy zginąć – powiedział Sigurd, jeden z członków rady. – Jeśli jednak oddamy ogrom nasze bydło, i tak zginjemy. Z głodu. Ja wolę zginąć z dłonią na mieczu, a nie na moim burczącym brzuchu.

Sigurd był stryjem i zarazem ojczymem Trei i Aylaen. Gdy zmarł ich ojciec, Myrdill, Sigurd złożył swojej owdowiałej bratowej propozycję małżeństwa, nie dlatego żeby specjalnie dbał o nią czyjej dzieci, ale by wejść w posiadanie majątku brata. Matka Aylaen, Holma, przyjęła go, ponieważ potrzebowała męża, który pomógłby jej przy gospodarstwie. Niewielu lubiło Sigurda. Był ponury i uparty. Nawet nie ukrywał swojej konkubiny, z którą miał zresztą dwóch synów. Był dla nich dobry, gdy tymczasem żonę i jej córki traktował jak niewolnice. Aylaen nienawidziła ojczyma i unikała go jak ognia.

Inni członkowie rady włączyli się do dyskusji. Głośno i nie kryjąc emocji, poparli pomysł, by walczyć.

– I ja wolę walkę – rzekł Norgaard. – Chciałbym jednak mieć jakieś szanse na zwycięstwo.

Nikt nie mógł mu nie przyznać słuszności. Skylan mógł sobie wykrzykiwać, że jeden torguński wojownik wart jest w bitwie dwóch ogrow, ale starsi dobrze wiedzieli, że to puste słowa. Ogry może i mają twarzyczki jak niemowlęta i śmierdzą jak świnie, ale zmuszone do

walki są świetnymi wojownikami, dzikimi i silnymi. A teraz mają jeszcze wsparcie swych bogów.

Gdy tymczasem bogowie Torgunów...

– Czy mogę coś powiedzieć? – spytał cicho Garn tonem pełnym szacunku. Nie należał do rady, toteż nie miał właściwie prawa do czynnego udziału w zgromadzeniu, chyba że ktoś udzieli mu głosu.

– Tak – powiedział Skylan szybko, by uprzędzić ewentualny sprzeciw.

Norgaard przytaknął głową. Wychowywał Garna od dziecka i kochał go jak własnego syna. Czasem kochał go nawet bardziej, za co czynił sobie nieustanne wyrzuty. Miał nadzieję, że poprzez tę przyjaźń Skylan nauczy się od Garna mądrości i cierpliwości. Niestety, tak się nie działo. Skylan był nadal lekkomyślnym ryzykantem. Norgaard cieszył się więc, że Skylan ma choć tyle rozsądku, by cenić Garna.

– Powinniśmy walczyć z ogrami, ale nie sami – rzekł Garn. – Pomoc jest przecież po drugiej stronie fiordu.

Fiord Gymir, wąski i głęboki, wcinął się między wysokie klify i oddzielał Torgunów od ziemi Kharajis, na której mieszkały pozostałe klany Vindrasów. Heudjunowie, największy, najbogatszy i najsilniejszy z ośmiu głównych klanów, mieli siedzibę w Vindraholmie, położonym po drugiej stronie fiordu. Horg, obecny Wódz Wodzów, najpotężniejszy z Vindrasów, był też wodzem Heudjunów. Jego żona Draya był Kapłanką Kai.

– Horg ma smocze okręty i wielu wojowników – przyznał w zamyśleniu Norgaard. – Jego żona zaś jest blisko bogów. Jej na pewno odpowiedzą, jeśli w ogóle są w stanie.

– Doszły mnie słuchy – burknął Skylan – że ostatnio Horg chętniej zagląda do beczki z cydrem, niż chwyta za miecz.

– Horg to wojownik – przerwał mu ostro Norgaard. Wódz Wodzów był mniej więcej w jego wieku. Są rzeczy, których młodzi nie są w stanie zrozumieć. – Serce wojownika nie powinno go zawieść.

– To, czy Horg chleje na umór czy nie, nie ma znaczenia – zniecierpliwiał się Sigurd. – Ogry otoczyły nasz okręt. Nie mamy jak posłać po pomoc.

Ktoś rzucił coś o przepłynięciu fiordu w pław, ale inni natychmiast ściągnęli go na ziemię. Nawet w ciepłe dni głęboka woda była tak zimna, że każdy pływak zginąłby najdalej w połowie drogi. Dotarcie na drugą stronę drogą lądową nie wchodziło w grę – fiord ciągnął się na wiele mil. Gdyby chcieć go obejść, zajęłoby to kilka dni.

– Garn ma plan – stwierdził Skylan. – Inaczej w ogóle by się nie odzywał.

– Garnie, jeśli rzeczywiście masz jakiś pomysł, podziel się tym z nami – zachęcił go Norgaard.

– Nie potrzebujemy okrętu ani pływaka, by wezwać pomoc. Możemy zapalić ognisko.

Była to odwieczna forma zwoływania klanów na wojnę. Ognisko oznaczało niebezpieczeństwo i prośbę o pomoc. Klany zobowiązane były odpowiedzieć na ten znak bez

względu na wszystko. Gdy tylko Horg i jego wojownicy zobaczą ogień, będą wiedzieli, co robić.

Ten plan miał jednak jedną lukę.

– To na nic, Garnie – powiedział Norgaard, wzdychając. Już i on łudził się przez chwilę, szybko jednak jego nadzieje prysły. – Ogry także używają tej formy komunikacji. Gdy zobaczą, że zbieramy drewno i budujemy ognisko, domyślą się, że próbujemy wezwać pomoc. Od razu nas zaatakują.

– Nie, jeśli ich brzuchy pełne będą dziczyzny – zaproponował Garn.

Inni patrzyli na niego, nie rozumiejąc, aż Skylan zarechotał z uciechy i klepnął się po udzie, zapomniawszy zupełnie o ranie.

– Przecież oni nic nie rozumieją! Wyłumacz im swój plan, bracie – wystękał, sycząc z bólu i ściskając się za nogę.

– Ogry zażądały uczty – wyjaśniał Garn. – Podamy im więc dzika. – Urwał i rozejrzał się wokół, oczekując, że przecież domyślili się już reszty.

– Dzika piezzonego na wielkim ogniu – wykrzyknął triumfalnie Skylan.

Na twarzach członków rady zajaśniał wreszcie uśmiech zrozumienia. Niektórzy nawet zaklaskali. Norgaard, szybko przeanalizowawszy plan, nie zobaczył w nim żadnych wad. Ogry słynęły z apetytu i szczególnej słabości do mięsa. A te konkretne ogry spędziły całe miesiące na morzu, żywiąc się pewnie wyłącznie rybami (których nie znosiły) i grochem. Norgaardowi nie uszło uwagi, że ogry tęsknie oglądały się na garnki i piece Torgunów.

– To dobry pomysł, Garnie – rzekł po prostu, a młodzieniec rozpromienił się na tę pochwałę.

– Horg i jego wojownicy zobaczą ogień – entuzjazmował się Skylan. – Przypłyną tu jeszcze przed świtem i gdy ogry się zbudzą, odkryją, że teraz to my mamy dwukrotną przewagę. Woda będzie czerwona od ich krwi. Aż pod niebiosa rozlegnie się ich przedśmiertne rzężenie, a nawet bogowie poczują dym z naszego ogniska. Zresztą kto wie, może same ogry pomogą nam je zbudować i przyłożą rękę do swojej zagłady!

Rada jednogłośnie zatwierdziła plan Garna.

Rozdział 4

Bożypanowie wyraźnie ucieszyli się z zaproszenia na pieczonego dzika. Garn, który udał się do nich z oficjalnym zaproszeniem w imieniu Norgaarda, doniósł, że jeden z nich zaczął się dosłownie ślinić na wzmiankę o mięsie. Garn wyznaczył czas uczty na wschód księżyca, gdy Akaria, bogini wód i przyływów, wzniesie swą latarnię.

Przywódcy ogrów zapowiedzieli, że przyjdą ze swoją strażą i szamanem. Garn obliczył, że oznacza to około piętnastu głodnych ogrów do nakarmienia. Norgaard westchnął głęboko. Torgunowie nie mieli wiele jedzenia i oto wszystko, co mieli, miało zniknąć w czeluściach żołądków ich wrogów. Pocieszał się jedynie myślą, że jutro ogry będą kontynuować ucztę już na tamym świecie.

Następnym zadaniem, jakie Norgaard wyznaczył Garnowi, było przekonać Skylana, żeby dał się uzdrowić. Skylan nie znosił, jak się nad nim modlono, więc i tym razem się opierał, ale nie aż tak bardzo jak zwykle, i w końcu obiecał, że poszuka Kapłanki Kości.

Po prawdzie już w drugiej części narady Torgunów ból i utrata krwi doprowadziły go niemal do omdlenia. Tylko myśl o tym, żeby nie okazać słabości przy innych wojownikach, dawała mu siły, by nie poddać się bólowi. Teraz opadł go strach, że nie będzie miał jutro sił stanąć do walki. Postanowił więc szukać tego, czego zwykle unikał – pomocy.

Garn chciał go odprowadzić aż do świątyni Vindrash, ale Skylan kazał mu iść z innymi na wzgórze i rąbać drwa na ognisko.

– Pójdę do kapłanki, przysięgam – obiecał mu i chwytając za srebrny toporek na szyi, dodał: – Przysięgam na Torvala.

Garn wiedział, że takiej przysięgi Skylan nigdy nie złamie, więc uspokojony odwrócił się już w stronę lasu.

– Jest tylko jeden problem – westchnął jeszcze na odchodnym. – Jak tu przekonać ogry, że musimy koniecznie zapalić dwa ogniska? Nie możemy przecież piec dzika na takim mocnym ogniu, jaki jest potrzebny do zawezwania pomocy.

Skylan roześmiał się tylko.

– Powiedz im, że jeden ogień jest do pieczenia głowy, a drugi do reszty. Toż to tylko ogry. Są głupie jak but.

Pożyczywszy przyjacielowi szybkiego powrotu do zdrowia, Garn ruszył ścieżką prowadzącą na wzgórze. Skylan tymczasem skierował się w stronę świątyni Vindrash.

Na opustoszałych ulicach, wśród opuszczonych domów, panowała upiorna cisza. Zwykle o tej porze dnia, gdy bogini słońca Aylis ruszała w stronę morza, kobiety zaczynały się już krzątać przy wieczornym posiłku. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy zup i pieczonego chleba. Dzieci śmiały się i biegały wokół. Mężczyźni wracali do domów z pola, kuźni lub innych miejsc, w zależności od tego, jaka była ich rola w klanie. Zbierali się w małych grupach, omawiając najnowsze wydarzenia i czekając na kolację.

– Tak, jakby wszyscy wymarli – mruknął Skylan i ugryzł się w język. Nie mówi się o śmierci w przeddzień bitwy. Szybko dotknął srebrnego toporka, modląc się do Torwała, by nie był to zły omen.

Każdy z klanów miał swoją świątynię Vindrash. Nie były one jednak tak duże jak Wielka Świątynia w Vindraholmie. Zbudowana przez Torgunów, była bardzo prosta i podobna do Domu Wodza, choć mniejsza. Tuż obok stał dom Kapłanki Kości.

Oba budynki znajdowały się w pewnej odległości od wsi, na małej łączce w lesie. Oba utrzymywane były w świetnym stanie przez mężczyzn ze wsi. Treia miała tu też ogródek z ziołami. Poza tym wszyscy wspierali ją, jak mogli, obdarowując jedzeniem, skórą, garnkami, futrami i w ogóle wszystkim, czego potrzebowała.

Skylan zobaczył najpierw Aylaen spacerującą przed zamkniętymi drzwiami świątyni Vindrash. Uśmiechnęła się do niego, a on ucieszył się na jej widok. Liczył na to, że ją tu spotka, i także dlatego tak łatwo zgodził się iść do Trei po pomoc. Gdy spojrzała na jego zakrwawione nogi, wyraźnie się zatroskała.

– Jesteś trupio blady – szepnęła zmartwiona, patrząc na jego przesiąknięte krwią ubranie.

– To w większości krew dzika, nie moja – wyjaśnił z dumą.

Nie spodziewał się takiej troski z jej strony i mile go ona zaskoczyła. Zwykle, gdy tylko się widzieli, Aylaen zaraz znajdowała jakiś powód, by sobie z niego kpić. Troskę uznał od razu za dowód jej przywiązania.

– Usiądź na ziemi, to obejrzę tę ranę.

Usiadł. Dziewczyna delikatnie oderwała zakrwawione opatrunki, które przykleiły się do rany. Mimo to aż drgnął z bólu.

– Nie wygląda to dobrze – stwierdziła. – Masz już stan zapalny.

– Jutro muszę walczyć. Niech twoja siostra wstawi się za mną u bogini Desirii.

Aylaen rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi.

– Treia powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać.

Podyktowane dobrą wolą zabiegi Aylaen tylko pogorszyły sprawę. Rana znów się otworzyła, krew płynęła na ziemię, a Skylan poczuł nagle, że nie jest pewien, czy w ogóle da radę wstać.

– Ale musi się mną zająć. Jestem przecież Wodzem Wojennym.

Aylaen pokiwała głową, podeszła do drzwi i zapukała nieśmiało.

– Siostrzyczko! Przepraszam, że zakłócam twoje modły, ale jest tu Skylan Ivorson. Jest ranny i potrzebuje uzdrawiającego błogosławieństwa bogini Desirii.

Skylan usłyszał kroki, potem w drzwiach pojawiła się niewielka szpara, przez którą wyrzała Treia.

– Nie mogę mu pomóc – rzuciła kapłanka, zamykając drzwi.

– Siostrzyczko! Spójrz tylko na niego! – zawołała Aylaen i przytrzymując drzwi, wskazała na Skyłana. – Widzisz, w jakim jest złym stanie...

Treia omiotła go krótkowzrocznym spojrzeniem.

– Nic nie mogę zrobić – powtórzyła i zatrzasnęła drzwi.

– Twoja siostra nigdy mnie nie lubiła – poskarżył się Skylan. – Nie mam pojęcia dlaczego. Nigdy nie zrobiłem jej nic złego.

Aylaen stała wpatrzona w zamknięte drzwi, a oczy zaszyły jej mgiełką.

– To nie chodzi o ciebie – szepnęła. – Bogowie płaczą. Aylis z rozpaczry chowa twarz w dłoniach. Akaria zawodzi i rwie włosy z głowy...

– Aylaen! – huknął na nią Skylan.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona.

– Co takiego?

– Nie jesteś wieszczką i nie czas na takie bajanie – syknął zniecierpliwiony. – Wyrośliśmy już ze zmyślania. A poza tym – dodał, marszcząc brwi – to może obrazić bogów. Wymyślanie takich bujd świadczy o braku szacunku.

– Nie miałam złych intencji. Lubię myśleć o nich jak o rodzinie. – Z twarzy Aylaen zniknął uśmiech. – Nie mojej oczywiście. Ale rodzinie, w której wszyscy kochają się i szanują.

Skylan z trudem wstał, zaciskając dłoń na udzie.

– Porozmawiam z twoją siostrą – oświadczył i ruszył w stronę drzwi.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – zaprotestowała pospiesznie Aylaen. – Ale mam inny. Matka Sowa mieszka tu niedaleko...

– Ta stara wiedźma? Mniejsza z tym zresztą. Czuję się już znacznie lepiej. Muszę wracać do wsi. Garn może w każdej chwili potrzebować mojej pomocy...

Zrobił krok, zachwiał się i upadł na kolana. Aylaen rzuciła się ku niemu i chwyciła go w pasie.

– Zarzuć mi rękę na ramię – rozkazała.

Nie miał siły się klócić. Zrobił, jak kazała.

Aylaen chwyciła go mocno i dopiero z jej pomocą był w stanie się podnieść. Poczuł jej miękkie piersi pod wełnianą szatą, jej twarde uda, ruchy jej mięśni. Zapłonął pożądaniem.

Była wyższa niż przeciętna kobieta. Była też silna, ponieważ od dziecka pracowała na gospodarstwie. Bez trudu podtrzymywała Skylana. Połaskotały go w policzek jej rude loki – tak inne od tych jedwabistych jasnych włosów, które mieli wszyscy w jej rodzinie.

Zresztą poza nią żaden Torgun nie miał rudych włosów. Chodziły słuchy, że jej ojcem bynajmniej nie był mąż jej matki. Może był to jeden z powodów, dla których Sigurd nie przepadał za swoją bratową.

– Matki Sowy nie będzie w domu – wycharczał Skylan rozdarty między nieznośnym bólem i pożądaniem. – Przecież na pewno uciekła w góry razem z innymi kobietami.

Ostatni raz był tak blisko Aylaen, gdy byli dziećmi i o coś się szamotali. Bogowie wiedzą, jak bardzo chciał ją wziąć w ramiona! Nigdy jednak nie odważył się jej nawet dotknąć, co było dość dziwne, bo nie miał takich zahamowań względem innych dziewcząt, które mu wpadły w oko.

Nadal mógł w nich zresztą przebierać, ale nie chciał żadnej; tylko Aylaen. Myślał o niej bez ustanku, śnił o niej po nocach, budził się z jękiem tęsknoty na ustach. Całymi godzinami zastanawiał się, co mógłby takiego powiedzieć, by jej oczy rozpałił ogień namiętności. Tymczasem, gdy tylko otwierał usta, Aylaen zaczynała się śmiać, udając, że nie rozumie, o co mu chodzi.

Przecież rozumiała. Co do tego nie miał wątpliwości. Był pewien, że pragnie go równie mocno jak on jej. Kobiety lubią się tak droczyć, bawić się z mężczyznami, jak lisiątka bawią się martwym królikiem.

Zwolnił.

– Odpocznijmy chwilę. Będziemy sami... tak tu zacisznie... – Przycisnął ją mocniej do siebie.

– Już i tak zostawiłam siostrę na zbyt długo – odpowiedziała Aylaen. – Co do Matki Sowy, na pewno będzie w swojej zagrodzie. Nigdy nie opuszcza swoich zwierząt. To już bardzo niedaleko, bracie...

– Nie nazywaj mnie tak! – rzucił ostro Skylan.

– Dlaczego nie? – spytała z łobuzerskim błyskiem w oku. – Jesteś dla mnie jak brat.

– Nie chcę, żebyś tak o mnie myślała! – zdenerwował się. – Jesteś moją narzeczoną. Wkrótce będziesz moją żoną.

– Po co ci żona? I tak masz już za dużo kobiet – zakpiła.

– Nie spałem z żadną od dwóch lat!

Aylaen otworzyła oczy jakby ze zdumienia.

– Niemożliwe – naigrawała się.

Skylan machnął ręką z lekceważeniem.

– Nie chcę żadnej. Pragnę tylko ciebie.

– Żartowałam.

– Ja nie.

Aylaen spłoniła się i spuściła wzrok.

– Skylan, jest coś, o czym muszę ci koniecznie powiedzieć...

– Stać! – ryknął ktoś. – Jeszcze jeden krok, a poszczuję was wilkami!

Jakby na potwierdzenie tej groźby rozległo się ciche warczenie. Skylan odruchowo sięgnął po nóż.

– Chodźmy stąd! – syknął, ale Aylaen zignorowała go po prostu. Jak zwykle.

– Matko Sowo, to ja, Aylaen. Jest tu ze mną Skylan Ivorson. Walczył z dzikiem. Jest ciężko ranny. Potrzebuje twojej pomocy.

– Niech się nim zajmują bogowie – padła pełna wzdury odpowiedź. – Nie mam czasu na bzdury.

– Matko Sowo, pewnie jeszcze nie wiesz, ale do wsi przypląnęły okręty ogrów i...

– Wiem już o ograch. Wrony mi powiedziały. A co to ma niby do rzeczy?

Aylaen i Skylan wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ogry mówią, że w niebie była wielka bitwa, Matko Sowo – zaczęła wyjaśniać Aylaen.

– Mówią, że nasi bogowie zostali pokonani...

Ale jej słowa nie wywołały żadnej reakcji.

– Idziemy stąd – powtórzył zirytowany Skylan. Aylaen pokręciła głową, co rozzłościło go jeszcze bardziej.

– Powiedziałem: idziemy.

– A ja ci mówię, że nigdzie nie idziesz! – wrzasnęła, wściekle potrząsając płomienną grzywą. – I nie mów mi, co mam robić, Skylenie Ivorsonie. Nikt mi nie będzie rozkazywał. A gdybyś zapomniał, przypominam ci uprzejmie, że jutro być może będziesz musiał walczyć. Spójrz tylko na siebie! Nie jesteś nawet w stanie przejść sam kilku kroków!

Skylan nabrał powietrza, żeby jej odpowiedzieć. Przez głowę znów mu przemknęło, że nawet Torval nie radzi sobie czasem ze swoimi kobietami.

– Niech syn Norgaarda podejdzie tutaj – zgodziła się nagle Matka Sowa, nie ukrywając niechęci do Skyłana.

Aylaen chciała mu pomóc, ale odepchnął ją.

– Sam sobie poradzę. Czekać tu na mnie.

Znów jednak nie posłuchała jego rozkazu. Gdy się obejrzał, zobaczył, że idzie za nim, jak gdyby nigdy nic. Pokręcił głową. Po ślubie będzie inaczej. Już on tego dopilnuje.

Wyszedł z lasu na polanę. Tu zatrzymał się i rozejrzał nieufnie, zachodząc w głowę, gdzie podziela się ta staruszka i – co najważniejsze – co zrobiła z wilkami. Nigdy jeszcze nie był w domu Matki Sowy. Nie musiał. Desiria, bogini życia, zawsze darzyła go przychylnością i udzielała swego błogosławieństwa. Teraz poczuł falę złości na boginię za to, że zmusiła go właściwie do uciekania się do czarów.

Pośrodku polany stał długi dom. Mały, ale solidny i przytulny. Był tu też duży, zadbane ogród. Na trawie obok pasło się spokojnie sześć saren. Na widok Skylana uciekły natychmiast, ledwie udało mu się zobaczyć ich białe ogonki.

Sześć saren! A oni z Garnem spędzili całe dni na szukaniu zwierzyny i nie trafiła im się ani jedna. Po podwórzu przechadzały się kaczki. Kury dziobały w ziemi. Ptaki świergotały nad głową.

Matki Sowy nigdzie nie było widać, ale drzwi do domu stały otworem. Gdy Skylan podszedł bliżej, zobaczył za domem zagrodę ze zwierzętami. W jednej stało ciele z bandażem na nodze i wielce żalną miną; w drugiej – dwie kozy. Wszyscy wiedzieli, że Matka Sowa umie leczyć zwierzęta. Ludzie ze wsi albo ślali po nią, albo po prostu przyprowadzali jej chore stworzenia. Kot bez ucha przemknął koło płotu, potem zatrzymał się, by polizać łapkę i pogapić się na Skylana, który jednak chyba nie zrobił na nim wrażenia. Aylaen przystanąła tuż za Skylanem.

– Wracaj do wsi, dziewczyno! – wrzasnęła Matka Sowa z wnętrza domu. – Nie potrzeba nam tu ciebie. To sprawa między mną a synem Norgaarda.

Aylaen spojrzała niepewnie na Skylana.

– Poradzisz sobie? – spytała.

– Oczywiście. Wracaj do siostry.

– Nie wściekaj się na mnie, Skylan – szepnęła i pocałowała go w policzek jak siostra, po czym odwróciła się na pięcie i poszła tą samą ścieżką, którą przyszli.

Skylan patrzył za nią, póki nie zniknęła wśród drzew. Wtedy spojrzał na zagrodę Matki Sowy. Nikogo nie zobaczył. Zaczynał się już naprawdę niecierpliwie; rany piekły i pulsowały.

– Odłóż nóż – odezwała się wreszcie Matka Sowa. – I wejdz do środka.

Skylan posłusznie upuścił nóż na trawę i wszedł do ciemnego wnętrza wprost z jasnego światła słonecznego. Oślepiony tą zmianą mało nie nadepnął na potężnego wilka wylegującego się na podłodze. Zwierzę zerwało się, zjeżyło sierść, warknęło. Skylan cofnął się i potknął.

Gdzieś z ciemności dobiegł cichy chichot.

– Wilk nic ci nie zrobi. Póki mu nie rozkażę. Tylko nie rób żadnych raptownych ruchów i nie patrz mu prosto w oczy.

Skylan jednak nadal nie widział staruszki.

– Nie stój tam tak, synu Norgaarda – zaczęła go strofować Matka Sowa. – Nie mam czasu do stracenia, nawet jeśli ty masz go w nadmiarze. Chodź do kuchni. Niech ci się przyjrzę.

Kątem oka bacznie obserwując wilka, Skylan ruszył w stronę, z której dobiegał go głos. Wszedł do drugiego pomieszczenia. Matka Sowa stała przy wielkim palenisku i mieszała coś w żeliwnym garze.

Była stara. Była najstarszą osobą we wsi. Twierdziła, że widziała już siedemdziesiąt zim, i wszyscy jej wierzyli. Jej włosy były śnieżnobiałe. Splatała je w długie warkocze, które sięgały jej aż do pasa. Miała na sobie płócienną koszulę i prosty, wełniany fartuch związany pasem. Jej haczykowaty nos, przeszywające spojrzenie i zgarbione plecy sprawiały, że sama wyglądała jak sowa, choć nie stąd wzięło się jej imię. Nazywano ją Matką Sową ze względu na jej szczególnie dar porozumiewania się ze zwierzętami.

– Siadaj – powiedziała i zakrzywionym paluchem wskazała mu zydel na trzech nogach.

Skylan musiał najpierw przegonić siedzącą tam wiewiórkę, która czmychnęła przez podłogę i wspięła się na krokiew. Usiadł i rozejrzał się niepewnie po zacienionym pomieszczeniu, zastanawiając się, jakich jeszcze stworzeń może się tu spodziewać. Ludzie mówili, że Matka Sowa zadaje się z leśnym ludkiem.

Najwyraźniej była jednak sama. Żaden gnom nie wystawiał gęby spod łóżka; żaden chochlik nie hasał wokół ognia. Jeden z rogów pokoju zakryty był grubym gobelinem zwisającym z krokwi. Tu i ówdzie przetarty i postrzępiony wyglądał na bardzo stary. Skylan przyjrzał mu się z większą uwagą, bo przedstawiał bitwę między wojownikami w niezwykłych zbrojach.

Matka Sowa pochyliła się nad nim i zaczęła oglądać jego ranę. Wąchała ją i uciskała palcami, nawet nie siląc się na delikatność. Zaciśnął zęby i starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo go boli, ale wyrwały mu się jedno czy dwa stęknięcia.

W końcu Matka Sowa się wyprostowała.

– Dobrze, że użyłeś balsamu. Rana dobrze się goi. Płucz ją codziennie w morskiej wodzie, smaruj balsamem, jedz czerwone mięso, bo straciłeś dużo krwi, i zostań w łóżku przez trzy dni. Jeśli zrobisz to wszystko, nie powinieneś mieć z nią dużo problemów.

– Dziękuję, Matko Sowo – rzekł z szacunkiem Skylan. – Ale nie mam trzech dni. Palimy już ogień, by wezwać Heudjunów na pomoc. Jutro będzie bitwa z ogrami i muszę poprowadzić Torgunów na wojnę.

Matka Sowa stała nad nim z zaciśniętymi ustami. Patrzyła.

– Chcesz więc czarów – stwierdziła w końcu.

Nie za bardzo, pomyślał Skylan, ale najwyraźniej nie ma innego wyjścia.

– Nie jestem pewien – powiedział ostrożnie. – A na czym by to polegało?

– Czary nie są za darmo – oświadczyła staruszka, krzyżując ramiona na piersiach.

Skylan zasepił się. Miał kilka sztabek srebra i kilka monet, ale odkładał je na wiano, które będzie musiał zapłacić za Aylaen.

– Nie chcę twojego srebra – wydrwiła go, widząc, że się waha. – Musisz tylko przyrzec mi, że będziesz pracował dla mnie przez jeden dzień, bez względu na to, o co cię wtedy poproszę. Nie rób takiej miny – dodała z szyderczym uśmiechem. – Przecież nie każe ci tańczyć ze mną nago przy świetle księżyca.

Skylan zaczerwienił się po same uszy i zapomniał języka w gębie. Nie chciał być nieuprzejmy, ale ta wizja wydała mu się wyjątkowo odrażająca.

Matka Sowa roześmiała mu się w twarz.

– W moim wieku potrzebuje się mężczyzny tylko do jednego: żeby pomógł przy gospodarstwie. Trzeba narąbać drwa, naprawić zagrody i...

– Będę dla ciebie pracować, Matko Sowo – przyrzekł pospiesznie Skylan. Chciał mieć to już jak najszybciej za sobą.

– Dobrze więc. Zrobię co w mojej mocy. Czary to metoda niepewna i ryzykowna. Niczego nie obiecuję.

Matka Sowa podeszła do zakrytej gobelinem części pokoju. Nałożyła dużą skórzaną rękawicę i odsunęła tkaninę. Obróciła się w stronę Skylana.

– Teraz nie możesz nawet drgnąć – ostrzegła. – Cokolwiek się stanie, nie mów nic i nie krzycz. To młoda sztuka i łatwo się płoszy.

Zniknęła za gobelinem. Usłyszał jakieś piski, jakby poirytowane, potem głos Matki Sowy, która coś szeptała cicho, uspokajająco, niemal z czułością. W końcu wyszła zza tkaniny. Na jej rękawicy siedział olbrzymi ptak. Skylanowi wydało się początkowo, że to największy jastrząb, jakiego w życiu widział.

Matka Sowa podeszła bliżej, tak że na ptaka padło nieco światła.

Wtedy Skylan tak się zdumiał, że zerwał się z zydelka, po czym przypomniał sobie poniewczasie, że miał nie robić żadnych raptownych ruchów. To nie był ptak. Była to wiwerna. Spłoszona nagłym poruszeniem Skylana odrzuciła łeb, zamachała skrzydłami i wrzasnęła przeraźliwie.

– Mówiłam ci, żebyś się nie ruszał, głupcze! – syknęła przez zęby Matka Sowa.

Skylan zamarł i usiadł ostrożnie, choć wszystkie jego mięśnie drżały od tego wysiłku. Lubił sobie wyobrażać, że niczego się nie boi. Ale tym razem miał do czynienia z magią. Nawet najdzielniejszy wojownik ma prawo poczuć lekki niepokój na widok istot, które były stare, gdy sami bogowie byli jeszcze młodzi. Poczul ucisk w żołądku.

Wiwerna wpatrywała się w niego czerwonymi ślepiami. Jej gadzie łuski połyskiwały pomarańczowo w świetle paleniska. Skrzydła z błony rozciągniętej między cienkimi kośćmi były tak delikatne, że prześwitywało przez nie światło. Długi ogon owinęła o nadgarstek Matki Sowy, a pazurami wbiła się w skórzaną rękawicę.

Wydawała się niezwykle podobna do smoków, ale Skylan dobrze wiedział, że nie ma tu żadnego pokrewieństwa. Przywykł do smoków, które od dawna były sojusznikami Vindrasów. Kość ducha wielkiego smoka Kahg wisiała na gwoździu wbitym w maszt ich smoczego okrętu. Była z nimi na każdej wyprawie, tak by poprzez modły Kapłanki Kości mogli wezwać smoka, który przybierał wtedy formę cielesną i stawał do walki przy boku Skylana.

Smoki były niezwykłymi, inteligentnymi istotami obdarzonymi cudownymi mocami. Zesłała je Vindrasm Smokini Vindrash, małżonka Torwała.

Vindrasi wierzyli, że wiwerny to istoty ulepione z magii jako swoista parodia smoków. Wiwerny należały do Nethervoldu, mrocznego świata leśnych stworzeń. Większość ludzi nie była w stanie zobaczyć Nethervoldu, ale byli i tacy, jak na przykład Matka Sowa, którzy poznali sztukę uchylania zasłony utkanej z księżycowego światła i gwiazdowego pyłu, oddzielającej te dwa światy. Teraz najwyraźniej uchyliła jej dla Skylana, a on zaczął żałować, że w ogóle do staruchy przyszedł.

– Na mnie już chyba czas... – zaczął ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Nie ruszaj się i siedź cicho – rozkazała Matka Sowa. – Inaczej oboje zginiemy przez twoją głupotę.

Wciąż trzymając wiwernę na rękawicy, Matka Sowa umoczyła palce we krwi Skylana, a potem wyrysowała runę na jego czole i podobną na swoim. Położyła rękę na czole Skylana i zaczęła nucić.

Nuciła głośniejsze i głośniejsze, wciąż tę samą irytującą nutę, która wydobywała się z głębi jej ciała. Na ten dźwięk wiwerna zamknęła ślepią. Wyraźnie była zachwycona. Złożyła skrzydła wzdłuż boków, rozluźniła pazury i sama zaczęła wydawać jakiś dźwięk – wysokie, zawodzące wycie, od którego bolały uszy.

Skylan natychmiast rozboleła głowa, ale poza tym nie czuł żadnej różnicy. Był rozczarowany i zły. Cały jego strach i niepokój na nic, a w dodatku zobowiązał się do pracy dla tej staruchy...

Nagle magia uderzyła go z mocą rozpalonego żelaza. Próbował znieść tę mękę jak wojownik ale nie był w stanie. Upadł na podłogę, wijąc się z bólu, i w końcu zemdłał.

Obudził się, strasznie się czymś krztusząc. Matka Sowa pochylała się nad nim i gdy zobaczyła, że dochodzi do siebie, wyciągnęła mu z ust gałgan.

– To żebyś nie połknął języka – wyjaśniła.

Skylan rozejrzył się nerwowo w poszukiwaniu wiwerny, ale nigdzie jej nie było. Odwrócił się w stronę tkaniny i zobaczył, że znów jest zaciągnięta. Z ulgą opadł z powrotem na podłogę, biorąc głęboki oddech, i nagle doszło do niego, że już nie czuje bólu. Usiadł i popatrzył na swoją ranę.

Gdy spał, Matka Sowa obmyła mu krew. Rana się zasklepiła. Długi, poszarpany obrzęk był delikatny w dotyku. Ale Skylan nie czuł już tamtej słabości. Skoczył na równe nogi z radości i od razu pożałował tak nagłego ruchu. Gdy z całych sił stąpnął na nogę, rana bolała jeszcze. W przyszłości musi pamiętać, żeby jednak polegać na błogosławieństwie Desirii, ale przynajmniej ma teraz dość siły, by walczyć jutro z ogrami.

– Dziękuję, Matko Sowo – powiedział i z wdzięczności ucałował ją w pomarszczony policzek.

Matka Sowa zachichotała i pogroziła mu palcem.

– Nie próbuj mnie teraz uwodzić. Nie mam czasu. Ty też już lepiej idź, bo się spóźnisz.

Skylan wyjrzał za jedyne w domku okno i ze zdumieniem stwierdził, że zapadła już noc, a gwiazdy świecą jasno.

– Mamy dziś wielką ucztę, Matko Sowo – powiedział. – Zabiłem dzika i pieczemy go na ogniu. Będę zaszczycony, jeśli i ty przyjdiesz.

– Ostatnio w ogóle nie jadam mięsa – odparła, podnosząc miskę pełną wody. – Mój organizm już go nie trawi.

– Daj, ja poniosę – zaoferował się Skykan i wziął misę z jej rąk. Zaniósł ją za drzwi i wylał wodę na trawę. Była czerwona od jego krwi. – Jutro będzie bitwa – powiedział na odchodnym. – Oczywiście ją wygramy, ale może nie jest tu zbyt bezpiecznie. Powinnaś iść w góry.

Matka Sowa uśmiechnęła się i wskazała kciukiem kąć zasłonięty tkaniną.

– Moi przyjaciele mi pomogą – stwierdziła, nie ukrywając samozadowolenia. – Już ty się martw o siebie, młody Skykanie.

– To tylko ogry.

– Tylko ogry. – Matka Sowa uśmiechnęła się szyderczo. – Nić twojego wyrdu przerwie się tej nocy, Skykanie.

Popatrzył na nią przerażony. Gdy przerywa się wyrd, człowiek umiera.

Dźgnęła go palcem w klatkę piersiową.

– Jutro twój wyrd zacznie się snuć na nowo. Postaraj się go nie poplątać.

Odwróciła się i zniknęła w kuchni. Stał tak chwilę, zastanawiając się, co miała na myśli. To wszystko zupełnie nie miało sensu.

– Szurnięta starucha – mruknął.

– Mało bym nie zapomniała! – wrzasnęła za nim Matka Sowa. – Uszanuj moje tajemnice, młody człowieku, i nie mów nikomu o tym, co się tu wydarzyło.

– Nikomu nie powiem, Matko Sowo – obiecał. Wolałby już nigdy o tym nie myśleć, a co dopiero jeszcze komuś o tym opowiadać. – Przysięgam na Torvala.

– Na Torvala! – prychnęła Matka Sowa. – Też coś. On ma dość swoich kłopotów. Co mi przypomina o tym, że czas już na ciebie. Koło się toczy.

Na nocnym niebie wyraźnie było widać jasne światło.

Torgunowie rozpalili ognisko.

Rozdział 5

Po drugiej stronie fiordu Gymir, w Vindraholmie, vektyjska Kapłanka Kai, Draya, padła na kolana przed posązką Smokini i zalewając się łzami, błagała o jakiś znak.

Wielka Świątynia w Vindraholmie stanowiła serce całego narodu Vindrasów. Zbudowano ją wiele lat temu, w czasach ich świetności, i stanowiła niewątpliwie jeden z cudów świata. Zaprojektowana przez samego Wodza Wodków Beocika Sundgridra Wielka Świątynia zbudowana była w kształcie smoczego okrętu, z tą jednak różnicą, że ten olbrzymi „okręt” miał aż dwa dzioby, a na każdym widniała głowa straszliwego smoka. Wielka Świątynia stała na wzniesieniu. Jedna głowa spoglądała w morze, druga – w głąb lądu. Mawiano, że w ten sposób Vindrasi są strzeżeni z każdej strony.

Na zewnętrznych ścianach Wielkiej Świątyni namalowane były kolorowe tarcze wszystkich klanów Vindrasów w takiej kolejności, w jakiej wisiałyby na burtach smoczego okrętu. Dach zrobiony był nie ze strzechy, ale z drewna, i podłogi też były drewniane, tak jak pokład statku.

W pozbawionym okien wnętrzu panowały ciemności. Tylko w suficie nad paleniskiem znajdował się otwór, przez który wpadało światło bogini słońca Aylis, błogosławiąc świątynię. W zimie Kapłanka Kai rozpałała sobie niewielki ogień, żeby było jej ciepło przy pracy. Przydałby się jej teraz. Dzień był wprawdzie ciepły, ale słońce zaszło zbyt szybko – bogini skryła jasną twarz za chmurami. Powietrze w świątyni było chłodne, a Draya drżała mimo swych ciężkich szat.

Mogłaby wezwać jedną z akolitek i nakazać jej rozpalenie ognia. Wiedziała jednak, że to na nic, a w dodatku co by sobie pomyślała dziewczyna, gdyby Draya poprosiła ją o ogień w środku tak niezwykle upalnej wiosny? To nie zimno trzęsło ciałem kapłanki, gdy składała dłonie w błagalnym geście. To strach. To strach napełniał jej oczy łzami, które sprawiały, że posązek Vindrash zamazywał się w słabym świetle. To strach chwycił Drayę za gardło, gdy łkając, prosiła boginię, by przerwała tę straszną ciszę i odezwała się wreszcie do swej oddanej służki.

Posązek Vindrash, Smokini, stał na samym środku Wielkiej Świątyni. Wyrzeźbiony z rzadkiego egzotycznego kamienia zwanego nefrytem, był półprzezroczysty, szmaragdowozielony. Starannie dopracowany co do każdej pojedynczej łuski smoczego ciała

miał dwa rubiny zamiast oczu i kły z kości słoniowej. Już choćby dlatego stanowił wyjątkowo cenny przedmiot, ponieważ ani nefryt, ani kość słoniowa nie występowały w tej części świata.

Posązek przywiózł do Vindraholmu ten sam wódz, który zaprojektował Wielką Świątynię – legendarny wojownik Beocik. Gdy zbudowano świątynię, przysiągł, że opłynie świat w poszukiwaniu doskonałego wizerunku Vindrash, bogini opiekującej się jego ludem. Wyruszył na swym smoczym okręcie z trzydziestoma wojownikami. Mijały lata, a oni nie wracali. W końcu wszyscy pogodzili się ze smutną myślą, że Beocik zaginął. Wtedy nagle pewnego poranka do zatoki wpłynął smoczy okręt. Nie było na nim załogi. Prowadził go duch smoka, a na pokładzie znajdowało się ciało wodza owinięte całunem i okryte tarczą oraz cudowny posązek.

Posązek był długości ramienia, bardzo ciężki i tak cenny, że z myślą o nim zrobiono specjalną skrytkę – dużą dziurę w ziemi pod podłogą Wielkiej Świątyni. W chwili zagrożenia można było spuścić statuetkę w otwór pod podłogą i zakryć klepkami. To ze względu na tę skrytkę Wielka Świątynia była jedynym w Vindraholmie budynkiem o drewnianej podłodze.

Draya wpatrywała się w rubinowe oczy posązka.

– Vindrash – szeptęła głosem ochryplym od wielodniowego błagania. – Daj mi znak. Powiedz, jeśli czymś cię obraziłam. Jeżeli tak, wybaczone, nie chciałam. Zrobię, co zechcesz, żeby ci to wynagrodzić. Zniosę każdy ból, każdą karę, ale przemów do mnie. Nie wytrzymam dłużej tej ciszy!

Dawniej, gdy Draya dopiero zaczynała swoją posługę jako Kapłanka Kai, szła na modlitwę z radością w sercu jak na spotkanie z drogą przyjaciółką. Łączyła ją z boginią specjalna, niezwykle bliska więź. Inne Kapłanki Kai stawiały ambicję czy umiłowanie władzy ponad wiarę, ale Draya była w pełni oddana i szczerą w swej posłudze. Całe życie poświęciła bogini, a ta nagrodziła ją hojnie, przemawiając do swej służki niemal codziennie.

Mijały lata i nastały ciężkie czasy dla Vindrasów. Bogini przychodziła coraz rzadziej. Draya winiła za to siebie. Była zbyt nachalna, wciąż zasypywała boginię jakimiś prośbami, wypraszała wstawianie się za Vindrasami u innych bogów: a to żeby Svanses złagodziła ostrą zimę, a to żeby Akaria zakończyła już letnie susze. W końcu wyczuła smutek i bezradność Vindrash i przestała prosić o takie rzeczy. Gdy bogini przychodziła, nie mówiły już nic. Pocięły się wzajem w ciszy.

Teraz jednak minęły już dwa tygodnie, odkąd Vindrash ostatni raz ukazała się Draii. Kapłanka spędzała całe dni i niemal całe noce w świątyni, zaniedbując inne obowiązki i zabraniając dostępu do siebie wszystkim – nawet Kapłankom Kości, nawet akolitkom.

Nie powiedziała nikomu o milczeniu bogini. Zachowała sekret bogini, tak jak zachowywała własne tajemnice. Draya była przecież Kapłanką Kai, a to pozycja, której zazdrości niejedna kobieta. Gdyby znały prawdę, litowałyby się nad nią, a Draya była zbyt dumna, by pozwolić innym zobaczyć swoje cierpienie.

Trzydzieści lat temu, gdy zmarła poprzednia Kapłanka Kai, siedemnastoletnia Draya została wybrana przez Zgromadzenie Kai na nową przywódczynię. Kapłanki przedstawiły swój wybór bogom i Draya otrzymała jednoznaczny znak ich przychylności – tej nocy z nieba spadła gwiazda (jedna z Kapłanek Kości utrzymywała wprawdzie, że spadająca gwiazda oznacza nieszczęście, a nie przychylność bogów, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że po prostu sama chciała zająć to stanowisko, więc nikt nie zwracał na nią uwagi).

Draya była wniebowzięta, a jej radość dopełniła się w dniu, gdy wyszła za Horga Thekksona, Wodza Wodzów. Nie miała wyboru – Kapłanka Kai zawsze wychodziła za Wodza Wodzów. Ale Draya nie miała nic przeciwko temu. Zdawało jej się nawet, że jest zakochana w dzielnym i przystojnym wodzu.

Horg Thekkson miał wtedy trzydzieści lat i mimo tak słusznego wieku nadal był silny, odważny i mądry. A przynajmniej taki się wydawał siedemnastolatce, która niewiele wiedziała o życiu i cały czas spędzała na służeniu bogom. Niestety, szybko się przekonała, jak bardzo się myliła: Horg nie był mądry – był cwany, nie był odważny – był bezczelny, nie był mężczyzną honoru – był tyranem.

Już w pierwszą noc po ślubie dał jej jasno do zrozumienia, że jej nie kocha ani nie pożąda. Lubił pulchne kobiety o obfitym biuście, a Draya była jak dla niego zdecydowanie za chuda. Horg miał już jednak trzydzieści lat, a nadal nie urodził mu się syn. Więc choć jej nie lubił, traktował swą żonę jak klacz zarodową, kopulując z nią co noc, by potem zostawić ją i spędzić pozostały czas z kolejnymi konkubinami. Draya także pragnęła dziecka, więc znosiła to brutalne traktowanie bez skargi.

Mijały jednak miesiące, a ona wciąż nie była w ciąży. Horg winił za to ją. Sama zresztą czuła się winna, póki – upokorzona jego oskarżeniami – nie zaczęła dyskretnie podpytywać tu i tam. Szybko odkryła, że Horg nigdy nie spłodził żadnego dziecka, choć miał liczne konkubiny. Życie Draii było ciężkie, ale posługa bogini dawała jej wspaniałe pocieszenie. Potem, po dwóch latach małżeństwa, Horg został ranny w bitwie.

Rana zadana włócznią nie była poważna i gdyby przyszedł do Draii i poprosił ją o błogosławieństwo Desirii, zagoiłaby się w dzień czy dwa. On jednak publicznie ją odrzucił, opowiadając na lewo i prawo, że nie ufa bogom, którzy dali mu bezpłodną kobietę za żonę. W końcu leczyła go jedna z jego rozlicznych kochanek, która utrzymywała, że zna się na magii. Jeśli się znała, to nie najlepiej. Rana zaogniła się. Horga trawiła gorączka. W końcu ozdrowiał, ale rana zostawiła nieodwracalne blizny na jego ciele i duszy.

Wtedy zaczął pić mocny cydr, jakoby dla uśmierzenia bólu. Przynajmniej jednak zaprzestał już starań, by dać Draii dziecko. Nie uprawiał już z nią seksu. Zamiast tego zaczął ją bić.

Winił ją i jej bogów za wszystkie swoje problemy i za niedole narodu Vindrasów. Twierdził, że stracił wiarę. Draya podejrzewała, że jest to tylko wymówka, by się nad nią znęcać. Nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało. Draya natomiast nie traciła

wiary, choć często nie otrzymywała odpowiedzi na swoje modlitwy. Niczym żeglarz zmyty z pokładu kurczowo trzymała się swej wiary jak ostatniej deski ratunku.

Westchnęła głęboko i usiadła na ziemi, ze smutkiem wpatrując się w posążek. Zawsze czuła się bliższa bogom niż ludziom i jeśli teraz straciła zaufanie i miłość bogini, to tak, jakby straciła ostatni powód do życia.

Usłyszała podniesione głosy. Jacyś mężczyźni krzyczeli coś pod świątynią. Pochłonięta rozmyślaniami o swoich smutkach nie zwracała na nich uwagi. Dopiero gdy jedna z jej akolitek zawołała ją po imieniu, wstała.

– Drayu! Kapłanko! Jesteś tam?

Przemknęła jej przez głowę pełna irytacji myśl, że dziewczynka powinna przecież po prostu wejść tu do niej, ale po chwili przypomniała sobie, że zabroniła im dostępu do siebie. Akolitka zajrzała niepewnie do środka. W dłoni trzymała pochodnię i Draya uświadomiła sobie, że siedzi w zupełnej ciemności.

– Kapłanko? – zawołała znów dziewczynka.

– Tu jestem – odpowiedziała Draya. – Poczekaj chwilę. Zapalę świece.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest tak późno. Świece na ołtarzu powinny być zapalane o zachodzie słońca. Płomień żagwi odbijał się blaskiem w rubinowych oczach posągu. Draya spojrzała nań i zamarła z dłońmi w powietrzu, urzeczona tym czerwonym spojrzeniem. Rubinowe oczy patrzyły na nią, jakby były żywe. Ale spojrzenie nie było ciepłe i zachęcające. Oczy wydawały się zimne i ostre – jak kłujące światło czerwonej gwiazdy.

Draya patrzyła w nie tak długo, że zapomniała o płonącej żagwi trzymanej w dłoni. Ogień ogarnął już całe drewno i poparzył jej palce. Jęknęła z bólu, upuściła je na ziemię i odwróciła się w stronę akolitki. Wciąż czuła na sobie wzrok statuetki.

– Tak, dziecko, cóż tam? – spytała.

Dziewczynka była jedną z młodszych akolitek, miała może dziesięć lat. Stała zasapana i przejęta.

– Kłopoty, Kapłanko! – wysapała. – Torgunowie wzywają pomocy. Zapalili ognisko!

Było to rzeczywiście bardzo niepokojące. Ognisko rozpalano tylko w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa, takiego jak plaga, powódź czy najazd wroga.

– Czy powiadomiono o tym Horga? – spytała natychmiast Draya. – Czy wódz już wrócił? Czy wie o wszystkim?

Horg wyruszył przed kilkoma dniami, mówiąc, że jedzie z wizytą do sąsiedniego klanu. Wódz Wodków obowiązany był podróżować od klanu do klanu, by wysłuchiwać skarg i rozsądzać spory, zanim doprowadzą do rozlewu krwi. A między klanami wciąż wybuchały jakieś zatargi – o przesunięcie kamienia granicznego, o kradzież bydła czy oszustwo w ustaleniach małżeńskich.

Do obowiązków Horga należało ich uśmierzenie, nim przerodzą się w wojnę. Draya wiedziała jednak od swoich kapłanek, że Horg zupełnie nie wywiązywał się z tego zadania.

Podróżowanie od klanu do klanu uważał po prostu za świetny pretekst do pijackich hulanek i spania z każdą nieszczęsną kobietą, która była wystarczająco naiwna, by myśleć, że coś na tym zyska.

Nieudolność Horga jako wodza oznaczała, że naród Vindrasów był skłócony, a przez to osłabiony. Większość wodzów dawno już straciła dla niego szacunek, choć starała się to ukrywać. Horg był może zbyt słaby, by się do czegokolwiek przydać, ale wystarczająco silny, by poważnie zaszkodzić.

– Wódz Wodzów już wrócił – zameldowała dziewczynka – i poszedł na Skałę Torwała, żeby zobaczyć ogień na własne oczy.

– Czy to on posłał po mnie?

– Nie, Kapłanko – odpowiedziała z dziecięcą szczerością akolitka. – Niektórzy pytali, czy przyjdiesz, a wtedy wódz powiedział, że modlisz się i nie wolno ci przeszkadzać i że on sam sobie z tym poradzi, ale Kapłanka Fria powiedziała, żebym jednak po ciebie pobiegła. – Na widok mimowolnego grymasu Dray dziewczynka się spłoszyła. – Czy źle postąpiłam, Kapłanko? – spytała niepewnie.

– Nie, moje dziecko, postąpiłaś zupełnie słusznie – odrzekła Draya i zmusiła się do fałszywego uśmiechu. Była w tym coraz lepsza.

Wzięła od dziewczynki pochodnię, by zapalić od niej swoją. Już miały wyjść ze świątyni, już zamykała drzwi, gdy ktoś wyszeptał jej imię.

– Tak, moje dziecko? – spytała Draya.

– Nic nie mówiłam – odpowiedziała dziewczynka.

Świątynię wypełniło czerwone światło. Rubinowe oczy bogini płonęły. Draya mogłaby przysiąc, że słyszy sduiony krzyk:

– Spiesz się, Drayu! Spiesz!

Zrobiła więc, co jej nakazała bogini, idąc tak szybko, jak tylko było to możliwe przy skąpym świetle pochodni. Cieszyłaby się jak dziecko z tego, że wreszcie przemówiła do niej ukochana bogini, gdyby nie to, że ten głos aż drżał ze strachu.

Vindrahalm, stolica ludu Vindrasów, był dużym miastem – znacznie większym niż Luda, a klan Heudjunów, który miał zaszczyt stać na straży stolicy, był potężniejszy i bogatszy od Torgunów. Ale nawet Heudjunom dała się już we znaki ostra zima i sucha wiosna.

Gdy Draya szła śpiesznie ulicami, minęła przycupniętą pod domem młodą kobietę o zapadniętych oczach i trupio bladej twarzy. Draya znała ją. Ta kobieta straciła niedawno pierwsze dziecko. Podążyła wzrokiem za pędzącą Drayą. Kapłanka zrobiłaby wszystko, by uratować to dziecko, ale tak naprawdę mogła się jedynie modlić do Desirii, a tym razem bogini nie odpowiedziała. Noworodek nie dożył nawet swego pierwszego świtu. Draya modliła się więc, by bogini pocieszyła jakoś rodzinę, ale jej modły nie zostały wysłuchane. To właśnie po tym wydarzeniu zamknęła się w Wielkiej Świątyni.

Skala Torwała oświetlona była niezliczonymi pochodniami. Tłum zebrał się tu i wpatrywał z napięciem w ognisko płonące po drugiej stronie fiordu. Wszyscy zastanawiali się, co mogło się wydarzyć w Ludzie.

Był też Horg, otoczony swoimi osiłkami. Stali zbici w małą grupkę kilka kroków od tłumu. Zbliżając się, Draya usłyszała, że Horg mówi coś głośno. Z oddali nie dochodziły do niej słowa, ale cokolwiek powiedział, jego kompani powitali to głośnym rechotem. Nikt poza nimi jednak nie uznał tego za zabawne. Nikt się nie roześmiał.

Ludzie z klanu Heudjunów byli nieszczęśliwi. Stracili szacunek do Horga. Uważali, że jego sądy są niesprawiedliwe, że wyraźnie staje po stronie tych, którzy mogą mu się jakoś odplacić. Od wielu lat wojownicy nie byli już na żadnej wyprawie. Gdy tylko mijała zima, nastawał sezon wypraw i okręty mogły znów wypłynąć, wojownicy zawsze czekali niecierpliwie, ale Horg twierdził, że otrzymał znaki od bogów, by nigdzie nie wyruszać.

Ktoś dojrzał Drayę. Z ust do ust poszła wieść, że już jest z nimi, i tłum rozstał się przed nią. Wszyscy witali ją z szacunkiem i radością. Choć nie lubili jej męża, ją wielce poważali.

Horg także odwrócił się w jej stronę. Zmrużył ostrzegawczo przekrwione oczy. Wyraźnie chciał, żeby się go bała. Zaczęła się zastanawiać dlaczego. Co się dzieje? Co on robi? Co już zrobił?

Nim podeszła do niego bliżej, wyczuła kwaśny smród cydru. Jego wściekłe oczy były lekko nieprzytomne i wyraźnie miał problemy z koncentracją. Teraz Draya wiedziała, dlaczego Fria poszła po nią.

Przyjaciółka czekała na nią z wyraźnym niepokojem. Chwyciła ją za rękę i szepnęła do ucha:

– Horg jest pijany!

– Tak, widzę – odpowiedziała Draya, coraz bardziej zaniepokojona.

Vindrasi czcili Joabisa, boga uczt, i lubili piwo i cydr, które uznawali za dary od boga. Nie znajdowali jednak wytłumaczenia dla wulgarnego pijaństwa. Szeptano, że Horg pije za dużo, ale w takim stanie nie widziała go jeszcze nawet Draya.

Fria ścisnęła ją mocniej.

– Horg mówi, że w pobliżu brzegu widziano okręt ogrów. Twierdzi, że to wina Torgunów, i dlatego im nie pomoże.

Draya popatrzyła na przyjaciółkę zdumiona.

– Nie chce odpowiedzieć na ich wołanie o pomoc? Nie chce walczyć? Ale dlaczego?

– Powiedział, że sami ściągnęli na siebie te kłopoty, bo zignorowali go i sami wypływali na wyprawy. Że cokolwiek ich spotka, jest karą od bogów. Ogłosił też, że sam Torval przemówił do ciebie i zakazał Horgowi wtrącać się w boskie plany. Ludziom się to nie podoba, ale jeśli rzeczywiście sam bóg postanowił ukarać Torgunów...

Teraz Draya rozumiała już sytuację. Małżeństwa między klanami zdarzały się bardzo często, wielu Heudjunów miało wśród Torgunów krewnych i bliskich przyjaciół. Zresztą

nawet ci, którzy od dawna prowadzili z nimi krwawe spory, nie mogli się pogodzić z myślą, że tak po prostu wydadzą ich na pastwę wroga. Jednak jeśli Horg miał rację, mówiąc, że Torgunowie rozgniewali bogów, rzeczywiście nie należało się wtrącać. Naturalnie ludzie zwracali się do niej, do ich Kapłanki Kai, by wypowiedziała się na ten temat. I dlatego właśnie Horg posyłał jej te ciche groźby.

Znała prawdę. Nie przekazała Horgowi żadnego znaku od Torwała. On oczekiwał jednak, że poprze jego kłamstwo. Robiła to już nieraz, gdy opowiadał jakieś bzdury o bogach. To chroniło ją przed biciem. Potem jednak męczyły ją straszne wyrzuty sumienia.

Każda Torgunka mogła zażądać rozwodu, jeśli mąż ją bił. Z wyjątkiem Kapłanki Kai. Nie mogła się rozwieść z mężem, Wodzem Wodzów, bez względu na to, co jej uczynił. Połączeni wolą samych bogów – najświętsza kobieta z najsilniejszym i najdzielniejszym wojownikiem – mieli być z Horgiem ponad takie przyziemne upadki zwykłych śmiertelników. On był przywódcą świeckim, ona – duchowym. Od stabilności ich związku zależała siła całego ludu.

– Vindrash, dopomóż nam! – wymamrotała przerażona Draya. – Wspomóż mnie, Vindrash!

Mocno uściśnęła dłoń Frii, dziękując jej w ten sposób za ostrzeżenie. Potem zostawiła przyjaciółkę i ruszyła w stronę wojowników. Ponieważ nie odezwała się, Horg uznał widocznie, że dała się zastraszyć. Posłał jej zadowolony z siebie uśmiech porozumienia i ciągnął swój wywód.

– Torgunowie powinni byli mnie słuchać, gdy mówiłem im, żeby nie płynęli – perorował głośno. – Ale ten rozpieszczony gówniarz, Skylan, zawsze robi, co mu się żywnie podoba. Zabrał swoich wojowników na wyprawę, która zakończyła się klęską. Ogry śledziły go całą drogę i wreszcie kiedy go dorwały, ten szczeniak pędzi do mnie, skomląc o pomoc! To jest boska kara za grzechy Torgunów – powtórzył. – Ja tam nie będę się wtrącał!

– Ale gdy ogry wybiją Torgunów, zaatakują nas, panie – odważył się zauważyć jeden z młodszych wojowników. – Co zyskujemy na tym, że nie pomożemy naszym kuzynom?

Horg prychnął.

– Torgunowie może i poobijają sobie głowy, może nawet rozkrwawią nosy, ale pokonają przecież ogry.

To przekonało tłum, jako że wszyscy wiedzieli, że w walce ogry nie dorastają Vindrasom do pięt. Horg powinien był wtedy zamilknąć, ale w pijackim widzie ciągnął bez zastanowienia.

– A nawet jeśli wybiją wszystkich Torgunów, sami wiecie, jakie leniwe są ogry. Gdy tylko załadują torguńskie srebro i bydło na statki, wrócą, skąd przyplłynęli, i nawet nie pomyślą o tym, żeby nas atakować. Jesteśmy bezpieczni. Idźcie do domów.

Twarze znów wykrzywiły się we wściekłych grymasach. Nikt nic nie powiedział, nawet się nie poruszył, nie wyłączając osiłków Horga. Oczywiście Torgunowie pokonają ogry. Są w końcu Vindrasami. A jednak – nawet Vindrasi czasem przegrywają. Wszystkim stanął przed

oczyma ten sam straszny obraz – ogry szalejące na ulicach Ludy, pałace, łupiące, mordujące ich przyjaciół i krewnych. Ludzie wbili w Horga nienawistne spojrzenia.

– Co znowu? – zdenerwował się Horg. – Przecież wam mówię, że taka jest wola Torwała! To jego kara! Chyba nie chcecie działać wbrew woli bogów?

– Vindrasyjski wojownik nigdy nie cofa się przed walką, panie – rzekł Sven, jeden ze starszych wojowników. – Nie chce mi się wierzyć, żeby Torwał nakazał nam coś tak dziwnego. Chciałbym usłyszeć to z ust samej Kapłanki Kai.

Horg zwrócił wzrok na Drayę. Jego komunikat był jasny.

Poprzyj mnie, kobieto, albo pożałujesz.

Draya zadrżała pod futrzanym płaszczem. Horg umiał się znęcać w inteligentny sposób. Ludzie zaczęliby przecież gadać, gdyby Kapłanka Kai miała nagle podbite oko. Horg bił więc w miejsca, na których nie widać śladów uderzeń. W oddali płonął ogień zapalony przez Torgunów, czerwony jak rubinowe oczy bogini.

– Przyjrzyj się Horgowi, Drayu... Przyjrzyj mu się uważnie... – Szept bogini był ledwie dosłyszalny na tle złowrogiego pomruku tłumu.

Draya spojrzała na Horga, ale nie widziała nic nowego. Duży mężczyzna, mocno zbudowany, umięśniony, choć te mięśnie kryły się coraz bardziej pod zwałami tłuszczu. Był starannie ogolony, jak było to w zwyczaju podczas sezonu wypraw. Wróg mógłby przecież łatwo złapać za długą brodę. Mężczyźni golili się na wiosnę, a do zimy broda im odrastała i chroniła przed zimnem. Włosy Horga miały nijaki kolor, choć stawały się coraz bardziej siwe. Nosił je splecione w warkocz spuszczone na plecy.

Miał na sobie długą skórzaną tunikę, spodnie i buty. Chodził bez płaszcza, bo miał gorącą krew i niestraszne mu były nawet najsrozsze mrozy. Był kiedyś przystojny i wciąż podobał się niektórym kobietom, choć jego niegdyś ostro zarysowana szczęka stawała się nieprzyjemnie obła, a skóra na twarzy zwisała w tak licznych podbródkach, że zaczynały one zakrywać złoty Torques Vektyjski, który zawsze nosił na szyi jako znak rangi.

Wszystko wydawało się takie samo, a jednak coś było nie tak. Przyjrzała mu się jeszcze baczniej, zachodząc w głowę, co się zmieniło, odkąd widziała go ostatnim razem.

Zmarszczył brwi. Oczekiwał, że po prostu go poprze, i taka cisza z jej strony wyraźnie go zaniepokoiła. Mimo swojego stanu wyczuwał niezadowolenie ludu. Potrzebował Draia, żeby poparła jego decyzję. Uniósł potężną pięść do twarzy i ostentacyjnie podrapał się kciukiem po brodzie. Draya była bita tą pięścią wystarczająco często, by od razu zrozumieć tę groźbę.

– Kapłanko – ponaglił ją. – Powtórz im, jaka jest wola Torwała.

Uśmiechnął się pewny siebie i uniósł nieco liczne podbródki, żeby spojrzeć na nią z góry.

I w tym momencie zobaczyła. W tym momencie pojęła, na czym polega zmiana.

Torques Vektyjski był dla Vindrásów najcenniejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek mieli. Nosił go zawsze sam Wódz Wodzów. Ten podkowiasty naszyjnik z ciężkiego złota miał kształt dwóch smoków, które splatały się ogonami, a zwrócone były do siebie głowami.

W przednich łapach trzymały smoczą kość, pięknie rzeźbioną i ozdobioną cudnym szafirem rzadkiej wielkości.

Torques był tak stary, że sięgał początków stworzenia, kiedy to małżonka Torvala, Smokini Vindrash, obdarowała nim pierwszą Kapłankę Kai, nakazując jej, by Zgromadzenie Kai czciło go, dbało o jego bezpieczeństwo i nigdy, przenigdy nie próbowało wezwać potężnego smoka, którego duch tkwił w tej kości. Smok ten – jeden z Pięciu Vektii – był w stanie zniszczyć wszelkie stworzenie.

Oczywiście tak potężny przedmiot w rękach ludzkiej istoty stanowił niezwykle zagrożenie i potrafił wystawić na pokuszenie najlepszego człowieka – lub boga. Dawno temu Hevis, bóg oszustwa, pokłócił się z Sundem, bogiem kamienia. Hevis wymyślił sobie, że wezwie jednego z potężnych smoków Vektii i wyśle go przeciw Sundowi. W tym celu uwiódł Kapłankę Kai i namówił ją do wezwania smoka.

Smok wpadł w szal i ani nieszczęsna kapłanka, ani Hevis nie byli w stanie go uspokoić. Smok spalił kapłankę żywcem, a ogień zniszczył wiele domów i zabił wielu ludzi. Wściekły Wódz Wodzów zabrał Torques Vektyjski kapłankom, twierdząc, że kobietom nie można ufać.

Od tego czasu Torques Vektyjski pozostawał pod opieką Wodza Wodzów, przechodząc z jednego na drugiego, co niezmiernie gniewało Kapłanki Kai, które utrzymywały, że praktyka ta obraża samą boginię Vindrash. Torques był najświętszą relikwią Torgunów, był znakiem boskiej miłości. Był także niezwykle cenny – cenniejszy niż cały majątek wszystkich klanów Vindrasów razem wziętych.

A teraz zniknął. Horg nie miał go na szyi. Próbował oszukać swój lud, udawać, że nadal go ma. Pod brodą połyskiwał mu złoty torques, ale był to zwykły, prosty naszyjnik, jaki wodzowie dają swoim wojownikom w nagrodę za odwagę na polu walki.

Serce Draï zamarło. Opadł ją taki strach, jakiego jeszcze nie znała. Zaparło jej dech w piersiach, zrobiło jej się słabo. Bała się przez chwilę, że zemdleje, ale jej serce znów zaczęło pracować i straszne uczucie zniknęło po chwili. Drżąc jeszcze, wzięła głęboki oddech.

Torques trudno było dojrzeć w obfitych fałdach skóry i za skórzaną tuniką. Draya też nie zauważyłaby jego braku, gdyby jej nie ostrzeżono. Z całego serca pragnęła uwierzyć, że to jakieś nieporozumienie. Może po prostu odłożył go w jakieś bezpieczne miejsce, gdy udał się w podróż.

Ale Horg sam się zdradził. Gdy zauważył, że Draya przypatruje się jego szyi, zbladł tak strasznie, że jego twarz stała się koloru brzucha zdechłej ryby. Przypieczętował swój los, łapiąc mimowolnie za złoty torques i niezdarnie próbując go schować pod tunikę.

Draya nie miała pojęcia, co takiego zrobił, ale musiało być to coś strasznego. Nie mogła jednak spytać go otwarcie, nie przy ludziach. W końcu był ich wodzem. Muszą mieć choć trochę wiary w to, że jest w stanie im przewodzić, bo inaczej zaczną się tarcia, kłótnie, bunty, klan stanie w obliczu wojny domowej. Musi odciągnąć Horga od tłumu i na osobności wypytać go o wszystko. Musi poznać prawdę.

– Udamy się z wodzem do Wielkiej Świątyni na modlitwę – rzekła, starając się zachować spokój. – Poprosimy bogów o werdykt w tej sprawie.

Horg wzdrygnął się, oblizał wargi i przełknął kilka razy. Może i stracił wiarę w bogów, ale wciąż jeszcze bał się ich, jak boi się człowiek przesądny. Zmusił się do uśmiechu.

– Nie wątpię, że bogowie mają ważniejsze rzeczy na głowie, ale jeśli uważasz, że tak powinniśmy postąpić, kapłanko, chodźmy i porozmawiajmy z Torvalem raz jeszcze – powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

Draya pochyliła się w milczeniu, nie była bowiem pewna, czy zdoła cokolwiek powiedzieć. Odwróciła się i ruszyła w stronę świątyni, a tłum rozstał się przed nią. Horg szybko ją dogonił. Udając, że chce ją wesprzeć, ścisnął ją boleśnie za ramię.

– Odpłacisz mi za to – syknął jej do ucha.

– Nie wątpię – odrzekła chłodno i patrzyła na niego bez trwogi tak długo, aż puścił ją, wymamrotał coś o tym, że musi się napić, i sam pomaszerował w stronę Wielkiej Świątyni.

Rozdział 6

Tymczasem w Ludzie mrok nocy rozświetlało wielkie ognisko. Kobiety, które zaferowały się, że wyjdą z bezpiecznego ukrycia w jaskiniach, piekły dzika na rożnie nad znacznie mniejszym ogniem. Konstrukcja do pieczenia była dość prymitywna, bo też skonstruowano ją bardzo pośpiesznie; Torgunowie zwykle gotowali mięso i nie używali różna.

Uczta miała się odbyć w Domu Wodza. Mężczyźni przynieśli kilka stołów i ustawili je w odstępach, a na nich ułożyli wielkie deski i tak powstał potężny blat. Przy nim postawiono długie ławy. Część kobiet wróciła do domów, by piec okrągłe, płaskie bochny chleba i ugotować mięso z warzywami w saganach, które zawsze grzały się nad paleniskami w kuchniach. Mężczyźni znosili też baryłki z piwem i zapalali pochodnie przed Domem Wodza i świece w środku.

Akaria, bogini wody, wzniosła latarnię i rzuciła światło na fale, które należały do jej królestwa. Wojownicy zebrali się przed Domem Wodza. Ubrani odświętnie nałożyli srebrne i złote torquesy, bransolety i naramienniki, które oni lub ich ojcowie otrzymali w nagrodę za odwagę w bitwie. Kobiety w normalnych okolicznościach także przybyłyby na ucztę, ale teraz schroniły się z powrotem w górach, skąd mogły doglądać ogniska, ale także zając się młodą żoną Norgaarda, Sonją, która nieoczekiwanie zaczęła rodzić.

Choć wojownicy wystroili się na ucztę, ich nastroje bynajmniej nie były radosne. Każdy członek klanu Torgunów aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że na szczycie urwiska płonie drugie ognisko. Norgaard ostrzegł ich, by nie spoglądali w tamtą stronę, żeby nie zwracać na nie uwagi ogrów, ale nie byli w stanie się powstrzymać. Wałęsali się wokół Domu Wodza jak we śnie i wciąż oglądali się na ogień, a każdemu dźwięczały w głowie te same pytania: Czy Heudjunowie zobaczą znak? Czy przybędą na ratunek?

Skylan się spóźnił. Musiał jeszcze wrócić do domu, zdjąć zakrwawione ubrania i przebrać się w odświętne szaty. Potem z dumą założył rodzinne ozdoby i przypasał miecz, który matka podarowała ojcu w dniu zaślubin.

Jego pojawienie się wywołało poruszenie wśród wojowników, którzy niecierpliwie czekali na swojego wodza i Kapłankę Kości. Kroczył rażno, trochę popisując się swą wyleczoną nogą, więc powitali go z radością, szczęśliwi, że tak szybko wyzdrowiał.

– Bogini zechciała cię uzdrowić – powiedział Garn. – To dobry znak.

– Cicho. Nie do końca tak to było – szepnął mu Skylan.

Garn chciał go wypytać dokładniej, ale w tej chwili pojawili się dwaj bożypanowie i ich szaman. Wszyscy trzej aż rozwierali chrapy, by pochwycić smakowite zapachy pieczonego mięsa. Skylan już chciał ich witać, by zastąpić nieobecnego wciąż ojca, ale Garn go powstrzymał i odciągnął na stronę.

– Żaden z nich nie jest przywódcą. Wiesz, tym, co nosi tygrysią skórę. Spytaj ich, gdzie on się podział – poradził.

– Nie mam pojęcia, jak ty odróżniasz jednego drania od drugiego – mruknął Skylan. – Dla mnie wszyscy są jednakowi. Ale dowiem się.

Ruszył w stronę ogrów, ale nie spieszył się, tak by światło pochodni oświetliło dobrze jego miecz i liczne naramienniki, które świadczyły o jego męstwie.

– Witajcie w Domu Wodza – rzekł z dumą. Rozejrzał się wokół i spytał: – Ale jest was tylko dwóch. Gdzie jest wasz przywódca?

Bożypanowie wzruszyli ramionami.

– Przyjdzie potem – powiedział jeden.

– Albo i nie – dodał drugi.

Za nimi stał szaman z miną nieobecną i zupełnie obojętną.

Skylanowi przeleciało przez myśl, że nigdy jeszcze nie widział tak głupich istot. Zaczął się nawet zastanawiać, jakim cudem ta rasa przetrwała tak długo.

– Ojciec mój jeszcze nie przyszedł – odpowiedział Skylan. – Ale zapraszam was do środka.

Dwaj bożypanowie, oblizując usta, natychmiast skorzystali z zaproszenia i wepchnęli się do Domu Wodza. Za nimi ruszyła ich straż. Szaman w płaszczu z piór nie poruszył się jednak. Stał przed drzwiami i gapił się na ogień na wzgórzu. Garn posłał przyjacielowi zaniepokojone spojrzenie.

– Duże ognisko – zauważył Skylan. – Potrzebne na dużego dzika. Dzik ten był darem od naszych bogów – dodał znacząco. – Bogów, którzy mają się całkiem nieźle.

Dziecinne oczka ogra zajaśniały rozbawieniem. Złapał srebrny toporek na szyi Skylana i roześmiał się chłopakowi w twarz.

Skylan chwycił za rękojeść miecza.

– Puść – warknął przez zęby – bo ci utnę tę łapę!

Szaman zachichotał i pstryknął w toporek tak, że uderzył nim Skylana w brodę.

– Skylan, nie rób tego! – syknął Garn ostrzegawczo, chwytając przyjaciela za ramię. – On chce cię sprowokować! Rozejrzyj się!

Za Skylanem stały już ogry pełniące straż przy szamanie. Trzymały broń w dłoniach. Za nimi torguńscy wojownicy gotowi byli do rzucenia się synowi wodza na ratunek.

A na okrętach siedziało jeszcze około stu siedemdziesięciu ogrów.

Skylan wcisnął miecz z powrotem do pochwy.

Szaman ogrów wszedł wreszcie do środka, wciąż podśmiewając się pod nosem. Ogrzy schowały topory w pochwy przymocowane uprzężami do ich szerokich pleców.

– Poczekamy na ojca w środku – zdecydował Skylan i ruszył do Domu Wodza.

Bożypanowie zasiedli na honorowych miejscach przy stole. Na znak Skylana torguńscy wojownicy weszli do środka i zajęli miejsca na ławach.

– Tylko spójrz na niego. Jak się cieszy, sukinsyn jeden. Powinienem był obciąć mu ten durny łeb – gorączkował się Skylan.

– Będziesz miał na to czas jutro – uspokajał go Garn. Im bardziej przyglądał się ogrom, tym większy ogarniał go jednak niepokój.

Pojawił się wreszcie Norgaard i Skylan, jako przywódca wojowników, podszedł powitać go uściskiem. Ojciec wyglądał smutno i mizernie. Wiedział już, że jego młoda żona za wcześnie zaczęła rodzić. To dziecko powinno się urodzić najwcześniej za miesiąc. Jeśli kobietom nie uda się powstrzymać skurczów, jego ukochana może stracić jeszcze jedno niemowlę.

– Przykro mi, że Sonja ma kłopoty, ojcze – szepnął Skylan, gdy prowadził ojca do Domu Wodza. – Ale z pewnością pomoże jej Desiria i jeszcze przed świtem będziesz miał wspaniałego syna.

Norgaard uśmiechnął się blado. Zdarzało się to bardzo rzadko, bo w życiu Norgaarda niewiele już było powodów do radości. Położył dłoń na ramieniu Skylana.

– Chciałeś powiedzieć, że będę mieć jeszcze jednego wspaniałego syna – powiedział cicho. – Chodź ze mną. Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Wyszli na zewnątrz.

– Gdzie jest Treia? Powinna już tu być. Rozmawiałaś z nią dziś po południu. Wiesz, dlaczego jeszcze jej nie ma?

Skylan przypomniał sobie jej nieprzyjazną twarz wyglądającą przez szparę w drzwiach i jej obojętny głos, gdy odmawiała mu pomocy.

– Kto ją tam wie. To dziwna kobieta, ojcze. Może to chodzi o mnie. Nie lubi mnie. Nie wiem dlaczego. Nigdy nie zrobiłem jej nic złego.

Norgaard popatrzył na niego zdezorientowany.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Treia cię nie lubi? Jakie to ma teraz znaczenie?

– Odmówiła mi pomocy – wyjaśnił Skylan. – Musiałem iść do tej okropnej staruszki, Matki Sowy...

– Bogini Desiria odmówiła ci pomocy? – przerwał mu przerażony Norgaard.

– Nie, nie bogini. Treia odmówiła. Nawet nie spytała bogini. Mówię ci, ojcze. Ona mnie nie lubi.

– To nie może być przyczyną odmowy – mruknął Norgaard. – Kapłanka Kości zobowiązana jest uleczyć swego największego wroga, jeśli tylko nakażą jej to bogowie. To nie wróży nic dobrego.

– Nie zapieszaj, ojcze. Ognisko płonie. Znak został już nadany. Jutro rano będą tu heudjuńscy wojownicy i już oni nam pomogą wyjaśnić ogrom, że bogowie Vindrasów żyją i dobrze się mają.

– A jednak musiałeś się dziś leczyć czarodziejskimi sposobami Matki Sowy – powiedział Norgaard i westchnąwszy, pokuśtykał do środka Domu Wodza, gdzie zasiadł u szczytu stołu.

Skylan poszedł za nim.

– Co mówił Norgaard? – chciał wiedzieć Garn.

Wojownicy nalewali piwo do rogów służących im za kielichy. Hałas się wzmógł i choć dwaj przyjaciele siedzieli całkiem blisko ogrów, mogli rozmawiać bez obawy, że ktoś ich podsłucha.

– Nic ważnego – odpowiedział Skylan, napełniając sobie róg piwem z dzbana. – Mój ojciec zupełnie już się zestarzał i tyle. – Zrelacjonował Garnowi całą rozmowę i dodał: – Bogowie mają swoje powody, by nie ukazywać chwilowo swej mocy.

Garn pokręcił ponuro głową.

– Nie mów, że i ciebie martwi reakcja bogów! – zdenerwował się Skylan.

– Raczej ogrów – szepnął Garn i rzucił na nie okiem. – Są podejrzenie zadowolone z siebie. I gdzie jest ten ich przywódca? Dlaczego nie przyszedł razem z nimi?

Skylan wzruszył ramionami.

– Może jest chory. Może ma sraczkę i wstydzą się powiedzieć.

Jeden z bożypanów podniósł nagle głos.

– Gdzie wasza szamanka? Nasz szaman jest z nami. A ta wasza kobieta? Miała dać nam odpowiedź od waszych bogów!

– Może nie zdołała ich znaleźć – podsunął drugi i obaj zarechotali głośno.

Norgaard odpowiedział wymijająco. Spojrzał na Skylana i Garna i dał im dyskretny znak.

– Sami słyszeliście. Treia musi tu przyjść. Natychmiast – syknął.

– Pójdę po nią, ojcze.

– Nie. Zauważą twoją nieobecność – powiedział Norgaard. – Musimy zaczynać już ucztę. Ogry twierdzą, że mamy nie czekać na ich przywódcę. Nie podoba mi się to. Nic mi się tu w ogóle nie podoba. Garnie, idź po Treię, a potem spróbuj się dowiedzieć, co oni knują. Skylanie, chodź tu, usiądź przy mnie.

Garn skinął głową i ruszył wykonać polecenia wodza.

Skylan zajął miejsce po prawicy ojca. Bożypanowie i szaman siedzieli na tej samej ławie u szczytu stołu. Za nimi stała ich straż.

Na znak Norgaarda do sali weszli mężczyźni z wielkimi drewnianymi półmiskami pełnymi pieczonego mięsa. Inni nieśli misy pełne duszonych jarzyn i okrągłe płaskie chleby.

Ogry wcale nie wydawały się zaniepokojone nieobecnością swojego przywódcy i nie czekały na niego z jedzeniem. Nadziewały na noże wielkie kawały mięsa i pakowały sobie na talerze, dodając chleb i parujące warzywa.

Skylan patrzył, jak w ich żołądkach zniknie zaraz jedzenie, którym Torgunowie mogliby się żywić przez całe tygodnie, i zalewała go wściekłość. Pocięczał się jedynie myślą o poranku i wyobrażaniem sobie, że te same brzuchy będzie rano pruł mieczem.

Gdy bożypanowie nałożyli już sobie jedzenie, skinęli na swoich przybocznych, którzy sięgnęli na ich talerze, oderwali kawałek mięsa, wepchali sobie do ust, przeżuli i połknęli. To samo zrobili z chlebem, zjadając kawałek na sucho, a kawałek mocząc w sosie z warzyw.

Skylan patrzył zdumiony.

– Dlaczego nie jesz swojej porcji? – spytał jednego z bożypanów.

Ogr popatrzył na niego, nie rozumiejąc. Po chwili dopiero pojął, o co chodzi. Wtedy uśmiechnął się i wskazał kciukiem na stojącego za nim wojownika.

– Jeśli jedzenie zostało zatrute, on umrze, nie ja – wyjaśnił.

Skylan zerwał się na równe nogi, wyciągając miecz z pochwy. Ogry natychmiast odpowiedziały tym samym. Ostrza ich broni błysnęły w świetle pochodni. Torguńscy wojownicy, już i tak podenerwowani i gotowi do walki, wstali jak jeden mąż, szurając ławami.

– Spokój! – wrzasnął Norgaard.

Wszyscy zamarli z uniesioną bronią. Norgaard spojrzał na syna wzrokiem wymagającym wyjaśnień.

– Te dranie myślą, że chcemy ich otruć! – krzyknął Skylan, wskazując oskarżycielsko na ogry.

Torgunowie zarzyczeli ze wściekłości. Wojownik walczy z wrogiem twarzą w twarz. Trucizna jest bronią tchórzów i słabeuszy. Posądzenie o tchórzostwo to dla Torgunów najgorsza obraza.

Norgaard westchnął ciężko i pokręcił głową.

– Taki mają zwyczaj, Skylanie. To nie ma żadnego związku z nami. – Widząc, że Skylan patrzy na niego bez przekonania, dodał: – Mordowanie jest dla nich elementem gry politycznej.

– To prawda – potwierdził jeden z bożypanów. – Nie Torgunów się obawiam. – Z szerokim uśmiechem wskazał na drugiego bożypana. – Ale jego.

Ogry najwyraźniej uznały to za wyśmienity żart. Bożypanowie i ich świta wybuchnęli głośnym rechotem, zaczęli gwizdać i walić w blat wielkimi pięściami, aż podskakiwały drewniane talerze i brzękały kubki z rogów. Szaman nie okazał rozbawienia, tylko przyglądał się bożypanom z pogardą.

Torgunowie natomiast patrzyli na nich w milczeniu. Nigdy jeszcze nie słyszeli niczego tak barbarzyńskiego. Wodzowie Vindrasów wybierani byli przez samych bogów, a nie przez

morderców. Torgunowie pokręcili głowami i mrucząc pod nosem słowa wyrażające zdumienie, pochowali miecze do pochew.

Gdy bożypanowie upewnili się już, że jedzenie nie jest zatrute, rzucili się na nie łapczywie. Wpychali sobie do ust olbrzymie poście mięsa, jedli i gadali jednocześnie, plując wokół przeżutymi kawałkami.

– To nikczemny zwyczaj – odezwał się szaman. – Relikt z Czasów Ciemności.

– Ale nasz obecny przywódca tak właśnie doszedł do władzy – bronił się jeden z bożypanów, a sos ciekł mu po brodzie.

Szaman zmiążdżył go spojrzeniem.

– Czasy się zmieniają. Nasi nowi bogowie, Bogowie Raj, żądają, byśmy zaprzestali takich praktyk. Jak widzisz, nikt nie próbuje mojego jedzenia.

Widząc nienawistne spojrzenia, jakie posyłał szamanowi bożypanowie, Skylan pomyślał, że może powinien on przemyśleć swoje postępowanie. Bożypanowie nic już nie powiedzieli, ale nadal dawali swoim przybocznym kawałki jedzenia i kazali im upijać nieco piwa ze swoich rogów.

Wypełniając obowiązki gospodarza, Norgaard zapytał szamana uprzejmie o Bogów Raj, a szaman zaczął mu opowiadać z wielkim przejęciem. Skylan też powinien zabawiać gości pogawędką, ale był na to zbyt głodny i zdał się w tej sprawie na ojca. Stracił dużo krwi i wciąż był dość słaby, a nazajutrz będzie potrzebował wszystkich sił.

Rano potrzeba mu też będzie jasności myśli. Nie tylko jemu. Skylan nie wypił więcej jak dwa kubki piwa i spoglądał groźnie na tych ze swych wojowników, którzy śmiali się lub rozmawiali zbyt głośno i zbyt często napełniali swoje rogi piwem. Pod jego ostrzegawczym spojrzeniem odstawiali kubki na bok. Torgunowie pójdą dziś spać względnie trzeźwi.

Ogry nie miały takich zahamowań. Wszystkie, nawet szaman, pochłaniały niesamowite ilości piwa, niemal opróżniając całą baryłkę. Wydawało się jednak, że alkohol nie ma na nich większego wpływu, i tylko szaman wychwalał swych bogów jakby z coraz większą emfazą.

Skylan nie zwracał na nich wszystkich uwagi. Duchem był w Vindraholmie. Wyobrażał sobie przejęcie i trwogę ludzi. Wszyscy pewnie biegają po mieście, by jak najszybciej przygotować się do wojny. Wojownicy robią przegląd broni; sprawdzają, czy tarcze nie mają żadnych słabych punktów; ostrzą włócznie i topory. Szczęśliwcy, którzy są w posiadaniu kolczug, przyglądają się im w świetle paleniska, by się upewnić, że nie brakuje żadnego kółka. Ci, którzy ich nie mają, przywdziewają skóry z jelenia, które są niemal tak mocne jak kolczuga.

Skylan też miał wiele do roboty. Dostał po ojcu świetną kolczugę i choć niemal co dzień przeglądał wszystkie jej kółka, zamierzał przyjrzeć się jej dziś w nocy wyjątkowo dokładnie. Chciał też naostrzyć, wyczyścić i naoliwić miecz, choć tak naprawdę nie było takiej potrzeby, bo miecz zwany Smoczym Zębem był jego oczkiem w głowie.

Już wyobrażał sobie jutrzejszą walkę, po której okryje się wielką chwałą. Może będzie walczył przy boku Wodza Wodzów Horga. Może uratuje mu życie, a Horg hojnie go za to nagrodzi. Da mu bydło, a może srebro, może nawet złoto. Skylana wreszcie będzie stać na zapłaceniu wiana za Aylaen. I tak z bitwy jego myśl zesłała na miłość. Zaczął się zastanawiać, co takiego chciała mu powiedzieć po południu, wtedy gdy przerwała im Matka Sowa. Chyba było to coś ważnego. Musi ją o to zapytać. Może zobaczy ją jeszcze dziś w nocy, może przyjdzie z Treią na ucztę...

Bjorn kopnął Skylana pod stołem tak mocno, że wybił go z przyjemnej zadumy. Coś się stało. Coś złego. Wokół panowała przerażająca cisza. Wszyscy, nie wyłączając Norgaarda, patrzyli w stronę drzwi.

Przerażony Skylan chwycił miecz i też się odwrócił.

Na progu stał przywódca ogrów. Robił wrażenie, bo miał na sobie lśniący napierśnik, który odbijał światło pochodni. Ale dlaczego wszyscy wpatrywali się w niego, jakby spadł z księżycy? Zbroja płytowa warta była vindraholmskie sumy, ale Torgunowie walczyli już z przeciwnikami odzianymi w nie takie cuda.

Dopiero po chwili zauważył, że Norgaard wpatruje się ze zgrozą nie w zbroję, lecz w coś tuż ponad nią. Skylan zmrużył oczy.

A potem otworzył je przerażony. Dłoń, w której trzymał miecz, opadła bezwładnie. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale gdy spojrzał na ojca, pojął, że to, co wydaje się nie do pomyślenia, jest faktem.

Błyskało złoto. Jaśniał szafir.

Na grubej szyi ogra widniał święty Torques Vektyjski. Bożypan położył na nim łapę i rozdziawił gębę w uśmiechu.

– No to gości już to swoje ognisko – rzekł. – Nie macie co liczyć na pomoc.

W ciszy tak doskonałej i pełnej napięcia jak cięciwa łuku tuż przed strzałem bożypan podszedł do stołu, odsunął ławę nogą, usiadł i spokojnie zaczął sobie nakładać mięso na talerz.

Rozdział 7

Aylaen siedziała na ziemi oparta plecami o świątynię Vindrash i patrzyła na ognisko wyłaniające się za gałęziami drzew. Zapadła już noc, a jej siostra wciąż nie wychodziła, wciąż nie odpowiadała na jej pytania. Czy coś jej dolega? Czy nie trzeba jej wody? Czy Aylaen powinna pobiec po Norgaarda?

Ani słowa. Ostatni raz Aylaen widziała ją, gdy Treia wyjrzała na chwilę, by powiedzieć, że nie jest w stanie uleczyć Skylana. Kiedy Aylaen przykładła ucho do drzwi, słyszała, że jej siostra chodzi po świątyni.

Aylaen bała się, że coś się tam stało. Próbowwała wejść do świątyni, mimo że obiecała nie przeszkadzać siostrze w modlitwach, ale Treia najwyraźniej zabarykadowała się od środka. Już to było bardzo dziwne. Świątynia Vindrash powinna być zawsze otwarta dla wszystkich – dniem i nocą. Aylaen z całej siły pchnęła drzwi, ale ani drgnęły.

Zapadła już ciemność. Mijały godziny. Aylaen niepokoiła się coraz bardziej. Może powinna pobiec po Alfrica, by wyważył drzwi. Alfric był najsilniejszy w całej wsi. Kiedyś podniósł Skylana, przerzucił go sobie przez ramię i nosił go tak, jakby Skylan był niemowlakiem. Ale Aylaen bała się zostawić siostrę samą w środku lasu, szczególnie że wokół wałęsały się ogry.

Im dłużej siedziała tak w ciemnościach, mając za jedyne źródło światła gwiazdy i księżyc, tym bardziej się martwiła. Znów podeszła do drzwi i zawołała siostrę.

Cisza.

A jeśli Treia leży tam zraniona, nie mogąc się ani ruszyć, ani wezwać pomocy? Może ma atak szału? Wszystko jest możliwe. Aylaen nie знаła swej siostry zbyt dobrze. Treia mieszkała z dala od domu przez tyle lat. Wciąż były dla siebie jak obcy ludzie. Aylaen właśnie postanowiła pójść po pomoc, gdy zobaczyła pochodnię i usłyszała czyjeś kroki na ścieżce.

Chwyciła za topór. Wszystkie Vindrasyjki umiały walczyć, na wypadek gdyby wróg pokonał mężczyzn, a kobiety musiały bronić siebie i dzieci.

Aylaen była silna i dobrze walczyła. Wychowała się z Garnem i Skylanem i przez to stała się straszną chłopczycą, jak wciąż powtarzała matka, jeśli tylko znalazła kogoś, kto chciałby tego wysłuchiwać. Aylaen wykonywała w gospodarstwie męskie prace. Nie znosiła siedzieć

w domu, by gotować czy tkać. Posługiwania się bronią nauczyli ją Skylan i Garn. Umiała nawet zrobić użytek z najcenniejszego skarbu Skylana – jego miecza.

Aylaen nie miała własnego miecza. Niewielu mężczyzn stać było na taką broń. Ale miała topór i niełatwo było ją przestraszyć. Ktokolwiek zresztą szedł lasem, robił strasznie dużo hałasu. Wróg zachowywałby się znacznie ciszej, próbując ją zaskoczyć.

– Kto idzie? – krzyknęła. – Pokaż się.

– Aylaen, odłóż toporek! – odpowiedział roześmiany głos. – To ja, Garn!

Aylaen odetchnęła z ulgą i upuściła topór na ziemię. Gdy młodzieniec pojawił się w żółtym świetle pochodni, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, przyciskając głowę do jego szerokiej piersi.

– Vindrash niech będą dzięki, że przyszedłeś! Tak się martwiłam.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony Garn. – Gdzie Treia? Powinna być już na ucztach.

– Jest tam, w świątyni. Nie odpowiada na moje wołanie...

Garn odetchnął.

– Więc jest bezpieczna. I ty także.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął mocniej do siebie. Przytulili się, znajdując w tym uścisku ciepło i otuchę. Po chwili jednak delikatnie odsunął ją od siebie.

– Nie powinniśmy – szepnął. – To grzech.

– Czy miłość jest grzechem? – spytała i uniosła usta do pocałunku.

Garn obejrzał się na świątynię. Choć budynek nie miał okien, Treia mogła ich zobaczyć przez szczelinę w ścianie. Pokręcił głową.

– Skylan jest mi tak drogi – powiedział. – Kocham go jak brata.

– I mnie jest drogi – odszepnęła. – I ja kocham go jak brata. Powinniśmy powiedzieć mu, że się kochamy. Już mało mu dziś nie powiedziałam.

– Nie możesz, Aylaen! – zaniepokoił się Garn. – Nie mów mu ani słowa! Nigdy!

– Nie rozumiem dlaczego. Przecież kiedyś musi się dowiedzieć.

– Nie, nie musi – powiedział cicho Garn. – Przrzeknij mi, że nie piśniesz słówka ani jemu, ani nikomu w ogóle.

Pokręciła głową z uporem.

– Zraniłabyś go, Aylaen – tłumaczył jej. – On cię uwielbia. A mnie ufa. Obiecuj, że mu nie powiesz...

– Czasami mam wrażenie, że bardziej ci zależy na nim niż na mnie – poskarżyła się rozdrażniona.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał wybierać – szepnął Garn.

Aylaen usłyszała ból i żal w jego głosie i pożałowała ostrych słów. Kochał ją. Kochał ją mocno i szczerze – tak jak ona kochała jego. Nie chcieli przecież zakochać się w sobie. Miłość przyszła sama. Tak jakby dorastając razem, dorośli do miłości. Nici ich wyrdów były ze sobą po prostu splecione. Tymczasem ona była niemal zaręczona ze Skylanem.

– Przepraszam – rzekła ze skruchą. – Obiecuję, że mu nie powiem. Ale nie wyjdę za niego! – dodała, mrużąc zielone oczy.

Garn pokręcił głową.

– Nawet bogowie nie znają przyszłości. Norgaard wysłał mnie tu po twoją siostrę. Uczta już się zaczęła, a jej nieobecność została niestety zauważona.

– Próbowałam wejść do środka, ale coś blokuje drzwi.

Garn się zasepił, a Aylaen zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Treię niełatwo było poznać, a jeszcze trudniej było ją kochać, ale Aylaen starała się ze wszystkich sił. Tak dobrze było mieć wreszcie siostrę. Wychowała się wśród chłopców i nigdy nie przyjaźniła się z dziewczynkami w swoim wieku. Treia był zwykle dość oschła i chłodna, ale czasami rozluźniała się i zapominała o swoich żalach do świata. Wtedy rozmawiały z Aylaen jak prawdziwe siostry. Mówiły o matce i jej problemach, dzieliły się wspomnieniami o ojcu i skarżyły sobie na zniechęconego przez obie ojczyma. Dla Aylaen były to niezwykle ważne chwile. Teraz bała się niezmiernie o siostrę.

– Treiu! – zawołał Garn i z szacunkiem zapukał do drzwi. – Kapłanko Kości, wódz prosi cię o przybycie na ucztę. Twoja obecność na niej jest dla nas bardzo ważna.

Odczekał chwilę, ale nikt nie odpowiedział.

Podał pochodnię Aylaen, która wcisnęła ją w żeliwną obręcz na ścianie świątyni. Stał bokiem do drzwi i uderzył ramieniem z całych sił. Poruszyły się nieco, ukazując wąską szparę. Aylaen próbowała zajrzeć przez nią do środka, ale było zbyt ciemno.

– Musimy uderzyć razem – stwierdził Garn. – Uderzaj z całych sił. Teraz...

– Stójcie! – rozległ się ponury głos Trei. – Wpuszczę was do środka.

Usłyszeli, że odsuwa coś ciężkiego, i drzwi się otworzyły. W świątyni panowała kompletna ciemność. W świetle pochodni Garna twarz kapłanki wydawała się przeraźliwie biała.

– Treiu, co się dzieje? – spytała zaniepokojona Aylaen. – Czy coś się stało? Czemu siedzisz tu po ciemku? – Chwyliła dłonie siostry i zaczęła je rozmasowywać. – Przecież ty jesteś zupełnie przemarznięta! Gdzie się podział twój płaszcz?

Garn wszedł do środka z pochodnią w ręce. Płomień rzucał światło na nich troje, resztę wnętrza pozostawiając w ciemnościach.

– Treiu, Norgaard prosi, żebyś przyszła na ucztę – powiedział Garn.

Treia stała sztywno, bez ruchu, zmizerowana i załamana. Milczała. Wpatrywała się w płomień i wydawała się głucha na ich słowa.

Garn i Aylaen spojrzeli po sobie zakłopotani. Nie mieli pojęcia, co robić. Garn czuł, że nie powinien zaciągać Trei na ucztę za wszelką cenę, a jednak wiedział, że jej obecność jest niezwykle ważna.

– Treiu, siostrzyczko kochana... – zaczęła głosem pełnym czułości Aylaen.

– Patrzcie! – wrzasnęła dziko Treia i wskazała na sylwetkę mającą na ołtarzu. – Patrzcie! Patrzcie na to!

Garn podszedł z pochodnią bliżej i światło padło na ołtarz. Aylaen zamruła, mając nadzieję, że jej się coś zwidziało. Migoczący płomień pochodni wprawiał cienie w szalony taniec, mylił oczy. Garn podszedł jeszcze bliżej do ołtarza. Aylaen zamarła z przerażenia. Posąg bogini Vindrash był pęknięty na pół. Leżał na podłodze w kawałkach.

Każdy klan miał swoją statuetkę Vindrash. Zwykle była to reprodukcja cudownego posątku z Wielkiej Świątyni w Vindraholmie. Posąg Torgunów był wyrzeźbiony z drewna i dużo większy od jodeitowej statuetki, był szerokości mężczyzny. Vindrash przedstawiona była tu jako smok wznoszący się na tylnych nogach. Jej długi kolczasty ogon owijał się wokół pokrytego łuskami ciała. Z ramion wyrastały jej skrzydła, a łeb wzniesiony miała dumnie, z paszczą otwartą i ukazującą ostre kły w niemym ryku.

Mówiono, że ten posąg jest niemal tak stary jak vindraholmski. Teraz leżał w kawałkach. Pękł wzdłuż – dzieląc na dwoje i głowę, i korpus. Gdy runął na ziemię, odpadło też jedno skrzydło i leżało teraz obok.

– Ogry mówią prawdę – wyszeptała Treia, drżąc cała. – Bogowie umarli. Oto dowód!

– Bzdura! – powiedział ostro Garn. – To tylko dowód na to, że pomnik był bardzo stary i kruchy, więc się rozpadł. Nic poza tym.

– Nic poza tym – wymamrotała Treia, wpatrując się w strzaskane kawałki.

Do Aylaen dotarło, że siostra siedziała tu tak wiele godzin i płakała nad zmarłymi bogami.

– Posłuchaj – rzekł Garn, chwytając Treię za ramię i potrząsając nią lekko. – Ten pomnik był starszy niż świat. Znosił deszcze, śniegi i mrozy. Drewno zmurszało i musiało prędzej czy później pęknąć.

Pomnik Vindrash był zawsze obecny przy wodowaniu smoczego okrętu, gdzie oblewało się go morską wodą. W słońce czy w deszcz, musiał być na wszystkich ślubach i pogrzebach. Stanowił najważniejszą ozdobę dożynek i mimo chłodu i wiatru musiał się pojawić na uroczystościach z okazji zimowego przesilenia.

– To w ogóle cud, że przetrwał tak długo – dodał Garn.

Jego rozumowaniu nie dało się nic zarzucić. Jak zawsze. A jednak gdy Aylaen wpatrywała się tak w kawałki drewna, nie była w stanie powiedzieć, czy to rozumowanie ją przekonuje. Gdy była mała, zawsze bała się tego posągu. Smok wpatrywał się w nią, kiedy stała w świątyni przy matce. Nocami śniło jej się, że kłapie na nią tymi swoimi wielkimi zębami, że chwyta ją pazurami.

Matka tłumaczyła jej spokojnie, że Vindrash kocha swój lud, a pazury i kły służą jej do chronienia Torgunów przed wrogiem. Aylaen bardzo chciała w to wierzyć, ale te dziecięce strachy nigdy jej tak naprawdę nie przeszły. Gdy spoglądała na posąg Vindrash, zawsze czuła lekkie drżenie.

Teraz, kiedy patrzyła na dwie połówki rozbite na ziemi, przypomniała sobie o ojcu. Przed oczami stanął jej znów pogrzeb, jego ciało w łodzi, jej przerażenie i mętlik w głowie. To ciało to nie był jej ojciec. Te kawałki drewna to nie była bogini. Jej ojciec był krzepkim, serdecznym, zawsze wesołym człowiekiem. Uwielbiała go. To wymęczone chorobą ciało, zastygnięte w grymasie bólu należało do jakiegoś obcego, do kogoś, kogo zupełnie nie знаła.

Zbuntowała się. Nie chciała uwierzyć, że jej ojciec nie żyje. Uciekła w góry i wróciła dopiero wtedy, gdy pogrzeb się zakończył, gdy płonąca łódź uniosła jego ciało w morze. I choć w głębi serca wiedziała, że jej ojciec zmarł, upierała się, że tylko pojechał na daleką wyprawę i wróci pewnego dnia. Dlatego między innymi była tak rozżalona na matkę, gdy ta wyszła za wuja Sigurda.

Teraz czuła w głowie ten sam mętlik, to samo przerażenie. To nie Vindrash leżała na podłodze. To jakiś obcy.

– Zbudujemy nowy posąg – przekonywał Treię Garn. – Ładniejszy. Ozdobimy go klejnotami, by jeszcze piękniej uczcić boginię. Tak powiesz ludziom. Tak powiesz im jutro – dodał z naciskiem – po tym, jak pokonamy ogry. A dziś nie mów nic nikomu.

Treia wbiła w niego rozwścieczony wzrok.

– Jestem Kapłanką Kości! Jak śmiesz mi rozkazywać? Powiem, co powiedzieć muszę. Ogry mówią prawdę. Nasi bogowie nie żyją.

– Jeśli powiesz to ludziom, wyślesz naszych wojowników do jutrzejszej walki ze strachem i rozpaczą w sercach zamiast dumy i odwagi – rzekł Garn. – A jeżeli zostaniemy pokonani, będzie to twoja wina, nie bogów!

Treia spojrzała na niego, ale mu nie zaprzeczyła. Aylaen nie była w stanie zgadnąć, co sobie w tej chwili myśli. Treia zawsze kryła swoje myśli za bladą maską obojętności. W końcu zadrżała i potarła swoje chude ramiona.

– Twierdzisz, że posąg pękł, bo drewno zgniło – syknęła, patrząc na Garnę i uśmiechając się z goryczą. – Czy to mam powiedzieć ludziom? Że nasza bogini zgniła?

Garn machnął zniecierpliwiony.

– Treiu, to tylko kawał drewna w kształcie bogini, a nie sama bogini. Gdyby pękło nadproże, nie myślałabyś przecież, że to koniec świata, prawda? Nie mów nic nikomu, Treiu. Przynajmniej nie przed jutrzejszą bitwą.

– Przynieś moje szaty – rozkazała Treia siostrze.

Aylaen szybko pobiegła po haftowany płaszcz Kapłanki Kości i narzuciła go na ramiona Trei. Otuliła ją nim starannie, bo choć noc była ciepła, Aylaen czuła, że siostra drży.

Wyszli ze świątyni. Garn zamknął odrzwia. Niósł pochodnię i właśnie ruszał w stronę wsi, gdy Treia go zatrzymała. Położyła lodowate palce na jego ramieniu.

– Będzie, co ma być. Nie jestem w stanie tego zmienić ani ja, ani ty. – Otuliła się mocniej płaszczem. – Nie pójdę na ucztę. Pójdę do domu. Aylaen pójdzie ze mną.

Garn się zawahał. Norgaard chciał, żeby Treia była na uczcie, ale jeśli przyjdzie z takim nastawieniem, może tylko zaszkodzić.

– To mądra decyzja, kapłanko – powiedział w końcu. – Co mam przekazać od ciebie Norgaardowi?

Przez chwilę Treia gapiła się na niego bezmyślnie, a potem wybuchnęła śmiechem – dziwnym, ostrym śmiechem, który wydał się Aylaen najstraszniejszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszała.

– Ty nic nie rozumiesz! Nic zupełnie do ciebie nie dociera! – ryknęła Treia, zanosząc się od śmiechu. – Nie będziesz musiał mu nic mówić. Już wie. On już wszystko wie.

Rozdział 8

Nocą zerwał się wiatr. Bujał okrętami ogrów, które stały na kotwicy w zatoce. Wzburzał białe, spienione fale między wysokimi klifami a fiordem. Porywał iskry z ogniska Torgunów i niósł je wysoko w powietrze. W końcu polana zaważyła się z hukiem, wyrzucając w górę chmurę popiołu. Nikt jednak nie pobiegł, by dorzucić dREW do ognia. Wojownicy, którzy mieli pilnować ogniska, wpatrywali się ponurym wzrokiem w niknące płomienie i widzieli w nich swoją przyszłość. Posłaniec Norgaarda był tu przed chwilą. Już wiedzieli.

– Nie przy płyną na ratunek.

Po drugiej stronie fiordu młodzi wojownicy z klanu Heudjunów patrzyli w milczeniu, jak gaśnie ognisko Torgunów. Nie padło ani jedno słowo. Nikt nie patrzył nikomu w oczy. Wstyd odebrał im mowę.

Ognisko zgasło wreszcie zupełnie. Heudjuńscy wojownicy wrócili do domów. Niektórzy ustalili, że i tak przygotowują się na bitwę. Wprawdzie Horg zapewniał, że ogry nie zaatakują, ale Heudjunowie nie wierzyli ani jemu, ani im. Wielu miało wręcz nadzieję, że wróg zaatakuje Vindrahalm.

Bitwa zmyłaby wstyd heudjuńskich wojowników.

Zanim Horg dotarł do Wielkiej Świątyni, doprowadził się już do prawdziwej wściekłości. W końcu był Wodzem Wodków. Zaciskał pięści i kłął pod nosem. Miał pełne prawo tak postąpić. Szlag by trafił tych, co myślą inaczej, nie wyłączając bogów.

Draya nigdy jeszcze nie widziała go w tak agresywnym nastroju i zaczęła w panice żałować, że nie przeciwstawiła mu się otwarcie, przy wszystkich. Nawet Horg nie bywał tak pijany, by publicznie podnieść rękę na Kapłankę Kai.

Musiała jednak poznać prawdę o Torquesie Vektyjskim, a jedynym sposobem, żeby to zrobić, było postawienie Horga przed bogami, nawet jeśli musi przez to ryzykować własne życie. Horg może kłamać ludziom; może okłamać żonę; ale nie jest w stanie skłamać Vindrash.

Draya otworzyła drzwi Wielkiej Świątyni i weszła do środka, niosąc w rękę pochodnię. Na posążek Smokini padło światło i wydobyło ją z ciemności. Oczy smoka rozbłysły gniewnie, błysnęły kły, wyciągnęły się pazury gotowe wbić się w ciało pijanego Horga, który

zachwiał się i cofnął przerażony. Stał chwilę w progu, bojąc się wejść i wpatrując w posążek. Był coraz bledszy i trząsał mu się brzuch.

Strach Draï prysł – przynajmniej strach o nią samą. Nic jej nie groziło ze strony tego pocącego się, zalanego w sztok tchórza.

– Wejdz – rozkazała.

Zawahał się; potem wpadł raptownie do środka.

– No, kobieto, jestem. Czego chcesz?

Głos Draï odmówił jej posłuszeństwa, nogi się pod nią ugięły. Znow nie miała jak nabrać powietrza. Strach chwycił ją za gardło.

Nie był to strach przed Horgiem, ale przed tym, co uczynił.

Vindrash, natchnij mnie odwagą, modliła się Draya, aż w końcu wrócił jej głos.

– Gdzie Torques Vektyjski?

Horg zaniósł się śmiechem.

– O to ci chodzi? O to cały ten cyrk? Myślałem, że podejrzewasz mnie co najmniej o jakieś morderstwo!

– Torques – powtórzyła. – Gdzie on jest?

Horg wzruszył ramionami.

– Odłożyłem go w bezpieczne miejsce. Nigdy nie noszę go, gdy zanosi się na bitwę. – Ziewnął ostentacyjnie i podrapał się po brzuchu. – Idę spać.

– Powiedziałaś, że nie będzie bitwy – przypomniała mu Draya, choć mówiła już do jego poplamionych potem pleców. – Powiedziałaś, że ogry nas nie zaatakują. Gdzie jest Torques Vektyjski?

Horg zrobił jeszcze jeden krok i przystanął. Po chwili obrócił się tak szybko, że niemal potknął się o własną stopę. Złapał równowagę i wtedy z udawanym spokojem rzekł:

– Oddałem go ogrom.

Draya przycisnęła dłoń do serca, które waliło jej niemiłosiernie.

– Vindrash jedyna! – wyszeptała. – Coś ty zrobił?

– Co zrobiłem? – powtórzył Horg i zrobił się czerwony z wściekłości. – Uratowałem nas od śmierci. Oto, co zrobiłem. Ogry przypląnęły na okrętach. Było ich tak wiele, że przesłoniły niebo.

– Tak wiele, że nikt ich nawet nie zauważył – dodała zjadliwie Draya.

– Byłem sam! Mieli zamiar wysłać swoich wojowników na brzeg, ale spotkałem tych ich bożypanów i dobiliśmy targu...

– Oddałeś im święty torques – szepnęła Draya. – Ale było im mało, chcieli krwi, więc sprzedałeś im też naszych braci.

– Były ich setki! – ryknął Horg, wymachując pięściami w powietrzu. – Zrównaliby nas z ziemią!

– Torques Vektyjski należy do bogów. Oddałeś coś, co nigdy do ciebie nie należało. Spadnie na ciebie klątwa Torvala! – Głos Draï drżał. – Jego klątwa spadnie na nas wszystkich.

– Klątwa Torvala! – wyśmiał ją Horg i dźgnął się paluchem w klatkę piersiową. – Spójrz na mnie, ty suko, a powiem ci coś o Torwalu.

– Wynoś się! – wrzasnęła Draya. Zapach cydru pomieszany ze smrodem jego spoconego, brudnego cielska przyprawiał ją o mdłości. Odwróciła twarz i oparła się o ołtarz. – Precz z moich oczu, ty zapity tchórze!

– Pójdę! – syknął. – Pójdę, ty suko, bo mam nową kobietę i beczkę dobrego cydru. Ale najpierw wysłuchasz, co mam do powiedzenia. Torval mnie nie przeklnie. Ten stary piernik nie przeklnie nawet kotka. Ogry wszystko mi powiedziały. W niebie była bitwa. Nasi bogowie przegrali.

Draya roześmiała mu się w twarz.

– Co za wierutna bzdura!

– Nie wierzysz mi? – Horg zarechotał. – To spytaj tę swoją cudną Vindrash, jeśli w ogóle uda ci się ją znaleźć.

Draya otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Nie wierzyła mu – a raczej nie chciała mu wierzyć.

– Jesteś zhańbiony. Nie możesz być już Wodzem Wodków. Powiem ludziom, co uczyniłeś.

Horg wzruszył ramionami.

– Mów, nie krępuj się. A wtedy ja im powiem, co wiem na temat bogów. – Prychnął. – I co ty na to, Kapłanko Kai? Skoro bogowie umarli, kto, na Hevisa, potrzebuje ich kapłanki? Bo ja na pewno nie!

Rzucił się w jej stronę. Próbowwała uciec, ale był zbyt szybki. Chwycił ją, zacisnął paluchy na jej szczęce. Jęknęła z bólu. Trzymał ją tak mocno, że bała się ruszyć, żeby nie zgruchotał jej kości twarzy, jakby to była skorupka od jajka.

Znów zarechotał, wykrzywiając twarz w upiornym grymasie.

– Jesteś niczym. Ty i twoi bogowie jesteście niczym.

Pchnął ją na podłogę. Upadła ciężko na kolana. W ustach czuła krew. Przecięła sobie wargi własnymi zębami. Oczy piekły ją od łez. Schyliła głowę, by nie widział, że doprowadził ją do płaczu.

Usłyszała głośnie kroki Horga. Oddalały się w stronę drzwi, ale każdy doprowadzał jej ciało do drżenia. Horg zatrzasnął za sobą drzwi i aż podskoczyła na ten dźwięk.

Siedziała tak na podłodze, bojąc się poruszyć. W końcu uniosła głowę i rozejrzała się. Horga nie było. Westchnęła cicho i oparła się o ołtarz. Przygniatał ją ciężar tego nieszczęścia. Ostrożnie dotknęła twarzy. Wyczuła siniaki, jakie zostawiły na jej policzkach palce Horga.

– To nieprawda – jęknęła z rozpaczą. Łzy ciekły jej po policzkach. – To nie może być prawda!

– Niestety to jest prawda, kochanie – odpowiedział jej cichy szept. – My, nieśmiertelni, my, którzy nie umieramy, patrzyliśmy bezradnie, jak umiera ukochane dziecko Aylis, Desiria. Jej wyrd pękł, a teraz pruje się tkanina naszych żywotów.

Wyrd.

Vindrasi wierzyli, że gdy zostaje przecięta nić, która łączy matkę z dzieckiem, zaczyna się jego wyrd. Przędą go Norny, trzy siostry boga Gogrotha, który przybył na wezwanie Torwała, by zasadzić Drzewo Świata. Norny siedzą w jego cieniu. Jedna trzyma kądziel, druga kręci wrzecionem, trzecia tka ludzkie losy na swoim krośnie. Każdy człowiek ma swój wyrd. Każdy bóg ma swój wyrd. Splecione wyrdy ludzkie i boskie tworzą tkaninę życia. Pojedyncza nić jest bardzo delikatna, ale tkanina jest mocna – Draya sądziła dotąd, że niezniszczalna.

– Przegraliśmy bitwę – ciągnęła Vindrash. – Bogowie Raj oraz Aelon, Pan Nowego Świtu, to młodzi i potężni bogowie. Okazali się silniejsi od nas. Desiria, bogini życia i uzdrowienia, nie żyje. Jej bliźniacza siostra, bogini morza, oszalała z rozpacz i kto wie co pocznie. Skoval grozi. Hevis knuje. Sund zaleca ostrożność. Joabis czmychnął nikczemnie z pola walki i zniknął. Ja sama boję się pozostać dłużej w jednym miejscu. Wrogowie czyhają na każdym kroku. Od początków naszych czasów to śmiertelnicy uciekali się do bogów o pomoc. Teraz jednak, gdy grozi nam koniec czasów, my, bogowie, zmuszeni jesteśmy zwrócić się do śmiertelnych z wołaniem o ratunek. Potrzebuję twojej pomocy, Drayu.

Drai stanął przed oczyma dzień, w którym szalejący ogień pochłonął małą wieś, gdzie dorastała. Pożar zniszczył wszystko, pozostawiając jedynie popiół. Czuli się znów jak wtedy, gdy spoglądała na zwęglone resztki wioski. Teraz jednak zdawało jej się, że patrzy na pogorzeliśko całego swojego świata.

– To zaszczyt dla mnie, Przenajświętsza Vindrash, że obdarzasz mnie takim zaufaniem. Zrobię, o cokolwiek prosisz – przysięgła Draya przez łzy. – Oddam za ciebie życie, jeśli to pomoże.

Vindrash milczała chwilę. Gdy wreszcie przemówiła, jej głos pełen był rozpacz.

– Dawno temu Torwał przewidział tę klęskę. Poczynił pewne przygotowania... My jednak byliśmy tak zadufani, że nie wierzyliśmy, by rzeczywiście kiedykolwiek zaszła taka potrzeba. Tymczasem oto nastąpiła czarna godzina. Musimy znaleźć kości Pięciu.

Draya wyprostowała się i wbiła przerażony wzrok w boginię.

Niegdyś niebiosami rządzili Starzy Bogowie, zasiadający na tronach w królestwie Edonai. Wybuchła wielka bitwa między bogami. Edonai zostało zniszczone. Bogowie i nieśmiertelni, którzy ich czcili, rozproszyli się po niebiosach. Wędrując przez kosmos w poszukiwaniu własnego miejsca, Torwał natknął się na świat tak piękny jak najcudniejszy klejnot. Urzeczony zapragnął mieć go na własność.

Świata tego strzegła jednak Wielka Smoczyca Ilyrion, która nie chciała go oddać. Torval oświadczył, że nie zrzeknie się tego klejnotu, i wyzwał smoczycę na pojedynek. Walczyli wiele tysięcy lat. W bitwie nauczyli się szanować siebie wzajem. Wróg podziwiał wroga, choć wciąż dążył do jego zgładzenia.

W końcu Torval pokonał Ilyrion. Gdy umierała, wybaczyła bogu, a światu, który opuszczała, pozostawiła ostatni podarunek. Jej kości i zęby, pazury i łuski spadły z nieba jak cudowny deszcz i schowały się głęboko w ziemi, gdzie zmieniły się w cenne klejnoty, z których każdy krył w sobie fragment duszy samej Ilyrion.

Wiedząc, że jego wrogowie wciąż wędrują w poszukiwaniu światów, Torval obawiał się, że nastanie dzień, gdy będzie musiał bronić swego skarbu. Wezwał więc tych bogów, którym ufał, i poprosił o pomoc przy chronieniu zdobyczy. Przybył Sund, bóg kamienia, mądry i przenikliwy. Przybył Gogroth, by zasadzić nasienie Drzewa Świata. Przybyła Freilis, bogini liczby, by królować umarłym. Przybył Joabis, przynosząc wino.

Gdy zebrali się bogowie, Torval stworzył z grzebienia Ilyrion pięć vektyjskich smoków. Były tak potężne, że mogły stanąć na straży świata. By ukryć je przed wrogiem, Torval schował ducha każdego ze smoków w kości ze szkieletu samej Ilyrion.

Została już tylko krew smoczyca. Torval nalał ją do rogu, a wtedy wyskoczyła z niego Vindrash, Smokini. Torval pokochał ją w jednej chwili i pojął za żonę. Jako ślubny upominek podarował jej kości ducha Pięciu Vektii. Vindrash z kolei rozdzieliła te kości między pozostałych bogów, nakazując im ukryć je bezpiecznie. Tak też uczynili, choć żaden z nich nie wierzył, by nastał dzień, gdy będą potrzebne.

Ta opowieść zadźwięczała w głowie Draii i przeraził ją ogrom zadania.

– Vindrash – jęknęła bezradnie. – Nie wiem, gdzie szukać kości Pięciu.

– Wiesz, gdzie jest jedna z nich – odrzekła Vindrash, a jej głos był tak zimny i bezlitosny, jak śmiertelnie mroźna może być zima. – Twój mąż oddał ją ogrom.

Rozdział 9

Garn odprowadził Aylaen i jej siostrę do domu Trei, a potem pospieszył z powrotem na ucztę. Zaniepokoiło go złowieszcze oświadczenie Trei, że Norgaard już wie. Kapłanki często celowo wypowiadały się bardzo niejasno. W ten sposób, cokolwiek się stało, zawsze miały rację.

Garn wierzył w bogów, ale trudno mu było jakoś wyobrazić sobie, że wciąż śledzą każdy ludzki krok. Wyobrażał sobie raczej, że są jak dzieci, które pchnęły świat w ruch i przypatrują się tej swojej wirującej zabawce.

Skylan natomiast był święcie przekonany, że Torval zawsze go wysłuchuje, zawsze obserwuje i w każdej chwili może go nagrodzić albo dać mu kuksańca w bok. Ich rozbieżne wizje nierzadko prowadziły do gorących dyskusji, bo Garn lubił rozmawiać o takich rzeczach. Skylan wręcz przeciwnie, często więc, gdy tylko uświadomił sobie, dokąd zmierza rozmowa, szybko zmieniał temat.

Garn spojrział na klif i zaniepokoił się. Ognisko dogasało. Co prawda spełniło już swoje zadanie – komunikat został nadany. Horg i jego wojownicy szykują się zapewne do bitwy, może nawet stawiają właśnie żagle. A jednak ognisko powinno nadal dumnie płonąć jako wyraz oporu. Tymczasem na szczycie klifu widać było tylko żałosne, coraz niklejsze płomienie.

Gdy tylko Garn zobaczył Dom Wodza, jego niepokój przerodził się w trwogę. Na zewnątrz i w środku płonęły pochodnie. Nie było już ogrów pełniących straż przy swoich przywódcach, a zatem bożypanowie najwyraźniej wrócili na statki. Powinno być słyhać śmiech i głośne pieśni wojenne, tupanie nóg o podłogę, bębnienie dłońmi o blaty. Powinno być słyhać przechwałki wojowników, zapowiedzi ich jutrzejszych wielkich czynów. Powinno być słyhać Skylana, Wodza Wojennego, jak intonuje wojenną pieśń.

Tymczasem cisza aż dźwięczała w uszach. Tak ciche uczyty nie zdarzały się u Vindrasów. Nawet stypy były tu zawsze huczne.

Garn ruszył biegiem. Przeraził się, że ogry otruły wszystkich. Niemal spodziewając się, że ujrzy przyjaciół powalonych na podłodze, wpadł do sali i... stanął jak wryty.

Wojownicy żyli. Siedzieli przy stole w ponurej ciszy. Rogi wały się puste. Talerze z jedzeniem pospadały na ziemię. Na każdej twarzy malował się grymas niemej rozpacz. Nikt nie patrzył na nikogo. Każdy spoglądał w piekło własnych myśli.

Norgaard siedział z głową opuszczoną, ciężko oparty o blat stołu. Twarz miał bladą i wymizerowaną. Przez te chwile, gdy nie było Garna, postarzał się o kilka dobrych lat.

Skylan garbił się, co było zupełnie doń niepodobne. Miał nowe rany, opuchniętą szczękę, a z rozciętej wargi płynęła mu krew. W milczeniu wpatrywał się w stół. Potem nagle walnął w blat pięścią i zerwał się na równe nogi.

– Nie możemy tu tak siedzieć jak żywe trupy! Nie zginiemy z podeptanym honorem! – ryknął. – Musimy działać!

Nikt nie odpowiedział. Ktoś tylko chrząknął cicho. Ktoś spojrział na niego, po czym szybko odwrócił wzrok. Większość jednak trwała w bezruchu.

– Co się stało? – spytał Garn. – Co się dzieje?

Skylan rzucił się na niego.

– Gdzie się podziewałeś? – napadł go. – Byłeś mi tu potrzebny!

– Przecież wódz wysłał mnie po Treię...

– Czy przyjdzie? – spytał Norgaard, unosząc głowę. W jego oczach pojawił się błysk nadziei.

– Nie, wodzu – powiedział Garn. – Treia nie przyjdzie.

Próbował pospiesznie wymyślić jakiś powód jej nieobecności. Coś, co nie byłoby prawdą, ale nie byłoby też całkowitym kłamstwem. Ale zbyt długo się wahał. Norgaard przejrzał go, pokręcił głową i z powrotem zapadł się w otchłań rozpacz.

– Skylan... niech mi ktoś powie, co się dzieje! – błagał Garn.

– Święty Torques Vektyjski – wydusił z siebie Skylan, krztusząc się z wściekłości. – Jeden z tych ich kozojebców, tych pieprzonych bożypanów, miał go na swojej spasionej szyi!

Garn aż się zatoczył, jakby te straszne słowa były pchnięciem wroga.

– Pomoc nie nadejdzie – szepnął głucho Norgaard, gapiąc się na swoje leżące bezradnie na stole sękaty dłonie. – Pomoc nie nadejdzie.

– Zatem Heudjunowie nie żyją – jęknął oszołomiony Garn. – Horg, nasi kuzyni, nasi bracia... Ogry wybiły ich wszystkich...

– Twierdzą, że nie – warknął Skylan. – Twierdzą, że wcale nie zamierzały nas najeżdzać. Po co? Jesteśmy tak biedni, że nie mamy nic, co warto by złupić. Chcieli najeżdżać Heudjunów. Horg poprosił jednak o rokowania. Dał im Torques Vektyjski w zamian za obietnicę, że zostawią ich w świętym spokoju.

– Ogry kłamią – oburzył się Garn. – Horg nie zrobiłby czegoś takiego!

– I ja tak im powiedziałem.

– I co one na to?

– Spytały, czy słyszeliśmy rogi Heudjunów wzywające klany na wojnę? Czy widzieliśmy ognisko wzywające nas na pomoc? A może płomienie pochłaniające ich domy? Czy okręty ogrów pełne są bydła i niewolników? Odpowiedź brzmi: nie.

Garn wpatrywał się w przyjaciela w milczeniu. Starął się znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Jak nabiłeś sobie te wszystkie siniaki? – spytał w końcu, choć właściwie mógł się łatwo domyślić.

– Sigurd musiał jakoś przemówić mu do rozsądku – syknął Norgaard przez zęby. – Chciał walczyć sam jeden z trzema bożypanami i zabić się na miejscu.

Skylan wzruszył ramionami.

– I tak jesteśmy jak martwi. Nie boję się polec w bitwie. Prawdziwy wojownik modli się, by móc stanąć przed Torvalem z mieczem w dłoni. Jutro pójdę do walki, żałując tylko jednego.

Wojownicy zawtórowali mu wściekłym rykiem. Wiedzieli aż za dobrze, co powie. Skylan podniósł głos.

– Żałuję, że nie będę miał już okazji dorwać tego tchórza, Horga, rozciąć mu brzuszyska i rzucić jego flaków psom na pożarcie!

– Byle nie mojemu psu – zaprotestował Alfric Jednooki. – Ten stary kundel jest mi zbyt drogi, by truć go takim świństwem!

Pozostali wojownicy ryknęli śmiechem i walnęli pięściami w stół.

– A zatem nie możemy przegrać tej bitwy – rzekł Garn. – Nie, proszę, wodzu, wysłuchaj mnie! – Odwrócił się w stronę Norgaarda. – Mają przewagę liczebną. Co do tego nie ma dwóch zdań. Ale gdyby Smok Kahg stanął z nami do walki, szanse by się wyrównały.

– A gdyby gówno było złotem, byłbym bogaczem – zniecierpliwił się Norgaard. – Ogry otoczyły nasz smoczy okręt. Stoi na kotwicy wśród ich statków. Mają go na oku. Nim się zbliżymy, będziemy mieli ich włócznie w trzewiach.

– Tam, gdzie nie może armia, zwycięży pojedynczy człowiek – odrzekł Garn. – Nie potrzebujemy przecież okrętu. Potrzebny nam smok.

W źrenicach Skylana zamigotały niebieskie płomyki.

– Oto daczego jesteś mi bratem! – zawołał uradowany i odwrócił się w stronę Norgaarda. – Ojczy, przyznaj, że plan Garna musi się powieść! Podpłynę do okrętu, wślizgnę się na pokład i zdobędę kość ducha. W ciemności nikt mnie nawet nie zauważy.

Siwiejące brwi Norgaarda zadrżały. Usta ułożyły się w mimowolnym uśmiechu.

– To może się udać – przyznał z oporem. Pokonując ból, wstał. Znów całkowicie panował nad sobą. – Pójdę porozmawiać z Kapłanką Kości, powiedzieć jej, żeby była gotowa...

– Ja to zrobię, wodzu – wtrącił pospiesznie Garn. Bogini rozbita na kawałki to ostatnia rzecz, jaką powinien teraz zobaczyć Norgaard. – Pozostań tu z wojownikami na wypadek, gdyby coś pokrzyżowało nasz plan.

– Słusznie – zgodził się z ulgą Norgaard. Opadł z powrotem na krzesło. Do domu Trei było tak daleko.

Skylan już się rozbierał, już szykował się do płynięcia. Zaczął właśnie ściągać spodnie, gdy ten ruch sprawił mu taki ból, że aż stęknął. Rana zadana przez dzika biegła przez całe udo, blizna była długa i zaczerwieniona. Choć się zasklepiła, wciąż jeszcze bardzo bolała.

– Skylan, pozwól zrobić to komuś innemu – odważył się zaoponować Garn.

– Jestem Wodzem Wojennym. Nigdy nie rozkazałbym nikomu narażać się na niebezpieczeństwa, by samemu go uniknąć – odrzekł dumnie Skylan.

Garn rozejrzył się po sali. Wojownicy rozmawiali między sobą z przejęciem, omawiali jutrzejszy dzień. Garn podszedł bliżej do Skylana, by nikt ich nie słyszał.

– Wódz Wojenny musi przedkładać dobro swego ludu ponad własne potrzeby i pragnienia. Twoja rana jest zasklepiona, ale nie powiesz mi, że cię już nie boli. Straciłeś dużo krwi. Jesteś słaby. Nikt nie będzie miał prawa powiedzieć, że uchylasz się od obowiązku, jeśli pozwolisz, by popłynął ktoś, kto jest silny i zdrowy.

– Niby ty na przykład? – odgryzł się Skylan. – Chcesz zagarnąć dla siebie taki wyczyn?

Garn nic na to nie powiedział. Złożył tylko tunikę Skylana i położył ją na stole. Potem pochylił się, by podnieść spodnie.

– Przepraszam, Garn – szepnęła Skylan, kładąc dłoń na ramieniu przyjaciela. – Nie chciałem tego powiedzieć. Tylko... tylko, że ufam jedynie sobie.

Skylan nie chciał być arogancki. Po prostu nawet mimo ran i osłabienia wydawał się sobie najlepszym człowiekiem do tej roboty. Garn jednak wiedział coś, do czego Skylan nigdy by się nie przyznał – syn wodza nie pozwoliłby innemu mężczyźnie odebrać sobie sławy, jaką dawał taki czyn. Nieważne, że jeśli mu się nie uda, Torgunowie nie będą mieli drugiej szansy na zdobycie kości ducha. Tę porażkę przypłacą życiem. Garn mógł to wszystko powiedzieć, ale wiedział dobrze, co wtedy usłyszy. Te słowa, które właśnie padały z ust Skylana.

– Zaufaj mi, bracie. Torval jest ze mną. Musi mi się udać. – Po czym Skylan zajął się wydawaniem rozkazów. – Powiedz Kapłance Kości, żeby spotkała się ze mną w świątyni Vindrash...

– Nie – zaprotestował Garn. – Nie tam.

– Dlaczego nie w świątyni? – zdziwił się Skylan. Ściągał koszulę. Zdumiony spojrzał na Garna przez dziurę na głowę. – Przecież po to jest świątynia, nie?

– Gdy tylko ogry odkryją brak kości, natychmiast tam będą jej szukać – odpowiedział Garn.

– Masz oczywiście rację – zgodził się potulnie Skylan i uśmiechnął się do przyjaciela. – Sam widzisz, że się ciebie słucham. Powiedz Trei, że przyjdę z kością do jej domu.

Garn odetchnął z ulgą. Był prawie pewny, że w ferworze przygotowań Skylan nie zauważy błędu w tym rozumowaniu, i nie zawiódł się. Ogry były tu zupełnie obce. Nie miały przecież pojęcia, gdzie jest świątynia Vindrash.

– Od razu pójde do Kapłanki Kości – zaoferował się Garn. – Żeby była gotowa.

– Świetny pomysł – zgodził się Skylan. – Jeśli będzie z nią Aylaen, powiedz jej, że myślę o niej i że jej miłość jest mi jak talizman.

Garn drgnął i mruknął coś pod nosem, ale na szczęście Skylan nie zwracał już na niego uwagi. Rzucił koszulę na stół. Jego silne, młode ciało porane było bliznami świadczącymi o męstwie. Rana na udzie była tylko jedną z wielu.

Garn uśmiechnął się, wzruszony postawą swojego przyjaciela i pełen szczerego podziwu dla jego odwagi. Skylan miał wiele wad, ale na pewno nie był tchórzem.

– Jesteś najlepszy do tej roboty – przyznał Garn.

Skylan poklepał go po ramieniu.

– Ty, bracie, zawsze za dużo myślisz. Myślenie nie jest złe, ale czasami trzeba działać. Nie martw się. Torval jest ze mną.

Czy aby na pewno? – pomyślał Garn, gdy Skylan wychodził już z Domu Wodza, żegnany błogosławieństwem ojca i swoich wojowników.

A może Torval też leży pogruchotany w kawałki.

Rozdział 10

Okręty ogrów bujały się na ciemnych falach zatoki. Wiatr był coraz chłodniejszy, a morze niespokojne. Skylan patrzył z pogardą na niezgrabne statki ogrów, a raczej ich czarne sylwetki wyłaniające się w świetle latarni Akarii. Czarne cienie taplały się w wodzie jak wieprze w błocie, raz w tył, raz w przód, to w tę stronę, to w tamtą. W przeciwieństwie do nich torguński okręt kołysał się dostojnie, pozwalając falom przemykać się rytmicznie pod kilem. Straszliwy łeb smoka górował nad otaczającą go sforą okrętów wroga.

Skylan skrzywił się na widok postępowania Akarii. Wolałby, żeby nie wystawiała tak tego księżyca. Rozejrzał się po niebie w nadziei na jakieś chmury. Kilka przepłynęło na tle gwiazd, a Skylan wodził za nimi wzrokiem, zaklinając je, żeby choć na chwilę przesłoniły srebrną poświatę latarni.

– Nóż – szepnął Skylan i Bjorn natychmiast podał mu niezwykle ostre, cienkie ostrze do patroszenia ryb.

Dziś w nocy jednak Skylan użyje go do patroszenia ogrów.

Przywiązał trzonek noża do rzemyka, który owinął sobie wokół szyi.

Trzej młodzieńcy przycupnęli w cieniu wydym pokrytych burymi glonami.

– Zaczekajcie tu na mnie – rozkazał Skylan Bjornowi i jego bratu. – Cokolwiek się stanie, siedźcie cicho i nie rzucajcie się w oczy.

– A co mamy zrobić, jeśli nie wrócisz? – spytał Erdmun.

Skylan rzucił spojrzenie Bjornowi, który przewrócił oczyma. Jego brat zawsze się czymś zamartwiał i spodziewał katastrofy.

– Wróć, wróć – uspokoił Erdmuna. – Przecież to tylko ogry.

– Niech Torwał będzie z tobą – szepnął Bjorn.

– Ale... – zaczął znów Erdmun. Brat dał mu kuksańca w bok, co skutecznie go uciszyło.

Skylan dotknął srebrnego toporka na szyi. Był zupełnie nagi, z wyjątkiem tego symbolu Torwała oraz noża. Jeszcze raz spojrzął na statki ogrów. Na pewno postawili kilku wojowników na warcie, a kilku wysłali na smoczy okręt. Podniósł nóż, chwycił go zębami i splótł długie włosy w warkocz, żeby nie spadały mu na twarz. Najniebezpieczniej będzie przebiec przez plażę. Czarna postać biegnąca po jasnej plaży – takie przedstawienie nie ujdzie

uwagi żadnego ogra jak świat długi i szeroki. Zamarł, wpatrując się w chmurkę, która płynęła po niebie w kierunku latarni Akarii.

– Torvalu, zgaś światło – modlił się Skylan i po chwili chmura przesłoniła księżyc.

Schylony i przykurczony popędził przez plażę. Biegł niezgrabnie i wolno – rana na udzie bolała go bardziej, niżby chciał to okazać. Kątem oka obserwował niebo. Chmurka była niewielka i poruszała się szybko. Już wyłaniała się krawędź księżyca. Na szczęście jednak zaczynał się przyływ. Skylan podziękował Akarii choć za ten mały gest.

Opłynęły go fale i już był w wodzie. Wzdrygnął się, poczuwszy słoną wodę w ranie i przeszywające zimno. Choć w dzień słońce ogrzewało powietrze, nie było w stanie ocieplić wody. Skylan jednak przyzwyczajony był do znacznie niższych temperatur. Jego lud kochał morze i Torgunowie często kapali się w wodzie tak zimnej, że na włosach zwisały im sople, gdy się z niej wyłaniali.

Ta część plaży kończyła się szybko. Dno nagle bardzo mocno opadało. Wystarczyło kilka kroków i już miał wodę po ramiona. Zaczął płynąć. Jego silne ramiona poruszały się rytmicznie pod wodą. Wiedział, że nie powinny naruszać gładkiej powierzchni.

Miał nadzieję, że zimna woda uśmierzy ból, ale każde kopnięcie nogą było jak dźgnięcie uda włócznią. Ból spowalniał jego ruchy i po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że Garn mógł jednak mieć rację. Może powinien był pozwolić, by popłynął ktoś inny. Ta myśl rozgniewała go. Zaciśnął zęby na ostrzu noża i specjalnie jeszcze mocniej kopnął nogami, by pokonać ból.

Akaria odegnała chmurę i księżycowa poświata zalała fale. Skylan będzie musiał płynąć blisko statków ogrów, żeby dotrzeć do smoczego okrętu. Podpłynął bliżej i próbował zobaczyć, co się dzieje na pokładzie. Nie zobaczył ogra stojących na warcie, ale usłyszał ich głosy. Brzmiało to tak, jakby było ich dwóch i jakby grały w jakąś grę, żeby nie zasnąć. Reszta załogi śpi pewnie na pokładzie owinięta w koce, próbując się wyspać przed jutrzejszą bitwą. Ogry mogły być durne, ale nie aż tak, żeby nie wiedzieć, że Torgunowie nie poddadzą się bez walki.

Skylan zaczął płynąć cicho wzdłuż statku, trzymając się w jego cieniu drżącym na falach. Przed nim z ciemności wyłonił się smoczy okręt. Światło Akarii otuliło smoczą głowę, z miłością muskało dziób. Okręt pomalowany był na niebiesko – na cześć smoka Kahg, który prowadził go w dalekie podróże. Duch smoka Kahg krył się w jednej z jego kości, którą Torgunowie otrzymali niegdyś od Vindrash w świątyni Vektii na słynnych Smoczyczych Wyspach.

Okręt prowadził sam duch smoka Kahg, toteż nie potrzebna była wioślarzy ani żagli. Gdy Kapłanka Kości wzywała smoka, przybierał fizyczną formę i walczył z wrogami Torgunów. Wiele klanów miało smocze okręty, które nadawały im moc i znaczenie. Torgunowie nie byli może najbogatsi, ale mieli smoczy okręt, a zatem pozostali Vindrasi musieli się z nimi liczyć.

W zamian za smoczą opiekę Vindrasi przyrzekli oddawać smokom wszystkie zdobyte klejnoty. Smoki przeglądały je, wybierały te, które chciały zatrzymać, a resztę zwracały wojownikom.

Vindrasi nie mieli pojęcia, po co właściwie smokom szlachetne kamienie. Można by przypuszczać, że klejnoty zatrzymywane przez smoki będą najcenniejsze, ale tak się nie działo. Skyłan na własne oczy widział, jak Kahg wybrał sobie malutki, nieoszlifowany szmaragd, a oddał wielki, ognisty rubin.

Vindrasi nie wiedzieli, co dzieje się z klejnotami zabieranymi przez smoki. Według legendy w jaskiniach na Smoczycach kryły się całe góry kamieni szlachetnych, a chroniła je kłątwa bogini Vindrash. W każdym pokoleniu zdarzało się kilku zuchwalców, którzy nie bacząc na zakaz bogini, wyruszyli na poszukiwanie skarbu. Zawsze źle kończyli. W długie zimowe noce ku przestrodze opowiadano makabryczne historie o ich śmierci.

Vindrasi podejrzewali, że smoki są jak sroki – że po prostu fascynuje je wszystko, co się błyszczy. Nikt nawet się nie domyślał prawdy. Był to sekret, którego smoki strzegły już od wieków i zamierzały strzec równie długo.

Syłan rozmyślał o smokach, gdy płynął w zimnej wodzie ze wzrokiem utkwionym w przerażającą głowę na dziobie statku. Treia powiedziała, że smok Kahg nie odpowiedział na jej wezwania, bo był zły na Torgunów za to, że nie dotrzymali umowy. W zeszłym roku zdobyli jedynie garść małych kamieni, które smok odrzucił z pogardą. W tym roku w ogóle nie udało im się przywieźć żadnych klejnotów, a za to pojawiły się ogry i w dodatku przepadł Torques Vektyjski, który zawierał niezwykle cenny szafir. Kahg może być równie dobrze tak wściekły, że nawet jeśli Skyłanowi uda się cała ta karkołomna wyprawa po kość ducha, on i tak odmówi wzięcia udziału w walce.

– A może wolałbyś, żebyśmy wszyscy skończyli zadźgani przez ogry, he? – spytał Skyłan smoczą głowę, której czerwone oczy spoglądały na niego złowrogo. – Nie mówię, że nie zasłużyliśmy na twój gniew, ale weź pod uwagę, że jeśli ogry nas pokonają, nie będzie już więcej klejnotów. Nigdy więcej.

Mając nadzieję, że smoka przekona to logiczne rozumowanie, Skyłan podpłynął pod sam dziób smoczego okrętu i zaczął nasłuchiwać, starając się rozeznac, ilu ogrów pełni wartę na statku i jak są rozstawieni. Usłyszał ciężkie kroki. Po pokładzie chodził co najmniej jeden ogr. Skyłan spojrział w górę i zamarł. Na tle gwiazdzistego nieba zamajaczył łysy łeb, który wysunął się za burtę i popatrzył w dół.

Syn wodza natychmiast zanurkował i wstrzymując oddech, pozostał pod wodą tak długo, jak tylko mógł. Wypłynął na powierzchnię kawałek dalej, nabrał szybko powietrza i odwrócił się w stronę okrętu. Głowa ogra zniknęła. Znów słychać było stąpanie ciężkich buciorów. Skyłan nie słyszał jednak żadnych głosów, więc uznał, że ogry zostawiły na pokładzie tylko jednego wartownika. Skyłan w takiej sytuacji wysłałby tu trzech ludzi, ale czego się można spodziewać po tych zakutych łbach.

Nie odważył się zresztą marnować czasu na dalsze przespiewki. Czuł, jak zimno wody sączy się powoli w głąb jego kości. Usłyszał, że ogr oddala się od niego. Podpłynął cicho pod dziób; funkcję stewy dziobowej pełniła długa, pięknie ryta szyja smoka. Drewniana rzeźba smoka Kahg była wyjątkowo starannie wykonana. Każda łuska doskonała, a było ich setki, każda wielkości męskiej dłoni. Wyżłobienia okalające łuski były na tyle głębokie, że Skylan mógł włożyć w nie końce palców i pomóc sobie w ten sposób we wspinaczce po szyi smoka. Gdy miał dziewięć lat, do jego obowiązków należało „łuskanie smoka”. Musiał wspinać się po tej długiej szyi, by chwycić się bujającej wysoko głowy i grać rolę oka, czyli wyglądać, czy na horyzoncie nie pojawiły się jakieś okręty wroga.

Skytan nie miał już jednak palców dziewięciolatka. Nie mógł wepchnąć ich zbyt głęboko; łuski mogły stanowić tylko bardzo niepewne uchwyty. Mięśnie rąk bolały go od wysiłku; rana pulsowała. Powietrze okazało się jeszcze zimniejsze niż woda. Od wiatru zrobiła mu się gęsia skórka na nagim ciele. Nie szczekał zębami tylko dlatego, że wciąż trzymał w nich nóż.

Ogr poszedł na rufę. Przywierając do smoczej szyi, Skylan dziękował właśnie Torwalowi za to udogodnienie, gdy zaledwie pięć kroków od niego zza burty wyłoniły się olbrzymia głowa i masywne ramiona. Skylan zamarł, wstrzymał oddech, bojąc się poruszyć czy choćby drgnąć. Wartownik ziewnął od ucha do ucha i przeciągnął się; najwyraźniej drzemał jeszcze przed chwilą. Podrapał się po brzuszysku i rozejrzał po pokładzie, jakby setnie się nudził.

Oba ogry stały tyłem do Skylana i żaden z nich go nie widział. Torwal wydał mu jego wrogów, ale Skylan miał ledwie sekundę, by działać. Cicho wspiał się po kadłubie i wskoczył na pokład, lądując lekko na palcach. Natychmiast przykucnął, by schować się w cieniu. Przyjrzał się ogrowi, który stał najbliżej. Musiał wyczuć dobry moment i załatwić to w idealnej ciszy. Gdyby był to człowiek, Skylan po prostu zatkałby mu usta dłonią, by ofiara nie wrzasnęła, gdy będzie jej wbijał nóż w serce.

Ogr był jednak na to za duży. Skylan musiałby wskoczyć mu na plecy, żeby dosięgnąć głowy, a nie był pewien, czy wtedy dałby radę wbić nóż przez sadło i kości aż do serca.

Ogr potarł oczy, znów ziewnął, przeciągnął ręce nad głową. W każdej chwili może teraz powiedzieć coś do swojego pobratymca, a ten odwróci się i zobaczy Skylana.

Chłopak rozejrzał się po pokładzie w poszukiwaniu innej broni poza własnym nożem. Gdy smoczy okręt stał w porcie, wciąż na nim pracowano, reperowano go, konserwowano. Na pokładzie walały się liczne narzędzia. Skylan chwycił za siekiere, podbiegł bezgłośnie do ogra i z całych sił uderzył go w tył głowy.

Ostrze siekiery przebiło czaszkę i worało się głęboko w mózg ogra. Skylan szarpnął i wyrwał narzędzie, za którym połała się krew i mózg. Olbrzymie cielsko drgnęło spazmatycznie. Kolana się pod nim ugięły i ogr runąłby z hukiem na deski pokładu, gdyby Skylan nie chwycił masywnego trupa w powietrzu, sam mało nie padając pod tym ciężarem. Stęknął tylko cicho i bezdźwięcznie położył ciało.

Skylan zrobił to wszystko tak cicho, jak tylko mógł, ale drugi ogr albo usłyszał, albo wyczuł coś niepokojącego. Odwrócił się momentalnie, a jego potężne ciało poruszało się znacznie szybciej, niż Skylan by przypuszczał. Oczy ogra rozwarły się w zdumieniu na widok stojącego przed nim na pokładzie zupełnie mokrego, nagiego człowieka.

Ogr chwycił za swój topór i otworzył usta, by ostrzec innych. Skylan musiał mu je natychmiast zamknąć, więc cisnął siekierą tak, jakby cisnął toporem podczas bitwy. Niestety siekiera była znacznie lżejsza niż topór – jedynie uderzyła ogra w czoło. Olbrzym zachwiał się i zamrugał, bo krew zalała mu oczy, ale nie upadł.

Skylan ruszył biegiem, pędząc boso przez pokład, na którym aż roilo się od narzędzi. Część udało mu się ominąć, w inne wdeptywał po drodze. Ogr był nieco oszołomiony od uderzenia i chłopak runął na niego z całych sił. Wbił się prawym ramieniem w brzuszysko przeciwnika, aż ogr stęknął. Zbici w jedno uderzyli w burzę.

Dusząc się, ogr zdołał jednak walczyć, a co gorsze, zaczął hałasować. Skylan wbił mu nóż w bok, nie dbając już o to, w co uderza. Ogr jęknął z bólu i Skylan zaczął dźgać na oślep, aż w końcu ogr przestał się ruszać i jęczeć. Skylan przykucnął z wysiłku, zaczerpnął tchu i zaczął nasłuchiwać, czy ktoś na statkach ogra nie posłyszał całego tego zgiełku. W napięciu czekał na światła, na ostrzegawcze nawoływania.

Nic się jednak nie działo i Skylan odetchnął z ulgą. Jęknął, gdy wstawał. Pokuśtykał przez pokład jak własny ojciec, raniona noga pulsowała, a stopy bolały od następywania na różne narzędzia. Mimo to jednak ogarnęła go niezwykła ulga i aż się cicho zaśmiał, gdy uświadomił sobie, jak łatwo przyszło mu pokonanie wroga. Z szacunkiem dotknął srebrnego toporka Torvala.

Święta kość ducha – kość z palca przedniej łapy smoka Kahg – wisiała na drewnianym kołku wbitym w dziób. W przeciwieństwie to Torquesu Vektyjskiego kość ducha nie była ozdobiona złotem ani klejnotami. Oprawiona w prostą cynową blaszkę zwisiała na zwykłym rzemyku.

Gdy Skylan był mały, martwił się, że kość ducha nie jest tak wspaniała jak złoto-szafirowy Torques Vektyjski. Wydawało mu się, że Torgunowie nie okazują swojemu smokowi dość szacunku, i powiedział ojcu, że gdy sam zostanie wodzem, osadzi kość Kahg w najczystszej złocie i ozdobi klejnotami.

Norgaard wyjaśnił mu wtedy, dlaczego byłby to błąd. Gdy Skylan wziął teraz do ręki rzemyk i delikatnie zdejmował kość z kołka, przypomniał sobie słowa ojca i wreszcie pojął kryjącą się w nich mądrość: „Jeśli wróg wdrze się na pokład naszego okrętu i zobaczy jakąś kość wiszącą na drewnianym kołku, drugi raz już na nią nie spojrzy. A co robi, Skylanie, wróg, który ujrzy kość ozdobioną złotem i drogimi kamieniami?”

– Ukradnie ją – szepnął Skylan, powtarzając swoją odpowiedź z dzieciństwa.

Ogry nie czciły Vindrash. Ich szamani nie umieli zavezwać smoków, a zresztą nawet gdyby im się to udało, żaden smok nie zniżyłby się do pomagania ogrom, przynajmniej tak

chciał myśleć Skylan. Jednak widząc kość oprawioną w złoto i klejnoty, ogr wzięły ją dla samej oprawy. Zwykłej kości nawet pewnie nie zauważyli.

Zdjął rzemyk i już wieszał go na szyi, gdy coś usłyszał: obuta w ciężki but stopa, stawiana bardzo ostrożnie, niechcący stąpnęła na świder zostawiony na pokładzie. Świder wytoczył się spod podeszwy, a stopa poślizgnęła się i uderzyła głośniej w pokład.

Trzeci strażnik. Tuż za Skylanem.

Ogr ryknął głośno i wielkie łapska chwyciły Skylana. Zacisnęły się na jego klatce piersiowej i ogr uniósł go w powietrze.

Skylan czuł, że traci oddech. Posłyszał odgłos ledwie ułamek sekundy przed atakiem, ale zdążył jeszcze wyciągnąć nóż. Teraz jednak miał unieruchomione ramiona i nie mógł się nim posłużyć. Napiął mięśnie ramion, usiłując wyswobodzić się z uścisku ogra, ale ten, poczuwszy, że Skylan walczy, tylko stęknął i mocniej zacisnął łapska.

Chłopak z trudem oddychał. Głowę miał wciśniętą w potężną klatkę ogra, słyszał jego postękiwanie i czuł smród niemytego ciała. Wymachiwał nogami, próbując dotknąć pokładu, ale był zbyt wysoko. Za to gdy wyprostował z całych sił nogi, okazało się, że dziób znajduje się tuż pod jego stopami. Uderzając w dziób z desperacką mocą, głową pchnął ogra w klatkę. Przeciwnik runął na deski pokładu, a Skylan wylądował na jego wielkim brzuszysku. Durny olbrzym nie puszczał jednak.

Skylan kopnął kolanem w jego krocze, aż ogr ryknął z bólu i puścił wreszcie. Chłopak zerwał się na równe nogi i rzucił szybkie spojrzenie na statki ogrów.

Płoneły latarnie. Ogry biegały po pokładach, starając się dojrzeć w ciemności, kto wołał o pomoc, usiłując rozeznaczyć, co się dzieje. Kilku dojrzało Skylana i zaczęło wrzeszczeć jeden przez drugiego i wskazywać w jego stronę. W dziób okrętu wbiła się włócznia. Ledwie o dłoń od głowy syna wodza.

Skylan chwycił kość ducha i upewnił się, że jest bezpieczna na jego szyi, a potem popędził w stronę burty i skoczył w wodę. Żeby dotrzeć na brzeg, musi przepłynąć między dwoma statkami ogrów. Gdy spojrzał w górę, zobaczył ogra z trójzębem. Zanurkował. Trójzęb plusnął w wodę tuż obok.

Skylan płynął pod wodą tak długo, jak był w stanie wstrzymać oddech. W końcu jednak musiał wypłynąć na powierzchnię. Ogry tylko na to czekały. Na widok jego głowy zaczęły się drzeć wniebogłosy. Wokół niego w wodę posypały się włócznie. Skylan rozpaczliwie szukał brzegu; w ciemności zupełnie się pogubił. Jedna z włóczni dźgnęła go w nogę, ale spowolniony przez wodę cios nie zrobił mu wiele krzywdy. Akaria, niech będą jej dzięki, uniosła swą latarnię wysoko. Plaża zajaśniała srebrzyście, a Skylan nabrał powietrza i znów zanurkował.

Zdawało mu się, że słyszy pluski włóczni, ale nie miał pewności i było mu już wszystko jedno. Tracił siły. Fale niosły go same i w końcu poczuł pod stopami piaszczyste dno. Wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę brzegu. Za jego plecami przeraźliwie wrzeszczały ogry.

Wokół niego włócznie wbijały się w biały piasek, a on opadł na kolana i zaczął się czołgać. To był koniec. Nie był w stanie już dalej walczyć.

Zza wydmy wyłoniły się dwa cienie. Bjorn i Erdmun, nie bacząc na włócznie, rzucili się ku niemu przez piasek. Chwycili go za ramiona, unieśli i przeciągnęli przez całą plażę, aż za wydmy.

Skylan drżał z zimna. Bjorn zarzucił na niego płaszcz i zaczął go rozcierać.

– Masz kość ducha? – spytał Erdmun.

– Bez... niej... bym... nie wrócił – wystękał Skylan przez szcękające zęby.

Rozdział 11

Skylan zapadł w głęboki sen. Dłoń wciąż miał zaciśniętą na kości ducha. Bjorn i Erdmun ze wszystkich sił starali się go jakoś rozgrzać. Bez skutku. Usiłowali go obudzić, ale nie odzyskiwał przytomności. Chcieli wyciągnąć mu z dłoni kość, ale nie puszczał jej nawet we śnie. W końcu, zupełnie nie wiedząc, co począć, zaciągnęli go do wsi, gdzie spotkali w pełni uzbrojonych ludzi.

Posłyszawszy okrzyki ogrów, wojownicy myśleli, że bitwa się już zaczęła. Uradowali się teraz na widok Skylana, a tym bardziej na wieść, że odzyskał kość ducha. Kiedy jednak nie obudził się od ich okrzyków ani nie poruszył nawet na głos ojca, zaczęli się niepokoić. Zapakowali go na drewniane nosze i zanieśli do domu Kapłanki Kości.

Garn czekał z Aylaen i Treią w ich małym domu. Usłyszawszy krzyki, chwycił za toporek.

– Czy to ogry? – spytała spokojnie Treia.

Garn nasłuchiwał.

– Nie wydaje mi się. Ale coś się stało. Pójdę zobaczyć. – Wyrzwał na zewnątrz. – Zaraz wrócę – rzucił im przez ramię. – Poczekajcie tutaj!

Aylaen popatrzyła na siostrę. Treia w ogóle nie wyglądała na przestraszoną. Siedziała na krzeselku z założonymi rękami. Zdawało się wręcz, że odczuwa ulgę.

– To Skylan! – zawołał radośnie Garn.

Aylaen podeszła do drzwi.

– Ma kość ducha! – oznajmił Garn. – Norgaard prosi twoją siostrę, by przygotowała się do ceremonii zawezwania smoka.

– Czy nic mu nie jest? – spytała Aylaen, bo nie umknęło jej uwadze, że Garn się czymś martwi.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Coś jest nie tak. Zapadł w jakiś dziwny sen i nie można go dobudzić. Idę do niego.

Nim Aylaen zdołała cokolwiek powiedzieć, już go nie było. Odwróciła się do siostry.

– Słyszałaś?

Treia przytaknęła.

– Zamknij drzwi.

Aylaen popatrzyła na nią, nie rozumiejąc.

– Ale oni zaraz tu będą...

– Powiedziałam: zamknij drzwi – syknęła Treia. Aylaen zrobiła, jak nakazała jej siostra, i zatrzasknęła ciężkie drzwi.

Jedynym źródłem światła było w ich domu palenisko, ale teraz ledwo się tliło. Błada twarz Trei lśniła dziwnie w ciemności. Aylaen usiadła obok siostry, wyciągnęła rękę i chwyciła jej dłoń.

– Treiu – szepnęła. – Co się dzieje?

Kapłanka nawet na nią nie spojrzała. Wpatrywała się w ciemność.

– Gdy próbowałam wezwać smoka Kahg, nie pojawił się – odpowiedziała.

– Sama przecież mówiłaś, że był zły na nas – przypomniała jej Aylaen. – Na to, że wojownicy nie znaleźli żadnych klejnotów...

Treia pokręciła głową.

– Kłamałam. Vindrash nie odzywa się do mnie. Jak mam wezwać smoka, jeśli Smokini nie odpowiada na moje modlitwy? Poza tym ten posąg...

– Treiu, on tylko pękł...

– Pękł, kiedy go dotknęłam.

Aylaen przeraziła się, ale próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Garn ma rację. To było stare drewno...

Treia machnęła na nią złą i zniecierpliwioną.

Aylaen kochała i podziwiała siostrę, lecz jednocześnie bała się jej trochę. Treia była taka mądra, tyle wiedziała. Zawsze myślała o rzeczach tak poważnych, a jej słowa były tak skomplikowane. Aylaen wolałaby, żeby życie było proste. Chciała tylko móc kochać Garna i być przezeń kochaną. Bogowie także chcieli, żeby życie było proste. Aylaen zawsze czuła się bardzo bliska bogom, może dlatego że jako mała dziewczynka bez końca wymyślała różne historie o nich i opowiadała je swoim przyjaciołom.

Opuszczona przez ukochanego ojca, źle traktowana przez ojczyma i zapomniana przez pogrążoną w żałobie matkę Aylaen znalazła ojca w Torwalu, który chronił ją przed ciężką ręką Sigurda, a do Vindrash garnęła się jak do własnej matki. Bogini pozwalała jej siadać sobie między skrzydłami i unosiła ją aż pod samo niebo.

Aylaen usłyszała głosy na zewnątrz. Mężczyźni byli już blisko. Nieśli nieprzytomnego Skylana i świętą kość ducha.

Treia nawet się nie poruszyła.

Aylaen westchnęła. Ścisnęła zimną dłoń siostry.

– Skylan zaryzykował życie, by odzyskać kość ducha – szepnęła. – Musisz przynajmniej spróbować wezwać smoka, Treiu.

– I pozwolić, by znów zobaczyli, jak mi się nie udaje? – spytała rozgoryczona Treia.

– Uda ci się – zapewniła ją Aylaen. – Bogowie wiedzą przecież o naszych kłopotach. Przyjdą nam z pomocą.

Treia podniosła na nią zamglone oczy. Aylaen nieraz wyobrażała sobie, jak to musi być – spoglądać na świat oczami, które nie wszystko widzą. Treia powiedziała jej kiedyś, że widzi wszystko lekko zamazane, jakby ktoś przetarł cały świat mokrą szmatą.

– Miałam tylko dwanaście lat, gdy Kapłanka Kai zabrała mnie do siebie – szepnęła Treia, a słowa zdawały się wypływać z jej ust w jakimś strasznym, pełnym goryczy strumieniu. – Tylko dwanaście. Byłam całkiem sama w obcym miejscu. Mieszkałam z obcymi ludźmi, którzy mieli mnie w nosie. Draï zawsze coś się nie podobało. W jej oczach nigdy nie zrobiłam nic dość dobrze. Zresztą myślała tylko o tych swoich bogach. Od rana do nocy wciąż głądziła o bogach. Jej mąż, Horg, to ostatni pijak. Wciąż próbował się do mnie dobierać. Kiedyś, gdy miałam zaledwie czternaście lat, obłąpił mnie tymi swoimi paskudnymi łapami. Traktowali mnie jak niewolnicę. Sprzątałam, czyściłam i gotowałam. I bez końca musiałam wysłuchiwać tych bujd o bogach. Draya w kółko o nich nadawała, aż mi się chciało wyć. I jeszcze ci chorzy! Musiałam pomagać kapłankom, które ich uzdrawiały, co tak naprawdę oznaczało, że to ja musiałam odwalać całą tę obrzydliwą robotę, gdy one tylko się modliły. Wciąż czuję smród psującego się ciała, wymiocin, ropy sączącej się z gnijących ran. Pragnęłam już tylko, żeby pozdychali wreszcie. Chciałam, żeby wszyscy oni umarli...

– Treiu, przestań! – Aylaen wyrwał się okrzyk przerażenia.

Treia zamilkła. Aylaen słyszała szepty mężczyzn na dworze. Zastali zamknięte drzwi i zachodzili w głowę, co się stało.

– Kapłanko Kości, otwórz nam! – krzyknął Garn. Jego głos pełen był szacunku, ale czaiło się w nim coś więcej.

– Wpuszczę ich do środka, Treiu, dobrze? – spytała niepewnie Aylaen.

Treia siedziała z dłońmi opartymi na kolanach. Twarz miała jak wyciosaną z granitu, usta zaciśnięte. Nagle wstała, odepchnęła Aylaen i podeszła do drzwi. Otworzyła je na oścież i stanęła w progu, obrzucając spojrzeniem wojowników i nieprzytomnego Skylana, który leżał na płaszczu na noszach.

– Wnieście go do środka – rozkazała.

Wojownicy podnieśli Skylana i weszli do domku, gdzie położyli go na łóżku – drewnianej platformie wyściełanej poduszkami.

– Wracajcie do swoich domów – powiedziała Treia. – Nic tu już nie zdziałacie.

– Kapłanka ma rację – zgodził się Garn. – Wróćcie do domu i starajcie się przespać przed jutrzejszą bitwą.

Wojownicy wyszli. Niektórzy, by chwilę pospać, ale większość, by przyszykować się do walki.

Treia spojrzała pytająco na Garna, który rozsiadł się w kącie.

– Ja zostaję – odrzekł po prostu.

Treia wzruszyła ramionami. Przyklękła przy Skylenie i rozkazała Aylaen przynieść świecę. Aylaen zapaliła świeczkę i uniosła ją nad Skylanem. Jego usta były niebieskawe. Ciałem co chwila wstrząsał dreszcz. W dłoni zaciskał kość ducha. Treia położyła mu dłoń na piersi.

– Jego serce jest słabe. Trzeba go ogrzać – powiedziała. – Rozpalcie ognisko. Przykryjcie go kocami i futrami. Przygotuję w tym czasie miksturę, która rozgrzeje jego krew.

Zdezorientowany Garn rzucił okiem na Aylaen, ale unikała jego wzroku, udając, że jest zajęta zbieraniem koców. Wybuch siostry pozostawił w jej duszy bolesną ranę. Zawsze wyobrażała sobie, że życie Trei w Vindraholmie upływało w ciszy i modlitewnym skupieniu. Wyobrażała sobie, jak Treia była tam kochana, szanowana i otaczana najczulszą opieką. Kapłanki Kości cieszyły się wśród Vindrasów niezwykłym poważaniem. W tych kilku pełnych goryczy słowach Treia zdołała roztrzaskać w pył złudzenia Aylaen i ukazać jej życie pełne samotności, strachu i nędzy.

Aylaen targały wyrzuty sumienia. Przy ojczymie jej życie nie było lekkie – Sigurd był trudnym człowiekiem. Ale miała wspaniałych przyjaciół, Garna i Skyłana. Treia nie miała nikogo.

Treia przykucnęła przy kociołku, mieszając w nim różne zioła. Aylaen przytuliła policzek do policzka siostry i otuliła ją ramionami. Treia zeszywniała i zdawało się, że odepchnie siostrę, ale coś sprawiło, że zmieniła zdanie. Na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech. Dotknęła dłoni siostry i zaraz wróciła do pracy.

Garn naznosił drwa i rozpałił ogień tak duży, że z trudem można było wytrzymać w nagrzanym pomieszczeniu. Aylaen starannie otuliła Skyłana kocami i futrami. Nadal jednak spał dziwnym, nieprzerwanym snem.

– Wciąż jest zimny – westchnęła.

Spojrzała w upiornie bladą twarz przyjaciela i pogłaskała go delikatnie po mokrych włosach. Skyłan był jej tak drogi. Był po Garnie drugą najbliższą jej sercu osobą.

– Treia powinna poprosić o pomoc bogów – powiedział Garn.

Zażenowana Aylaen obejrzała się w stronę siostry, ale Treia była zbyt zajęta, by usłyszeć słowa Garna.

– Jestem pewna, że sama wie najlepiej, co ma robić – szepnęła i szybko zmieniła temat. – To było bardzo odważne. Ale i bardzo głupie. – Pokręciła głową z troskliwą irytacją. – Powinien był wysłać kogoś innego, kogoś, kto nie był tak ciężko ranny.

– Skyłan jest Wodzem Wojennym – odrzekł Garn. – Miał prawo podjąć to ryzyko.

Aylaen wyczuła w jego głosie wszystko, czego nie powiedział. Tak naprawdę myślał to, co i ona, ale prędzej dałby się porąbać, niż powiedziałby cokolwiek złego o najdroższym przyjacielu.

– I za to właśnie cię kocham – szepnęła Aylaen i musnęła ustami jego ramię, gdy wstawała, żeby zobaczyć, jak może pomóc Trei.

– Potrzyмай. – Siostra podała Aylaen róg do picia.

W kociołku bulgotał płyn przejrzysty jak woda. Treia zanurzyła chochlę i nalała nieco do rogu.

Aylaen spojrziała na to z powątpiewaniem.

– Co to?

– Nazywają to winem chlebowym – wyjaśniła Treia. – Jest jak wino, ale nie robi się go z winogron, tylko z ziaren. Sekretna receptura znana jest tylko Kapłance Kai. Draya dała mi trochę.

– Wygląda jak zwykła woda – powiedziała Aylaen. – Jesteś pewna, że go rozgrzeje?

– Ogrzeje całe jego wnętrze – odrzekła oschle Treia. – Sama spróbuj.

Aylaen dotknęła ustami krawędzi rogu i wzięła niewielki łyk. Łzy stanęły jej w oczach, straciła dech w piersiach i strasznie się zakrztusiła. Treia miała rację. Płyn spalił jej język, gardło i nawet żołądek.

– Unieś mu głowę – rozkazała Garnowi kapłanka.

Przycisnęła róg do ust Skylana i bez wahania odgięła mu głowę do tyłu. Płyn spłynął mu do ust i dalej do gardła. Skylan zakrztusił się i wypluł większość, ale Treia znów wlała mu trochę.

Gdy róg był już pusty, Garn położył przyjaciela na łóżko.

– I co teraz? – spytał.

– Błądzi po Nethervoldzie. – Treia wzruszyła ramionami. – Albo odnajdzie drogę do domu, albo nie.

Ciemne fale przelewały się nad głową Skylana. Płynął i płynął, ale brzeg wciąż był daleko. Było mu zimno, był przemarznięty do szpiku kości i wykończony. Mimo dręczącego bólu płynął dalej, bo odzyskał przecież kość ducha, a jego lud potrzebował smoka. Płynął tak, aż w końcu przestał czuć ramiona i nogi. Był zmęczony. Bardzo zmęczony. Już prościej byłoby umrzeć. Zaczął tonąć...

Stopami dotknął piaszczystego dna. Zdołał wyjść chwiejnym krokiem na brzeg. Zapłakał z ulgi. Padły na niego ogrzewające promienie słońca. Wylądował na dziwnym brzegu. Nie poznawał tego miejsca. Wysoko nad nim wznosiły się białe klify. Musiał zadrzeć głowę, by zobaczyć ich szczyty. Po błękitnym niebie szybowwały orły.

Nagi Skylan ruszył brzegiem w poszukiwaniu okrętu, łodzi, tratwy... czegokolwiek. Musiał przecież wrócić natychmiast do swoich ludzi. Nim będzie za późno.

U stóp białego klifu zamajaczyła mu jaskinia. Przed nią, na kamieniu, siedział mężczyzna odwrócony do Skylana plecami. Młodzieniec podszedł bliżej i zobaczył, że jest to wojownik, i to ważny, może wódz jakiegoś zamożnego klanu. Na głowie miał hełm zdobiony smoczymi skrzydłami, odziany był w zbroję płytową oraz kolczugę jasną i lśniącą w słonecznym

światle. Jego tarcza leżała obok na ziemi. Była niebiesko-złota. Wojownik przypasany miał piękny miecz dwuręczny.

– Witaj, panie! – zawołał Skylan, by wojownik nie pomyślał przypadkiem, że próbuje go podstępnie podejść.

Wódz odwrócił się i Skylan ze zdumieniem skonstatował, że ten szlachetny pan pochyła się nad płaskim kamieniem, na którym smaży sobie ryby.

Skylan stał z dłonią na piersi, by wyrazić szacunek, ale nie mógł się powstrzymać od wlepiania wzroku w ryby.

Zbroja tego człowieka była niezwykle kosztowna. Tego miecza nie powstydziliby się najpotężniejszy król. Co robił tak dostojny wojownik sam, na pustej plaży, gotując sobie obiad jak prosty rybak?

Wojownik miał długie, siwe włosy, orli nos i czujne spojrzenie, silną szczękę i ostro zarysowany podbródek; był ogolony. Był stary, znacznie starszy niż Norgaard, a Skylan nigdy nie widział starszego mężczyzny. W jego oczach, skrytych pod grubymi brwiami, płonął niebieski ogień. Zdawało się, że jest w stanie przejrzeć Skylana na wylot.

– Wybacz moją nagość, panie – powiedział zawstydzony Skylan. – Zabłąkałem się na morzu. Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie znajdę jakąś łódź? Mój lud idzie jutro na wojnę z ogrami. Muszę tam być.

– Wiem wszystko o twoim ludzie – odburknął wojownik. – Wiem też o ograch, niech ich Freilis weźmie i nakarmi nimi swoje demony. Wiem wszystko o tobie, Skylanie Ivorsonie. Ale ty wiesz o mnie tyle co nic, choć nosisz na szyi mój topór i co chwilę zawracasz mi głowę swoimi modłami.

Skylan zamarł. Stał bez ruchu, wpatrzony w swojego rozmówcę.

– Torval! – wyszeptał. Nie powstrzymał się i dodał zdumiony: – Smażący sobie ryby?

– Co to ma do rzeczy? Przecież nie będę ich jadł na surowo. – Bóg obrzucił Skylana nieprzychylnym spojrzeniem. – Bezcelny z ciebie szczeniak, Skylanie.

Skylan zaczerwienił się, nie wiedząc, co powiedzieć. Torval, Bóg-Wojownik, powinien zasiadać na tronie w Komnacie Bohaterów, pić i ucztować z dzielnymi wojownikami, którzy polegli w bitwach i którzy staną przy jego boku w ostatniej wielkiej wojnie na końcu czasu. Zamiast tego siedział tu samotnie na pustej plaży i smażył ryby.

– Czczę cię, Torvalu, z całego... – zaczął Skylan.

Torval podrapał się po brodzie.

– Twierdzisz, że we mnie wierzysz. Założę się jednak, że przede wszystkim jesteś zadufany w sobie.

Skylan zaczerwienił się jeszcze bardziej. Zawsze marzył o tym, by stanąć przed Torwalem, a teraz nagle robił i mówił wszystko nie tak, jak powinien.

– Klnę się na ciebie, Torvalu...

– Tak, tak – przerwał mu Torval zmęczonym głosem. Wyglądał nagle bardzo staro. – Nie mamy dużo czasu. Wrogowie depczą mi po piętach. Nie mogę zostać tu zbyt długo. Nigdzie nie mogę zostać zbyt długo.

– Czyli ogry mówiły prawdę! – zrozumiał nagle Skylan. – Bogowie Vindrasów przegrali bitwę...

– Nie zsikałem się ze strachu i nie zwiąłem! – ryknął Torval. – Żyję też, jak widzisz. Wbrew temu, co o mnie mówią. Ale... zginęła moja kochana Desiria. – W oczach zamigotały mu łzy, ale zaraz zacisnął pięści ze złości i odegnał rozpacz. – My, bogowie, nie zaprzestaniemy walki. A przynajmniej część z nas... bo pojęcia nie mam, gdzie się podziewa ten tchórz Joabis. Zawsze miałem na ciebie oko, Skylenie Ivorsonie. Podoba mi się to, co widzę. Większość w każdym razie. Nie wszystko. – Wzruszył ramionami. – Ale jednak większość mi się podoba.

Skylan padł na kolana.

– Jestem narzędziem w twoich rękach, panie.

– Jutro musisz walczyć w bitwie o Torques Vektyjski – rzekł bóg. – Bez tego nie przetrwa lud Vindrasów. I dlatego właśnie uczynię dla ciebie coś, czego nie zrobiłem jeszcze dla żadnego śmiertelnika. Poskładam cię do kupy.

– Dziękuję ci, Torvalu – zawołał w uniesieniu Skylan. – Nie zawiodę twego zaufania!

– To się jeszcze okaże – odburknął bóg. – Jestem trudnym panem, jak się wkrótce przekonasz. A teraz masz, wypij to.

Podał Skylanowi róg. W środku był płyn jasny jak woda. Skylan wypił go jednym tchem. Zaczął się krztusić tak bardzo, że aż mu oczy zaszczyły łzami. Nic zupełnie nie widział. Gdy wreszcie był w stanie znów normalnie oddychać, Torvala już nie było.

– Co się dzieje? Co się stało? – zawołał Garn, budząc się nagle.

Ze wszystkich sił usiłował nie zasnąć, ale był wykończony po całym dniu. Oparł się o ścianę tuż przy Skylenie i zamierzał mieć cały czas oko na niego, ale sen zakradł się podstępnie i porwał go bez walki.

Garn spojrzał w okno. Niebo było wciąż ciemne, a gwiazdy świeciły jasno. Do świtu było jeszcze daleko.

– Oddycha normalnie – szepnęła Aylaen. – Ma ciepłą skórę. Treia miała rację. Sama spójrz, siostrzyczko!

Treia podeszła do łóżka. Pochyliła się, położyła dłoń na czole Skylana, potem na jego piersiach. Uśmiechnął się i wypuścił kość ducha.

– Torvalu – wymamrotał. – Jestem narzędziem w twoich rękach.

– Twoje modlitwy podziałały, Treiu! – cieszyła się Aylaen. – Ogry kłamały. Nasi bogowie nie umarli. Złamany posąg to tylko złamane drewno.

– Nie modliłam się – syknęła Treia. Uniosła głowę Skylana i zdjęła z jego szyi kość ducha. – Idę do świątyni Vindrash – oświadczyła, chwytając pochodnię. – Sama – dodała z naciskiem, na wypadek gdyby Garn chciał ją odprowadzić. – Nic mi nie będzie. W końcu bogowie są przecież ze mną.

Aylaen aż się wzdrygnęła na ten sarkastyczny ton. Miała tylko nadzieję, że Garn go nie zauważył.

– Pójdę tylko do Norgaarda i przekażę mu dobrą wiadomość, a potem od razu wrócę tu do was – powiedział ponuro Garn.

Wyszedł i pobiegł do wsi. Treia wymknęła się z domu. Pochłoneła ją ciemność nocy. Zaciskając palce na kości ducha, pomyślała, że najchętniej by ją złamała, zgmiotła. Wzrok wbiła w ziemię, by słabymi oczyma dojrzeć ścieżkę i się nie potknąć. Płomień pochodni drżał na wietrze.

Aylaen patrzyła za nią, aż wreszcie światło pochodni zniknęło i miała pewność, że Treia bezpiecznie dotarła do świątyni. Wzdychając, Aylaen zamknęła drzwi. Poprawiła koc Skylana, otulając starannie jego ramiona. Dołożyła drwa do ognia. W pokoju było bardzo ciepło, aż i ona zrobiła się senna. Musi coś zrobić, żeby nie zasnąć. Gdy Skylan się wreszcie obudzi, będzie głodny. Garnowi udało się przynieść im nieco mięsa z dzika. Aylaen wrzuciła je do garnka i zaczęła wkrajać tam warzywa. Skupiona na pracy poczuła nagle, że ktoś jeszcze jest w pokoju, ale nie przestraszyła się. Ten ktoś był pełen ciepła i miłości, niósł pocieszenie jak wino chlebowe.

– Treiu? To ty? – spytała Aylaen. Odwróciła się tak nagle, że mało nie zacięła się nożem. – Nie słyszałam, jak weszłaś...

Ale drzwi były zamknięte, a pokój pusty. Aylaen spojrzała na Skylana pogrążonego w głębokim, spokojnym śnie. Dokończyła szykowanie posiłku i usiadła. Przypomniała jej się tamta noc, gdy była jeszcze małą dziewczynką i uciekła od Sigurda i jego pięści. Zgubiła się wtedy w lesie. Była przerażona. Zaczęła płakać. Nagle poczuła czyjąś obecność – tak jak teraz był to ktoś kochany i niosący ukojenie. Jakby okryły ją czyjeś skrzydła, jakby otuliły ją troskliwie, by była bezpieczna. Zasnęła.

Obudziła się raptownie.

– Vindrash – wyszeptała. – Nie jestem twoją kapłanką. Wiem, że nie jestem godna, by cię o cokolwiek prosić, ale w swej nieskończonej miłości do naszego ludu wysłuchaj dziś modłów Trei!

Rozdział 12

Skylan obudził się tuż przed świtem. Nogi miał jak z waty, w głowie mu ćmiło. Czuł się, jakby spędził całą noc na pijatykach, a nie na walce z ogrami. Odruchowo sięgnął po kość ducha, a nie znalazłszy jej na swojej szyi, otworzył oczy w panice i usiadł.

– Uspokój się – powiedział z uśmiechem Garn. – Ma ją Treia. Poszła już wezwać smoka Kahg.

Skylan odetchnął z ulgą. Postawił stopy na ziemi i drgnął.

– Jak noga? – spytał Garn.

– Odrętwiała – przyznał Skylan. – Ale to nie noga mnie boli – dodał, sam tego nie pojmując. – Głowa mi pęka. Czuję się tak, jakbym całą noc pływał w piwie, a nie w morzu.

– To pewnie przez to wino chlebowe, które dała ci Treia – stwierdził Garn.

– Miało obrzydliwy smak – zauważyła Aylaen. – Po jego wypiciu zapadłeś w głęboki sen i wzywałeś Torvala.

– Nigdy nic mi się nie śni – odburknął z pogardą Skylan. – Spytaj Garna.

– To prawda – zgodził się Garn i wzruszył ramionami. – A przynajmniej nie pamięta swoich snów.

– Wszyscy mają jakieś sny – upierała się Aylaen.

– Nie ja – odrzekł Skylan i rozejrzał się po pomieszczeniu, szarym w nikłym świetle poranka. – Gdzie jestem?

– W domu mojej siostry – powiedziała Aylaen i podała mu miskę z potrawką i pajdę chleba.

Skylan podejrzliwie powąchał jedzenie.

– Ty to gotowałaś? – Mrugnął do Garna. – Może powinienem poprosić wpierw ciebie, żebyś spróbował, tak jak robią to ogry, bo inaczej jeszcze mnie Aylaen otruje.

– Nie to nie, zabieram jedzenie – obraziła się Aylaen i sięgnęła po miskę.

Skylan ją wyrwał, zamoczył chleb w sosie i zaczął łapczywie zajadać.

Aylaen podała miskę Garnowi. Gdy brał ją z jej rąk, ich palce się spotkały.

– Niech Torval będzie dziś z wami – szepnęła.

– Będzie – zapewnił ją Skylan, pakując sobie do ust mięso i chleb.

Podniósł głowę znad miski i spojrzał na Aylaen, która stała tuż przy Garnie i opierała dłoń na jego ramieniu. Czując na sobie wzrok Skylana, spłonila się i zabrała dłoń. Garn odchrząknął i odsunął się nieco.

Skylan aż przestał jeść.

– Wy...

– Co my? – przerwał mu Garn z napięciem w głosie.

Skylan uśmiechnął się.

– Nic. Wy oboje naraz tak z rana... Mój brat i moja narzeczona... tuż przy mnie. Z wami jestem po prostu szczęśliwy. Nic poza tym. – Oddał Aylaen pustą miskę. – W każdym razie na pewno nie żenię się z tobą dla twojej kuchni – zażartował.

Aylaen znów się zarumieniła. Wzięła miskę do ręki i odłożyła ją bezmyślnie, nie wiedząc, co z nią robi. Garn otworzył drzwi i wziął głęboki oddech. Bogini słońca Aylis nie wstała jeszcze, ale zza drzew wymykały się już pierwsze płomyki jej pochodni, rozświetlając niebo na wschodzie, aż gwiazdy blakły z pokorą.

– Zapowiada się idealny dzień na walkę – rzekł Skylan.

Narzucił sobie koc na ramiona i wstał. Pod ciężarem ciała rana znów zaczęła boleć, ale noga była już dość silna.

– Przyniosłem ci trochę ubrań. – Garn wskazał dłonią na kąt łóżka. – I broń, zbroję, tarczę...

– Coś ty taki ponury, bracie – przekomarzał się z nim Skylan, nakładając tunikę. – Rozchmurz się! Dziś będzie bitwa!

Ubrał się prędko, wskakując w spodnie, wciskając buty na nogi, szybko wiążąc rzemyki wokół łydek. Garn pomógł mu przywdziać zbroję. Skylan przypasał miecz, nałożył hełm, który należał jeszcze do jego ojca, i chwycił tarczę. Na końcu – tak jak zawsze przed bitwą – dotknął z szacunkiem swego srebrnego toporka i pomodlił się do Torwała.

– Idę do wojowników – oświadczył. – Garn, ty leć do świątyni Vindrash i przyprowadź Kapłankę Kości na pole bitwy.

Garn kiwnął głową w milczeniu. Skylanowi znów się wydawało, że przyjaciel jest jakiś dziwnie posepny. Poklepał go po ramieniu.

– Aylaen mówi, że przez sen gadałem z Torvalem. Choć nigdy nie śnię, to musi być dobry znak, nie? – powiedział, starając się go pocieszyć. – Jeszcze dziś odzyskamy Torques Vektyjski. – Głos Skylana nagle stał się złowieszczy, a oczy błysnęły dziko. – A gdy już będzie znów w naszych rękach, sam pójdę z nim do tego łajdaka Horga i wcisnę mu go w dupę!

– Chyba raczej powinieneś użyć do tego włóczni, a nie świętego torquesu – zauważył Garn.

Skylan roześmiał się i uściśnął przyjaciela. Potem próbował bezskutecznie namówić Aylaen, by dała mu całusa na pożegnanie.

– Idę z tobą – powiedziała twardo, odepchnawszy go.

– Nigdzie nie idziesz. Za późno już, żebyś mogła się schronić w górach, ale zostaniesz przynajmniej w domu. Będziesz tu bezpieczna.

– On ma rację... – zaczął Garn.

Aylaen zacisnęła usta, uniosła brodę, zgrzytnęła zębami. Jej rude włosy zdawały się unosić jak żywe. Zielone oczy błysnęły groźnie. Chłopcy aż za dobrze wiedzieli, co to oznacza, i spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Mogę albo walczyć z nią, albo z ogami – jęknął Skylan do Garna. – Nie mam czasu na wszystko naraz. Ty się nią zajmij i dopilnuj, żeby nic jej się nie stało.

Pośpieszył do swoich obowiązków, utykając lekko. Był pełen energii i nadziei. Gdy płomienie pochodni bogini słońca zaczęły przeganiać poranne chmury, rozbrzmiała jego pieśń wojenna.

Garn ruszył szybko w stronę świątyni Vindrash. Zrobił to, nim Aylaen się zorientowała, i musiała potem biec za nim, by go dogonić. Nie mogła wziąć go za rękę, bo w prawej miał włócznię, a w lewej tarczę. Oparła więc dłoń na jego ramieniu, ale się odsunął.

– Powinnaś wrócić do domu Trei – powiedział.

– Jesteś na mnie wściekły – szepnęła.

Szedł coraz szybciej, bo pochodnia bogini słońca zalewała błękitne niebo złotymi promieniami. Wojownicy pewnie już się zbierają, ustawiają w szyku bojowym, formują ścianę tarcz.

Aylaen spojrzała w cudne niebo i szepnęła:

– Bez smoka nie zwyciężycie. Nawet Skylan nic tu nie poradzi. Zginiecie.

– Niemal wydałaś nasz sekret – syknął Garn.

– Nie chciałam...

– Doprawdy? – Spojrzał na nią ostro.

Zarumieniła się. Najpierw zamierzała po prostu wyprzeć się wszystkiego, ale nagle uświadomiła sobie, że to bez sensu.

– Dobrze więc: masz rację. Ale dlaczego mu nie powiedzieć? – Nagle napadła na niego ze złością, która zupełnie go zaskoczyła. – Czy wyście wszyscy poszaleli? Skylan śpiewa wojenną pieśń i wygaduje jakieś bzdury o tym, że chce polec w chwale. A ja ci mówię o śmierci, Garn. Możesz umrzeć jeszcze dziś! Nie jestem głupia. Ogry mają przewagę. Wiem, że jeśli Kahg nie będzie walczyć z wami, ty, Skylan i pozostali nie macie żadnych szans. Wiem, że to mogą być nasze ostatnie chwile razem. Może utracę cię na zawsze jeszcze dziś, kochany. Wiem o tym i ta myśl jest nie do zniesienia.

Złość zniknęła z twarzy Garna. Aylaen splotła ręce na piersi, skuliła się pod swoim płaszczem.

– A gdy zginą wszyscy wojowie, co się stanie z nami, kobietami? – spytała z goryczą. – Wy nigdy o tym nie myślicie! Cieszycie się na myśl o ujrzeniu Torwała w jego Komnacie

Bohaterów, o śpiewaniu mu pieśni wojennych i wspomnianiu waszych walecznych czynów. A ja jeszcze tej nocy będę leżała na ziemi ze związanymi rękoma, a nade mną będzie sapał jakiś spasiony ogr...

– Aylaen, przestań! – Garn rzucił tarczę i broń na ziemię, chwycił ją w ramiona i przytulił mocno. Poczul, że cała drży.

– Wiesz, że mam rację. – Rozplakała się i odepchnęła go. – Wiesz, że kobiety wcale nie są bezpieczne w górach. Ogry nas znajdują. Zabijają dzieci i starców, a nas wezmą do niewoli. Potem zabiorą nas do swojej krainy, gdzie będą nas bić i gwałcić tak długo, aż pomrzemy wszystkie. A ty i Skylan idziecie do walki z pieśnią na ustach!

Chciała, żeby cierpiał, i osiągnęła swój cel. Garn zbladł. Był już nieraz na wyprawach łupieżczych i wiedział lepiej od Aylaen, jak bardzo cierpiały kobiety z rąk najeźdźców. Dawniej Vindrasi brali niewolników, ale zaprzestali tej praktyki. Jeńców trzeba było pilnować na statku, a w dodatku dzielić się z nimi cenną żywnością. Mimo to jednak zwycięski wojownik mógł przecież schwycić kobietę, zaspokoić swoją chuć, a potem ją porzucić.

– Dlatego chcę być na polu walki, a nie w górach – oświadczyła Aylaen.

Odchyliła płaszcz. Pod spodem miała topór wojenny, którego trzonek zatknęła za pas na swej smukłej talii. Uśmiechnęła się do niego odważnie.

– Myślisz, że Torval przyjmie mnie do swej komnaty?

Garn nie był w stanie nic powiedzieć. Emocje chwyciły go za gardło, odebrały mu głos. Przyciągnął ją tylko do siebie i ucałował w czoło.

– Przepraszam, że się na ciebie gniewałem – szepnął.

– Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że się kochamy – odpowiedziała. – Nie chcę wciąż bać się każdego swego słowa, wciąż się pilnować. Nie chcę musieć wymykać się chyłkiem na spotkanie z tobą... – Przerwała nagle. – Coś się pali!

Zaniepokojeni spojrzeli w stronę świątyni Vindrash. Zobaczyli dym, ale nie widzieli, co płonie.

Garn chwycił broń i pobiegli w stronę ognia. Oboje pomyśleli o tym samym: ogry znalazły świątynię i ją podpaliły. Aylaen zaczęła wołać siostrę, ale nikt jej nie odpowiedział.

Gdy dobiegli wreszcie na miejsce, stanęli zdumieni i przerażeni. Płomienie pochłaniały posąg Vindrash. Obok stała Treia i patrzyła na ogień. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Garn podbiegł jeszcze, chcąc ratować posąg, wyrwać go jakoś płomieniom, ale od razu się zorientował, że jest już za późno. Drewno było nie tylko stare, ale i świetnie naoliwione, bo do obowiązków Kapłanki Kości należało codzienne, rytualne nacieranie go olejkami. Trzaskały płomienie, a Smokini zniknęła w oczach.

– Pomnik pękł – powiedziała Treia, nawet się na nich nie oglądając.

Aylaen zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Spojrzała na Garna.

– Już czas – rzekł szorstko. – Musimy się spieszyć.

Kazał iść im przodem i podążył za nimi z bronią w dłoni. Treia przyciskała do piersi kość ducha.

– Czy kiedykolwiek byłaś na polu bitwy? – spytała Aylaen.

Treia pokręciła głową.

– Ja też nie. Matka mówi, że mam szczęście, bo żaden wróg nie najechał nas od wielu lat, właściwie odkąd się urodziłam. – Zawahała się i spytała: – Czy Vindrash odpowiedziała na twoje modlitwy?

Treia zacisnęła usta. Po chwili, patrząc przed siebie, szepnęła:

– A jak myślisz, czemu spaliłam posąg?

Aylaen poczuła ucisk w żołądku i dziwną suchość w ustach. Zatrzęsła się od strachu. Bez smoka Torgunowie nie zwyciężą. Aylaen ledwie przed chwilą opowiadała o niewoli u ogrów, ale mówiła tak głównie po to, by zranić Garna, a tak naprawdę nie docierało do niej, jak straszny czeka ją los. Dopiero teraz uświadomiła to sobie w pełni i zrobiło jej się słabo ze strachu. Trzęsły jej się ręce; dłonie były mokre od potu. Mocniej chwyciła topór, żeby jej się nie wyslizgnął.

– Modliłam się do Vindrash o wysłuchanie twoich modlitw – powiedziała cicho, mając nadzieję, że to ucieszy siostrę.

Treia zbladła z wściekłości.

– Uważasz, że jestem do niczego.

– Nie, siostrzyczko! – zaprotestowała Aylaen. – Nigdy nie pomyślałam nawet czegoś takiego!

– I kto cię w ogóle tu prosił? Nie potrzebuję cię tu. Idź do domu. Tam będziesz bezpieczna – syknęła Treia i przyspieszyła kroku.

Aylaen patrzyła za nią z rozpaczą.

– Słyszałeś? – zwróciła się do Garna. – Bogini nie odpowiedziała!

– Nie mów o tym nikomu – odrzekł.

Skylan spotkał się ze swoimi wojami pod Domem Wodza. Wybrał sobie kilku ludzi na zwiadowców, a resztę posłał na pole, na którym miała się rozegrać bitwa, by zaczęli się już ustawiać w ścianę tarcz. Sam z kilkoma ludźmi wyruszył na zwiady. Wspięli się na wzgórze, z którego widać było zatokę. Ogry schodziły z okrętów na ląd. W przeciwieństwie do smoczycy okrętów, które były lekkie i miały tak zbudowany ster, że można je było niemalże wyciągnąć wprost na plażę, ciężkie statki ogrów musiały pozostać na głębokiej wodzie, a ogry wyskakiwały za burtę i płynęły do brzegu wplaw.

Torgunowie przystanęli, by popatrzeć na ogry brnące rozpaczliwie przez wodę. Fale były wysokie i Skylan bał się przez chwilę, że wściekła bogini morza potopi mu wrogów, zanim w ogóle dojdzie do bitwy. Akarii jednak wystarczyło chyba tylko pomęczenie ich, zalewanie falami, chwytanie za kostki i wciąganie ich w głąb morza.

Ogry nie znosiły morza, ale były dość silnymi pływakami. Choć niezdarnie, docierały w końcu do brzegu. Pierwsi, którzy wyszli na plażę, stanęli teraz w odstępach, by chronić dopływających jeszcze wojowników. Na małej łódce przyciągnęli broń, zbroje i tarcze. Jedni stali na straży, inni szykowali się do bitwy.

W łódce był też szaman. Oddech Akarii targał czarne pióra na jego czapce. W ręce trzymał wielką tykwę ozdobioną piórami, którą potrząsał nad wojownikami wychodzącymi na brzeg. Niektóre ogry spoglądały na niego krzywo, przewracały oczami albo wręcz posyłały mu spojrzenia pełne pogardy. Szamani ogrów zwyczajowo nie walczyli, i te ogry, które wciąż były wyznawcami starej religii, uważały, że ktoś, kto chowa się za spódnicą bogów, jest zwykłym tchórzem. Wielu wojowników jednak pochylało głowy i z szacunkiem dotykało tykwy.

Skylan roześmiał się i powiedział coś wulgarnego o tykwie i co mu ona przypomina. Wszyscy wojownicy zarechotali na ten sprośny dowcip prócz Erdmuna.

– Dużo ich – zauważył ponuro. – Mają sporą przewagę. Jest ich cztery razy tyle co nas.

– Mylisz się – odrzekł Skylan. – To my mamy przewagę. Jeden torguński wojownik wart jest pięć ogrów. Nasze siły są zatem tak potężne, że zastanawiam się właśnie, czy nie wysłać połowy naszych wojowników do domu.

Erdmun spojrział na niego zatrwożony i otworzył usta, żeby zaprotestować.

– On żartuje – uspokoił go brat. – Moglibyśmy zaatakować ich teraz, Skylan, póki jeszcze nie są w szyku.

Skylan już rozpatrzył tę możliwość i zrezygnował z niej. Może i jeden Torgun wart jest pięciu ogrów, ale jego grupa zwiadowcza była tak mała, że nie wyrządziliby tej armii żadnej krzywdy. Zmarnowaliby dużo siły i wiele włóczni, a pożytek byłby z tego niewielki. Lepiej stanąć z wrogiem twarzą w twarz na polu bitwy, ramię w ramię z pozostałymi wojami w ścianie tarcz.

– Norgaard mówił, że szaman nie walczy, ale co, jeśli będzie z nimi na polu? – zaczął się znów niepokoić Erdmun. – Może rzucić na nas urok albo nas oślepić, albo sprawić, że uschną nam ręce, albo...

Skylan roześmiał się i trącił Bjorna łokciem.

– Twój brat za dużo czasu spędza z Matką Sową. Zaczyna wierzyć w te jej wszystkie bajki! Miej się na baczności, Erdmunie, żeby ten czarny bocian nie potrząsnął nad tobą swoją „tykwą”. – Skylan chwycił się za krocze, by nie było wątpliwości, co ma na myśli. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a Erdmun zaczerwienił się, zły i rozgoryczony.

Potem Skylan poprowadził ich na pole, które wybrał na bitwę. Pozostali młodzi mężczyźni byli w tak wyśmienitym nastroju jak on – szli przecież walczyć. Oczywiście, że to groziło śmiercią, a żaden z nich nie chciał rozstawać się z tym światem, ale każdy musi przecież kiedyś umrzeć, a oni marzyli o tym, by stanąć przed obliczem Torvala i dołączyć do dumnych wojowników z Komnaty Bohaterów.

- Zamknij się, do cholery – warknął na brata Bjorn. – Przynosisz nam wstyd.
- Skyłanowi wydaje się, że jest bóg wie kim – mruknął Erdmun, ale tak cicho, żeby nikt nie słyszał.

Rozdział 13

Wojownicy zbierali się już na polu bitewnym – łące porastającej pagórek niedaleko wsi. Poniżej ziemia schodziła lekko w dół, po czym znów wznosiła się w mniejszy wzgórek bliżej skalistego potoku, który wpływał do morza. Skylan wybrał tę łąkę ze względu na zwodnicze ukształtowanie terenu. Wróg stojący na pagórku bliżej morza nie mógł zauważyć lekkiego wzniesienia. Bożypanowie pomyślał, że mogą puścić ogry pędem po dość płaskim polu. Dopiero kiedy armia będzie już w dole, dotrze do nich, że muszą walczyć, pnąc się pod górę.

Torgunowie powitali Skylana wesoło. Uśmiechnął się do swojej armii i uniósł miecz. Potem podszedł przywitać się z ojcem. Choć Norgaard musiał opierać się na lasce, zdecydował się być na polu walki.

– Lepiej już umrzeć z toporem w dłoni niż z gardłem poderżniętym w górskiej jaskini – powiedział.

Teraz uściskał syna serdecznie, a Skylan wzruszył się, gdy zobaczył w oczach ojca łzy dumy. Torgunowie wzniesli okrzyki na cześć ich obu, a potem zaintonowali wojenną pieśń. W żyłach grała im krew; byli gotowi do walki.

Byli źli na ogry; byli wściekli na Horga i Heudjunów. Chcieli walczyć w bitwie, której Horg tchórzliwie uniknął, i zwyciężyć. Aż do śmierci będą pamiętać wstyd, który opadł ich na widok bożypana stojącego w ich własnym Domu Wodza, śmiejącego się bezczelnie i trzymającego brudne łapska na świętym Torquesie Vektyjskim.

Skylan ustawił wojowników w ścianę tarcz.

Gdzieś w dalekich zakątkach Ilyrionu bywali ponoć wodzowie, którzy spędzali całe godziny na wymyślaniu podstępnych strategii wojennych. Ale nie tu. Nie w krainie Vindrasów.

Bitwa była rzeczą prostą. Torguńscy wojownicy ustawiali się w dwa szeregi. Zaprawieni w boju starsi wojowie stawali w tylnym rzędzie, by podjąć walkę, gdy wróg przebije się przez ścianę tarcz. Sigurd, Alfric Jednooki i inni mieli w dłoniach włócznie, każdy po kilka, lub wielkie wojenne topory, tak ciężkie, że trzeba było je trzymać obiema rękami. Nie mogli przecież mieć i broni, i tarcz, stali zatem za pierwszym rzędem utworzonym z młodych, żadnych walki wojowników. Młodzi stali ramię w ramię, tarcza w tarczę, tak by ochronić wojów za nimi.

Ci z drugiej linii ciskali włóczniami we wroga, a potem czekali na odpowiedni moment, by wyskoczyć zza ściany tarcz i wymachując toporem, odrąbywać nogi, ręce, rozłupywać czaszki.

Starsi z drugiego szeregu mieli też za zadanie „zachęcać” młodszych do walki, na wypadek gdyby opuściła ich nagle odwaga. To oni musieli dopilnować, by ktoś z pierwszego rzędu nie uciekł nagle i nie zrobił przez to wyrwy w ścianie. Niektórzy byli bardzo „przekonujący” i posuwali się nawet do dźgania co tchórzliwszych towarzyszy włóczniami w plecy.

Norgaard, wódz klanu, stał na wzniesieniu kawałek za ścianą tarcz, w otoczeniu strażników. Cel bitwy był jasny dla obu stron – porwać lub zabić wodza.

Kapłanka Kości zajmowała zwykle miejsce obok wodza, tak by jego straż chroniła ich oboje. Trei jednak wciąż nie było, a Torgunowie zaczęli się już niepokoić, co się z nią stało.

Ustawiając się w ścianę tarcz na wzgórzu, torguńscy wojownicy żartowali i wymieniali nerwowo dowcipy, jak to mężczyźni, którzy próbują dodać sobie odwagi i pokazać innym, że wcale się nie boją. Starsi przypominali wszystkim o niezwykłych czynach dokonanych w poprzednich bitwach, młodszy, trzęsąc się nieco, obiecywali sobie w duchu, że jeszcze tego samego dnia zasłużą sobie na o wiele większą chwałę. Przepychali się i wiercili, żeby znaleźć sobie jak najlepsze miejsce do walki, a Skylan obchodził swoją armię, pouczając młodych i wrzeszcząc na nich, żeby unieśli wyżej tarcze. Szedł przodem do nich, a plecami zwrócony był do morza. Nagle śmiechy i żarty ustały. Skylan odwrócił się, żeby zobaczyć dlaczego.

Przybyła armia ogrów.

Torgunowie dopiero teraz zdali sobie sprawę z ogromu sił przeciwnika. Kolejne szeregi wyłaniały się od strony morza; niektórzy zaczęli się wręcz zastanawiać, czy nie mają przed sobą całego ludu wroga.

Nawet Skylan nieco zwątpił, widząc niemal dwustu wojowników ustawiających się w ścianę tarcz. Ogry w pierwszym rzędzie były po prostu olbrzymie. Same ich tarcze były wielkości człowieka, ale poza tym miały potężne młoty bojowe, topory i miecze. Ogry stojące w drugim szeregu były jeszcze większe, a każdy z nich trzymał mnóstwo włóczni. Armia wydawała się jednym wielkim jeżozwierzem. Ściana tarcz ogrów była dłuższa niż szerokość łąki, o wiele dłuższa niż ściana Torgunów. Skylan od razu pojął ich plan i serce w nim zamarło. Ogry ruszą naprzód półkolem, aż ten upiorny półksiężyc zacieśni się na jego ludziach. Ogry będą atakować ich nie tylko z przodu, ale i z boków. Jedyne, co może uratować Torgunów, to smok Kahg.

– Gdzie ta cholerna Kapłanka Kości? – wrzasnął wściekły Skylan, odwracając się od koszmarnego widoku. – Czemu jeszcze jej tu nie ma?

Natychmiast jednak zezłościł się na siebie za to, że tak się zdradza ze swoimi uczuciami. Kilku młodszych wojowników zbladło ze strachu i nawet starsi, doświadczeni wojowie wyglądali na zaniepokojonych.

Skylan znów spojrzął na ogry i przesadnie głośno powiedział:

– A to są sukinkoty wielkie. No i dobrze, tym łatwiej w nie celować. Nawet ty, Alfric, nie możesz nie trafić w takiego olbrzymiego drania!

Torgunowie ryknęli śmiechem. Alfric stracił oko w jednej z bitew i od tego czasu notorycznie wpadał to na jakieś drzewo, to na słupek. Był bliskim przyjacielem Norgaarda i z dumą pełnił straż przy jego boku. Prawda była jednak taka, że wszyscy po prostu woleli, żeby trzymał się z dala od pierwszego szeregu, bo gdy wymachiwał na oślep toporem, stanowił większe zagrożenie dla swoich niż dla wroga.

Ogry się nie spieszyły. Bożypanowie ustawiali ich według stopni, wrzeszcząc na nich bez umiaru, rozdając kuksańce na lewo i prawo, a nawet kopiąc tych, którzy nie stanęli tam, gdzie powinni.

Skylan z niepokojem uświadomił sobie, że to także należy do przemyślanej strategii. Im dłużej te dranie będą się tak przestawiać, tym więcej czasu będą mieli Torgunowie na myślenie o swojej rychłej śmierci.

Wojownicy Skyłana desperacko potrzebowali czegoś, co da im promyk nadziei, toteż Wódz Wojenny wyszeptał dziękczynną modlitwę do Torwała, gdy wreszcie pojawiła się Kapłanka Kości.

Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę, a Skyłan podszedł, by osobiście ją powitać. Uśmiechnął się do Garna, a zmarszczył na widok Aylaen, która stała przy siostrze.

– Powinnaś być teraz w domu – zwrócił się do niej.

– A ty powinieneś wsadzić swój zakuty łeb do wiadra z wodą – odpowiedziała spokojnie.

Skyłan uśmiechnął się mimowolnie. Tak naprawdę był dumny z jej odwagi i lojalności wobec siostry. Musiała przecież być przerażona, a jednak nie dawała tego po sobie poznać.

Treia miała w dłoniach kość ducha, której zdobycia Skyłan mało nie przypłacił życiem. Uniosła ją ponad głowę i w wojowników wstąpił nowy duch. Wzniesli radosne okrzyki. Skyłan rzucił ogrom spojrzenie pełne triumfu. Te potwory nie miały nawet pojęcia, co je czeka.

Skyłan rozkazał obu kobietom stanąć bliżej Norgaarda, daleko za ścianą tarcz, poza zasięgiem włóczni wroga, a jednak tak, żeby wszyscy je widzieli. Obecność na polu bitwy była oczywiście niebezpieczna, ale jednak konieczna. Wojownicy muszą widzieć Kapłankę Kości, muszą wiedzieć, że jest z nimi Smokini Vindrash.

Treia stała i wpatrywała się w ogry, a raczej w to, co widziała w tym miejscu swymi słabymi oczami, czyli pewnie wielką, ciemną, jednolitą masę przypominającą olbrzymiego robaka wijącego się po łące. Twarz kapłanki była blada i bez wyrazu. Nie odpowiedziała na

słowa Skylana. Nie miał pojęcia, o czym może myśleć i czy w ogóle o czymkolwiek myśli. Równie dobrze mogłaby być lalką wyrzeźbioną z kości.

Aylaen spojrzała na ogry szeroko otwartymi oczami i aż jęknęła cicho.

– Jest ich tak wiele! Jesteśmy zbyt blisko! – syknęła do Skylana. – Moja siostra nie jest tu bezpieczna!

– Jest bezpieczna, jest – skwitował jej atak. – Jest z nią mój ojciec i jego straż. – Wzruszył ramionami. – Poza tym Kapłankę Kości chroni sama Vindrash. Bogini nie pozwoli, by jej służce stała się krzywdą.

Usta Aylaen zbladły, spojrzała niepewnie na Garna, który zrobił zakłopotaną minę.

– Co jest? – zdenerwował się Skylan, popatrując to na jedno, to na drugie. – Coś nie tak?

– Nic – przemówiła Treia, posławszy siostrze mordercze spojrzenie. – Wszystko w porządku.

Skylan odetchnął z ulgą i odwrócił się w stronę ogrów. Bożypanowie zajmowali w końcu swoje pozycje – każdy z nich otoczył się własną strażą i stanął za ścianą tarcz. Skylan skupił się na tym, który miał na szyi Torques Vektyjski. Poznał go po tygrysiej skórze. Trudno go było zobaczyć. Na wchodzie Aylis rzuciła już poranne promienie na zatokę, a Skylan musiał patrzeć prosto w słońce. Nie widział torquesu i zazgrzytał zębami z rozczarowania. Przez cały czas miał nadzieję, że będzie okazja ściąć temu bożypanowi łeb i zerwać torques z jego zakrwawionego karku. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ten drań mógł przecież schować gdzieś torques na czas bitwy.

– Przeszukam te ich statki deska po desce, aż w końcu go znajdę – poprzysiągł Skylan, dotykając srebrnego toporka.

Obrzucił spojrzeniem swoich ludzi i z dumą stwierdził, że stoją ramię w ramię, tarcza w tarczę, patrzą odważnie przed siebie i wymyślają ogrom od najgorszych. Już miał powiedzieć Trei, że czas wezwać smoka, gdy zobaczył szamana paradującego w tych swoich czarnych piórach i zamującego pozycję przy bożypanu. Trzymał w łapie tykwę z piórami i stał spokojnie, ciekawie rozglądając się wokół z przebiegłym wyrazem na twarzy. Norgaard powiedział, że szamani nie posługują się czarną magią podczas bitwy. Skylan chciałby wiedzieć, czy ojciec miał rację. Z rozbawieniem zobaczył, że bożypan odsuwa się od szamana, pozostawiając go samemu sobie.

Skylan postanowił sobie, że nakaże jednemu z wojowników celować w szamana, a potem odwrócił się do Trei.

– Czas wezwać smoka.

– Potrzebuję wody morskiej – odpowiedziała Treia bez mrugnięcia okiem. – Kahg jest smokiem wodnym. Żeby go wezwać, potrzeba mi wody morskiej.

Skylan wlepił w nią wzrok, po czym zamasyżyście wskazał na armię wroga.

– Między nami a morzem stoi ze dwieście ogrów!

Treia popatrzyła na niego beznamiętnie.

– Nikt mnie nie poinformował, gdzie odbędzie się bitwa. Założyłam, że będziemy blisko morza.

– Niech to Skoval trzaśnie! – ryknął wściekły.

– Nie krzycz na nią, Skylan! – wrzasnęła Aylaen. – Jest zdenerwowana i przestraszona. To jej pierwsza bitwa.

– I pewnie ostatnia – odparował ponuro. – Ostatnia dla niej i dla nas wszystkich, jeśli nie uda jej się zawezwać smoka.

– Siostrzyczko, możesz chyba przecież użyć ziemi...? – przypomniała sobie nagle Aylaen. Treia posłała jej jednak takie spojrzenie, że Aylaen zamilkła w połowie zdania.

– Twoja siostra ma rację, kapłanko – odezwał się Norgaard, który podszedł, kulejąc, i włączył się do rozmowy. – Możesz użyć ziemi, by wezwać smoka. Widziałem takie przypadki. Pewnie nie przyszło ci to do głowy, bo jesteś przejęta swoją pierwszą bitwą.

Treia zacisnęła usta i zmrużyła oczy.

– Pewnie tak.

– Wszystko mi jedno, z czego będzie Kahg, kapłanko – wycedził przez zaciśnięte zęby Skylan. – Może być nawet z mleka czyjejś matki, tylko go wezwij, i to szybko! Słońce już wstało.

Wschód słońca tradycyjnie wyznaczał dla Vindrasów początek bitwy. Nikt nie walczył w nocy – wojownicy pragnęli, by Torval widział ich odważne poczynania.

– Muszę już iść... – oznajmił wódz.

– Idę z tobą – zawołał Garn, ale Skylan go powstrzymał.

– Nie, bracie. Ty zostajesz tutaj, by chronić Treię i Aylaen. Gdy ogry przedrą się przez nasze tarcze, ty musisz pomóc dziewczynom uciec.

Garn zmarszczył brwi.

– Niech zajmie się tym jeden z ludzi Norgaarda. Ja chcę zająć swoje miejsce przy twoim boku w ścianie tarcz tak jak zwykle.

Skylan pokręcił głową.

– Obowiązkiem tych ludzi jest trwać przy moim ojcu. – Potem zniżył głos do szeptu, odciągając Garna na stronę. – Bracie, tylko tobie mogę zaufać... tylko ty poradzisz sobie z Aylaen. Obiecuj mi... przysięgnij na Torvala, że będzie z tobą bezpieczna. I jej siostra też – dodał po zastanowieniu.

Skylan wiedział, że prosi przyjaciela o wiele. Jeśli ogry przebiją się przez ścianę tarcz, Garn będzie musiał pomóc kobietom uciec. Nie będzie mógł nawet pomścić przyjaciół. Nie będzie miał szansy, by polec w walce.

– Przysięgam – powiedział w końcu Garn.

Skylan ścisnął mu ramię, a potem poszedł zająć swoje miejsce w ścianie tarcz – w drugim szeregu wraz z innymi doświadczonymi wojownikami. Jeszcze dziś zdobędzie chwałę,

popędzi na ośle w morderczą walkę, stoczy pojedynek z bożypanem, który ukradł święty torques.

– Podajcie mi włócznię – rzekł Skylan.

Kilku wojów podało mu swoje włocznie. Chwycił jedną z nich i ocenił jej ciężar.

– Za Torvala! – ryknął i cisnął włócznią w ogry, rzucając ją jak najdalej. Włócznia przeleciała ponad głowami ogrów i uderzyła w ziemię tuż za nimi. Oto wróg został poświęcony bogu.

– Za Torvala! – odkrzyknęli torguńscy wojownicy.

Ogry uniosły swoje włocznie, śpiewając coś, co brzmiało jak:

– Raja Raj, Raja Raj!

Na Torgunów posypał się deszcz pocisków.

Skylan wyciągnął miecz. Wojownicy w pierwszym rzędzie unieśli tarcze i przygotowali się na atak. Niektóre włocznie spadły niedaleko, inne daleko, kilka znalazło cel. Tuż przy Skylanie wój zwany Gregorem zawył straszliwie i padł na ziemię, wijąc się na włóczni, która trafiła go w brzuch i przybiła do ziemi jak świnie na ruszcie. Skylan odwrócił się. Nikt nie mógł już pomóc Gregorowi. Nikt nie miał nawet czasu na skrócenie jego cierpienia litościwym pchnięciem miecza. Ranni byli zdani na siebie. Nikt nie mógł przerwać ściany tarcz.

– Trzymaj szereg! – wrzasnął Skylan, widząc, że niektórzy młodszy wojownicy z przejęcia wyrrywają się do przodu. – Niech oni przyjdą do nas!

Normalnie jego armia ruszyłaby z impetem na wroga. Ogry zrobiłyby to samo i oba wojska zwałyby się w połowie drogi w strasznym uścisku. Na zebraniu rady Garn zaproponował jednak zmianę taktyki. W ten sposób Vindrasi skorzystają na nierówności terenu, zmuszając ogry do zbiegnięcia w dół, a potem do walki pod górę.

– A nie będą po prostu czekać, aż zaatakujemy? – niepokoił się Skylan.

– Ogry są niezwykle pewne siebie, wręcz aroganckie – przekonywał Garn. – Rzucają się na nas całą hurmą, nie zastanawiając się nad tym w ogóle. Będą liczyły na szybkie, łatwe zwycięstwo.

– Te potwory są potężne, ale nie są wytrzymałe – dodał Norgaard. – Mają ciężką zbroję i równie ciężką broń. Zakładają, że zmiażdżą wroga jednym silnym uderzeniem. Jeśli im się nie uda, jeśli będą zmuszone do walki, szybko się zmęczą i stracą zapał. Im bardziej będziemy przeciągać bitwę, tym większe mamy szanse na zwycięstwo.

Skylan zgodził się wreszcie na plan Garna, swoje wątpliwości zachowując dla siebie. Zresztą zawsze przecież mógł po prostu rozkazać wojownikom iść do przodu. I tak właśnie zamierzał uczynić.

Erdmun, który stał przed Skylanem, uniósł tarczę i zablokował włócznię. Odbiła się i spadła na ziemię. Sigurd chwycił jakąś włócznię w locie i cisnął ją z powrotem na wroga. Uwielbiał tę broń. Umiał rzucić dwie naraz, po jednej w każdej ręce. Walczył z szerokim

uśmiechem na twarzy. Nikt nigdy nie widział zresztą, by ten ponury człowiek uśmiechał się w jakichkolwiek innych okolicznościach niż bitwa.

– Gdzie Kahg? – spytał nagle Erdmun i odwrócił się w stronę kapłanki. – Gdzie smok?

Przy jego boku stał Bjorn. Była to pierwsza bitwa Erdmuna, Skylan więc ustawił go w pierwszym szeregu. Bjorn, który walczył już w ścianach tarcz, uparł się, że mimo wszystko chce stać obok brata.

Co do smoka, to był już najwyższy czas, żeby o niego zapytać. Skylan spojrzał w tę samą stronę i zobaczył, że Treia kłęczy i próbuje nożem wydłubać trochę ziemi. Aylaen stała tuż przy niej, jakby ją chroniąc, i spoglądała odważnie w stronę ogrów. Nagle tuż obok niej w ziemię wbiła się włócznia wroga. Aylaen nawet nie drgnęła. Rzuciła tylko okiem w tę stronę i mocniej zacisnęła dłoń na toporze. Gdy poczuła na sobie spojrzenie Skylana, obejrzała się w jego stronę i uśmiechnęła, by dodać mu otuchy. Skylana opadła nagle taka fala miłości, że aż zabolowało go serce.

Treia zaczęła nacierać kość ziemią.

– Smok Kahg zaraz nam pomoże – rzekł z przekonaniem Skylan.

Treia była Kapłanką Kości. Znała swój fach. On był wojownikiem i też znał się na swojej robocie.

Bożypanowie czekali, aż Torgunowie zaczną biec w ich stronę. Gdy to się jednak nie stało, wojownicy – zgrzani i spoceni pod ciężką zbroją – zaczęli się niecierpliwić. Kilku z nich już padło od torguńskich włócznie. Nawet szaman musiał zakasać swój czarny płaszcz i umykać pospiesznie.

Potem Torgunowie zaczęli obrzucać ich wyzwiskami. To przeważało szalę. Ta marna grupka ludzkich pokrak oddzielała ich od złota, bydła i kobiet. Jeden z ogrów wyrwał się do przodu, robiąc wyrwę w ścianie tarcz, i pobiegł przez łąkę. Bożypanowie darli się za nim wniebogłosy, ale nim zdążyli się obejrzeć, już cała armia runęła naprzód. Wymachując toporami, mieczami i młotami, ogry ruszyły pędem przed siebie, aż zatrzęsła się ziemia.

Plan Garna okazał się skuteczny. Ogry dały się nabrać. Zdawało im się, że mają do przebiegnięcia ledwie kilka kroków. Dopiero gdy zbiegły w dół łąki, uświadomiły sobie, że muszą pobiec kawał drogi pod górę. Torgunowie znów cisnęli włócznie. Wielu ogrów padło na ziemię, a ci, którzy utrzymali się na nogach, straszliwie zasapani, biegli znacznie wolniej.

Torgunowie jednak nie mieli za wiele powodów do radości. Nawet gdyby pół wrogiej armii padło na miejscu, i tak ogry miałyby miazdzącą przewagę. Potężne draby były coraz bliżej ściany tarcz Torgunów. Pod ich butami trzęsła się łąka. Skylan naprężył się cały, gotów odeprzeć atak.

Rzucił jeszcze tylko szybkie spojrzenie w stronę Trei. Trzymała kość ducha w dłoniach i zdawało się, że nie tyle się modli, ile rozpaczliwie błaga. Gdyby smok Kahg zamierzał odpowiedzieć, już dawno byłby ze swoim ludem.

Skylan westchnął i wzruszył ramionami.

Przynajmniej polegniemy w chwale. Staniemy przed Torvalem z dumnie uniesionymi czołami. Ale jeśli nawet będzie to moim ostatnim czynem na tym świecie, dorwę tego łajdaka, który ukradł torques.

Skylan spojrział na pędzące ogry, a potem na bożypana z torquesem, który biegł za swoimi ludźmi, purpurowy z wściekłości, i wykrzykiwał komendy, których nikt nie słuchał. Rozpaczliwie wymachiwał rękami, próbując pokazać swoim wojownikom, że mają otoczyć Torgunów, dostać się za ich ścianę tarcz.

Na szczęście ogry w ogóle nie zwracały na niego uwagi. Waliły prosto na Torgunów, potykając się o własne nogi albo o poległych kamratów. Przed chwilą jeszcze wykrzykiwały jakieś obelgi, ale teraz nie miały już na to pary. Ich pulchne twarzyczki były czerwone z wysiłku i wykrzywione w nienawiści. Wyglądały jak małe dzieci, które bawią się w wojnę – tylko ich uzbrojenie było znacznie cięższe niż drewniane miecze.

Ogry uniosły tarcze i uderzyły w Torgunów z całych sił, po prostu taranując wojowników z pierwszego rzędu. Ściana tarcz runęła w jednej chwili.

Trysnęła krew. Rozległy się jęki, wrzaski i przekleństwa. Skylan usłyszał, jak trzeszcza łamane kości, i poczuł zapach wojny – krwi, moczu i ekskrementów, strach przejmował kontrolę nad zwieraczami.

Bjorn, który stał przed Skylanem, nagle zniknął. Erdmun został wepchnięty do drugiego rzędu przez ogra wymachującego nad nim toporem. Erdmun cofał się niepewnie, rozpaczliwie zasłaniając się tarczą przed ciosami, które zdawały się nadciągać z każdej strony. Nagle Sigurd chwycił go za kołnierz i odepchnął na bok, a potem jednym sprawnym ruchem wbił w rozdziawioną gębę ogra swój miecz.

Rozpłatany łeb ogra zbryzgał Skyłana krwią i mózgiem. Ogr upadł, ale natychmiast jego miejsce zajął następny, bez pardonu depcząc po zwłokach kamrata, i od razu runął w stronę Sigurda, któremu skończyły się już włócznie. Dwaj wojownicy zwarli się w morderczym uścisku i zaczęli walczyć wręcz. Skylan szybko jednak stracił ich z oczu. Miał pilniejsze rzeczy na głowie – pędził na niego inny ogr.

Twarz draba wykrzywiła się w uśmiechu. Nie wyglądał nawet na groźnego. Był raczej jak dziecko, które ma napad wściekłości. Skylan mało się nie roześmiał na ten widok. Dopiero wtedy zobaczył, że w ponurym wzroku wroga czai się śmierć.

Ogr uniósł olbrzymią tarczę, chcąc powalić nią Skyłana, by potem poćwiartować go toporem. Skylan wyczekał, aż przeciwnik będzie na wprost przed nim, schylił się szybko i mu umknął. Ogr nie zdołał już powstrzymać ciosu i nie napotkawszy spodziewanego oporu, stracił równowagę. Skylan podstawił mu nogę, ogr runął na ziemię. Trzy włócznie wbiły się w jego cielsko, nim Erdmun odrąbał mu łeb.

Bitwa przesunęła się koło Skyłana, tak że przez moment był sam i miał czas, by rozeznaczyć się w sytuacji. Nie przedstawiała się ona najlepiej. Po ścianie tarcz nie było już śladu. Torgunowie spychani byli coraz dalej. Garn stał nadal przy Trei i Aylaen, usiłując je chronić.

Aylaen wrzeszczała na Treię. Najwyraźniej próbowała przekonać ją do zaprzestania modłów i ucieczki. Kapłanka nie chciała jej słuchać. Wciąż na kolanach, dzierżyła w dłoniach kość ducha. Smoka nigdzie nie było widać.

Norgaard stał ze swoją strażą. W jednej dłoni miał miecz, drugą opierał się na lasce. Jego wojownicy przysunęli się bliżej do niego, gotowi zaraz go bronić. Oni zginą ostatni.

Skylan poczuł w ustach gorzki smak – smak porażki. Zdarza się, że chwilę przed śmiercią człowiekowi przelatuje przed oczami cała jego przeszłość. Skylan jednak zobaczył przyszłość. Przyszłość bez Torgunów, bo ich klan zostanie starty z powierzchni ziemi. A wszystko to z winy Horga, Wodza Wodzów. Ten zdrajca wydał ich wrogom, by uratować własną skórę. Po prostu ich sprzedał.

Oczy Skylana przesłoniła krwawa mgła wściekłości i desperacji.

Wskoczył na cielsko zabitego ogra i rozejrzał się po polu za bożypanem, który ukradł torques, ale nigdzie go nie widział. Jakiś ogr rzucił się na Skylana z toporem. To go tylko zirytowało – drab przesłaniał mu widok. Roztrzaskał czaszkę ogra jednym ciosem. Gdy machnął jeszcze raz mieczem, padł kolejny ogr, a przynajmniej Skylan uznał, że to musiał być wróg, bo tak naprawdę wszystko zlało mu się w jedną czerwoną plamę.

Nie mógł za nic znaleźć bożypana z torquesem.

Bogini słońca schowała twarz za chmurami. Nie zrobiła tego ze strachu. Aylis czekała po prostu na odpowiedni moment, by odsunąć chmury i posłać na ziemię swoje jasne promienie. A gdy to uczyniła, Skylan od razu zobaczył słoneczny znak.

Oto stał przed nim bożypan. Słońce oświetliło go dokładnie, ukazując całą jego piekielną i dziwnie dostojną sylwetkę, ale przede wszystkim rozbliżyło na pięknym Torquesie Vektyjskim. Ukrył go pod zbroją, lecz Aylis dojrzała go i teraz pokazywała Skylanowi.

Wściekłość zalała mózg Skylana, pochłaniając jego strach tak, jak ogień pochłaniał wczoraj dębowe polana. Młodzieniec uniósł się z popiołów z jednym tylko celem – zabić tego bożypana, by odzyskać Torques Vektyjski.

– Torvalu! – wyszeptał z nabożnym szacunkiem. – Jestem narzędziem w twoich rękach!

I Torval dał mu swoje błogosławieństwo.

Skylan nie słyszał już niczego. W jego głowie rozbrzmiewał jedynie ryk boskiego głosu. Nic nie czuł – tylko rękojeść miecza w dłoni. Nic nie widział – jedynie wroga. Parł naprzód, mordując każdego, kogo napotkał po drodze, czy to wroga czy przyjaciela.

Wiedział jedno: Torgunowie są już jak martwi. On sam jest już jak martwy. Dziś jeszcze stanie przed Torvalem z Torquesem Vektyjskim w jednej dłoni i łbem bożypana w drugiej.

Rozdział 14

Nie tylko Skylan zobaczył promienny znak bogini Aylis. Torques Vektyjski rozbłysł też dla innych oczu tak, jak zaplanowała to sobie bogini. Oczy te spoglądały dotąd w zupełnie innym kierunku.

Smok Kahg wcale nie gniewał się na Torgunów, jak sobie to wyobrażali. Był po prostu bardzo zajęty, przerażony i zrozpaczony. Słyszał modlitwy Kapłanki Kości, ale z oddali, jak irytujące, ciche brzęczenie, i nie zwracał na nie uwagi. Ci ludzie znów z kimś walczyli, znów wzywali go, tym razem żeby dręczyć jakichś pastuszków.

Kahg miał naprawdę dość innych zmartwień, znacznie zresztą poważniejszych. Jego bogini, Bogini Całej Smoczności, przenajświętsza Vindrash zniknęła, co wywołało panikę wśród smoków. Już wcześniej słyszały pewne plotki o wojnie w niebiosach, a nawet o tym, że ich bogowie zostali pokonani. Żaden porządny smok nie dawał im jednak wiary. W końcu smoki udały się do samej Vindrash, by zaprzeczyła wszystkim tym pomówieniom. Wybrały się aż do cudownej świątyni Vektii na Smocznych Wyspach.

Wtedy odkryły, że świątynię splądrował jakiś nieznany wróg. Były zszokowane i przerażone. W dodatku zniknęły smoki, których zadaniem było służenie Vindrash i chronienie świątyni. Zniknęły nie tylko z Królestwa Kamienia, ale i z Królestwa Ognia.

Smoki były istotami magicznymi, stworzonymi przez umierającą smoczycę Ilyrion, która złożyła siebie w darze temu światu. Ilyrion pochodziła z Królestwa Ognia, tak jak leśny ludek. Bogowie i ludzie wszelkich ras (także ogry, cyklopi i inne tym podobne stworzenia) należeli do Królestwa Kamienia.

Obdarzone niezwykłą mocą magiczną smoki odkryły, że ponieważ w chwili śmierci Ilyrion oddała się światu, który znajdował się w Królestwie Kamienia, one same mogły zamieszkiwać oba królestwa jednocześnie. Pozostawiały fizyczną część siebie (kość ducha) w Królestwie Kamienia, a tymczasem ich duch mógł się skryć bezpiecznie w Królestwie Ognia. Poprzez kość ducha mogły ucieleśnić się w Królestwie Kamienia.

Smoki bowiem musiały być od czasu do czasu w Królestwie Kamienia, bo tylko tutaj mogły znaleźć „częstki Ilyrion”, dzięki którym mogły powoływać do życia nowe smoki, a przez to zapobiec wyginięciu swojej rasy. Częstki te, utworzone z łusek i zębów umierającego smoka, przyjmowały kształty kamieni szlachetnych, toteż smoki przeczesywały świat w

poszukiwaniu klejnotów, potem wybierały te, które rzeczywiście były smocze, i zabierały je do Królestwa Ognia.

Zadanie to było trudne i żmudne. Smoki szybko odkryły, że niestety także ludzie szukają tych kamieni, ze względu na ich piękno. Kamienie te były rzadkie i cenne.

Smoki mogły równie dobrze rozpętać wojnę z ludźmi o te klejnoty (na przykład przyłączając się do leśnego ludku w Pierwszej Wojnie), ale Smokini Vindrash, która nadzorowała ich stworzenie, pokazała im, jak przydatni mogą być ludzie w poszukiwaniach.

Smoki mogły się poruszać po Królestwie Kamienia w formie duchowej lub cielesnej. W formie duchowej nie mogły jednak wchodzić w żadne interakcje ze światem. Nie mogły jeść ani pić, nie mogły unieść nawet małego rubinu pazurami czy walczyć z wrogiem. W formie cielesnej mogły robić to wszystko, ale co innego dawało się we znaki – były wtedy ciężkie. Niby miały skrzydła, które pozwalały im latać – ale nie tak znowu daleko i w dodatku bardzo powoli. Jak w takiej formie miałyby wędrować po świecie i szukać małych klejnotów?

Vindrash poradziła więc smokom, by oddały swoje kości ducha jej narodowi wybranemu – Vindrasom. Uczyniła ich ludem żeglarzy i grabieżców, którzy przemierzali morza i oceany w poszukiwaniu złota, srebra i klejnotów. Vindrasi zabierali na swe wyprawy smoki, które przesycały okręty swym duchem, prowadziły je, jakby dodając im skrzydeł. Mogły też przybrać formę cielesną i pomóc Vindrasom w bitwach.

Według tego przemyślnego planu Vindrasi stawali się nieświadomymi niczego narzędziami w rękach smoków, wożąc je po całym świecie w niekończącej się wyprawie po klejnoty. Vindrasom zdawało się, że to smoki służą im, gdy tymczasem smoki wiedziały, że jest odwrotnie.

Smok, który zgodził się pracować z Vindrasami, dawał kawałek kości kapłance, która umiała się nią posłużyć do zawezwania smoka, gdy zachodziła taka potrzeba. Smoki jednak mogły na to wezwanie przybyć lub też nie. Choć w zasadzie w ich interesie leżało przybywanie jak najczęściej. W ten sposób Vindrasi stali się sławni w swojej części świata ze smoczych okrętów i strasznych smoków, które walczyły wraz z nimi.

Potem jednak pojawili się ci nowi bogowie, młodzi bogowie, bogowie poszukujący świata, którym mogliby sobie rządzić. Bogowie Raj, jak sami się zwali, oraz ich Aelon, Pan Nowego Świtu. Starzy bogowie nie przewidzieli ich przybycia. Wzięci przez zaskoczenie zostali pokonani, rozproszeni. Jedna bogini została nawet zabita.

Rozzuchwaleni tym zwycięstwem wyznawcy nowych bogów zaatakowali świątynię Vektii. Przyszli nocą, chyłkiem i tak cicho, że nawet olbrzymy, które z polecenia Torwała strzegły świątyni i miały oko na całe Smocze Wyspy, nic nie zauważyły.

Świątynia Vektii została splądrowana. Ktokolwiek to uczynił, nie szukał skarbu, lecz czegoś innego. Urny ze szczerego złota poturlały się po zalanej krwią posadzce. Przy nich leżały wzgardzone srebrne dzbany i wysadzane klejnotami świeczniki. Wszystko to przecież

byłoby cenne dla zwykłego szabrownika. Zbezczeszczono starożytną figurkę Smokini, odrąbano jej głowę.

Wreszcie smoki odkryły, co zniknęło: kości ducha smoków, które miały stać na straży świątyni.

I oto tajemnica. Dlaczego smokom nie udało się dopełnić swego obowiązku? Co stało się z kośćmi? Kto wziął je i dlaczego? Tylko Kapłanki Kości są w stanie zawezwać ducha smoka, a kapłanki mieszkają wśród Vindrasów. Przybywają do świątyni Vektii jedynie wtedy, gdy trzeba przekazać bogini jakiś skarb lub z innej specjalnej okazji.

Smoki zaczęły szukać jakichś wskazówek – kim w ogóle jest wróg? Każdy żołnierz zostawiłby jakiś znak, jakiś ślad: kawałeczek rzemyka, cieknący bukłak, nadgryzione jabłko. Ta armia jednak nie pozostawiła po sobie ani okruszka. Zadbali nawet o to, by zatrzeć ślady stóp.

Było to zupełnie niezrozumiałe. Potem smoki znalazły jedną kość ducha. Leżała na podłodze tuż pod przepięknym gobelinem. Złamana wpół. Smok, którego ducha zawierała ta kość, był martwy. Przerażone smoki już chciały ją podnieść, by pogrzebać go z należnymi holdami, gdy nagle zauważyły, że te kawałeczki kości wskazują na coś na gobelinie jak strzałki.

Smoki przyjrzały się gobelinowi i ku swojej rozpaczycy stwierdziły, że fragment przedstawia historię stworzenia Pięciu Vektii, zrodzonych z kości Wielkiej Smoczycy Ilyrion.

A zatem śmiertelnie ranny smok wybrał właśnie to miejsce, by umrzeć, wiedząc, że tu zostanie znaleziona jego kość ducha. Ryzykował, że wrogowie zabiorą jego kość. Być może czekał nawet, aż odejdą; a może najeźdźcy nie zawracali sobie głowy kością ducha, która należała do martwego już smoka.

Tu kryła się odpowiedź – a przynajmniej tak uznały smoki. Wróg poszukuje Pięciu Vektii. A to oznacza, że wie o Pięciu, choć najwyraźniej nie wie o miejscu ich ukrycia ani nie umie odróżnić ich od zwykłych kości ducha, jako że kości, które zniknęły, należały do zwykłych smoków.

A może jednak nie. Zatrwożone smoki uświadomiły sobie, że ich wrogowie uciekli z jedną z kości Pięciu Vektii, która ukryta była w świątyni. Ale który z ich wrogów poważił się na coś takiego? A co ważniejsze, czy ten wróg wiedział, że kość ducha może posłużyć do zawezwania jednego z najpotężniejszych smoków, jakie kiedykolwiek istniały?

Smok Kahg był przywódcą smoków służących Vindrasom. Tak jak inne smoki zajmował się rozpaczliwymi poszukiwaniami bogini, dopóki smocza starszyzna nie nakazała mu się skupić na chronieniu Torquesu Vektyjskiego.

Wróciwszy do Vindrasów, Kahg posłyszał błagalne modły Kapłanki Kości i po jakimś czasie doszło do niego, że Torgunowie toczą z ogrami walkę na śmierć i życie. Zdenerwowało go to. Powierzono mu misję niezwyklej wagi: trzeba się zająć Torquesem Vektyjskim, a tu znowu musi marnować czas na ratowanie Torgunów z jakichś oparów, w

które bez wątpienia wpakował ich ten zuchwały szczeniak, Skylan Ivorson. Mruczając coś niezbyt pochlebnego na temat Skylana, Kahg nie spieszył się wcale z przybraniem cielesnej formy. A niech się Torgunowie nauczą go szanować. Wtedy właśnie wściekła bogini Aylis oświetliła złotym promieniem bożypana. Kahg ujrzał, jak światło rozbłyska na pięknym szafirze, i od razu wiedział, że ogr ma na szyi Torques Vektyjski.

Nie miał pojęcia, jakim cudem klejnot trafił w ogrze łapska, ale mógł się łatwo domyślić. Kahg nie cierpiał Horga, który był zbyt leniwy, by organizować wyprawy łupieżcze, czym doprowadzał wszystkie smoki do szału. Najbardziej zaś rozgniewał naturalnie smoka Heudjunów, który opuścił swój lud, przedtem dopilnowawszy jeszcze, by smoczy okręt Horga roztrzaskał się na jakiejś skale w drobny mak. Czując, że brak smoczego okrętu sprawia, iż jego pozycja Wodza Wodków jest zagrożona, Horg próbował wymóc na Torgunach oddanie mu *Venjekar*. Gdy Norgaard odmówił, Horg kazał swoim ludziom najechać Torgunów i ukraść im okręt.

Smok Kahg wpadł w szal i roztrzaskał ich łodzie, zmuszając zuchwalców do powrotu wpław. Torgunowie zaś nigdy się nie dowiedzieli o tej zdradzieckiej próbie. Gdyby wiedzieli, nie obeszloby się bez wojny domowej między klanami.

Kahg doskonale wiedział, że Horg byłby w stanie sprzedać święty torques za bydło, srebro czy nawet tylko by ratować skórę. Mniejsza zresztą o powód jego podłego uczynku. Torques zawierał kość ducha jednego z potężnych Pięciu i Kahg musi natychmiast pomóc Torgunom go odzyskać. Tym bardziej przecież, że wszystko wskazywało na to, iż już jedna z pięciu kości znajduje się w rękach wroga.

– Wysłuchaj mnie, Vindrash. – Słowa Kapłanki Kości zadźwięczały w uszach smoka. – Powiedz smokowi Kahg, że bardzo go potrzebujemy.

Kahg zmaterializował się z głośnym rykiem wściekłości i ku zdumieniu tak wrogów, jak i przyjaciół pojawił się nagle tuż nad głowami walczących.

Walcząc wręcz, wojownicy ścierali się z wrogiem. Na szczęście po pierwszym morderczym uderzeniu ogrów, które roztrzaskało ścianę tarcz, Torgunowie zdołali zadziwiająco skutecznie stawiać opór. Ogry były na pewno potężniejsze i silniejsze, ale tak naprawdę dawało im to przewagę tylko na początku bitwy. Teraz obciążone grubą zbroją, masywnymi tarczami, wielkimi toporami i młotami musiały walczyć i walczyć. Ta przedłużająca się bitwa podobała im się coraz mniej. Bolały je już ramiona. Dawały się we znaki mięśnie nóg. Ich ciosy stawały się coraz bardziej niezdarne, coraz mniej celne.

Ludziom wydawało się, że ogry są leniwe, ale rację miał Norgaard – były po prostu mało wytrzymałe. Poza tym były stworzeniami praktycznymi i za nic miały poczucie honoru. W przeciwieństwie do Vindraków nie uważały, że ten, kto poległ w walce, zasługuje na sławę i chwałę. Lubiły dobrą bitwę od czasu do czasu; dobrą – znaczy przynoszącą łatwe zwycięstwo. Tymczasem te uparte ludzkie istoty były jak z żelaza i użeranie się z nimi psuło całą zabawę.

Ogry nie zamierzały się jednak poddać. Nie tak prędko. Tak przynajmniej uważali bożypanowie, a wojownicy bali się swoich przywódców bardziej niż wroga. Walczący o życie Torgunowie wydali na widok smoka okrzyk szalonej radości. Ogry rozdziawiły gęby w zdumieniu, które gładko przeszło w panikę. Nie chodzi nawet o to, że większość z nich nigdy w życiu nie widziała smoka; większość nie miała pojęcia, że takie potwory w ogóle istnieją.

Smok przyjmował wygląd żywiołu, z którego został stworzony. Gdyby Kahg został wywołany za pomocą wody morskiej, byłby lśniący, niebieskawozielony z białym grzebieniem przypominającym spienione fale. Stworzony z ziemi i rozpaczy był smokiem ziemskim. Łuski miał szaroburozielonkawe. Jego grzebień był siny jak wierzchołki skalistych gór, a ogon czerwony jak glina. Wściekł się, pojawiwszy, że pojawił się odrobinę za późno. Wojownicy wymieszali się już i walczyli wręcz, więc smok nie odważył się użyć ognia, by nie spalić żywcem własnego ludu.

Przede wszystkim rozejrzał się za tym ogrem, który miał na sobie Torques Vektyjski, ale zaraz zobaczył, że pędzi w jego stronę Skylan. Kahg mógłby oczywiście go ubiec, ale zobaczył świętą poświatę i pojął, że ten młodzieniec jest narzędziem w rękach boga, że opadło go Torwalskie Szaleństwo. Uznawszy zatem, że może mu spokojnie powierzyć sprawę ogra, Kahg zanurkował ponad Norgaardem i schwycił pazurami trzy ogry walczące z wojownikami pełniącymi straż przy wodzu.

Poszybował wysoko, zaciskając pazury mocniej na drących się ograbach, a gdy był już ponad drzewami, rozczapierzył szpony i wypuścił swoje ofiary. Dwa wrzeszczące ogry poleciały w dół i walnęły w ziemię, miażdżąc ciężkimi cielskami własnych kamratów, aż została po nich tylko galaretowata masa z krwi, kości, mózgow i tłuszczu.

Trzeci ogr trzymał się kurczowo pazura smoka, aż zirytowany Kahg potrząsnął łapą, żeby się pozbyć natręta. Ogr zdołał się wdrapać z powrotem na pazur i przywrzeć do niego całym ciałem. Kahg wsadził sobie łapę w paszczę, wysssał ogra jak drzazgę, rozgryzł go na miazgę i wypluł.

Większość ogrów uznała, że ten widok im wystarczy. Już i tak miały dość całej tej walki, a teraz jeszcze atakował ich ten potwór rodem z najgorszych koszmarów. Pochowały swoją ciężką broń, obróciły się i popędziły w stronę morza. Zaledwie kilka ogrów walczyło jeszcze, ale i one z sekundy na sekundę traciły zapal.

Smocze ciało przesłoniło słońce. Kahg obrzucił wroga wściekłym spojrzeniem. Znowu zanurkował, chwycił kilku ogrów i cisnął nimi o ziemię. Ich cielska roztrzaskały się na miazgę, chlapiąc wokół krwią i wnętrznościami. Teraz nawet bożypanowie, którzy jeszcze przed chwilą rozpaczliwie wzywali swych wojowników do walki, zamarli. Po chwili rzucili się do ucieczki, zabierając ze sobą swoich ludzi. W okamgnieniu cała armia ogrów biegła niezdarnie w stronę okrętów.

Skylan nie zauważył tej zmiany. Był bez reszty ogarnięty Torwalskim Szaleństwem.

Rozdział 15

Bożypan dość szybko zauważył, że przez pole pędzi na niego ludzki wojownik. Stał więc i czekał na niego, nie dlatego że jakoś specjalnie wyznawał zasadę honoru, ale dlatego że był wściekły i sfrustrowany. To, co miało być łatwym zwycięstwem, na jego oczach zmieniało się w jakiś straszny pogrom. Jego wojownicy mijali go, biegnąc jak wariaci w stronę morza. Jedynym ogrem, który trwał przy nim, był szaman, i bożypan naprawdę liczył na to, że zaraz połknie go ten durny smok.

Uważał, że to ten cały szaman z czarnymi piórami i głupią tykwą przynosi im pecha. Nakazał mu nawet, żeby sobie poszedł, ale czarnopióry bydlak nawet się nie ruszył. Bożypan naprawdę zamierzał wycofać się razem ze swoimi ludźmi, ale nie zabił dziś jeszcze ani jednego drania; był zbyt zajęty zaganianiem tych zidiociałych wojowników, którzy twierdzili, że są jego armią. Nie opuści przecież pola walki, nie przelawszy wrogiej krwi. Pozostali dwaj bożypanowie, którzy i tak zawsze czyhali na każdy jego błąd, zaraz donieśli o jego „tchórzostwie”.

Ten młody chłopak o włosach jak słońce i oczach jak niebo to syn wodza. To on wczoraj na ucztę chciał z nimi koniecznie walczyć. To on zakradł się w nocy na smoczy okręt, zabił dwa ogry i uciekł. To on upolował dziką. Dobrze by było go zabić. Bożypan postanowił sobie, że jeszcze tylko roztrzaska tę młodą czaszkę na miazgę, a potem już naprawdę się wycofa.

Rzucił okiem w stronę bestii. Bożypan miał już po pięćdziesiątce i widział w swoim życiu niejednego smoka. Coś tam mu się nawet kołatało, że smoki Vindrasów mają jakiś związek ze smoczymi okrętami, ale nie do końca wiedział jaki. Uznał, że pewnie okręt po prostu zmienia się w smoka, i dlatego postarał się, by torguńska łajba od razu znalazła się w rękach ogrow.

Potem ten zuchwalec wkradł się w nocy na pokład. Strażnik, który przeżył, nie umiał powiedzieć, co ten Torgun wyniósł z okrętu, ale musiało to być coś związanego ze smokiem, bo przecież smoczy okręt był nadal otoczony statkami ogrow, a tymczasem smok latał tu sobie i chwycił mu wojowników jak orzeł króliki.

Widząc, że przynajmniej na razie smok mu nie zagraża, bożypan skupił się na swoim osobistym wrogu. Młody człowiek pędził w jego stronę bez trwogi, trzymając w dłoni miecz i

powyginaną tarczę, którą wyrwał jakiemuś poległemu. Jego długie jasne włosy świeciły w promieniach słońca, jakby otaczało go światło. W jego niebieskich oczach płonęła żądza krwi.

Jakiś bóg sobie go umiłował, pomyślał jeszcze ogr i wyszedł Skylanowi naprzeciw.

Opętany Torwalskim Szaleństwem Skylan nie widział smoka, nie widział ogrów, nie widział własnych ludzi. Widział tylko swego wroga – bożypana, na którego szyi wisiał Torques Vektyjski. Zdawało mu się, że Torval uniósł ich dwóch z ziemi i postawił na jakimś odległym brzegu, by mogli stoczyć ten pojedynek w spokoju.

Niektórzy mawiali, że Torwalskie Szaleństwo sprawia, iż wojownik rzuca się w wir walki zupełnie na oślep, bijąc gdzie popadnie jak lunatyk. Było to dalekie od prawdy. Torval był bogiem rozsądnym. Szaleństwo, jakie zsyłał na wojowników, otwierało im oczy, dawało im wgląd w psychikę wroga, pozwalało się zorientować, jak przeciwnik myśli, jak zareaguje, w którą stronę się poruszy.

Ogry posługiwały się zupełnie innymi technikami walki niż ludzie. Nie znały się zbyt na jakimś wymyślnym walczeniu bronią. Nie widziały takiej potrzeby. Liczyły na swoją siłę i zwykle powalały przeciwnika jednym potężnym uderzeniem. Dlatego chętnie wybierały topory i młoty wojenne.

Skylan był ich przeciwieństwem. Norgaard zaczął go uczyć sztuki walki, gdy chłopiec miał ledwie cztery lata. Dał synowi mały drewniany miecz i pokazał mu, jak go używać. Od tego czasu nie było dnia, by Skylan nie ćwiczył swoich umiejętności, najpierw posługując się drewnianym mieczem, potem prawdziwym, i tak nauczył się między innymi specjalnej techniki Vindrasów polegającej na podzieleniu ciała wroga na cztery i uderzaniu najpierw w jedną ćwierć, potem w drugą, tak by wróg musiał wciąż zmieniać pozycję.

Stanęli naprzeciw siebie. Skylan wiedział, że musi się mieć na baczności, nie może pozwolić, by przeciwnik uderzył go choć raz. Jeden celny cios młotem bożypana i walka skończy się szybko i krwawo.

Skylan stanął w lekkim rozkroku, wysunął lewe kolano do przodu, prawą nogą zaparł się z tyłu, tarczę ułożył równolegle do tarczy wroga. Uniósł miecz nad głowę, ostrzem w dół. Gdyby walczył z człowiekiem, zadałby pchnięcie w twarz. W walce z ogrem musiał celować w pierś.

Ogr trzymał tarczę równolegle do tarczy Skylana i powoli zaczął unosić młot. Nic nie zdradzało jednak, gdzie zamierza uderzyć. Skylan przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i wykonał pchnięcie w stronę klatki piersiowej przeciwnika. Liczył na to, że ogr odruchowo zakryje pierś tarczą, odsłaniając w ten sposób nogi. I tak się stało, więc Skylan w okamgnieniu zadał cios w odsłonięte udo ogra, wypychając przy tym tarczę, by odbić spadający na niego młot.

Gdyby ogr uderzył w tarczę Skylana z pełną mocą, złamałby mu ramię. Kiedy jednak Skylan dźgnął go w udo, noga ogra drgnęła. Nie upadł, ale stracił na chwilę równowagę, a młot prześlizgnął się po powierzchni tarczy. Skylan poczuł mrowienie w ręce, w której

trzymał tarczę, i odskoczył, żeby złapać oddech, oczekując, że przeciwnik zrobi to samo. Tak walczyli ludzie. Pięć czy sześć ataków i kontrataków, a potem wycofanie się. Bożypan jednak od razu rzucił się za Skylanem, co wprawiło młodzieńca w zdumienie. Z uda ogra ciekła krew; z ust – ślina. Wywijał młotem nad głową Skylana.

Skylan znów wycelował miecz w udo ogra, a ten, oczekując ciosu, zniżył tarczę. Wtedy Skylan kopnął w nią tak, że udało mu się ją odsunąć, i pchnął miecz w biodro przeciwnika, tnąc ścięgna i mięśnie. Bożypan runął na ziemię, wyjąc z bólu i wściekłości, wijąc się i taplając we własnej krwi.

Skylan odrzucił tarczę. Przełożył miecz do lewej ręki i pochylił się nad ogrem, by zerwać mu z tłustej szyi Torques Vektyjski.

Przeszył go ból. Bożypan dźgnął go nożem w ramię. Skylan rąbnął rękojeścią miecza w twarz przeciwnika. Usłyszał i poczuł chrzęst kości i ogr wreszcie przestał się ruszać. Palce Skylana zacisnęły się na złotym kółku schowanym w fałdach tłuszczu powalonego przeciwnika. Szarpnął i wreszcie torques był jego.

Kątem oka zauważył wtedy szamana, który wymachiwał łapami w tym swoim płaszczu z czarnych piór i wywijał tykwą, mamrocząc przy tym jakieś niezrozumiałe słowa. Skylan jednak nie zwracał na niego uwagi. Usłyszał głos ojca. Norgaard krzyczał, żeby zabił szamana, ale i na ojca nie zwracał uwagi.

Torques był bezpieczny. Skylan znów pochylił się nad bożypanem i odciął mieczem jego łeb od martwego cielska. Potem uniósł torques wysoko w triumfalnym geście. Już miał wykrzyzczyć swoją dziękczynną modlitwę do Torwała, gdy poczuł, że zalewa go ciepła krew. Poczul ją w oczach i w ustach. Chciał otrzeć oczy, ale nie był w stanie. Chciał wypluć krew z ust, ale nie mógł. Nie umiał poruszyć ani ustami, ani językiem. Nie mógł poruszyć rękoma. Nie był w stanie ruszyć stopami. Mógł jedynie patrzeć na szamana w czarnych piórach.

Szaman nie był głupi – nie wtrącał się w walkę między bożypanem i człowiekiem. Szamanom pozwalano pobłogosławić wojowników przed bitwą, ale pod żadnym pozorem nie mieli prawa brać w niej aktywnego udziału. Groziła za to kara śmierci. Gdy ogry wyznawały jeszcze starą religię, czyli nie tak dawno temu, magia szamanów znana była wśród nich jako „magia śmierci”. By posłużyć się nią, szamani nie musieli koniecznie zabijać, ale jednak musieli kogoś lub coś poświęcić. Ogry podchodziły do tego pragmatycznie. Wiedziały, że życie jest ciężkie i że nie dostaje się w nim nic za darmo. W Czasach Ciemności, gdy wyznawały jeszcze bogów ciemności, szaman, który chciał ożywić zmarłego ogra, robił to, zabijając jednego z jego krewnych. Jeśli chciał uzdrowić go, musiał zarazić chorobą innego.

Gdy nastali Bogowie Raj, byli oburzeni takim postępowaniem. Sami też byli zresztą bardzo pragmatyczni i pojęli, że przy takim podejściu ich wyznawcy szybko się nawzajem pozabijają, toteż przekonali swoich szamanów, by używali jedynie symbolicznych ofiar, zamiast rzeczywiście przelewać krew. Zamiast łamać czyjś kark, można złamać zwykłą tykwę. Szamani wciąż dopiero uczyli się tych nowych praktyk, dlatego ich czary były ostatnio

nieczo chaotyczne i nieprzewidywalne, często kończyły się spektakularnymi katastrofami. Wojownicy bali się szamanów znacznie bardziej niż wrogów i dlatego właśnie szamani mieli zakaz włączania się do walki.

Tego szamana jednak nie miał kto powstrzymać. Bożypan już nie żył albo w każdym razie umierał, a ten człowiek próbował odebrać ogrom Torques Vektyjski.

Gdy tylko szaman ujrzał torques na szyi Horga, wyczuł moc tego klejnotu. To on namówił bożypanów, by przyjęli torques w zamian za zostawienie wodza i jego ludu w spokoju. Kiedy bożypan przywłaszczył sobie kamień, szaman sam się dziwił swojej wściekłości. Nigdy jeszcze niczego tak nie pragnął.

Teraz torques będzie wreszcie należał tylko do niego.

Wyciągnął nóż i odkroił górną połowę tykwy. Wymamrotał słowa zaklęcia – a raczej miał nadzieję, że tak właśnie one brzmiały – umoczył tykwę we krwi umierającego bożypana i pokropił nią Skylana. Ku własnemu zdumieniu zobaczył, że czar zadziałał niezwykle skutecznie. Młody człowiek zmarł sparaliżowany. Szaman wyciągnął rękę, wyrwał Torques Vektyjski z zaciśniętych palców Skylana, odwrócił się na pięcie i potruchtał w stronę morza.

Katastrofa nastąpiła tak szybko, że Torgunowie najpierw w ogóle nie zauważyli, co się stało. Uradowani zwycięstwem śmiali się głośno z szamana chlapiącego krwią i jeszcze bardziej, gdy zobaczyli, jak biegnie ku morzu, powiewając czarnymi piórami wokół swych chudych kolan.

Tylko Norgaard się nie śmiał.

– Zatrzymajcie go! Ma torques! – ryknął.

Garn zauważył błysk złota w ręce szamana i od razu pojął, co się dzieje. Krzyknął i rzucił się w pogoń. Torgunom śmiech zmarł na ustach. Klnąc, na czym świat stoi, popędzili jak szaleni za Garnem.

Ogry mogą biec całkiem szybko, gdy naprawdę zachodzi taka potrzeba. Przerażone spustoszeniem czynionym przez smoka, dość sprawnie pędziły w stronę wody, płynęły rozpaczliwie i wspinały się na pokłady swoich statków. Nim szaman dotarł do okrętu, jego wierni już podnieśli drabinkę i stawiali żagle. Zrzucili mu tylko linę i jeden z bożypanów pomógł mu wdrapać się na pokład.

Kiedy Garn i pozostali dobiegli do morza, ogry właśnie złapały wiatr w żagle. Oszaleli z wściekłości Torgunowie zrzucili broje i wskoczyli do wody, by płynąć na swój smoczy okręt i na nim dogonić ogry. Wtedy dopiero uświadomili sobie, że ogry nie są aż takie głupie. Ci z Torgunów, którzy pozostali na brzegu, wydali tylko okrzyk rozpacz, gdy zobaczyli obłoki dymu unoszące się nad *Venjekarem*. Nie mogąc ukraść smoczego okrętu, ogry podpaliły go.

– Kahg! – wrzasnął Norgaard na smoka, który zataczał koła w powietrzu i wpatrywał się w ogry. – Leć za nimi! Zatop! Spal! – Wymachiwał palcem w stronę odpływających ogrów.

Smok Kahg pokręcił tylko głową i nadal kręcił się w powietrzu ponuro.

– Nie może tego zrobić – szepnęła Treia. – Kahg boi się, że jeśli zaatakuje, ogry zniszczą Torques Vektyjski. Nie może ryzykować. Twierdzi, że ogry mówiły prawdę. Przynajmniej po części. Rzeczywiście w niebie rozegrała się bitwa, choć poległa tylko bogini Desiria. Niestety, to właśnie była bogini życia. Skoro ona nie żyje, nie mamy już mocy uzdrawiania.

Norgaard patrzył na nią i nie był w stanie pojąć rozmiarów tego nieszczęścia. Oszołomiony i wciąż jeszcze wściekły, wybuchnął:

– Nie pojmuję twojego spokoju, Kapłanko!

Treia wzruszyła ramionami.

– Cieszę się, że to nie była moja wina.

Nie dogoniwszy szamana, Garn wrócił do przyjaciela, który wciąż jeszcze stał zaczarowany, nie mogąc się ruszyć. Garn zdjął mu hełm, zanurzył go w morzu i obmył zakrwawioną twarz Skylan słoną wodą. Czar przysł.

– Z drogi! – ryknął Skylan, niemal przewracając Garna. – Muszę odzyskać torques!

– Skylan, stój! – powiedział Garn. – *Venjekar* płonie. Nic nie możesz zrobić.

– Mogę płynąć w pław! – darł się Skylan, usiłując się wyrwać przyjacielowi. – Przepłynę cały świat, jeśli muszę...

– Nie możemy odzyskać torquesu – szepnął Garn. – Ale możemy pomścić jego stratę. Pomścić naszych poległych braci – dodał, patrząc ze smutkiem na ciała rozrzucone po zakrwawionym polu.

Skylan rozluźnił się. Potem mięśnie mu drgnęły, zacisnął usta, wbił błękitne oczy w Garna i splunął.

– Horg – wycedził tylko.

Księga II

Vutmana

Rozdział 1

Norny przędą nić naszego wyrdu od dnia naszych narodzin. Nie znaczy to jednak, że ludzki wyrd nie może się zmienić. Wyrd jednego człowieka przeplata się z wyrdami innych. Nawet bogowie nie mogą wyplątać się z tej tkaniny.

Tego ranka, gdy Torgunowie walczyli na śmierć i życie z ogrami, ich bracia, Heudjunowie, zebrali się na Skale Torwała. Była z nimi Draya.

Po kłótni z Horgiem spędziła całą noc na modlitwie. Została w Wielkiej Świątyni, bo bała się wrócić do domu, wiedząc, że choć Horg spędzi wieczór na sapaniu nad jedną z konkubin, to potem wróci do domu się zdrzemnąć we własnym łóżku.

Kiedy jednak wróci, zastanie je puste. Dra i tam nie będzie nie tylko tej nocy, ale już nigdy więcej. Czuła, że go nienawidzi, że nie może znieść jego widoku. Jej nienawiść była tak potężna, że pochłonęła strach.

Co jednak może z nim zrobić? Horg nie jest godzien być wodzem, ba! nie jest godzien opróżniać nocnika po żadnym prawdziwym woju. Mimo to Draya nie czuła się na siłach otwarcie stanąć z nim do walki.

Jest przebiegły. Jeśli rzeczywiście zrobi to, czym jej grozi – jeśli naprawdę zacznie opowiadać ludziom, że bogowie Vindrasów nie żyją – cały lud stanie w ogniu wojny domowej. Ludzie przyjdą do swojej Kapłanki Kai i zażądają prawdy. Co Draya im wtedy powie? Że bogowie przegrali wielką bitwę? Że jedna z bogiń nie żyje? Że Torwał gdzieś się przyczaił, a Vindrash zupełnie się skryła przed światem? Ludzie wpadliby przecież w rozpacz.

W końcu będzie musiała im jednak coś powiedzieć, przedstawić jakąś wersję prawdy. Już przecież zachodzą w głowę, dlaczego Kapłanka Kai straciła moc uzdrawiania. Ale tak jak matka, która ukrywa przed dzieckiem okrutną prawdę, Draya chciała przemilczeć najgorsze, by jak najdłużej chronić swój lud. A zatem musi jakoś sama poradzić sobie z Horgiem.

Spędziła tę noc, w rozpacz przemieszując świątynię od ściany do ściany i łamiąc sobie głowę, by znaleźć jakieś rozwiązanie. Zanosila modły do bogini, ale Vindrash już nie odpowiadała.

Wstawał nowy dzień. Po drugiej stronie fiordu Torgunowie ustawiali się w ścianę tarcz, świadomi, że prawdopodobnie nie ujrzą już zmierzchu.

Wielka Świątynia Bogów nie miała okien, ale płonąca wściekłość bogini słońca zdawała się wdzierać do środka przez ściany. Duchota wygnała Drayę na dwór. Była wykończona po nieprzespanej nocy. Brak snu, silne emocje, strach i rozpacz wysssały z niej wolę życia. Jej myśli kręciły się w kółko jak spętane konie. Spacer na świeżym powietrzu powinien ją otrzeźwić.

Natychmiast jednak pojęła swój błąd. Gdy tylko ujrzeli ją ludzie, zaczęli się do niej garnąć strwożeni. Co się stało? Czy nic jej nie jest?

Muszę wyglądać strasznie, uświadomiła sobie Draya i dotknęła dłońmi policzków. Skóra była rozgrzana jak w gorączce, oczy piekły ją od jasnego światła.

Musi odpocząć, musi z kimś porozmawiać, gdzie się skryć. Jak we śnie znalazła się nagle na progu domu swojej najbliższej przyjaciółki, kapłanki Frii.

Nie było jej jednak w domu. Jej synek powiedział Draii, że mama poszła na Skałę Torwała. Pochwalił się, że sam też się tam wybiera z kolegami, a wszyscy uzbrojeni są w drewniane miecze.

– Będziemy z tatusiem zabijać ogry! – oświadczył dumnie.

Zaniepokojona Draya ruszyła z grupką przejętych dzieci na Skałę Torwała, gdzie zebrał się już tłum. Panowała tu groźna cisza. Heudjunscy wojownicy byli uzbrojeni i gotowi do walki. Draya rozejrzała się za Frią, ale nie mogła jej znaleźć. Dzieci pobiegły bawić się w wojnę.

Po ogniu, który miał wezwać ich na ratunek, pozostała jedynie cienka, żałosna smuga dymu. Ludzie wokół niej byli tu tylko ciałem, a duchem – na polu walki, ze swymi pobratymcami. Torgunowie wiedzą już na pewno, że nikt nie przybędzie im na ratunek, że są zdani na siebie. Draya zobaczyła, że jeden ze starszych wojów roni łzę wstydu.

Heudjunowie nie mogli widzieć bitwy, ponieważ wieś Torgunów znajdowała się po drugiej stronie fiordu i przesłaniały ją klify. Liczyli jednak na to, że przynajmniej coś usłyszą, bo powietrze było rześkie i nieruchome – jakby sami bogowie wstrzymali dech.

Nagle kilku wojowników krzyknęło i wskazało na coś, choć naprawdę nic nie było widać prócz klifów i falującego morza. Oni twierdzili jednak, że usłyszeli uderzenie tarczy o tarczę. Draya nic nie słyszała i nie wierzyła, by ktokolwiek cokolwiek słyszał. To wyobraźnia płatała im figła, kazała widzieć walkę, garść Torgunów stojących naprzeciw armii ogrów, wroga taranującego ich ścianę tarcz, pogrom...

Draya aż zbyt dobrze umiała sobie to wszystko wyobrazić. Gdy ogry wybiją już torguńskich wojowników, pobiegną do wsi. Heudjunowie zobaczą zaraz dym nad domami i polami. Ogry tymczasem wymordują torguńskie dzieci, broniące się drewnianymi mieczami...

Zrobiło jej się niedobrze. Przycisnęła dłoń do ust, zgłębiała się w pół i zwymiotowała.

– Co ty tu robisz, moja droga? Powinnaś być w domu i leżeć w łóżku! – Fria pojawiła się przy niej nagle nie wiadomo skąd i objęła ją w pasie. – Przecież jesteś chora.

Fria była postawną kobietą, silną ciałem i duchem. Skończyła już trzydzieści dwa lata i urodziła czternaścioro zdrowych dzieci, a wszystkie były tak silne i potężne jak ona i jej mąż. Sześciu jej synów stało teraz przy ojcu, Svenie Teinarze, zdolnym i odważnym wojowniku.

– Nie mogę iść do domu – wymamrotała Draya odrętwiałymi ustami.

Fria zacisnęła zęby. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Horg bije żonę, choć nigdy nie rozmawiały o tym z Drayą. Taka rozmowa byłaby zbyt trudna dla nich obu, a jej skutek – żaden. Prawo Wodza, prawo obowiązujące wszystkie klany, nie zezwalało na rozwód między Kapłanką Kai i Wodzem Wodzów. Ci dwoje stali na czele swego ludu i mieli być ponad słabości zwykłych śmiertelników. Jedyne zatem, co Fria mogła zaoferować przyjaciółce, to przepełnione wściekłością, bezwarunkowe współczucie.

– Chodźmy do mnie – powiedziała po prostu. – Zrobię ci coś ciepłego.

Draya uśmiechnęła się słabo. Dla Frii jedzenie stanowiło najlepszą odpowiedź na każdy problem. Draya zupełnie nie była głodna, ale nie miała siły, by stawiać opór. Pozwoliła Frii prowadzić się z dala od Skały Torwała, gdzie wojownicy nasłuchiwali w napięciu.

– Czy Horg... Czy ktoś widział go dziś rano? – Draya zmusiła się do zadania tego pytania, mimo że czuła, jak nienawiść zatyka jej usta.

Fria rzuciła jej niepewne spojrzenie.

– Rano były pewne kłopoty. Nic nie wiesz?

Draya pokręciła głową.

– Cały ranek spędziłam na modlitwie. Co się stało?

– Niektórzy wojownicy chcieli zignorować jego rozkaz i mimo wszystko popłynąć na bitwę... był z nimi mój mąż... i moi synowie. Tuż przed świtem wchodzili już na pokład, gdy zobaczyły ich kapusie Horga i poleciały do niego z jęzorem. Przypędził wściekły i kazał mężczyznom wracać do domu. Ogry mogą nas zaatakować w każdej chwili, wrzeszczał, potrzebujemy każdego wojownika do obrony miasta.

– I w ten sposób nikt nie popłynął – dokończyła Draya.

Fria westchnęła.

– Jak by mogli, moja droga? Horg mówił prawdę. Moi mężczyźni mają tę świadomość, wszyscy ją mamy, choć nie chcemy tego słyszeć. Jak mogliby odpłynąć i zostawić nas tu zupełnie bezbronne? Tak więc w końcu zostali.

Dotarły właśnie do domu Frii. Draya przystanęła na progu i spojrzała przyjaciółce w oczy.

– Co oni zrobią, Friu, co zrobi Sven i reszta?

– Masz na myśli, co zrobią z Horgiem? – Fria kątem oka spojrzała na ulicę. – Wejdźmy do środka, moja droga. Ktoś nas podsłuchuje.

Draya wcale nie była zdziwiona. Widziała, jak jeden z kapusiów Horga idzie za nimi, zatknąwszy sobie kciuki za pas. Nawet nie udawał, że ma tu akurat coś do załatwienia, i gapił się bezczelnie na Drayę.

Wpuszczając Drayę do środka, Fria odwróciła się, spojrzała mężczyźnie prosto w twarz i posłała mu miazdzące spojrzenie. Potem weszła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Gdy już były bezpieczne, zaczęła się krzątać wokół Draia, podtykać jej zydeł, przysuwać bliżej ognia, częstować ciepłą potrawką, chlebem, piwem, suszonymi jabłkami. Draya jednak pokręciła głową na wszystkie te smakołyki. Czuła, że jej żołądek wariuje, że cokolwiek zje, zaraz to zwróci. W końcu jednak dała się namówić na odrobinę piwa i sęczyła je powoli. Fria przystawiła sobie taboret i siadła blisko niej.

– Ludzie będą gadać o Horgu – szepnęła cicho. – Będą kłąć, będą się odgrażać. Ale to szybko minie i skończy się niczym. Horg jest nadal potężny i ma przyjaciół, nie tylko w naszym klanie, ale i w innych. – Fria obrzuciła spojrzeniem swój przestronny, wygodny dom. – Mam wciąż pięcioro maluchów w domu. Czy możemy sobie ze Svenem pozwolić na utratę dachu nad głową? Czy możemy ryzykować utratę naszej ziemi? Bydła?

Draya wzięła jej dłonie w swoje.

– Nie, oczywiście, że nie. Rozumiem to, tylko...

Urwała. Zastanawiała się przez chwilę, czy może jednak powiedzieć Frii o Torquesie Vektyjskim.

– Tylko co? – spytała Fria.

Draya pokręciła głową. Ani Fria, ani jej mąż nie byli w stanie nic zrobić. Fria miała rację – musieli myśleć o rodzinie. Jako Wódz Wodzów Horg odpowiadał za rozstrzygnięcie sporów między swymi ludźmi. Wystarczyło, by jeden z jego osiłków stwierdził nagle, że na przykład ziemia Svena tak naprawdę należy się jemu. Mogło być przecież tak, że pradziad Svena obiecał ją jego pradziadowi w zamian za kilka sztuk bydła. Oczywiście Sven mógł się z tym nie zgodzić, ale sędzią i tak byłby Horg. Toteż Draya postanowiła odpowiedzieć wymijająco.

– Nie spałam całą noc, Friu. Jestem taka zmęczona.

– Musisz się przespać – zarządziła natychmiast jej przyjaciółka. – Połóż się u mnie. Moich mężczyzn nie ma w domu, więc jest spokój i cisza...

– Mamo! – Do domu wpadł z impetem mały chłopiec. Był zaspany i czerwony na twarzy, a oczy aż mu się świeciły z przejęcia. – Smok! Smok! Chodź, chodź szybko! Może jeszcze zdążysz go zobaczyć!

Obie kobiety wbiły w niego zdumiony wzrok.

– Fari, czy ty znowu próbujesz coś tu mamie nazmyślać? – spytała ostro Fria.

– Nie, nie, mamo! – Chłopiec chwycił ją za dłoń i próbował siłą ciągnąć za sobą. – Widziałem najprawdziwszego smoka. Ojciec kazał mi cię natychmiast zawołać.

– Smoka? – powtórzyła z niedowierzaniem Draya.

– Tak, smoka Torgunów! Ojciec mówi, że smok pomaga Torgunom w walce! – Chłopiec uwiesił się spódnicy matki. – Chodź już, proszę. Jest taki zielony, i bury, i lata w kółko, i spada w dół zupełnie jak orzeł.

Kobiety spojrzały po sobie, myśląc o tym samym.

Draya zaklaskała w dłonie.

– Vindrash niech będą dzięki! – szepnęła wzruszona do łez.

Fria obiecała synowi, że zaraz pójdzie, i wygoniła go z powrotem do ojca.

– Torgunowie mają teraz szansę! – szepnęła Draya, starając się opanować. – Ze smokiem Kahg mogą jeszcze pokonać ogry!

I odzyskać Torques Vektyjski! Błagam, Vindrash, niech odzyskają torques! – modliła się w duchu.

Po chwili dopiero uświadomiła sobie, że Fria nie podziela jej radości. Jej przyjaciółka stała w ponurym milczeniu, podpierając się pod boki.

– Drayu – powiedziała. – Czy ty nie rozumiesz, co to oznacza?

Draya pokręciła tylko głową. Była zbyt zmęczona, by myśleć.

– Jeśli nawet Torgunowie pokonają ogry, co będzie dalej? Wezwali nas na pomoc świętym ogniem. A my nie przybyliśmy im na ratunek. Torgunowie przypłyną do Vindraholmu. Zażądają wyjaśnień. Uniknęliśmy walki z ogrami, ale być może nie unikniemy wojny z własnymi braćmi.

Przez chwilę Draya wpatrywała się w przyjaciółkę z rozpaczą, potem tylko jęknęła głucho i opadła z powrotem na taboret.

Krwawe spory, wojny między klanami – temu właśnie próbowała zapobiec całe swoje życie. Niewielu Heudjunów lubiło Horga. Niewielu zgadzało się z jego decyzją, by nie pomagać Torgunom. Był jednak jednym z nich, gorzej – był ich wodzem. Jego honor był i ich honorem. Teraz szepczą przeciw niemu między sobą, ale wobec Torgunów staną ramię w ramię w jego obronie.

– Co począć? – spytała bezradnie Draya. – Co ja mam zrobić?

– Jedyne, co możesz na razie zrobić, to odpocząć, bo inaczej się rozchorujesz. Potrzebujemy cię, Drayu. Musisz odzyskać siły. Chodź, połóż się spokojnie.

Drai zdawało się, że nie zaśnie, ale była zbyt zmęczona, by spierać się z przyjaciółką. Fria zaprowadziła ją na platformę do spania i otuliła kocami. Potem stała nad nią i głaskała ją po głowie.

– Poprosimy Vindrash o pomoc – szeptała uspokajająco. – Bogowie nie mogą odwrócić się od nas w takiej chwili.

Draya zamknęła oczy i udawała, że śpi, aż Fria wyszła w końcu, by dołączyć do rodziny na Skale Torvala.

Wtedy Draya wyslizgnęła się z łóżka, padła na podłogę i zaczęła się gorliwie modlić. Nikt jej nie odpowiedział.

Gdy doniesiono Horgowi, że pojawił się smok Kahg i pomaga Torgunom w walce, udał, że się cieszy.

– Sami widzicie – powiedział wojownikom, którzy zebrali się przed jego domem. – I po co było się tak ekscytować? A teraz odkładajcie broń na swoje miejsce i łapcie za narzędzia, bo zboże samo się nie zbierze.

Zatrzasnął drzwi i przez chwilę stał w mroku swego domu bez okien. Potem rąbnął pięścią w jedną z belek, aż zatrząsł się cały dach.

– Kozojebcy! Dupki cholerne! – warknął. – Przecież mówiłem tym bożypanom, żeby najpierw podpalili smoczy okręt. Powiedziałem im, żeby nie zostawili nic poza popiołem. To nie. Te chciwe gnojki nie posłuchały dobrej rady. Chciały też zagarnąć okręt. To na pewno ten ich pieprzony szaman. Widziałem ten błysk w jego oku, gdy mówiłem o okręcie.

Horg zaczął ssać poranioną pięść i analizować sytuację. Jest jeszcze cień szansy, że ogry i tak wygrają bitwę. Smoki nie są przecież niezniszczalne. Można je zabić tak jak każde inne stworzenie. A może Kahg pojawił się za późno, może bitwa już jest przegrana, a wszyscy Torgunowie martwi.

Ta myśl podniosła go na duchu. Nienawidził Torgunów. Spędzali całe lato, przemierzając morza i oceany na swym smoczym okręcie – który powinien być jego, Horga – w poszukiwaniu glorii i chwały, walcząc w bitwach, w których jemu nie chciało się brać udziału. Co prawda, wyprawy te nie przynosiły im ostatnio szczególnego bogactwa, co Horg nie omieszkiał wypominać swym niezadowolonym wojownikom przy każdej okazji. Łupieżcze wyprawy naprawdę nie były ostatnimi czasy opłacalnym zajęciem. Więcej pożytku przynosiło zajęcie się orką i hodowlą bydła.

Horg wiedział, że ludzie szepczą po kątach. Wiedział, że mają go za tchórza. Jego szpiedzy mieli dobre uszy i z lubością powtarzali wszystkie te bzdury, które ludzie wygadywali o swym wodzu.

Horg miał jeszcze jeden powód, by nienawidzić Torgunów. Skylan Ivorson, syn ich wodza, nie okazał mu należytego szacunku. Dwa lata temu smoczy okręt Heudjunów zatonął podczas sztormu. Utopiło się wielu wojowników oraz Kapłanka Kości. Święta kość ducha przepadła w morskiej otchłani. Heudjunowie pozostali bez smoka.

Horg wybrał się z kilkoma zaufanymi ludźmi do Torgunów i zażądał, by Norgaard wydał im *Venjekar*. Podczas spotkania z wodzem ten szczeniak Skylan oświadczył, że jest przekonany, iż bogowie celowo zatopili okręt, by ukarać Heudjunów za ich tchórzostwo. Ta bezczelność doprowadziła Horga do szału i mało nie skończyło się wojną.

Norgaard udzielił synowi nagany i kazał Skylanowi przeprosić Horga, który zapamiętał sobie jednak, że przeprosiny te bynajmniej nie wypadły szczerze. A przecież Horg był pewien, że ten zniedołężniały staruszek Norgaard odda mu okręt bez większych problemów.

A jednak odmówił. Horg nie posiadał się z wściekłości. Był przecież Wodzem Wodków. Smoczy okręt po prostu mu się należał. Smok mu się należał. Horg był tak zły, że gotów był nawet stanąć do walki, ale na samą tę myśl żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Postanowił

więc wysłać swoich ludzi, żeby po prostu ukradli *Venjekar*. I wtedy ten cholerny Kahg pokrzyżował mu plany.

Horg tylko czekał okazji, by wreszcie zemścić się na Torgunach, a w szczególności na Skyłanie. Miał żyłkę hazardzisty. Wierzył w szczęście, a nie w bogów. Uważał, że ma wiele szczęścia. Przecież został Wodzem Wodków w wyniku szczęśliwego trafu. Małżeństwo z tą krową Drayą nie było zbyt szczęśliwym zagranem – to prawda, ale w końcu zdarza się, że smocze kości zostaną pechowo rzucone. Nie znaczy to jeszcze, że tak ogólnie szczęście nie sprzyja.

Ogry na przykład trafiły się Horgowi jak wyjątkowo szczęśliwy rzut smoczymi kośćmi. Horg flirtował sobie właśnie w spokoju z jedną ze swoich kobiet na zacisznej plaży, gdy zobaczył, że statek ogrów płynie w stronę Vindraholmu, a na maszcie powiewa flaga oznaczająca prośbę o rokowania. Kusilo go, żeby odczekać, aż dotrą do miasta, i tam powitać ich w otoczeniu swych wojów, ale jacyś bogowie podszeptali mu, by wziął łódkę i wypłynął im naprzeciw.

Ogry poinformowały go o tym, że bogowie Vindrasów umarli, że poległ w wielkiej bitwie. Oświadczyli, że Vindrasi muszą teraz wyznawać Bogów Raj i złożyć hołd ogrom. Horg był dumny ze swej niezwykłej przebiegłości w tej ciężkiej chwili. Zawarł mianowicie z bożypanami specjalny pakt. Ogry zostawią Heudjunów i inne klany w spokoju. W zamian Horg da im tę zapyziałą kość ducha oraz Torgunów. Co do Bogów Raj, Horgowi było wszystko jedno. Mógł równie dobrze wyznawać jakichś nowych bogów. Jak dla niego każda religia była końskie gówno warta.

Ale szczęście się od niego odwróciło.

Ten plan powinien być się powieść! Horg zachodził w głowę, jak wszystko mogło pójść tak źle. Najpierw ta jego pieprzona żona odkryła jakimś cudem brak torquesu. Poradził sobie z nią oczywiście. Głupia gęś nie zdoła go oszukać – widział w jej oczach strach, gdy zagroził, że powie ludziom, że bogowie umarli. Ta pobożnisia nie odważy się pisać choć słówkiem przeciw niemu.

Już myślał, że sprawa załatwiona, a tu teraz to. Co się stanie, jeśli Torgunowie przeżyją bitwę? Nie będą mogli zrozumieć, dlaczego nie odpowiedział na ich wezwanie o pomoc. Najpierw pomyślą, że ogry zaatakowały Heudjunów i wycięły ich w pień. Przepłyną fiord, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zastaną Heudjunów siedzących sobie w spokoju nad garami.

Jeśli oczywiście już wcześniej nie odkryją, że ogry mają Torques Vektyjski. Bo jeśli wiedzą o tym...

Horga oblał zimny pot i zaczął gorączkowo liczyć, ile zajmie Torgunom dopłynięcie do Vindraholmu. Pogoda dopisywała. Morze było spokojne. Bitwa rozpoczęła się o wschodzie słońca...

Wysłał ludzi na brzeg i kazał im mieć oko na fiord. Napelnił kufel cydrem i zaczął chodzić w kółko po domu. Czekał.

Mijały godziny. Zapadła noc. Nie pojawił się żaden okręt i Horg zaczął odzyskiwać nadzieję. Torgunowie najwidoczniej jednak polegli. W innym razie byłoby już tutaj, wyjąć z wściekłości i grożąc, że mu urwą łeb.

Horgowi tak się poprawił humor, że kazał wezwać swoją ostatnią konkubinę wprost do domu, zamiast wymykać się do niej jak zwykle. A co tam. W końcu był Wodzem Wodzów. Mógł mieć każdą kobietę, której tylko zapragnął. A niech Draya przyjdzie i zastanie go podczas jego małych przyjemności. Niech patrzy. Niech wie, że są kobiety, które lubią być w ramionach takiego silnego i potężnego mężczyzny jak on.

Znów sięgnął po kufel z cydrem.

Rozdział 2

Torgunom spieszno było ukarać Horga, ale nawet rozwścieczony Skylan zdawał sobie sprawę z tego, że nie mogą tak po prostu wskoczyć na okręt i popłynąć na spotkanie, które może się łatwo przerodzić w wojnę domową. Przede wszystkim musieli zająć się poległymi wojownikami, których dusze czekały niecierpliwie na spotkanie z Torvalem w Komnacie Bohaterów. Poza tym musieli jeszcze naprawić swój smoczy okręt. Norgaard postanowił, że przybiją do drugiego brzegu, okazując siłę i godność.

Poległo zadziwiająco mało wojowników. Większość z nich zginęła w pierwszych chwilach, gdy ogry staranowały ścianę tarcz. Podczas walki wręcz Torgunowie odkryli – tak jak Skylan zresztą – że ogry dość niezręcznie posługują się bronią. Bjorn na przykład miał tylko lekko pokierszowaną czaszkę.

Niewątpliwie jednak to smok Kahg uratował bitwę. Torgunowie uczcili go pieśniami wychwalającymi jego zasługi.

Kahg nie przepadał za takimi popisami i byłby od razu opuścił pole bitwy, tak jak zwykle zresztą, gdyby nie to, że czuł pewne wyrzuty sumienia, bo przecież zignorował rozpaczliwe modlitwy Kapłanki Kości. Łaskawie więc zgodził się przyjąć torguński hołd. Nie zabawił jednak długo. Musiał powiadomić smoczą starszyznę o utracie Torquesu Vektyjskiego. Kahg zamierzał wrócić jeszcze tej samej nocy. Chciał być przy spotkaniu Torgunów z Horgiem. Naprawdę ciekaw był, co ta karykatura Wodza Wodzów ma do powiedzenia.

W nabożnym skupieniu Torgunowie zanieśli ciała zmarłych na plażę. Polegli w bitwie wojownicy zostali umieszczeni w łodziach wraz ze swoją bronią, zbrojami, tarczami, pożywieniem i piwem, tak by starczyło im na tę długą podróż. Potem łodzie podpalono i skremowano ciała.

Z kryjówek w górach zaczęły schodzić kobiety. Niektóre, by się dowiedzieć, że zostały właśnie wdowami. Przyniosły smutne wieści. Żona Norgaarda, Sonja, straciła dziecko. Chłopiec był zbyt mały, by przetrwać poza jej łonem. Sonja walczyła teraz o życie w górskiej jaskini. Była zbyt słaba, by znieść ją do wsi.

– Tak mi przykro, ojcze – powiedział Skylan, ostrożnie kładąc dłoń na ramieniu starca. – Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić...

Norgaard stracił dziś bliskich sobie wojowników. Stracił nadzieję na przyszłość i może stracić kobietę, która wnosi w jego życie radość i pocieszenie. Dowiedział się od Kapłanki Kości, że jego bogowie walczą o przetrwanie. Widział, jak ogry odpływają, unosząc najświętszy Torques Vektyjski.

Jego oczy były czerwone od łez, a jednak w ich błękitnej głębi tlił się ogień.

Chwyił dłoń syna z niezwykłą siłą.

– Horg mi za to zapłaci! – poprzysiągł. – Przysięgam na Torvala! Zażądam Vutmany!

Skylan wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Już miał powiedzieć: „Ojcze, nie bądź śmieszny!”, gdy Garn pochylił się nad nim i szepnął cicho:

– Ostrożnie!

Skylan wziął sobie tę radę do serca i przełknął ostre słowa. Norgaard mówił poważnie. Był zdeterminowany. Naprawdę chciał wyzwąć Horga na pojedynek na śmierć i życie.

Być może starzec chce po prostu zginąć w walce i taki jest jego sposób, by to osiągnąć. A może rozpacz i złość roznieciły słabnący już ze starości płomień odwagi w jego sercu.

Skylan nie miał pojęcia, co wywołało tę decyzję, ale Norgaard miał oczywiście prawo – jako wódz jednego z klanów – wyzwąć Horga, Wodza Wodzów, na Vutmanę.

Vutmana została ustanowiona przez Kapłanki Kości jako sposób na zatamowanie niekończącego się przelewu krwi. Było to w czasach legendarnych wojen między wodzami Thorgunndem i Kregą, gdy wojownicy walczyli i ginęli o kradzież byle kury. Instytucja Vutmany pozwalała jednemu wojownikowi wyzwąć drugiego i w ten sposób rozstrzygnąć spór. Każdy wojownik mógł wyzwąć innego wojownika, ale tylko wódz mógł rzucić wyzwanie Wodzowi Wodzów, a jeśli wygrał, miał prawo stanąć na czele wszystkich klanów jako nowy Wódz Wodzów.

Skylan odciągnął Garna na stronę.

– Co robić, przyjacielu? Byle wieprz byłby lepszym Wodzem Wodzów niż Horg, ale jak Norgaard miałby go pokonać? Horg jest wielki i silny jak ogr, a mój ojciec to kaleka.

– Vutmanę rozsądza sam Torval – przypomniał mu Garn. – A bóg musi być wściekły na tego zdrajcę.

– To prawda – zgodził się Skylan. – Ale bywa, że Hevis stroi sobie okrutne żarty i z ludzi, i z bogów. Może wtrącić się do walki i pozwolić, by wygrał Horg.

Garn przyznał mu rację. Hevis, bóg oszustwa, tylko czyhał na okazję, by poplątać nić ludzkiego wyrodu.

– Skylan – powiedział Garn nagle. – Jest na to rozwiązanie.

Zaczął mu cicho szeptać na ucho. Skylan popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jesteś pewien?

Garn uśmiechnął się złośliwie.

– W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie zasypiam podczas corocznych czytań Prawa Wodza.

Oczy Skylana rozbłysły szaloną radością i aż uściskał Garna serdecznie.

– Bracie, oto dałeś mi wspaniałą podarunek.

Skylan wyciągnął miecz, który wciąż był jeszcze czerwony od ogrzej krwi, i podszedł do ojca. Padł przed nim na kolana i wbił głownię w ziemię przed sobą.

– Ojcze – rzekł, a jego słowa płynęły wprost z serca, bo szczerze bolała go rozpacz i złość, którą widział na twarzy ojca. – Twoje wspaniałe rany, które wymownie świadczą o twej odwadze, dają ci prawo do wyboru wojownika, który będzie walczył w Vutmanie w twoim imieniu. Jeśli Heudjunowie przyjmą rzucone im wyzwanie, zaszczyć mnie tą rolą. Pozwól mi walczyć dla ciebie z Horgiem. Uczynię cię, ojcze, Wodzem Wodzów! – Skylan zacisnął jedną dłoń na mieczu, a drugą dotknął srebrnego toporka na szyi. – Przysięgam na Torvala!

Na białych ustach Norgaarda pojawił się wąły uśmiech, bo gdy spojrzał na twarz syna, zobaczył w jego oczach prawdziwy szacunek i podziw.

Oto szczęśliwy dzień. Stało się wiele złego, ale być może zło okaże się tylko środkiem do osiągnięcia dobra. Norgaard będzie Wodzem Wodzów i wierzył głęboko, że będzie dobrym przywódcą klanów. Poczul, że na tę myśl budzi się w nim nowa nadzieja. Wyprowadzi naród Vindrasów z tego plugawego trzęsawiska, w którym utknęły ich łodzie, i popłyną wreszcie ku bezpiecznemu i zamożnemu portowi.

Norgaard położył dłoń na dłoni syna. Potem chwycił rękojeść jego miecza, wyciągnął go z ziemi i unióśł wysoko w powietrze. Wojownicy zakrzyknęli na jego cześć, a on oddał miecz synowi.

Obolali, z ranami wciąż krwawiącymi mimo bandaży, mężczyźni wrócili wraz z kobietami do swoich zadań – do opatrywania rannych, przygotowywania pochówku dla zmarłych i do naprawiania smoczego okrętu.

Tę noc Torgunowie spędzą na żegnaniu umarłych.

O świcie popłyną ich pomścić.

Draya kolejną noc spędziła na bezowocnych modłach. Gdy wstało słońce, wyszła z Wielkiej Świątyni i ruszyła nad brzeg. Stali tam już uzbrojeni wojownicy, a z nimi wiele kobiet i dzieci. Czekali w ponurym milczeniu.

Wiedzieli aż za dobrze, że jeśli Torgunowie przeżyli atak ogrów, przyplłyną niebawem, by się dowiedzieć, dlaczego ich bracia nie przybyli im na pomoc. Gdy zza klifów wyłoniła się sylwetka *Venjekara*, przez tłum przeszła fala szeptów.

– Ktoś powinien dać znać Horgowi – przemówił Sven, mąż Frii i Wódz Wojenny Heudjunów. Powiedział to jednak bez większego przekonania, zupełnie obojętnym tonem. Jako Wódz Wodzów Horg powinien być tu już ze swoim ludem i nikt nie wiedział, dlaczego go nie ma.

Jego osiłki zbiły się w zwartą grupkę na obrzeżu tłumu. Żaden nawet się nie poruszył i Sven zaczął się zastanawiać, czy Horg w ogóle jest jeszcze w mieście. Może po prostu uciekł w nocy. Sven spojrzął na nich spode łba, po czym machnął na własnego syna.

– Idź prędko.

Potem rozkazał wojownikom ustawić się porządnie, by Torgunowie wiedzieli, że nie mogą bezkarnie wkraczać na teren Heudjunów, nawet jeśli mają uzasadniony powód do skargi. Wojownicy trzymali broń tak, by było ją widać, unieśli też tarcze. Nie utworzyli ściany tarcz, ale byli gotowi zrobić to, jeśli tylko zajdzie potrzeba. Torgunowie byli ich bratnim klanem, a ich żal był uzasadniony, toteż mają prawo przedstawić im swoje zarzuty, ale tylko na odległość. Ich smoczy okręt nie zostanie dopuszczony do brzegu.

Draya patrzyła, jak *Venjekar* zbliża się ku nim powoli. Wszyscy ją zauważyli, wiedzieli, że jest z nimi. Popatrywali na nią z nadzieją, liczyli na jej wsparcie i pocieszenie. Mieli nadzieję, że powie im, iż bogowie są po ich stronie. Jej blada twarz i nieprzeniknione milczenie zaniepokoiły ich. Smoczy galion odwrócił się w stronę lądu. Gdy Draya ujrzała wściekłe spojrzenie w rzeźbionych oczach Kahga, zeszła z plaży, pobiegła z powrotem do świątyni i rzuciła się przed oblicze Vindrash.

– Błagam, powiedz, co mam zrobić! – załkała.

Ktoś walił do drzwi. Horg obudził się z ciężkiego, męczącego snu i poderwał tak raptownie, że niemal zrzucił swoją kobietę na podłogę. Mruknęła coś, przekręciła się na bok i spała dalej.

Horg zarzucił sobie na gołe ciało koc i otworzył drzwi na oścież. Osłepiony jasnym słońcem zmrużył oczy, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Czego tam? – warknął opryskliwie, widząc jednego z synów Svena.

– Torgunowie – powiedział tylko młody mężczyzna.

Horg znów zamrugał. Jego przesiąknięty cydrem mózg jeszcze się nie obudził i Horg stał tak chwilę, zastanawiając się, dlaczego w ogóle miałoby go obchodzić ci pieprzeni Torgunowie. Potem jednak przypomniał sobie wszystko.

– Ile okrętów? – spytał.

– Tylko jeden. *Venjekar*.

Horg pokiwał głową.

– Wezwij wojowników.

– Już zebraliśmy się na brzegu, wodzu – poinformował go młodzieniec. – Dowodzi mój ojciec. Kazał mi cię poinformować.

Horg wbił w niego wściekłe spojrzenie, ale młody mężczyzna przyjął je bez mrugnięcia.

– Powiedz im, że będę tam wkrótce – odburknął Horg.

– Z pewnością będą zachwyceni – mruknął syn Svena.

– Co powiedziałaś? – warknął Horg.

Młody mężczyzna uśmiechnął się tylko i pobiegł.

– Uważaj, bo jak ten twój cholerny ojciec nie nauczy cię manier, to ja się do ciebie wezmę! – wrzasnął za nim wściekły Horg.

Zatrzasnął za sobą drzwi, podszedł do platformy do spania i kopnął swoją konkubinę, a gdy nadal się nie budziła, zaczął nią trząść jak wariat.

– Zrób mi coś do jedzenia. I przynieś cydru – ryknął, gdy wreszcie zwlokła się z łóżka.

W głowie mu pękało, a usta miał suche jak piasek. Cydr był zimny i smaczny. Uśmierzał ból. Horg pił go łapczywie. To rozjaśniło mu myśli i uświadomił sobie, że od dwóch nocy nie widział Draï. Nie wróciła na noc do domu. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. W końcu żona należy do męża.

Opadł go niepokój na myśl o tym, że Draya nie będzie chciała z nim mieszkać. Co ludzie powiedzą? Będą szeptać, że nie panuje nad własną żoną.

Nagle wpadł na pomysł tak genialny, że aż krew zawrzała mu w żyłach z radości odurzającej jak cydr.

Zachichotał, potem pospiesznie się ubrał i przywdział zbroję. Oczywiście, że pójdzie na plażę. Ale najpierw musi zamienić dwa słowa z żoną.

Draya wstawiała właśnie powoli, gdy drzwi do świątyni otworzyły się z głośnym trzaskiem.

– Ty zdiro! – wrzasnął Horg. – Dlaczego nie wróciłaś na noc do domu?

Draya położyła dłoń na drżącym sercu i obróciła się w jego stronę. Od dwóch dni i dwóch nocy prawie nie spała i niewiele jadła. Jej myśli wyginały się w napięciu jak cięciwa łuku. Nie czuła strachu. Nic już nie czuła. Poza zapachem cydru.

– Nie wracam do domu – oznajmiła. – Już nigdy. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– I ja nie przepadam za twoim widokiem, żono, za tymi twoimi małymi cycami i chudym dupskiem – odrzekł Horg. Wypił właśnie tyle, ile trzeba, by odzyskać odwagę. – Ale jesteś moją żoną, więc rób, co ci mówię.

– Nie będziemy o tym teraz rozmawiać. Wyjdź natychmiast ze świątyni. Swoją obecnością obrażasz bogów.

– Bogów? – krzyknął Horg i zarechotał. – Jakich bogów?

Draya aż zadrżała.

– Zwariowałeś? Nie drzyj się tak! Torgunowie już tu są. Powinieneś być przy swoich wojownikach...

Chciała przemknąć się koło niego i dobiec do drzwi, ale chwycił ją za ramię i wykręcił je. Jęknęła z bólu i próbowała się wyrwać. Bez skutku.

– Tak sobie myślałem o tym, co mi powiedziały ogry – szepnął Horg, dysząc jej cydrem w twarz. – O śmierci bogów i w ogóle. Czy ty wiesz, co to oznacza, Kapłanko Kai? Nie masz

już żadnej władzy! Ani ty, ani żadna z tych pieprzonych kapłanek. Mogę się was po prostu pozbyć!

– Mylisz się, Horgu – zdołała powiedzieć Draya. – Bogowie nie umarli...

– No, już, Vindrash! – ryknął Horg, nie puszczając Draia. – No, powal mnie! Udowodnij, że żyjesz!

Znów zaniósł się śmiechem. Ciepły, śmierdzący oddech przyprawił Drayę o mdłości. Jego radość przerwał jednak odgłos rogu.

– Torgunowie – syknął z pogardą. – Norgaard przybiega poskarżyć się, że źle go potraktowano.

– Mają prawo do skargi – odrzekła Draya. Urwała, by uspokoić drżący głos, a potem dokończyła pewniejszym tonem. – Tak właśnie powiem naszym ludziom.

– Będziesz siedziała cicho – warknął Horg.

Znów wykręcił jej boleśnie ramię, niemal wrywając jej łokieć ze stawu. Drayę przeszył ból, krzyknęła i osłabła w jego uścisku. Bała się, że zaraz całkiem zemdleje. Horg pchnął ją na podłogę i pochylił się nad nią.

– Potwierdzisz każde moje słowo, żonko, bo jeśli tego nie zrobisz, wybuchnie wojna. Z twojej winy. To ty przelejesz krew tego ludu!

– Moim obowiązkiem jest powiedzieć im prawdę! Jestem Kapłanką Kai! – krzyknęła Draya.

Horg uśmiechnął się strasznie.

– Już nie na długo.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Draya siedziała skulona na podłodze i tarła ramię. Nie doceniła Horga, nie doceniała jego sprytu i uporów. Oto miał moc, by zniszczyć Kai. A gdy to zrobi, zniszczy cały lud Vindrasów.

Uniosła oczy ku statuetce bogini.

– Powstrzymaj go, Vindrash! – wyszeptwała.

Być może oczy bogini załśniły, lecz Draya nie była tego pewna.

Zebrała swoje szaty i włożyła je ostrożnie, by nie urazić skrzyconej ręki. Potem wyszła ze świątyni i ruszyła w stronę plaży. Przed sobą widziała jeszcze Horga, który zataczał się i co rusz unosił do ust bukłak z cydrem.

Rozdział 3

Zanim Draya doszła do plaży, smoczy okręt Torgunów był już bardzo blisko. Sternik podprowadził go w zasięg głosu. Smok na galionie wpatrywał się w brzeg. Jego oczy lśniły czerwoną furią. Kahg nie przyjął cielesnej formy, lecz był obecny. W całej długiej historii Vindrasów smoki zawsze odmawiały udziału w wojnach między klanami. Dotąd jednak nigdy nikt ich nie prowokował.

Poranek był pogodny i bezchmurny, niemal bezwietrzny, a fale wydawały się ledwie strumyczkami biegnącymi w stronę brzegu, skąd uciekały z powrotem w głąb morza z cichym westchnieniem, pozostawiając delikatną pianę. Bogini słońca wbijała w nich swoje ostre spojrzenie. Zarówno na okręcie, jak i na brzegu wojownicy pocili się pod ciężkimi zbrojami.

Norgaard stał na dziobie, a przy nim – Kapłanka Kości, Treia. Draya od razu poznała jej wysoką, szczupłą sylwetkę. Przez lata próbowała otoczyć ją miłością, ale gdy jej starania wciąż napotykały ponury, pełen nienawiści opór, poddała się w końcu.

Gdy wysyłała ją z powrotem do Torgunów, była pełna złych przeczuć. Bała się, czy ta młoda, zgorzkniała kobieta będzie umiała dobrze służyć swemu ludowi. Treia była jednak Torgunką i miała pełne prawo powrócić do swojej wsi, gdy zmarła poprzednia Kapłanka Kości.

Teraz stała na honorowym miejscu, wyprostowana dumnie, z kością ducha na piersi. Draya cieszyła się, że smok Kahg odpowiedział na modlitwy Trei. Może to da młodej kobiecie więcej pewności siebie, może pomoże jej odzyskać wiarę w siebie i bogów.

Rozmowy jeszcze się nie zaczęły. Okręt był jeszcze zbyt daleko. Ludzie z obu stron muszą być na tyle blisko siebie, by dobrze się słyszeć i by nie mogło dojść do żadnych nieporozumień. Horg stał na plaży w swobodnej pozie. Wydawał się rozluźniony, pewny siebie, nawet żartował sobie ze swoimi osiłkami. Jako Kapłanka Kai Draya powinna stać przy jego boku, tak jak Treia stała przy wodzu swego plemienia.

Stała jednak na najwyższej wydmie na plaży. Stała za swoimi ludźmi, którzy wpatrywali się w smoczy okręt i nawet jej nie zauważyli. Żaden z Heudjunów nie wiedział nawet, że jest przy nich. Widzieli ją tylko bogowie.

Utkwiła wzrok w *Venjekarze*. Do Norgaarda i Trei podszedł młody mężczyzna. Położył dłoń na ramieniu Norgaarda i coś do niego powiedział, a Draya rozpoznała Skylana, syna

wodza. Nie widziała go od lat, ale wiele o nim słyszała i teraz przyjrzała mu się z ciekawością.

Ten młodzieniec sprawował w swoim klanie funkcję Wodza Wojennego, jako że wciąż niezagojona rana uczyniła jego ojca niemal zniedołężniałym. Draya słyszała niezliczone historie o odwadze i męstwie Skylana. Horg twierdził natomiast, że syn Norgaarda jest dziki, bezczelny i uparty. Zastanawiała się, gdzie leży prawda. Pewnie gdzieś pośrodku.

Smoczy okręt zajął już odpowiednią pozycję. Torgunowie rzucili w morze ciężki kamień, który służył im za kotwicę. Rozmowę zaczął Horg. Draya odwróciła wzrok w jego stronę.

Przedstawił siebie jako stronę poszkodowaną i zażądał, by Torgunowie wyjaśnili mu, dlaczego przybywają do brzegów Heudjunów w tak agresywny sposób. Heudjunowie nie mają do nich żadnej urazy, ale jeśli Torgunowie chcą walki, sami widzą, że Heudjunowie mogą spełnić ich życzenie.

Opierając się na lasce i podtrzymując nadburcia, żeby nie upaść na bujającym się na falach okręcie, Norgaard odpowiedział, że Torgunowie zostali zaatakowani przez dużą armię ogrów. Wtedy rozpalili wielki ogień, by wezwać swych braci na pomoc i razem pokonać wroga. Jako Wódz Wodzów ludu Vindrasów Horg złożył przeciw świętą przysięgę, że wyruszy na wojnę wraz ze wszystkimi klanami, jeśli tylko jednemu z nich będzie groziło niebezpieczeństwo. Horg poprzysiągł też być dla Torgunów jak brat. Dlaczego złamał te przysięgi?

Draya знаła Norgaarda od lat. Lubiła go i podziwiała. Gdy przybywał na coroczne Zgromadzenie Klanów, zawsze starała się porozmawiać z nim prywatnie. Zwykle i tak mówili wtedy o Torgunach i ich kłopotach, ale czasami rozmawiali też o bardziej osobistych sprawach.

Draya wiedziała, że Norgaard jest wszystkim tym, czym Horg nigdy nie będzie. Bogowie pozwolili mu przeżyć mimo tej strasznej rany, ale z sobie tylko znanych powodów uczynili go kaleką i skazali na niekończące się cierpienie. Draya widziała w jego oczach ból, ale on nigdy o tym nie mówił, nigdy się nie skarżył. Uważano go za dobrego wodza, sprawiedliwego sędziego. Mówiono, że jest dobrym mężem i troskliwym ojcem. Był mądry. A teraz pozwalał Horgowi na popis samozadowolenia, choć tak naprawdę zastawił na niego pułapkę, w którą ten laź, zupełnie się jej nie spodziewając.

– Nie przyszedłem wam na pomoc, bo zabronili mi tego bogowie! – ryknął Horg i wskazał na Skylana. – To twój syn ściągnął na was ogry! Twój syn przyprowadził je do waszych brzegów! To on powinien z nimi walczyć. Moi wojownicy pozostali tutaj, by bronić naszych domów i rodzin, jeśli ogry nas zaatakują.

Norgaard milczał. Torgunowie na pokładzie *Venjekara* milczeli. Heudjunowie na brzegu milczeli. Słysząc było tylko szum fal rozbijających się o kadłub smoczego okrętu.

I wtedy Norgaard przemówił:

– Kłamiesz, Horgu Thekksonie. Wiedziałeś dobrze, że ogry nie zaatakują Heudjunów.

Skylan sięgnął po coś, co leżało u stóp jego ojca. Podniósł to wysoko w górę. Draya z początku nie mogła dojrzeć, co to takiego. A potem zamarła. Skylan trzymał w rękach łeb ogra. Trzymał go długo, by wszyscy mogli mu się przyjrzeć, po czym cisnął go Horgowi pod nogi. Makabryczna kula uderzyła w piach u stóp Horga.

Horg popatrzył w dół. Martwe oczy zdawały się wlepić w niego nieprzyjemne spojrzenie i zbladł tak strasznie, że jego twarz przyjęła barwę uciętej głowy.

– Widzę, że już się znacie – rzekł Norgaard.

Żołądek Draia ścisnął się niebezpiecznie, serce zaczęło jej walić, a dłonie pocić się niemiłosiernie. Słyszała, jak wojownicy opisywali, że bardzo podobnych doznań doświadczali w ścianie tarcz, czekając na hasło do ataku.

Horg obliznął wargi. Nie zamierzał poddawać się bez walki. Widziała, jak rozpaczliwie główkuje nad tym, jak wykpić się z tej sytuacji.

Vindrash, pomóż mi! – pomodliła się Draya. Natchnij mnie odwagą.

Stojąc samotnie na szczycie wydmy, odważyła się krzyknąć do Norgaarda.

– Czy to oznacza, wodzu, że udało wam się odzyskać Torques Vektyjski?

Tłum zafalował i jęknął głucho. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę, oczy rozwarły się z przerażenia, szczęki opadły, usta otworzyły się w zdumieniu. Wśród tych, którzy wpatrywali się w nią teraz, był i Horg. I on jęknął, ale jednocześnie zacisnął dłonie w pięści.

– Kapłanko Kai – przemówił Norgaard, kłaniając jej się z szacunkiem. – Z wielkim żalem muszę cię poinformować, że nie odzyskaliśmy świętego torquesu, choć mój syn mało nie zginął, próbując go ratować.

Mówił bardzo głośno, choć w ogóle nie było takiej potrzeby. Tłum był tak cichy i tak uważny, że Norgaard mógłby szeptać, a i tak nikt nie uroniłby ani słowa.

– Bożypan, którego łeb leży u stóp tego tchórza – Norgaard wskazał na Horga – przybył do nas, obnosząc się ze świętym Torquesem Vektyjskim. Twierdził, że bogowie Vindraków umarli i że to, iż on jest w posiadaniu świętego torquesu, jest najlepszym dowodem. Zażądał, byśmy czcili jego bogów oraz byśmy oddali mu bydło i srebro, żeby w ten sposób kupić sobie pokój. Odpowiedzieliśmy mu, że wolimy zapłacić krwią!

Torgunowie zakrzyknęli na te słowa, a Heudjunowie zaczęli się niespokojnie rozglądać po sobie. Ich twarze stawały się coraz groźniejsze.

– Bożypan miał czelność założyć torques na czas bitwy, by nas pogрузić w rozpacz – ciągnął Norgaard. – W ten sposób tylko dodał nam odwagi. Nasza Kapłanka Kości – wskazał na stojącą przy nim Treię – wezwała smoka Kahg. I on był wściekły z powodu utraty torquesu. Zaatakował ogry i tak z pomocą smoka Torgunowie pokonali ogry, które uciekły przed nami jak skomlące psy.

– Skoro pokonaliście ogry i zabiliście tego bożypana, gdzie jest torques? – spytał Sven ostro.

Norgaard z dumą oparł dłoń na ramieniu Skylana.

– Mój syn wyzwiał bożypana noszącego torques na pojedynek. Pokonał go i zdjął święty torques z szyi ogra. Ogry jednak nie znają, co to honor. W bitwie brał udział ich podły szaman, który posłużył się magią i zmroził nią mego syna, tak że Skylan nie mógł poruszyć żadnym mięśniem. Szaman wyjął torques z jego ręki i uciekł na statek, który natychmiast złapał wiatr w żagle.

– Dlaczego ich nie goniliście? – spytał Sven, marszcząc brwi.

– Ogry podpaliły nasz smoczy okręt. Całą noc naprawialiśmy szkody. Kilku moich wojowników próbowało dogonić ich wpław – dodał z dumą Norgaard. – To jednak okazało się niemożliwe.

– A smok Kahg? – spytała Draya. – Dlaczego on nie odebrał ogrom torquesu?

Norgaard spojrział na Treię. Za wszystko, co dotyczyło smoka, ona odpowiadała.

Kapłanka Kości się zawahała. Miała cienki, piskliwy głos, który czasami skrzeczał przeraźliwie. Wiedziała o tym i nie lubiła przemawiać publicznie.

– Smok Kahg... – Głos łamał jej się z nerwów. Przełknęła i zaczęła od nowa. – Smok Kahg bał się, że jeśli zaatakuje statek ogrów, zniszczą torques.

Rzeźbione oczy smoka błysnęły czerwonym światłem. Może zresztą wynikało to tylko z położenia okrętu, ale zdawało się, że wzrok smoka wbija się w Horga. To przez niego ogry położyły swe łapska na jednym z potężnych Pięciu Smoków Vektii. Draya przyjęła tę wiadomość ze spokojem. Przez chwilę jeszcze łudziła się, że udało się zapobiec katastrofie, ale widać bogowie uznali, że będzie inaczej, choć czyi bogowie, trudno powiedzieć. Teraz bowiem wszystko wskazywało na to, że górą są Bogowie Raj.

Horg postanowił zagrać najbezczelniej, jak potrafił.

– Kłamstwa! – krzyknął. – Wszystko kłamstwa. Powiem wam, jaka jest prawda. Kilka tygodni temu pojechałem odwiedzić jeden z klanów Steppe. W nocy napadnięto mnie. Walczyłem z rabusiami, ale było ich zbyt wielu. Ukradli mi torques. Nikomu nic o tym nie powiedziałem, bo postanowiłem sobie, że znajdę tych złodziei i sam wymierzę im karę. A teraz wreszcie mogę wskazać tego złodzieja: to Skylan Ivorson! To on i Torgunowie ukradli torques! To on dał torques ogrom, gdy widział już, że jego klan przegrywa bitwę...

Torgunowie na pokładzie ryknęli z wściekłości. Kilku wojowników wskoczyło do wody i zaczęło płynąć do brzegu, ale Norgaard rzucił tylko ostry rozkaz powrotu i natychmiast się opanowali.

Heudjunowie nie wiedzieli, komu wierzyć, i zaczęli się spierać o to między sobą. Osilki Horga głośno wyrażały swoje poparcie dla Wodza Wodzów. Sven i kilku innych wojowników mieszało się i spoglądali na Horga z nienawiścią. Heudjunowie poważali Norgaarda. Nie poważali zaś Horga. Mało kto mu ufał. Ale to on był ich wodzem. Ich honor był zagrożony. Z całego serca chcieli tym razem uwierzyć właśnie jemu.

Norgaard podniósł wzrok na Drayę, ostrzegając ją tym samym o swoim następnym kroku. Zrozumiała go od razu i niemal niezauważalnie kiwnęła głową.

– Kapłanko Kai, prosimy cię o rozstrzygnięcie tego sporu – powiedział wódz Torgunów.

Wszyscy – nie wyłączając Horga – zwrócili się w jej stronę. Horg zrobił pewną siebie minę, która była w pełni uzasadniona. Draya nigdy jeszcze go nie zawiodła.

Boi się mnie, mówił sobie w duchu. Nie odważy się mnie zdradzić. Wie, co mogę jej zrobić.

Draya wzięła głęboki oddech. Nie było przy niej nikogo. Stała samotnie na szczycie wydmy. A jednak czuła na sobie pełną wsparcia dłoń bogini.

– Prawdę mówi Norgaard, wódz Torgunów – powiedziała głośno i wyraźnie. – Horg kłamie. Tamtej nocy, gdy zapłonęło ognisko wzywające nas na pomoc, Horg przyznał mi się, że oddał Torques Vektyjski ogrom w zamian za obietnicę pozostawienia nas w spokoju. W ramach tej samej umowy Horg sprzedał ogrom Torgunów. To dlatego Heudjunowie nie pomogli wam, Norgaardzie. Horg przyrzekł ogrom, że tego nie zrobimy.

Horg spurpurowiał z wściekłości. Zmarszczył grube brwi. Chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Sven. Wystąpił z szeregu wojowników i stanął twarzą w stronę Draii.

– Kapłanko Kai, wiedziałaś zatem, że straciliśmy Torques Vektyjski – rzekł, a w jego tonie brzmiało oskarżenie. – Dlaczego wcześniej nie ujawniłaś nam tej prawdy?

Draya poczuła, że się dusi. Dłoń na jej ramieniu się zacisnęła.

– Bałam się Horga – odpowiedziała, a potem uniosła rękaw swoich szat i ukazała siniaki. – Przepelniał mnie wstyd. – Wyprostowała się. Stała dumnie i odważnie. – Jako Kapłanka Kai przysięgam na Vindrash, że mówię prawdę. – Uniosła dłoń i dotknęła srebrnego amuletu w kształcie smoka, który nosiła na szyi. – Norgaardzie Ivorsonie, wzywam cię, byś przysięgł na Vindrash, że mówisz prawdę.

– Przysięgam na Vindrash – oświadczył Norgaard z powagą. – Przysięgam na Torvala, który dał nam zwycięstwo i wydał w nasze ręce ogry.

– Kłamca! – wrzasnął Horg. – On kłamie i kłamie moja żona! Razem to sobie uknuli! To ona zapłaciła Torgunom, by ukradli torques. Wiecie przecież, jak Kai się wściekają o to, że odebrano im ten klejnot!

Draya spojrzała na Norgaarda i zobaczyła na jego ustach cień uśmiechu. Na taki bezczelny zarzut można było odpowiedzieć tylko w jeden sposób i Draya uświadomiła sobie nagle, że Norgaard szykował tę pułapkę od pierwszych słów. Horg nie wpadł w nią; on w nią wskoczył głową do dołu.

– Honor Torgunów został zszargany – powiedział Norgaard. – Jest tylko jeden sposób, by rozstrzygnąć ten spór. Żądam Vutmany! Niech bogowie będą moimi sędziami. – Odwrócił się w stronę swoich wojowników. – Czy Torgunowie są gotowi mnie poprzeć?

Odpowiedział mu okrzyk tak potężny, że *Venjekar* aż zatrzęsł się na falach.

– Przyjmuję wyzwanie! – ryknął Horg i rozejrzał się wokół z pewnością siebie. – Tu chodzi o honor Heudjunów! Heudjunowie mnie poprą!

Gdy Kapłanki Kai ustalały Prawo Pojedynku, znane jako Vutmana, rozumiały w swej mądrości, że takie prawo może być łatwo nadużywane. Byle ambitny chłystek mógł chcieć wyzwać wodza na pojedynek, by móc zająć jego miejsce. W ten sposób wódz mógł nagle stanąć wobec konieczności bezustannego walczenia z rywalami.

Dlatego Kapłanki Kai ustaliły, że wódz może poprosić swój klan o wsparcie go w walce, a z kolei wojownicy z klanu wodza muszą być gotowi przelać za niego krew. Dodatkowo wojownik wyzywający na pojedynek musiał zaryzykować cały swój majątek. Jeżeli nie spodobał się bogom, musiał zapłacić znaczną sumę zwycięzcy w ramach wynagrodzenia za obrazę. Tak więc wyzwanie na pojedynek było sprawą bardzo poważną.

Horg był jednak pewny siebie. Heudjunowie nie cofną się przed walką, bez względu na to, czy mu wierzą czy nie.

Mijały jednak kolejne minuty, a tłum milczał. Horg odwrócił się i spojrzał znacząco na Svena.

– No? I na co czekacie? Chyba nie boicie się tych szczekających piesków, co?

Sven zacisnął usta i wpatrywał się w Horga ponuro.

– Nie wiem, co zrobią inni – oświadczył. – Ja nie będę walczył za kogoś, kto kłamie, pije i bije żonę. Za kogoś, kto przyniósł wstyd naszemu klanowi.

Cisnął swoim toporem. Broń upadła w piach u stóp Horga, niedaleko upiornego łba ogra.

Horg wytrzeszczył oczy. Zdawało się, że zaraz rozpęknie się z wściekłości.

– Nie chcesz walczyć, Svenie Teinarze, bo jesteś tchórzem! – Rozejrzał się wokół. – A co z resztą? Chyba nie jesteście takimi tchórzami jak Sven?

W odpowiedzi synowie Svena z dumą rzucili swoją broń. Po chwili dołączyli do nich pozostali wojownicy, ciskając orężem o ziemię. Kobiety zaczęły krzyczeć i klaskać, by okazać im swoje wsparcie, a najgłośniej klaskała ostatnia konkubina Horga.

W końcu przy Horgu pozostały tylko jego osiłki. Demonstracyjnie trzymali swoją broń, ale nawet oni cichaczem odsunęli się od wodza i unikali jego spojrzenia.

Horg był wściekły, ale przede wszystkim – zdziwiony. Powinien był zamilknąć w tej chwili, ale zdążył już wypić sporo cydru i nie panował nad tym, co mówi.

– Skurwysyny! – wrzasnął. – Uratowałem wasze tyłki! Było tu dwieście ogarów! Dwieście potworów rzuciłoby się na was w nocy! Podcięliby wam gardła! Zgwałcili wasze kobiety! Spalili domy! Dałem im tę pieprzoną kość i poszli w cholerę...

Tu urwał, uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedział.

Sven wbił w niego złowrogie spojrzenie.

– A zatem przyznajesz się. Oddałeś ogrom święty torques i skłamałeś, gdy powiedziałeś, że ci go ukradziono.

– Do niczego się nie przyznaję – obraził się Horg. – A Heudjunowie to banda tchórzów.

Sven odwrócił się w stronę Norgaarda.

– Wodzu Torgunów, nasz wstyd nie ma granic. Błagamy duchy waszych umarłych o przebaczenie. Masz pełne prawo wyzwać Horga Thekksona na Vutmanę. Nie będziemy ci stawiać oporu.

Sven ruszył przez piasek, a za nim jego synowie i pozostali wojownicy. Po chwili dołączyły do nich kobiety, przytulając się do mężów ze współczuciem i uciszając przejętą dzieciarnię.

Horg wyglądał na oszołomionego. Był jak wojownik, który czuje ból w plecach, ale spojrzawszy w dół, widzi, że włócznia wystaje mu z brzucha.

Torgunowie dobili do brzegu. Kilku mężczyzn wyskoczyło do morza, by pomóc w zacumowaniu okrętu. Norgaard nie zszedł do wody z innymi. Powoli kroczył po trapie. Oczy Horga błysnęły radośnie. Znowu pojawił się w nich wyraz sprytu i pewności siebie. Odwrócił się do swoich osiłków i roześmiał. Draya nie słyszała jego słów, ale mogła je sobie łatwo wyobrazić.

– Mam walczyć z tym kaleką? – zarechotał.

Jego ludzie zawtórowali mu śmiechem i zbili się w ciaśniejszą grupkę zadowoleni, że podjęli jednak słuszną decyzję, trwając przy swoim wodzu.

Przez wodę szedł ku brzegowi Skylan, a fale rozbijają się o jego nogi z głośnym pluskiem. Spojrzał na Norgaarda, a potem roześmiał się wesoło.

Drayę przeszył dreszcz podniecenia.

Jedna z podstawowych zasad Vutmany głosiła, że wódz może wybrać dowolnego wojownika, który będzie walczył w jego imieniu.

Horg najwyraźniej zapomniał o tym szczególe.

– Dzięki ci, Vindrash! – wyszeptała Draya.

Rozdział 4

Draya wróciła do Wielkiej Świątyni Bogów i z ulgą stwierdziła, że w środku jest pusto. Wkrótce będzie musiała wezwać Frię, pozostałe Kapłanki Kości oraz akolitki, by razem się przygotować na Vutmanę. Teraz jednak może przez chwilę pobyć sam na sam z Vindrash.

Horg nie będzie walczył ze zniedołężniałym Norgaardem, ale ze Skylanem, silnym i młodym wojownikiem. Najwyraźniej Horg po prostu zapomniał o zasadzie wyznaczania przedstawiciela. A może nigdy o niej nie wiedział. Prawo Pojedynku było zawsze recytowane podczas corocznych Zgromadzeń Klanów, ale Horg zwykle nie zwracał na nie zbyt dużej uwagi, bo też i trzeba przyznać, że recytacje trwały rzeczywiście całe dni. Wódz Wodzów spędzał ten czas na żartowaniu sobie ze swoimi osiłkami lub drzemaniu po nocnych pijatykach.

W Vutmanie sędziami byli sami bogowie i to oni ukazywali, który z wojowników jest bardziej odpowiedni na stanowisko wodza, i jemu pozwalali zwyciężyć. Ale czy bogowie Vindrasów mają siłę zajmować się teraz sądami?

Drayę bez ustanku męczyło to pytanie.

Bogowie Vindrasów okazali się zbyt słabi, by zadbać o Torques Vektyjski. Pozwolili, żeby dostał się w ręce jednego z najstraszliwszych wrogów Vindrasów. Draya pocieszała się jedynie myślą, że ogry nie wiedzą, co tak naprawdę mają ani jak tego użyć. Z czasem jednak mogą się tego dowiedzieć i do tego właśnie należy za wszelką cenę nie dopuścić. Kość ducha Smoka Vektii musi zostać odzyskana.

Bała się, że to zadanie przerasta jej siły. Pewien starzec z klanu Luknar twierdził, że widział osiemdziesiąt zim, i opowiadał o kraju ogrów, który zwiedził, gdy był jeszcze chłopcem, w czasach, kiedy Vindrasi byli potężnym ludem i rządili oceanami tak jak ich bogowie niebiosami. To jednak było dawno temu. Minęło wiele lat, odkąd Vindrasi przepłynęli morza i oceany i dotarli do królestwa ogrów. A potęga Vindrasów nie była teraz niczym więcej jak wyblakłym wspomnieniem starego człowieka.

Nikt nie wiedział nawet, gdzie znajduje się kraina ogrów. Smocze okręty Vindrasów będą musiały przemierzyć zupełnie obce wody. Vindrasom potrzeba silnego, mądrego Wodza Wodzów, który poprowadzi ich na tę desperacką wyprawę, na walkę o przetrwanie.

Tymczasem Horg był zwykle tak pijany, że nie umiał znaleźć drogi do własnej wygodki. Draya pamiętała też o jego groźbie, że pozbędzie się Kai, że pozbędzie się jej, Draii.

Czy w takiej sytuacji można zdać się na bogów?

Wiara była dla Draii warunkiem jej istnienia. Im cięższe stawało się jej życie, z tym większym oddaniem zwracała się do Vindrash po wsparcie i pocieszenie. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że to Vindrash zwraca się do Draii po pomoc.

Torval został pokonany w wielkiej bitwie. Bogini Desiria nie żyje. Vindrash musiała się ukrywać i nie mogła nawet odpowiedzieć na modlitwy swego ludu, bezustannie bojąc się, że wróg ją dopadnie. Jeśli bogowie Vindrashów zostaną zniszczeni, ludzie, którzy na nich polegają, staną się słabi i nie będą mieli jak oprzeć się najeźdźcom. Od wieków Vindrasi najeżdżali i łupili. Teraz im grozi złupienie, a ich ziemiom – zagarnięcie. Być może już wkrótce będą musieli kłaniać się obcym władcom.

Draya stanęła przed straszną decyzją. Czy może pozostawić przyszłość swego ludu w rękach bogów, którzy sami walczą o przetrwanie?

Kłęcząc przed statuetką Vindrash, kapłanka zadała jej to pytanie i drżąc, czekała na odpowiedź. Ale oczy bogini były puste, jakby nie było w nich nawet jednej iskierki życia.

– Nie rób mi tego! – błagała Draya, z rozpaczki waląc pięściami w podłogę Wielkiej Świątyni. – Powiedz mi, że mogę ci zaufać.

Słyszała gwizd wiatru w szparach. Słyszała śmiech dzieci i nawoływania mew kołujących nad zdechłymi rybami. Słyszała okrzyki jastrzębia wyglądającego ofiary.

Draya skuliła się, okryła ramiona i nogi kocem. Jęknęła cicho. Była tak strasznie zmęczona. Ciemność była tak mroczna, a ona – taka samotna.

– Odpowiedz! – prosiła.

Odpowiedziała jej cisza.

Draya wstała.

Tak, być może to właśnie jest odpowiedź.

Tego wieczora kapłanki Heudjunów zgromadziły się w Wielkiej Świątyni Bogów. Młode akolitki były niezwykle podekscytowane. Nie rozumiały zupełnie powagi sytuacji i wydawało im się, że Vutmana oznacza po prostu niezwykle święto. Starsze kobiety miały jednak świadomość, że bez względu na wynik walki życie Heudjunów nigdy nie będzie już takie samo.

– Jeśli Horg zostanie uniewinniony, będziemy w poważnych tarapatkach – powiedział Sven do żony. – Na pewno znajdzie sposób, by zemścić się na tych, którzy mu się przeciwstawili, i nic go już nie powstrzyma.

– Postąpiłeś tak, jak należało postąpić, mężu – odrzekła jak zawsze praktyczna Fria. – Horg wydał przenajświętszy torques naszym wrogom tylko po to, by chronić własną skórę. Nie mogłeś przecież przymykać oczu na tak straszny uczynek. – Uścisnęła męża serdecznie. –

Cokolwiek się stanie, najdroższy, jestem z ciebie dumna. Postąpiłeś słusznie i bogowie z pewnością też tak uznają.

– Najśluszniej postąpiłem, zeniąc się z tobą – szepnął Sven z czułością i pocałował żonę w czoło.

W Wielkiej Świątyni wszystkie kobiety mówiły naraz, a każda chciała natychmiast opowiedzieć innym, co wie o ceremonii Vutmany. Draya nigdy jeszcze nie przeprowadzała tego rytuału. Ani ona, ani w ogóle żadna z Kapłanek Kości Heudjunów nie była nawet świadkiem Vutmany. Horg został Wodzem Wodzów, gdy umarł jego ojciec, poprzedni wódz. Nie było żadnego pojedynku. Heudjunowie zbyt późno pojęli swój błąd i teraz słono za niego płacili – wstydem i poniżeniem. Hańba Horga była ich hańbą. To, że Torgunowie, najbiedniejszy klan wśród Vindrasów, odbiorą im władanie, a ich wódz stanie się Wodzem Wodzów, napawało ich rozgoryczeniem.

Vindrahholm został wybrany na stolicę ludu bardzo dawno temu przez legendarną Kapłankę Kai Griseldę, mężczyznę-kobietę, która zakończyła tym samym spór między klanem Heudjunów zamieszkujących to miasto i klanem Svegundów, którzy chcieli, by zaszczytną funkcję stolicy pełniło ich miasto, Einholm. Griselda odwiedziła każde z tych miast. Gdy przybyła do Vindraholmu, świeciło piękne słońce. Gdy przybyła do Einholmu, miasto nawiedziła najgorsza nawałnica od wielu lat. Wola bogów objawiła się w sposób nie pozostawiający wątpliwości.

Jeśli Horg przegra, klan Heudjunów nadal będzie stać na straży ziemi swych przodków, ale nie będzie już najważniejszym klanem w tym mieście. Ten zaszczyt przypadnie Torgunom. Jeśli Norgaard zwycięży, przeprowadzi się z Ludy do siedziby wodza w Vindraholmie, zabierając ze sobą osoby pracujące u niego na gospodarstwie i wielu wojowników. Heudjunowie już mieli przedsmak tego, co nastąpi, bo Torgunowie rozbili swój obóz na ich plaży. Torguńscy wojownicy będą się zaraz wałęsać po ulicach Vindraholmu.

– Vutmana musi się odbyć jak najszybciej – powiedziała Draya na spotkaniu kapłanek. – Inaczej mogą być kłopoty.

Kapłanki zgodziły się z nią jednogłośnie. Miały świadomość, jakie panują nastroje. Niemal wszystkie z obecnych na zebraniu kobiet musiały wysłuchiwać w domu niekończących się, pełnych urażonej dumy narzekań swoich mężów i synów, braci i ojców.

– Nie popieram oczywiście tego, co zrobił Wódz Wodzów – powiedziała Fria, wstając. – Jestem naprawdę od tego daleka, ale jednak lepiej by było, gdyby Torgunowie powrócili do domu i przyplłynęli tu dopiero na ceremonię. Nasi wojownicy obiecali, że nie będą z nimi walczyć, ale trudno im będzie dotrzymać tej obietnicy, jeśli Torgunowie będą biegać po naszym mieście jak młode byczki, którym właśnie rosną rogi.

Draya zgodziła się z nią i natychmiast posłała Frię do Norgaarda, by wytłumaczyła wodzowi Torgunów tę delikatną kwestię.

Norgaard bezzwłocznie odesłał odpowiedź: oczywiście rozumie, on i Torgunowie wyruszą do domu z następnym przyprawem.

Drayę ucieszyła ta wiadomość. Norgaard był mądrym człowiekiem. Będzie dobrym Wodzem Wodzów.

– A poza tym – dodała Fria szeptem, z przejęciem ściskając Drayę za ramię – okazuje się, że Norgaard jest wdowcem. Jego żona zmarła wczoraj w nocy przy porodzie. To oczywiście bardzo smutne, ale jednak ułatwia sprawę. Nie będzie potrzeby rozwodu.

– Bardzo przykro mi słyszeć o śmierci żony Norgaarda – odpowiedziała Draya. – Ale co masz na myśli? Czy mówiło się o rozwodzie między nimi?

Fria popatrzyła na nią zdziwiona.

– Nie mów mi, że w ogóle o tym nie myślałaś, Drayu. Przecież jeśli tylko bogowie rozsądzą sprawiedliwie, będziesz miała wkrótce nowego męża.

Draya wbiła w nią wzrok. Tak zamartwiała się tym, jak zmiana Wodza Wodzów wpłynie na sytuację jej ludu, że zupełnie nie pomyślała o tym, że Vutmana wpłynie też na jej osobiste życie.

Kapłanka Kai zawsze wychodziła za mąż za Wodza Wodzów. Jeśli Wódz był już żonaty, tak jak było dotąd w wypadku Norgaarda, prawo nakazywało mu rozwieść się z żoną. Taki rozwód nie przynosił wstydu. Kobieta otrzymywała odpowiednie odszkodowanie i mogła pozostać w swoim domu lub wrócić do rodziny. Ale owdowiały Norgaard i tak szukałby nowej żony.

Dopiero teraz do Draii dotarło, że Norgaard może być wkrótce jej mężem. Był od niej starszy co najmniej o dziesięć lat; lubiła go, ale wiedziała, że jest człowiekiem zgorzkniałym – ponurym, cierpiącym nieznośny ból kaleką. Zdusiła westchnienie.

– Norgaard będzie dobrym mężem, Drayu – mówiła Fria. – Wreszcie będziesz miała dzieci. Nie będzie cię bił.

Czy do tego się sprowadza bycie dobrym mężem? – pomyślała Draya. Że nie będzie bił?

W społeczności, w której małżeństwa były zawsze aranżowane przez rodzinę, rzadko zdarzały się małżeństwa zrodzone z miłości. Pieśni wychwalały uczucie, które rodzi się po ślubie, i wystarczyło spojrzeć na Svena i Frię, by wiedzieć, że taka miłość nie jest tylko fantazją bardów. Kobieta i mężczyzna, którzy prawie się nie znali, zanim spojrzeli sobie w oczy w łóżu małżeńskim, często znajdowali głębokie, niewygasające uczucie.

Draya zawsze marzyła o takim związku. Zamiast tego jednak z jednego łóża pozbawionego miłości trafiała oto do drugiego. Jedyna jej nadzieja w dziecku. To da jej pocieszenie.

– Musimy ustalić termin Vutmany – powiedziała Draya do kapłanek – Jak szybko uda nam się powiadomić pozostałe klany? Wszyscy wodzowie będą z pewnością chcieli przyjechać, by być świadkami.

Kapłanki Kości zaczęły liczyć, ile czasu zajmie wysłanie posłańców z Vindraholmu do wszystkich innych klanów oraz jak szybko są w stanie przyjechać wodzowie. Na szczęście pogoda była dobra do żeglugi, a przecież większość wodzów przybędzie drogą morską. Dodawszy dzień czy dwa na wypadek pogorszenia się pogody, Draya oszacowała, że najlepiej, jeśli uroczystość Vutmany odbędzie się za dwa tygodnie, w ostatnim tygodniu miesiąca Desirii.

Desiria, miesiąc wiosny, czas nadziei i nowego życia, nazwana została tak na cześć bogini życia. Co za ironia! – pomyślała Draya. To przypomniało jej o jeszcze jednym smutnym obowiązku. Musi powiedzieć ludziom o bogach. To nie był dobry czas na takie wiadomości. Jest i tak za dużo zamieszania i zmian. A jednak bała się, że jeśli tego nie zrobi, Horg spełni swoją groźbę i sam powie o śmierci bogów.

I wtedy Draya zdała sobie sprawę z tego, że Horg nie odważy się nic powiedzieć. Jeśli wygra, będzie mógł twierdzić, że wybrał go sam Torval. Byłby ostatnim głupcem, gdyby zaczął teraz opowiadać ludziom, że Torval nie żyje.

Draya wysłała akolitkę do Norgaarda z wiadomością, że Torgunowie powinni wrócić za dwa tygodnie. Potem wysłała drugą do Horga. Dziewczynka wróciła szybko z informacją, że Horga nie ma. Pojechał ze swoimi osiłkami na polowanie.

– Jak go znam, polują na dziki dzban cydru – stwierdziła kąśliwie Fria. – Ale dobrze, że sobie pojechał, biorąc pod uwagę nastroje w mieście.

Draya poczuła ulgę. Może Horg zostanie poza miastem i w ogóle jak najdalej od niej aż do samej Vutmany. Tak bardzo nie chciała musieć z nim rozmawiać ani na niego patrzeć, ani nawet o nim myśleć, dopóki nie stanie przed nim podczas ceremonii.

A potem...

Miała nadzieję, że nie będzie żadnego „potem”.

Rozdział 5

Dawno, dawno temu wódz Thorgunnd Sigrund wypowiedział wojnę swojemu rywalowi, wodzowi klanu Steppes, który zwał się Krega. Wojna rozpoczęła się zupełnie niewinnie. Krega poprosił o rękę najstarszej córki Thorgunnda, mając nadzieję związać się w ten sposób z jego potężnym klanem. Młoda kobieta odrzuciła jednak jego oświadczenia. Miała do tego pełne prawo, tym bardziej że Krega zasłużył sobie na opinię dzikiego brutala.

Krega jednak wściekł się i uniósł dumą. Nalegał, by Thorgunnd zmusił córkę do małżeństwa, a ten odmówił. Nie minęło wiele czasu, a najmłodszy, ukochany syn Thorgunnda zniknął w lesie. Gdy nie wrócił do domu, wódz wysłał ludzi, żeby go szukali. Znaleźli chłopca na ziemiach Kregi. Był martwy. Miał strzałę w plecach.

Rozwścieczony Thorgunnd zażądał krwi za krew syna. Krega odmówił, twierdząc, że śmierć chłopca była zupełnie przypadkowa. Jego ludzie po prostu polowali i pomylili chłopca z jeleniem. Poza tym, co syn Thorgunnda w ogóle robił na jego ziemi, skoro nie miał prawa tam przebywać, pytał Krega.

Thorgunnd podejrzewał, że niegodziwiec najpierw zabił chłopca, a potem zaciągnął go na swoją ziemię, ale nie był w stanie tego udowodnić. Krega nie chciał zapłacić ceny krwi, więc wybuchła wojna.

Każdy z wodzów wezwał swoich sojuszników. Djevakfenowie walczyli po stronie Kregi. Martegnanowie przyłączyli się do sił Thorgunnda. Wojownikom nie wystarczało, że wygrywali na polu bitwy – napadali domy innych Vindrasów, gwałcili ich kobiety i sprzedawali ich dzieci w niewolę. W ten sposób każda bitwa wywoływała następne, bo krewni zmarłych szukali zemsty, i wkrótce cały lud Vindrasów pogrążył się w zawierusze wojny domowej.

Kai widziały, jak dzielni młodzi ludzie, przyszłość Vindrasów, giną na polach bitewnych. Słyszały krzyki gwałconych kobiet, płacz sierot. Wiedziały, że wrogowie tylko czekają, z lubością patrząc, jak Vindrasi sami niszczą swój potężny lud; czekają, by rzucić się na padlinę jak kondory.

W obawie, że ta straszna wojna złamie Drzewo Świata, Kapłanka Kai, dzielna kobieta zwana Ingunn wyruszyła w niebezpieczną podróż. Udała się do Nethervoldu, by prosić boginię śmierci Freilis o zakończenie tego morderczego konfliktu.

Freilis wzruszyła błagania Ingunn i – rzecz niesłychana – opuściła Nethervold. Na okręcie zaprzężonym w kruki dopłynęła do Komnaty Bohaterów. Zastała Torvala pijącego z duszami dzielnych wojowników, wysłuchującego opowieści o ich heroicznym czynach. Freilis zganiła boga wojny za nadmiar zmarłych i zażądała, by zakończył konflikt, nim lud Vindrasów zupełnie wyginie.

Torval zatrząsł się ze złości. Wojownicy ginęli w chwale, grzmiał. Ich śmierć przynosiła im sławę. Freilis spytała, jaką chwałę przynoszą im kobiety, których ciała leżą w kałużach krwi, oraz dzieci płaczące w niewoli.

– Ci twoi wojownicy to tchórze bez honoru – powiedziała wściekła Freilis. – Zamiast walczyć ze sobą nawzajem, zabijają bezbronne kobiety, starców i dzieci.

Torval szalał z wściekłości, rycząc, że daje sobie głowę uciąć, iż jego wojownicy są dzielni i odważni.

– Nie chcę twojej głowy – odrzekła Freilis. – Ale jeśli okaże się, że to ja mam rację, chcę, żebyś zakończył tę wojnę.

– Dobrze więc – zgodził się natychmiast Torval, bo pewien był, że wygra. – Jak załatwimy ten spór?

– Ten konflikt rozpoczęło dwóch wodzów, Thorgunnd i Krega. Niech staną do pojedynku – zdecydowała Freilis. – Niech nie walczą na śmierć i życie, bo mamy już aż nadto śmierci. Niech będzie to walka do pierwszej krwi.

Obaj wodzowie przystali na to i wkrótce stanęli naprzeciw siebie. Torval wolał, by wygrał Thorgunnd, bo wiedział, że wódz miał słuszny powód, by zacząć wojnę. Co do Freilis, to specjalnie sprowokowała Torvala do takiego postępowania, ponieważ знаła czarne serce Kregi i była pewna, że ten wódz nie będzie walczył uczciwie.

Miała rację. Thorgunnd pierwszy skaleczył Kregę, tnąc go mieczem w policzek. Krega rzucił broń na ziemię i podszedł do przeciwnika, by mu pogratulować. Lecz gdy Thorgunnd opuścił tarczę i odłożył miecz, Krega wyciągnął nagle nóż i dźgnął nim Thorgunnda w samo serce.

Wściekły Torval ogłosił, że Krega przegrał pojedynek. Przeklął go i wygnał z klanu. Krega został wyjęty spod prawa, a to oznaczało, że każdy mógł go zabić zupełnie bezkarnie. Krega miał wielu wrogów. Ścigany przez nich jak zwierzę, żył przez jakiś czas, lecz wkrótce rozszarpały go niedźwiedzie, święte zwierzęta Torvala.

Gdy skończyła się wreszcie wojna domowa, nastały dobre czasy dla klanu Thorgunnda Sigrunda. Na cześć swego wodza klan zmienił nazwę i od tego czasu ludzie ci znani byli jako Torgunowie. Ich smocze okręty żeglowały po morzach i oceanach, zapuszczając się w najdalsze krainy i dokonując czynów, które uwiecznione zostały w Torguńskich Sagach.

Podziwiając mądrość Freilis, Torval ogłosił, że wszelkie konflikty wśród Vindrasów będą odtąd rozstrzygane poprzez Vutmanę, Prawo Pojedynku.

Vutmana miała więc wielowiekową tradycję, a Vindrasi wciąż trzymali się wiernie wyznaczonych u jej zarania zasad. Na corocznym Zgromadzeniu Klanów Draya miała zawsze okazję usłyszeć, jak Talgogroth recytuje Prawo Pojedynku.

Jako że Vindrasi nie znali pisma, niezwykle ważną rolę odgrywał u nich Talgogroth – Głos Gogrotha, boga Drzewa Świata. Jego jedynym zadaniem było nauczyć się na pamięć prawa Vindrasów i recytować je podczas Zgromadzeń Klanów, spotkań zwoływanych co roku w każdym z klanów. Każdy mężczyzna, który skończył piętnaście lat, musiał uczestniczyć w zgromadzeniu i wysłuchać recytacji, tak by nikt nie mógł twierdzić, że popełnił przestępstwo z niewiedzy.

Przez pierwsze pięć dni każdego Zgromadzenia Klanów Talgogroth recytował wszystkie prawa ludu Vindrasów. Na Wielkie Zgromadzenie Klanów, które odbywało się raz w roku w Vindraholmie, przyjeżdżali wszyscy wodzowie. Pozostali mężczyźni uczestniczyli w Zwyczajnych Zgromadzeniach Klanów, które zwoływano w każdym klanie raz do roku, wtedy gdy przyjechał podróżujący od klanu do klanu Talgogroth. W zgromadzeniu miała też obowiązek uczestniczyć Kapłanka Kości, ponieważ wódz mógł poprosić ją o zwrócenie się o pomoc do bogów, jeśli nie był pewien, jak postąpić.

Następnego dnia po wyjeździe Torgunów, trzynaście dni przed Vutmaną, Draya udała się do Talgogrotha, by dopytać go o szczegóły Prawa Pojedynku. Nie chciała o niczym zapomnieć i obrazić bogów nieprawidłowym sprawowaniem rytuału. A przynajmniej taki był oficjalny powód tej wizyty, bo tak naprawdę Draya musiała zadać Głosowi Gogrotha pewne ważne pytanie.

Obecny Talgogroth miał na imię Balin. Był po trzydziestce. Prawa nauczył się na kolanach u ojca, który tak samo nauczył się go u swego ojca. Talgogrothowie cieszyli się u Vindrasów wielkim poważaniem. Byli jedynymi mężczyznami, którzy nie musieli walczyć – ich wiedza była zbyt cenna, by ryzykować ich śmierć. Zawsze, gdy Wódz Wodzów zajmował się rozsądaniem jakichkolwiek spraw, Balin zasiadał przy nim.

Balin spodziewał się odwiedzin Draii i serdecznie zaprosił ją do swojego długiego domu. Poczęstował ją jedzeniem i pić, które przyjęła, by go nie urazić. Cierpliwie słuchała w milczeniu, jak recytował Prawo Pojedynku i opisywał jej szczegółowo, gdzie ma się odbyć Vutmana, kto może być obecny, jak długie powinny być szaty, z czego mają być zrobione, jaka jest rola uczestników i tak dalej.

– Każdy z walczących ma trzy tarcze, które trzyma dla niego tarczownik. Tarczownik jednak nie może brać udziału w walce. Jego zadaniem jest tylko podanie nowej tarczy, gdy tarcza walczącego zostanie złamana – wyjaśniał Balin. – Każdy z walczących uderza jeden raz, ale prawo do pierwszego uderzenia ma pozwany. Walka trwa do pierwszej krwi. Wtedy to Kapłanka Kai kończy bitwę, oświadczając, że Torval rozstrzygnął konflikt.

Draya zmarszczyła brwi i uniosła dłoń, by powstrzymać ten potok słów.

– Co oznacza „pierwsza krew”? Jak rozumiem, nie chodzi tu o byle zadrapanie na policzku?

– To Kapłanka Kai decyduje o tym, czy popłynęła już pierwsza krew. Tradycyjnie jednak za pierwszą krew uznaje się takie zranienie, które spowoduje zakrwawienie tkaniny przy stopach wojownika.

– Rozumiem – powiedziała w zamyśleniu Draya.

– Jak pamiętasz, pani – dodał Balin z szacunkiem – Vutmana została ustanowiona przez Kai właśnie po to, by zapobiec rozlewowi krwi.

– A jednak dzisiejsza Vutmana nie jest już taka jak dawniej – zauważyła Draya.

– Tak, Vutmana we współczesnej postaci różni się znacznie od tej opiewanej w starych pieśniach – zgodził się Balin.

– Jak bardzo? – spytała Draya. – Chciałabym mieć co do tego jasność.

– Na przykład z początku, gdy tylko ustalono Vutmanę, dwóch wojowników mogło stanąć do walki, o cokolwiek tylko chcieli. Rozwiązywanie wszelkich spraw, sądowych w zasadzie, poprzez pojedynki stało się wówczas tak popularne, że kapłanki musiały nieustannie pilnować walczących wojowników – zapalił się do wyjaśnień Balin. – Bynajmniej nie podobało się to wodzom, którzy odczuwali to jako unikanie ich sądów i wzywaniem samego Torvala do byle głupstwa. Poza tym problem stanowiło także to, że każdy, kto nie zgodził się z wyrokiem wodza, mógł go wyzwać na Vutmanę, pokonać i przejąć władzę. Po kilku latach kompletnego chaosu Kai zdecydowały, że Vutmana może być stosowana jedynie wtedy, gdy dany konflikt prowadziłby w innym razie do wojny, oraz by ustalić, kto będzie nowym wodzem. Co więcej, osoba wyzywająca na pojedynek musiała zastawić sporą część swego majątku, którą otrzymywał wyzwany, w wypadku gdy Torval uznał jego słuszość. – Balin przerwał i sięgnął po lirę. – Na ten przykład w *Balladzie o sercu Gonegala* mamy następujący fragment...

– Chętnie wysłucham go następnym razem – powiedziała Draya uprzejmie, ale zdecydowanie, i wstała.

Balin był nie tylko Talgogrothem, ale i bardem. Potrafił śpiewać pieśń za pieśnią jak dzień długi.

– Wiesz, panie, że mogłabym słuchać twoich pieśni bez końca – dodała szybko, żeby go nie urazić – ale, jak na pewno świetnie rozumiesz, do czasu rozwiązania tej sprawy nie mam niestety czasu na takie przyjemności.

Balin skłonił głowę i z żalem odłożył lirę na bok.

– Mam nadzieję, że pomogłem ci choć trochę, pani – powiedział, także wstając.

– Byłeś jak zwykle niezastąpiony, panie. Dziękuję ci za cierpliwość i wsparcie. – Draya spojrzała na lirę stojącą na honorowym miejscu tuż przy palenisku i z grzeczności dodała: – Mam nadzieję, że skomponujesz piękną pieśń o zbliżającej się Vutmanie, by pamiętały ją nasze dzieci.

– To zależy – szepnął niepewnie Balin po chwili wahania.

– Od czego? – spytała Draya z uśmiechem. – Przecież wy, bardowie, opiewacie wszystkie ważne wydarzenia.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

– Być może nasze dzieci nie będą chciały tego pamiętać – powiedział w końcu.

Nastał dzień Vutmany. Poranek był pogodny. Bogini słońca Aylis zdawała się niemal wyskakiwać zza morza, jakby już nie mogła się doczekać świetnego widowiska. Akaria nie chciała skryć swej latarni; choć księżyc dawno powinien już zniknąć, na niebie wciąż majaczyła jego blada sylwetka, aż w końcu, gdy słońce było już wysoko, zniknęła opornie.

Torgunowie przybyli do Vindraholmu poprzedniej nocy. Na plaży nie było nikogo, by ich powitać, lecz nie było też nikogo, by im się przeciwstawić. Norgaard zrozumiał. Serca Heudjunów przepełniała gorycz i rozpacz. Norgaard i jego wojownicy rozbili obóz tuż przy brzegu i wódz ostro upomniał Torgunów, by nie pili za dużo.

Do miasta wrócił także Horg ze swymi osiłkami. Cały ten czas spędził w lesie, rozpamiętując swoje potknięcia i podłość niewiernego ludu. Jego przyjaciele uspokajali go i pochlebiali mu jak mogli, a przede wszystkim starali się przekonać, że postąpił słusznie. Sven to tchórz, mówili. Norgaard to ambitny cwaniak, którego nic nie powstrzyma, a ten szczeniak Skylan umie tylko szczekać, ale nie nauczył się jeszcze gryźć.

Dość szybko jednak pozbawili go złudzeń co do jednego – nie będzie walczył z kaleką.

– Dziewięć do jednego – powiedzieli – że Norgaard wystawi do walki syna.

Horg tylko wzruszył ramionami. Wolałby walczyć z Norgaardem, nie tylko ze względu na swoją przewagę fizyczną, ale też z powodu tamtego starcia o smoczy okręt. Miałby wreszcie okazję ukarać go za odmówienie mu czegoś, co mu się święcie należało.

Ale równie dobrze może walczyć ze Skylanem. Przemyślawszy to, uznał nawet, że tak będzie lepiej. Norgaard jest starym wyjadaczem – z pewnością zna większość sztuczek Horga, a pewnie ma i kilka swoich. Skylan jest za to młody i niedoświadczony, głupi i w gorącej wodzie kąpany. Nietrudno będzie złapać go na błędzie. Poza tym jest znacznie niższy od Horga i zdecydowanie słabszy. Horg znany był swego czasu z tego, że bez trudu rozłupywał tarczę jednym uderzeniem topora.

Horga opanowała taka nienawiść, że czuł, jak od jej płomienia robi mu się gorąco. Nie musiał nawet pić cydru. Podsyczał tylko ogień nienawiści, dorzucając rozmyślania o Draii i o Svenie, i o tych wszystkich innych łajdakach, którzy knuli ten spisek przeciw niemu. Gdy tylko zwycięży, pokaże im wszystkim, gdzie ich miejsce.

Całe dni spędzał na zapamiętanych ćwiczeniach walki toporem.

Przez czternaście dni nie tknął alkoholu i gdy obudził się tego dnia, był w stosunkowo dobrym stanie. Stracił nieco sadła na brzuchu. Jego szczeka stała się jakby twardsza.

Spojrzenie miał jasne i skupione. Wyznaczył sobie jasny cel i wiedział, jak go osiągnąć.
Zamierzał wygrać tę Vutmanę.

Nikt go nie powstrzyma – żaden człowiek, a już na pewno żaden bóg.

Rozdział 6

Vutmana mająca zdecydować, kto będzie Wodzem Wodzów, odbyła się w miejscu świętym dla wszystkich Vindrasów – na malej trawiastej wysepce w zatoczce na północny zachód od Vindraholmu, przy ujściu rzeki Akaraflod. To właśnie tu Tnorgunnd pokonał Kreę, przynajmniej tak głosiła legenda. Wysepka ta nosiła wiele mówiącą nazwę Zmory Kregi.

Otaczały ją wysokie klify – na nich mogli stanąć wodzowie, by oglądać pojedynek rozgrywający się na wyspie u ich stóp. Jednocześnie ostre, skaliste zbocza klifów skutecznie odstraszały zbyt zagorzałych kibiców od rzucenia się na pomoc swojemu faworytowi.

Od kilku dni na klifach gromadziły się tłumy. Niektórzy przeszli lub przejechali wiele mil, by zobaczyć Vutmanę. Obecni byli wodzowie wszystkich klanów otoczeni przez swoją straż przyboczną, swoich najdzielniejszych wojowników. Przy każdym wodzu stała Kapłanka Kości. Smocze okręty i łodzie ciągnęły się wzdłuż brzegu na całe mile. Każdy z klanów rozbił osobny obóz, a kolorowe flagi na namiotach łopotały targane morskim wiatrem. Przybyli straszliwi Martegnanie, wojownicy ze Stepów; i dumni Svegundowie, wojownicy Północnego Brzegu; sprytni Djevakfeni, wojownicy z Ziemi; odważni Olfet Margenowie, wojownicy Północnego Morza; i zręczni Luknarowie, którzy tak naprawdę stanowili dwa klany połączone ze sobą, to znaczy wojowników Południowej Zatoki i Mistrzów Kuźni.

Wodzowie – jako świadkowie pojedynku – zajęli miejsca, z których był najlepszy widok: przy krawędzi klifów, skąd mogli patrzeć wprost na wyspę w dole. Tuż przy nich stanęły Kapłanki Kości, a ich zdobne szaty jaśniały kolorowo na de szarych skał.

Na honorowych miejscach pojawili się też najważniejsi wojownicy z klanów Heudjunów i Torgunów. Te dwie grupy stanęły jednak jak najdalej od siebie, udając, że nie widzą siebie nawzajem. Heudjunom przewodził Sven Teinar. Na czele Torgunów stał Sigurd Adalbrand.

Między nimi trwały wyprostowane dumnie Kapłanki Kości: Fria Teinar, kapłanka Heudjunów, oraz Treia Adalbrand, kapłanka Torgunów. Ich obecność świadczyła o solidarności Kai bez względu na wszystko. Poza tym, stojąc między klanami, miały pewną szansę zapobiec ewentualnym kłopotom.

Heudjunowie milczeli ponuro. Ich serca były rozdarte. Nienawidzili Horga i chętnie ujrzeliby, jak przegrywa, ale też nie chcieli, by zwyciężyli Torgunowie. Torgunowie z kolei byli w wyśmienitych nastrojach. Torval wyraźnie był po ich stronie.

Jeszcze kilka godzin temu niektórzy z Torgunów zaczęli się nagle niepokoić, że skoro Kapłanka Kai jest żoną Horga, będzie stronnicza. Przyszli z tym do Norgaarda, ale ten zezłościł się tylko i potępił ich za to, że wątpią w uczciwość Draia.

– Znam Kapłankę Kai od wielu lat i wiem, że jest kobietą honoru – oświadczył. – Draya jest oddana bogom ponad wszystko. Jest Kapłanką Kai, a dopiero potem żoną Horga. Będzie głosem samego Torvala. Przekáže jego wolę wiernie, bo inaczej bogowie by ją przekleli.

To uciszyło niedowiarków, choć czy ich uspokoilo, to inna sprawa.

Pozostali Vindrasi, którzy przybyli, by zobaczyć walkę, zajmowali te miejsca, które były jeszcze wolne, rozpychając się i przeciskając w tłumie, żeby zobaczyć jak najwięcej, aż w końcu jeden z małych chłopców poślizgnął się i mało nie runął z wysokiej skały. Jeden ze stojących obok wojowników chwycił go w porę, ale Kapłanki Kości, wyciągnęły naukę z tego wypadku i nakazały, by każdy klan wysłał swych mężczyzn do utworzenia kordonu na krawędzi klifów, tak by zbyt ciekawscy widzowie nie pospadali do morza.

W tłumie przeważał odświętny nastrój pełen podekscytowania. Ludzie nawoływali się nawzajem, pozdrawiali znajomych, których nie widzieli od lat, dzielili się radosnymi nowinami o tych, którzy się narodzili, i smutnymi o tych, którzy zmarli. Każdy ubrany był w swoje najlepsze odzienie. Broń była zakazana, ale mężczyźni mieli na sobie srebrne naramienniki i złote łańcuchy, które świadczyły o ich czynach bojowych. Kobiety wpięły w fartuchy najpiękniejsze broszki. Między nogami pałętały się przejęte dzieci. Za nimi biegały rozszczekane psy. Bukłaki z piwem wędrowały z rąk do rąk. Nagle wszystkie rozmowy i śmiechy ustały. Pojawił się *Venjekar*, a na nim Kapłanka Kai i obaj przeciwnicy.

Zwyczajowo podczas ceremonii używano okrętu należącego do klanu niezaangażowanego w spór, ale Treia oświadczyła, że smok Kahg chce być obecny przy walce, i ponieważ każdy rozumiał jego złość z powodu zaginięcia Torquesu Vektyjskiego, nikt nie zamierzał się z nim spierać. Smocze oczy rzuciły tłumowi ponure, krwistoczerwone spojrzenie, które uświadomiło ludziom, jak straszny jest powód tego zgromadzenia. Kobiety przestały plotkować i przygarnęły do siebie dzieci. Mężczyźni upuścili bukłaki na ziemię i skrzyżowali ramiona na piersi. Zapadła cisza – pełna napięcia i oczekiwania. Bez trudu można było usłyszeć, jak kil smoczego okrętu szoruje o skały.

Draya stała na dziobie okrętu, opierając dłonie o szyję smoka. Za nią stali wojownicy. Patrzyła przed siebie, nie obracając się ani razu, starannie unikając spoglądania na któregośkolwiek z przeciwników. Udawała, że postępuje tak, by nikt nie oskarżył jej o stronniczość, jednak w rzeczywistości po prostu nie mogła znieść widoku Horga.

Dzięki smokowi Kahg *Venjekar* dopłynął do wysepki ostrożnie i precyzyjnie. Draya przygotowała się do zejścia na ląd. Musi jeszcze przygotować i poświęcić ziemię, na której

odbędzie się walka. Tarczownicy, Garn i przyjaciel Horga, Rulf, zrzucili trap i stanęli obok, by pomóc jej zejść.

Popatrzyła na trap z przerażeniem. Była to po prostu długa deska. Draya nie była na morzu od lat. Zrobiło się jej niedobrze, z trudem trzymała się na nogach, a oparty o kamienie trap, wyginał się pod naporem kołyszącego się statku. Fale rozbijały się o burtę i krople słonej wody piekły Drayę w oczy. Będzie musiała przejść po tej wąskiej desce w swojej długiej sukni płaczącej się jej u nóg i ciężkich szatach kapłanki. Wyobraziła sobie, jak się potyka, wpada do morza, a fale unoszą ją i roztrzaskują jej ciało o skały. Zrobiło jej się słabo ze strachu.

Chwyliła się kurczowo nadburcia i popatrzyła w dół na szarozielone, spienione fale. Statek bujał się, to uderzając o skały, to się cofając. Draya postawiła jedną stopę na trapie. Był śliski od morskiej wody.

– Vindrash, pomóż! – pomodliła się cicho, wiedząc, że musi zebrać się na odwagę i ruszyć do przodu. Nagle poczuła, że chwytają ją czyjeś mocne ramiona.

– Morze jest dziś bardzo wzburzone, Kapłanko Kai – powiedział ktoś. – Pozwól, że ci pomogę.

Draya była tak przestraszona, że nie umiała nawet rozróżnić, który z mężczyzn do niej przemówił. Ktokolwiek to był, w jednej chwili przeskoczył ponad nadburciem, wylądował na skalistym brzegu, odwrócił się w jej stronę i podał jej dłoń.

– Chwyć mnie mocno, Kapłanko – powiedział Skylan. – Nie obawiaj się. Nie pozwolę ci upaść.

Draya spojrzała na niego. Przed nią, w dole, stał młodzieniec, który zaoferował się walczyć w imieniu ojca. Widziała go już przedtem, ale dopiero teraz naprawdę go zobaczyła.

Na ramiona spływały mu włosy złote jak promienie słońca. Klatkę miał szeroką, plecy proste, a ciało silne i umięśnione. Jego oczy były błękitne jak morze, a skóra gładka i ciemna. Na jego ramieniu lśniły srebrne odznaczenia. Był jak bohater legend, jak ziszczenie dziewczęcych snów, jak ucieleśnienie wszystkich wielkich bohaterów, których Vindrasi opiewali w pieśniach i balladach.

Jakiś bóg sobie go umiłowal! – pomyślała Draya.

Skylan spojrzał w górę i uśmiechnął się do niej. Napiął mięśnie i przygotował się na chwycenie jej dłoni.

Draya złapała jego rękę i weszła na trap, ale poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby jej nie chwycił. Jego dłonie zamknęły się na jej talii, jego palce musnęły jej piersi. Uniósł ją i postawił ostrożnie na ziemi.

– Nic ci nie jest, pani? – spytał z troską w głosie, trzymając ją mocno tak długo, aż stanęła pewnie na skale.

Kiwnęła tylko głową, bo nie mogła się zdobyć na żadną inną odpowiedź.

Jego silne, mocne dłonie wzbudziły w niej takie pożądanie, tak słodki, bolesny żar, że jej serce stopniało, krew się zagotowała, a ciało pochłonął ogień i nie pozostawił po sobie nic zgoła.

Skylan puścił ją. Pochylił głowę, nawet nie zwrócił uwagi na jej dziwnie krótkie podziękowanie i pobiegł z powrotem na smoczy okręt, zostawiając ją samą.

Draya stała na wyspie. Nikt nie powinien tu przebywać, póki nie przygotuje ziemi na Vutmanę. Miała świadomość, że nad nią, na wysokich klifach stoi tłum ludzi – w napięciu i milczeniu obserwuje każdy jej ruch.

Miała świadomość, że na smoczym okręcie czekają mężczyźni, którzy chcą dziś usłyszeć, jaka jest wola Torvala.

Miała świadomość, że smok Kahg wbija w nią swoje czerwone ślepia.

Miała podejrzenie, że są przy niej bogowie, ale nie była tego pewna. Czy była to jej wina czy ich, trudno powiedzieć.

Miała świadomość, że wszystko to ją otacza, ale jednak przede wszystkim czuła na sobie dotyk Skylana i widziała jego niebieskie oczy.

Draya uniosła głowę i dłonie, jakby się modliła, a potem postanowiła skupić się na czymkolwiek, co trafi jej w ręce. Było to przygotowanie do Vutmany.

– Na co ona czeka? Czemu jeszcze nie zaczyna? – denerwował się Skylan.

Chciał już zacząć tę bitwę, chciał już ją zwyciężyć i naprawdę nie miał cierpliwości do tych wszystkich rytuałów i ceremonii. W jego oczach Vutmana była taką prostą rzeczą: walką dwóch wojowników. Niech mu dadzą miecz i tarczę, a on naprawdę zajmie się resztą.

Skylan brał dotąd udział w trzech Zgromadzeniach Klanów. Trzykrotnie słuchał recytacji prawa, ale nie bardzo zwracał na nie uwagę. Myślni był już zwykle gdzie indziej, planował nowe wyprawy albo śmiał się w duchu z żartu, który ktoś mu opowiedział poprzedniej nocy. I dlatego był oburzony i zdumiony, gdy ojciec wyjaśnił mu zasady Vutmany.

– Chcesz powiedzieć, że mam tak stać i czekać, aż Horg we mnie uderzy? – spytał.

– Możesz się bronić – tłumaczył Norgaard. – Ale nie możesz uderzyć, póki nie nadejdzie twoja kolej.

Jeśli to prawda, to nawet ty mogłeś walczyć! – pomyślał Skylan z pogardą i choć nic nie powiedział, jego ojciec i tak się domyślił.

– Stać tak nieruchomo, czekając, aż przeciwnik zada ci śmiertelny cios, to wymaga niezwyklej odwagi, wielkiego opanowania. – Norgaard spojrzał na Skylana ponuro. – A to właśnie tych cech wymaga się od wodza i od jego syna.

Skylan pomyślał chwilę.

– To, co mówisz, ma sens, ojczu – zgodził się wreszcie wielkodusznie. – W takim razie nie mam zastrzeżeń.

– Jestem pewien, że Torval się ucieszy – mruknął szorstko Norgaard.

Najpierw Skylan wściekał się, że musi czekać aż czternaście dni. On był gotowy walczyć jeszcze tego samego dnia, gdy wyzwali Horga na pojedynek. Choć rozumiał, że inni wodzowie muszą być obecni, nie mógł zupełnie pojąć, czemu przybycie na Vutmanę ma im zająć aż dwa tygodnie. Powinni rzucić wszystko i stawić się natychmiast na miejscu. Potem zirytował się jeszcze bardziej, bo ojciec nakazał mu spędzić noc poprzedzającą Vutmanę w odosobnieniu. Inne klany zebrały się razem, była uczta i ognisko, a Skylan siedział sam na plaży i tylko słyszał ich śmiechy i okrzyki. Chciał być z nimi, wysłuchiwać, jak wojownicy chępliwą się swymi czynami, sam się trochę poprzehwalać.

Norgaard próbował wytłumaczyć mu, że jego obecność tej nocy będzie Heudjunom solą w oku, że może wywołać bójkę, doprowadzić do rozlewu krwi, a przecież właśnie tego chcieli uniknąć. Skylan musiał przyznać, że Norgaard ma nieco racji, ale i tak poszedł spać zły jak osa.

Zerwał się jeszcze przed świtem, pobudził wszystkich i wepchnął Garna i ojca na pokład *Venjekara*. Ale mogli się wyspać do woli, bo i tak musieli czekać na Horga i jego tarczownika, a potem jeszcze na Kapłankę Kai.

Kiedy wreszcie się pojawiła, przytargała ze sobą zwiniętą świętą tkaninę i kosz, w którym był bukłak i dwa posrebrzane kielichy z baraniego rogu. Skylan spytał ojca, po co te kielichy, ale Norgaard nie wiedział. Podobno kapłanki zawsze dodają coś od siebie.

Mężczyźni pokłonili się z szacunkiem, gdy kapłanka weszła na pokład. Starannie ich wyminęła, na żadnego nie spoglądając ani z nikim nie zamieniając nawet słowa, a potem stanęła na dziobie, tuż przy kości ducha. Tkwiła tam przez całą podróż i nawet nie drgnęła.

Skylanowi strasznie się dłużyła ta cała przeprawa. Nie wolno mu było rozmawiać z przeciwnikiem, ale nikt mu nie zabronił robić złośliwych uwag na jego temat, a jeśli Horg je akurat usłyszy, to już jego problem. Za każdym razem jednak, gdy tylko otwierał usta, Norgaard spoglądał na niego surowo, aż Garn się speszył i szepnął Skylanowi, żeby zaczął wreszcie poważnie podchodzić do sprawy.

To go naprawdę zdenerwowało. Przecież podchodził do Vutmany jak najpoważniej. W końcu to on będzie walczył. Torval jest po jego stronie. Co do tego nie miał wątpliwości. Oczywiście był jeszcze Hevis, który zwykł mieszać szyki i ludziom, i bogom, ale Skylan był młody, silny, odważny i pewny siebie. Słowem, był w stanie pokonać każdego.

Po niekończącej się przeprawie smoczy okręt dobił wreszcie do wyspy zwanej Zmorą Kregi. Tu Skylan ujrzał tłumy kłębiące się na klifach – takich tłumów w życiu jeszcze nie widział. Dopiero wtedy uświadomił sobie znaczenie Vutmany. Tu oto, na tej właśnie wyspie, walczył wspaniały Thorgunnd i poległ. Tu Torval przeklął zdradzieckiego Kregę. Tu walczyły niezliczone zastępy wojowników. Tu okrywali się chwałą.

Skylan spojrzął w górę, na ludzi – na swoich ludzi – i serce urosło mu z dumy. Poczł się niezniszczalny. Oczyma duszy już widział siebie na świętej tkaninie, w uszach słyszał wiwaty tłumu, gdy jego ojciec wychodzi, kulejąc, na środek. Oto nowy Wódz Wodków.

Wódz Wodzów. Norgaard, staruszek, kaleka, Wodzem Wodzów.

Venjekar rzucił kotwicę przy wyspie, zbyt małej, by wyciągać okręt na jej brzeg, i Skylan już chciał zeskoczyć na ląd, gdy Garn go powstrzymał.

– Najpierw schodzi Kapłanka Kai – szepnął.

Skylan wznosił oczy do nieba na myśl o kolejnym opóźnieniu. Garn i Rulf, tarczownik Horga, zrzucili trap.

Skylan czekał więc niecierpliwie, aż kapłanka zejdzie wreszcie, ale ta kobieta stała przy nadburciu i gapiała się nie wiadomo na co. Była zielonkawa na twarzy i coraz bardziej zirytowanemu Skylanowi przyszło do głowy, że może staruszka cierpi na chorobę morską.

– Draya się boi, synu – syknął mu Norgaard do ucha. – Pomóż jej.

– Myślałem, że nie mam prawa dotykać tej ziemi, póki ta baba jej nie pobłogosławi czy coś – odpowiedział mu Skylan.

– Głupcze! – szepnął Norgaard, posyłając mu wściekłe spojrzenie. – Nasz los leży w rękach Draï. Pospiesz się, nim Horg cię ubiegnie!

– Mój los leży w rękach Torvala – mruknął Skylan, ale rozumiał, co ojciec ma na myśli. Nie zaszkodzi być też miłym dla kapłanki.

Bez trudu wyskoczył na brzeg i podał Draï rękę, by przeszła sobie spokojnie po trapie.

Kapłanka była szczupła, miała jasne włosy i jasną cerę. Na jej czole widniała zmarszczka od nadmiaru zmartwień, a usta były wąskie i zaciśnięte, jakby przyzwyczajone do trzymania sekretów. Jedyne jej oczy były dość ładne – duże i błyszczące, ale w ich kącikach widać było kurze łapki.

Musi mieć ze trzydzieści pięć lat, pomyślał Skylan. Gdyby żyła moja matka, byłaby mniej więcej w jej wieku.

Przejęty tym, że ma oto przed sobą staruszkę, Skylan złapał Drayę bardzo delikatnie, bojąc się, że połamie jej kości. Z namaszczeniem postawił ją na ziemi. Stała tak przed nim przez chwilę i gapiała się głupio jak oniemiała. Już miała się odezwać, ale postarał się zniknąć, zanim wydukała podziękowania. Im szybciej on wróci na pokład, tym szybciej ona będzie mogła zająć się swoją robotą, i może wreszcie zacznie się ta cała walka.

Teraz Skylan patrzył coraz bardziej zniecierpliwiony, jak Kapłanka Kai odmierza Holmhring, czyli kwadrat ziemi, piętnaście stóp na piętnaście, na którym walczy się Vutmanę. Na środku tego kwadratu kapłanka położyła specjalną tkaninę, dziewięć stóp na dziewięć. Powiedziała, że tkanina została pobłogosławiona przez samą Vindrash.

Gdy wreszcie się z tym uporała, wezwała Garna i Rulfa. Nakazała im wbić kołki w ziemię na rogach tkaniny, żeby ją przymocować. Potem tarczownicy walili młotkami w te kołki, później jeszcze wiązali na nich liny wyznaczające obszar, na którym zostanie stoczona walka.

Tarczownicy zajęli pozycje po zewnętrznej stronie lin. Każdy z nich trzymał po trzy tarcze. Wolno im było podać walczącym nową tarczę, ale nie mogli włączyć się do walki.

W końcu Draya dała znak, że wszystko jest już gotowe. Śnieżnobiałe płótno było przytwierdzone do ziemi. Tarczownicy stali na swoich miejscach. Teraz Norgaard mógł już zejść na brzeg. Dumnie odmówił pomocy, starzec wszedł na niepewny trap, ale jego laska się ześlizgnęła, noga mu się powinęła i wpadł z pluskiem do wody. Wykrzywił twarz z bólu i złości.

Garn i Rulf podbiegli, by mu pomóc, ale Norgaard odepchnął ich i wstał sam. Opierając się na lasce, powoli podszedł na swoje miejsce przy Garnie. Tłum zamruczał z podziwem. Vindrasi cenili sobie odwagę wszelkiego rodzaju.

Na pokładzie smoczego okrętu Horg spojrział na Skylana kątem oka i zachichotał.

– Naprawdę wierzysz, że Torwał uczyni tę kalekę Wodzem Wodzów?

Skylan rzucił Horgowi wściekłe spojrzenie i właśnie miał mu odpowiedzieć na tę obelgę, gdy Draya skinęła na nich, by zaczynali. Skylan ruszył, by zejść na ląd, ale Horg odepchnął go na bok.

– Mężczyzna, któremu rzucono wyzwanie, schodzi pierwszy – rzucił z pogardą, a potem uśmiechnął się z wyższością. – A może powinienem powiedzieć po prostu: mężczyzna schodzi pierwszy?

Skylan zbladł na tę obelgę. Już chwycił za miecz, już szedł w stronę Horga, gdy zarówno Norgaard, jak i Kapłanka Kai syknęły na niego, żeby się opanował. Wściekły wcisnął miecz z powrotem do pochwy.

– Już za chwilę rozpruję ci to grube brzuszysko i nakarmię ryby twoimi flakami – powiedział.

– Tak, tak, chłopczyku – zakpił z niego Horg i gdy go mijał, kopnął go mocno w kolano.

Skylan aż stęknął z bólu. Horg zadał mu jednak cios tak szybko i wprawnie, że nikt tego nie zauważył.

– Oszukujesz! – jęknął Skylan, wykrzywiając się z bólu, gdy próbował stanąć na bolącej nodze.

– O, idź szybko poskarżyć się tatusiowi – wyśmiał go Horg i zeskoczył na brzeg.

Tam ostentacyjnie zaczął wybierać sobie najlepsze miejsce na tkaninie. Gdyby pojedynek rozpoczynał się wcześniej rano, miałyby to może jakieś znaczenie, bo mógłby stanąć plecami do słońca i zmusić Skylana do walki pod światło, ale Draya tak długo wydziwiała z tymi swoimi kołkami i linami, że słońce było już wysoko i nie robiło różnicy.

Horg celowo stanął przodem do tłumu. Niech widzą, że się ich nie boi i że nie ma się czego wstydzić.

Gdy dał znak, że jest gotów, Draya wezwała Skylana. Horg obejrzał się na smoczy okręt i zaśmiał, widząc, jak młody chłopak próbuje za wszelką cenę ukryć to, że ledwo idzie.

Nie bał się, że Skylan otwarcie oskarży go o oszustwo. Ten chłystek był zbyt dumny, by przyznać się do własnej głupoty. Bo tylko ktoś bez żadnego doświadczenia dałby się złapać na tak stary trik. Horg wpatrywał się w kuśtykającego Skylana ze złośliwym zadowoleniem i

miał nadzieję, że chłopak spadnie z trapu jak jego ojciec, ten pożał się Boże kaleka. SkyLAN zawiódł go jednak. Ból w kolanie musiał być straszny, a jednak chłopak nie dał po sobie znać, że coś jest nie tak.

SkyLAN wbił wzrok w Horga i nie spuszczał z niego swych niebieskich oczu, gdy tak szedł po trapie, z lekka utykając. Ojciec spytał go, czy wszystko w porządku, ale chłopak nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył na Horga. Jego tarczownik, Garn, spytał go, co się stało, ale SkyLAN nie odpowiedział. Patrzył na Horga. Kapłanka Kai coś mówiła, ale SkyLAN nawet jej nie słyszał. Patrzył na Horga.

Zirytowany Horg odwrócił głowę. Ciało SkyLANa powieszę za nogi, zdecydował. Tak żeby ptaki mu wydziobały te cholerne niebieskie oczy.

Wszystko było już gotowe. Wiatr ucichł. Wśród tłumu ponióś się szept. Fale zamarły. Ocean był gładki, przeraźliwie spokojny. Czerwone oczy smoka patrzyły.

– Horgu Thekksonie, Wodzu Wodzów ludu Vindrasów, podejdź! – zawołała Draya. – SkyLANie Ivorsonie, synu Norgaarda Ivorsona, wodza Torgunów, podejdź!

Horg podszedł do kapłanki nonszalanckim krokiem. SkyLAN pokuśtykał.

Draya wyjęła z kosza zdobny kubek z rogu i napełniła go winem. Wino było wśród Torgunów rzadkością. Ten drogi i trudno dostępny trunek pito jedynie przy niezwykle ważnych okazjach. Kapłanka podała róg SkyLANowi.

– Pijąc to święte wino, przysięgasz przestrzegać ustalonych przez bogów zasad Vutmany. Pijąc to wino, oddajesz się w ręce Torwała.

SkyLAN z powagą przyjął kielich. Chwycił go prawą ręką, a lewą położył na swym srebrnym amulecie. Uniósł kielich i powiedział:

– Torwału, spojrzysz na mnie.

Upił łyk wina i oddał róg Draii, a potem znów utkwiał spojrzenie w Horgu.

Draya otarła krawędź rogu białą tkaniną, a potem podała go Horgowi. Wziął go od niej, przyłożył do ust i wypił całą zawartość rogu wielkimi haustami. Otarł twarz rękawem, uśmiechnął się i oddał róg Draii.

– No, skończmy to wreszcie – powiedział.

Gdy Draya przyjmowała od niego róg, podeszła krok bliżej, tak że stała z nim twarzą w twarz, a tyłem do tłumu i tarczowników. Mówiła tylko do niego. Mówiła cicho, powoli i z naciskiem.

– Bogowie istnieją, Horgu. Bogowie nie umarli. Bogowie Vindrasów cię przeklęli.

Może sposób, w jaki to powiedziała – spokojny, chłodny i z zupełną pewnością – a może straszne światło prawdy w jej oczach sprawiło, że Horga zdjęła nagle panika, ścisnęła mu się żołądek i Wódz Wodzów pomyślał: „A jeśli ona ma rację?”

Rozdział 7

Garn sięgnął ponad barierką z lin, by podać Skylanowi pierwszą z trzech tarcz. Każda z nich była okrągła, zrobiona z drewna i tak duża, że chroniła go od ramion po kolana. Krawędzie tarcz pokryte były skórą, co znacznie je wzmacniało – gdy skóra się zbiegła, zbiła drewniane klepki w spójną całość. Dodatkową ochronę stanowiło żelazne umbo pośrodku tarczy. Skylan złapał drewniany uchwyt, wsuwając dłoń pod umbo.

– Co ci się stało w nogę? – spytał Norgaard, widząc, że syn kuleje.

Skylan rzucił wściekle spojrzenie na Horga.

– Ten sukinsyn kopnął mnie w kolano, gdy schodził na brzeg.

Uderzenie nie byłoby tak straszne, gdyby nie to, że Horg nieświadomie trafił w i tak już osłabioną nogę Skykana. Rana zadana przez dzika zagoiła się, ale mięśnie w tym miejscu wciąż były obolałe, a kopniak Horga tylko zaostrzył ból.

– I nazwał mnie chłopczykiem – skarżył się rozżalony Skykan, krzywiąc się ze złości. Serce waliło mu jak oszalałe. Oczy zaszyły mu czerwoną mgłą. Dłonie były mokre od potu, a w ustach czuł krew. – Traktuje mnie jak dziecko!

Norgaard chwycił syna za ramię.

– Słuchaj uważnie – syknął z mocą. – Jak ci się wydaje, po co Horg cię obraził? Po co cię kopnął? Przecież nie, żeby cię zranić. Równie dobrze mógł ci przetrącić rzepkę w kolanie, ale nie zrobił tego. On cię podpuszcza, synu. Ma nadzieję, że przestaniesz nad sobą panować i zaczniesz walczyć jak głupiec... jak dziecko.

Po drugiej stronie białej tkaniny Horg spokojnie wsunął swoją wielką dłoń pod tarczę. Jego tarczownik pochylił się do jego ucha i wyraźnie powiedział mu coś śmiesznego. Horg jednak się nie roześmiał. Mruknął coś pod nosem i odwrócił się do przyjaciela plecami. Rulf popatrzył za nim zmieszany.

– To nie ściana tarcz. Tu nic ci nie pomoże żadne Torwalskie Szaleństwo – mówił Norgaard. – W tej walce ważna jest cierpliwość, skupienie i spryt. Tu liczy się każdy twój ruch. Czy ty mnie rozumiesz, synu?

Skykan zamknął oczy, by nie widzieć Horga. Wziął głęboki oddech i pozwolił, by zimne, słone powietrze schłodziło jego krew. Znów widział wszystko jasno i wyraźnie. Czuł się pusty, lekki, czysty.

– Rozumiem, ojcze – powiedział i uściśnął dłoń ojca. – Będziesz ze mnie dumny.

Norgaard popatrzył na Horga, który brał do ręki broń.

– Wybrał topór, a nie miecz. To znaczy, że będzie próbował złamać twoją tarczę.

Skylan skinął głową. Rozumiał tę taktykę, bo sam się nad nią zastanawiał. Kiedy wojownik zużyje już wszystkie swoje trzy tarcze, pozostaje mu jedynie broń.

– Horg będzie próbował szybko zakończyć tę walkę – ciągnął Norgaard. – Wie, że choć po jego stronie jest siła, ty jesteś młodszy i bardziej wytrzymały. Całą moc skoncentruje na swym pierwszym ciosie. Musisz zacisnąć zęby i go wytrzymać.

Skylan znów pokiwał.

– Pamiętaj, że możesz się bronić, ale nie możesz atakować, póki nie przyjdzie twoja kolej. I uważaj na stopy. Nie wyjdź choćby palcem poza tkaninę i cokolwiek by się działo, nie daj się wypchnąć poza barierkę.

Wykroczenie poza tkaninę nazywano „wzdryganiem się”, a wystąpienie poza barierkę było określane jako „pierzchanie”. I jedno, i drugie było jednoznaczne z tchórzostwem.

– Wiem o tym wszystkim – szepnęła Skylan, lekko już zniecierpliwiony.

– Wiem, że wiesz – odrzekł bez uśmiechu Norgaard. – Ale teraz musisz to wcielić w czyn.

Kapłanka Kai stanęła na swoim miejscu tuż za barierką. Czas było zaczynać.

– Horgu Thekksonie z Heudjunów, czy jesteś gotów? – spytała.

– Jestem! – odrzyknął Horg dumnie, ale jego postawa na to nie wskazywała.

– Coś mu się stało – szepnęła Norgaard, marszcząc brwi. – Garnie, zauważyłeś coś?

– Widziałem tylko, że Kapłanka Kai powiedziała coś do niego, gdy podawała mu wino – odrzekł Garn. – Ale mówiła tak cicho, że nic nie słyszałem.

Wszyscy trzej byli świadomi zmiany, jaka zaszła nagle w Wodzu Wodków. Jeszcze na okręcie był pewny siebie, przechwalał się, prostował pełen pychy. Teraz jego twarz była ponura, oczy mroczne, a ruchy ociężałe. Choć od morza wiał chłodny wiatr, na czole wystąpił mu pot. Na materiale pod pachami pojawiły się wielkie plamy. Wpatrywał się w Kapłankę Kai, która zupełnie nie zwracała na niego uwagi.

– Tych dwoje nie łączy miłość – zauważył Norgaard. – Powiedziała mu coś, co odebrało mu odwagę. To ci dobrze wróży, synu.

Skylanowi było już naprawdę wszystko jedno. Chciał wreszcie zacząć walczyć.

– Skyłanie Ivorsonie, synu Norgaarda, czy jesteś gotów?

– Jestem! – krzyknął z werwą.

Norgaard podał mu miecz.

– Niech Torval będzie z tobą, synu!

– Jest ze mną, ojcze – zapewnił go Skylan, wdychając głęboko morskie powietrze. – Walczy przy moim boku.

Skylan zajął swoją pozycję na tkaninie. Gdy już tam był, podniósł wzrok na tłum zgromadzony na klifie. Przebiegł oczyma po twarzach, aż odnalazł Treię. Nie dbał o nią zupełnie, ale wiedział, że ta, której szukał, stoi na pewno przy jej boku. Zobaczył wreszcie Aylaen i uniósł miecz. Uśmiechnęła się i pomachała mu.

Skylan odwrócił się w stronę przeciwnika. Tarczę trzymał przed sobą i gotów był wytrącić Horgowi topór z dłoni swoim mieczem. Skylan miał na sobie tunikę, spodnie i ciężkie buty, srebrne naramienniki i oczywiście swój amulet. Horg ubrany był bardzo podobnie. Żaden z nich nie miał zbroi ani hełmu. W tej walce musieli polegać jedynie na swojej odwadze, inteligencji, tarczy i broni.

Skylan przygotował się na pierwszy cios. To Horg był stroną wyzwana na pojedynek, a zatem miał prawo do pierwszego ataku. Ten wielki mężczyzna poruszał się powoli, pozwalając, by cała jego siła skupiła się w jednym ciosie.

Stanie tak i czekanie bez ruchu, aż Horg zaatakuje, okazało się dla Skylana najtrudniejszą rzeczą, jaką dotąd zrobił w całym swoim życiu. Zaciśnął dłonie na rękojeści miecza i tarczy, rozstawił szerzej nogi i poluzował kolana, żeby lepiej przyjąć uderzenie. Przyglądał się oczom Horga w nadziei, że wyczyta z nich, gdzie Horg chce zadać pierwszy cios. Skylan nie mógł wprowadzić zaatakować, ale miał prawo użyć broni do odparcia uderzenia przeciwnika.

Horg trzymał przed sobą tarczę właśnie po to, by zapobiec takiemu użyciu broni przez Skylana. Uniósł topór. Ostrze błysnęło w słońcu żywym ogniem i runęło w dół. Horg był mądrym wojownikiem. Jego oczy nie mówiły nic.

Skylan uniósł tarczę, gdy topór Horga walnął w nią z łomotem. Poleciały drzazgi. Potężne uderzenie wstrząsnęło jego ramieniem i obilo mu kłykcie. Topór wbił się w drewno tak głęboko, że Horg musiał się wysilić, by go stamtąd wyszarpnąć. Ta chwila wysiłku dała Skylanowi okazję do ruchu. Już zamachnął się mieczem, gdy usłyszał ryk Garna.

Wściekły opuścił broń. Nie może atakować. Może się tylko bronić.

Wyrwawszy topór, Horg wrócił na miejsce na tkaninie. Skylan miał czas przyjrzeć się tarczy. Uderzenie wybiło dwie z desek. Przy następnym ciosie tarcza po prostu się rozpadnie. Skylan podszedł do Garna i rzucił bezużyteczne deski na ziemię.

– Tak mogła wyglądać twoja czaszka – zauważył przyjaciel.

– Dawaj tę cholerną tarczę – mruknął Skylan.

– Pamiętaj, co żeśmy razem ćwiczyli – przypomniał mu Garn, podając tarczę.

Skylan kiwnął głową i wrócił na swoją pozycję. Teraz to on atakował. Tarcza Horga cała powleczone mocną skórą była znacznie droższa od tej, którą miał Skylan. Skóra powlekała tylko krawędź jego tarczy. Bycie wodzem miało pewne zalety.

Horg miał nadzieję, że walka będzie szybka i że starczy mu sił. Skylan miał nadzieję, że walka będzie szybka i że starczy mu tarcz. Ruszył na Horga ze wzrokiem utkwionym w tarczę. W ostatniej chwili, wciąż patrząc na tarczę, zamachnął się na odsłonięte ramię Horga.

Wódz Wodzów był jednak zbyt doświadczonym wojownikiem, by dać się zwieść. Zatrzymał miecz Skylana swoim toporem, odwrócił się i walnął swoją tarczą w tarczę Skylana z taką siłą, że pchnął chłopaka w tył. Skylan potknął się, przewrócił i wylądował na tyłku.

Horg roześmiał się na całe gardło, ale niezbyt szczerze.

Skylanowi krew uderzyła do twarzy. Wyszedł na głupca przed wszystkimi wodzami i najdzielniejszymi wojownikami Vindrasów. Garn i ojciec wrzeszczeli coś w jego stronę, ale Skylan nie zwracał na nich uwagi. Wściekły zerwał się z ziemi z uniesionym mieczem i rzucił w stronę Horga.

– Stój! – krzyknęła Kapłanka Kai i ostro dodała: – Wojowniku, albo natychmiast wrócisz na swoje miejsce, albo utracisz prawo do walki!

– Właśnie, chłopczyku, wracaj na swoje miejsce – zakpił Horg.

Skylan zatrzymał się, rzucił Horgowi spojrzenie pełne nienawiści, po czym odwrócił się i odszedł z taką godnością, na jaką było go stać w tych warunkach.

W każdej innej sytuacji tłum pękałby ze śmiechu na widok wojownika lądującego na siedzeniu. Wykrzykując komentarze i porady, ludzie śmialiby się jak szaleni lub jęczeli z rozpaczą w zależności od tego, po czyjej byłiby stronie. Tym razem jednak zaledwie paru mężczyzn coś krzyknęło, a kilka kobiet jęknęło. Większość Vindrasów patrzyła w milczeniu. Dzieci nie pojmowały zupełnie, co się dzieje, ale przejęte ciszą, jaka zapadła, przysunęły się bliżej rodziców i obserwowały wojowników szeroko otwartymi oczami.

Dysząc ciężko, Skylan otarł pot z czoła i wrócił na swoją pozycję. Horg spojrzał na niego, a potem nagle odrzucił tarczę. Z początku Skylan nie pojął, co się dzieje. Zdążył pomyśleć nawet, że może Horg się poddaje, że nie chce dalej walczyć.

Horg prychnął jednak z pogardą, chwycił topór i runął w stronę Skylana. Jego gest mówił wszystko. Oto powiedział ludziom i bogom, że w walce z takim niedoświadczonym młokosem nie potrzebuje tarczy. Jego osiłki wiwatowały i śmiały się głośno.

Skylana szlag trafił ze złości. Za jego plecami Garn zdierał sobie gardło, coś wykrzykując, a Norgaard wrzeszczał jak wariat. Skylan chwycił tarczę i przygotował się na straszliwy atak.

Swoją klęskę zobaczył jak przez mgłę. Horg pędził na niego z toporem uniesionym i celującym w tarczę. W okamgnieniu przerzucił jednak topór z prawej ręki do lewej i zadał bardzo niski cios. Ostrze przecięło but Skylana i wbiło się w mięsień prawej łydki.

Skylan niemal nie poczuł rany. Jedyne, co zauważył, to że Horg się odsłonił. Zamachnął się mieczem i nagle poczuł na ramionach silne palce.

– Skylan, stój! – powiedział Garn. – Już po wszystkim!

Skylan próbował się mu wyrwać, ale Garn trzymał go coraz mocniej.

Czerwony z wściekłości Skylan obrócił się i syknął:

– Puszczaj, bo jak nie, to na Torwała...

– Już po wszystkim, Skylan – powtórzył Garn i potrząsnął nim. – Przegrałeś.

Wskazał na coś na dole. Skylan spuścił głowę i zobaczył, że z rany na jego łydce sączy się krew i cieknie mu po nodze, brudząc tkaninę.

Poczuł w ustach smak przegranej i był to smak, który przyprawił go o mdłości. Rzucił na ziemię swój miecz i tarczę. Nie był w stanie spojrzeć na nikogo. Nie mógł znieść rozczarowania malującego się w oczach ojca, współczucia w oczach Garna. Z opuszczoną głową czekał już tylko, aż Kapłanka Kai zakrzyknie: „Pierwsza krew! Bogowie obrali Horga zwycięzcą!”

Kapłanka Kai milczała jednak.

Skylana to zdenerwowało. Czy naprawdę musi przedłużać jego poniżenie? Spojrzał na nią spode łba.

Draya stała poza tkaniną, dłonie miała złożone na piersi, a wzrok utkwiony w szarych skałach klifów.

Horg uśmiechnął się, uniósł topór i czekał niecierpliwie, aż Kapłanka Kai ogłosi go zwycięzcą. Jej przedłużające się milczenie rozwścieczyło go.

– Popłynęła pierwsza krew! – wrzasnął i toporem wskazał na tkaninę u stóp Skylana. – Wygrałem!

Kapłanka Kai popatrzyła na niego spokojnie.

– Wróć na swoje miejsce, Horgu Thekksonie – powiedziała lodowatym głosem – bo inaczej utracisz prawo do walki.

Horg rozdziawił gębę w zdumieniu. Popatrzył na Drayę, a potem ryknął:

– Popłynęła już pierwsza krew!

– Skylan, łap za miecz! – ponaglił przyjaciela Garn. Skylana nie trzeba było ponaglać. Chwycił za miecz i tarczę i stał gotowy na to, co musiało nastąpić.

Wtedy dopiero do Horga dotarło, że walczy z dwoma przeciwnikami i że ten niedoświadczony młokos wywijający mieczykiem bynajmniej nie jest jego najniebezpieczniejszym wrogiem.

Była nim jego żona.

Jego przyjaciele ostrzegali go, bali się, że będzie próbowała jakichś sztuczek. Horg śmiał się im w twarz. Wiara tej dewotki była ślepa i bezgraniczna. Nikt nie wiedział tego tak dobrze jak on, który musiał przez tyle lat znosić te jej świętoszkowate kazania. Draya może i próbować przeciwstawić się mężowi, ale nigdy nie przeciwstawi się swym bogom.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że nienawidzi go tak bardzo, że zaryzykuje nawet ściągnięcie na siebie gniewu bogów. Nagle doszło do niego, że to ona zwabiła go na tę tkaninę, że to ona wrobiła go w to wszystko krok po kroku. Chciała go zniszczyć.

No, jeszcze zobaczymy!

Horg odwrócił się w stronę tłumu.

– Popłynęła pierwsza krew! – krzyknął w stronę swojego ludu. – Zgodnie z prawem danym nam przez bogów to ja jestem zwycięzcą! Kapłanka Kai próbuje pokrzyżować boskie szyki.

Nikt jednak nie powiedział słowa. Nikt nie stanął po jego stronie.

Tylko Draya szepnęła cicho:

– Za późno, Horgu, by powoływać się na bogów.

Odwrócił się w jej stronę. Podszedłszy blisko, pochylił się nad nią i wbił w nią wzrok żądny krwi.

– Ty intrygantko! Ty suko! Lepiej módl się szybko!

Znów stanął twarzą do tłumu.

– Skoro Kapłanka Kai łamie prawo, i ja je łamię! Mam już dość tej walki dla małych dzieci. Walczmy jak prawdziwi mężczyźni! Niech to będzie walka na śmierć i życie! – Spojrzał na Norgaarda. – Czy zgadzasz się na to, wodzu Torgunów?

Norgaard już otworzył usta, ale to Skylan odpowiedział głosem donośnym i aroganckim:

– Zgadzam się!

Horg wrócił na swoją pozycję i pochylił się, by wybrać tarczę, gdy nagle jego żołądek przeszył straszny ból.

Skrzywił się i pomasaował po brzuchu. Niech to diabli, to nie czas na niestrawność!

Rozdział 8

Przez całe wieki, gdy tylko ktoś wspomniał o jakimś słynnym pojedynku, najstarszy z Vindrasów uśmiechał się, kiwał głową i powtarzał:

– Mówcie sobie, co chcecie o Thorgunndzie i Kredze, ale ja byłem świadkiem walki między Horgiem a Skylanem!

Na co młodzież spoglądała na niego z zazdrością i podnosił się krzyk, by starzec znów opowiedział o tym słynnym pojedynku.

Walka ta została też uwieczniona w pieśni ułożonej przez Balina, Talgogrotha i barda, i szybko stała się jego naj słynniejszym utworem. Jeszcze wiele wieków po jego śmierci bardowie śpiewali ją zawsze, gdy tylko zebrali się wokół nich Vindrasi.

Pieśń ta zaczynała się od słów: „Skylan, jasnowłosa, ciecze jego jasna krew, a jego miecz całuje Aylis...”, by następnie opisać szczegółowo jego walkę z Horgiem, którego poeta określił jako: „przeklętego przez bogów tchórza, który nigdy nie był tak odważny jak wtedy, gdy cała odwaga była już daremna”. Pieśń opiewała każdy cios i każdy unik, każde uderzenie celne i każde chybione. Prawdę powiedziawszy, pieśń była tak naprawdę dłuższa niż sama walka, która okazała się stosunkowo krótka.

Poza tym pieśń podawała błędne zakończenie. Nie można jednak winić za to barda, który po prostu nie znał prawdy.

Wtedy bowiem tylko dwoje ludzi wiedziało, co się tak naprawdę stało.

Z tych dwojga jedno już nie żyło.

Skylan ruszył w stronę Horga ostrożnie i czujnie. Za późno nauczył się szanować Wodza Wodzów – jeśli nie jako człowieka, to przynajmniej jako wojownika. Gdyby nie Torval, Skylan już w tej chwili wskakiwałby na pokład smoczego okrętu i odpływał do domu z poczuciem wstydu i poniżenia. Ale musiał udowodnić bogu, że Torval nie popełnił błędu, pokładając wiarę w swym oddanym wojowniku.

Teraz obserwował każdy krok Horga, każdy jego ruch, ponieważ przypomniał sobie nauki Norgaarda, który tłumaczył synowi, że oczy człowieka mogą kłamać, ale jego stopy nie mogą. Horg będzie musiał przenieść ciężar ciała na jedną z nóg, żeby być w stanie

zadać cios. Patrząc na jego nogi, Skylan być może zdoła się domyślić tego ruchu, wykorzystać okazję.

Garn zdążył szybko zabandażować mu ranę na nodze, a Skylan zepchnął ból na dno swego umysłu. Ta rana to nic. Nieraz widział przecież wojowników walczących w ścianie tarcz ze znacznie gorszymi ranami, z gałkami ocznymi zwisającymi z oczodołów; ludzie byli w stanie walczyć, nawet gdy ucięto im całą rękę.

– Czas działa na twoją korzyść – szepnął mu Norgaard. – Zmęcz go.

Większy i cięższy Horg szybciej się męczył. Skylan był lżejszy, zwinniejszy i młodszy. Nie postąpił więc tak, jak chciał – nie rzucił się na Horga z zamiarem jak najszybszego zakończenia walki. Wziął sobie do serca radę ojca, przedłużał walkę, grał na zwłokę i czekał, aż jego przeciwnika wykończy zmęczenie.

To robił unik, to rzucał się do przodu; to atakował, to odskakiwał, miotając się wokół Horga jak rozwścieczony wąż, ze wszystkich stron, żeby go zmylić, wytrącić z równowagi, rozjuszyć i sfrustrować. I czekał. Patrzył i czekał na jego błąd.

Horg natomiast zadawał mordercze ciosy. Jego topór roztrzaskał drugą tarczę Skylana z taką mocą, że chłopakowi zdrętwiała ręka i bał się, że ją złamał. Musiał się wycofać w swój kąt na tkaninie, bojąc się jednak zdjąć oczu z Horga, który podążył za nim ze swym strasznym toporem. Na tym musiałyby się skończyć pieśń, a i życie Skylana, gdyby Garn nie zaryzykował i nie wskoczył między walczących, by podać Skylanowi jego ostatnią tarczę.

Horg zamachnął się na Garna, który padł na ziemię twarzą w dół i tylko dzięki temu ocalał głowę. Wtedy tarczownik Horga, Rulf, wpadł na tkaninę, by wziąć Garna na siebie. Ostra reprimenda Kapłanki Kai skłoniła obu mężczyzn do opuszczenia areny walki.

Ludzie zgromadzeni na klifie zamarli z przejęcia. Wszyscy mieli świadomość, że oto przed ich oczyma rozgrywa się pojedynek, o którym będą mówiły jeszcze ich wnuki. Zapomniawszy nagle o powadze sytuacji, zaczęli krzyczeć, klaskać, gwizdać i piszczeć.

Obaj wojownicy zwolnili tempo. Horg męczył się coraz szybciej. Był zlany potem, purpurowy na twarzy, co chwila wyrывał mu się grymas bólu. Skylan nie mógł tego pojąć – nie udało mu się zbyt go zranić. W zasadzie tylko raz drasnął Horga w ramię i nic poza tym.

Skylanowi natomiast coraz trudniej przychodziło udawanie, że nie czuje bólu. Pot zalewał mu oczy. Miecz wydawał się coraz cięższy. Kolano bolało; rana piekła i pulsowała. Jego stopy zostawiały krwawe ślady na powalanej błotem białej tkaninie.

Lecz nastał ten moment, gdy Horg sapał już bardzo ciężko i był wyraźnie wykończony. Opuścił tarczę, odsłonił się tak, że trudno się było oprzeć. Skylan rzucił się wprzód, przeniósł ciężar ciała na ranną nogę i poczuł, że się pod nim ugina. Upadł na ziemię. Horg podbiegł do niego, a ostrze topora błysnęło w słońcu. Skylan zasłonił się tarczą przed śmiertelnym ciosem. Topór Horga trzasnął w umbo. Posypały się iskry. Skylan próbował za wszelką cenę wstać i rozpaczliwie wywijał mieczem. Nawet nie liczył na to, że uda mu się nim choć zadrasnąć Horga. Chciał tylko zyskać nieco na czasie, choć i to nie wydawało mu się realne. Horg był

zbyt blisko Skylana, a chłopak zbyt blisko śmierci. Byle jakie zadraśnięcie mieczem nic tu nie mogło zmienić.

Ku zdumieniu Skylana jednak Horg nie zaatakował. Jego twarz wykrzywiła się z bólu. Zgiął się wpół, chwycił za brzuch. Skylan uznał, że jednak widocznie udało mu się go drasnąć mieczem. W każdym razie na pewno tak myślał tłum, który ryknął głośno.

Horg zaciskał dłonie na brzuchu i z trudem uniósłszy głowę, wbił wzrok nie w Skylana, lecz w Drayę. Twarz wykrzywił w grymasie bólu, a może wściekłości. Chciał coś powiedzieć. Na usta wypłynęła mu piana. Zakrztusił się. Zadrżała mu szczeka. Ciało zatrzęsło się. Jęknął głucho i padł na kolana.

Skylan opuścił miecz. Mógł zabić swego wroga, ale nie śmiał zadać ciosu człowiekowi, który niemal leżał. Horg był ranny, być może nawet ranny śmiertelnie. Kapłanka Kai może więc ogłosić koniec walki. Skylan stał i czekał, ciężko dysząc i potwornie się pocąc.

Draya wycodziła jednak tylko jedno słowo:

– Kontynuujcie.

Skylan otarł pot z czoła. Czuł, jak krew pulsuje mu w uszach, i nie był pewien, czy słuch go nie myli. Spojrzał niepewnie na ojca.

Norgaard kiwnął głową.

– Musisz to zakończyć – powiedział ostro.

Skylan obejrzał się na Horga, który był już w strasznym stanie, drżał cały i wymiotował. Skylan nie śmiał go dobijać, ale wiedział, że musi, i rozumiał dlaczego. Dopóki będzie żył poprzedni Wódz Wodzów, nie będzie spokoju wśród Vindrasów. Każdy, kto zasłużył sobie na nienawiść Horga, będzie do końca swych dni oglądał się niespokojnie, czy jego wróg aby nie czai się gdzieś ze swą zemstą. Mimo to jednak Skylan nie chciał zwyciężyć w ten sposób.

Podszedł do przeciwnika i kopnął go w ramię, by zwrócić jego uwagę na siebie.

– Wstawaj! – warknął na niego. – Bierz swój topór.

Tylko wojownik, który poległ z bronią w dłoni, zostaje dopuszczony do Komnaty Bohaterów.

Horg, wciąż trzymając się za brzuch, zdołał z wielkim trudem wstać. Zacisnął zęby, zdusił jęk bólu i chwycił topór. Nawet próbował się nim zamachnąć.

Skylan pchnął ostrze miecza w jego pierś. Poczul, jak metal wbija się między żebra i wchodzi głęboko w ciało. Horg sapnął. Wytrzeszczył oczy. Z ust trysnęła mu krew. Skylan wyrwał miecz z jego ciała. Powalany posoką brzeszczot wyslizgnął się gładko. Horg runął w przód. Na ziemi przed Skylanem leżało teraz jego bezwładne cielsko.

Chłopak pochylił się, chciał przekreślić ciało, upewnić się, że Horg nie żyje.

– Nie dotykaj go! Wróć natychmiast na swoje miejsce! – wrzasnęła Draya ostro, niemal wściekle.

Skylan pokuśtykał powoli tam, gdzie czekał na niego ojciec z Garnem. Poklepali go po plecach, pogratulowali mu. Skylan osunął się na ziemię i schował głowę między kolanami.

Był zupełnie wyczerpany. Nie czuł się zwycięzcą. Czuł jedynie ulgę, że wreszcie nastąpił koniec.

Kapłanka Kai sprawdziła puls na szyi Horga, a potem wstała.

– Torval wydał swój wyrok! – krzyknęła. – Zwyciężył Skylan, syn Norgaarda Ivorsona!

Ktoś mruknął, ktoś chrząknął, nikt jednak nie wiwatował na cześć szczęśliwego wojownika.

Nikt nie opłakiwał śmierci Horga. Heudjunowie wiedzieli, że Torval rozsądził ten spór sprawiedliwie, jednak nie byli w stanie cieszyć się z upadku Horga. Jego porażka była ich porażką. Gdy Horg zostanie już pogrzebany, będą mogli unieść głowy, odzyskać dumę. Teraz jednak milczeli ze wstydu.

Draya rozumiała, co czują. Chwyliła zabłoconą, zakrwawioną tkaninę i zerwała ją z ziemi. Okryła nią zwłoki, kryjąc je przed ludzkim i boskim wzrokiem. Gdy wykonywała te czynności, jej twarz była blada, spokojna, bez wyrazu. Kiedy skończyła, jej dłonie i szaty powalane były błotem i krwią. Podeszła do brzegu i obmyła ręce w morskiej wodzie. Umyła nawet róg, z którego pił Horg. Napełniła go winem.

– Nadszedł czas świętowania! – zawołała i uniosła róg. – Za Skylana Ivorsona!

Tłum westchnął, ale nikt się nie poruszył. A potem jeden mężczyzna, Sven Teinar, zaczął klaskać w dłonie. Nie minęła chwila, a dołączyli do niego wszyscy Vindrasi, z początku cicho, jakby niepewnie, ale wkrótce mężczyźni zaczęli tupać nogami, a kobiety skandować imię zwycięzcy.

– Powstań, synu – rzekł Norgaard z dumą. – Oto Vindrasi dziękują ci. Przyjmij to godnie.

Skylan wstał niepewnie. Spojrzał na lud zebrany na klifie ponad nim. Ich aplauz zdawał się poruszać ziemię, trząść jego ciałem, pchać go w stronę nieba. Zakreśliło mu się w głowie ze szczęścia.

A wśród tych ludzi stała Aylaen i klaskała jak szalona, patrząc na niego z radością i dumą.

Skylan uniosł miecz i tłum ryknął na jego cześć.

Ktoś wypowiedział jego imię. Skylan obrócił się i stanął twarzą w twarz z kapłanką, która trzymała w dłoniach róg.

– Ten, kto wypije wino z tego oto rogu, stanie się Wodzem Wodzów – rzekła i spojrzała Skylanowi prosto w oczy.

Wiedział dobrze, co ma zrobić. Powinien wziąć róg z jej rąk i z szacunkiem przekazać go ojcu, który już na niego czekał. Norgaard odrzucił laskę. Stał wyprostowany i dumny. Oto nadeszła najważniejsza chwila w jego życiu. Tłum przestał skandować imię Skylana, a zaczął krzyczeć imię swego nowego wodza – Norgaarda.

Skylan spojrzał na swego ojca i zobaczył przed sobą starca, który poślizgnął się na trapie i wylądował w wodzie.

To ja wygrałem tę bitwę, powiedział sobie Skylan. To ja pokonałem Horga.

Spojrzał na Aylaen.

Gdybym był Wodzem Wodzów, byłbym bogaty. Mógłbym w każdej chwili zapłacić za nią trzy razy większe wiano. A być może nawet w ogóle nie musiałbym płacić wiana. Może wystarczyłoby, żebym powiedział Sigurdowi, że chcę pojąć za żonę jego córkę. Nie może mnie przecież powstrzymać, skoro jestem Wodzem Wodzów!

Skylan obrzucił spojrzeniem stojący przed nim tłum. Zobaczył setki młodych wojowników, którzy mogą pójść na zmarnowanie. On poprowadziłby ich na zamorskie wyprawy, wypełniłby okręty złotem, srebrem i klejnotami dla smoków. On popłynąłby do krainy ogrów i odzyskał Torques Vektyjski, zarzynając przy tym każdego napotkanego ogra. Pod jego panowaniem Vindrasi znów byliby potężni i sławni. Znów wszyscy by się ich bali i szanowaliby ten dzielny lud.

Wszyscy baliby się i szanowali jego.

Jego, Skylana Ivorsona, Wodza Wodzów.

Skylan uniósł róg, przyłożył do ust i wypił jego zawartość.

Rozdział 9

Tłum zamilkł. Ludzie patrzyli przerażeni, jak Skylan pije wino, ogłaszając się tym samym Wodzem Wodzów. Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek wojownik walczący w czyimś imieniu przywłaszczył sobie nagrodę.

Skylan odwrócił się w stronę ojca. Nie odważył się patrzeć mu prosto w oczy.

– Przykro mi, ojcze. Myślę, że będę lepszym Wodzem Wodzów. Ty jesteś już stary. Zdejmę ten ciężar z twych ramion.

Norgaard spoglądał na niego z zaciśniętymi ustami i ponurym wzrokiem.

– Cóżes ty uczynił, mój synu? – szepnął w końcu, nie tyle ze złością, co z żalem. – Cóżes ty uczynił?

Wziął laskę i opierając się na niej ciężko, pokuśtykał na pokład smoczego okrętu.

Garn był znacznie ostrzejszy:

– Ty głupcze! – ryknął. – Ze wszystkich głupot, jakie popełniłeś w swoim marnym życiu, to jest twój najgorszy błąd!

Skylan poczerwieniał z wściekłości.

– Dlaczego nie miałbym być Wodzem Wodzów? To ja walczyłem w tej walce. Ja ryzykowałem życie. Ja pokonałem Horga! To mnie Torval dał zwycięstwo!

– Żebyś przekazał je ojcu! – wycedził Garn. – Złożyłeś przysięgę, Skylan. Czy już o tym zapomniałeś?

Skylan wbił w przyjaciela zatrwożony wzrok. Rzeczywiście, zapomniał. Teraz zadźwięczały mu w głowie jego własne słowa:

„Twoje wspaniałe rany, które wymownie świadczą o twej odwadze, dają ci prawo do wyboru wojownika, który będzie walczył w Vutmanie w twoim imieniu. Jeśli Heudjunowie przyjmą rzucone im wyzwanie, zaszczyć mnie tą rolą. Uczynię cię, ojcze, Wodzem Wodzów! Przysięgam na Torvala!”

Jego dłoń odruchowo powędrowała do srebrnego toporka, który miał na szyi. Nigdy jeszcze nie złamał żadnej przysięgi danej bogu.

Torval zrozumie. Jest przecież wojownikiem. Nie chciałby przecież, żeby na czele jego ludu stał starzec, kaleka... Torval walczył przy moim boku. To on uczynił mnie zwycięzcą. To

on chce, żebym był Wodzem Wodzów. A co do złamania przysięgi, bóg przymknie na to oko. Gdyby chciał mnie ukarać, już dawno by to zrobił.

W tej chwili Kapłanka Kai ujęła jego dłoń.

– Skyłanie Ivorsonie, Torval uczynił cię Wodzem Wodzów narodu Vindrasów – powiedziała, a po chwili trochę nieśmiało dodała: – Nasz ślub odbędzie się na dniach, tak by wszyscy mogli być świadkami naszej radości.

Skyłan wbił w nią oszołomione spojrzenie.

– Nasz co?

Venjekar odплыnął od brzegów wyspy zwanej Zmorą Kregi. Na pokładzie znajdował się nowy Wódz Wodzów narodu Vindrasów. Skyłan podszedł do Garna, który stał sam, oparty o burtę okrętu.

– Przyjacielu, potrzebuję twej pomocy – szepnął Skyłan.

Garn spojrzał na niego, potem zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

– Musisz mi pomóc! – powtórzył niemal błagalnie Skyłan. – Ta kapłanka mówi, że mam się z nią zenić! Z nią... z kompletną staruszką! Jak mam się z tego wyplątać?

Garn milczał uparcie. Nie patrzył na Skyłana i w ogóle go ignorował.

– Garn, wiem, że jesteś na mnie wściekły – ciągnął Skyłan. – Wiem, że złamałem przysięgę daną Torwalowi...

– ...i swojemu ojcu – dodał Garn.

– Posłuchaj mnie wreszcie – zdenerwował się Skyłan. – Próbuję ci przecież wyjaśnić. To sam Torval natchnął mnie tą myślą!

Garn zmarszczył brwi.

– Przysięgam! – zarzekał się Skyłan. – Torval wie, że mój ojciec nie byłby dobrym wodzem Vindrasów. Wódz Wodzów musi prowadzić ludzi na wojnę, a Norgaard nie jest nawet w stanie iść bez laski!

Garn pokręcił głową.

– Wódz Wodzów to nie Wódz Wojenny, Skyłan. Każdy klan ma swojego Wodza Wojennego. Wódz Wodzów ma być mądry, znać prawo, sprawiedliwie rozstrzygać spory...

– Sugerujesz, że nie jestem dość dobry? – zachnął się Skyłan.

– Nawet nie wiedziałeś, że według prawa Wódz Wodzów musi się ożenić z Kapłanką Kai – wytknął mu Garn.

Skyłan musiał przyznać Garnowi rację. Dobrze, więc nie znał się na prawie. Ale po co wodzowi prawo? Od tego są Talgogrothowie i Rady Klanów, i takie tam. Wódz Wodzów był tak naprawdę Wodzem Wojennym narodu Vindrasów i niech sobie Garn mówi, co chce. Oczyma wyobraźni Skyłan już widział siebie na czele wszystkich klanów, widział, jak prowadzi ich do chwały, i był pewien, że Torval spogląda nań przychylnym wzrokiem.

Torval dał mu zwycięstwo nad Horgiem. Niestety, jednak dał mu też żonę.

– Garn! – jęknął cicho Skylan. – Przecież ja nie o tym mówię. Mówię o Kapłance Kai! Ta kobieta mogłaby być moją babką!

– Nie jest aż tak stara, Skylan – zaprotestował Garn, kątem oka spoglądając na Drayę. – Ma nieco ponad trzydziestkę...

– Gdyby moja matka żyła, byłaby w jej wieku, a już dawno byłaby babką – argumentował Skylan. – Zresztą nie mogę ożenić się z tą kobietą, bo przecież żenię się z Aylaen. I teraz wreszcie mogę się z nią ożenić, bo jestem Wodzem Wodzów. Będę miał własny dom, ziemię, bydło. Mogę zapłacić Sigurdowi wiano...

Garn odwrócił głowę zakłopotany, z ponurym wyrazem twarzy.

Skylan westchnął ciężko i potargał sobie włosy palcami, by morski wiatr ochłodził mu głowę. Nie mógł pojąć, co niby zrobił takiego i dlaczego Garn każe mu się czuć tak podle, skoro to powinien być najszczęśliwszy, najwspanialszy dzień w jego życiu. Już chciał porzucić Garna, a niech sobie дума nie wiadomo nad czym, ale rozpaczliwie potrzebował rady przyjaciela. Nie może przecież ożenić się z Drayą. Musi się jakoś z tego wykaraskać.

– Może i masz po części rację – przyznał niechętnie. – Może zasłużyłem sobie na twoją złość, ale nie opuszczaj mnie w takiej chwili, bracie. Potrzebuję cię. Powiedz mi, co mam zrobić!

Skylan wbił w przyjaciela błagalny wzrok i jak zawsze gdy się kłócili, Garn westchnął i się poddał.

– Po pierwsze musisz przeprosić ojca.

Skylan obejrzał się na ławę, na której siedział Norgaard. Nogę miał wyciągniętą przed sobą, a twarz wykrzywioną z bólu wywołanego nie starą raną, ale zdradą własnego syna.

Skylana opadły wyrzuty sumienia.

– Masz rację. Uczyniłem ojcu wielką krzywdę i naprawdę bardzo tego żałuję.

– Po drugie – ciągnął Garn, przyglądając się bacznie Skylanowi – musisz pogodzić się z tym, że żenisz się z Kapłanką Kai. Tak nakazuje prawo Vindrasów nadane nam przez bogów. Nie możesz go złamać.

Skylan warknął wściekle, zacisnął pięść i rąbnął nią w drewniane nadburcie.

– Nie, nie ożenię się z nią! Jestem Wodzem Wodzów i mogę robić, co mi się podoba...

– Nie, nie możesz, Skylan! – powiedział ostro Garn. – Zanim zostałeś Wodzem Wodzów, mogłeś robić, co ci się podobało. Ale nie teraz. – Machnął na niego z niecierpliwością. – Samo to, że tego nie rozumiesz, pokazuje, że zupełnie się nie nadajesz na wodza!

Skylan popatrzył na Garna z urazą.

– Przyszedłem do ciebie po pomoc. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem. Widzę, że się myliłem. – Odwrócił się i chciał odejść, ale Garn chwycił go za ramię.

– Wybacz mi, przyjacielu. Nie powinienem tego powiedzieć. Ale martwię się o ciebie. Bardzo się martwię. Wziąłeś na siebie ciężar niezwykle odpowiedzialności. Wydaje mi się, że nie masz świadomości, jak wielka jest ta odpowiedzialność. W twoich rękach jest teraz

życie wszystkich Vindrasów! Jesteś Wodzem Wodzów, Skylan. Musisz stać na straży prawa, nie możesz go łamać.

– Zmuszanie wodza do poślubienia Kapłanki Kai to głupie prawo – burknął Skylan. – Powinno się je zmienić.

– Zastanów się nad tym – szepnął Garn. – Jeśli odmówisz poślubienia Kapłanki Kai, nie minie chwila, a już znów będziesz walczyć o swoje życie na Zmorze Kregi. Każdy wódz każdego klanu wyzwie cię na pojedynek, Skylan. Widziałem ich twarze, gdy ogłosiłeś się wodzem. Ludzie wiwatowali, to prawda, ale wielu zmarszczyło brwi. Nie podoba im się, że ktoś, kto w ich oczach jest zaledwie chłopcem, został nagle wodzem. Wykorzystają każdy pretekst, by się ciebie pozbyć. Złamanie prawa naszego ludu, prawa, które było szanowane przez wieki, to bardzo dobry pretekst. Podkładasz im się, Skylan.

Skylan poczerwieniał na słowo „chłopiec”, ale zmusił się do zachowania spokoju. Garn nie próbował go obrazić. Mówił tylko to, co ludzie myśleli, a niektórzy może nawet mówili. Taki Sven Teinar z Heudjunów na przykład. Jeden z jego synów był w wieku Skylana. Skylan zapatrzył się w morze. Dlaczego jego życie stało się nagle takie skomplikowane? Przecież zwyciężył! Torval dał mu nagrodę za wspaniałe zwycięstwo. To niesprawiedliwe.

– Ale co mam w takim razie zrobić z Aylaen? – spytał.

– Nie wiem, Skylan.

– Poproszę ją, żeby na mnie poczekała – postanowił Skylan. – Kapłanka Kai jest już po trzydziestce. Nie pożyje długo...

Garn pokręcił głową ze złością.

– Myśl, człowieku, myśl. Przecież żeby Aylaen mogła wyjść za ciebie, musiałaby być Kapłanką Kai! Ona nawet nie jest Kapłanką Kości...

– No to musi nią zostać. Powiedz jej to, Garn. Powiedz jej, że musi zacząć się uczyć na Kapłankę Kości.

– Chyba nie mówisz poważnie...

Skylan już go nie słuchał.

– Toż to świetny plan! Aylaen przeprowadzi się do Vindraholmu. Ja też, jako Wódz Wodzów, muszę przecież mieszkać w stolicy. Ona będzie uczyć się u Kai i będziemy wreszcie razem. Co? Czemu patrzysz na mnie w ten sposób?

Ale jego przyjaciel po prostu poszedł sobie i usiadł przy Norgaardzie.

Skylan popatrzył za nim. Już chciał za nim biec, gdy poczuł, że zwyczajnie nie ma siły. Był wykończony, nie tylko walką i bólem, ale i całym tym przejęciem i zamieszaniem, jakie czuł w głowie i w sercu. Nic nie było tak, jak tego oczekiwał.

– Ryzykowałem własne życie. Wygrałem – mruknął pod nosem. – Zasłużyłem sobie na tytuł Wodza Wodzów! Ale nie. Ojciec mnie nienawidzi. Garn się do mnie nie odzywa. I w dodatku muszę się ożenić z jakąś starą jędzą.

Opadł na deski pokładu i zamknął oczy, usiłując przemyśleć to wszystko i jakoś dojść z tym do ładu.

– Wybacz, panie...

Drgnął i uniósł głowę.

Przed nim klęczała Kapłanka Kai.

– Wybacz. Powinnaś być już dawno zająć się twoimi ranami. – Pociągnęła za jego but.

Już chciał jej powiedzieć, że jego rany są naprawdę nieważne i że nie potrzebuje niczyjej pomocy, ale uświadomił sobie, że Garn i ojciec obserwują go bacznie, więc ugryzł się w język. Zmusił się do zachowania spokoju i siedział nieruchomo, a Draya zdjęła mu but i obmyła go szmatką zanurzoną w morskiej wodzie. Sól piekła mocniej niż cokolwiek, ale zacisnęła zęby. Palce kapłanki były zimne i kościste jak pazury.

To same kości, nie kobieta, pomyślał Skytan. Naliczył na jej głowie aż dziesięć siwych włosów. Jej piersi niemal nie było widać pod suknią, więc wyobraził sobie, że muszą jej zwisać aż do pępka.

Przynajmniej jest zbyt stara, żeby oczekiwać, że będę z nią sypiać, pomyślał Skytan i ta myśl go nieco pocieszyła. Bez względu na małżeństwo nie złamie przysięgi danej Aylaen i będzie kochał tylko ją.

– Przepraszam, panie, czy to bardzo boli? – spytała Draya, czując, że Skytan drgnął.

– Nie, kapłanko – zapewnił ją. – Czuję się o wiele lepiej. – Pospiesznie włożył but z powrotem, zanim zdołała to zrobić za niego. – Zaszło mi w gardle. Gdybym mógł się czegoś napić...

– Chętnie ci coś przyniosę, panie – powiedziała natychmiast Draya i zniknęła.

Usłyszał śmiech. Grupa torguńskich wojowników weszła na pokład, by pogratulować swemu nowemu wodzowi. Był pewien, że śmieją się z niego.

– Stulcie pyski – warknął na nich.

Zamilkli zdezorientowani i dopiero wtedy uświadomił sobie, że śmiali się tylko z czystej radości. Ich klan, dotąd najmniej ważny wśród Vindrasów, stał się nagle klanem Wodza Wodzów. Kto by się nie cieszył?

Natychmiast jednak poparła go Kapłanka Kai, która już była z powrotem.

– Wódz Wodzów ma rację – powiedziała z naganą i spojrzała znacząco na ciało zawinięte w zakrwawiony całun. – Zmarły jeszcze nas nie opuścił. Wasza radość jest nie na miejscu.

Wojownicy przeprosili ją z szacunkiem. Horg był przecież mężem kapłanki i choć nie wydawała się pogrążona w żałobie, być może po prostu panowała nad swoimi uczuciami.

Kapłanka podała Skytanowi róg wypełniony piwem.

– Pomyślałam, że może piwem łatwiej ugasisz pragnienie niż winem – szepnęła i uśmiechnęła się do niego trwożliwie.

Jej oczy były wielkie i brązowe, jak u krowy.

– Dziękuję, kapłanko – rzekł Skylan. Jej dłoń dotknęła jego palców, gdy oddawał jej pusty róg, i spłonęła się jak młoda dziewczyna.

– Przyniosę ci więcej, panie – zaproponowała.

– Nie teraz – powiedział i dodał: – Muszę przeprosić ojca.

Kapłanka Kai popatrzyła na Norgaarda i znów na Skyłana.

– Nie masz za co go przepraszać, panie. To ty walczyłeś w Vutmanie. To do ciebie należał wybór.

– Wiem, ale przysięgłem jemu i Torwalowi, że mój ojciec zostanie Wodzem Wodzów – wyjaśnił Skylan, wzdychając. – Czy bóg ukarze mnie za złamanie tej przysięgi, kapłanko? Przecież sam dał mi zwycięstwo...

– Tak było, panie – wymamrotała kapłanka.

– Czemu więc miałby mnie za to karać?

– Nieznane są wyroki boskie – powiedziała poważnie. – Wierzę jednak, że są one zawsze sprawiedliwe, zawsze praktyczne i że bogowie biorą pod uwagę wiele rzeczy, jak choćby to, że w tak ciężkich czasach Vindrasom potrzeba silnego Wodza Wodzów...

– No właśnie! Próbowałem wyjaśnić to Garnowi! – ucieszył się Skylan. – Przecież mój ojciec powinien to zrozumieć.

– Jestem pewna, że zrozumie – zapewniła go i wyciągnęła do niego rękę. – Chodź, panie. Razem porozmawiamy z twym ojcem.

Skylan aż się cofnął. Ta kobieta już zachowywała się jak żona!

– Przysięgłem – mruknął szorstko. – Sam muszę go teraz przeprosić.

Pokuśtykał szybko, nim zdołała zacząć się upierać, że pójdzie z nim. Czuł się przy niej bardzo nieswojo i nie umiał powiedzieć dlaczego.

Skylan podszedł szybko do Norgaarda, który rozmasowywał sobie blizny na nodze.

– Ojczy – zaczął niepewnie.

Norgaard skrzywił się i spojrzał na niego.

– Nie musisz nic mówić, Skyłanie. Wszystko już rozumiem. Garn wyjaśnił mi, że wykonałeś tylko wolę boga.

Skylan spojrzał zdumiony na przyjaciela.

– Skoro Torval przemówił do ciebie – ciągnął Norgaard – postąpiłeś słusznie, wykonując jego rozkaz. Będiesz dobrym Wodzem Wodzów. Lepszym niż stary kaleka...

– Nie mów tak, ojczy – zaprotestował zawstydzony Skylan. Nie mógł spojrzeć w oczy Garnowi, który siedział obok i patrzył. – Będę zawsze polegał na tobie, będę się ciebie radził...

Norgaard uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Dobrze walczyłeś, synu. Jestem z ciebie dumny. – I dalej rozmasowywał nogę, ale zamknął oczy, jakby chciał odpocząć. Rozmowa była zakończona.

Skylan siadł przy Garnie.

– Dziękuję.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – szepnął Garn. – Zrobiłem to dla twojego ojca. Żeby oszczędzić mu wstydu.

Skylan milczał przez chwilę. Potem powiedział:

– Moja macocha nie żyje, a ja przeprowadzam się do Vindraholmu. Mój ojciec będzie sam. Potrzebuję kogoś, kto by się nim zajął. Zostaniesz z nim?

– Oczywiście – szepnął Garn. – To będzie dla mnie zaszczyt.

Skylan kiwnął głową. Resztę krótkiej podróży do Vindraholmu odbyli w milczeniu.

Smoczy okręt zawitał wkrótce do Vindraholmu i został radośnie powitany przez Heudjunów, którzy chcieli już przyjąć do swego miasta nowego wodza i zapomnieć o całym tym przepełniającym ich wstydem wydarzeniu. Torguńscy i heudjuńscy wojownicy wbiegli razem do wody, by wciągnąć okręt na brzeg.

Gdy nowy Wódz Wodzów, Kapłanka Kai i pozostali zeszli na brzeg, zapadła pełna skrepowania cisza. Na pokładzie wciąż znajdowało się ciało Horga i nikt nie wiedział, co z nim zrobić.

Horgowi nie należała się ceremonia przewidziana dla poległego w walce bohatera. To nie ulegało wątpliwości. Miał dalekich krewnych w jednym z klanów i mógłby zostać pochowany w ich rodzinnym kurhanie, ale jego kuzyni wyparli się go i nie chcieli go pogrzebać.

Kilku wojowników, dowodzonych przez Svena, zaoferowało się, że znieśie ciało ze smoczego okrętu, ale Kapłanka Kai zaprotestowała.

– Zostawcie go tam, gdzie jest – rozkazała. – To nie leży w naszych rękach.

Draya stanęła na plaży i pokłoniła się nisko przed smokiem. Jego oczy roz błysły purpurową wściekłością i ludzie ujrzeli ze zdumieniem, że smoczy okręt odpływa bez żadnej załogi.

I tak *Venjekar* pożeglował na wschód, na szerokie wody oceanu, unosząc na swym pokładzie zwłoki Wodza Wodzów owinięte w krwawy całun boskiego wyroku.

Ludzie stali w milczeniu i patrzyli, jak smoczy okręt znika im z oczu.

Venjekar wrócił.

Nikt jednak nie ujrział już nigdy Horga.

Księga III

Statek widmo

Rozdział 1

Ślub był dla Vindrasów niezwykle ważnym rytuałem – wyznaczał koniec pewnego okresu w ludzkim życiu i początek następnego. Bez względu na wiek żaden chłopiec nie był traktowany jak prawdziwy mężczyzna, póki nie stał się głową własnej rodziny. Dziewczyna nie była kobietą, póki nie była zamężna. Dlatego właśnie należało się spieszyć ze ślubem Skylana i Kapłanki Kai. Nieważne, ile bitew stoczył Skylan, nieważne, ilu zabił ludzi – nikt nie będzie uważał go za mężczyznę, póki chłopak się nie ożeni.

Zwyczajowo ślub planowano z dużym wyprzedzeniem. Przygotowania do ceremonii i uczyły weselnej zajmowały zwykle tygodnie, jeśli nie miesiące. Ślub Skylana i Draia trzeba było jednak zorganizować znacznie szybciej – w ciągu jednego dnia i jednej nocy.

Ludzie, którzy przybyli do Vindraholmu na Vutmanę, zostali na tę uroczystość i z radością pomagali Heudjunom w przygotowaniach weselnych. Panował świąteczny nastrój. Torwał wydał swój wyrok i choć niektórzy mieli może pewne wątpliwości co do słuszności boskiej decyzji, nikt nie odważył się nic powiedzieć. Wszyscy chcieli za wszelką cenę dać szansę nowemu Wodzowi Wodzów.

Przygotowano święty gaj dębowy, w którym tradycyjnie odbywały się śluby. Dzieci wysprzątały ziemię, zbierając wszelkie gałęzie, patyki i nawet najmniejszy zeschnięty liść. W Domu Wodza Wodzów (długim domu znacznie większym niż Dom Wodza w Ludzie) mężczyźni ustawili stoły i ławy. Inni poszli na polowanie i udało im się wrócić z sarną i łosiem. Dzieci wysłano do lasu, by zagoniły z powrotem świnie, którym zwykle pozwalano chodzić luzem. Kobiety zaczęły wypiekać bochny chleba. Rano wstaną wcześniej, by piec mięso i gotować potrawy oraz by przygotować owoce i jarzyny.

Skylana i Norgaarda zaprowadzono do jednego z domów, by się przebrali, odpoczęli i zjedli. Norgaard nie został tam długo. Poszedł do Domu Wodza, by się spotkać ze starymi przyjaciółmi. Skylan też chciał iść, ale ojciec namówił go, żeby został, odpoczął i zajął się swoimi ranami. Wysłał do syna Treię, by opatrzyła mu obrażenia.

Skylan zgodził się w końcu, bo był znacznie słabszy, niż udawał przed innymi.

Treia obmyła mu rany, przyłożyła kompres, obandażowała nogę. Opatrywała go sprawnie i skutecznie, choć niezbyt delikatnie. Nie ukrywała też bynajmniej, że uważa to zajęcie za obrzydliwe.

– Teraz musisz odpocząć – powiedziała mu, gdy już skończyła. – Musisz szybko wrócić do zdrowia.

– Chcę się zobaczyć z Aylaen – zażądał Skylan, kiedy już wychodziła. – Mogłabyś poprosić ją, żeby tu przyszła?

– Nie – odrzekła srogo Treia. – Jutro się żenisz. Powinieneś wystrzegać się teraz towarzystwa innych kobiet.

– Aylaen jest moją narzeczoną – upierał się Skylan, marszcząc brwi. – Na pewno zamartwia się z powodu mojego ślubu z inną. Muszę jej wszystko wytłumaczyć.

Treia popatrzyła na niego dziwnie.

– Aylaen życzy ci szczęścia, Skylanie. Tak jak my wszyscy.

Wychodząc, znów powtórzyła, że ma się teraz zdrzemnąć, ale Skylan nie zamierzał posłuchać jej rady. Musi przecież znaleźć Aylaen. Wkładał właśnie buty, żeby iść jej poszukać, gdy przyszła do niego wraz z Garnem.

Skylan spodziewał się, że jego narzeczoną będzie w rozpacz, że jej oczy będą czerwone od łez wylanych przez to, iż jej ukochany musi żenić się z inną. Zdumiał się niezmiernie, gdy chwyciła go za dłonie i ucałowała w policzek.

– Taka jestem z ciebie dumna, Skylanie! – powiedziała z wielką serdecznością. – Tak się cieszę! Będiesz na pewno bardzo szczęśliwy z Drayą. Ona jest urocza.

Skylan popatrzył na nią zdezorientowany.

– Myślałem, że to cię zasmuci, że będziesz rozczarowana. Muszę przecież zerwać zaręczyny...

Aylaen spoważniała nieco.

– Taka jest wola Torwała, Skylanie – szepnęła z pokorą. – Z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Skylan odwrócił się w stronę Garna.

– Jestem pewien, bracie, że masz dużo pracy w związku z przygotowaniem. Nie chcę cię zatrzymywać. Zresztą chciałbym porozmawiać z Aylaen na osobności.

Skylan chciał jej opowiedzieć o swoim planie. Aylaen musi zostać Kapłanką Kości i przeprowadzić się do Vindraholmu, żeby studiować u Kai. Wtedy będzie mógł widywać się z nią codziennie, być z nią co noc...

– Mam tyle pracy, Skylanie – powiedziała dziewczyna. – Pomagam przy pieczeniu. A ty jesteś na pewno wykończony, musisz odpocząć.

– Chcę, żebyś tu ze mną została – wybuchnął szczerze Skylan. – A ty, Garn, możesz już iść.

– Nie, nie. Garnie, zaczekaj. – Aylaen podeszła bliżej i znów ucałowała Skylana w policzek. – Z całego serca życzę ci wszystkiego najlepszego. – Uśmiechnęła się do niego, a potem pobiegła do drzwi. – Zdrzemnij się koniecznie! – krzyknęła jeszcze na odchodnym.

Skylan chwycił Garna za ramię.

– Porozmawiaj z nią. Powiedz jej, że musi zostać Kapłanką Kości.

– Nie wydaje mi się... – wybąkał Garn. – Przecież Aylaen nigdy nie interesowała się za bardzo...

– A co to ma do rzeczy? – zniecierpliwiał się Skylan. – Powiedz jej, że to jedyny sposób, by mogła być ze mną.

– Nie możecie być razem, Skylan. Ty będziesz już jutro żonaty – przypomniał mu coraz bardziej zakłopotany Garn.

– Wszystko już sobie obmyśliłem. Przecież wszyscy wiemy, że to małżeństwo jest tylko pro forma. Horg też miał konkubiny. Zresztą wszyscy żonaci mężczyźni je mają...

– Nie wydaje mi się, żeby Aylaen zgodziła się być czyjąkolwiek konkubiną, Skylan – przerwał mu Garn. – A nawet gdyby, to czy naraziłbyś ją na taką hańbę?

– Ale to by było tylko na chwilę, tylko do śmierci mojej żony...

– Muszę już iść – powiedział nagle Garn. – Norgaard prosił mnie, żebym popłynął do Ludy i przywiózł podarunek dla panny młodej i miecz twego ojca. Zobaczymy się jutro rano.

Garn wyszedł. W długim domu zapadła cisza. Skylan pokuśtykał do platformy do spania i rzucił się na nią zrezygnowany. Rany, które nie bolały go zbyt, zaczęły piec natychmiast, gdy się położył. Balsam, którego użyła Treia, palił żywym ogniem. Skylan nie mógł się ułożyć do snu.

To lekarstwo piecze bardziej niż sama rana, pomyślał.

Leżał tak, wpatrując się w drewniane deski stropu, i rozmyślał o reakcji Aylaen. Nie mógł jej zupełnie pojąć. Przecież traciła go. Przecież właśnie żenił się z inną. A ona życzyła mu szczęścia! Oczywiście nie pragnął wcale, by biedaczka szalała z rozpaczy, ale był pewien, że będzie choć nieco zmartwiona takim obrotem sprawy.

Przypomniał sobie jej piękne oczy i siostrzany pocałunek.

– Już wiem, co ona wyprawia! – zrozumiał nagle. – Po prostu udaje przede mną, bojąc się, że jeśli okaże smutek, uczyni mnie nieszczęśliwym i zepsuje moje chwile triumfu.

Zadowolony z tego wyjaśnienia przestał myśleć o Aylaen. Zaczął w myślach odtwarzać cały dzień – swoje wielkie zwycięstwo nad Horgiem. Niemal słysząc znów wiwaty tłumu, zapadł w głęboki sen, którego potrzebowało jego zmęczone ponad siły ciało.

Przespał całą noc jak dziecko i nawet nie usłyszał, kiedy wrócił jego ojciec.

Skylan zerwał się skoro świt i obudził Norgaarda, który jęknął głucho. Do późna w nocy odwiedzał znajomych i krewnych z innych klanów. Piwo łało się szczerze i Norgaard czuł teraz, że ma nieznośnie ciężkie powieki, a słońce jest zdecydowanie za jasne.

Po chwili pojawił się Garn. Norgaard wysłał go do Ludy po prezent dla panny młodej – złotą broszkę w kształcie smoka gryzącego własny ogon, który zamiast oczu miał dwa szmaragdy. Norgaard zdobył ją w bitwie i podarował ją matce Skylana. Teraz Skylan da ją swej żonie.

Garn przywiózł także prastary miecz, który był w ich rodzinie od pokoleń. Był to ślubny prezent Norgaarda dla matki Skylana, która miała go przekazać kiedyś swemu synowi. Dziś Skylan da go swej żonie, by ona z kolei podarowała go w przyszłości ich synowi. Na absurdalną wzmiankę o synu z Drayą Skylan nie zdołał powstrzymać się od chichotu.

Venjekar wrócił do Vindraholmu w pełnej glorii, otoczony flotyllą mniejszych łodzi. Wszyscy członkowie klanu Torgunów, którzy tylko byli w stanie chodzić (a i niektórzy z tych, którzy musieli przemieszczać się na noszach) przybyli, by zobaczyć, jak ich Skylan, Wódz Wodzów, łączy się węzłem małżeńskim z Kapłanką Kai. Był to wspaniały dzień dla Torgunów, podobny zaszczyt nie spotkał ich od czasów wielkiego Thorgunnda. Ludzie odziali się w najlepsze szaty i przybyli z wyśmienitym jedzeniem i pięknymi podarunkami.

Ranek był pogodny i rześki. Promienie słońca tańczyły na wodzie, jakby bogini Aylis już cieszyła się na myśl o weselnych płasach. Dzień miał się rozpocząć od rytualnego oczyszczenia. Skylan wkroczył do męskiej łaźni w towarzystwie ojca, Garna i swych najlepszych przyjaciół: Bjorna i Erdmuna. Ten sam rytuał czekał Drayę w damskiej łaźni, w której były już jej przyjaciółki i krewne.

W łaźni stały wanny pełne ciepłej wody, w której najpierw się obmyli, by potem przejść do pokoju pełnego rozgrzanych kamieni. Tam polewali kamienie chochlami z wodą i pomieszczenie wkrótce napełniło się obłokami pary. Pot wypłynął z ich ciał, oczyszczając je z wszelkiego brudu.

Gdy tak siedzieli w oparach, Norgaard przekazywał synowi wiedzę, którą zawsze przekazują ojcowie. Mówił o tym, jak należy żyć z kobietą, jak uczynić ją szczęśliwą. Młodzi dodawali swoje bardziej sprośne uwagi i żarciki ku ogólnej radości. Potem wskoczyli do zimnej wody, by oczyścić się zupełnie. Pluskom i prychniom nie było końca.

Skylan wrócił wreszcie do przeznaczonego dla nich domu i przebrał się w swoje najlepsze ubrania, w tym tunikę podarowaną przez Norgaarda. Wzruszył się do łez, dowiedziawszy się, że utkała mu ją macocha tuż przed swoją śmiercią. Garn ukląkł przed przyjacielem, by przypasać mu zabytkowy, rodzinny miecz, który był tak stary, że nie nadawał się do użycia, lecz przywiązywano do niego wagę symboliczną. Broszę Skylan posłał swej przyszłej żonie już wcześniej – rano zanieśli ją Bjorn i Erdmun.

Ślub nastąpił tak nagle, że Skylan nie miał czasu zlecić wykonania obrączki. Norgaard zdjął jednak – choć z pewnym wysiłkiem – własną obrączkę i podarował ją synowi. Uścisnęli się serdecznie. Norgaard powiedział kilka słów pełnych takiej dumy i miłości, że Skylan poczuł, że ma łzy w oczach.

Potem Skylan mocno uściskał Garna.

– Czy rozmawiałeś już z Aylaen? – spytał cicho.

Garn uściskał go serdecznie.

– Aylaen życzy ci szczęścia, Skylanie. Tak jak i ja, bracie. Z całego serca.

Skylan tylko się zniecierpliwiał.

– Wiem, wiem, ale czy rozmawiałaś z nią o przewodniczce do Vindraholmu?

Garn udął jednak, że nie słyszy.

– Czas już na nas. Zobacz, wszyscy na ciebie czekają.

Skylan wiedział, że przyjaciel ma rację. Ulica przed jego domem wypełniła się przyjaciółmi, krewnymi i znajomymi. Garn poklepał Skylana po ramieniu i wyprowadził go na zewnątrz. Skylan wyszedł z mrocznego domu na jasne słońce i aż zamrugał. Tłum powitał go radosnymi okrzykami i chłopak w jednej chwili zapomniał o Aylaen, zapomniał o wszystkim – z wyjątkiem swego boga.

Położył dłoń na srebrnym amulecie i szepnął:

– Dzięki ci, Torvalu! Nie zawiodę twego zaufania. Przysięgam na własne życie.

Wierni wojownicy nie dali Skylanowi iść do świętego gaju piechotą. Unieśli go wysoko i na ich ramionach przemierzył ulice. Kobiety obrzucały go kwiatami, mężczyźni śpiewali stare pieśni, które tradycyjnie towarzyszyły panu młodemu w drodze na ślub.

Święty gaj był miejscem bardzo starym. Znajdował się w głębi łądu, z dala od morza, w małej dolinie otoczonej lasami i zielonymi wzgórzami. Na samym dnie doliny rosło dwanaście potężnych dębów, które tworzyły coś na kształt koła. Choć były to drzewa wysokie i proste, które dałyby świetne drewno do budowy okrętów, nikt nigdy nie ważył się ich ścinać. Każdy klan miał własny święty gaj, lecz żaden nie był tak stary jak ten. Mawiano, że drzewa zasadził sam Gogroth, bóg Drzewa Świata.

Tego poranka Kapłanki Kości przyniosły tu posążek Vindrash i ustawiły go na samym środku na trawie. Akolitki ozdobiły go kwiatami, a kapłanki pobłogosławiły zagajnik i zaprosiły bogów i boginie na ślub.

Gdy zakończono święcenie gaju, Heudjunowie i ich goście z innych klanów zebrali się w cieniu potężnych dębowych gałęzi. Każdy ślub był szczęśliwym wydarzeniem, ale ten był szczególnie radosną chwilą dla Vindrasów – oto ślubowały sobie wierność dwie najważniejsze osoby z ich ludu.

Wszyscy byli w świątecznym nastroju i na tę krótką chwilę zapomnieli o zmartwieniach i troskach. Ci, którzy mieli wątpliwości co do Skylana, milczeli. Tego chłopca wybrał sam Torval i nikt nie śmiał ścinać na siebie boskiego gniewu, podważając jego sądy. Gdy do zagajnika przybył pan młody, tłum zaczął klaskać i wiwatować.

Skylan zajął miejsce przed posążkiem Vindrash, a przy nim stanęli ojciec, Garn, Bjorn i Erdmun. Przebiegł wzrokiem po tłumie z nadzieją, że dojrzy Aylaen, ale panował taki ścisk, że nie udało mu się jej znaleźć.

Nagle rozbrzmiała muzyka. To Balin, Talgogroth i bard, grał na lirze. Tłum zamilkł z przejęcia, jako że muzyka zapowiadała przybycie panny młodej. Skylan z nudów zaczął się bawić rękojeścią miecza. Naprawdę miał nadzieję, że ceremonia skończy się jak najszybciej i będzie można zabrać się do jedzenia. A poza tym podczas uczy w Domu Wodza będzie miał

może okazję porozmawiać z Aylaen. Garn trącił go znacząco łokciem i Skylan przestał się wiercić.

Zza drzew wyłonił się bard, a za nim Kapłanki Kości w dwóch szeregach śpiewały pieśń na cześć Vindrash. Zajęły miejsca wokół posążka. Była wśród nich Treia; śmiertelnie poważna i spokojna stanęła nieco na uboczu. Skylan uśmiechnął się do niej, ale albo nie zauważyła jego uśmiechu, co było całkiem możliwe, biorąc pod uwagę jej słaby wzrok, albo po prostu go zignorowała.

Zapadła cisza. Zwyczajowo pannę młodą odprowadzał do gaju ojciec lub inny męski krewny, ale Draya nie miała już nikogo, więc poprosiła o to Svena.

Szedł przed nią, niosąc miecz, który stanowił tradycyjny podarunek panny młodej dla oblubieńca. Ten miecz interesował Skylana znacznie bardziej niż przyszła żona, choć bowiem broń, którą pan młody dawał pannie młodej, miała być starą pamiątką rodzinną, miecz otrzymywany przez pana młodego powinien być wykuty specjalnie dla niego.

Draya nie miała oczywiście czasu na wykucie nowego miecza, ale mogła przecież kupić jakiś od kogoś ze swojego klanu. Skylan rzucił na nią okiem i ze zdumieniem stwierdził, że ma rozpuszczone włosy, tak jak przystało pannie w dzień ślubu.

Jej jasne włosy były długie i opadały jej na ramiona. Na głowie miała tradycyjny wianek z traw i kwiatów. Rumieniła się i wyglądała na szczęśliwą. Skylan poczuł nagle pewność, że jakoś się dogadają.

Przecież wszystko się ułoży, pomyślał, byle tylko w nic mi się nie wtrącała i zostawiła mnie w świętym spokoju.

Przeniósł wzrok na miecz. Sven stał już przed Skylanem i gdy chłopak przyglądał się broni krytycznie, ich oczy się spotkały. Sven był bardzo poważny i widać było, że z namaszczeniem pełni swoją funkcję w ceremonii. Zauważył jednak zainteresowanie Skylana i jako doświadczony wojownik od razu zgadł jego myśli. Lekko unióśł miecz, tak żeby Skylan mógł lepiej obejrzeć swój podarunek, a gdy zobaczył, że pan młody się krzywi, uśmiechnął się lekko i nieznacznie wzruszył ramionami, a potem szepnął:

– Będzie się pięknie prezentował na twojej ścianie, panie.

Była to śliczna broń z wysadzaną klejnotami rękojeścią. Tyle tylko, że miecz nie ma być śliczny. Skylan nawet z daleka widział, że ta klinga nie wytrzymałaby ani chwili w prawdziwej walce. Zdusił w sobie rozczarowanie. Poza tym przecież był teraz tak bogaty, że mógł spokojnie zlecić wykonanie prawdziwego miecza.

Podeszła do niego Draya. Przed nimi stanęła kapłanka, która miała przeprowadzić uroczystość zaślubin. Skylan z przykrością stwierdził, że jest nią Treia. Draya uśmiechnęła się do niego i uzmysłowił sobie, że wybrała Treię, by uhonorować jego klan.

Treia poprowadziła ten radosny obrządek z takim chłodem i oschłością, że zdawało się, że ktoś wylał na radosny tłum wiadro lodowatej wody. Zwykle ślub rozpoczynałby się od formalnego podsumowania negocjacji między rodzinami, od ustalenia wysokości posagu,

wiana i tak dalej. Ponieważ jednak nie było to małżeństwo aranżowane między rodzinami, nie było takiej potrzeby. Skylan otrzymywał ziemie należące się Wodzowi Wodków w Vindraholmie, a Draya, jako Kapłanka Kai, miała własny majątek, choć większość z tego i tak należała do Kai.

Treia zaczęła od wezwania bogów na świadków, ale zrobiła to w sposób tak obojętny, że było jasne, iż bardzo by się zdziwiła, gdyby jakiś bóg rzeczywiście się pojawił. Wzięła wiązkę szatwii i zamoczyła ją w miodzie, a potem pokropiła nim Drayę i Skylana. Następnie pokropiła krewnych i znajomych pary młodej. W dawnych czasach zamiast miodu używano krwi owcy lub innego zwierzęcia poświęconego Torwalowi. Praktyka ta uchodziła teraz jednak za barbarzyńską i była oficjalnie zakazana.

Skylan zamrugał. Trochę miodu wpadło mu do oka i piekło nieprzyjemnie. Treia znów wezwała bogów na świadków ślubowań młodej pary, a następnie zwróciła zamglone oczy na Skylana. Opadła go panika. Ewidentnie czekała, aż on coś powie lub zrobi, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, co by to miało być.

Garn trącił dłoń Skylana tak, że otarła się o rękojeść miecza, i Skylan wreszcie sobie przypomniał, co ma robić. Wyciągnął rodzinny miecz i trzymając go za brzeszczot, podał go rękojeścią do przodu pannie młodej.

Draya wzięła od niego miecz dość niezgrabnie, bo była to bardzo ciężka broń.

– Zachowam ten miecz dla naszego syna – powiedziała cicho i spłonęła się.

Skylan mało nie roześmiał się jej w twarz. Staruszka ma ponad trzydzieści zim i mówi mu o synach!

Draya wzięła miecz od Svena i podała go panu młodemu. Wiedział, czego się od niego oczekuje, więc zaczął udawać, że podziwia swoją nową broń, choć tak naprawdę musiał w duchu przyznać, że Sven nie mylił się ani trochę: miecz nadawał się tylko do powieszenia na ścianie.

Był jednak w dobrym humorze i uśmiechnął się miło do Draii. Odpowiedziała mu uśmiechem i jeszcze bardziej się zarumieniła. Dziesięć lat temu mogła nawet uchodzić za ładną.

Treia poprosiła tymczasem o wymianę obrączek i wypowiedzenie przysięgi. Skylan nałożył pierścień na czubek miecza i podał go w ten sposób Draii. Zdjęła pierścień z miecza i nieporadnie zawiesiwszy swoją obrączkę na głównej rodzinnej mieczy, podała go Skylanowi. Wsunął na jej palec pierścień, który należał kiedyś do jego matki, a Draya próbowała wcisnąć swój pierścień na jego palec, ale nie udało jej się, bo miał szerokie dłonie i pierścień zupełnie na niego nie pasował. Będzie trzeba go przerobić. Zamknął pierścień w dłoni i położył ją na rękojeści miecza, a Draya położyła swoją dłoń na jego. Jej palce drżały. Jej dłonie były śliskie od potu.

Oboje ukłękli przed posązką Vindrash.

Przyjmując miecz panny młodej, Skylan brał na siebie odpowiedzialność za jej życie. Przynależał Torwalowi chronić ją i utrzymywać. Draya przynależała przed Vindrash być wierną żoną, dbać o męża, być jego doradczynią we wszystkim.

Ceremonia zakończyła się ponownym wezwaniem przez Treię bogów na świadków ślubów tej pary.

– Wzywam wszystkich, by przyłączyli się do świętowania związku zawartego między Drayą Nerthusson, Kapłanką Kai, oraz Skylanem Ivorsonem, Wodzem Wodków ludu Vindrasów.

Skylan i Draya powstali z kolan. Draya uśmiechnęła się promiennie i zdawało mu się przez chwilę, że próbuje go złapać za rękę, ale udało mu się dyskretnie w porę odsunąć. Po raz pierwszy usłyszał swój tytuł w tak oficjalnym kontekście. Ludzie wiwatowali na jego cześć. Poczul, że serce pęka mu z dumy. Uniósł miecz, by podziękować im za wiwaty.

W całym tym zamieszaniu Garn zdołał pochylić się i szepnąć mu do ucha:

– Teraz powinieneś ją pocałować.

Skylan miał nadzieję, że uda się tego uniknąć, ale Draya wciąż stała przy nim i wpatrywała się w niego wyczekująco. Pochylił się i już miał ją pocałować w usta, gdy nagle ujrzał Aylaen, której udało się przecisnąć przez tłum. Stała teraz przy Trei i uśmiechała się radośnie.

Skylan zrobił unik i pocałował Drayę w policzek. Z ulgą odwrócił się do Garna i mężczyzn, którzy przysunęli się bliżej, by stanąć koło swojego wodza. Uśmiechnął się wesoło i zatarł ręce – częściowo z satysfakcji, częściowo, by pozbyć się lepkości dłoni Draii.

– A teraz – zakrzyknął radośnie – czas na zabawę!

Popołudnie spędzili na grach zręcznościowych. Mężczyźni i chłopcy mieli okazję wykazać się siłą i sprawnością w takich zabawach jak rzucanie toporem, zapasy, wyścigi czy potyczki tępych mieczami. Zorganizowali nawet małą bitwę z udziałem ściany tarcz. Heudjunowie i Torgunowie przepychali się i walczyli wesoło i beztrudnie, próbując zepchnąć przeciwników na drugą stronę linii wyrysowanej na ziemi.

Skylan jako pan młody nie mógł uczestniczyć w tych zabawach. Musi przecież oszczędzać siły na noc poślubną, żartowano. Udawał, że nie słyszy tych absurdalnych docinków. Mężczyźni wzywali go jednak na sędziego w swych zabawach, a on traktował tę rolę bardzo poważnie i wydawał słuszne opinie, tak iż ludzie zaczęli mówić między sobą, że to dobrze wróży na przyszłość.

Panny przyglądały się zabawom i dopingowały swoich faworytów. Zameżne kobiety wróciły do miasta, by przyozdobić małżeńskie łóżko kwiatami i pożartować z Draii i jej przystojnego, młodego męża. Potem wszystkie dziewczęta i kobiety, śmiejąc się i plotkując, zabrały się do przygotowywania uczyty weselnej.

Gdy czerwone promienie bogini Aylis zaczęły się kryć za wierzchołkami drzew, mężczyźni zakończyli gry i udali się na ucztę. Najpierw do Domu Wodza wszedł pan młody z druhami. Skylan zabarykadował drzwi nowym mieczem, by panna młoda nie mogła wejść do środka, dopóki on nie pomoże jej bezpiecznie przejść przez próg. Drzwi do domu symbolizowały wejście w nowe życie i potknięcie się panny młodej wróżyło same straszne rzeczy.

Wziął więc Drayę za rękę i poprowadził ją do środka, a ona przeszła przez próg bez żadnego wypadku. Tłum wzniósł gromkie okrzyki na cześć młodej pary.

Skylan zasiadł na honorowym miejscu na samym końcu długiego stołu. Draya wykonała swój pierwszy małżeński obowiązek: naleła mężowi miodu do miski o uszkach w kształcie smoków. Skylan uniósł miskę wysoko, w ten sposób symbolicznie podając pierwszy łyk samemu Torvalowi, a potem napił się miodu. Podał miskę Drai, a ona uniosła ją ku Vindrash i sama napiła się trunku. Wszyscy wzniesli rogi z miodem i wypili za zdrowie i szczęście młodej pary. Zaczęła się pełna radości uczta.

W Domu Wodza było gorąco, hałaśliwie i tłoczno. Gdy zakończyła się ceremonia pucharu miłości, Skylan miał wreszcie święty spokój. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył, że Aylaen siedzi tuż przy siostrze, razem z grupą Kapłanek Kości. Udało mu się pochwycić jej spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego i powróciła do ożywionej rozmowy z siostrą i jakąś kobietą.

Skylan wstał. Udał, że się śmieje, i cicho szepnął do Garna:

– Idę porozmawiać z Aylaen.

Garn chwycił go mocno za rękaw.

– Nigdzie nie idziesz – syknął.

Skylan spojrzał na niego z wściekłością, ale Garn natychmiast dodał znacznie łagodniejszym tonem:

– Pan młody nie może opuścić swojej oblubienicy podczas wesela, Skylan, tym bardziej nie, żeby porozmawiać z niezamężną kobietą. To byłoby bardzo niestosowne.

Skylan wiedział, że przyjaciel ma rację, więc powoli usiadł z powrotem.

Jego żona zauważyła jednak, że wstawał, i odwróciła się do niego z uśmiechem na ustach.

– Czy wszystko w porządku, mężu? Czy może czegoś ci trzeba?

Przysunęła się bliżej. Poczul jej nogę przy swoim udzie. Spróbował się odsunąć na tyle, na ile było to możliwe. Zrobiła ruch dłonią, jakby chciała go chwycić za rękę, więc szybko złapał nóż i zabrał się do jedzenia mięsa z takim apetytem, jakby umierał z głodu. Chwilę później Treia opuściła przyjęcie, a wraz z nią zniknęła jej siostra.

Zaszło słońce i pojawił się księżyc. Bard Balin zaczął śpiewać o zaletach życia małżeńskiego. Mężowie i żony spoglądali na siebie czule i trzymali się za ręce. Dzień zaślubin zakończy się odprowadzeniem młodej pary do małżeńskiego łóża.

Na samą myśl o tym Skylan znów sięgnął po kielich.

Rozdział 2

Ludzie zapalili pochodnie i w długiej procesji odprowadzili Drayę do domu Wodza Wodzów, który znajdował się w centrum Vindraholmu. Wszystko, co należało niegdyś do Horga, zostało pospiesznie usunięte, a Fria własnoręcznie wypucowała każdy kąt domu i spaliła całą pościel. Nowy materac nasączyła pięknie pachnącymi olejkami, a kobiety rozrzuciły wokół kwiaty.

Do domu wprowadziły Drayę jej najbliższe przyjaciółki. Tam zdjęły jej suknię, pantofle i pończochy, pozostawiając ją w lnianej halce. Uściskały się serdecznie, a potem Draya skryła się pod kocami i z bijącym sercem czekała na swego męża.

Procesja pana młodego – znacznie bardziej hałaśliwa – przybyła zaraz potem. Skylan wypił hektolitry miodu i piwa i ledwo trzymał się na nogach. Opierając się ciężko na przyjaciółach, szedł niepewnie w stronę domu, a mężczyźni wokół darli się na całe gardło i wyśpiewywali sprośne piosenki, które zawsze towarzyszyły odprowadzaniu nowożeńców do małżeńskiej sypialni.

Draya nie była tak pijana jak Skylan, ale też dużo wypła. Czuła jeszcze na ustach słodki smak miodu i drżała z radości na samą myśl o jeszcze słodszej rozkoszy, która miała ją zaraz czekać. Nie mogła oczu oderwać od swego przystojnego, młodego męża. Nie przeszkadzało jej nawet to, że Skylan jest pijany. W przeciwieństwie do Horga, który stawał się w takim stanie gburliwy i podły, Skylan tylko się przechwalał radośnie i beztrosko, opowiadając jej i każdemu, kto się nawinął, o swoich chwackich czynach w bitwie. Nawet odegrał przed nią kilka potyczek, podskakując uroczo i wymachując nożem do mięsa, by pokazać, jak pokonał bożypana.

Przyjaciółki Draia otworzyły drzwi, by wpuścić mężczyzn do środka. Przyjaciele Skylana zdjęli mu tunikę i buty i w samej tylko koszuli i spodniach unieśli go w powietrze i rzucili nim o łożo. Wylądował na kocach ze śmiechem, a jego panna młoda zarumieniła się mocno. Mężczyźni i kobiety pożartowali z nich jeszcze chwilę i wyszli, żeby wrócić na ucztę, która miała trwać jeszcze wiele godzin.

Skylan leżał na łóżku, wciąż śmiejąc się i śpiewając sam do siebie. Drayę przeszył ogień pożądania. Zbliżyła się do niego, wsunęła mu dłoń pod koszulę i pochyliła się, by go pocałować.

– Mój mężu... – szepnęła.

Pokój był dobrze oświetlony, jako że bogowie powinni być świadkami nocy poślubnej. Skylan spojrział na nią półprzytomnie, jakby teraz dopiero uświadomił sobie jej obecność. Usłyszał w głosie Draï namiętność, zobaczył w jej oczach żar i poczuł, że jej ciało drży. Nagle doszło do niego, że Draya jest w nim zakochana.

– Muszę się napić – wymamrotał. Zwłóknął się z łóżka, wyszedł z sypialni i dotarł do kuchni, gdzie udało mu się znaleźć róg, który szybko napełnił piwem. Wypił je jednym haustem.

Był w szoku. Kobieta, która widziała już ponad trzydzieści zim, może się zakochać? To było... zupełnie niestosowne. Przecież jest kapłanką! Powinna myśleć o zupełnie innych rzeczach. Nie spodziewał się, że będzie chciała się z nim kochać, i zupełnie go to wytrąciło z równowagi. Usłyszawszy kroki i szelest jej szat, nalał sobie więcej piwa.

– Mężu – powiedziała Draya. – Panie mój, wróć do łóżka.

Odwrócił się w jej stronę i zobaczył, że Draya się uśmiecha, że unosi dłonie i rozsuwa dekolt halki, odsłaniając swoje małe piersi. Jej sutki pokryte były czarnymi włoskami. Zakryła piersi dłońmi, żartobliwie je mu oferując.

A Aylaen życzyła mu szczęścia.

Skylan poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Kochał się z tyloma kobietami, ale odkąd przysiągł wierność Aylaen, nie dotknął żadnej. Starał się siebie przekonać, że Draya jest taka jak wszystkie inne, ale nie mógł nawet na nią patrzeć bez odrazy. Brzydziłby się jej dotknąć.

Nie chodziło tylko o jej wiek, choć o to także. Nie chodziło tylko o to, że to nie Aylaen, choć to miało duże, duże znaczenie. Przede wszystkim chodziło o to, że Draya była Kapłanką Kai. Gdy tylko na nią spoglądał, przypominał sobie, jak błada i majestatyczna pochyła się nad zakrwawionym ciałem Horga.

– Wracaj do łóżka! – warknął. – Będę spał na podłodze.

– Nie żartuj sobie, panie – powiedziała Draya, śmiejąc się wesoło. Podeszła bliżej i wsunęła dłonie pod jego koszulę. Jej zimne palce przyprawiły go o dreszcz. – Nie bój się o mnie. Nie skrzywdzisz mnie. Przecież nie jestem dziewicą. Wiem, czego pragnie mężczyzna.

I na potwierdzenie swych słów włożyła mu dłoń w spodnie i zaczęła go głaskać.

Pachniała potem i olejkami. Zapach jej ciała w połączeniu z całym tym miodem i piwem, które wypił, sprawił, że zrobiło mu się niedobrze. Wyrwał się z jej objęć i spojrział jej surowo w twarz.

– Jak ci nie wstyd?! – ryknął. – Żeby kobieta w twoim wieku zachowywała się jak dziwka! Prędzej bym chyba poszedł do łóżka z własną babką!

Draya zbladła. Jej ciemne oczy wydały się nagle jeszcze większe i bał się, że się w nich utopi.

– Jestem twoją żoną! – powiedziała.

– Tylko nominalnie! – Skylan lekceważąco wzruszył ramionami. – Wszyscy wiedzą, że nasze małżeństwo zostało zawarte tylko pro... pro... pro forma. – Był tak pijany, że z trudem przypomniał sobie to sformułowanie. Ale udało się. Machnął ręką. – A poza tym przyrzekłem wierność innej. Wracaj do łóżka i daj mi spokój.

– Innej? – Draya wybuchnęła gniewem. – Jesteśmy małżeństwem. Musisz spać ze mną. Tak nakazuje ci prawo.

Miała rację. Mąż był zobowiązany do skonsumowania małżeństwa, a żona do poddania się mu. Ale przecież to małżeństwo nie było naprawdę. Było tylko pro forma. Draya jest staruszką. Nie chciał nawet na nią patrzeć, a już na pewno nie chciał się z nią kochać. Chciał, żeby go zostawiła w spokoju, by mógł marzyć o Aylaen.

– Prawo? – Skylan wyprostował się dumnie. – Ja tu jestem prawem, pani. Jestem Wodzem Wodzów. Będiesz robić, co ci każę!

– Ty głupi chłopcze! – wrzasnęła Draya i wymierzyła mu policzek. Uderzyła tak mocno, że Skylan poczuł krew na ustach. Jej głos drżał. W jej ciemnych oczach palił się niebezpieczny ogień. – Gdyby nie ja, nigdy nie zostałbyś żadnym wodzem!

Skylan roześmiał się.

– Torval dał mi zwycięstwo. Zabiłem Horga.

– Nie. Nie zabiłeś – syknęła Draya. – To ja go zabiłam! Wino, które wypił Horg, było zatrute. Otrułam go!

Skylan wpatrywał się w nią zamroczony alkoholem i nie był w stanie pojąć jej słów.

– Wino, które piliście przed walką... – ciągnęła Draya gorączkowo, nie bacząc już, co mówi. – Podałam ci róg... potem otarłam go płótnem. W płótnie ukryta była fiołka z trucizną... O powolnym, ale śmiertelnym działaniu... Wlałam ją do wina.

– Kłamiesz, dziwko! – zdołał wyszeptać Skylan, ale czuł, że włosy stają mu dęba; że strach chwytą go za gardło; że ledwie mówi. – Nie kłam. To ja zabiłem Horga!

Draya tylko go wyśmiała.

– Horg miał przecież walczyć z chłopcem! Byłby cię roztrzaskał w drobny mak! Zresztą i tak to on zranił ciebie do pierwszej krwi. Pozwoliłam wam dalej walczyć, bo wiedziałam, że za chwilę trucizna zacznie działać, że spali jego wnętrzności, zmyli czujność; wiedziałam, że dzięki temu Horg popełni wreszcie błąd i uda ci się go pokonać.

Skylan przypomniał sobie wykrzywioną twarz Horga. Jego dłoń ściskającą brzuch. Przypomniał sobie jego chwiejny krok, moment, kiedy zgiął się nagle w pół, jęknął. Nagle Skylan miał absolutną pewność, że Draya mówi prawdę.

Ta kobieta zabiła własnego męża. Ukradła Skylanowi zwycięstwo. Ale co najgorsze: sfalszowała wyrok Torvala!

W tym momencie Draya uświadomiła sobie, co mówi. Jęknęła głucho i zakryła usta dłonią. Potem podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

– Panie, miłości moja, zrobiłam to dla ciebie!

– Zejdź mi z oczu! – wyszeptał Skylan, którego z przerażenia oblał zimny pot.

– Zrobiłam to dla naszego ludu! – jęczała Draya.

– Zejdź mi z oczu! – powtórzył Skylan i cofnął się, spuszczać głowę, bo nie był w stanie na nią spojrzeć.

– Horg był strasznym człowiekiem – tłumaczyła Draya. – Był tchórzem, znęcał się, nad kim tylko mógł. Obraził bogów, oddając torques ogrom. Oszukiwał podczas Vutmany. Przecież widziałam, że cię kopnął. Wiem, że Torval chciał, byś to ty został Wodzem Wodzów, ale...

Draya zająknęła się, umilkła i wbiła w Skylana błagalny wzrok.

– Ale co? – ryknął Skylan.

– Nie chciałam ryzykować, że Torval popełni błąd – dokończyła cicho Draya. – To było zbyt ważne. Tu chodzi o przetrwanie naszego ludu i naszych bogów! Potrzebujemy silnego, odważnego Wodza Wodzów. Musiałam być pewna, że będziesz nim ty. Czy nie pojmujesz tego, kochany?

Skylan nie pojmował. Wiedział tylko, że zabiła Horga.

– Torval mnie przeklnie! – jęknął Skylan i oblizał suche usta. Trząsł się cały. – Przeklnie mnie!

– Musieliśmy poświęcić Horga dla ludu – powiedziała Draya. – Torval to rozumie. Vindrash to rozumie. Prawda, Vindrash?

Skylan popatrzył na nią przerażony. Mówiła do kogoś, choć poza nią i Skylanem w pokoju nikogo nie było. Była Kapłanką Kai. Być może bogowie byli tu w tej chwili! Skylan nieraz stawał w obliczu śmierci w ścianie tarcz. Znał, co to strach. A jednak nigdy nie bał się aż tak bardzo. Padł na kolana.

– Musieliśmy poświęcić Horga, bo bez tego nasz lud by nie przetrwał, nasi bogowie by nie przetrwali. Wlałam więc truciznę do wina...

Skylan spojrzał nagle na róg, który wciąż trzymał w dłoni. Draya mówiła coś o przetrwaniu ludu, o przetrwaniu bogów, ale do niego doszło tylko to, że właśnie pije jej piwo. Rzucił się do kubła na śmieci i zaczął wymiotować, wypluwać całe piwo, wyrzucać z siebie wszystko. Wymiotował tak długo, aż poczuł, że ma zupełnie pusty żołądek.

Opadł na ziemię, oparł się plecami o ścianę i otarł usta.

– Muszę powiedzieć ojcu – wyjąkał. – Muszę mu powiedzieć, co zrobiłaś...

Wstał niepewnie i ruszył chwiejnym krokiem do drzwi, ale potknął się o taboret i runął na podłogę. Draya przyklękła przy nim i otoczyła go ramieniem.

– Nie możesz nic mówić ojcu – powiedziała cicho. – Nie możesz nic nikomu powiedzieć. Ludzie pomyślą, że specjalnie to uknuliśmy. Odbiorą ci twój tytuł, twoje odznaczenia... Zostaniemy straceni za morderstwo.

Skylan jęknął z rozpacz i zaczął trząść głową.

Draya przytuliła go mocno.

– Torval wybrał cię na wodza, Skylan – szeptała z przejęciem. – Wiem to. Tak mówi mi serce i udowodnię, że mam rację. Nie mów nic nikomu, zachowaj mój sekret. Popłyniemy razem na Smocze Wyspy i poprosimy bogów o wybaczenie i błogosławieństwo.

Skylan wyobraził sobie to poniżenie, ten wstyd. Nie odważy się spojrzeć ojcu w oczy. Aylaen go znienawidzi. Nie będzie mógł się z nią ożenić. Choć może udałoby mu się udowodnić swoją niewinność, w oczach ludzi Skylan Ivorson już na zawsze będzie tym, który próbował oszukać boga. Jego reputacja będzie zszargana. Wojownicy palcem nie kiwną, żeby mu pomóc, a już na pewno nie pójną za nim w żadną bitwę.

– Vindrash wiedziała, co robię – mówiła Draya. – Smok Kahg także wiedział, co robię, bo przecież jest jej sługą. Smok Kahg uznał cię za wodza. Przecież to on zawiózł cię w triumfie do Vindraholmu. To on pozbył się ciała Horga, tak żeby nikt nigdy go nie znalazł.

Skylan popatrzył na nią niepewnie.

– Vindrash wie, że otrułaś Horga?

– Oczywiście – przytaknęła Draya. – Vindrash jest moją boginią. Mówię jej o wszystkim.

Skylan nie uwierzył jej jednak. Coś tu się nie zgadzało, choć jego mózg był zbyt przesiąknięty winem, by to pojąć. Garn wiedziałby od razu, co robić. Skylan jeszcze nigdy w życiu nie potrzebował rady przyjaciela tak bardzo jak w tej chwili. Nie mógł go jednak o nią prosić.

Odepchnął Drayę od siebie.

– Zachowam twój sekret – powiedział. Odruchowo położył dłoń na amulecie, by przysiąc na Torvala, ale zreflektował się i opuścił rękę. – Ale teraz precz z moich oczu.

– Nadal przecież jesteście małżeństwem – jęknęła błagalnie Draya.

– Wolałbym przespać się z demonem! – wycodził Skylan.

Draya jęknęła cicho. W tej chwili wyglądała na swój wiek, albo i jeszcze starzej. Jej skóra była ziemista, policzki obwisłe, oczy podkrążone, a usta blade.

– Zachowam twój sekret – powtórzył Skylan – ale nigdy nie będę spać w twoim łóżku. To będzie mój sekret, który ty zachowasz w tajemnicy.

Z oczu Draii wypłynęły dwie łzy, potoczyły się po policzkach i spadły na jej nagie piersi.

– Chcę dać ci syna – szepnęła Draya, przyciskając dłonie do brzucha. – Wiem, że mogę dać ci syna.

Skylan spojrział na nią z nienawiścią.

– Za nic nie chciałbym mieć syna z kimś takim jak ty. A teraz przynieś mi, pani, koc i wracaj do łóżka.

Draya wstała, drżąc strasznie. Przyniosła mu koce oraz pościel i ułożyła wszystko na podłodze. Skylan patrzył na nią z kąta pokoju. Czuł w ustach jakiś obrzydliwy smak i był niezwykle spragniony, ale żołądek mu się ścisnął na samą myśl, że miałby tknąć jakiegokolwiek jedzenia lub picia, którego ona dotknęła. Pościeliwszy mu posłanie, Draya znów spojrziała na niego błagalnie. Odwrócił twarz. Draya wróciła do sypialni i rzuciła się na swoje małżeńskie

łóże. Słyszał, jak szłocha rozpaczliwie. Zdmuchnął świece i leżał tak na posłaniu, wpatrując się z napięciem w ciemność.

Duchy zamordowanych nie spoczywają w grobach, ale stają się chodzącymi trupami. Zwane są draugami. Draugry wracają, by nawiedzać i męczyć tych, którzy przecięli nić ich wyrdu. Smok wywiózł ciało Horga gdzieś daleko, ale być może nie dość daleko. Być może Horg wróci, by oskarżyć swoją żonę o zdradę. Może nawet wróci zemścić się na Skylanie...

I wtedy Skylanowi zaświtała w głowie jeszcze straszliwsza myśl. Może wcale to nie umarli stanowią dla niego największe zagrożenie. Znał przecież sekret Draii. Był dla niej niebezpieczny, a miał do czynienia z kobietą, która już zabiła jednego męża. Nie sprawi jej trudności zabicie drugiego. Jak ma żyć z nią, wiedząc o tej zbrodni?

Gdyby tylko nie złamał przysięgi danej Torwalowi, byłby teraz na uczcie, pił z przyjaciółmi, tańczył z Aylaen. To jego ojciec mieszkałby w tym strasznym domu, to Norgaard byłby mężem morderczyni. Skylan jęknął z żalu.

– Torwalu, ukarałeś mnie oto za złamanie przysięgi! – wyszeptał. – Przyjmuję twoją karę. Postąpiłem źle. – Skylan chwycił amulet i zaczął się modlić goręcej niż kiedykolwiek przedtem. – Ale pomóż mi teraz, Torwalu! Uwolnij mnie od tej żony!

Rozdział 3

Następnego dnia po ślubie Draya wstała wcześniej rano. Jakże chciała pójść do Wielkiej Świątyni Bogów i rzucić się do stóp Vindrash, wyznać jej wszystko i oczyścić swą duszę. Nie mogła jednak. Powiedziała sobie, że to dlatego, iż ludzie bardzo by się zdziwili, gdyby zobaczyli, jak rezygnuje z radości małżeńskich już następnego poranka po nocy poślubnej. Nikt oczywiście niczego nie powie, ale będą szeptać po kątach i patrzeć na nią ze współczuciem.

Tak naprawdę jednak Draya nie miała po prostu odwagi stanąć przed Vindrash. Skłamała Skylanowi, gdy powiedziała mu, że bogini wie o jej zbrodni. Draya miała nadzieję, że zrobiła to, czego pragnęłaby Vindrash, ale nie miała pewności. Bogini nie odezwała się do niej od tamtej nocy, gdy wyznała, że musi ukryć się przed wrogami.

Torval ją przeklął. Tego Draya była pewna. Sfałszowała jego wyrok. Miał powód, by być na nią wściekły, i dlatego kazał temu młodemu człowiekowi znienawidzić swoją żonę.

Draya musi teraz popłynąć na Smocze Wyspy, do świątyni Vektii, by błagać go o wybaczenie. Jeśli bogowie w ogóle jeszcze żyją, będą właśnie tam. Popłynie z nią Skylan, bo tradycja nakazuje, by Wódz Wodzów odbył podróż na Smocze Wyspy. Być może podczas tak długiej wyprawy, gdy będą sami na okręcie, pogodzą się mimo wszystko.

Draya obmyła twarz zimną wodą, próbując uśmierzyć jakoś pieczenie oczu. Jeszcze wczoraj była taka szczęśliwa. Potem płakała całą noc poślubną.

Sama jestem sobie winna, pomyślała ze smutkiem. Nie powinnam była tak wybuchnąć. Dlaczego nie zachowałam spokoju, nie byłam wyrozumiała i cierpliwa? Przecież on ma zaledwie osiemnaście lat. To naturalne, że wydaję mu się stara. Jestem przecież jedną z najstarszych kobiet w mieście! Z czasem zrozumiałby, że wiek nie ma znaczenia. Z czasem nauczyłyby się mnie kochać.

Wślizgnęła się na palcach do pokoju, w którym spał na pościeli owinięty w koce. Miał potargane włosy i bardzo srogi wyraz twarzy, jakby nawet we śnie nadal się na nią gniewał. Słyszała, jak przez pół nocy kręcił się niespokojnie, zanim wreszcie usnął. Teraz stała i wpatrywała się w niego, a po policzkach ciekły jej gorące łzy.

– Nie powinnam ci była mówić prawdy – szepnęła cicho. – Miałam nadzieję, że zrozumiesz... zapomniałam, jaki jesteś młody. Młodość widzi wszystko albo w pełnym

słońcu, albo w zupełnej ciemności. Młodość nie rozumie półcienia. Sądziśz mnie bardzo ostro, bo sobie na to zasłużyłam, ale nie pojmujesz, jak wielka spoczywa na mnie odpowiedzialność.

Gdzieś w głębi duszy marzyła o tym, by usłyszał jej pełen rozpaczony szept, otworzył oczy, uśmiechnął się i wziął ją w ramiona. Zamiast tego przekręcił się tylko na brzuch i zakrył głowę kocem. Draya westchnęła i zaczęła się krzątać cicho po domu, tak żeby go nie obudzić.

Wkrótce była gotowa do wyjścia. Nie mogła zarzucić swoich obowiązków Kapłanki Kai. Na ten dzień zaplanowane było Zgromadzenie Kai, które zwołała, by wykorzystać obecność Kapłanek Kości przybyłych na Vutmanę z nawet najbardziej odległych zakątków kraju. Taka okazja zdarzała się bardzo rzadko i należało ją wykorzystać. Miały wiele do omówienia.

Kapłanki martwiły się, że bogini uzdrawiania Desiria nie odpowiada na ich modlitwy. Wiele kobiet otrzymało też inne niepokojące znaki. Część z nich podejrzewała już, że w niebiosach wydarzyło się coś niepokojącego. Najgorsze było to, że rozpadł się prastary torguński posąg Vindrash. I była też ta relacja Trei z rozmowy ze smokiem Kahg, który utrzymywał, że w niebiosach doszło do wojny i że bogowie Vindrasów jej bynajmniej nie wygrali.

Draya musiała wreszcie się zdecydować, co im powiedzieć, a co zachować dla siebie. Na pewno musi im powiedzieć o śmierci Desirii, bo Treia wiedziała już o tym od smoka Kahg i nie omieszkała rozgłaszać tego wszem i wobec. Draya miała wrażenie, że Treia czerpie dziwną radość z rozpowszechniania tej informacji. Draya miała jeszcze niedawno nadzieję, że czas spędzony wśród własnego ludu pomoże Trei znaleźć więcej miłości i współczucia w sercu, ale było jasne, że stało się wręcz odwrotnie. Treia wydawała się jeszcze bardziej ponura i zła na wszystkich niż wtedy, gdy opuszczała Vindraholm.

Draya nigdy przedtem nie zdawała sobie chyba sprawy z tego, jak bardzo jej ta dziewczyna nienawidzi. Tak jakby Treia winiła ją za to, że matka sprzedała ją bogom. Kapłanka Kai miała nadzieję, że przekona ją jakoś do siebie, prosząc o poprowadzenie ceremonii ślubnych, ale ze zdumieniem skonstatowała, że ta prośba tylko ją rozjątrzyła.

Draya poszła do sypialni i ubrała się w czyste szaty, na które narzuciła swój zdobny płaszcz kapłanki. Właśnie splatała warkocz, gdy usłyszała, że Skylan wstał i chodzi po pokoju.

Zaczęły jej się trząść ręce. Musi przestać się czesać i wyjść do niego. Nie uniknie tego. Opuściła ją odwaga, ale nie może przecież kryć się w sypialni całe życie. Szybko zaplotła warkocz i owinęła go sobie wokół głowy. Zmusiła się do odważnego uśmiechu i wyszła do pokoju. Zdziwiła się, ujrawszy, że Skylan wkłada ubrania podróżne. Miał już na sobie tunikę i hełm, srebrne naramienniki i kolczugę. Do boku przypasał swój stary miecz, a nie ten, który otrzymał wczoraj od niej.

– Dokąd się wybierasz, panie? – spytała zdumiona.

Skylan nie przerwał ubierania się. Może chce wrócić do rodzinnego miasta! Torgunowie mieli odpłynąć dzisiaj i być może Skylan postanowił płynąć z nimi. Drayę zdjęła panika. Taki nagły wyjazd wyglądałby bardzo podejrzanie.

Już miała powtórzyć pytanie, zażądać odpowiedzi, kiedy rzucił tylko krótko:

– Miałem sen. Torval nakazał mi jechać do Hammerfallu. – Spojrzał prosto na nią. Jego oczy były błękitne i jasne jak lód. – Muszę błagać boga o wybaczenie.

Draya spłonęła się ze wstydu. Oczywiście należało postąpić tak, jak nakazał bóg, ale co ludzie powiedzą? Już miała mu powiedzieć, że absolutnie nie może jechać, ale się zawahała. Być może jego wyjazd dobrze im obydwójgu zrobi.

Hammerfall był jednym z najświętszych miejsc dla Vindrasów. Gdy Torval wygrał w końcu swoją bitwę ze Smoczycą Ilyrion, był tak wykończony, że jego zakrwawiony topór wymusnęła mu się z dłoni, spadł z niebios i runął na ziemię. Trzonek topora wbił się w skałę i powstał idealnie okrągły krater o wysokich ścianach z gładkiego czarnego kamienia, na którym nic nie rośnie. Wojownicy jechali często do Hammerfallu, by poprosić Torwała o błogosławieństwo przed wojną lub by poświęcił ich nowy miecz czy topór. Ci, którzy skłamałi lub popełnili inny niegodny czyn, błagali tam boga o wybaczenie.

Hammerfall znajdował się na południe od Vindraholmu. Podróż zajmie Skylanowi co najmniej dwa tygodnie. Będzie miał czas ochłonąć, przemyśleć wszystko. Gdy wróci, będzie czuł się znacznie lepiej, może będą mogli zacząć wszystko od nowa.

– To wspaniały pomysł, panie. Choć oczywiście – dodała Draya ściszym głosem – musisz zachować w tajemnicy powód tej wyprawy.

Skylan wydał wargi.

– Jeśli ktokolwiek mnie o to zapyta, pani, odpowiem, że jadę, by podziękować bogu za tak wspaniałą żonę.

Draya aż drgnęła zraniona jego sarkastycznym tonem.

– Mam dziś rano spotkanie z wodzami wszystkich klanów – ciągnął Skylan, zbierając swoje rzeczy. – Potem muszę się pożegnać z ojcem i moimi ludźmi. Wtedy dopiero będę mógł wyjechać z miasta.

Draya zauważyła, że Skylan wciąż utyka. Rana nadal mu widać doskwierała. Wiedziała jednak, że nie powinna nawet próbować mu jej opatrywać. Może mu natomiast pomóc w inny sposób.

– To długa podróż. Zbyt długa na pieszą wycieczkę. Jeśli masz czas zajrzeć do zagrody, panie, znajdziesz tam mój kolejny prezent dla ciebie: to ogier, czarny z białą strzałką. Przygotowany do walki w bitwie i niezwykle szybki. Według Svena, który zajmował się nim dotąd, jest szybszy niż wiatr. Ma na imię Brzeszczot.

Skylan znieruchomiał. Koń był niezwykle cennym podarkiem. Zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy go przyjąć czy nie. Widać było, że za nic nie chce mieć u niej żadnych długów wdzięczności.

– Wódz Wodzów – powiedziała szybko Draya, chwytając w lot jego wątpliwości – powinien mieć odpowiedniego do swego urzędu wierzchowca.

Skylan przemyślał to i przytaknął.

– Dziękuję – powiedział z chłodną uprzejmością. – Twój podarunek jest... jest bardzo hojny.

– O czym będziecie dziś rozmawiać z wodzami? – spytała Draya, starając się podtrzymać jakoś rozmowę.

Zdawało się, że odburknie, że to nie jej sprawa, ale tylko wzruszył ramionami.

– To chyba jasne, pani. Musimy obmyślić plan odzyskania torquesu. Gdy ja będę w podróży, wodzowie zbiorą swoich wojowników. Kiedy wrócę, będą już gotowi do wypłynięcia...

– ...do świątyni Vektii – wtrąciła Draya, nie mając jednak odwagi spojrzeć na niego. – Pamiętasz o tym, mężu, że najpierw musimy popłynąć na Smocze Wyspy. Tam przedstawisz się bogom jako Wódz Wodzów...

– Przecież bogowie znają mnie już aż za dobrze! – warknął coraz bardziej rozdrażniony Skylan. – Jesteś Kapłanką Kai! Nie chcesz chyba, by Torques Vektyjski pozostał w rękach ogrów!

– Nie, panie, oczywiście, że tego nie chcę – zgodziła się Draya. – Ale nie wiemy nawet, gdzie znajduje się kraina ogrów.

– Znajdę ją – zapewnił ją Skylan.

– Gdy będziemy w Wielkiej Świątyni, możemy zapytać o to Vindrash...

– Czemu teraz jej o to nie spytasz? – ryknął Skylan, wbijając w nią wściekły wzrok – Po co musimy jechać aż na Smocze Wyspy?

Ruszył w stronę drzwi.

Młodzi są tacy niecierpliwi, pocieszała się w duchu Draya. On zupełnie nic nie rozumie.

– Panie – powiedziała. – Najpierw popłyniemy na Smocze Wyspy. Razem. Gdy już tam będziemy, poprosimy bogów, by pobłogosławili twoją wyprawę do krainy ogrów.

Skylan już jej jednak nie słuchał. Mruczając pod nosem coś, czego Draya nawet wolała nie słyszeć, wypadł na zewnątrz i trzasnął drzwiami.

Drayę opadła nagle wielka słabość, chciała usiąść na taborecie, ale nie zdążyła i osunęła się na podłogę.

– Vindrash! – Złożyła dłonie do modlitwy. – Ty wiesz, dlaczego popełniłam ten straszny uczynek. Wiesz, że nie zabiłam Horga z nienawiści czy zemsty, choć żadna kobieta nie miałaby lepszego powodu, by go nienawidzić. Co miałam robić, Vindrash? Groził, że zniszczy Kai, a wraz z nimi naszą wiarę, która trzyma nasz lud przy życiu! Nie miałam wyjścia, Vindrash! Ty wiesz o tym. Musiałam tak postąpić. Błagam cię, bogini, nie opuszczaj mnie!

Draya nasłuchiwała w napięciu, czekając na uspokajający szept Vindrash. Słyszała świergot rudzików, wiatr szumiący wśród drzew, fale bijące o brzeg, ale nie usłyszała głosu bogini.

Zadrżała. Westchnęła głęboko i wstawszy, poprawiła szaty i zmusiła się do uśmiechu, a potem wyruszyła do Wielkiej Świątyni Bogów.

Skylan wypadł z domu na wpół oślepiony wściekłością i nienawiścią. To on był teraz Wodzem Wodków! Jakże ta kobieta śmie mu rozkazywać? Zamiast wypłynąć na wojnę w poszukiwaniu chwały, ma znosić jakąś wyprawę z nią przy boku? Przez chwilę rozważał nawet możliwość przeciwstawienia się jej, ale tak naprawdę wiedział, że to nie ma sensu. Żaden smok nie wypłynie bez Kapłanki Kości na pokładzie. Wystarczy, że Draya powie choć słowo, i cała podróż do krainy ogrów się skończy, zanim się w ogóle zacznie.

Skylan nie czuł się na siłach stanąć przed wodzami. Postanowił więc pójść najpierw do zagrody, w której trzymano konie. Wciąż nie był jeszcze pewien, czy powinien przyjąć ten podarunek. Robiło mu się słabo na samą myśl, że miałby przyjąć coś od żony. Lecz z drugiej strony Draya miała rację. Wódz Wodków powinien mieć odpowiedniego wierzchowca.

Od razu zobaczył Brzeszczota, był tak lśniaco czarny. Na czole miał białą plamę w kształcie brzeszczotu i stąd z pewnością wzięło się jego imię. Przy koniach pałętało się kilku chłopców i chętnie pomogli Skylanowi złapać Brzeszczota i wyprowadzić go z zagrody.

Brzeszczot był zwierzęciem niezwykle dumnym; nie poddawał się łatwo żadnemu jeźdźcy, jakby to, że ktoś go do siada, urażało jego godność. Kiedy Skylan usiłował go osiodłać, koń wierzgał i kopał, aż mali chłopcy pouciekali ze strachu. Skylan się roześmiał. Cieszyło go, że koń jest taki hardy.

Był zadowolony z tego podarunku, choć to nie zmieniło jego nastawienia do osoby, której go zawdzięczał. Minionej nocy bez końca analizował swoją walkę z Horgiem. Wijąc się ze wstydu, przypominał sobie, jak Horg upadł w agonii, jak chwycił się za brzuch, jak on, Skylan, triumfalnie dźgnął mieczem umierającego człowieka. Choć wydawało się to niemożliwe, teraz nienawidził Draia jeszcze bardziej niż w chwili, gdy się przyznała do zbrodni.

Przyjmę jej podarunek, postanowił sobie. Ale nie z miłości. Należy mi się zadośćuczynienie i niech ten koń będzie jego częścią.

Na znak przyjaźni dał Brzeszczotowi jabłko i pogłaskał go po pysku. Koń chyba zaczął się do niego przekonywać i nawet pozwolił mu sięść na swój grzbiet, choć nie tracił czujności.

Skylan nigdy nie miał własnego wierzchowca, ale umiał jeździć konno. Kiedy był mały, ojciec zdobył konia podczas najazdu i nauczył synka jeździć wierzchem. Koń zdechł niestety kilka lat temu i – ku wielkiemu rozczarowaniu Skyłana – Norgaard nie nabył nowego. Ale

teraz Skylan miał własnego wierzchowca, pięknego konia, którego każdy mógłby mu pozazdrościć.

Pojechał na nim do Domu Wodza, gdzie zbierali się już wodzowie wszystkich klanów. Spóźnił się trochę, bo nie mogli z Brzeszczotem ustalić, kto rządzi. Z początku koń kompletnie zignorował rozkazy Skylana i puścił się galopem w kierunku drzewa o niskich gałęziach, najwyraźniej próbując się w ten sprytny sposób pozbyć jeźdźca. Skylan przywarł do końskiej szyi i trzymał się go z uporem. Brzeszczot popędził przez pola i przeskoczył przez strumyk. W końcu zmęczony zatrzymał się i stał tak, sapiąc i parszając. Obrócił pysk, żeby spojrzeć na Skylana, potem opuścił łeb i potrząsnął grzywą.

Skylan, który w głębi duszy był szczęśliwy, że nie złamał karku, poklepał konia po szyi na znak, że mu wybacza. Od tego czasu Brzeszczot słuchał już rozkazów Skylana.

Zgromadzenie Wodzów przebiegło nadzwyczaj pomyślnie, a w każdym razie znacznie lepiej, niż oczekiwali tego niektórzy przywódcy. Wielu z nich przejawiało sporą dozę sceptycyzmu. Nowy Wódz Wodzów wydawał im się aroganckim szczeniakiem, który umie tylko szczekać i puszyć się bez końca.

Tymczasem straszny sekret, który męczył Skylana, przysłużył mu się, bo zmusił go do zastanawiania się nad każdym słowem. Chłopak nigdy jeszcze tak się nie namęczył. Z początku zdawało mu się, że w każdej chwili ktoś może wstać i rzucić mu oskarżenie prosto w twarz. Gdy tak się nie stało, stopniowo Skylan zaczął znów normalnie oddychać. Wciąż jednak musiał się mieć na baczności, a zatem starannie rozważał każde słowo, skutkiem czego wypadł na znacznie dojrzałego i mniej zuchwałego, niż był w rzeczywistości. Widział, że Norgaard śledzi go w napięciu, bojąc się, że syn się skompromituje, ale po jakimś czasie ojciec odprężył się i posłał synowi tak rzadki u niego uśmiech.

Wodzowie byli gotowi wyruszyć na wojnę z ogrami. Mogli dać Skylanowi swoje smocze okręty, wojowników, srebro – czegokolwiek zażądał. Nowy Wódz Wodzów powiedział jednak, że wojna musi poczekać i że najpierw uda się na Smocze Wyspy. Miał cichą nadzieję, że wodzów zmartwią jego słowa. Wyobraził sobie, że jeśli wodzowie jednomyślnie zaprotestują i będą nalegać, by natychmiast wyruszyć na wojnę, będzie w stanie przeciwstawić się Kapłance Kai. Wodzowie jednak nie wyrazili żadnych obaw i zapewnili go, że mogą poczekać na jego powrót, a Skylan musiał zdusić wściekłość.

Gdy zebranie miało się już ku końcowi, Skylan ogłosił, że jeszcze tego samego dnia wyrusza do Hammerfallu. Ta informacja wywołała spore poruszenie. Skylan wyjaśnił, że Torval pojawił mu się we śnie i nakazał mu, by udał się do Hammerfallu, żeby podziękować za tak wspaniałe dary.

Wodzowie zareagowali na to wyjaśnienie ożywioną dyskusją. Zgodzili się z nim, że ma za co dziękować. Torval uczynił go Wodzem Wodzów w tak młodym wieku, nagroził majątkiem i żoną. To, że Skylan gotów był wyruszyć w taką podróż po ledwie jednej nocy z małżonką, świadczyło o jego niezwykłej pobożności.

Zebranie zakończyło się zaraz potem. Skoro Vutmana i ślub się dopełniły, wodzowie chcieli już jak najszybciej wrócić do swoich klanów. Kilku z tych, którzy jechali na południe, zaprosiło Skylana do wspólnej podróży, ale podziękował im i wyjaśnił, że tę wyprawę musi odbyć w samotności. Wodzowie zrozumieli to oczywiście – w końcu podróż tę nakazał sam bóg – i życzyli mu szerokiej drogi.

Norgaard poczekał, aż pozostali wyszli, i odciągnął syna na stronę.

– Torval pojawił ci się we śnie? – spytał, przyglądając mu się uważnie.

– Tak, ojciec – powiedział Skylan. Był z siebie bardzo zadowolony. Czuł, że zyskał podziw i szacunek wodzów.

Norgaard zmarszczył brwi i wbił w syna zaniepokojone spojrzenie.

– Ty nigdy nie masz snów, Skylanie. Zawsze byłeś niezmiernie z tego dumny.

Skylan poczuł, że robi mu się gorąco. Nie wiedział, jak odpowiedzieć ojcu, bo rzeczywiście prawda była taka, że nic mu się nie śniło. Gdy wymyślił, że pojedzie do Hammerfallu, nie spał, a potem skłamał, opowiadając, że tę wyprawę nakazał mu sam bóg. Był zresztą całkiem zadowolony ze swojego sprytnego planu – jako kapłanka Draya musiała przecież zgodzić się z boskim rozkazem i pozwolić Skylanowi jechać. A dzięki temu Skylan miał okazję uniknąć obecności znienawidzonej żony. Zapomniał o tej całej cholernej pielgrzymce na Smocze Wyspy. Co gorsza, zapomniał też o tym, że zawsze się przechwalał, iż nigdy mu się nic nie śni.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, ojciec – powiedział w końcu.

Norgaard przyjrzał mu się znowu, ale potem zmienił temat.

– Dobrze sobie poradziłeś podczas Zgromadzenia Wodzów, synu. Jestem z ciebie dumny.

– Dziękuję, ojciec – wybąkał Skylan, krzywiąc się mimo woli.

Kłamstwa męczyły go i rozdzierały od środka jak czarnowron żerujący na padlinie.

– Czy coś się stało? – spytał z troską Norgaard.

– Za mało spałem dziś w nocy. Nic poza tym – odpowiedział szybko Skylan i od razu zaczął opowiadać o swoim nowym wierzchowcu i prosić ojca o rady dotyczące jego hodowli.

Norgaard powiedział z podziwem, że nigdy jeszcze nie widział tak wspaniałego zwierzęcia, i całą drogę na plażę mówili tylko o koniach.

Gdy dotarli do *Venjekara*, Torgunowie byli już gotowi do żeglugi. Wojownicy stali na pokładzie, a ich kolorowe tarcze zdobiły nadburcie. Kiedy zobaczyli Skylana, zaczęli się śmiać i wykrzykiwać zwyczajowe docinki na temat jego męskości, którymi zawsze rankiem po nocy poślubnej witano pana młodego.

Treia nie weszła jeszcze na pokład. Stała nadal na brzegu, Torval jeden wie po co. Była ponura i gniewna jak zwykle i nawet nie odpowiedziała na grzeczne powitanie ze strony Skylana. Nigdzie nie było widać Aylaen i chłopak uznał, że pewnie jest już pod pokładem. Tym lepiej. Tego poranka jej widok byłby zbyt bolesny.

Rozejrzał się za Garnem i też go nie dojrzał. W duchu odetchnął z ulgą. Mógł kłamać całemu światu, ale nie był w stanie oszukać swego przyjaciela i brata.

– Naprawdę wybierasz się zatem do Hammerfallu? – spytał Norgaard.

– Torval obdarował mnie tak szczerymi darami, że gdybym nie wykonał jego nakazu, byłoby to z mojej strony przejawem braku szacunku – odrzekł Skylan gładko.

– Co powiedziała na to Draya?

– Moja żona – Skylan zmusił się do wypowiedzenia tych słów bez wzdrygnięcia – popiera moją decyzję. Gdzie jest Garn?

– Poszedł do miasta, żeby się z tobą zobaczyć – wyjaśnił Norgaard. – Musieliście się minąć... O, patrz. Oto i on. – Wskazał na plażę.

Skylan odwrócił się i zobaczył, że Garn i Aylaen idą pospiesznie w stronę okrętu.

– Tu jesteś! – zawołała Aylaen. – Szukaliśmy cię wszędzie, ale Draya powiedziała, że pewnie będziesz tutaj.

Skylan spojrział na nią z rozpaczą. Wyglądała tak pięknie. Jej włosy lśniły jak czerwone promienie zachodzącego słońca. Jej szmaragdowe oczy migotały cudownie. Słońce zostawiło kilka piegów na jej nosie. Pomyślał o Draii, jej obwisłych piersiach, pomarszczonej skórze, rękach powalanych krwią Horga, którymi usiłowała go pieścić.

Opadło go poczucie, że jest brudny, jakby tarzał się w błocie. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, że Draya rozmawiała z Aylaen, że w ogóle znalazła się w pobliżu dziewczyny.

– Jak wam się podoba mój koń? – spytał.

Garn ledwie spojrział na nowy nabytek Skylana.

– Podobno jedziesz do Hammerfallu? – spytał z zastanowieniem.

– Tak, by podziękować bogu za tak szczerze dary – odpowiedział zwięźle Skylan. Miał już serdecznie dość tłumaczenia się przed wszystkimi. Pogłaskał Brzeszczota po pysku. – Ma serce prawdziwego wojownika – pochwalił go. – Przeskoczył dziś rano przez potok tak szeroki jak nasz smoczy okręt. Szkoda, żeście tego nie widzieli.

– Bardzo bym chciała się na nim przejechać – powiedziała Aylaen. – Taka jestem z ciebie dumna, Skylanie. Wiem, że jesteś teraz żonaty, ale przecież zawsze będę dla ciebie jak siostra.

Pocałowała go szybko w usta, a dotyk jej warg był gorący, jakby wypalała nim piętno. Dotknął swoich ust palcami, podświadomie oczekując, że pozostał na nich znak. Tak bardzo ją kochał, że niemal czuł, jak serce pęka mu z bólu.

– Aylaen – szepnął niecierpliwie. – Chciałem z tobą porozmawiać...

Ale przerwała mu roześmiana i beztroska.

– Tak, tak, oczywiście, że porozmawiamy. Tylko nie teraz, bo muszę jeszcze pożegnać się z Treią. Zostaje tu na Zgromadzeniu Kai.

I nim Skylan miał czas, by otworzyć usta i przekonać ją, żeby też została, Aylaen uśmiechnęła się szeroko i pobiegła do siostry.

Garn zaczął coś mówić, ale Skylan przerwał mu, unikając jego wzroku.

– Na ciebie też już czas, przyjacielu, bo skończy wam się przyptyw. Dbaj, proszę, o mojego ojca. – Czuł, że mówi zbyt szybko, ale nie był w stanie nad sobą zapanować. – Daj mi znać, jeśli czegoś będzie potrzebował.

– Przystań, Skylan – powiedział nagle Garn, chwytając go za ramię. – Przecież wiem, że coś się stało. Mnie możesz powiedzieć. Wiesz, że możesz mi ufać.

Skylan stał z dłonią na siodle. Tak bardzo chciał wyrzucić z siebie tę potworną prawdę, oczyścić duszę tak, jak wczoraj w nocy oczyścił żołądek.

Brzeszczot zarżał cicho i trącił Skylana pyskiem, jakby napraszając się i popędzając go, by już ruszyli. Chłopak pogłaskał szyję swego pięknego konia. Popatrzył na ojca, który był z niego taki dumny. Spojrzał na Aylaen, na jej błyszczące w słońcu włosy, poczuł znów jej pocałunek na ustach.

Norgaard się go wyprze. Aylaen wyrzuci go ze swego serca raz na zawsze.

– Wszystko w porządku, przyjacielu – odrzekł, zmuszając się do uśmiechu. – Nie mogło być lepiej. Przecież jestem Wodzem Wodków.

Wskoczył na konia i znów uśmiechnął się do przyjaciela. Garn jednak nie odpowiedział uśmiechem. Uparcie stał przy strzemieniu Skylana i trzymał uzdę.

Skylan zacisnął zęby z poirytowania. Nie jest przecież dzieckiem. Dlaczego wszyscy zasypują go pytaniami? Wyrwał Garnowi uzdę, odwrócił łeb konia, przycisnął pięty do jego boków i pogalopował przez plażę. Nie zatrzymał się i nie obejrzał za siebie, dopóki nie przejechał przez smagane wiatrem wydmy. Wspiął się na klif i tam dopiero przystanął, by spojrzeć na morze.

Venjekar unosił się dumnie na falach. Widać było Garna, jak stoi na dziobie tuż przy Norgaardzie i Aylaen. Był też Bjorn, który rozmawiał ze swym bratem Erdmunem. Alfric Jednooki śmiał się z czegoś z Sigurdem. Inni chodzili po pokładzie, wyglądali za burzę, rozmawiali. Pewnie mówili o nim, o tym, jak są z niego dumni. Taki młody chłopak, a zdołał pokonać samego Horga. Taki młody, a wyniósł Torgunów na najwyższą pozycję pośród Vindrasów. Taki młody, a został Wodzem Wodków. Oto jego najbliżsi wracali do Ludy, by znów żyć własnym życiem.

Taki ból czują pewnie zmarli, pomyślał. Stoję na zimnym samotnym brzegu i patrzę, jak odpływają ci, których kocham. Ich życie nadal się toczy, a ja zostaję sam.

Ogarnęła go taka rozpacz, że zaczął szlochać. Nagle przez łzy zobaczył błysk ognia – to lśniły czerwone oczy smoka Kahg. Okręt mijał teraz skałę, na której stał Skylan. Ślepią smoka spoczęły na nim i przyglądały mu się przez chwilę. Skylanowi wydawało się, że słyszy głos, który szeptał:

„Złamana włócznia, wygięty miecz, potrzaskana tarcza. Nie cofniesz czasu. Padniesz na kolana i będziesz się płaszczył u stóp wroga czy też podejmiesz walkę?”

Na to pytanie istniała tylko jedna odpowiedź. Skylan wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go wysoko w powietrze, aż słońce zaśniło na głowni. Oczy smoka błysnęły czerwonym ogniem.

Chowając miecz w pochwie, Skylan skierował konia na południe, w kierunku Hammerfallu.

Rozdział 4

Skylan był już w drodze od ponad dwóch tygodni. Jechał przez mroczne lasy i słoneczne łąki. Nigdy jeszcze nie był w tak dalekiej podróży lądem i bardzo mu się to spodobało. Mitrężył czas jak tylko mógł, robiąc wszystko, żeby nie wracać do domu. Każdy dzień przynosił nowe, piękne widoki, ale i coraz bardziej uświadamiał mu, w jak poważnych kłopotach znaleźli się Vindrasi. Mijał pola ze zbożem więdnącym na popękanej, suchej ziemi. Widział stada bydła – chudych, smutnych krów. Przeskakiwał przez cienkie, coraz cieńsze rzeki. Patrzył na wyschnięte strumienie. Bogini słońca wbijała w ziemię bezlitosny, płomienny wzrok, a Skylan nie umiał sobie już nawet przypomnieć, kiedy ostatnio padało.

Wiedział, dlaczego tak się dzieje. Treia powiedziała mu, że Aylis ogarnął szal po śmierci córki, bogini Desirii, i że w ten sposób wyładowuje na Vindrach swoją złość i rozpacz. Skylan uważał, że to zupełnie bez sensu. Powinna przecież wyładowywać swoją złość na tych złych bogach, którzy byli winni śmierci Desirii, a nie na swych wiernych wyznawcach.

Treia spytała go drwiącym głosem, czy ma się za mądrzejszego od bogów. Nie, oczywiście, że nie, zapewnił ją Skylan, ale po cichu pomyślał, że w tym wypadku ma jednak rację. Przed oczami znów stanęła mu tamta straszna kolacja z bożypanami. Wyglądali na niezwykle dobrze odżywionych. Ich wielgachne brzuszyska były imponujące nawet po długiej podróży morskiej, podczas której na pewno musieli ograniczyć racje jedzenia. Chępnili się, że mieli obfite żniwa, że ich lud jest zamożny. Szaman nie przestawał wychwalać Bogów Raj, którzy obsypują swych wiernych wszelkimi dobrami. „Vindrasi powinni się cieszyć, że będą ich mogli wyznawać” – mówił.

Nasi ludzie muszą wreszcie wyruszyć na wyprawę łupieżczą, rozmyślał Skylan. Nasi wojownicy muszą się poczuć lepiej. Muszą zdobyć srebro, złoto i klejnoty dla smoków. Muszą przywieźć do domu tłuste bydło, by nakarmić swoje głodne dzieci. Ogry tak się chępnili swoją zamożną krainą. Złupmy więc ojczyznę ogrów.

Skylan nie miał pojęcia, gdzie znajduje się ta kraina. Wątpił też, by wśród żyjących Vindrach znalazł się ktoś, kto by wiedział. Ale ogry z pewnością zostawiły wiele śladów na całej powrotnej trasie. Skylan ruszy śladem splądrowanych wsi i spalonych domów, który doprowadzi go wprost do ogrzej krainy.

Nigdy jeszcze aż tak nie marzył o wielkiej wyprawie. Już niemal widział swój triumfalny powrót do Vindraholmu, z Torquesem Vektyjskim na szyi i okrętami wypełnionymi srebrem, złotem i klejnotami.

Zamiast tego jednak musiał teraz płynąć ze swoją żoną na te całe Smocze Wyspy.

Siódmego dnia swej podróży Skylan zatrzymał się przy wiejskim domku, by spytać o drogę. Zdawało mu się, że jest już coraz bliżej celu swej wędrówki, i wieśniak potwierdził jego przypuszczenia. Znajdowali się dzień jazdy od Hammerfallu. Stąd trzeba tylko dalej jechać drogą, a potem wejść na szlak, który wprawdzie jest nieoznaczony, ale nie da się go ominąć, bo przeszło nim wielu dzielnych wojowników.

Skylan pojechał więc dalej drogą, a potem znalazł ścieżkę, dokładnie tak, jak zapowiedział wieśniak. Kazał Brzeszczotowi skręcić, a gdy dotarli na wzgórze, zatrzymał konia. Strome, skaliste ściany krateru wyrastały z murawy jak ostre zęby gotowe wgryźć się w błękitne niebo.

Szlak prowadził prosto przez trawę do tych szarych ścian. Skylan spojrział w dół i zadrżał. Tędy chodzili wojownicy od zarania dziejów. Być może nawet sam Thorgunnd szedł niegdyś tą ścieżką. Tędy kroczyli pobożni woje, by pokłonić się przed Torvałem, odsłonić przed nim swe szlachetne serca i czyste dusze.

Skylan tymczasem był zwykłym krzywoprzysięcą i mordercą, a przynajmniej był tak bliski zabójstwa, że szczegóły nie miały już żadnego znaczenia. Był oszustem i kłamcą, a w swych podłych kłamstwach wykorzystywał imię Torwała.

Staram się. Tylko wszystko jakoś tak wychodzi. Torwał przecież to rozumie, usiłował się pocieszyć Skylan. Bóg widzi moje serce.

Ruszył i już miał zjechać w dół zbocza, gdy posłyszał przeraźliwie głośne krakanie. Przeleciał nad nim cień, tak blisko, że Skylan aż się pochylił. Wyjątkowo wielki kruk wylądował na szlaku tuż przed Skylanem i spłoszył mu konia. Brzeszczot zarżał w panice i stanął dęba. Skylan zacisnął wodze i uspokoił wierzchowca.

Na ścieżce leżał martwy zając. Kruk wbił w Skylana zły wzrok, jakby chcąc go odegnąć od mięsa. Potem spokojnie, zupełnie się go nie bojąc, wskoczył na padlinę, zanurzył pazury w futro zająca i zaczął powoli wydziobywać mu oko.

Skylan się wzdrygnął. Kruk był ptakiem Hevisa, boga ognia, oszustwa, sekretów i zdrady. Trudno było o bardziej oczywisty i zatrważający omen.

Krzyknął na ptaka, żeby go przegonić, ale kruk nawet nie drgnął i bynajmniej nie przerwał swej uczty. Skylan nakazał Brzeszczotowi ruszyć do przodu, lecz w tej chwili kruk spojrział na niego, a potem – ku jego przerażeniu – rozłożył długie, czarne skrzydła, zeskoczył z padliny i pofrunął prosto na głowę Skylana.

Skylan przywarł do głowy konia i pociągnął wodze tak mocno, że Brzeszczot obrócił się w miejscu, niemal się przewracając. Zatrwożony koń popędził galopem po własnych śladach na szlaku.

Za nimi rozległ się przeraźliwy śmiech kruka.

Skylan uciekał tak na oślep przez cztery dni i cztery noce. Nie wiedział zupełnie, gdzie jedzie. Pragnął tylko znaleźć się jak najdalej od Hammerfallu. Gdy Brzeszczot się zmęczył, Skylan zeskoczył z konia i szedł dalej pieszo, prowadząc konia za uzdę. Idąc, przysypiał i budził się zaraz z koszmaru, w którym kruk wydziobywał mu oczy.

Skylan, który nigdy w życiu nie śnił, teraz żył w nieprzerwanym koszmarze.

Nie było wątpliwości, że Torval jest na niego wściekły. Bóg odwrócił się od niego, lecz nie zadowolony z taką formą kary, wysłał zdradzieckiego Hevisa, by nie dopuścił Skylana do świętego miejsca. Skylan musi znaleźć jakiś sposób, żeby przebłagać rozwścieczonego boga. Nie miał jednak pojęcia, jak się do tego zabrać. Kiedy był mały, zdarzało się często, że rozgniewał ojca, i wtedy po prostu schodził mu z oczu, póki Norgaard się nie uspokoił. Skylan miał nadzieję, że może ta sama taktyka podziała też z Torvalem, ale nic z tego. Nie wiedział, co mógłby innego zrobić, i rozpaczliwie potrzebował rady, ale Garna przy nim nie było.

Droga, którą jechał, prowadziła w głąb łądu. Potem przeszedł nią przez Wzgórza Kairnholmskie, aż dotarł do morza Hesvolm.

Minęło już kilka dni, odkąd uciekł z Hammerfallu. Zapadał zmrok i czas było pomyśleć o noclegu. Stał i spojrzał na rozpościerające się przed nim szeroko lśniąca wody. Przy jałowym nabrzeżu zacumowało kilka łodzi.

Z początku pomyślał, że to najazd, ale potem uzmysłowił sobie, że to by nie miało sensu. Nigdzie w pobliżu nie było żadnej osady. Naliczył zaledwie pięć łodzi i nie były to chyże, smukłe łodzie wojenne, lecz raczej krótkie, szerokie żaglowce handlowe, zaprojektowane z myślą o przewożeniu towarów, a nie wojowników.

Łodzie znajdowały się tak daleko od jakiegokolwiek miasta, że Skylan uznał, iż po prostu się zgubiły. Kiedy jednak zbliżył się do nich, zobaczył, że jedna z nich odwrócona jest do góry dnem, a wokół kręcą się ludzie. To wyjaśniało wszystko. Mają jakąś awarię i przybili do brzegu, żeby nareperować usterkę.

Skylan tak bardzo chciał się do kogoś odezwać, tak bardzo chciał, żeby jakiś ludzki głos zagłuszył wreszcie jego ponure myśli, że popędził galopem w stronę łodzi. Kupcy jeździli po całym świecie, widzieli niejedno. Starali się zwykle nie mieszać w konflikty wojenne, a nawet gdy ich kraj był w stanie wojny, nadal robili wszystko, by przemierzać swoje szlaki handlowe, sprzedawać swoje towary zarówno przyjaciołom, jak i wrogom, byle tylko zarobić na życie.

Być może ci podróżujący do dalekich krajów ludzie będą coś wiedzieli o ziemi ogrów.

Jeden z kupców zauważył pędzącego przez piasek Skylana i krzyknął ostrzegawczo. Na widok wojownika w pełnej zbroi, z tarczą i mieczem, mężczyźni porzucili pracę przy kadłubie i ustawili się w szeregu bojowym. Mieli miecze i topory i wyglądali na takich, co

umieją się nimi sprawnie posłużyć. Skylan nie wyjmował miecza z pochwy i zdjął hełm, by pokazać, że przybywa z pokojowymi zamiarami.

Mężczyźni mieli czarne włosy i brody, a ich cera była śniada jak u ludzi, którzy mieszkają daleko, daleko na południe. Tylko jeden z nich był blondynem o gęstej, jasnej brodzie. Był wyższy od pozostałych, miał szerokie ramiona i grube kości. Skylan przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Wyglądał na Vindrasa.

Najpierw zdawało się Skylanowi, że to po prostu przewodnik zatrudniony przez ludzi z Ziemi Południowych do pokazania im drogi w tej nieznanym im krainie, ale potem zobaczył, że blondyn odziany jest tak samo jak pozostali – w długie, luźne szaty z obszernymi rękawami spięte pasem w talii. Wskazując na Skylana, krzyknął coś do swych towarzyszy. Ludzie odłożyli broń i wrócili do pracy, a raczej do jej nadzorowania. Dopiero teraz Skylan zobaczył bowiem, że tak naprawdę pracę wykonywali niewolnicy zakuci w łańcuchy i kajdany.

Zauważył też, że w grupie cudzoziemców są także kobiety – niskie, śniade, o długich, ciemnych, kręconych włosach, brązowych oczach i gładkiej cerze. Uświadomił sobie, że patrzą na niego, i zrobiło mu się wstyd, że od kilku dni ani się nie golił, ani nie cesał, o kąpieli nie wspominając.

– Jestem Skylan Ivorson! – krzyknął, gdy był już w zasięgu głosu. To on podjeżdżał do obcych ludzi, więc do niego należało się przedstawić. – Jestem synem Norgaarda z Torgunów.

Niemal dodał dumnie: „I Wodzem Wodków ludu Vindraków”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie znał przecież tych ludzi, nie wiedział, z jakim zamiarem przybili do jego ojczyzny, a Wódz Wodków zawsze wart jest dużego okupu.

Wysoki blondyn popatrzył na Skylana ze zdumieniem, a potem ryknął:

– A niech mnie! Skylan? Toż to mój mały Skylan!

Chłopak wlepił w niego zdziwiony wzrok. Kim był ten mężczyzna?

Wielka twarz o jasnej brodzie zajaśniała szerokim uśmiechem:

– Ostatni raz widziałem cię całe trzynaście zim temu! – wykrzyknął mężczyzna. – Miałeś wtedy ledwie pięć lat i mało mi palca nie urznąłeś, bawiąc się mieczem ojca. Wciąż mam jeszcze bliznę!

Skylan zeskoczył z konia i stanął przed mężczyzną, który rzeczywiście wydawał mu się dziwnie znajomy.

– Nie poznajesz mnie? Czy zmieniłem się aż tak bardzo? Cóż, pewnie tak. Jestem Raegar Gustafson! – Blondyn popukał się palcem w klatkę. – Jestem synem brata twojej matki, mój mały Skylan! Jesteśmy kuzynami! – Pokręcił głową z radością. – No kto by pomyślał, że spotkamy się tak na końcu świata? Czuję, że maczał w tym palce jakiś bóg!

Rozdział 5

Skylan gapił się na swego kuzyna z rozdziawioną gębą.

– Raegar! Byliśmy pewni, że nie żyjesz!

Skylan miał wtedy rzeczywiście tylko pięć lat, ale wciąż jeszcze pamiętał ten smutek we wsi. Może dlatego że pierwszy raz w życiu uświadomił sobie wtedy, co to śmierć. Jako mały chłopiec Skylan był wpatrzony w starszego kuzyna jak w obrazek. A potem ten dzielny wojownik, potężny, jowialny, przystojny, lubiany przez wszystkich mężczyzna zginął podczas jednej z wypraw. Ktoś widział, jak szamotał się z trzema przeciwnikami naraz, a gdy następnego dnia szukano ciała i nigdzie go nie było, uznano, że pożarły je wilki. Z tego, co Skylan pamiętał, Raegar miał wtedy około dwudziestu lat, zatem teraz mógł mieć około trzydziestu trzech.

Skylan rozpaczał po jego śmierci tak bardzo, że Norgaard spuścił mu lanie, mówiąc, że chłopiec bezcześci pamięć kuzyna, mazgając się tak bez umiaru.

– Ale co się z tobą działo? – spytał Skylan. – Bo jak widzę, wcale nie umarłeś.

Raegar pokręcił głową ze smutkiem.

– Lepiej było mi umrzeć, kuzynie. Były chwile... było tak wiele chwil, gdy marzyłem o tym, by umrzeć. Byłem ranny. Nie mogłem walczyć. Błagałem tych skurczybyków, by mnie zabili i wysłali do Torwała z honorem, ale stwierdzili, że taki duży, silny mężczyzna jest zbyt cenny, by go marnować. Wzięli mnie w niewolę, wyleczyli i w kajdanach zawieźli do Oranu. – Raegar wskazał palcem ludzi za swymi plecami. – Widzisz tych biedaków tam? Byłem niewolnikiem tak jak oni. Sprzedano mnie na targu niewolników i mogłem trafić do kopalni żelaza i szczeznąć tam w ciągu roku, ale jakiś bóg czuwał nade mną. Zakupił mnie człowiek wpływowi i majątny. Miałem pracować w jego domu. W tajemnicy przed wszystkimi jego sekretarz nauczył mnie czytać i pisać w języku ludzi z Ziemi Południowych. Oficjalnie nie wolno niczego uczyć niewolników. Dowiedział się o tym mój pan i bałem się, że zostanę wychłostany, a może nawet zabity, ale zamiast tego poszerzył tylko zakres mojego wykształcenia. W końcu pracowałem dla niego jako majordomus i zarabiałem tak dużo, że zdołałem wykupić się z niewoli. Teraz jestem kupcem, a ci ludzie – Raegar wskazał na mężczyzn nadzorujących pracę niewolników przy łodzi – to moi wspólnicy.

Skylan patrzył na kuzyna z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Nic nie rozumiem, kuzynie. Skoro jesteś już wolnym człowiekiem, dlaczego nie wróciłeś do nas, do swojej ojczyzny? Dlaczego nie zemściłeś się na ludziach, którzy wzięli cię w niewolę?

Raegar podrapał się po brodzie w zamyśleniu.

– Tak, zastanawiałem się nad powrotem do Ludy, ale człowiek znajduje szczęście, gdzie tylko może, kuzynie. Pędziłem dobre życie. Miałem własny dom, żonę i dzieci. Teraz jednak wszystko przepadło... – Raegar wbił wzrok w ziemię. – Zginęli w pożarze.

– Niech Freilis pozwoli, by spoczywali w pokoju – szepnął Skylan, bo bogini umarłych zajmowała się dziećmi i kobietami.

Raegar pokiwał głową; potem jednak wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął.

– Lubię Oran, kuzynie. Lubię tych ludzi, podoba mi się tamtejszy klimat. – Uśmiechnął się szeroko. – Jedzenia nigdy nie brakuje, człowiekowi nie marznie tyłek w zimie. A kobiety są naprawdę piękne, jak sam zresztą widzisz.

Skylan rzeczywiście przyglądał się kobietom. Bardzo różniły się od Vindrasyjek, które miały zwykle blond włosy i niebieskie oczy. Jedna z najładniejszych cudzoziemek uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem.

– Chciałem jednak zobaczyć ojczyznę – ciągnął Raegar – więc gdy moi współnicy zaproponowali tę wyprawę, przystałem z chęcią. Odwiedziliśmy już klany na południu i stąd wiem o wszystkim, mój mały Skylanie. Jesteś Wodzem Wodzów! Właśnie płynąłem ci pogratulować, gdy nasza łódź uderzyła w skałę i zaczęła nabierać wody.

Skylan nie mógł pojąć, jak ktoś mógłby tak po prostu wyrzec się ojczyzny i rozpocząć nowe życie w obcej krainie, wśród ludzi, którzy wzięli go wcześniej do niewoli.

– Torval musiał widać celowo przedziurawić naszą łódź, bo przecież inaczej bym cię tu nie spotkał. Można rzec, że bóg pchnął cię w moje ramiona, kuzynie.

Skylan wzdrygnął się mimowolnie na wzmiankę o bogu, ale po chwili uznał, że być może jest to dobry znak, może Torval trochę mu już wybaczył, skoro oddał mu ukochanego kuzyna, niemal pozwalając mu zmartwychwstać.

Raegar wpatrywał się w niego z nieukrywanym podziwem.

– Wódz Wodzów. Ho, ho. Ale też nic dziwnego. W dniu twych narodzin tuż przy waszym domu orzeł walczył ze żmiją. Orzeł wygrał, zabijając węża, co jest przecież zapowiedzią wielkości, wszyscy bowiem wiedzą, że orzeł jest zwierzęciem Torvala.

– Nie wiedziałem o tym – wybąkał Skylan.

– Norgaard nigdy ci o tym nie powiedział? No cóż, to dla niego typowe. Pewnie bał się, że ci to przewróci w głowie. Jak się ma twój ojciec? Słyszałem, że był ciężko ranny i ledwo chodzi, lecz nadal pełni funkcję wodza.

Skylan już miał odpowiedzieć, gdy nagle Raegar uderzył się w czoło.

– Jakże ja się zachowuję? Masz za sobą daleką podróż. Z pewnością jesteś głodny i spragniony. Chodź, chodź, przedstawię cię moim współnikom i zjemy wspólnie kolację.

Orańskie wino jest wyśmienite. A poza tym – Raegar uśmiechnął się – mam dla ciebie mały prezent. Pokażę ci po kolacji. Gdy wiedziałem już, że płyniemy na północ, zamówiłem coś specjalnie dla mojego ulubionego kuzyna. Skąd miałem jednak wiedzieć, że mój mały Skylan jest teraz Wodzem Wodzów i mężem Kapłanki Kai?!

Skylan zmarszczył się na samo wspomnienie Draï.

– Ano właśnie – dodał Raegar z szelmowskim uśmiechem – czemu uganiaasz się na koniu po wsi, gdy powinienes dokazywać właśnie w małżeńskim łozu?

Skylan przygryzł wargę.

– Przepraszam. Uraziłem cię czymś? – spytał niepewnie Raegar.

– Nie, nie – zaprzeczył Skylan. – Potem ci wszystko opowiem. – Znów spojrział na tę ładną dziewczynę, która się do niego uśmiechała. Nie spuszczała z niego wzroku. – Najpierw chciałbym się wykapać i w ogóle doprowadzić do ładu.

Raegar uśmiechnął się.

– Jasne. Zajmę się twym pięknym wierzchowcem.

Skylan poszedł plażą aż do ustronnej zatoczki. Tam rozebrał się i wskoczył do wody. Pływał przez dłuższą chwilę. Potem położył się na piasku, pozwalając, by osuszyło go słońce. Rozczesał włosy i właśnie się golił, gdy uświadomił sobie, że nie jest sam. Tamta ładna dziewczyna pojawiła się tak cicho, że nawet nie zauważył, kiedy przyszła. Patrzyła na niego z zachwytem. Wskazawszy na ubrania, które rzucił na piasek, wykonała ręką gesty, jakby chciała je uprać i wyżąć.

– O, tak, poproszę – powiedział Skylan, choć nie był pewien, czy go zrozumie.

Dziewczyna zebrała jego brudną odzież, uśmiechnęła się i odeszła.

Skylan miał ze sobą odzież na przebranie i kiedy włożył ją na siebie, poczuł się znacznie lepiej. Upewnił się, że zadbano o Brzeszczota. Koń z zadowoleniem zajadał ziarno.

Raegar zaprowadził Skylana do mężczyzn zgromadzonych wokół zepsutej łodzi.

– Panowie, pozwólcie, że przedstawię Skylana Ivorsona, Wodza Wodzów ludu Vindrasów – powiedział. Wyjaśniwszy stopień ich pokrewieństwa, spojrział na Skylana. – Zrozumiałeś?

– Mówiłeś tak szybko – rzekł Skylan.

– Ten język jest bardzo podobny do naszego, tylko słowa płyną znacznie szybciej, jak w wartkim strumieniu, stąd trudno uchwycić moment, w którym jedno słowo się kończy, a drugie zaczyna. Ale szybko się go na pewno nauczysz.

Mężczyźni powitali Skylana z szacunkiem, co go ucieszyło.

– Kim są te kobiety? – spytał. – Czy to twoje żony?

Raegar roześmiał się.

– Nie, to niewolnice. Gotują, piorą i ogrzewają nas w nocy. Widzę, że podoba ci się jedna z nich.

Skylan patrzył na tę ładną dziewczynę, która zajęła się jego ubraniami. Uprała je w morskiej wodzie i teraz rozwieszała je na skale, by wyschły. Minęły już dwa lata, odkąd spał z jakąkolwiek kobietą. Przysiągł wierność Aylaen, a potem ożenił się z Drayą. Wciąż czuł na sobie jej okropne, kościste palce. Patrzył na ładną dziewczynę i myślał o tym wszystkim.

Mężczyźni zasiedli do posiłku złożonego z zupy rybnej, chleba i sera. Popijali wyśmienite wino. Wystarczyło jedno słowo Raegara i Południowcy wstali, zostawiając kuzynów samych. Raegar wyraźnie był tu przywódcą. Kuzyni siedzieli na plaży przy ognisku z wyłowionych z morza drewnien, wpatrywali się w tańczące płomienie i popijali wino z drewnianych kubków.

– To drewno drzewa oliwnego – wyjaśnił Raegar. – Tu są jego owoce, spróbuj. – Podał Skylanowi miseczkę z czarnymi i zielonymi oliwkami.

– Zwykle wypływamy pestki – dodał, gdy zobaczył, że Skylan krztusi się, próbując je połknąć.

Skylan rozsmakował się w tych egzotycznych owocach. Wyśmienite wino ogrzało mu krew, a jego troski i zmartwienia stały się nagle mniej ważne i zdawało mu się, że można je wypłuć po prostu jak pestki oliwek. Raegar opowiadał o swoim życiu w Oranie. Im dłużej Skylan słuchał tych fascynujących historii, tym bardziej stawał się znów małym chłopcem zapatrzonym w starszego kuzyna. Przedziwne opowieści Raegara wydawały mu się zupełnie niezwykle i po cichu podejrzewał, że kuzyn nieco je ubarwia, a może nawet zwyczajnie zmyśla większość tych cudacznych rzeczy.

Mówił mu o wielkich okrętach, które były w stanie unieść dwustu wojowników, gdyż napędzały je trzy rzędy wiosłarzy. Mówił o mieście tak olbrzymim, że mieszkało w nim więcej ludzi niż cały lud Vindrasów razem wzięty. Mówił o tysiącu wojowników, którzy nie walczyli wcale w ścianie tarcz, ale wkraczali na pole bitwy w jakichś skomplikowanych, ruchomych formacjach bojowych.

– Ech, kuzynie, za kogo ty mnie masz? Nie kpij ze mnie! – wołał Skylan, śmiejąc się wesoło. – Wojownicy, którzy nie walczą w ścianie tarcz? W to by nie uwierzyło nawet dziecko!

– To prawda. Przysięgam na Torwala – zarzekał się Raegar. – A właśnie, to mi przypomina, że mam dla ciebie prezent!

Wezwał tę ładną dziewczynę i posłał ją do łodzi. Grzebała w niej przez chwilę, aż w końcu wróciła ze sporym pakunkiem zawiniętym w grube płótno. Podała je Raegarowi, który odesłał ją gestem. Uciekła prędko.

– Życzę ci dużo szczęścia z twoją nową żoną, kuzynie – rzekł Raegar i wręczył Skylanowi podarunek.

Skylan odpakował warstwy płótna. W środku był miecz w skórzanej pochwie. Chłopak chwycił za rękojeść, obnażył głownię i aż jęknął.

Był to miecz dziwerowy: głownia zrobiona była z kilku różnych metali skutyh ze sobą tak, że tworzyły misterny wzór lśniący w świetle ogniska. Ostrze klingi błyszczało – było zrobione z twardej stali. Rdzeń z bardziej miękkiej stali zdobił kunsztowny wzorek, wijący się niby w szalonym tańcu.

– Tak właśnie go nazwę – szepnął Skylan, odwracając brzeszczot tak, by odbijało się w nim światło płomieni. – Taniec Krwi.

– Wytrzymały, lecz elastyczny – powiedział Raegar. – Podoba ci się?

Skylan zdołał tylko pokiwać głową. Klany zamieszkujące ziemię na południu umiały kuć miecze dziwerowe. Były to niezwykle cenne przedmioty, a jednak nie umywały się nawet do tego majstersztyku.

Popatrzył na Raegara szeroko otwartymi oczami.

– To musiało cię kosztować majątek.

– Ten kowal jest moim znajomym. Winny mi był małą przysługę – rzekł Raegar od niechcenia. – W całym Oranie nie ma lepszej broni. Z wyjątkiem mojego miecza – dodał ze śmiechem.

Skylan nigdy nie miał w dłoni czegoś tak cennego. Nogi nieco mu już zmiękły od wina, lecz czuł, że musi natychmiast wypróbować ten miecz za wszelką cenę. Jego wyważenie było doskonałe.

– Dzięki ci, kuzynie – powiedział Skylan.

Zdjął swój stary miecz i przypasał nowy. Nadal szanował swoją starą broń – w końcu był to przecież miecz jego ojca, toteż zachowa go sobie na zawsze, ale wiedział, że nie rozstanie się już nigdy z Tańcem Krwi. Raegar wzniosł bukłak z winem.

– Wypijmy za twoje małżeństwo! – zawołał i zaczął nalewać.

Skylan szybko zakrył kubek palcami. Wino chlusnęło na jego dłoń.

– Wolałbym wypić za coś innego – powiedział.

Raegar zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć.

– No to wypijmy za pamięć twojej matki, a mojej ciotki.

Skylan zgodził się, że mogą wypić za jej pamięć, i pozwolił Raegarowi nalać sobie pełny kubek. Wypili za zdrowie matki Skylana i mówili przez chwilę o jej duchu, bezpiecznym u Freilis.

– Wydaje mi się, że coś cię martwi, drogi kuzynie – powiedział cicho Raegar. – Czy chcesz o tym porozmawiać?

Skylan milczał.

– Może ja powinienem zacząć? – zaproponował Raegar. – Doszły mnie słuchy...

Skylan rzucił mu ponure spojrzenie.

– Co? Co takiego słyszałeś?

– Twoją żoną jest Kapłanka Kai – rzekł Raegar. – Na imię jej Draya.

Skylan przytaknął z posepną miną. Raegar zmarszczył brwi i pochylił się, by poprawić drewno w ognisku. Chmura iskier wytrysnęła w ciemne niebo. Skylan spojrział na Raegara z napięciem.

– Co? Co takiego?

– Znam Drayę, kuzynie. – Raegar westchnął. – Znałem też Horga. Był dzielnym mężczyzną, nim ją poślubił. Był odważnym wojownikiem. Nie było lepszego od niego.

Skylan prychnął z pogardą.

– Był tchórzem. Czy ty wiesz, co on zrobił? Sprzedał święty Torques Vektyjski ogrom, żeby ratować własną skórę. Przyznał się do tego przed wszystkimi. Własnoręcznie zabiłem bożypana, który nosił na szyi nasz święty torques!

– Słyszałem – rzekł Raegar. Rzucił Skylanowi niepewne spojrzenie. – Musisz się jej strzec, kuzynie. Horg, którego ja znałem, nigdy nie popełniłby takiej zbrodni. Jak on się zmienił po ślubie! Ale wcale się temu nie dziwię. Tak, jak powiedziałem, znałem Drayę aż za dobrze. Mało nie została moją żoną. – Nagle Raegar wydawał się zły na samego siebie. – Co też ja wygaduję? To wszystko przez to wino. Rozwiązuje języki. Wybacz, kuzynie. Draya jest twoją żoną. Nie powinienem mówić tak o niej.

– Mówisz, że mam się strzec! – krzyknął zrozpaczony Skylan. – A potem chcesz zamilknąć? Nie da się cofnąć rozlanego piwa, kuzynie. Powiedz mi koniecznie, dlaczego jej nie poślubiłeś?

Raegar pokręcił głową.

– Wolałbym, żebyś nie zadawał mi tego pytania.

– A ja bym wolał, żebyś mówił jaśniej – zdenerwował się Skylan.

Raegar milczał przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie przemówił, szeptał jak człowiek, który się boi.

– Złapałem Drayę na tym, że próbowała rzucić na mnie urok.

Skylan popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Urok? To niemożliwe. Jest przecież Kapłanką Kai. Służy Vindrash!

– Tak twierdzi. Ale muszę zacząć od początku. To się wydarzyło, zanim Draya została Kapłanką Kai. Jeszcze gdy byliśmy dziećmi, nasze rodziny postanowiły, że pobierzemy się, gdy tylko dorośniemy. Trwała wtedy wojna między Heudjunami i Torgunami i ojcowie nasi mieli nadzieję, że nasze małżeństwo doprowadzi do zawarcia pokoju między bratnimi klanami. Lecz gdy dorośliśmy, i moi, i jej rodzice już nie żyli. Klany dawno zawarły pokój. Mogliśmy więc sami zdecydować, czy chcemy się pobrać czy nie. Ona pragnęła naszego ślubu, ale ja zacząłem mieć pewne wątpliwości. Ludzie szeptali o niej różne dziwne rzeczy. Mówiło się, że jest w zмовie z pewną wiedźmą, zwaną Matką Sową...

– Z Matką Sową? – zdumiał się Skylan. – Znam ją.

– Ta staruszka jeszcze żyje? – spytał zdziwiony Raegar.

– Tak. Wyleczyła rany, które zadał mi dzik.

– Pozwoliłeś się dotknąć tej czarownicy? – przeraził się Raegar.

– Nie miałem wyboru. Ogry najechały naszą osadę. Zażądały zakładników, bydła i srebra. Byłem wówczas Wodzem Wojennym Torgunów. Musiałem dowodzić moim wojskiem w bitwie. A tymczasem ledwo stałem, o chodzeniu nie mówiąc.

– A Kapłanka Kości?

– Nie chciała mnie uzdrowić. Nie cierpi mnie – przyznał Skylan, wzdrygając się na samą myśl o Trei. – Choć to nie dlatego nie chciała mnie uzdrowić. Okazało się, że... – Zawahał się. Już miał opowiedzieć kuzynowi o śmierci bogini uzdrawiania, ale pomyślał, że w ten sposób ta straszna wiadomość dotrze do Południowców, którzy czcili przecież własnych bogów, bogów, którzy mogą się okazać równie potworni jak Bogowie Raj. – Opowiedz mi o Draï. Co ci takiego zrobiła? – spytał zamiast tego.

– Zarzuciła mi, że kocham inną. Zaprzeczyłem. Nie uwierzyła. Pewnej nocy, gdy byłem we własnym domu i piłem miód do obiadu, jak to miałem w zwyczaju, wydawało mi się, że ma jakiś dziwny smak, ale nie zastanawiałem się jakoś nad tym. Potem jednak zaczęło mi się kręcić w głowie. Oczy zaszły mi mgłą. Próbowałem wstać, ale nogi miałem jak z waty. Nagle obudziłem się we własnym łóżku. Byłem zupełnie nagi, a przy mnie Draya. Była też naga, malowała na mej piersi jakieś dziwne runy i śpiewała coś szeptem. Zaskoczyło ją to, że się obudziłem. Pewnie trucizna, którą mi podała, zbyt szybko przestała działać. Próbowała się ze mną kochać, ale kazałem jej się natychmiast ubrać i wynosić z mojego domu. Powinienem był powiedzieć wszystkim, że jest wiedźmą, lecz błagała, bym jej wybaczył. – Raegar westchnął głęboko. – Obiecałem jej, że nic nikomu nie powiem, jeśli ona w zamian zaprzestanie swych czarodziejskich praktyk. Przrzekła mi, że tak właśnie robi, ale widać za nic miała swoją przysięgę. Horg był jej następną ofiarą.

– Co masz na myśli? – spytał szybko Skylan przerażony, że Raegar wie o otruciu Horga.

– Cóż. Draya chciała rządzić całym ludem – wyjaśnił Raegar. – Gdy Horg próbował jej się opierać, rzuciła na niego urok i odebrała mu męstwo. Ludzie mówią, że odkąd położył się przy niej w noc poślubną, nie spłodził już ani jednego dziecka, ani z nią, ani z żadną inną kobietą.

Skylan wpatrywał się w płomienie. To wyjaśniało wszystko.

Raegar spojrział na kuzyna ze smutkiem.

– Boję się, że moje ostrzeżenie przyszło za późno. Rzuciła już na ciebie swój urok?

– Nie – wyszeptał Skylan, trzęsąc się cały.

– Nie chciałem cię niepokoić. Przepraszam, kuzynie – powiedział Raegar. – Powinienem trzymać język za zębami. Wypij jeszcze, to ukoi twoje nerwy.

Nalał mu więcej wina. Skylan wpatrywał się przez chwilę w czerwoną ciecz, a potem opróżnił kubek jednym haustem.

Przed oczyma tańczyły mu coraz to straszniejsze obrazy: kruk o czarnych ślepiach, naga Draya, zgięty w pół Horg trzymający się za brzuch...

Skylan jęknął głucho i schował twarz w dłoniach. Kuzyn dotknął jego ramienia.

– Jedna z naszych niewolnic zna się na miłosnych urokach – szepnął. – Powiedz mi, co Draya ci zrobiła, a może uda nam się odczynić ten urok...

– Nic mi nie zrobiła.

Raegar zmarszczył brwi.

– Kuzynie, może być niestety tak, że zrobiła coś, a ty nawet o tym nie wiesz. Jeśli spałeś z nią...

– Nie spałem! – krzyknął Skylan. – Coś kazało mi tego nie robić. Opuściłem jej łóżko.

– W noc poślubną? Draya musiała być wściekła. Masz szczęście, że uszedłeś z życiem!

– Nawet nie wiesz, jaka ona jest niebezpieczna – jęknął Skylan, trzęsąc się jak w gorączce. – Otruła Horga!

Raegar wypuścił powoli powietrze, nerwowo rozejrzał się wokół.

– Ciszej, Skylenie!

Skylan chwycił kubek, by znów się napić, ale drewniane naczynie było już puste.

– Przerażasz mnie, kuzynie – wyszeptał Raegar, dolewając mu wina. – Nie chcę cię absolutnie do niczego zmuszać, ale przysięgam na Torvala, że cokolwiek mi powiesz, zostanie między nami.

Skylan tak bardzo chciał komuś wszystko opowiedzieć. Musiał wyrzucić to z siebie. Opowiedział kuzynowi całą historię. Zdawało mu się, że prawda wycieka z niego jak ropa z naciętego czyraka. Opowiedział o bitwie z Horgiem, o wyznaniu Draia, o swoim przerażeniu i o postanowieniu, by jechać do Hammerfallu i błagać boga o przebaczenie. Opowiedział nawet o krukach, który zastąpił mu drogę.

– Nie wiem, co począć – wyznał z rozpaczą. – Jeśli oskarżę Drayę, to tak jakbym oskarżył samego siebie. Zostanę skazany na wygnanie lub może od razu mnie powieszają. Torval mnie przeklął!

– Musisz zrobić wszystko, by bóg ci przebaczył – doradził Raegar.

– Może gdybym odzyskał Torques Vektyjski... Myślę, że bóg tego ode mnie chce. Lecz Draya upiera się, że mam płynąć na Smocze Wyspy. To taka strata czasu.

– Nawet nie próbuj się jej przeciwstawiać! – ostrzegł go kuzyn. – Tę kobietę stać na najgorsze.

Skylan zadrżał na samą myśl o żonie.

– Mam pomysł – powiedział po chwili Raegar. – Ale muszę się z tym przespać. Porozmawiamy o tym rano. I ty musisz odpocząć, drogi kuzynie. Ta dziewczyna zaprowadzi cię do posłania, które dla ciebie przygotowała.

Z mroku wyłoniła się piękna dziewczyna z uśmiechem na ustach.

Skylan zerwał się na równe nogi, zachwiał i mało nie runął głową w ognisko. Raegar wybuchnął śmiechem i chwycił go w pasie. Chłopak był tak pijany, że zapomniał nawet o swym cennym mieczu. Podniósł go i chwycił mocno. Dziewczyna objęła Skyлана i ostrożnie

poprowadziła go wzdłuż plaży aż do miejsca, gdzie rosła wysoka trawa. Tu, z dala od innych, leżał już przygotowany koc.

Skylan rozebrał się i rzucił na posłanie, a dziewczyna zaczęła się układać przy nim. Już miał ją odegnąć, ale przypomniał sobie, że Draya zabrała Horgowi całą jego męskość. Być może zrobiła z nim to samo co ze swoim poprzednim mężem, a on nawet nie zauważył.

Przyciągnął do siebie chichoczącą dziewczynę. Zaczęła całować jego nagą pierś. Ich ręce i nogi splotły się w miłosnym uścisku. Pieszcząc jej piersi, zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić, że jest z Aylaen. Jęknął z rozkoszy, a potem opadł na dziewczynę.

Zapadł w pijacki sen i spał tak mocno, że dziewczyna musiała się spod niego wyczołgać.

Rozdział 6

Następnego dnia Skylan zwlekał ze wstaniem z pośłania. Nawet przez zamknięte powieki czuł, jak słońce wbija mu się w mózg niby włócznia. Tak bardzo nie chciało mu się otwierać oczu. Mimo całego wczorajszego pijaństwa pamiętał dokładnie, co robił i co mówił poprzedniego wieczora. Z rozczarowaniem stwierdził jednak, że nie ma już przy nim dziewczyny. Pewnie od rana miała jakieś obowiązki.

Bolała go głowa, miał wrażenie, że zaraz pęknie mu czaszka, ale poza tym czuł się lepiej niż od wielu dni. Oddychał z ulgą – wreszcie wyrzucił z siebie to wszystko. Niepokoił się tylko, czy aby Raegar nie opowie komuś jego historii, ale był to tak mały niepokój, że właściwie jakby go nie było. Raegar był kuzynem Skylana. Przyrzekł na Torvala zachować jego tajemnicę i przywiózł mu taki wspaniały podarunek. Skylan poszperał wśród koców i znalazł miecz. Chwycił za rękojeść i znów zamknął oczy. Leżał tak w słońcu, póki zapach jedzenia i coraz silniejsza potrzeba załatwienia się nie zmusiły go do wstania z pośłania.

Poszedł popływać, by rozjaśniło mu się w głowie, a potem włożył uprane przez dziewczynę ubrania i ruszył plażą w stronę niewolnic, które podawały już śniadanie. Usługiwała mu ta sama ładna dziewczyna.

Nigdzie nie było widać Raegara, więc spytał ją, gdzie się podziewa jego kuzyn. Chciał jak najszybciej poznać jego plan. Mówił do niej powoli i głośno, kilka razy powtarzając imię kuzyna, żeby zrozumiała, o co mu chodzi, ale dziewczyna patrzyła na niego z konsternacją, aż wreszcie poddał się i zaczął jeść.

W końcu z namiotu kawałek dalej wyłonił się Raegar, ziewając i drapiąc się po brzuchu. Tak jak Skylan, najpierw poszedł popływać, a potem siadł przy ognisku, otrzepując wodę z włosów i brody.

Skylan przykucnął przy ognisku i nałożył sobie jeszcze ryby i chleba. Jego żołądek buntował się na sam zapach jedzenia, ale Skylan wiedział, że potrzeba mu sił i że przed nim długa droga, więc zmusił się do przełykania kolejnych kęsów.

– Widzę, że zniknęła jedna z łodzi – zauważył. – I dwóch twoich współników.

– Niedaleko stąd znajduje się wioska rybacka, więc popłynęli sprzedawać tam nasze towary. Będę musiał wkrótce do nich dołączyć, ale najpierw chciałbym z tobą porozmawiać.

– Raegar popatrzył na Skylana z serdeczną troską. – Dużo wczoraj wypiliśmy, kuzynie. Czy pamiętasz, o czym mówiliśmy? O twoich kłopotach?

– Na całym świecie nie ma dość wina, by utopić moje troski – burknął Skylan. – Gdyby tylko dało się rozwiązać moje kłopoty odpowiednią ilością trunku!

Raegar westchnął głęboko, potem klepnął się w kolana i wstał.

– Jeśli skończyłeś już jeść, chodź ze mną.

Poszli plażą, a nad nimi na wietrze szybowały ptaki. Na brzegu dwie mewy były się o martwą rybę, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy.

– Leżałem długo w nocy, kuzynie, i głowiłem się nad twoją sytuacją. Po pierwsze – mówił Raegar – znajdujesz się w wielkim niebezpieczeństwie. Znasz tajemnicę Draia. Masz też jednak dużo szczęścia. Ona cię kocha, więc póki wierzy, że istnieje szansa, iż i ty ją pokochasz...

– To się nigdy nie stanie – przerwał mu Skylan i prychnął z pogardą.

– Wysłuchaj mnie, drogi kuzynie. Póki ona wierzy, że kiedyś cię zdobędzie, nie skrzywdzi cię. Jeśli jednak zacznie myśleć, że jej nienawidzisz... – Raegar wzruszył ramionami. – Trudno powiedzieć, do czego jest zdolna. Zabiła już jednego męża.

– Czy myślisz, że o tym nie wiem? – rzucił Skylan z goryczą. – Ale co mam począć?

– Po pierwsze, musisz błagać Torvala o wybaczenie. Nie chodzi o zamordowanie Horga. To zrobiła Draya i Torval wie, że jesteś niewinny. Lecz złamałeś przysięgę daną ojcu, a to poważne wykroczenie. Honor wojownika jest jak jego sztandar, który łopocze wysoko nad jego głową, by wszyscy go widzieli.

– Wiem – zgodził się Skylan. – Żałuję, że złamałem przysięgę, a jednak... To sam Torval natchnął mnie tym pomysłem! Jak bóg może mnie karać za to, że wykonałem tylko jego rozkaz?

– Kto pojmie boskie zamysły? – odrzekł Raegar. – Kto by pragnął je pojąć? Weź mnie na ten przykład. Błagałem Torvala, by pozwolił mi umrzeć, i przeklinałem go, gdy sprzedano mnie w niewolę. A jednak bóg wiedział dobrze, co robi. Zachował mnie przy życiu i przywiódł tutaj celowo, byśmy się spotkali, kuzynie. Chciał, żebym ci pomógł. – Raegar przysunął się do Skylana i szepnął z przejęciem: – Możesz być pewien, Skylanie, że Torval chciał, byś to ty został Wodzem Wodzów! Chce, żebyś odzyskał Torques Vektyjski, żebyś zabrał go ogrom. Sprawdza cię, wystawia cię na próbę. Gdy już będziesz miał torques, musisz zawieźć go do Hammerfallu, oddać Torvalowi i błagać go o przebaczenie. Nie tylko ci przebaczy, ale i szczerze cię wynagrodzi! Jestem tego pewien.

– Zrobiłbym tak! – zapewnił żarliwie Skylan. – Popłynąłbym choćby jutro, gdybym tylko mógł. Ale jak mówiłem ci wczoraj, Draya mi zabroniła. Każe mi jechać na miesiąc miodowy na Smocze Wyspy.

– Mam rozwiązanie i na ten problem, ale powiedz mi najpierw, co wiesz o Torquesie Vektyjskim. Dlaczego jest aż tak cenny?

Skylan się skupił.

– Nie wiem za wiele – przyznał po chwili. – To tajemnica Kai. Ale wiem na pewno, że torques jest niezwykle stary. Mówią też, że kość ducha należy do jednego z Pięciu Vektii, a te smoki są tak potężne, że zarówno ludzie, jak i bogowie nie mogą ich wzywać, póki nie rozkaże im tego Vindrash.

– Co by się stało, gdyby ogry próbowały wezwać tego smoka? – spytał Raegar.

– Nie byłyby w stanie – zwrócił mu uwagę Skylan. – Nie mają przecież Kapłanek Kości.

– To prawda. Ale gdyby miały jakąś? – drażzył Raegar. – Gdyby na przykład porwały jedną z naszych kapłanek? Co wtedy? Czy są w stanie zmusić ją do wezwania smoka?

– Gdyby nawet go wezwała, to myślę, że od razu nakazałaby mu zabić wszystkie ogry – odrzekł z uśmiechem Skylan.

Raegar popatrzył na niego, lecz po chwili wybuchnął śmiechem.

– Ha, ha! No oczywiście, że tak by zrobiła. Że też mi to nie przyszło do głowy! – Poklepał Skyłana po plecach. – Oto dlaczego Torval uczynił cię Wodzem Wodków! Twoja mądrość nie ma równych! A jednak przecież ogry mogą znaleźć jakiś sposób, by przekonać kapłankę, przeciągnąć ją na swoją stronę...

– E tam, to tylko ogry – zachnął się Skylan z pogardą. – Nie znalazłyby sposobu, żeby przekonać kota do picia mleka. Ale jakie to wszystko ma znaczenie, kuzynie? – spytał, niecierpliwiąc się. – Powiedz mi, jaki jest twój plan.

– Dobrze więc. Mój plan jest taki: ty i Draya płyniecie na miesiąc miodowy... nie, czekaj... daj mi powiedzieć! Płyniecie na *Venjekarze* na Smocze Wyspy. Po drodze, na wyspie zwanej Apensją, znajduje się spora osada niezwykle bogatych ludzi. Byłem tam całkiem niedawno. Mają całe stada bydła, góry srebra i klejnotów. W drodze na Smocze Wyspy zatrzymacie się i złupicie tę osadę...

– Zaczekaj – przerwał mu Skylan. – Słyszałem o tej wyspie. Wszyscy jej unikają. Na Apensji mieszkają druidzi, którzy władają potężną magią.

Raegar roześmiał się głośno.

– Druidzi chcą, żebyś wierzył właśnie w takie bajki! Jak sądzisz, po co rozpuszczają baśnie o straszliwej magii? Byłem tam jako kupiec. Widziałem tych przerażających jakoby druidów. To garstka staruszków, którzy nawet nie noszą broni. Nie mają żadnych wojowników, żadnych sposobów na obronę. Za to na pewno mają szopy pełne srebra, złota i klejnotów.

Skylan popatrzył na niego nieprzekonany.

– Jeśli tak wygląda ta wyspa, jakim cudem nikt ich dotąd nie złupił?

– Bo rozpuścili fałszywe opowieści o swej potężnej magii! – wyjaśnił Raegar. – A wszystko to kłamstwa, kłamstwa wysane z palca, zapewniam cię, kuzynie. Wystarczy, że powiesz swoim wojownikom, jakie skarby się tam kryją, a nawet Draya nie zdoła was powstrzymać przed złupieniem Apensji.

– Może to i prawda – zgodził się opornie Skylan. – Ale i tak muszę popłynąć na Smocze Wyspy.

– Nie musiałbyś, gdyby na Apensji Draya miała mały wypadek – zauważył Raegar.

Skylan spojrzał na niego ostro.

– Co masz na myśli? – spytał.

Raegar wzruszył ramionami.

– Dajmy na to, że podczas waszego najazdu Draya nagle znika i nikt nie może jej znaleźć. Gdyby tak się stało, nie mielibyście na pokładzie Kapłanki Kości do wzywania smoka, więc musielibyście wrócić do Vindraholmu, a gdy już tam będziecie...

– ...będzie trzeba wybrać nową Kapłankę Kai...

– ...którą zostanie nasza urocza Aylaen – dokończył chytrze Raegar.

Skylan powiedział mu o niej wczoraj w nocy, lecz teraz nie podobało mu się, że kuzyn pozwala sobie na mówienie o niej tak poufale.

– Gdy Kai będą się zastanawiać nad wyborem nowej kapłanki, ja będę mógł wypłynąć szybko na poszukiwania ogrów! – Skylan rzucił Raegarowi niepewne spojrzenie. – Ale w jaki właściwie sposób miałaby zniknąć Draya?

– To już zostaw mnie i moim współnikom, drogi kuzynie – szepnął Raegar.

Skylan wzdrygnął się.

– Nie zabijajcie jej! Nie życzę sobie, żeby jej draugra deptała mi po piętach przez resztę mojego życia!

– Nie, nie, oczywiście, że jej nie zabijemy – obruszył się Raegar. – Przysięgam na Torvala, że zadbam o jej życie jak o swoje własne. Ja i moi współnicy spotkamy się z tobą na Apensji. Gdy ty zajmiesz się łupieniem wioski, ja wślizgnę się na pokład i zabiorę Drayę, a potem wyślę ją na wygnanie do Djekaru. Tak się nazywa miasto, w którym mieszkam w Oranie. Nigdy więcej nikogo już nie skrzywdzi.

– Jeśli tak jak mówisz, jest wiedźmą – powiedział Skylan po chwili zastanowienia – będzie w stanie uprawiać swą podłą magię także tam. Ucieknie ci.

Raegar pokręcił głową.

– Powiem jej, że jeśli wróci, opowiesz wszystkim o jej zbrodniach. Będzie musiała wybrać: życie na wygnaniu lub śmierć w Vindraholmie.

Skylan zapatrzył się w morze.

– Dużo bym ci zawdzięczał, kuzynie...

– Nic zupełnie. Rodzina musi sobie pomagać – zapewnił go Raegar z szerokim uśmiechem.

– Tak, jesteś moim kuzynem, ale twoi współnicy bynajmniej nie należą do rodziny. – Skylan obrzucił Raegara uważnym spojrzeniem. – Co oni będą z tego mieli?

– Jak mówiłem, ta osada na Apensji jest naprawdę zamożna. Ty i ja podzielimy łupy między naszych ludzi, zgoda?

Skylan przeanalizował wszystko raz jeszcze. Był to dobry plan. Nie widział w nim żadnych słabych punktów. Pozbędzie się Draii tak, że nikt nawet nie będzie go o nic podejrzewał. Nikt się nie zdziwi, jeśli Draya zaginie podczas żeglugi. Kapłanki wiedzą, że podejmują takie ryzyko, gdy wypływają na wyprawę łupieżczą.

A jednak nie był do końca przekonany. Umierający z głodu zje zepsute mięso, spragniony wypije mętą wodę. Skylan także czuł przez skórę, że jeśli będzie się zbyt długo przyglądał temu planowi, zobaczy, że wiją się w nim różne rzeczy.

– Draya to morderczynie, kuzynie – przypomniał mu Raegar. – Jest przeklęta. Gdybyś powiedział ludziom, że otruła męża, już by wisiała. – Głos Raegara był pełen zatroskania. – Pomyśl o niej, jeśli nie chcesz myśleć o sobie. Dzięki mojemu planowi zapewnisz jej spokojne życie na wygnaniu. Jesteś dla niej zbyt dobry. Jako Wódz Wodków masz pełne prawo ją osądzić i skazać.

– Masz rację – zgodził się po chwili Skylan.

– A zatem umowa stoi?

– Tak – powiedział Skylan i uściskał kuzynowi dłoń.

A jednak jeszcze gdy ścisnął dłoń kuzyna, Skylan pomyślał z przerażeniem, że oto pojawia się kolejny sekret, którym nie będzie się mógł podzielić nawet z Garnem, bo tak jak nie miał wątpliwości, że Norny tkają nić ludzkiego życia, tak też był pewien, że przyjaciel byłby oburzony już tylko tym, że ktoś wpadł na taki pomysł.

Skylan i Raegar zaczęli omawiać szczegóły swojego planu. Raegar opisał kuzynowi, jak trafić do osady. Oszacowali, ile czasu potrzeba Skylanowi na dotarcie do Vindraholmu i przygotowanie się na wyprawę na Smocze Wyspy. Uznali w końcu, że *Venjekar* przybije do brzegu Apensji najprawdopodobniej podczas najbliższej pełni księżyca. Raegar zapewnił Skyłana, że jemu i jego współnikom jak najbardziej odpowiada ten termin i że będą na niego czekać na wyspie. Zakończył ostrzeżeniem: oby nikt nawet się nie domyślił niczego. Zasugerował wręcz, że najlepiej by było, gdyby Skylan zmusił się do spania z żoną.

– W końcu po ciemku wszystkie koty są czarne – dodał, chichocząc.

Skylanowi wcale nie było do śmiechu. I tak czuł się już nieco winny wobec Aylaen za to, że przespał się minionej nocy z piękną niewolnicą. Nie mógł znieść myśli o kochaniu się z Drayą. Nic jednak nie powiedział, bojąc się, że Raegar zwątpi w jego męskość.

– Muszę jednak wytłumaczyć jakoś ludziom, skąd wzięłem tak piękny miecz – zauważył.

– Powiedz, że to podarunek od Torvala – podpowiedział Raegar. – I tak właśnie jest w pewnym sensie, bo to sam bóg pozwolił nam się spotkać, zmuszając cię do wybrania tej akurat drogi.

I rzeczywiście była to poniekąd prawda, choć pozostawało pytanie, który to bóg – Torval czy Hevis – pchnął Skyłana w objęcia kuzyna. Skylanowi nie chciało się jednak myśleć o tym w tej chwili.

– Teraz muszę już wyruszać, by dołączyć do moich współników – rzekł Raegar.

– Odwiedź nas koniecznie. – Skylan uściskał kuzyna serdecznie i dodał nagle: – A może wrócisz ze mną teraz? Ojciec jest już w naprawdę złym stanie. Boję się, że wkrótce odejdzie do Torwała. Gdybyś zobaczył się z nim jeszcze przed jego śmiercią...

– Odwiedzę was, obiecuję, ale nie byłoby dobrze, gdyby Draya dowiedziała się teraz, że żyję, prawda?

– Tak, pewnie masz rację – zgodził się Skylan.

– Nie mów jej, że się ze mną spotkałeś – ostrzegł go Raegar i przyjrzał mu się uważnie. – Nie mów nic nikomu, nawet ojcu, żeby przypadkiem nie doszły do niej żadne słuchy.

Skylan pokiwał głową.

– Dzięki ci za wszystko, kuzynie – powiedział, gdy się już żegnali. – A szczególnie za Taniec Krwi.

– Oby ten miecz przyniósł ci wielką chwałę, drogi kuzynie – odrzekł serdecznie Raegar.

Rozstali się. Raegar ruszył w stronę łodzi, a Skylan pognął konia ku Vindraholmowi. Tyle czasu zmarnował w drodze do Hammerfallu, żeby jak najbardziej odwlec swój powrót.

Czuł teraz, że musi natychmiast nadrobić stracony czas.

Draya mile się zdziwiła, gdy pewnego dnia po powrocie do domu zastała tarczę Skylana na ścianie. Uznała to za dobry znak. Pewnie przemyślał sobie wszystko i teraz już będzie między nimi tak, jak powinno. Wreszcie może zacząć się szykować do miodowego miesiąca na Smoczycach Wyspach.

Przygotowała dla niego jedzenie i czekała z niecierpliwością. Przeszedł do domu akurat na kolację. Przywitał się z nią oschle i niezbyt obiecująco, ale przynajmniej był znów w domu. Zjadł posiłek z apetytem. Gdy skończył, zabrał się do czyszczenia miecza.

– To nowa broń, panie, prawda? – zagadnęła, spoglądając z podziwem na miecz. – Skąd ją masz? – Pochyliła się, by przyjrzeć się uważniej. – Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś tak pięknego.

– To podarunek – powiedział Skylan, nie przerywając pracy. – Od Torwała.

Draya otworzyła szerzej oczy ze zdumienia i zachwytu.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło w Hammerfallu – poprosiła, siadając przy nim.

– To, co się stało, musi pozostać między mną a bogiem – rzekł Skylan. – Nie mogę mówić o tym nikomu.

Draya była trochę rozczarowana, ale chłopak miał oczywiście rację. Należy zachowywać boskie tajemnice. Ona sama nigdy nikomu nie mówiła o swych spotkaniach z Vindrash. Nie, żeby ostatnio było w ogóle o czym opowiadać. Bogini nadal milczała.

Skylan polerował głównię, z czułością pocierając tęczy metal szmatką. Patrzyła na jego dłonie – silne i sprawne. Wyobraziła sobie, że mogłyby wziąć ją w ramiona, i zapłonęła pożądaniem. Z trudem zmusiła się, by się skupić na jego słowach.

– Chcę natychmiast wyruszyć – posłyszała, choć on mówił już od dłuższej chwili.

– Na Smocze Wyspy? – spytała.

– Oczywiście – powiedział, marszcząc brwi. – A dokąd bym miał płynąć? Popłyniemy na smoczym okręcie Torgunów, *Venjekarze*.

– Trzeba posłać wiadomość do twego ojca... – zaczęła Draya.

– Nie, sam do niego pojedę – wszedł jej w słowo Skylan, polerując już i tak lśniący brzeszczot. – Muszę porozmawiać z ojcem, ustalić wszystko. Obawiam się jednak, że to oznacza, iż znów muszę cię na jakiś czas opuścić.

– Ale, panie, ledwie wróciłeś do domu. Pozwól posłać do niego gońca...

– Powiedziałem, że muszę jechać osobiście – upierał się Skylan. – Ojciec miałby mi za złe, gdybym posłał gońca.

Drai nie wydawało się, żeby Norgaard mógł mieć coś przeciwko gońcowi. Była pewna, że to tylko kolejna wymówka Skylana, by nie być z nią sam na sam, i opanował ją bezbrzeżny smutek. Zmusiła się jednak do uśmiechu i starała zachować tak potulnie, jak to tylko możliwe. Już raz straciła przy nim panowanie nad sobą i konsekwencje tego wybuchu były straszliwe.

– Jak uważasz, panie. Z pewnością będziesz chciał, by ojciec i twoi przyjaciele towarzyszyli nam w podróży na Smocze Wyspy. A Treia będzie pełnić funkcję Kapłanki Kości...

– Nie! – zaprotestował ostro Skylan.

Przerwał pracę i spojrzał na Drayę. Jego niebieskie oczy błysnęły w świetle ognia.

Popatrzyła na niego w zdumieniu. Wstał nagle i wepchnął miecz do pochwy. Odwrócił się w jej stronę i zaczął mówić nieco grzeczniej.

– Chcę, by popłynęli ze mną Heudjunowie i byś ty pełniła rolę Kapłanki Kości. – Uśmiechnął się trochę sztucznie. – Teraz sama rozumiesz, że muszę porozmawiać o tym z ojcem w cztery oczy, bo inaczej może się poczuć urażony.

– Heudjunowie będą z pewnością zaszczytzeni – powiedziała Draya. – Ale przecież twoi przyjaciele też mogą z nami popłynąć.

– Nie chcę żadnych konfliktów między klanami – odrzekł Skylan. – Ta podróż musi nam upłynąć bez żadnych trosk.

– Oczywiście – zgodziła się Draya, choć nadal nie rozumiała jego intencji. – Kiedy wypłyniesz?

– Jutro rano. Nie ma czasu do stracenia. Dziękuję za kolację – dodał uprzejmie. – Była bardzo smaczna. Idź spać, nie czekaj na mnie.

Ruszył w stronę drzwi.

– Mężu! – zawołała Draya. – Dokąd idziesz?

– Do stajni – odpowiedział. – Brzeszczot jakoś dziwnie się dziś zachowywał. Boję się, że to kolka. Wolę posiedzieć dziś przy nim.

Draya westchnęła tylko. Kolka u konia to poważny problem, może wręcz prowadzić do śmierci, toteż Skylan na pewno ma prawo się niepokoić. Lecz przecież byle chłopiec stajenny mógł posiedzieć z koniem w nocy. Ugryzła się jednak w język i nic nie powiedziała, a Skylan uklonił się jej i wyszedł.

Draya została sama w domu. Krzątała się przez jakiś czas, aż w końcu nie mogła już dłużej wytrzymać. Nałożyła długi czarny płaszcz z kapturem i wymknęła się w mroczną noc.

Być może koń jest naprawdę poważnie chory. Może będzie mogła mu pomóc. Okłady pomagają czasem na kolkę. Musi tylko podać jakąś wymówkę, żeby nie myślał, że mu nie ufa. Była już blisko stajni, gdy usłyszała śmiech, głośny, pijacki śmiech, śmiech młodego chłystka podającego dalej dzban z piwem.

Ponad śmiechem słyhać było głos Skylana, który opowiadał o jakiejś walce. Brzmiało to, jakby był bardzo pijany.

W oczach Draii zalśniły łzy. Stała tak i słuchała go, myśląc o tym, jak bardzo go kocha.

I jak bardzo go skrzywdziła.

Rozdział 7

Prowadzony przez ducha smoka Kahg *Venjekar* pruł morskie fale. Skylan oparł się o nadburcie. Był szczęśliwy, że znów jest na morzu. W ogóle humor mu dopisywał i gdy fala rozbiła się o burtę i zmoczyła go, roześmiał się wesoło. Potrzęsnał moką czupryną i obejrzał się na młodych heudjuńskich wojowników, którzy wybuchnęli śmiechem na widok przemoczonego Wodza Wodzów. Młodzi ludzie także byli w wyśmienitych nastrojach – przepełniała ich duma, że zostali wybrani przez wodza, by towarzyszyć mu i Kapłance Kai w wyprawie na Smocze Wyspy.

Skylan znów spojrzał na morze. Wziął ze sobą przewodnika, który świetnie znał te okolice, i mógł mu spokojnie zostawić nawigację. Mimo to jednak spoglądał na morze, bo lubił wiedzieć, gdzie się znajduje, a nawet prosił przewodnika, by mu pokazywał kolejne punkty orientacyjne na nabrzeżu.

Dotąd wszystko toczyło się zgodnie z planem tak gładko, że Skylan zaczął już nawet mieć nadzieję, że Torval jednak mu przebaczył i pozwoli, by znów los uśmiechnął się do niego. Co prawda Torgunowie wpadli we wściekłość, gdy się dowiedzieli, że nie chce ich wziąć na żeglugę na Smocze Wyspy, ale Norgaard wsparł syna, zadowolony z jego decyzji, by tę honorową funkcję powierzyć Heudjunom. Wciąż czuć było napięcie między tymi dwoma klanami i taka decyzja na pewno je zniweluje. Tak naprawdę Skylan nie chciał płynąć z Torgunami po prostu dlatego, że musiałby wówczas zabrać także Garna, a wiedział, że wtedy nie minęłaby chwila, a już by się wygadał przed przyjacielem ze wszystkich swoich tajemnic.

Trudno mu było przebywać w towarzystwie Garna nawet te kilka dni, gdy był w Ludzie. Skylan zadbał o to, by nigdy nie zostali sam na sam, i opuścił Ludę, gdy tylko zebrali zapasy na drogę i *Venjekar* mógł wreszcie wyruszyć.

Żałował tylko, że nie zdołał porozmawiać szczerze z Aylaen. Zawsze była z nią ta jej siostra, Treia. Za każdym razem, gdy był z nimi obiema, pytał Treię grzecznie, czyby przypadkiem nie chciała się przejść na spacer. Treia chętnie by na to przystała, bo bynajmniej nie kryła się ze swoją antypatią wobec Skylana, ale gdy tylko kierowała się do wyjścia, Aylaen chwyciła ją za rękę i zmuszała do pozostania z nimi pod takim czy innym pretekstem.

Gdyby nie to, że to zupełnie nie miało sensu, Skylan mógłby nawet zacząć podejrzewać, że Aylaen po prostu unika go, tak jak on sam unikał Garna.

Skylan spytał ojca o Raegara. Skłamał, że wśród Heudjunów krąży plotka o tym, iż dawno temu kuzyn Raegar był zaręczony z Drayą.

Norgaardowi wydawało się jak przez mgłę, że rzeczywiście tak było, ale nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Skylan wyciągnął też opowieść o orle, który zabił zmię przy domu w dniu jego narodzin, ale Norgaard powiedział, że pogrążony w rozpacz po śmierci matki Skylana nie zwracał wtedy na nic uwagi.

Gdy smok Kahg prowadził *Venjekara* do Vindraholmu, funkcję Kapłanki Kości sprawowała Treia. Przez całą przeprawę była ponura i milcząca i nie chciała z nim rozmawiać o niczym, nawet o Aylaen. Gdy zaczął mówić, że Aylaen powinna zostać Kapłanką Kości, posłała mu spojrzenie pełne pogardy, odwróciła się na pięcie i poszła sobie.

W Vindraholmie na pokład weszła Draya i heudjuńscy wojownicy. Draya zajęła kajutę pod pokładem, w której zwyczajowo mieszkała podczas rejsu Kapłanka Kości. Kajuta była mała i ciasna, bo większość przestrzeni pod pokładem zajmowały łupy. Draya rozłożyła futra i koce, by Skylanowi było wygodnie.

Całe dnie Skylan łamał sobie głowę nad tym, jak uniknąć spania razem z nią, ale nie był w stanie wymyślić wymówki, która przekonałaby zarówno ją, jak i wojowników, którzy mieli przecież prawo oczekiwać, że będą się z Drayą zachowywać jak prawdziwe małżeństwo.

Na szczęście z pomocą przyszła mu bogini morza Akaria. Wdała się w jedną z tych niekończących się walk ze Svenses, boginią wiatru, która dmuchała na morze ze wszystkich sił. Akaria odpowiedziała wznoszeniem fal pod samo niebo. Fale walczyły z wiatrem, a *Venjekar* to wzlatywał wysoko, to spadał, aż Draya tak się pochorowała, że musiała się skryć pod pokładem.

Walka między boginiami ciągnęła się wiele dni, a Draya nie była w stanie nic zrobić. Jęczała tylko cicho i wymiotowała do kubła. Skylan przyrzekł Akarii srebrny pierścień, jeśli tylko sprawi, że morze będzie tak niespokojne przez całą ich podróż.

Jemu ten rejs wydawał się niezwykle przyjemny. Wybrał sobie dwudziestu młodych wojowników i specjalnie zabrał jak najmłodszych mężczyzn, a nie doświadczonych wojów, takich jak przyjaciel Draii, Sven. Przekonał wszystkich, że ponieważ nie jest to wyprawa grabieżcza, młodzi mężczyźni będą mogli zdobyć pewne doświadczenie na morzu, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Tak naprawdę jednak obawiał się, że starsi mężczyźni mogliby nie przystać na jego pomysł złupienia osady druidów. Oto znów skłamał.

Miał już tego dość: okłamywał Draię, ojca, swój klan; każde kłamstwo popychało go do następnych, tak jak jedno ciało upada na następne, gdy odpowiednio zaatakuje się ścianę tarcz. Torval był bogiem honoru. Nienawidził kłamców. Gdy Skylan odzyska wreszcie Torques Vektyjski, będzie mógł przestać kłamać. Odda bogu torques, a bóg wszystko mu

wybaczy. Skylan postanowił utkwic wzrok w jasny horyzont i nie przejmować się za bardzo mętną wodą, którą musi brnąć, by do niego dotrzeć.

Minęli punkt orientacyjny wyznaczający kraniec krainy Vindrasów – Skałę Jednego Drzewa. *Venjekar* wypłynął na otwarte morze. Wyspa Apensja nie leżała na trasie, którą Vindrasi zwykle płynęli na Smocze Wyspy. Znajdowała się niżej na południe. Gdy wypłynęli na pełne morze, Skylan nakazał sternikowi obrać bardziej południowy kurs, a choroba morska Draï stała się świetną wymówką – próbował przecież tylko znaleźć spokojniejsze wody, by załagodzić chorobę żony.

Księżyc był w pełni już od dwóch nocy, a obiecał Raegarowi, że dotrą do wyspy właśnie o tym czasie. Skylan co dzień w napięciu przemierzał pokład ze wzrokiem utkwionym w linię horyzontu i czekał, aż człowiek na oku krzyknie, że widzi ziemię. Już naprawdę chciał dotrzeć do tego miejsca, gdzie wreszcie pozbędzie się żony i zdobędzie wspaniałe bogactwo, dzięki któremu stać go będzie na wyprawę do krainy ogrów.

Minęły trzy dni, odkąd przepłynęli obok Skały Jednego Drzewa, gdy na pokładzie pojawiła się Draya. Była bardzo blada, chuda i wymizerowana, ale już nie wymiotowała. Uśmiechnęła się do Skylana słabo i przeprosiła go, że był zmuszony przez tyle dni spać na pokładzie, razem z wojownikami.

Skylan odpowiedział uprzejmie, że cieszy się, widząc ją w lepszym zdrowiu.

Szepnęła, że ma nadzieję, że Skylan będzie dziś spał w ich łóżku.

Odrzekł ponurym tonem, że nie chciałby się jej narzucać, gdy jest jeszcze taka słaba.

Spojrzała na niego z rozpaczą w pełnych łez oczach.

Uświadomił sobie, że ich rozmowie przyglądają się młodzi heudjuńscy wojownicy. Czy słyszeli ich wymianę zdań? Rozejrzał się i uznał, że chyba nie. Oboje mówili dość cicho, a wojownicy odsunęli się z rewerencją, gdy Draya wyszła na pokład porozmawiać z mężem. Lecz na pewno widzieli, że odwróciła się od niego i otarła oczy dłonią. Kilku mężczyzn popatrzyło na nią z niepokojem.

Cholera by ich wzięła, pomyślał wściekły Skylan. Nigdy nie widzieli małżeńskiej kłótni czy co?

Już chciał rozkazać swoim ludziom, by się nie gapili jak sroka w gnat, gdy przypomniał sobie ostrzeżenie Raegara: ma nie wzbudzać żadnych podejrzeń.

Kłamstwa, podejrzania, wyrzuty sumienia. Wyrd Skylana był kiedyś prostą nicią z jasnego słońca, błękitnego nieba i świeżej morskiej bryzy. Teraz wydawał się sznurem skręconym z ciemności, szlamu i śmierdzących wód.

Skylan zmusił się do uśmiechu i podszedł do Draï. Była tak blada i wymizerowana, że zrobiło mu się jej szczerze żal i poczuł lekkie wyrzuty sumienia na myśl o swoim planie.

– Usiądź, pani – powiedział. – Dopiero co wróciłaś do zdrowia. Musisz o siebie dbać.

Draya spojrzała na niego zdumiona tak nagłą uprzejmością i uśmiechnęła się niepewnie.

– Odpocznij, pani – ciągnął Skylan, prowadząc ją na skrzynię, którą jego ludzie wynieśli na pokład, żeby służyła nie tylko do przechowywania w niej rzeczy, ale także jako ława. – Przyniosę ci coś do picia i jedzenia, coś, z czym poradzi sobie twój osłabiony żołądek.

Wrócił z chlebem nasączonym piwem i siadł przy niej. Jadła i opowiadała mu o Smoczycach Wyspach. Nie był tam od dłuższego czasu, więc zadawał jej pytania i próbował się skupić na odpowiedziach. Jego myśli jednak, tak jak wzrok, wciąż biegingy ku horyzontowi.

Powinniśmy być już na Apensji! – myślał gorączkowo. Może pomyliłem się, gdy wyznaczałem kierunek. Może człowiek na oku zasnął. Powiniennem pójść i sprawdzić. Nie, to by wyglądało podejrzanie.

Zmusił się do siedzenia przy Draji i słuchania jej uważniej. Była taka wzruszona jego opieką i uśmiechała się do niego z miłością. Czuł się okropnie i naprawdę nie był pewien, czy wytrzyma tę szopkę chwilę dłużej. Już postanowił, że przeprosi ją na chwilę pod pozorem pójścia za potrzebą, gdy usłyszał okrzyk: „Łąd!”.

Skoczył na równe nogi – jak i wszyscy na okręcie. Wojownicy rzucili się do nadburcia i wpatrywali się w horyzont, zachodząc w głowę, co to za ziemia. Na pewno nie były to Smocze Wyspy, bo nie było widać okrytych mgłą gór.

Venjekar był coraz bliżej ładu i wkrótce zobaczyli skaliste nabrzeże porośnięte lasem. Widać było też kilka kamiennych domów; było ich coraz więcej, aż ukazała im się cała wieś skryta w dolinie nad zatoką.

Znad palenisk unosił się dym i szybował wysoko w powietrze. Po spokojnych wodach płynęło kilka łódek. Wyglądały na łodzie rybackie. Skylan poczuł się pewniej. Wydawało mu się, że widzi już nawet łódź Raegara.

– Podpłyn bliżej! – rozkazał.

– Nie! – krzyknęła Draya.

Skylan odwrócił się w jej stronę i spiorunował ją spojrzeniem. Na pokładzie *Venjekara* to on był panem i nikt, nawet Kapłanka Kai, nie powinien podważać jego rozkazów.

Draya uświadomiła sobie, że złamała niepisane prawo, i pospieszyła z wyjaśnieniem.

– To Apensja, wyspa druidów. Jeśli życie nam miłe, nie powinniśmy się nawet zbliżyć do jej brzegów!

Skylan roześmiał się tylko.

– Słyszałem o nich. Słyszałem, że druidzi kochają pokój tak bardzo, że nawet nie noszą broni, ba! nawet nie pozwalają wytwarzać żadnej broni na całej tej wyspie. – Rozstawił szerzej nogi, żeby utrzymać równowagę na chybliwym pokładzie. Oparł dłonie na biodrach i śledził wzrokiem linię brzegu. – Słyszałem też, że ich szopy pełne są złota, srebra i klejnotów.

Młodzi wojownicy zaczęli rozprawiać o tym z przejęciem. Każdy próbował opowiedzieć, co słyszał o druidach. Nikt jednak nie wiedział nic pewnego. Odkąd tylko pamiętali, Vindrasi wystrzegali się przybijania do tej wyspy. Kapłanki Kości zawsze surowo tego im wzbraniały.

– Panie! – krzyknęła Draya, kurczowo zaciskając dłonie na skrzyni. – Musimy porozmawiać!

Skylan udał, że jej nie słyszy.

– A co, jeśli Kai się mylą? – spytał wojowników stojących tuż obok niego. – Co, jeśli co roku przepływamy obok fortuny, która aż się prosi, by ją brać? Nie dowiemy się tego, póki nie spróbujemy!

– Mężu! Podejdź tu, proszę! – jęknęła Draya.

Skylan jednak wciąż ją ignorował. Niektórym wojownikom nie podobał się pomysł najeżdżania wioski druidów, ale większość paliła się do czynu. Byli młodzi i spragnieni bitwy. Większość z nich nie miała jeszcze nawet jednego srebrnego naramiennika. Historie o druidach były jak baśnie opowiadane przy świetle ogniska, ulotne jak dym, tymczasem ich żądza chwały była jak najbardziej realna.

Draya słuchała, jak jeden po drugim wojownicy przekonują się do planu najazdu, i robiła się coraz bledsza. Skylan miał tylko nadzieję, że nie będzie się go czepiać i pójdzie pod pokład.

Tymczasem Draya wstała z trudem i pokonując osłabienie, ruszyła przez pokład. Okręt przechylił się na fali i runęła w objęcia Skylana. Byłaby upadła, gdyby jej nie przytrzymał.

– Tak, pani, czego sobie życzysz?

Draya spłonęła się, słysząc jego ostry ton.

– Chcę, żebyś zawrócił natychmiast nasz okręt. Pomyśl, panie! Nie bez powodu druidzi nie wytwarzają żadnej broni: nie potrzebują jej. Mają własną broń, i to potężną!

– Skąd wiesz takie rzeczy, pani? – spytał Skylan. – Czy może byłaś kiedyś na wyspie? Czy kiedykolwiek jakaś Kapłanka Kai odwiedziła wyspę? – Odepchnął ją od siebie.

Okręt znów się zakołysał i Draya padła na nadburcie.

– Nie, żadna kapłanka nie była tam od wielu, wielu lat, ale to dlatego że sama Vindrash ostrzegła nas przed niebezpieczeństwem! I ty powinieneś wziąć pod uwagę jej ostrzeżenie!

Niektórzy wojownicy najwyraźniej zaczęli mieć wątpliwości. Spoglądali niepewnie na brzeg. Skylan mógł im po prostu rozkazać, by zeszli na Apensję, i na pewno by go posłuchali, ale wiedział, że wojownik, który nie wkłada serca w walkę, niewiele zdziała. Skylan spojrzął na rzeźbiony galion i wydało mu się, że zobaczył jakiś błysk w oczach smoka. Nagle wpadł na wyśmienity pomysł.

– Gdyby Vindrash nie chciała, żebyśmy przybili do brzegu Apensji – rzekł – zabroniłaby przecież smokowi Kahg zawieźć nas tutaj.

Wystawiał się na duże ryzyko, wykorzystując smoka w swej argumentacji. Lecz nie robił tego, nie przemyślawszy sytuacji. Smok był chciwy. Pragnął klejnotów bardziej niż którykolwiek z wojowników. Od miesięcy wściekał się na to, że Vindrasi nie zdobyli niczego w ostatnich wyprawach. Być może nawet już widział te lśniące szafiry i rubiny ukryte przez druidów.

A może i nie. *Venjekar* nagle znacznie zwolnił. Fale, które jeszcze przed chwilą rozpluskowały się głośno o burty, nagle przepływały pod kilem powoli i spokojnie. Skylan upadł na duchu.

Vindrash nie pozwoli nam dopłynąć do brzegu. Smok Kahg nie chce dobić do Apensji. Draya uprze się, żebyśmy płynęli na Smocze Wyspy, a ja będę skazany na nią już do końca jej dni! Jeśli mnie wcześniej nie otruje!

Płynęli coraz wolniej. Skylan posłał żonie wściekłe spojrzenie. Oczekiwał, że zobaczy na jej twarzy radość ze zwycięstwa.

Wiatr targał jej włosy. Z trudem stała, obiema rękoma kurczowo trzymając się nadburcia. Nie patrzyła na smoka. Wbiła wzrok w morze. Była blada, spięta, przerażona.

Venjekar zwolnił, ale wciąż płynął naprzód. Człowiek na oku krzyknął, że zaraz wpłyną na łacę, i Skylan odetchnął z ulgą. Smok Kahg zwolnił, bo wpłynęli na płytkie wody przybrzeżne, a nie dlatego że bogini zakazała mu przybić do brzegu.

– Wygląda na to, że Vindrash nie ma nic przeciwko naszym planom – powiedział Skylan.

Młodych wojowników tak ucieszyła reakcja smoka, że pobiegli natychmiast ściągać tarcze z burty, wkładać zbroje i hełmy, chwycić za broń. Z przejściem patrzyli na brzeg, który był coraz bliżej, i przechwalali się, jakich to czynów zaraz dokonają. Człowiek na oku pomógł smokowi ominąć mielizny i okręt płynął prosto na wyspę.

Ludzie mieszkający przy brzegu widzieli już smoczy okręt i to wystarczyło, by umknęli w popłochu w głąb wyspy. Skylan wpatrywał się w łodzie należące do Raegara i jego współników. Nie było przy nich nikogo, nie pilnował ich nawet żaden niewolnik. Wydało mu się to trochę dziwne, bo widział przecież, że łodzie załadowane są cennymi towarami.

Być może Raegar po prostu nie potrzebuje żadnych strażników. Może w ogóle nie trzeba się obawiać druidów, skoro nie znają broni, może też nie wiedzą, co to kradzież. Skylan wzruszył ramionami.

Włożył koleczugę i lśniący, nowy hełm, który kazał sobie zrobić, gdy był w Vindraholmie. Przypasał miecz schowany w nowej pochwie podbitej futrem, którą zrobił specjalnie dla Tańca Krwi. Miecz wzbudzał podziw każdego, kto go tylko zobaczył, a Skylanowi nigdy nie nudziło się chwalenie nową bronią. Tyle razy już opowiedział historyjkę o tym, jak Torval mu go podarował, że sam niemal zaczął w nią wierzyć. Przypasał jeszcze nowy, krótszy miecz i zarzucił na ramiona wspaniałą wełnianą płaszcz, tak niebieski jak niebo podczas sezonu najazdów. Nim wypłynie na poszukiwania krainy ogrów, każe wyszyc na nim orła pokonującego zmię.

Venjekar wpłynął do zatoki. Skylan stał na pokładzie i analizował w głowie swój plan. Najpierw zejdzie z wojownikami na brzeg. Draya pozostanie na pokładzie okrętu, a z nią dwóch wojowników, by sprawowali nad nią pieczę. Skylan zażąda, żeby zaprowadzono go do druidów, którzy władają tą osadą. Raegar opisał ich jako przygarbionych staruszków. Skylan wyciągnie miecz, wskaże na swych uzbrojonych ludzi i zagrozi, że wytnie mężczyzn w pień,

a kobiety i dzieci sprzeda w niewolę, jeśli natychmiast nie oddadzą mu wszystkich swoich skarbów.

Druidzi będą chcieli negocjować. W tym czasie Raegar i jego ludzie – przebrani za druidów, w długich płaszczach z kapturami – wejdą na pokład smoczego okrętu. Powitają Drayę z honorami i zaproszą na poczęstunek na lądzie.

Draya pewnie będzie coś podejrzewać. Ludzie z osady, która ma zostać zaraz splądrowana, raczej nie zapraszają wroga na poczęstunek. Jeśli więc odmówi, Raegar powie jej, że rozmowy przebiegają nadzwyczaj pomyślnie i że jej mąż, Skylan, chciałby przedstawić ją przywódcom osady. Z pewnością na dźwięk imienia męża Draya porzuci obawy i zejdzie na brzeg.

Skylan obawiał się trochę, że Draya może poznać Raegara, skoro byli niegdyś tak blisko ze sobą, ale Raegar zapewnił go, że schowa twarz głęboko w kapturze. Przypomniał też Skylanowi, że gdy Draya go znała, był zawsze ogolony – jak było w zwyczaju wśród Vindrasów – toteż nie pozna go z długą brodą.

Venjekar wpłynął na spokojne, płytkie wody zatoki. Wojownicy wyskoczyli za burtę, by wyciągnąć okręt na plażę. Skylan był już gotów do nich dołączyć.

Draya stała na pokładzie, nerwowo zaciskając dłonie, wyginając sobie palce. Była blada. Popatrywała to na opustoszały brzeg, to na smoka. Skylan podszedł, by się z nią pożegnać. Na zawsze. Nigdy już jej nie zobaczy. Powinien czuć wielką ulgę. Zamiast tego z konsternacją stwierdził, że czuje niepokój.

– Poślę do ciebie posłańca, gdy zaczniemy już negocjacje, pani – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał zupełnie naturalnie. Nie udało mu się jednak. Odchrząknął. – Jeśli tylko Torval pozwoli, jeszcze przed wieczorem będziemy znów płynąć w stronę Smoczycich Wysp, lecz nasze luki pełne będą klejnotów dla smoków.

Draya tylko pokręciła głową. Milczała.

Skylan spróbował jeszcze raz.

– Wiem, że się ze mną nie zgadzasz, pani, ale jestem Wodzem Wodków i taką podjąłem decyzję.

Spojrzała na niego smutno i spuściła wzrok.

Skylanowi nie przychodziło już nic więcej do głowy, więc odwrócił się, by zeskoczyć na brzeg, gdy nagle poczuł na ręce dłoń Draii. Jej palce były zimne jak u trupa.

Wzdrygnął się od tego nieoczekiwanego chłodu, odwrócił w jej stronę z irytacją i burknął:

– Co takiego?

– Skrzywdziłam cię, Skylanie – szepnęła Draya. – Teraz to rozumiem. Przepraszam cię. Z całego serca. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz.

Puściła go i poszła na dziób. Stała przy rzeźbionej szyi smoka i zdjęła kość ducha z gwoździa. Skylan przestraszył się, że chce wezwać smoka, a to pokrzyżowałoby mu zupełnie

cały ten misterny plan. Już chciał na nią warknąć i kazać jej odłożyć kość, ale Draya tylko uniosła ją i pocałowała, a potem odwiesiła na miejsce. Oparła policzek o szyję smoka i stała tak z dłonią na kości ducha.

Jej słowa sprawiły jednak, że czuł się jeszcze bardziej nieswojo. Rzucił okiem na brzeg i opadły go wątpliwości. A jeśli ona ma rację? Jeśli na tej wyspie czeka nas tylko śmierć? Może powinienem odpłynąć...

Przestań! – powiedział sobie, łapiąc się na takich myślach. Raegar miał rację. Draya kradnie ci całe twoje męstwo! Jeśli się jej nie pozbędziesz, to nim się obejrzysz, będziesz zapitym tchórzem jak Horg.

Skylan wyskoczył za burtę i wylądował z pluskiem w wodzie po kolana. Wraz z innymi wojownikami wpełznął *Venjekara* na plażę z triumfalnym okrzykiem na ustach.

Vindrasi wreszcie robili to, do czego zostali stworzeni. Ich dzielny wódz prowadził ich na wojnę.

Rozdział 8

Skylan i jego osiemnastu młodych, pełnych zapału heudjuńskich wojowników weszli na ścieżkę prowadzącą z plaży przez wysoką trawę aż do długiego mostu z desek zbitych kołkami. Pod nim rozpościerały się moczary porośnięte gęstą roślinnością, lecz Skylan domyślał się, że pod spodem kryje się lepkie błoto. Pałki tak wysokie jak dorosły mężczyzna szumiały na wietrze.

Mimo zagrożenia Skylan musiał przyznać, że jest pod wrażeniem takiej fortyfikacji. Z pewnością gdy tylko druidzi widzą, że wróg nadciąga, palą most i tym samym zmuszają najeźdźcę do pokonywania tego rozległego bagna. Wojownicy w kolczugach, niosący ciężkie topory, miecze, tarcze i włócznie, ugrzęźliby w tym błocie po ledwie kilku chwilach. Skylan się przestraszył, że druidzi już podpalają drugi koniec mostu.

Rozkazał swoim ludziom biec jak najprędzej.

Gdy pędzili po drewnianym moście, czekał tylko na pomarańczowe języki ognia, na szare smugi dymu. Rośliny falowały na wietrze, małe, czarne ptaki o czerwonych plamkach drżały na pałkach, starając się ich odegnać krzykiem od swoich gniazd.

Wkrótce znaleźli się po drugiej stronie mostu. Otaczał ich gęsty las. Skylanowi wydawało się, że nie widać tu żadnych śladów ludzkiej osady, i przyszło mu do głowy, że ten długi most prowadzi donikąd. Kiedy jednak jego wzrok przyzwyczaił się do cienia, chłopak zrozumiał, że domy zostały wzniesione tak, by stanowiły integralną część lasu. Zbudowane z bali kryły się pod masywnymi konarami prastarych dębów. Chatki były małe, kryte strzechą, a okna miały zakryte okiennicami. Wąskie ścieżyny wiły się wśród dębów jak tajemnicza płatanina. Promienie słoneczne przebijały się przez liście drzew i jasne plamy światła tańczyły na ziemi pod dębami.

W oddali widać było zielone pastwiska, a na nich owce i krowy. Pola falującego wysokiego zboża lśniły złotem. Skylanowi przypomniała się jego ziemia – wyschła trawa, zdychające z głodu bydło i więdnące zboże. Zacisnął szczęki w nienawiści. Już nie żałował, że przybił do brzegu tej bogatej wyspy.

– Gdzie są wszyscy? Nie będą z nami walczyć? – spytał Tubbi. Miał zaledwie szesnaście lat. Była to jego pierwsza wyprawa. Niski i krępy budził sympatię Skykana.

Jego pytanie nie było takie głupie. Z palenisk unosił się dym i leniwie płynął między gałęziami drzew. Wśród domostw dreptały kury i kaczki, dziobiąc rozrzucone po ziemi ziarno. Psy wybiegły, by obwąchać nieznanym. Nigdzie nie było jednak widać ludzi.

Skylan rozglądał się zbity z tropu. Nie do końca uwierzył Raegarowi w te jego opowieści o pokojowo nastawionych mieszkańcach. Tak naprawdę oczekiwał uzbrojonych ludzi gotowych walczyć w obronie swoich rodzin. Zamiast tego podszedł do niego mały kundelek i próbował obwąchać mu krocze. Skylan stał przy swoich wojownikach, ludziach uzbrojonych po zęby i żądnych walki, i widział, że zupełnie nie ma z kim się bić.

– Jestem Wodzem Wodzów narodu Vindrasów – krzyknął głośno. – Skoro mężczyźni z wyspy Apensja są takimi tchórzami, że nie chcą z nami walczyć, weźmiemy sobie, czego tylko zapagniemy!

Poczekał chwilę, a gdy odpowiedziała mu cisza, rozkazał swoim ludziom przeszukać domy. Wtedy jednak jeden z wojowników trącił go łokciem. Z cienia wyłonił się wysoki mężczyzna w luźnych szatach druida. Niespiesznie podązał. Miał długą czarną brodę, gdzieś usianą siwymi pasmami. Była spleciona w warkocze, tak jak i włosy. Skórę miał brązową i pomarszczoną, a szaty szare i bez żadnych ozdób. Jego orzechowe oczy spoglądały na nich spokojnie, bez strachu ani nawet niepokoju, jakiego można by się spodziewać u kogoś, kto stoi przed osiemnastoma uzbrojonymi wojownikami.

– Witaj, Skylenie Ivorsonie – rzekł staruszek. – Cieszymy się, że możemy cię gościć na Apensji. Od wielu lat nie widzieliśmy tu żadnego z naszych drogich sąsiadów.

Skylan był zdumiony. Skąd ten człowiek wiedział, jak on się nazywa? Czy możliwe, żeby Raegar go zapowiedział? Ale dlaczego, na Hevisa, miałby to zrobić? Skylan czuł, że jego wojownicy wbijają w niego wzrok. Czuł, że robi im się nieswojo. Przypomniały im się opowieści Draï o magii druidów. Nie przstraszyłyby ich żadna armia, ale ten dziwny staruszek jak z tajemniczej baśni wytrącił ich z równowagi.

Skylan musiał znów natchnąć ich odwagą.

– Nie jesteśmy waszymi sąsiadami – zawołał, ale jego głos zabrzmiał dziwnie słabo. – Jesteśmy waszymi wrogami. Nasze dzieci umierają z głodu, gdy u was nawet psy są tłuste! Nie chcemy wojny. Napełnijcie nasz okręt srebrem i klejnotami, a odpłyniemy w pokoju.

Wojownicy za jego plecami poczuli się znacznie lepiej. Ryknęli zgodnie, by go poprzeć, wyciągnęli miecze, uderzyli włóczniami o ziemię.

– Przykro mi słyszeć, że Vindrasi cierpią głód – powiedział ze smutkiem druid. – To prawda, że ziemia jest dla nas bardzo dobra. Z chęcią podzielimy się z wami tym, co mamy. Napełnimy wasz okręt ziarnem i bydlęm, lecz niestety nie klejnotami i metalem, bo tych nie mamy.

Wojownicy zaczęli gwizdać z niezadowolenia, a Skylan się roześmiał.

– Jesteś stary, panie, a starcom często myli się to i owo – rzekł. – Masz złoto, srebro i klejnoty. Po prostu zapomniałeś o tym. Wybacz, ale sam ich poszukam. Hej, wy tam – machnął na swoich wojowników – przeszukajcie te domy.

Druid milczał. Nie zrobił nic, by ich powstrzymać. Stał spokojnie i patrzył. Dłonie skrył w długich rękawach szaty.

Tubbi prowadził wojowników od domu do domu. W każdym otwierali drzwi kopniakiem i z uniesioną bronią wpadali do środka. Skylan słyszał, jak rąbią meble, rozrywają posłania, przeszukują koce, wyrzucają przez okna szmaty, gliniane garnki i naczynia. W końcu wrócili, kręcąc głowami.

– Nie ma ani srebra, ani klejnotów, panie – zameldował zdeglustowany Tubbi. – Nic tu nie ma. Nawet żelaznego garnka.

– Nie mamy na Apensji żadnych metali, panie. Ani szlachetnych, ani żadnych innych – rzekł druid. – Nie potrzebujemy ich.

Skylan w życiu nie słyszał większej bzdury. Raegar powiedział przecież, że wyspa jest niezwykle zamożna. A zatem druid kłamał.

– Pewnie zakopali złoto i srebro – stwierdził Tubbi, podchodząc do swego wodza. – A może schowali je w jakiejś szopie.

Skylanowi wydało się nagle, że Raegar nawet coś o tym wspominał. Musi się natychmiast tego dowiedzieć.

– Kłamiesz – powiedział ostro. – Tubbi, podpalcie domy!

– Nie! – zawołał druid, a jego spokój zniknął bez śladu. – Przecież możemy o tym porozmawiać, panie. Przecież na pewno uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Z pewnością – zgodził się Skylan z uśmiechem. Mrugnął na ludzi. – Jesteśmy głodni. Dajcie nam jeść i pić. To, co macie najlepszego.

– Oczywiście, panie. To zaszczyt gościć was u siebie – zapewnił go druid z pokorą.

– Powiedz im, że chcemy też zobaczyć ich kobiety – odpowiedział mu Tubbi.

Skylan się roześmiał.

– Niech wasze młode kobiety wyjdą z ukrycia i ugoszczą nas – dodał. – Chcemy mieć ucztę także dla oczu.

Młodzi mężczyźni roześmiali się zadowoleni. Lubili Skylana. Okazał się takim dobrym wodzem. Skupili się wokół niego. Każdy chciał być jak najbliżej swego wspaniałego przywódcy.

Skylan też był z siebie zadowolony. Co za szczęście, że się tu znaleźli. Nie spodziewał się już żadnego oporu. Tak jak powiedział mu Raegar, druidzi są prawdziwymi tchórzami.

A skoro już mowa o Raegarze, co się dzieje z Drayą? Skylan dużo by dał, by wiedzieć, czy kuzyn już ją porwał i jak długo zajmie mu uwięzienie jej z wyspy. Postanowił sobie w duchu odczekać do wieczora, zanim wróci na okręt. Gdy tylko odkryją, że Draya zniknęła, będzie musiał wyruszyć na jej poszukiwanie, a naprawdę nie chciał ryzykować, że ją znajda.

Dlatego nie zmartwił się wcale, gdy druid przeprosił go za to, że uczta odbędzie się w gaju kawałek od wsi. Dojście na miejsce zajmie im trochę czasu.

Druid zaprowadził Skylana i jego ludzi w głąb lasu. Wędrówka przez ciemny, duszny i ponury gąszcz była nie tylko długa, ale i męcząca. Wilgotnym powietrzem trudno było oddychać. Błotnista ziemia uciekała spod stóp. Gałęzie skrzypiały. Liście szumiały. Ścieżyna była tak wąska, że wojownicy musieli iść gęsiego. Owady cięły ich bez przerwy, aż ich ciała pokryły się swędzącymi bąblami. Przestali rozmawiać. Nie śmiali się już. Co rusz zdawało im się, że wśród cienia coś się porusza. Byli coraz dalej od okrętu.

Skylan zaczął się niepokoić i już chciał powiedzieć druidowi, że albo od razu da im całe srebro i złoto, albo zaraz będzie miał dziurę w brzuchu, ale starzec jakby czytał w jego myślach.

– Tak, jak ostrzegałem – powiedział z uśmiechem – był to długi spacer, ale już jesteśmy na miejscu. Oto gaj przeznaczony na uczty.

I wskazał na las przed sobą. Czegoś tak dziwnego Skylan jeszcze nie widział. Najpierw myślał, że to po prostu zwykłe drzewa. Potem jednak stwierdził ze zdumieniem, że stoi przed jednym olbrzymim drzewem o długich konarach. Gałęzie były tak długie i ciągnęły się tak daleko od pnia, że potrzebowały małych, dodatkowych pni, by się utrzymać. Liście miały szerokie i zielone. Skylanowi zdawało się, że weszli do wielkiej sali o zielonym, liściastym dachu. Stał i gapił się na tę niesamowitą roślinę, a jego ludzie wraz z nim.

– To figowiec dusiciel – wyjaśnił druid. – Owoce tego drzewa są bardzo smaczne.

– Co to za magia? – warknął Skylan, marszcząc brwi. – Takie drzewo nie może istnieć bez magii.

Na wszelki wypadek dotknął amuletu Torvala.

Druid uśmiechnął się ubawiony.

– To drzewo jest tak naturalne jak dąb czy orzech, choć przyznaję, że nie występuje ono zwykle w tej części świata. Figowce rosną zwykle tam, gdzie jest więcej słońca. Wiele wieków temu jednak bracia nasi odwiedzili taką słoneczną krainę. Figowiec spodobał im się, więc przywieźli na wyspę odszczepkę. – Druid westchnął i uśmiechnął się. – To ciężka praca utrzymać odpowiednio wysoką temperaturę, do której przyzwyczajone jest to drzewo, ale wydaje nam się, że warte jest ono zachodu.

Rzeczywiście powietrze było tu jeszcze gorętsze i wilgotniejsze niż w lesie. Pot płynął po twarzy i karku Skylana. Lniana koszula przykleiła mu się do skóry i pożałował, że włożył na siebie swój nowy błękitny płaszcz. Wyśmiał jednak słowa druida. Przecież ci ludzie nie mogli panować nad pogodą. Każdy wie, że bogowie rządzą wiatrem i słońcem, bogowie zsyłają deszcz, wysypują śnieg z chmur, bogowie utrzymują w jaskiniach tę samą temperaturę przez cały rok. Druid tymczasem wskazywał im coś pod figowcem. Skylan zobaczył tam pierwszych – poza druidem – ludzi na tej wyspie. Krzątali się przy drewnianych stołach.

– Gdybyście zechcieli usiąść i rozgościć się, panie...

– Nie zamierzam zbliżyć się do tego przeklętego drzewa – warknął Skylan, a jego ludzie poparli go głośnymi okrzykami.

Druid uniósł jedną brew. Na ustach zaigrał mu uśmiech, ale szybko skrył go, głaszcząc się po swych długich wąsach. Pokłonił się im potulnie i nakazał swym ludziom przesunąć stoły.

Wojownicy usiedli. Z cienia wyłoniły się młode dziewczyny. Niosły talerze pełne mięsa, misy z potrawkami, chleb, wielkie koła sera, dzbany spienionego piwa. Misy, talerze i kubki wyrzeźbione były z drewna, a sztuce z rogu jelenia. Skylan jadł i pił, i patrzył na dziewczyny. Jedna z nich miała rude włosy i zielone oczy. Była troszkę podobna do Aylaen.

Mieszkańcy Apensji ubierali się skromnie i prosto. Ich odzież była szarobura, lecz porządna. Ludzie wydawali się zdrowi, zadowoleni i najwyraźniej nie bali się wcale wojowników, którzy przybyli przecież, by ich pozabijać i okraść. Skylan zaczął się zastanawiać, jak głupim trzeba być, by tak nie mieć wyobraźni.

Przyjrzał się uważniej usługującym im kobietom. Nie miały na sobie biżuterii. Ani srebrnych bransolet, ani złotych broszek, ani wysadzanych klejnotami ozdób we włosach. Niektóre nosiły na palcach pierścienie, ale były one z drewna. Ci ludzie zadali sobie wiele trudu, by ukryć swoje bogactwo, a to mogło oznaczać tylko jedno – było ono warte tego zachodu!

– Więcej piwa! – zażądał i podstawił swój drewniany kubek pod dzban, który trzymała ruda dziewczyna.

Nigdy jeszcze nie pił tak wyśmienitego piwa. Było ciemne i mocne. Starał się nie pić za dużo. W końcu byli na ziemi „wroga”, więc powinien być trzeźwy. Jego młodzi wojownicy nie czuli się jednak w obowiązku zachowywać umiaru i wciąż napełniali swoje kufle.

Ich twarze stawały się coraz bardziej rumiane, pięści zaczęły uderzać w stół, a śmiech był coraz głośniejszy. Skylan nie ustępował im w radosnym nastroju, z przejęciem opowiadając o swoich zwycięstwach. Młodzi ludzie patrzyli na niego oczami pełnymi podziwu, który stawał się intensywniejszy z każdym kolejnym kuflem. Wznosili toast za toastem, zapewniając go serdecznie o swoim oddaniu.

Tubbi zażądał więcej piwa. Gdy jedna z młodych dziewczyn zaczęła mu dolewać trunku, trącił jej ramię, by wylała mu piwo na rękę, a potem skłął ją, udając złość, i w ramach „kary” chwycił za przegub i posadził sobie na kolanach. Zaczął całować jej kark i pieścić jej piersi.

Jeden z mężczyzn, którzy pomagali przedtem przy ustawianiu stołów, ruszył dziewczynie na pomoc. Skylan zobaczył, że druid daje mu ledwie dostrzegalny znak – kręci głową. Mężczyzna przez chwilę jeszcze patrzył na dziewczynę, potem odwrócił się i odszedł.

Tubbi zarechotał ubawiony.

– Wracaj! – zawołał, usiłując wyciągnąć broń i nie puścić przy tym dziewczyny. – Chętnie z tobą o nią powalczę! A ty przestań się wreszcie wiercić! – rozkazał dziewczynie i

zaczął ją całować w szyję. – Bądź grzeczna, a pokażę ci, jak kochają prawdziwi mężczyźni, a nie ci tchórze, których tutaj macie! Jeśli szczęście ci dopisze, może nawet powijesz wkrótce prawdziwego wojownika!

Tubbi rzucił dziewczynę na stół i nie bacząc na jej rozpaczliwe protesty, zaczął zdejmować spodnie. Pozostali wojownicy ryknęli śmiechem. Kobiety w popłochu próbowały uciec do lasu, ale młodzi mężczyźni zerwali się z ław i rzucili się je łapać.

– Twoi ludzie zachowują się niegrzecznie – zauważył z wyrzutem druid. – Powinieneś ukrócić takie postępowanie.

– Moi ludzie mogą robić, co zechcą – odparował mu urażony Skylan. – To my tu rządymy! Weźmiemy sobie wasze kobiety i cokolwiek zechcemy, jeśli nie spełnicie naszych żądań. – Uderzył kubkiem o stół i wstał. – Co mi dacie, żebyśmy zostawili was w spokoju?

– Zabij go, Skylan, to pułapka!

Skylan obrócił się zdumiony, by zobaczyć, kto do niego krzyczy. Z przerażeniem skonstatował, że to jego kuzyn. Raegar miał całą twarz we krwi. Skylan poznał go jedynie po jasnych włosach i brodzie. Kuzyn przywiązany był do jednego z mniejszych pni tego przedziwnego drzewa, a jego ciało spętane było zielonymi pnączami.

– To pułapka! – krzyknął Raegar, próbując oswobodzić się z pnączy. – Zabij starucha!

Na te słowa Skylan otrząsnął się wreszcie i zaczął działać. Obnażył miecz i odskoczył w tył.

– Uformować ścianę tarcz! – wrzasnął i odwrócił się, żeby szybko ustawić swych ludzi do walki.

Wtedy odkrył, że nie ma żadnych ludzi.

– Ostrzegałem cię – powiedział ze smutkiem druid i westchnął.

Na trawie leżała cała ich zbroja, skórzane kolczugi i tarcze, miecze i topory, włócznie i hełmy. Nawet buty, paski i tuniki. Ale wojownicy zniknęli.

– Co zrobiłeś moim ludziom? – ryknął Skylan.

Druid tylko pokręcił głową.

– Nic – odrzekł ze smutkiem. – To las. Las uznał, że stanowicie zagrożenie dla mojego ludu.

Wskazał na coś przy stercie zbroi i ubrań. W trawie kulił się zajacek, jego małe ciało drżało, nasek poruszał się nerwowo, oczka rozwarły się z przerażenia.

– Twoi ludzie zmienili się w zajace. Przykro mi – powiedział druid i wyglądał tak, jakby rzeczywiście było mu przykro. – Próbowałem cię ostrzec.

Skylan zachwiał się i niemal upadł. Wpatrywał się z rozpaczą w zajace. Było ich dokładnie osiemnaście. Nie mieściło mu się to wszystko w głowie.

– Nie wierzę ci! To jakiś trik!

Druid pokręcił głową. Zajaczki przywarły do ziemi i wbiły wzrok w Skyłana. Nieszczęsny wódz obejrzał się na las. Zaczął nawoływać swoich ludzi po imieniu. Darł się

wniebogłoty, ale po wojownikach nie było ani śladu. Zajączki skakały po trawie ze smutnymi minkami. Skylan poczuł, że robi mu się słabo.

– Oddaj mi moich ludzi! – zażądał drżącym głosem. – Oddaj mi ich natychmiast, bo... bo, na Torvala, wybebeszę ci jelita!

Chciał rzucić się w stronę druida z mieczem, ale poczuł, że ktoś wyrwa mu broń z dłoni. Nim się obejrzał, jego miecz wisiał już na drzewie i dyndał tuż nad jego głową.

Chwycił za rękojeść, ale wymknęła mu się z dłoni i miecz zniknął. Zielono-czarny wąż owinał mu się wokół ramienia. Skylan wrzasnął przerażony i próbował strzepnąć węża, który spadł wreszcie na ziemię.

– Pytałeś, co ci podaruję, żebyś opuścił tę wyspę, Skylanie Ivorsonie – rzekł druid z łagodnym uśmiechem na ustach. – Odpowiedź brzmi: podaruję ci życie.

Rozdział 9

Draya stała z policzkiem przytulonym do szyi drewnianego smoka. Dłonie zaciskała na kości ducha. Wydało jej się, że smok zadrżał. Podniosła głowę i ujrzała, że jego czerwone oczy wpatrzone są w coś na wprost przed nim.

– Kapłanko – powiedział jeden z ludzi, których Skylan zostawił na straży jej i smoczego okrętu – ktoś idzie.

Draya spojrzała na plażę i zobaczyła, że po piasku kroczy czterech druidów w szarych płaszczach.

– Mamy ich zabić, kapłanko? – spytał jeden z mężczyzn, z przejęcia już szykując włócznię.

– Nie – szepnęła spokojnie Draya. – Nie zrobią nam krzywdy.

Druidzi weszli w wodę i po chwili stali już przy burcie smoczego okrętu. Draya popatrzyła na nich z pokładu. Rękę wciąż zaciskała na kości ducha.

Czterech druidów pokłoniło się nisko.

– Przybywamy w imię Vindrash – przemówił jeden z nich. – Prosimy, byś raczyła pójść z nami.

Draya przylgnęła do smoczey szyi. Poczowała, że opuszcza ją odwaga. Po chwili jednak usłyszała inny głos – ten, którego nie słyszała przez tyle dni. Wysłuchała się w niego z oddaniem, a jej oczy zaszyły łzami. Pogłaskała szyję smoka i podeszła do burty.

– Opuśćcie, proszę, trap – rozkazała.

– Nie idź z tymi druidami, kapłanko! – zdenerwował się jeden ze strażników. – Przecież wódz kazał ci zostać na okręcie!

Draya zdołała się uśmiechnąć.

– Nie chcę ich urazić. Muszę iść. Wódz... – zawahała się, westchnęła. – Wódz zrozumie.

Wojownicy spuścili trap. Draya zeszła z okrętu. Druidzi powitali ją z szacunkiem. Jeden z nich podał jej dłoń. Oparła się na niej i trzymając się go mocno, poszła z nim przez wodę aż na plażę.

Dwaj wojownicy patrzyli, jak kapłanka i jej szaro odziana eskorta znikają wśród drzew.

– Musimy powiedzieć o tym wodzowi – stwierdził jeden z nich, a drugi zgodził się bez słowa.

Przeskoczyli przez burtę i pobiegli plażą w kierunku mostu nad bagnem. Nie dotarli jednak do Skylana. Las uporał się z nimi tak, jak uczynił to z pozostałymi wojownikami.

Draya nie zwracała uwagi na otoczenie. Patrzyła w głąb swego serca. Nie widziała nawet ścieżki, po której ją prowadzono. Nie czuła jej pod stopami. Jej opiekunowie musieli podierać ją, żeby się nie potknęła, prowadzić tak, by omijała gałęzie i kałuże, w które inaczej weszłaby, zupełnie ich nie zauważając.

Jej osłabione chorobą ciało opuszczało ją. Jej udręczony i wzburzony umysł uspokajał się, wyciszał, aż stał się jak woda, wielka i czysta, w której widziała własne odbicie. To, co ujrzała, przeraziło ją. Zmusiła się do spojrzenia w oczy temu żalonnemu, wymęczonemu stworzeniu, którym się stała. Patrzyła z odwagą w swoje ciemne oczy wypełnione rozpaczą. Wsłuchiwała się w cichy, pełen smutku jęk swego zbolełego serca.

Zatrzymała się dopiero, gdy jeden z druidów powiedział jej, że przybyli na miejsce.

– Twoja podróż była długa i nieszczęśliwa – szepnął ze współczuciem. – Mamy nadzieję, że czeka cię wreszcie odpoczynek.

Druidzi odeszli i zostawili ją samą.

Długo stała tak, jak ją zostawili, i nawet nie drgnęła. Otrząsnęła się dopiero wtedy, gdy jej ciało nie było już w stanie dalej tak trwać. Wiedziała, że jeśli nie usiądzie, to się po prostu przewróci. To zmusiło ją do rozejrzenia się wokół i zdumiała się.

Jakieś bogobojne dłonie zmieniły ten niewielki zagajnik w piękną świątynię. Drzewa laurowe wyższe niż ludzie napełniały powietrze cudnym aromatem. Ziemia pokryta była zielonym mchem tak miękkim jak najlepsze koce z jagnięcej wełny. Pod prastarym dębem leżał wielki pień obrośnięty takim samym mchem. Wyglądał jak piękny tron. Wśród mchu kwitły fiołki i lilie, a tron zdobiły fioletowe irysy i czerwone maki. Bogini słońca zalewała polanę złotym światłem.

Urok tego świętego miejsca napełnił serce Draia błogosławionym ukojeniem. Osunęła się na kolana w ten miękki mech, zamknęła oczy i wyszeptała:

– O, Vindrash, wybacz swej nędznej służce!

– Córko! – rzekł głos. – Czekałam na te słowa.

Draya uniosła wzrok. Przed nią stała Smokini. Jej pazury wbiły się w miękki mech. Przezroczyste skrzydła otulały jej ciało, a ogon wił się wśród irysów i lilii. Złota grzywa skrzyła się i połyskiwała. Rubinowe, szafirowe, szmaragdowe i diamentowe łuski lśniły w słońcu, niemal oślepiając Drayę. Wielki łeb smoka osadzony był na pięknej, długiej szyi. Mimo imponującego rozmiaru pełna była łagodności. Wielkie oczy, które potrafiły przecież palić się czerwonym ogniem wściekłości, teraz spoglądały ze zrozumieniem i współczuciem.

Draya służyła bogini całe życie, a jednak nigdy jeszcze nie widziała jej w pełnej chwale. Wiedziała, że niewielu śmiertelnikom dane jest zobaczyć Vindrash w tej postaci. Spotkał ją wielki zaszczyt i przez to poczuła się jeszcze gorzej.

– Straciłam wiarę, Vindrash – wyznała, a słowa popłynęły z niej jak oczyszczający potok.
– Nie wierzyłam, że wiesz, co dobre dla naszego ludu. Nie ufałam Torwalowi. Bałam się, że nie osądzi Horga tak, jak chciałam. Otrułam męża i ukryłam swoją zbrodnię, tak by ludzie wierzyli, że zabił go Skylan. – Draya zacisnęła dłonie na kolanach. – Boję się, że nie zabiłam go, by pomóc swemu ludowi, ale z nienawiści, Vindrash. Tak bardzo go nienawidziłam.

Nozdrza smoka poruszyły się lekko. Szczeka drgnęła, a głos wymykał się z jej paszczy jak oddech wijący się między jej ostrymi kłami. Mignął rozwidlony język.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa, córko – rzekła pośepnie Vindrash. – Sądząc tak siebie, sądzisz i nas. A wtedy może się okazać, że nikt z nas nie jest bez winy.

– Nie śmiałybym cię sądzić, Vindrash! – zaprotestowała przerażona Draya.

– A jednak być może powinnaś – rzekła smoczyca i zamilkła. Rozłożyła skrzydła i poruszyła nimi tak, że zapach lauru i kwiatów rozniósł się wokół.

Bryza ochłodziła skórę Draia, osuszyła jej łzy. Nawet nie wiedziała, że płakała, póki nie poczuła ich na policzkach. Ogarnął ją spokój.

Chciałabym zasnąć, pomyślała. Zasnąć i spać. Spać i zapomnieć...

– Przysięgałaś, córko, że uczynisz dla mnie wszystko – rzekła w końcu Vindrash.

– Tak, Przenajświętsza Vindrash – zgodziła się Draya. – I mogę powtórzyć tę przysięgę.

– Czy jesteś gotowa poświęcić dla mnie życie?

– Tak, Vindrash – odpowiedziała Draya. Wahała się przez chwilę, potem ze spuszczoną głową spytała głosem pełnym rozpacz: – Czy ukarzesz mnie śmiercią?

– Nie mówimy o żadnej karze, córko. Gdybyśmy karali ciebie, musielibyśmy karać i samych siebie, a na to jesteśmy zbyt mądrzy i zbyt mocni – stwierdziła Vindrash, a w jej głosie pobrzmiwała gorzka ironia. Poruszyła smutno ogonem.

Do gaju weszła druidka. Trzymała w dłoniach drewnianą misę i stała tak z szacunkiem, czekając w ciszy, aż bogini raczy ją zauważyć.

Vindrash spojrzała Draia głęboko w oczy.

– Potrzebuję jakiejś kryjówki – szepnęła. – Ciała. Twojego ciała.

Draya popatrzyła na misę druidki i poczuła suchość w ustach. Zamarła. Dłonie zaczęły jej się trząść, a żołądek ścisnął niemiłosiernie. Jej strach był jednak tylko reakcją jej ciała. Rozpaczliwą wolą przetrwania. Jej dusza była spokojna i silna. Nie bała się.

– Czy chcesz oddać mi swoje ciało? – spytała Vindrash.

– Tak – odrzekła Draya.

Druidka wyciągnęła misę. Draya chwyciła naczynie, a jej dłonie były już zupełnie spokojne.

– Proszę cię tylko o jedno, Błogosławiona Vindrash – szepnęła Draya. – Skylan jest młody i głupi. Musi się jeszcze tyle nauczyć. Ale jest dzielnym wojownikiem i ma szlachetne serce. Będzie dobrym przywódcą. Miej litość dla niego. Nasi ludzie go potrzebują.

– Walczymy o przetrwanie, córko – powiedziała surowo Vindrash. – Nie możemy sobie pozwolić na litość. Skyłan Ivorson jest teraz Wodzem Wodzów i musi udowodnić, że jest tego wart, bo inaczej będzie trzeba go usunąć i zrobić miejsce komu innemu.

Draya spojrzała w krystalicznie czystą ciecz. Zobaczyła odbicie młodej dziewczyny, którą właśnie wybrano na Kapłankę Kai, dziewczyny, która nie wie, co ją czeka, ale spogląda w przyszłość oczyma pełnymi radości, wiary i nadziei.

– Czy odpowiesz mi na jedno pytanie? – wyszeptała.

– Jeśli będzie to możliwe – rzekła Vindrash.

– Czy to Torval wybrał Skyłana?

Vindrash milczała przez długą chwilę, a potem powiedziała cicho:

– To już nie ma żadnego znaczenia, córko. Koło się toczy. Nic się wije.

– Dziękuję, Vindrash – powiedziała Draya. – Za to i za wszystko, czym mnie obdarowałaś.

Uniosła misę do ust i zaczęła łapczywie pić.

Rozdział 10

Skylan spojrział na miecz, który gałąź wyrwała mu z dłoni. Popatrzył na swój krótki miecz, który zmienił się w węża wijącego się między korzeniami drzewa. Osiemnaście zajęczków skakało wokół bezładnie i z żalnymi minkami obwącichiwało swoją broń i zbroję. Skylan poczuł, że zwycięża strach, i poddał się bez walki.

Druidzi przywiązali go do tego samego drzewa co Raegara. Z ziemi wyrosły pnącza i spowiły jego kostki i nogi, owinęły się wokół piersi i ramion. Zdołał się wygiąć tak, by cały czas widzieć swoich ludzi.

Był za nich odpowiedzialny. Pomyślał o ich rodzinach, ojcach i matkach, o młodych żonach i małych dzieciach. Pomyślał o ich bezmiennym śmieci w szponach jastrzębia czy zębach lisa. Ich dusze nie zostaną wpuszczone do Komnaty Torwała. Bóg wyśmiałby przecież gromadkę zajęczków.

To Skylan wpakował ich w takie kłopoty. To on był ich przywódcą.

– Wybacz mi, Ojciec Drzew – rzekł do druida z pokorą, gdy pnącza zaciskały się coraz mocniej na jego ciele. – Nie powinienem był w ogóle przybijać do Apensji. Zdejmij z ludzi ten straszny czar, który na nich rzuciłeś, a odpłyniemy i nigdy już nie wrócimy. Przysięgam na Torwała!

– Chcieliśmy podzielić się z tobą wszystkim, co mamy, Skylanie Ivorsonie. Wzgardziłeś tym i odpowiedziałeś przemocą. – Druid westchnął głęboko. – Światem rządzi stal i krew. My jednak robimy wszystko, by wojna nie zawitała na naszą wyspę.

– Pożałujecie tego, wy marni poganie! – warknął Raegar, zaciskając pięści, co nie wypadło jednak zbyt przekonująco, bo pnącza znacznie ograniczyły jego ruchy. – Już ja tego dopilnuję!

– Nie możemy wyrzec się naszej filozofii życia – odrzekł spokojnie druid. Schował dłonie w obszernych rękawach szarego płaszcza i odwrócił się.

– Co chcesz z nami zrobić? – krzyknął za nim Skylan.

Druid nie odpowiedział. Szedł dalej i wkrótce zniknął wśród rozlicznych pni figowca zwanego dusicielem.

Teraz dopiero Skylan zrozumiał, skąd ta nazwa. Napinał mięśnie, wił się i wrywał, by się oswobodzić, ale mocne pnącza zaciskały się tylko jeszcze bardziej. Gdy oczka z kolczugi

zaczęły mu się wbijać boleśnie w ciało, a oddychanie stawało się coraz trudniejsze, Skylan poddał się z rozpaczą. Mógł już tylko patrzeć ze ściśniętym sercem, jak przerażone zajączki płoszą się i jeden po drugim znikają w lesie.

– A gdzie twoi ludzie? – spytał kuzyna. – Są gdzieś blisko?

Raegar spojrział na niego ze złością i tylko pokręcił głową.

– A ty? Masz jeszcze jakichś ludzi?

– Tylko tych dwóch, których zostawiłem z Drayą. A właśnie! Draya! – krzyknął Skylan z przejęciem. Przynurzył się tak blisko kuzyna, jak tylko zdołał, i szepnął: – Co z Drayą? Czy udało ci się...?

– Nie – oznajmił Raegar. – Nie miałem żadnych szans.

– To świetnie! Kiedy się zorientuje, że nie wracam zbyt długo, pójdzie mnie szukać – ucieszył się Skylan. – Jak tylko zobaczy, że nas uwięziono, wezwie smoka i uratuje nas... Czemu kręcisz głową?

– Ponieważ jestem pewien, że i Draya została już pojmana – stwierdził Raegar ponuro.

– Skąd wiesz? – spytał Skylan.

– Zaraz ci wszystko opowiem. Przyłączyliśmy trzy dni temu. Przedstawiliśmy się jako pokojowo nastawieni kupcy. Zamierzaliśmy wejść do wsi i zaprezentować nasze towary, ale ci poganie nie chcieli nas wpuścić. Oznajmili, że nie uznają niewolnictwa i że będą z nami handlować tylko wtedy, gdy wyzwolimy naszych niewolników. Co za bzdura! Powiedzieliśmy im, co o tym sądzimy, i wróciliśmy do obozu. Następnego poranka odkryliśmy, że wszyscy nasi niewolnicy zniknęli. Ktoś wyzwolił ich w nocy.

– I nic nie widzieliście? Nic nie słyszeliście? – zdumiał się Skylan.

– Nic a nic – zapewnił go Raegar. – Moja niewolnica spała tuż przy mnie, a jednak gdy się obudziłem, po prostu jej nie było! Znaleźliśmy kajdany i łańcuchy, ale puste. Niewolnicy zniknęli. Domyśliłem się, że to poganie pomogli im uciec, więc zażądałem, by albo natychmiast oddali mi niewolników, albo zapłacili ich wartość. Poganie jednak ani nie potwierdzili moich podejrzeń, ani nie zaprzeczyli. Powiedziałem im wprost, co zamierzam zrobić, jeśli nie posłuchają mnie po dobroci. To było wczoraj po południu. Dziś rano – ciągnął Raegar, a w jego głosie słychać było strach – obudziłem się zupełnie sam. Moi współnicy zniknęli zupełnie tak jak poprzedniej nocy niewolnicy. I tym razem nie słyszałem nawet najmniejszego szmeru.

Skylan zobaczył kątem oka zajączka skaczącego wśród drzew i wzdrygnął się mimowolnie.

– Gdy zobaczyłem, że zbliża się twój smoczy okręt, chciałem cię ostrzec, żebyś uciekał jak najdalej od tej przeklętej wyspy. Zacząłem krzyczeć i nagle obudziłem się przywiązany do tego drzewa. Pękała mi głowa, a na twarzy czułem krew. Sam więc rozumiesz, że nie ma co liczyć na to, że Draia uda się nas uratować.

Skylan zasepił się.

– Ale jednak druidzi nas nie zabili. Jak sądzisz, co zamierzają z nami zrobić?

– Nic dobrego – wymamrotał Raegar.

– Może chcą okupu?

– Tych pogan nie interesuje okup. Za nic mają złoto, srebro i klejnoty...

– Ale mówiłeś, że są bogaci, że mają góry kosztowności – zdziwił się Skylan, marszcząc brwi. Zamilkł jednak, widząc, że Raegar wije się i próbuje rozluźnić więzy. – Co robisz?

– W bucie mam nóż – wyszeptał kuzyn. – Jeśli tylko uda mi się poluzować te pnącza, może go dosięgnę. Patrz, czy nikt nie idzie.

Skylan wbił wzrok w cienie pod drzewami. Słyszał, jak Raegar stęka i sapie. Spojrzał przez ramię i zobaczył, że jego kuzyn zdołał się zgiąć i dosięgnąć buta, a teraz rozpaczliwie próbuje namacać palcami nóż.

– Nie widzę go – jęknął Raegar. – Daleko jestem?

Z cholewy wystawała rękojeść z kości. Był to mały nożyk, jakich się używa do przecinania żyłki do wędkowania.

– Jeszcze szerokość trzech palców – powiedział Skylan, kątem oka zauważając jakiś ruch.

– Uważaj! Ktoś idzie!

Raegar zamarł.

Skylan wysilił wzrok.

– Nie, to chyba nic takiego. Nic tam nie widzę.

Raegar znów zaczął się pochylać. Po twarzy ciekł mu pot, plecy tarły o pień.

– Już prawie go masz – ucieszył się przejęty Skylan.

Jednym rozpaczliwym ruchem Raegar zgiął się mocniej i zdołał dotknąć palcami rękojeści. Pochylił się jeszcze bardziej i udało mu się złapać rękojeść dwoma palcami i kciukiem.

– Tylko go nie upuść! – jęknął Skylan.

– Zamknij się i pilnuj, czy nikt nie idzie! – warknął Raegar.

Skylan obejrzał się na las i tym razem nie miał żadnych wątpliwości.

– Ktoś idzie! To ten siwobrody staruch!

– Mam nóż! – stęknął Raegar. Schował nóż w dłoni i próbował szybko wrócić do pozycji pionowej.

– Co z nami zrobisz, siwobrody? – krzyknął Skylan, licząc na to, że odwróci uwagę druida od Raegara.

Druid nie spieszył się. Szedł ku nim powoli i spokojnie spoglądał na Skylana.

– Dziś w nocy złożymy duchom ofiarę, by ukoić ich gniew wywołany waszą obecnością – rzekł. – A wy będziecie nam towarzyszyć.

– Ja nie będę! – ryknął Skylan i zaczął miotać się jak szalony. – Uwolnij mnie! Będę walczył z tobą i z tymi twoimi duchami...

Druid uśmiechnął się lekko.

– Nie będzie żadnej walki. Miałem właśnie powiedzieć, że wy dwaj musicie przeprosić nasze duchy za to, że sprowadziliście przemoc na naszą wyspę.

– A potem co? – prychnął Raegar. – Poderżnicie nam gardła?

– Potem was uwolnimy – wyjaśnił druid.

– Ale co z moimi ludźmi? Co z moją żoną, Drayą, która została na smoczym okręcie? – dopytywał się Skylan. – Co jej zrobiliście?

– A co z moimi ludźmi i niewolnikami? – dodał z wściekłością Raegar. – Co im zrobiliście?

– Ja nic im nie zrobiłem. Ściągnęliście na siebie gniew świętych duchów, które nas strzegą. Uznały, że stanowicie zagrożenie, więc postarały się zażegnać niebezpieczeństwo. Nie jestem w stanie wpłynąć na ich czyny. Wrócę po was, gdy księżyc wstanie zza morza.

Kiedy druid odszedł, Skylan obejrzał się z niepokojem na drzewa.

– Druid powiedział, że rozgniewaliśmy duchy. Czy to znaczy, że to duchy rzuciły czar na moich ludzi?

– Gównu nie duchy! – syknął Raegar. – Kłamie. To ten pogański czarownik para się czarną magią i rzucił urok na naszych ludzi, a zaraz zabierze się i do nas.

– Pokonam ich wszystkich gołymi rękami – poprzysiągł zdesperowany Skylan.

– Jeśli uda mi się oswobodzić, będziesz miał do dyspozycji znacznie lepszą broń niż ręce – oświadczył Raegar i zaczął piłować nożykiem po pnączu.

Szło to opornie. Pnącza były silne, grube i było ich tak wiele, że zdawały się opłatać Raegara coraz bardziej. Z uporem jednak ciął pnącze za pnączem.

Skylan patrzył, jak bogini słońca kryje się za drzewami.

– Księżyc wszędzie dziś bardzo wcześnie – powiedział. – I tak sobie myślę. Gdy już się uwolnimy, jak znajdziemy drogę przez las? Ścieżki kłębią się tu i prowadzą donikąd.

– Poczekamy, aż przyjdzie po nas jeden z tych pogan, a potem rzucimy się na niego, weźmiemy go jako zakładnika i zagrozimy, że podetniemy mu gardło, jeśli nie wskaże nam drogi – wyjaśnił Raegar.

– A jeśli druid rzuci na nas urok? – spytał Skylan.

Bez mrugnięcia okiem akceptował to, że podczas walki wróg może mu wbić miecz w żołądek, ale na myśl o tym, że znów ktoś go zaczaruje tak, jak uczynił to szaman ogrów, robiło mu się słabo ze strachu.

– Jeśli go zwiążemy i zakneblujemy, nie będzie w stanie czarować – zapewnił go Raegar.

Mówił tak, jakby znał się na rzeczy, ale Skylana i tak zaczęły nękać wątpliwości. Nie przypominał sobie jakoś, żeby druid mówił lub robił coś szczególnego, a jednak jego ludzie kicali teraz wśród drzew i podgryzali mleczce. Nie przychodził mu jednak do głowy żaden lepszy plan. Nie mieli wyboru, więc równie dobrze mogli zrobić tak, jak chciał Raegar.

– Stój na czatach – rozkazał Raegar, więc Skylan znów wpatrywał się w mrok lasu, który zdawał się z każdą chwilą ciemniejszy.

Nim zapadła noc, Raegar zdołał rozciąć pnącza na swoich ramionach i nogach i oswobodzić ramiona Skylana. Wyjątkowo grube, mocne pnącze wiło się wciąż wokół kostek Skylana.

– Te cholerne pnącza stepiły mi ostrze – narzekał Raegar.

– Weź mój miecz – ponaglił go Skylan. – Wisi tam na drzewie. Jesteś tak wysoki, że dosięgniesz.

– Masz łeb! – ucieszył się Raegar. Przestał męczyć się z pnączami, otarł pot z czoła i podszedł do gałęzi, z której zwisał miecz.

– Tylko nie zapomnij po mnie wrócić – syknął Skylan. – Żebyś nie zabrał mi miecza i nie uciekł.

Raegar spojrział na niego z wyrzutem.

– Nie ufasz mi, kuzynie?

– Tak sobie tylko żartowałem – bąknął Skylan.

– Nie jestem w nastroju na żarty – odburknął Raegar.

Skylan zaczął się nagle zastanawiać, czy rzeczywiście ufa kuzynowi. Raegar twierdził przecież, że był już kiedyś na Apensji; utrzymywał, że druidzi mają masę złota, srebra i klejnotów. Skylan natomiast miał teraz przeczucie, że kuzyn nigdy tu przedtem nie był, a całą tę opowieść o bajecznym bogactwie po prostu zmyślił, by zwabić go na wyspę. Skylan pojęcia nie miał, po co Raegar miałby mu tak kłamać, ale im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że nie, nie ufa swemu kuzynowi.

– Pospiesz się! – ponaglił go, próbując się bez skutku wyrwać pnączu oplatającemu mu kostkę. – Zdaje mi się, że widzę już księżyc prześwitujący zza drzew.

Raegar obejrzał się przez ramię.

– To nie księżyc! To pochodnia! Ktoś idzie!

– Wracaj! – krzyknął Skylan, chwytając za porozcinane pnącza i próbując owinąć je sobie wokół klatki. – Udawaj, że wciąż jesteś przywiązany!

Raegar już przylgnął do swojego pnia i owijał się pnączami.

– Druid się zorientuje, że pnącza są pocięte – lamentował Skylan.

– Nim będzie miał czas się nad tym zastanowić, będzie za późno. Mój nóż będzie już na jego gardle. Zmuszę drania, żeby cię oswobodził – szepnął Raegar. – Gdy już będziesz wolny, biegnij do drzewa, łap za miecz i uciekamy.

– Co z Drayą? – spytał Skylan. – Muszę ją odnaleźć.

– A co cię nagle obchodzi twoja żona? – zachnął się Raegar. – Przecież chciałeś się jej pozbyć!

– Tak, ale... – zająknął się Skylan. – Zmusiłem ją do przybicia do tego brzegu. Nie chciała, byśmy w ogóle zblizali się do wyspy. Ostrzegła mnie przed druidami.

– Opadły cię wyrzuty sumienia czy co? – zakpił Raegar.

– Nie. Tylko powinienem był jej słuchać.

– Skoro tak się o nią martwisz, zmusimy druida, żeby nam powiedział, gdzie jest twoja żona – obiecał Raegar. – Jeśli jeszcze żyje, znajdziemy ją. Chcesz ją z powrotem? Czy chcesz, żebym ja się nią zajął?

Skylan zawahał się. Draya bez wątpienia ostrzegła go przed przybijaniem do brzegu tej wyspy i powinien był jej wysłuchać. Przypomnił sobie te jej dziwne słowa – twierdziła, że go skrzywdziła. Bo też skrzywdziła. Co do tego nie było wątpliwości. A jednak. Przypomnił sobie, co wśród Heudjunów mówiło się o jej małżeństwie z Horgiem. Podobno ją bił, gnębił. Kobiety są takie słabe. Nie są w stanie walczyć z mężczyzną jak równy z równym. Może Draya nie miała wyboru. Może musiała przeciwstawić się Horgowi w taki sposób.

– Powinna wrócić do swego ludu – powiedział w końcu.

– Ty głupcze – warknął Raegar. – Zresztą, jakie to wszystko ma znaczenie. Na pewno już ją zabili.

W ciemności zamigotały pochodnie. Z najodleglejszych zakątków figowca wylaniały się setki świateł. Ludzie byli coraz bliżej. Szli z pieśnią na ustach. Śpiewali pięknie, smutno i przejmująco. Była to pieśń chwały i rozpaczy jednocześnie. A przynajmniej tak się Skylanowi wydawało. Nie rozumiał słów.

Z kilku różnych stron wyłonili się druidzi, by spotkać się pod figowcem. W ogóle nie zwracali uwagi na więźniów. Wymienili kilka słów i zabrali się do przygotowania jakiegoś swojego obrzędu przebłagiwania duchów. Skylan czekał bez ruchu, aż od napięcia mięśni cierpło mu ciało.

– Rozumiesz, co oni robią? – spytał cicho.

– Pojęcia nie mam o zwyczajach tych pogan – syknął Raegar z pogardą.

Kilku mężczyzn przyniosło długi pal. Druidzi nakazali im wbić go w dziurę na środku niewielkiej plamy księżycowego światła, które prześwitywało przez liściaste gałęzie. Pal był wyższy od Raegara, a gdy wbito go w ziemię, podszedł do niego druid, obejrzał dokładnie i pchnął, by się upewnić czy jest stabilny.

– Jesteśmy gotowi do złożenia ofiary – oświadczył druid. Odwrócił się w stronę Skyłana i Raegara i rozkazał: – Idźcie po Vindrasów.

Rozdział 11

Drewniany pal lśnił srebrzyście w księżycowej poświacie. Mężczyźni przynieśli grube liny i ułożyli je w zwojach tuż obok. Druid stał cierpliwie z rękami założonymi na piersi. Dwóch mężczyzn ruszyło w stronę Skylana i Raegara.

– Przetnij te cholerne pnącza! – syknął Skylan, usiłując wyrwać nogę z pnącza, które owijało jego buty.

– Zamknij się! – szepnął Raegar. – Bo te dranie zaczną coś podejrzewać.

– To dawaj ten nóż! Będę mógł z nimi walczyć. Nie zarzną mnie jak byle krowę!

– Cierpliwości – syknął Raegar. – Trzymajmy się planu. Kiedy zaczną nas odwiązywać, ja chwytam jednego z nich i przykładam mu nóż do gardła. Reszta robi, co im każe.

Skylanowi nie podobało się to, że musi zaufać kuzynowi. Zresztą, gdy w grę wchodziło jego własne życie, wołałby nikomu nie ufać. Jeszcze raz spróbował wyrwać nogę z pnączy, ale zamiast tego strącił niechcący więzy z ramion. Mężczyźni byli już na tyle blisko, że widzieli wszystko jak na dłoni. Otworzyli oczy szeroko ze zdumienia, zwolnili kroku. Jeden z nich już się obracał, by krzyknąć.

Raegar skoczył do przodu i rzucił się na mężczyznę. Chwycił go za ramiona i przyłożył mu nóż do gardła.

– Uwolnicie mojego towarzysza! – ryknął dziko. – Albo, przysięgam na Torwałę, podetnę waszemu człowiekowi gardło od ucha do ucha!

Mężczyzna ani drgnął. Wydawał się sparalizowany ze strachu.

– Ty! – krzyknął Raegar do druida. – Powiedz mu, poganinie, żeby robił, co mu każe, bo inaczej to ten drań będzie dziś złożony w ofierze!

– Rób, co on ci mówi – rozkazał druid.

Mężczyzna wyciągnął zza pasa nóż z kości, pochylił się i przeciął pnącza, które wiązały Skylana.

– Łap za miecz! – zawołał Raegar, nie puszczając zakładnika. Zadrapał lekko jego szyję ostrzem noża. Po szyi pociekła krew. Mężczyzna zrobił się trupio blady ze strachu.

Zebrały się już setki ludzi. Dzierżąc pochodnie w dłoniach, przyszedli, by uczestniczyć w złożeniu ofiary. Stali teraz w milczeniu i patrzyli, jak Skylan biegnie po miecz.

Pomarańczowe światło ognia i srebrna poświata księżycy tańczyły na głowni miecza, który wisiał na jednej z gałęzi rękojeścią do dołu.

Skylan spojrział w górę na swoją broń. Z początku pomyślał, że to druid w jakiś magiczny sposób kazał mieczowi polecieć wyżej. Teraz jednak już sam nie był pewien. Miał nieprzyjemne przeczucie, że to drzewo podnosi Taniec Krwi coraz wyżej. Popatrzył na nie podejrzliwie.

– Pospiesz się! – wrzasnął Raegar.

Miecz dyndał poza zasięgiem ręki Skylana. Chłopak podskoczył, by go złapać. Musnął palcami rękojeść, ale nie zdołał jej chwycić. Miecz rozkołysał się jeszcze bardziej, jakby drzewo bawiło się nim i kusiło do skoku.

Skylan już miał skoczyć jeszcze raz, gdy powietrze przeciął rozpaczliwy okrzyk:

– Skylenie! Ratuj! Skylenie! Pomocy!

Odwrócił się i ujrzał Drayę. Próbowwała się wyrwać swoim oprawcom, którzy przywiązywali ją właśnie do pala. Ofiarą nie miał być Skylan. Ofiarą miała być Draya.

– Skylenie! – wołała go błagalnie. – Oni chcą mnie zabić! Ratuj!

Skylan spojrział przerażony. Ludzie druida przycisnęli ją do pala i zaczęli przywiązywać do niego linami.

– Puśćcie ją! – ryknął Skylan. – Albo go zabijemy! – dodał, wskazując na zakładnika Raegara.

– Czyńcie, co musicie uczynić – rzekł ze smutkiem druid. – Tak jak i my czynimy.

Druid wykonał gest ręką i z tłumu wyłonił się siwy mężczyzna odziany na biało. W jednej dłoni trzymał wielki drewniany młot, w drugiej gałąź z zaostrzonym końcem.

Raegar pchnął zakładnika na drugiego z mężczyzn i obu ich w ten sposób przewrócił, potem rzucił się w kierunku Skylana.

– Uciekaj, głupi! – krzyknął. – Uciekaj!

Skylan niczego tak nie pragnął jak uciec. Uciec i nigdy nie obejrzeć się już za siebie. Słyszał rozpaczliwe okrzyki Draii. Widział zajączki spoglądające na niego zza drzew. Nad nim zakrakał kruk.

Draya jest jego żoną. Przysięgał na Torvala chronić ją i się nią opiekować.

– Złamałem już tyle obietnic – szepnął z determinacją. – Nie złamię choć tej jednej. – Spojrział w górę na swój miecz. – Torwalu, daj mi siłę i pozwól odzyskać broń!

Przykucnął, wziął rozpęd i wyskoczył wysoko w powietrze, wyciągając dłoń tak wysoko, jak tylko się dało. Uderzył w rękojeść i zdołał strącić miecz, który okręcił się w powietrzu, błysnął pomarańczowym i srebrnym światłem, a potem upadł na trawę u jego stóp. Skylan podniósł swoją broń.

– Idziesz czy nie? – niecierpliwił się Raegar, który już się skrył w cieniu drzew.

– Najpierw muszę uratować Drayę! – odkrzyknął Skylan.

– Do zobaczenia w Komnacie Bohaterów – warknął Raegar i zniknął w głębi lasu.

Mężczyzna w bieli podał drewniany szpikulec druidowi, który przyłożył go do przepony Draï. Siwy mężczyzna uniósł młot.

Skylan ryknął i wymachując mieczem, rzucił się w ich kierunku. Darł się, żeby przestali. Groził, że obetnie im głowy, że ich poćwiartuje, że zje ich wątroby. Wrzeszczał i biegł ze wszystkich sił.

Nikt nawet na niego nie spojrzał. Wszystkie oczy zwrócone były ku Draï.

Mężczyzna w bieli odsuwał i przysuwał młot, upewniając się, czy dobrze celuje, i przygotowując do wbicia szpikulca w ciało Draï. Skylan, wyjąc jak demony Freilis, skoczył w jego stronę, gdy ten już był gotowy do zadania pierwszego ciosu.

Nagle jeden z pni figowca dusiciela uniósł się i zastąpił Skylanowi drogę. Chłopak próbował go wyminąć, ale następny pień wyrósł tuż przed nim. Figowiec obrastał Skyłana jak szalony. Pnie tańczyły wokół, ześlizgując się z gałęzi jak potężne węże i wgrzając w okamgnieniu w ziemię. Otoczyły go. Skylan zaklął dziko i zamachnął się mieczem na jeden z pni, a wtedy jedna z gałęzi zwinęła się jak bicz i trzasnęła go z mocą w twarz.

Zatoczył się oszołomiony. Poczul na ustach krew. Rozświetlony księżycem młot był coraz bliżej. Wystarczyłyby dwa kroki i Skylan byłby w stanie go powstrzymać.

Tuż przed nim drzewo zsunęło kolejny pień. Skylan zaatakował go nożem, a drzewo odpowiedziało ciosem w głowę. Ból rozpałił mu czaszkę. Tylko siła woli i żałosne błagania Draï zmusiły go do zachowania przytomności. Próbował minąć pień, ale drzewo uderzyło go w szyję.

Upadł. Uderzył z hukiem w ziemię, głową waląc o kamień. Opadał w wypełnioną bólem ciemność, gdy powietrze przeszły okrzyk tak straszliwy, że wiedział, iż będzie mu on pobrzmiwał w uszach aż do dnia, gdy da temu kres litościwa śmierć. Zdołał unieść pękającą z bólu głowę i zobaczył, że młot wbija szpikulec w ciało Draï. Krew trysnęła jak rozkwitający czerwony kwiat. Draya jęczała i wiła się w agonii.

Skylan usiłował wstać. Ból miazdżył mu czaszkę. W oczach rozbłysły światła. Drzewo zaatakowało go z tyłu, powaliło na ziemię. Leżąc na brzuchu, myślał tylko o tym, że musi do niej dotrzeć, że musi uratować żonę. Klnąc z bólu i wściekłości, zaczął się czołgać do przodu. Dłonie ślizgały się w kałuży krwi pod pałem. Uniósł głowę. Jej twarz była blada i wykrzywiona. Śmierć była już o krok.

– Wybacz, Drayu! – wyszeptał. – Nie chciałem, żeby tak się to wszystko skończyło!

Zadrżała, jęknęła i rozchyliła wargi, a jemu wydało się, że zaraz wypowie słowa przebaczenia i uwolni go od ciężaru winy za jej śmierć.

Otworzyła usta, ale nie padły z nich już żadne słowa. Wypłynęła z nich czarna, ciepła krew i zalała Skylanowi twarz.

Przerażenie odebrało mu dech i krztusząc się krwią zamordowanej żony, zemdlął.

Rozdział 12

Z lasu obserwował wszystko mały chłopiec. Rankiem przybił do wyspy cudny smoczy okręt. Potem na ląd wyszli hałaśliwi wojownicy. Na końcu pojawili się straszni druidzi. Chłopiec przestraszył się najpierw, że jego nauczyciele przyszli, by go ukarać, i niezwykle mu ulżyło, gdy zobaczył, iż chodziło nie o niego, lecz kobietę ze statku.

Druidzi poszli sobie, nawet go nie zauważywszy, co nie było znowu takie bardzo dziwne. Chłopiec umiał się dobrze kryć.

Siedział tak w lesie cały dzień i nie mógł oczu oderwać od pięknego okrętu, który stał na piaszczystym dnie zupełnie pusty, a o jego burty rozbijały się fale. Chłopiec marzył o tym, żeby podejść bliżej, ale bał się, że mogą wrócić druidzi, więc pozostawał w ukryciu i zbierał się na odwagę.

Miał jedenaście lat i wyglądał nieco dziwacznie ze swoimi żółtymi, wilczymi oczami i skołtunionymi szaroburymi włosami. Był szczupły i żyłasty. Miał na sobie zielone szaty owata, ucznia druidów.

Zaszło słońce. Nastąpiła noc. Chłopiec wciąż krył się w lesie. Kilkakrotnie próbował już zbliżyć się do okrętu, ale zawsze strach zwyciężał i chłopiec umykał z powrotem w głąb lasu.

– Oni już nie wrócą, Wulfe – powiedziała.

– Skąd wiesz? – spytał.

– Od moich sióstr. – Uroczą młodą kobietą zeskoczyła z wdziękiem z drzewa, pod którym czał się Wulfe. Była naga, jeśli nie liczyć liści wijących się po jej giętkim ciele. – Słyszysz przecież, że aż gałęzie szeleszczą od tych wieści.

Wulfe pokiwał głową. Wiedział aż za dobrze, jak porozumiewają się driady. Każda żyła na drzewie, którego miała strzec. Nie mogła go opuścić ani na chwilę. Ale ciekawskie driady miały swoje sposoby, by przekazać siostronom najnowsze plotki o wszystkim, co się działo, a już w szczególności o tym, co ostatnio wyczyniają Brzydale.

– Co mówiły? – zapytał Wulfe.

Driada z przejęciem powtórzyła mu wszystko.

– Siostry ze świętego gaju mówią, że kapłanka wypła truciznę i potem padła martwa, i potem Smokini weszła w jej ciało, i potem moje siostry z figowca zmieniły tamtych Brzydali w zające.

Driada zachichotała na samą tę myśl i Wulfe też się zaśmiał.

– Szkoda, że tego nie widziałem – westchnął.

– Też żałuję – zgodziła się z nim driada. – Ale tylko pomyśl, my widzieliśmy wspaniały smoczy okręt! No, Wulfe! Przecież teraz już tam nikogo nie ma. Możesz spokojnie wślizgnąć się na pokład!

Wulfe spojrzał tęsknie na okręt.

– Narobię sobie kłopotów. Druidzi będą na mnie źli...

– Przecież nigdy się nie dowiedzą! – podpuszczała go driada. Miała jasnozielone oczy, które nadawały jej twarzy trochę łobuzerski, trochę przebiegły wyraz. Jej bródka była spiczasta, nosk zadarty, a rude, kręcone włosy spadały jej na oczy. – Przecież nie będziesz tam długo siedział! Tylko wskoczysz na pokład, rozejrzysz się i wrócisz, żeby mi wszystko opowiedzieć. Proszę! Moje siostry pękną z zazdrości!

– No, nie wiem – wahał się Wulfe.

– Starsi nie wrócą przed świtem – zapewniała go driada. Jej głos był ostry i wysoki, ale gdy chciała, umiała mówić cicho i słodko. – Muszą jeszcze skończyć tę jakąś ceremonię. Masz mnóstwo czasu.

Wulfe doskonale wiedział, że nie powinien jej ufać. Driady są gotowe na wszystko, byle tylko zaspokoić swoją ciekawość. Nigdy jednak nie widział jeszcze nic tak pięknego jak smoczy okręt, więc dał się przekonać argumentom dziewczyny. Wyczołgał się z kryjówki i zamarł. Nie dlatego, że się przestraszył, ale ponieważ musiał znów walczyć ze swoimi wewnętrznymi demonami, jak co chwila, odkąd druidzi znaleźli go w lesie, gdy miał cztery lata, przygarnęli i nauczyli żyć w swej społeczności.

Wewnętrzne demony Wulfe'a notorycznie namawiały go do rzeczy, przez które lądował w jakichś tarapatach. Bitwy z nimi były bardzo trudne, szczególnie wtedy, gdy demony zmuszały go do rzeczy, na które naprawdę nie miał ochoty.

Tym razem nie było aż tak źle. Demony chciały tylko, żeby wszedł na pokład smoczego okrętu, choć on sam wiedział dobrze, że nie powinien. Druidzi będą się na niego gniewać. No, może nie gniewać, bo druidzi nigdy się nie gniewają. Ale będą rozczarowani. Druid, który wychowuje Wulfe'a, spojrzy na niego ze smutkiem i pokręci głową. A to było gorsze niż złość, bo Wulfe naprawdę kochał tego druida jak ojca, bo starzec był mu jak ojciec już od siedmiu lat.

Chłopiec zawsze starał się ucieszyć swego opiekuna. Starał się robić wszystko, by twarz staruszka zajaśniała dumą i radością. Próbował nauczyć się czytać, choć wydawało się to zupełnie niemożliwe. Słowa pełzały po papierze jak robaki i zupełnie nie miały sensu. Próbował siedzieć grzecznie wraz z pozostałymi owatami wśród drzew, ale w przeciwieństwie do innych uczniów, którzy słyszeli tylko głos nauczyciela, Wulfe słyszał, jak śpiewają roztańczone nimfy, jak plotkują rozchichotane driady, a satyrowie zaśmiewają się z jakichś sprośnych dowcipów. Jakże miał się skupić na lekcjach?

Najgorsze jednak były noce. Demony zmuszały go wtedy do różnych strasznych rzeczy. Okropnych rzeczy. Do rzeczy, o których nawet bał się myśleć, więc i nie myślał. Nigdy.

Druidom wydawało się, że rozumieją jego problemy. Byli kiedyś zupełnie pewni, że nauczą chłopca, jak znaleźć w sobie siłę, by nie słuchać śpiewów nimf i szeptów demonów. Właściwie nadal mieli nadzieję, że kiedyś z tego wyrośnie, ale to tylko dlatego, że druidzi w ogóle mają bardzo optymistyczne podejście do życia. Wulfe natomiast miał już jedenaście lat i powoli tracił wszelką nadzieję.

W końcu demony zwyciężyły. Jak prawie zawsze. Wulfe wypadł pędem z lasu, przebiegł przez wąski pas piachu i zatrzymał się pod samym okrętem. Uniósł głowę i zapatrzył się z podziwem w rzeźbiony galion, który w oczach chłopca bynajmniej nie był z drewna. Wulfe widział łuski lśniące w księżycowej poświacie, połączaną grzywą i wściekle, czerwone oczy.

– Potężny smoku – przywitał się grzecznie Wulfe. – Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym wszedł na twój okręt?

Nauczono go, że gdy się zwraca do osób tak potężnych jak smok na przykład, bardzo ważne jest zachowanie grzeczności.

Smok Kahg spojrział na niego zdumiony. Nie miał pojęcia, jak zareagować. Nigdy jeszcze nie znalazł się w tak dziwnej sytuacji. Chłopiec zachowywał się tak jak żaden śmiertelnik dotąd. Zachowywał się tak, jakby widział ducha smoka. To było po prostu niemożliwe i dlatego smok Kahg uznał, że to nie mogło się zdarzyć. Pewnie dzieciak po prostu sobie coś wyobraził.

Smok postanowił zignorować chłopca.

Chłopiec postanowił wziąć milczenie smoka za znak zgody. Z radością pobiegł przez srebrzystą wodę, wspiął się po trapie i wszedł na pokład smoczego okrętu. Włazł na wszystkie skrzynie po kolei, przyjrzał się uważnie wielkiemu sterowi, zeskoczył po stopniach drabinki w dół i odkrył, że w środku statku ktoś zbudował domek, a przynajmniej tak wydawało się zachwyconemu dzieciakowi.

W domku było ciemno, ale Wulfe dobrze widział w ciemności i z ciekawością rozglądał się po futrach ułożonych na posłaniu, po talerzach i misach do jedzenia oraz pięknie rzeźbionej skrzyni z drewna. Chciał zajrzeć do środka, ale miała żelazny zamek, a chłopiec nie cierpiał żelaza. Nie mógł znieść go w dotyku. Nie tolerował nawet samego zapachu.

Wyszedł więc z powrotem na pokład i podreptał na dziób aż do smoczej szyi o rozwścieczonej głowie. Tam na gwoździu wisiała kość ducha. Wulfe od razu wyczuł jej magiczną moc, ale – mimo że demony próbowały go przekonać, by jej dotknął – zdołał się powstrzymać przez wzgląd na smoka. Obejrzał kość z szacunkiem i zostawił ją w spokoju.

Potem wdrapał się po smoczej szyi, bez trudu znajdując oparcie dla zwinnych, bosych stóp, i przywarłszy do smoczej głowy, zapatrzył się na piękne morze zalane księżycową poświatą, które stąd wyglądało zupełnie inaczej niż z brzegu.

Zaczął się zastanawiać, jak by to było płynąć tak po tych srebrzystych falach, a gdy zszedł z powrotem na pokład, usiadł na jednej ze skrzyń i z zachwytem bujał się wraz z całym statkiem na falach. Bał się trochę, że w każdej chwili mogą wrócić druidzi, i nakazał sobie już wracać, ale księżyc odbijał się w morzu srebrną plamą i ten widok tak go oczarował, że chłopiec nie był w stanie oderwać wzroku od tego pięknego zjawiska.

Księżyc był coraz wyżej, a Wulfe wciąż jeszcze siedział na okręcie. Wtem zobaczył światła. To pochodnie sunęły po bagnach. Zamarł jak zając na widok lisa. Mógł szybko pobiec do lasu, ale księżyc jasno oświetlał białą plażę, a druidzi mieli świetny wzrok. Zobaczą go od razu i nie będą mieli wątpliwości, że to on, bo wszystkie grzeczne dzieci są już dawno w łódeczkach.

Wulfe nie mógł znieść myśli, że znów rozczaruje swego opiekuna. Zrobił tym razem coś tak strasznego, że kara może być o wiele sroższa niż zwykle. Postanowił więc poczekać, aż druidzi zrobią na plaży, co mają zrobić, i wrócą do lasu. Wtedy chłopiec wymknie się z okrętu i popędzi do domu. Wdrapie się do środka przez okno, nawet nie budząc opiekuna. Tak zrobi. Tymczasem schował się za skrzynię.

Nic stamtąd nie widział, ale cmoknął z rozpaczy, gdy usłyszał plusk wody.

Druidzi zamierzają wejść na pokład!

W panice rozejrzał się za lepszą kryjówką i wpadła mu w oko drabinka prowadząca do tego domku w statku. Przebiegł jak strzała przez pokład, szybko zlął po drabinie i schowawszy się pod futrami, zaciągnął je sobie nawet na głowę.

Usłyszał kroki na pokładzie. Ktoś coś mówił i po chwili Wulfe rozpoznał głos swojego opiekuna i kilku innych ludzi ze wsi.

– Zanieście tego młodego człowieka pod pokład – rzekł opiekun Wulfe’a. – Jest ciężko ranny. Opatrzę mu zaraz rany.

Wulfe usłyszał inny głos, silny i niski kobiecy głos, którego nie poznawał.

– A niech sobie trochę pokrwawi – powiedziała kobieta. – Zasłużył na cierpienie. Ból dobrze mu zrobi.

– Ale jego śmierć nic tu nie pomoże – zauważył łagodnie druid.

Wulfe usłyszał, że kroki się zbliżają, i schował się głębiej w futra. Mężczyzna, którego niesiono, musiał być bardzo ciężki, bo mieli problem, żeby go znieść po drabinie. W końcu jednak im się udało – przynajmniej tak uznał Wulfe, bo usłyszał, że kładą go na czymś. Potem znów wdrapali się po drabinie i powiedzieli druidowi, że młodzieniec już leży w swoim łóżku.

Chłopiec ostrożnie wyjrzał spod futer.

– Skylan okazał wiele odwagi – zauważył druid. – Próbował ją ratować, a przecież ten starszy po prostu uciekł.

– To prawda – zgodziła się kobieta. – Próbował jej pomóc i nawet zaryzykował własne życie. Przyznam, że tego się po nim nie spodziewałam.

– Ma wiele szczęścia – dodał druid, wzdychając. – Duchy lasu były na niego wściekłe.

– Powinien podziękować Torwalowi za uratowanie mu życia – odrzekła kobieta. – Choć wątpię, by czuł wielką wdzięczność.

– Weszłaś w ciało Draï, by ukryć się przed wrogami, Vindrash – powiedział druid. – Ale czy przy okazji zamierzasz zameć sumienie tego młodego człowieka? – Brzmiało to tak, jakby tego nie pochwałał.

– Skylan jest tylko bronią w rękach Torvala. Bóg potrzebuje najlepszej stali, a ten młody człowiek jest z metalu niskiej jakości, łamliwego i słabego. Jeśli nie udowodni Torwalowi, że jednak się do czegoś nada, bóg wyrzuci go na złom.

Rozległy się kroki. Wulfę usłyszał znów pluski. Ludzie schodzili z okrętu. Już chciał się wysliznąć ze swojej kryjówki, gdy usłyszał głos kobiety, i uświadomił sobie, że ona i druid wciąż są na pokładzie.

– Uczcimy pamięć Draï – mówił druid. – Jej duch jest już z bogami, lecz usłyszysz nasze pochwalne pieśni. Gdy nie będzie ci już potrzebna jej śmiertelna powłoka, Przenajświętsza Vindrash, zwrócimy ciało jej ludowi.

– Dziękuję ci za wszystko. – Głos kobiety stał się miłszy, nie było w nim już złości. – Wiem, że odegranie składania ofiary nie było dla was łatwe.

– Nigdy nie składamy ofiary z ludzi – powiedział druid surowym tonem. – Musiałem wciąż przypominać sobie, że zabijamy boginię, a zatem kogoś, kogo zabić się nie da. Mimo to jednak było to straszne. Boję się, że ten okropny widok zrani serca mego ludu.

– Twoi ludzie widzieli tylko światło księżyca na polanie i głupiego młodzieńca walczącego z drzewem – zapewniła go Vindrash. – Nic poza tym.

– Ja jednak widzę ciebie. – W głosie druida słychać było powątpiewanie. – Widzę cię jako Kapłankę Kai, Drayę.

– Tylko dlatego, że pozwoliłam ci widzieć moją ludzką postać. Gdy spojrzą na mnie podli Bogowie Raj oraz Aelon, Bóg Nowego Świtu, zobaczą jedynie człowieka, mróweczkę w mrowisku ludzkości. Umysły śmiertelne widzą boginię i nie są w stanie znieść takiego widoku, więc blokują go. Tylko Skylan będzie mnie w stanie zobaczyć. Będę jego najgorszym koszmarem.

– Biedny młodzieniec – wyszeptał druid. – Wydaje mu się, że widział, jak zamordowano jego żonę, i że stało się to z jego winy. Wyrzuty sumienia będą go już męczyć przez całe życie.

– Wyrzuty sumienia mają wielką moc – rzekła Vindrash. – Powie ci to każda matka.

– A co ze smokiem? – spytał druid.

– Smok Kahg jest mym wiernym sługą. Przysiągł, że nie powie nikomu o mojej kryjówce, nawet innym ze swego rodu. Ufam mu tak jak tobie, drogi przyjacielu.

– Nasi wrogowie są potężni i z dnia na dzień ich moc rośnie – powiedział druid. – Gdy spoglądam w przyszłość, widzę płomienie, dym i miasta zbudowane na kościach naszych zmarłych.

– Dlatego właśnie walczymy – odrzekła Vindrash. – Dlatego będziemy walczyć, mimo że znacznie łatwiej byłoby się poddać.

Wulfe pojęcia nie miał, o czym gada tych dwoje. Z jego doświadczenia wynikało zresztą, że dorośli zwykle mówią o rzeczach nudnych lub niezrozumiałych, lub o obu naraz. Postanowił się tym nie przejmować, bo też i jego żołądek komunikował mu coś znacznie ważniejszego: już dawno minął czas posiłku. Ulżyło mu, gdy wreszcie druid przestał rozmawiać z tą kobietą. Usłyszał ich kroki na pokładzie i w końcu zeszli po trapie.

Ani drgnął. Czekał. Musi dać im dużo czasu na dotarcie do wsi, tak żeby nie wpaść na nich na ścieżce w lesie. Wystarczyło, że jego opiekun spojrzy na niego, a będzie od razu wiedział, że Wulfe coś przeszkrobał. Żeby zabić czas, Wulfe podczołgał się do młodego człowieka i zaczął przyglądać mu się ciekawie.

Śmierdział żelazem.

Z początku Wulfe pomyślał, że może to już tylko trup – tyle było na nim krwi. Spojrzał w jego zakrwawioną, obitą twarz. Matka nazywała ludzi „Brzydalami” i Wulfe uważał, że miała rację. Widział, jak przedtem Brzydał paradował w swojej żelaznej koszuli i wymachiwał tym strasznym mieczem, który teraz leżał przy nim. Wulfe spojrzał na broń z obrzydzeniem i ominął ją szerokim łukiem, gdy biegł do drabinki. Jeśli tego Brzydala nie kocha jakiś bóg, umrze już wkrótce.

O jednego Brzydala mniej na tym świecie, powiedziałyby jego matka.

Wulfe wybiegł na pokład i zatrzymał się, z rozpaczą wbiwszy wzrok w wyspę, na której mieszkał.

Była tylko małą plamką na rozświetlonym gwiazdami horyzoncie. Od domu dzieliło Wulfe’a całe morze księżycowego blasku.

Smoczy okręt płynął dalej, unosząc na swym pokładzie małego chłopca.

Rozdział 13

Wulfe wpatrywał się ze smutkiem w srebrzyste morze. Jego dom zniknął.

– Stój! – wołał chłopiec do smoka. – Musisz zawieźć mnie z powrotem. Nie powinno mnie tu w ogóle być! Ja...

Słowa ugrzęzły mu w gardle. Skoczył za jedną ze skrzyń i przycupnął, drżąc cały. Nie był na pokładzie sam. Przy sterze stała kobieta i sterowała okrętem na delikatnym wietrze.

To pewnie ta kobieta, która weszła na pokład wraz z druidami, ta, która rozmawiała z opiekunem Wulfe'a. Zdawało mu się, że zeszła z okrętu wraz z druidem, ale najwidoczniej nie.

Wyglądała tak, jak brzmiał jej głos – na chłodną, surową i silną. Wulfe'owi przypomniało się, jak matka zaprowadziła go kiedyś do babki. Miał wtedy tylko trzy lata, ale bardzo dobrze zapamiętał sobie babkę. Była piękna i straszna. Mama przez nią płakała i on też przez nią płakał. Ta kobieta miała w sobie tę samą moc – coś pięknego i straszego zarazem. Chłopiec bał się jej znacznie bardziej niż Brzydala leżącego pod pokładem.

Wulfe był przerażony. Bał się poruszyć i bał się zostać, gdzie był. Kobieta jednak wydawała się pochłonięta pracą lub własnymi myślami. Wzrok miała nieobecny, więc Wulfe postanowił zaryzykować i wyszedł na czworaka z kryjówki (a potrafił się poruszać w ten sposób niezwykle szybko), przebiegł przez pokład i znów skrył się pod nim. Wylądował miękko i nastawił ucha, nasłuchując, czy nie goni go ta straszna kobieta.

Słyszał jednak tylko szum wiatru, więc zadarł głowę do góry. Otwór zamykany był na przesuwaną klapę i Wulfe zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby się odważyć ją zamknąć. Kobieta może go usłyszeć. Postanowił jednak zaryzykować. Stanął ostrożnie na drabinie i delikatnie, samymi opuszkami palców, zasunął cicho klapę.

W kajucie było teraz ciemno i przytulnie. Wulfe miał przyjemne poczucie, że znajduje się w legowisku. Podkradł się bliżej do Brzydala i przykucnął z brodą opartą o kolana. Patrzył na młodego człowieka z rosnącym niepokojem. Wulfe często towarzyszył druidom przy leczeniu chorych, ponieważ miał pewne moce uzdrowicielskie, a że nie przejawiał zdolności w niczym innym, druidzi zachęcali go do nauki w tym kierunku.

Wulfe wiedział więc, co to śmierć, i nie ulegało dla niego wątpliwości, że ten Brzydal umiera. Palila go gorączka, a rany ropiały. Ciało drżało konwulsyjnie. Chory jęczał z bólu i

raz nawet – ku wielkiemu przerażeniu Wulfe’a – krzyknął głośno. Chłopiec próbował go uciszyć, bo bał się, że zaraz przyjdzie z pokładu kobieta zobaczyć, co się dzieje, ale nie przyszła. Albo nie słyszała, albo nic ją to nie obchodziło. Noc stawała się coraz ciemniejsza, a z Brzydalem było coraz gorzej.

Wulfe zaczął się zastanawiać. Miał moc, by uleczyć młodego człowieka. Jego zdolności magiczne były niczego sobie. Lecz jednocześnie były dość chaotyczne i często prowadziły do zupełnych katastrof. Poza tym druidzi zabronili mu posługiwać się magią.

– To, że możesz coś zrobić, nie znaczy jeszcze, że powinieneś – powiedział mu jego opiekun. – Nie pojmujesz jeszcze mocy, które posiadasz, Wulfe. Czy są one darem czy klątwą? Możesz czynić dobro, to prawda, lecz niestety możesz też wyrządzać wiele krzywdy. I dlatego właśnie póki nie nauczysz się kontrolować swoich mocy, lepiej, żebyś ich nie używał.

Wulfe znalazł się w rozterce. Z jednej strony bał się Brzydala, który nosił przy sobie żelazo i śmierdział śmiercią. Z drugiej – czuł, że wiele go łączy z tym młodym mężczyzną, którego też najwyraźniej męczyły demony.

Druidzi wierzyli, że dusza żyje własnym, niezależnym od ciała życiem. Gdy ciało śpi, dusza wędruje do Królestwa Półcienia, w którym żyje, kocha i robi wiele dziwnych, cudownych rzeczy. Lecz choć królestwo to jest piękne, czai się w nim także wiele niebezpieczeństw. Dusze gubią się w nim czasem. Nie mogąc znaleźć powrotnej drogi, nigdy już nie wracają i ciało umiera. To dlatego nie wolno budzić osoby, która śni lub lunatykuje, bo jej dusza może nie zdążyć znaleźć drogi do ciała.

Królestwo Półcienia zamieszkują także demony, które przybierają postać ludzi znanych za życia. Wulfe nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W Królestwie Półcienia często widywał swego ojca, który zmarł przecież wiele lat temu. Właśnie te demony męczyły teraz Brzydala.

Młody chłopak błagał kogoś o imieniu Draya, by mu przebaczyła. Walczył z demonem zwanym Horgiem i na oślepek szukał swego miecza. To przeraziło Wulfe’a. W obawie, że Brzydal znajdzie w końcu swoją broń, która leżała tuż przy nim, Wulfe zakrył ją kocem. Potem skulił się w kącie i czekał, aż Brzydal przestanie walczyć z demonami.

Brzydal zapadł wreszcie w mocny sen. Wulfe był coraz bardziej rozdarty. Bał się młodego człowieka, a jeszcze bardziej bał się jego broni. Jednocześnie żał mu go było. Na pewno bardzo cierpiał. Poza tym Wulfe’owi przyszło do głowy, że jeśli Brzydal umrze, smoczy okręt może tak płynąć i płynąć, i Wulfe nigdy już nie zdoła wrócić do domu. Nie mógł się zdecydować, co robić, i pasując się tak sam z sobą, zasnął nagle.

Obudziło go słońce przedzierające się przez szpary w deskach. Ku jego zdumieniu Brzydal żył jeszcze. Wulfe ostrożnie uniósł klapę i wyjrzał na pokład. Jeśli ta kobieta jeszcze tam jest, on zbierze się na odwagę i powie jej, że młody mężczyzna umiera i że druidzi

umieliby go uratować, więc czy mogłaby poprosić smoka, żeby zabrał ich wszystkich do domu.

Ale kobiety nie było. Ster był uwiązany tak, by okręt nie zmieniał kursu. Wulfe rozejrzał się po pokładzie o tyle, o ile był w stanie przez swoją szparę, ale nigdzie jej nie widział. Już miał wyjść z kryjówki, gdy napotkał rozwścieczony wzrok smoka. Schował się natychmiast pod pokład i już nawet nie próbował wyglądać na zewnątrz.

Znalazł jedzenie i wodę. Zjadł, napił się i zajął Brzydalem, jak najlepiej potrafił – wymył go, nalał mu trochę wody do gardła i nałożył na rany jakąś maść, którą znalazł.

Nic to jednak nie pomagało. Z Brzydalem było coraz gorzej. Już nie siadał ani nie krzyczał. Z trudem oddychał, a jego serce biło coraz słabiej. Wulfe ledwo wyczuwał puls. Dusza tego młodego człowieka była już bardzo daleko i z każdą chwilą dalej.

Żeby go uratować, Wulfe musiałby użyć magii. To mogłoby wprawdzie zabić pacjenta, ale przecież i tak już umierał. Wulfe bardziej bał się, że druidzi jakoś odkryją, iż złamał ich zakaz.

Mimo wszystko postanowił podjąć to ryzyko. Miał tylko nadzieję, że nie narobi niechcący niczego strasznego, na przykład nie wywinie mężczyzny bebechami na zewnątrz (kiedyś zdarzyło mu się to przy leczeniu kotka jednej dziewczynki – było to dość dramatyczne przeżycie dla wszystkich zainteresowanych). Położył dłonie na sercu chorego i zaczął śpiewać.

Cienkim i niepewnym głosem śpiewał piosenkę, której nauczyła go matka.

Słabo już pamiętał swoją mamę. Była piękniejsza niż brzask. Pachniała wawrzynem, rozmarynem i fiołkami. Suknię miała z babiego lata i księżycowej poświaty. Długie, złote włosy sięgały jej aż do stóp i skrzyły się kroplami rosy. Nigdy nie widział jej w dzień. Przychodziła tylko nocami, by z nim tańczyć i śmiać się, przytulać go i płakać nad nim, a wtedy wilki, które się nim opiekowały, unosiły wysoko łby i wyły z rozdzierającym smutkiem.

Matka śpiewała mu wciąż te same piosenki, aż stały się częścią jego samego, jak krew, kości czy skóra.

– Brzydale będą cię próbowali skrzywdzić, bo nie jesteś jednym z nich – powtarzała mu matka. – Nie będzie mnie przy tobie, nie zdołam cię obronić, ale jeśli będziesz pamiętał pieśni swego ludu, Brzydale nic ci nie zrobią.

Kiedy Wulfe opowiedział druidowi o tym, co mówiła mu matka, jego opiekun spojrzał na niego ze smutkiem i powiedział, że choć matka miała oczywiście dobre intencje, to nie powinna była dawać mu tak niebezpiecznych podarunków. Wtedy Wulfe nie rozumiał jeszcze, co druid miał na myśli, mówiąc, że te piosenki są niebezpieczne, ale nieco mu się rozjaśniło w głowie, gdy zaśpiewał jedną z nich temu biednemu, choremu kotkowi.

Teraz chłopiec zaśpiewał umierającemu inną piosenkę swojej matki. Miał przecucie, że matka nie byłaby zbyt zadowolona, bo młody człowiek należał do Brzydali, którzy mogą

próbować skrzywdzić jej syna. Druidzi też nie byliby zachwyceni, bo tego typu magia jest niebezpieczna, a Wulfe nie umiał jej kontrolować.

Wulfe'owi zdawało się czasem, że naprawdę nie jest w stanie wszystkich zadowolić.

Ta piosenka pochodziła z czasów, gdy lud jego matki żył sobie spokojnie w ciemności ozdobionej jedynie odległymi światełkami gwiazd; z czasów, zanim przybyli bogowie i zaćmili te światełka ostrym, jasnym ogniem; zanim oddali świat we władanie tych włochatych stworzeń, które wyszły z bagna i zaraz nauczyły się chodzić na dwóch nogach. Te stworzenia nazywały się „ludźmi” i były duże, brzydkie i tłuste. Używały ognia do kucia żelaza, a żelaza do zabijania.

Wulfe rozumiał swym sercem, co śpiewa, ale nie rozumiał głową. Niektóre słowa były pełne radości, a niektóre okrutne. Bywały zabawne, paskudne, piękne i lśniące. Niczego się nie bały, bo gdy pierwszy raz je zaśpiewano, nie było się czego bać. Strach pojawił się później.

Chłopiec śpiewał i przyciskał dłoń do serca Brzydala. Tak strasznie nie chciał, żeby chory wywinął się nagle bebechami na zewnątrz. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że ciało tkwi cały czas na kościach tak, jak powinno. Ale pieśń zaczynała chyba działać. Brzydal wziął głębszy oddech. Krew napłynęła mu do twarzy. Mięśnie napięte od bólu rozluźniły się, skóra stała się zimniejsza i pokrył ją pot. Gorączka mijała.

Brzydal zarzucił sobie rękę na oczy i zapadł w zdrowy sen. Jego dusza wciąż jeszcze błąkała się po Królestwie Półcienia, ale nie musiała już walczyć. Wulfe wyobraził sobie, że może chodzi teraz po pięknych łąkach pełnych kwiatów.

Był bardzo z siebie zadowolony. Teraz Brzydal na pewno sobie długo pośpi i to mu dobrze zrobi. Chłopiec skulił się w dziurze, którą wymościł sobie wśród koców, i szeptem podziękował matce za pomoc. Znów za nią zatęsknił i zaczął się zastanawiać, dlaczego już do niego nie przychodzi.

Tak bardzo mu jej brakowało. Tęsknił też za druidem. Tęsknił za domem. Czuł się tak opuszczony i samotny, że zaczął lkać jak małe wilczątko. Nie płakał już tak od czasu, gdy miał cztery lata i druidzi zabrali go od ojca i wilków, które go wychowały.

Gdy Skylan się obudził, z rozkoszą wylegiwał się chwilę wśród ciepłych koców. Od razu poznał otoczenie. Był w kajucie na *Venjekarze*.

Jego błogi nastrój szybko przysł.

Wspomnienia wróciły, taranując wszystko tak, jak ogry niszczyły ścianę tarcz. Tak jak ogry wspomnienia raniły ostrą bronią.

Wojownicy, którzy odnieśli uraz w głowę, zwykle nie pamiętają ani uderzenia, ani nawet samej bitwy. Skylan niestety pamiętał wszystko. Przypomnił sobie o wojownikach zmienionych w zające. Stała mu przed oczami umierająca Draya.

Wolałby, żeby ktoś wydlubał mu oczy, nim to wszystko się stało. Wiedział, że widok umierającej Draii zostanie z nim już na zawsze.

Poczuł, że okręt się kołysze, i uzmysłowił sobie, że są na morzu. Zaczął się zastanawiać, kto płynie na statku. Smok Kahg nigdy nie pozwoliłby wrogowi przejąć swojego okrętu. Być może druidzi jednak zdjęli czar z jego ludzi. Być może jego ludzie zabierali Skylana do domu.

Oslabiony na ciele i umyśle uwierzył w taką wersję wydarzeń i znów zasnął. Gdy się obudził, zobaczył chłopca.

Było to dziwne dziecko – chude, żylaste, z czupryną potarganych włosów. Nalewało właśnie wody z dzbana do rogu i było do Skylana odwrócone plecami. Skylan podparł się na łokciu i zaczął się przypatrywać chłopcu.

– Kim ty jesteś, na wszystkie demony Freilis? – spytał.

Chłopiec spłoszył się, odwrócił raptownie, rzucił w Skylana rogiem, wspiął po drabinie i zniknął.

Skylan otarł wodę z twarzy i zlizął ją ze spierzchniętych warg. Popatrzył w górę na drabinę, ale po chłopcu nie było już ani śladu.

– Nie ma się czego bać – zawołał. – Przecież nic ci nie zrobię!

Usłyszał tylko bicie fal o kadłub i wtedy uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Nie było słyhać ludzi na pokładzie. Ta cisza go przeraziła. Kto płynął tym okrętem? Odkasznął i znów zawołał:

– Nawet jakbym chciał, nic ci nie jestem w stanie zrobić! Jestem tak słaby jak rozwodnione piwo – dodał ponurym głosem.

Chłopiec wrócił po chwili, ale tkwił przy klapie. Miał żółte oczy. Skylan nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego u żadnego człowieka. Spoglądał na Skylana nieufnie spod nierówno obciętej czupryny i nic nie mówił.

– Jak masz na imię? – spytał Skylan.

– Imiona mają wielką moc – odpowiedział chłopiec. – Powiedz najpierw, jak ty masz na imię.

Ostrożnie zsunął się na niższy szczebel drabiny, ale ani kroku bliżej.

– Skylan Ivorson – przedstawił się Skylan i już chciał dodać, że jest Wodzem Wodków ludu Vindrasów, ale przyszło mu do głowy, że nie wypadłoby to zbyt przekonująco z ust nagiego człowieka powalanego własnymi ekskrementami, otulonego w zapocone koce; od mężczyzny tak słabego, że nie może sobie nawet nalać odrobiny wody.

Chłopiec zawahał się, ale w końcu coś wymamrotał.

– Nie dosłyszałem. Czy powiedziałaś „Wolf”? – spytał Skylan.

– Wulfe – powtórzył chłopiec głośniejszym i z wyraźną irytacją.

– Wulfe – powiedział Skylan, starając się wymówić imię dokładnie tak, jak powiedział je chłopak. – Czy mógłbyś powiedzieć komuś z załogi, żeby tu do mnie zszedł?

– Nie ma tu nikogo. – Wulfe wzruszył ramionami. – Poza smokiem. I może tą panią.

– Nie czas na żarty – zganił go Skylan. – Ktoś przecież steruje tym statkiem. Nie mam pojęcia, skąd się wzięłeś na moim okręcie, ale skoro już tu jesteś, zawołaj mi tu zaraz kogoś z moich ludzi!

Wulfe znów wzruszył ramionami. Jego szaty były zbyt obszerne jak dla tak małego dziecka i gdy wzruszał ramionami, dekolt przesunął mu się na ramię.

– Mówię ci przecież, że nie ma tu nikogo. Druidzi wnieśli cię na okręt i zostawili samego. Smok odpłynął i zabrał mnie ze sobą, a ja wcale nie chciałem jechać – dodał rozżalony dzieciak.

– To kto steruje okrętem? – zażądał wyjaśnień Skylan.

– Smok! – krzyknął zirytowany Wulfe. – Przecież ci mówię. Proszę, poproś go, żeby mnie odwiózł do domu!

– Sam go poproś – odburknął Skylan zły, że dzieciak opowiada mu niestworzone rzeczy.

– Ten smok mnie chyba nie lubi – poskarżył się Wulfe. – Spytałem się go grzecznie, czy nie ma nic przeciwko, żebym wszedł na pokład, i nic nie powiedział, więc uznałem, że nie ma, ale teraz, jak tylko wyjrzę, to zaraz się na mnie gapi.

– Czy chcesz powiedzieć, że jesteś w stanie zobaczyć smoka i z nim rozmawiać? – spytał Skylan, własnym uszom nie wierząc.

Oczy dziecka rozwarły się z przerażenia.

– Nie wiedziałem, że nie wolno! – jęknął i przywarł do drabiny. – Czy teraz mnie zabijesz?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewnił go Skylan. – Rozmawianie ze smokiem to nic złego. Tylko... to dziwne. Jedyłą osobą, która jest w stanie rozmawiać ze smokiem, jest Kapłanka Kości, ale nawet ona musi go wprawdzie zawezwać.

Skylan nadal podejrzewał, że chłopiec tylko udaje, zmyśla dla zabawy.

– Powiedz mi, Wulfe, jak wygląda smok?

– No, jak to smok – odpowiedział rezolutnie chłopiec.

– Ale opisz mi go – powiedział Skylan, oczekując, że usłyszy teraz jakieś bujdy.

– Ma niebieskie łuski, a jego grzywa jest koloru morskiej piany. Ma grzebień jak księżycowe odbicie w morzu, które widziałem w nocy. Ale oczy to ma straszne i czerwone.

Skylan popatrzył na dziecko zdumiony. Wulfe opisał dokładnie wygląd smoka Kahg w jego morskim wcieleniu. Tajemnicza sprawa.

A zatem chłopiec mówił prawdę, choć wydawało się to tak nieprawdopodobne. Oczywiście smok miał moc poruszania statkiem, jeśli tylko tego zapragnął. Skylanowi przypomniało się, jak Kahg odpłynął z ciałem Horga, i wzdrygnął się. Może teraz wioził Skylana do jego grobu! Może zamierza wyrzucić jego ciało gdzieś, gdzie nie znajdzie go człowiek ni bóg.

– Coś cię boli? – zaniepokoił się Wulfe i zszedł o stopień niżej.

Skylan pokręcił głową. Znow opadła go słabość i schował głowę w poduszkę, by ukryć rozpacz.

Usłyszał, że po drabinie schodzi para bosych stóp, a potem poczuł nieśmiały dotyk dłoni na ramieniu. Uniósł głowę, a Wulfe odskoczył jak oparzony.

– Powinieneś się napić. – Chłopiec wyciągał przed siebie róg pełen wody.

Skylan wziął go i opróżnił łapczywie, a potem oddał chłopcu. Leżał przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się, czy ma siłę wstać. Nie miał jednak wyboru. Inaczej nigdy się nie dowie, co się dzieje.

– Muszę wyjść na pokład.

Wulfe aż przycisnął róg do piersi z przejęcia.

– I poprosisz smoka, żeby mnie zabrał do domu?

Skylan uśmiechnął się słabo.

– Najpierw powinienem chyba go spytać, gdzie mnie zabiera. Powiedziałeś, że na pokład przynieśli mnie druidzi, więc pewnie przynieśli i ciebie. Po co cię tu zostawili?

Wulfe zaczerwienił się i pokręcił głową.

– Druid nie wiedział, że tu jestem. Wślizgnąłem się sam. Wiem, że nie wolno, ale nie umiałem się powstrzymać. Myślałem, że smoczy okręt jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w życiu widziałem. Ale teraz go nienawidzę – dodał płaczliwie.

– Czy mógłbyś pomóc mi wyjść po drabinie?

Wulfe popatrzył na niego podejrzliwie.

– A co chcesz zrobić?

– Chciałbym się dowiedzieć, gdzie jesteśmy...

– Mogę ci powiedzieć. Jesteśmy na oceanie.

– No tak, ale jeśli zobaczę punkty orientacyjne i pozycję słońca, będę w stanie ci powiedzieć, gdzie dokładnie na oceanie.

Wulfe przemyślał to i w końcu widocznie uznał, że ma to sens. Podał Skylanowi rękę i pozwolił mu się na sobie oprzeć. Był zaskakująco silny jak na takie małe dziecko i bez większego trudu pomógł Skylanowi wstać.

Wszystko zawirowało. Skylan zamknął oczy, oparł się o Wulfe'a i czekał, aż miną mu mdłości.

– Gdzie są moje ubrania? – spytał po chwili. Chłopiec machnął ręką w kąt, gdzie zrzucił na kupę poplamioną krwią koszulę, spodnie i buty.

– A mój miecz?

Wulfe momentalnie puścił Skyлана i umknął w kąt. Bez wsparcia Skylan zatoczył się i z trudem złapał belki, żeby się utrzymać w pionie. Ten nagły ruch wywołał straszny ból głowy, ale i tak przede wszystkim martwił się teraz o miecz.

– Ta broń jest niezwykle cenna. Czy druidzi mi ją zabrali? Powiedz mi, co się z nią stało?

– Skylan czuł, że teraz robi mu się słabo z samego niepokoju.

Wulfe wskazał palcem na coś pod kocem. Skylan zobaczył, że pod materiałem widać słaby zarys miecza. Odetchnął z ulgą, chwycił amulet na szyi i podziękował Torwalowi.

– Zostawię miecz, gdzie leży – obiecał chłopcu. – Nic się nie bój.

Wciąż spoglądając niepewnie na miecz, jakby mógł sam wyskoczyć spod koca, Wulfe pomógł Skylanowi wspiąć się po drabinie.

Gdy dotarli wreszcie na pokład, okazało się, że okręt wpłynął w gęstą mgłę. Skylan nie widział nawet szczytu masztu, a co dopiero słońce. Z trudem domyślał się, gdzie jest dziób, a gdzie rufa.

Wziął głęboki oddech. Powietrze było wilgotne, ale i tak wydało mu się wspaniałe w porównaniu ze śmierdzącym zaduchem pod pokładem. Usiadł na skrzyni. Czuł na sobie wzrok smoka, ale nie podniósł głowy.

– Chciałbym się wykapać – powiedział. – Przyniósłbyś mi wodę i moje ubrania? Czyste rzeczy leżą w mojej skrzyni.

Wulfe zmarszczył nos, co miało chyba oznaczać, że się zgadza, i pobiegł pod pokład. Skylan siedział i odpoczywał. Był sam na pustym pokładzie. Smoczy okręt płynął powoli przez mgłę. Żagle były zwinięte. Skylana zdziwiło to, że ktoś przywiązał ster. Zastanawiał się, czy mógł to zrobić chłopiec.

Skrzynia Skylana nie miała w ogóle zamka, Wulfe więc wrócił wkrótce z czystymi ubraniami i butami. Zrzucił do morza wiadro uwiązane do sznura i wciągnął je na pokład, niezgrabnie wylewając sobie większość wody na bose stopy. Skylan splukał z siebie zaschniętą krew i kał, wzdrygając się od zimnej wody i soli, od której zapiekły go rany. Na końcu wylał sobie drugie wiadro wody na głowę, by umyć włosy i brodę, która zdążyła mu już wyrosnąć.

Wykapany i przebrany poczuł się znacznie lepiej. Wulfe przyniósł mu suszone mięso, owoce i twardy jak kamień ciemny chleb, który miał tę zaletę, że długo nie czerstwiał. Gdy tak jedli z chłopcem, Skylan popatrywał co chwila na smoka, którego ledwie widział przez mgłę.

Przede wszystkim musi się dowiedzieć, na czym stoi. Skylan czuł, że należy za wszelką cenę ustalić, co wie smok, czy wini go za śmierć Draia, a jeśli tak, to co zamierza z tym zrobić. Trochę pocieszało go, że jeszcze żyje.

Torval znów go uzdrowił i uratował mu życie. A zatem bóg mu wybaczył. Być może wybaczy mu i smok.

Skylan podszedł do zawieszanej na rzemyku kości ducha. Bujała się delikatnie w rytm fali. Nigdy jeszcze nie rozmawiał ze smokiem. Nie wiedział nawet, czy to możliwe. Tak jak powiedział Wulfe'owi, komunikowanie się ze smokami należało do zadań Kapłanek Kości.

To przypomniało mu o Draiu i wyrzuty sumienia i rozpacz uderzyły w niego jak ostrze miecza. To on przywiózł ją do tego strasznego miejsca. To on sprowadził na nią tę okropną

śmierć. Przypomniawszy sobie, jak stała w tym właśnie miejscu i opierała się o smoczą szyję. Przypomniawszy sobie jej ostatnie słowa. Przepraszała go.

Skylan położył dłoń na kości ducha i cichym, zachrypniętym głosem, nie patrząc nawet na smoka, spytał:

– Dokąd mnie zabierasz?

Odpowiedział mu nie smok, ale Wulfe.

– Smok mówi, że zabiera cię do Ludy.

– Przestań się wygłupiać! – warknął Skylan. Spojrzał na chłopca ostro i zawahał się. – I skąd ty w ogóle wiesz o Ludzie?

– Nic nie wiem o żadnym ludzie – zdenerwował się chłopiec. – A co to za lud?

– Luda! Luda to mój dom! – krzyknął Skylan.

– No, to ty przynajmniej wracasz do domu – stwierdził dzieciak. – Ta pani kazała smokowi zabrać cię do Ludy.

– Jaka znowu pani?

– No, ta pani! – powiedział Wulfe i wskazał na kogoś.

Skylan obejrzał się i zobaczył draugrę.

Większość zmarłych śpi spokojnie w swych grobach, ale niektórzy opuszczają je czasem, by nawiedzać żyjących. Te wędrujące trupy zwane są draugrami, a Vindrasi boją się ich, ponieważ zjawy te nienawidzą żywych i mordują, kogo tylko dostaną w swe szpony.

Skylan natychmiast ją rozpoznał. Była to Draya. Wróciła, by zemścić się na nim.

Nigdy jeszcze nie bał się tak strasznie. Serce waliło mu jak oszalałe. Żołądek ścisnął się żałością. Zaparło mu dech w piersiach. Odjęło mowę. Nawet nie pomyślał o walce z marą, tylko patrzył sparaliżowany ze strachu.

Twarz draugry – twarz Draii – była trupio blada, oczy skupione. Szatę powalaną miała we krwi, która kapała jej z dłoni. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Szła do niego z wyciągniętymi rękoma.

Skylan padł na kolana, bełkocząc coś bez sensu i rozpaczliwie błagając o litość. Zimne palce dotknęły jego ramion. Zadrżał i zamknął oczy, czekając na śmierć.

Dłoń poklepała go nieśmiało.

– Jesteś bezpieczny – powiedział Wulfe. – Już sobie poszła.

Skylan otworzył oczy i rozejrzał się w panice. Poza chłopcem na pokładzie nie było nikogo. Chwycił go i z ulgą poczuł ciepło żywego ciała.

– Widziałeś ją? Widziałeś draugrę? – wyjęczał, wzdrygając się na samo wspomnienie.

Wulfe przytaknął.

– To właśnie ta pani sterowała okrętem. Nie wiedziałem, że jest draugrą. Kto to? Znasz ją?

Skylan opadł na deski pokładu.

– Ona jest... Ona była... moją żoną.

Rozdział 14

Skylan skulił się żałośnie na skrzyni, chowając twarz w dłoniach. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Gęsta mgła nadal zasłaniała słońce. Nie widział lądu, choć domyślał się, że jest już blisko, bo czasami na wodzie widział jakąś gałązkę lub kilka liści. Morze było gładkie, szare, ponure. Mgła zakryła okręt całunem, zwisając z masztów jak żagle, sącząc się z paszczy smoka jak ślina. Zmieniła *Venjekar* w zupełnie obce miejsce.

On, który raczkował na tym pokładzie, nim nauczył się chodzić, teraz nie umiał odróżnić sterburty od bakburty, rufy od dziobu. Wpatrywał się w mgłę, próbując coś zobaczyć, ale wszystko tańczyło mu w oczach, w głowie szumiało. Powietrze było lepkie, zalegało dziwnie w płucach. A z tej mgły wyłaniała się jego zmarła żona. Skylan zaczął się z przerażeniem zastanawiać, czy nie utknął może w Nethervoldzie.

Obecność chłopca niewiele go pocieszała, bo choć nie ulegało wątpliwości, że jest żywy i ciepły, to było w nim coś tak dziwnego, iż i on wydawał się nie z tego świata. Przecież widział smoka w jego duchowej postaci, a to jest podobno niemożliwe.

– Zabiłeś swoją żonę?

Chłopiec milczał tak długo, że Skylan aż podskoczył, gdy usłyszał to pytanie.

– Czy to dlatego ta draugra przyszła po ciebie?

– Nie! Nie zabiłem jej! – Skylan złapał za swój amulet i uniósł głowę ku niebu, którego nie był w stanie zobaczyć. – Przysięgam na Torvala, nie chciałem, by stała jej się krzywda!

– To dlaczego cię nawiedza? – chciał wiedzieć chłopiec.

Skylan mógł wymienić z tuzin powodów, ale nie miał na to ochoty.

– Jesteś strasznie spokojny. Jakbyś się jej wcale nie bał – zauważył z żalem. Jego serce zaczynało wracać do normalnego rytmu.

– No, ta draugra przyszła po ciebie, a nie po mnie – wyjaśnił chłopiec.

– Czy ty... – Skylan oblizwał suche wargi. – Czy wiesz dlaczego?

– Czasami draugry przychodzą po prostu, żeby zabić. Nienawidzą żywych. Ale czasami mają jakiś powód. W naszej wsi był taki draugr, który wrócił, żeby być przy swojej żonie. Straszne to było uprzykrzenie, bo odstraszał wszystkich, którzy chcieli się z nią ożenić. Druid próbował z nim pogadać, ale draugr w ogóle go nie słuchał i dopiero jak jego rodzina

wykopała ciało i je spaliła, to był już spokój. Ta draugra cię nie zabiła – zakończył swój wywód chłopiec – więc pewnie czegoś od ciebie chce.

– Chcesz powiedzieć, że wróci? – spytał przerażony Skylan.

– O, tak. Zawsze tak robią.

– Nie zniosę tego! – jęknął Skylan.

Przedarł się przez mgłę aż do steru. Postanowił odwiązać go i zmienić kurs statku tak, by jak najszybciej dotrzeć tam, gdzie jak mu się zdawało, był ląd. Czuł na sobie wściekłe spojrzenie smoka, ale było mu już wszystko jedno. Czuł, że jeśli natychmiast nie ucieknie z tego okrętu, zwariuje. Zaczął się rozpaczliwie szamotać z linką uwiązaną na sterze. Węzły były mokre, palce ślizgały mu się, dłoń trzęsła i w końcu musiał się poddać.

I pewnie tak naprawdę nawet lepiej, uznał po chwili. Jeszcze by tak zmienił kurs, że tylko oddaliliby się od lądu, wypłynęli na nieznane wody i przepadli na zawsze.

Jeśli już się tak nie stało.

Wulfe powiedział, że smoczy okręt płynie do domu, i Skylan miał nadzieję, że chłopiec się nie myli, ale powrót do domu oznaczał całą masę nowych kłopotów. Będzie musiał wyjaśnić jakoś, co się stało z Drayą i ze wszystkimi wojownikami.

Nie mogę wyznać im prawdy. Nie ze względu na mnie, ale na Drayę. Musiałbym powiedzieć im, że była morderczynią. Nasz lud by ją przeklął, a nie zasłużyła sobie na to. Już i tak przeze mnie spadło na nią tyle nieszczęść. No i jest jeszcze kwestia wojowników. Jeśli ich krewni odkryją, że padli ofiarami czaru, będą zrozpaczeni. Nie mogę im tego zrobić. Muszę skłamać.

Torval nie znosi kłamców, ale wybaczy mi tym razem. Muszę skłamać, by oszczędzić ludziom bólu. Torval zrozumie.

Kłamstwo musi być jednak dobrze obmyślane. Skylan czuł, że musi je dopracować do najmniejszego szczegółu. Odwrócił się od steru i zaczął chodzić po pokładzie. Jego wzrok padł na Wulfe'a. Chłopiec znał prawdę. Jak zmusić go do milczenia?

Najlepiej byłoby go zabić i pozbyć się małego ciała. Nikt by się nigdy nie dowiedział o tym zabójstwie. Skylan pokręcił głową na tę myśl. Popęłnił już tyle grzechów, lecz mimo wszystko nie posunie się przecież do mordowania dziecka.

Poza tym chłopak nie wie pewnie za wiele. Spróbuję się dowiedzieć, co właściwie widział, i jakoś mu wszystko wyjaśnić, pomyślał.

– Zagrajmy w grę – zaproponował Skylan, któremu zdawało się, że taka zabawa pomoże chłopcu zrelaksować się i zacząć mówić.

– Nie lubię gier – powiedział Wulfe.

– Ta ci się spodoba. Nazywa się „smocze kości”.

Ponieważ była to ulubiona gra Vindrasów, wojownicy często zabierali plansze i pionki w rejs, żeby podczas długich godzin na morzu zabijać czas grą. Skylan także miał przy sobie planszę i pionki, które sam wyrzeźbił.

Rozłożył planszę na odwróconej do góry dnem beczce i układał pionki, tłumacząc przy tym reguły gry.

– Dlaczego to się nazywa „smocze kości”? – chciał wiedzieć Wulfe, przyglądając się pionkom podejrzliwie. – Czy to są kości smoka?

– Nie, oczywiście że nie – wyśmiał go Skylan. – Prawdziwe smocze kości są święte. Nigdy byśmy ich nie użyli w grze. Te pionki tylko symbolizują kości smoka.

Wulfe wyraźnie nie mógł tego zrozumieć.

– To po co się je nazywa „kości”? –

– Bo inaczej to by nie była gra w smocze kości, tak? – burknął Skylan. Nigdy nie cechował go nadmiar cierpliwości i teraz czuł, że jej marne zasoby są już na wyczerpaniu. – Nie gadaj, tylko się skup. Nauczę cię zasad.

Plansza zrobiona była z drzewa dębowego i ozdobiona kolorowymi obrazkami. Skylan zaczął wyjaśniać zasady gry, ale Wulfe wyglądał na coraz bardziej zdezorientowanego. Skylan pokazywał mu linie, które nazywał „ścieżkami”, choć donikąd jakoś nie prowadziły, tylko zbiegały się w środku. Na ścieżkach były jakieś runy, których Wulfe nie rozumiał, a obok małe rysunki słońca i księżyca, smoków i smoczych okrętów, mieczy i tarcz, drzew, gór i mórz, bardzo ze sobą poplątane. Były niezwykle piękne i Wulfe chciał wiedzieć o nich coś więcej, ale najwyraźniej to nie było istotne dla gry.

Skylan rozłożył coś, co nazywał „kości”, choć te przedmioty wcale nie wyglądały jak kości, które Wulfe kiedykolwiek widział. Miały różne kształty i kolory, a na nich wypisane były rozmaite runy. Skylan powiedział, że część z tych kości jest jego, a część Wulfe’a. Chłopiec miał rzucić taką kością, a potem miał przesuwać tymi kośćmi po ścieżkach, choć nie było jasne po co właściwie, skoro ścieżki donikąd nie prowadziły. Czasami jedna kość mogła przeskoczyć inną. Albo jedna lądowała na drugiej. Czasami „umierała” i trzeba ją było zabrać z planszy.

Wulfe nie pojmował, o co w ogóle w tym wszystkim chodzi. Sam koncept gry był mu obcy. Nie mógł pojąć, dlaczego miałby chcieć w ogóle poruszać kośćmi, które w dodatku nie były w ogóle kośćmi, a to, że jedne mogły się poruszać w tę stronę, a inne w inną zależnie od tego, jak się miały jedna do drugiej, zupełnie go przerastało.

Skylan widział, że chłopiec głowi się rozpaczliwie, ale nie zaprzestał gry, bo dzięki niej mógł się na czymś skupić i nie musiał myśleć o swoich kłopotach. Żeby nauczyć Wulfe’a, musiał grać za obie strony i przy każdym ruchu tłumaczyć chłopcu, dlaczego wybiera dany pionek i co z nim robi.

Wulfe nadal nie rozumiał, co robi ani po co. Poruszał jakimikolwiek pionkami, czasami trafiając nawet na pionki Skylana zamiast swoich, bo naprawdę nie pojmował tego rozróżnienia. W ogóle nie bawiła go ta cała gra, ale grał, bo widział, że sprawia tym przyjemność przygnębionemu, nieszczęśliwemu człowiekowi.

Zaczynał lubić Skylana. Już nawet nie myślał o nim jako o Brzydalu. Skylan był zupełnie inny niż druidzi, którzy wychowali Wulfe'a. Uczeni, opanowani, spokojni, cisi druidzi nie dawali się ponieść żadnym silnym emocjom. Wynikało to po części z tego, że stworzenia leśne, które zamieszkiwały las, kochały druidów za to, że zajmowali się drzewami i innymi roślinami. Gdy tylko ktoś próbował skrzywdzić druidów, leśne stworzenia natychmiast starały się zlikwidować niebezpieczeństwo, bez względu na to, czy druidzi tego chcieli czy nie. Druidzi wcale nie prosili o to, by ludzie Skylana zmienili się w zające albo by zaatakował go figowiec. Driady i hamadriady, chochliki i nimfy, rusalki i sylfy po prostu wściekły się na agresywnych wojowników, a skutki ich złości okazały się katastrofalne.

Druidzi często byli wręcz przerażeni zachowaniem leśnych stworzeń, które bywało bezmyślne i okrutne. Leśne stworzenia nigdy nie wybaczyły Brzydalom tej strasznej Pierwszej Wojny, która zabiła wiele pradawnych istot i zniszczyła ich świat, toteż zawsze chętnie korzystały z każdej okazji, by się zemścić na swoich wrogach. Leśny lud żył chwilą, nie martwił się o konsekwencje swoich działań, bo dla tych stworzeń działania nie miały żadnych konsekwencji. Druidzi szybko nauczyli się, że jedynym sposobem na powstrzymanie strasznych wypadków było zachowywanie zupełnego spokoju. W innym razie co chwilę groziłaby im jakaś katastrofa.

Dlatego właśnie przez jedenaście lat spędzonych wśród druidów Wulfe nigdy nie słyszał podniesionego głosu. Ludzie nauczyli się nie kłócić (lub przynajmniej robić to bardzo cicho), żeby leśne stworzenia przypadkiem nie stanęły po którejś stronie. Życie toczyło się wolnym, łagodnym, spokojnym tempem. Skylan tymczasem po prostu wrzał od emocji. Wulfe miał wrażenie, że uczucia strzelają wokół niego jak pioruny. Było to może nieco niebezpieczne, ale bardzo ekscytujące. Choć trzeba się było do tego przyzwyczaić, ogólnie rzecz biorąc, Wulfe'owi podobała się ta odmiana. On też był przecież na swój sposób niebezpieczny.

A jednak nie brał pod uwagę, że znajdzie się w aż tak trudnej sytuacji.

Sięgał właśnie po jeden z pionków, gdy ręka sama zamarła mu w powietrzu.

– Co się stało? – spytał Skylan, widząc, że chłopiec blednie i otwiera szeroko oczy.

– Draugra! – wyszeptał Wulfe. – Stoi dokładnie za tobą. Nie! Nie odwracaj się!

Skylana zmroziło. Zaciśnął palce na pionku. Pot wystąpił mu na czoło.

– Co ona robi? – spytał, trzęsąc się cały.

– My... myślę, że ona chce z tobą grać – wybąkał Wulfe. Wstał i odsunął się od planszy.

Draugra zajęła jego miejsce, siadając naprzeciwko Skylana, który spojrzawszy na trupią twarz o martwych, zapadniętych oczach i sinych ustach, z trudem opanował przemożną chęć ucieczki.

Draugra w milczeniu przesunęła jeden z pionków, potem gestem wskazała, że teraz jego kolej.

– Nie będę grać z draugrą – oświadczył Skylan ze ściśniętym gardłem.

– Wydaje mi się, że nie masz wyboru – zauważył Wulfe.

– A ty dokąd? Nie zostawiaj mnie tu samego!

Wulfe rzucił się do drabiny, wdrapał na górę i już go nie było.

Skylan wstał. Jego miecz leżał tuż obok przykryty kocem.

– Nie będę grał – powtórzył wyzywająco.

Draugra wskazała na smocze kości. Skylan zerwał koc, chwycił za miecz i zamachnął się, by obciąć zmorze głowę.

Miecz rozgrzał się nagle do czerwoności, jakby właśnie wyjęto go z ognia w kuźni. Skylan upuścił go z krzykiem. Zapach rozgrzanej stali zmieszał się ze swądem spalonego ciała.

Skylan zamachał rozpaczliwie dłonią i przeklął głośno. Rzucił draugrze wściekłe spojrzenie, a potem pobiegł w stronę drabiny, by uciec tak jak Wulfe. Kłapa zatrzasnęła się przed nim z hukiem. Skylan zaczął w nią walić i wrzeszczeć, żeby Wulfe mu otworzył.

Kłapa ani drgnęła.

Skylan poczuł na karku zimny, lepki pot. Odwrócił się powoli, by spojrzeć na draugrę. Pod pokładem było zwykle ciemno, ale tym razem Skylan nie potrzebował żadnego światła. Draugra emanowała upiorną poświatą.

Znów wskazała na planszę.

Skylan podszedł powoli i usiadł.

– Dlaczego mi to robisz, Drayu? – jęknął drżącym głosem. – Dlaczego mnie męczysz?

Draugra znów wskazała na smocze kości. Skylan powoli chwycił kość drżącą, poparzoną dłonią. Wzdrygając się z bólu, przesunął ją po ścieżce, nawet nie patrząc, gdzie kładzie pionek.

Gra nie trwała długo. Skylan w ogóle nie był dobrym graczem. Garn zawsze mu powtarzał, że gra zbyt ostro, zbyt szybko, za bardzo chce wygrać. Teraz, gdy jego umysł opanowany był przez strach, Skylan popełniał błąd za błędem i draugra szybko zebrała wszystkie kości. Skylan modlił się w duchu do Torwała, żeby na tym się skończyło, żeby draugra wypuściła go wreszcie, ale ona pokazała mu, że chce grać jeszcze raz.

Skylan jęknął głucho, a potem zaczął się targować.

– Umówmy się, że jeśli wygram, przestajemy grać. Ty sobie pójdziesz i zostawisz mnie w spokoju.

Draugra spojrzała na niego swoimi martwymi oczami, ale nic nie powiedziała. Skylan nie wiedział, czy zawarli umowę czy nie. Pozostała mu tylko nadzieja. Panika mijała powoli i zaczął się naprawdę koncentrować na grze. Spojrzał wyzywająco na draugrę i rzucił swoją pierwszą kość. Zaznaczył, gdzie spadła, i ustawił kość na ścieżce.

Draugra wzięła pięć kości w swą słabą, zakrwawioną dłoń i przygotowała się do rzutu.

– Co ty wyprawiasz? – zdenerwował się Skylan. – Oszukujesz! Nie możesz zaczynać od rzutu pięcioma kośćmi!

Draugra rzuciła kości na planszę. Zebrała jedną po drugiej i ustawiła na ścieżce. Potem sięgnęła dłonią w jego stronę.

Skylan skulił się w panice przed tym upiornym dotykiem. Draugra zebrała pięć jego kości i podała mu je. Gdy wahał się niepewny, czy je wziąć, rzuciła mu je szybko. Skylan wyciągnął odruchowo dłoń, by je złapać, i wzdrygnął się, gdy jej lodowate paznokcie musnęły jego skórę.

Najwyraźniej chciała, by i on rzucił pięć kości. Tak więc zrobił i ułożył je odpowiednio na planszy. Gra toczyła się dalej, choć Skylan z trudem nadążał, próbując się rozpaczliwie połapać w nowych regułach.

Gra w smocze kości miała wiele odmian. Każdy klan grał według własnych zasad i niektóre wersje miały nawet oficjalne nazwy, takie jak Torguński Rzut Kością, Heudjuński Potrójny czy Rzucany z Margeńskiego Klifu. Skylan uznał więc, że draugra stworzyła swoją odmianę gry, która okazała się niestety niezwykle skomplikowana. Jak każdy prawdziwy wojownik Skylan zawsze bardzo lubił współzawodnictwo i wkrótce niemal zapomniał, że gra z żywym trupem. Nie spieszył się, przemyślał każdy ruch i zagrał wyjątkowo dobrze. Draugra była jednak znakomitym graczem. Rozgrywka zakończyła się remisem.

Draugra wstała cicho i rozplynęła się w ciemności.

Skylan padł, gdzie stał, rozsypując pionki. Opanowało go takie zmęczenie, że nie był się już w stanie poruszyć, a gdy wrócił Wulfe, zastał go śpiącego.

Następnaj nocy draugra wróciła, by znów zagrać.

Smoczy okręt płynął przez nierzedniejącą mgłę. Skylan w ogóle nie widział słońca i liczył dni, robiąc nacięcia na nadburciu. Draugra przychodziła każdej nocy i choć Wulfe bał się jej bardzo i chciał, żeby już przestała ich nawiedzać, cieszył się trochę, że nie musi grać ze Skylanem w smocze kości. Po trzech nocach Skylan wyrzucił planszę i pionki do morza.

Następnego wieczora plansza i kości leżały na swoim miejscu, a obok siedziała draugra. Rozgrywali teraz co wieczór tylko jedną partię i prawie zawsze wygrywała Draya, tylko czasem udawało mu się doprowadzić do remisu. Nigdy jeszcze nie zdołał z nią wygrać.

Wciąż grała pięcioma kośćmi. Uparła się, że będą grać w taką wersję, i nawet robiła z tego małą ceremonię na samym początku: ustawiała sobie pięć kości, z przesadnym namysłem brała jedną po drugiej i rzucała na stół. Upierała się, żeby Skylan też kładł swoje pięć przed sobą, i patrzyła z uwagą, jak zbiera je jednym ruchem i bezmyślnie rzuca wszystkie naraz.

Poza nocnymi grami, których Skylan bał się całym sercem i całą duszą, na pograżonym we mgle okręcie nie było właściwie co robić. Jadł, spał i rozmawiał z Wulfe'em. Chłopiec opowiadał mu o różnych wydarzeniach ze swego jedenastoletniego życia. Skylan wolałby może usłyszeć prawdę, ale bajki chłopca były przynajmniej ciekawe.

– Mieszkałem z druidami, odkąd mnie znaleźli u wilków, gdy miałem cztery lata.

– U wilków? Coś ty robił u wilków?

– Wychowywały mnie.

Skylan się roześmiał.

– Wychowały cię wilki?

– Tak, były moją rodziną – powiedział Wulfe ze smutkiem, który zawsze go opadał, gdy o tym myślał. – Jeden z nich był moim ojcem.

Skylan parsknął śmiechem.

– Nie kłamie! – obruszył się Wulfe.

– Myślisz, że uwierzę w to, że twój ojciec był wilkiem?

– Mój ojciec nie był nim zawsze. Kiedyś był Brzydalem tak jak ty. Pewnego dnia był w lesie, polował na jelenia i nie patrzył zupełnie, gdzie idzie. Wdepnął w krąg z grzybów...

Skylan pokręcił głową. Wszyscy wiedzieli o tym kręgu, o czarodziejskim kręgu z grzybów, który był śmiertelnością pułapką zastawianą przez leśne stworzenia.

– I co się stało? – spytał.

– Próbował uciec, ale im bardziej się kręcił, tym bardziej tonął. Był już pogrążony po szyję, gdy wyciągnęły go leśne stworzenia. Związały go pajęczyną i zabrały do swego królestwa, gdzie zrobiły z niego niewolnika. Pracował w pałacu królowej i tam poznał moją matkę. Była księżniczką i najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Nigdy przedtem nie widział żadnego śmiertelnika, bo leśna królowa trzymała swoją córkę z dala od Brzydali...

– Dlaczego tak nas nazywasz? – przerwał mu Skylan.

– Bo tak na was mówią w lesie – wyjaśnił Wulfe.

– Nie jesteśmy brzydacy – zaprotestował Skylan.

– Jesteście, w porównaniu z leśnym ludem.

– A skąd to niby wiesz? Przecież w życiu nie widziałeś żadnego z tych stworzeń! – wyśmiał go Skylan.

– Widziałem moją matkę, a ona jest piękniejsza od najpiękniejszej kobiety, jaką znasz. Widziałem też moją babkę, ale ona była straszna. Mam dalej opowiadać czy nie?

– No, opowiadaj, opowiadaj. I tak nie mam co robić – powiedział Skylan i westchnął.

– Ojciec zakochał się w matce, a ona w nim. Długo trzymali swoją miłość w sekrecie, ale potem moja matka odkryła, że wkrótce przyjdę na świat, i wpadła w popłoch. Wiedziała, że leśna królowa będzie wściekła, gdy się dowie, że jej córka powije Brzydala. Moi rodzice próbowali uciec, ale złapali ich strażnicy z pałacu babki. Takie straszne pająki, które związały ich pajęczynami. Królowa zamknęła moją matkę, a na ojca i jego rodzinę rzuciła czar, który wszystkich ich zmienił w wilki. Gdy tylko się urodziłem, babka oddała mnie na wychowanie watasze wilków. Zakazała matce nawet na mnie spojrzeć i w ogóle się do mnie zbliżać. Matka jednak nie posłuchała jej i przychodziła do mnie w nocy, żeby mnie przytulić i śpiewać mi piosenki.

Na policzku chłopca błysnęła łza.

– Matka była tak nieszczęśliwa, że pewnej nocy zabrała mnie do leśnego królestwa i pokazała babce. Miała nadzieję, że gdy królowa mnie zobaczy, wzruszy się, wybaczy matce i pozwoli nam mieszkać razem. Ale babka mnie znienawidziła. Powiedziała, że jestem najbrzydszym Brzydalem, jakiego w życiu widziała. Matka płakała i błagała ją o litość, ale babka mnie wyrzuciła. Mieszkałem więc u wilków, aż znaleźli mnie druidzi i zabrali do siebie. Nigdy już nie zobaczyłem ani matki, ani ojca.

– I jakie wydało ci się życie u druidów po tym, jak tyle lat mieszkałeś z wilkami? – zażartował Skylan, ale chłopiec potraktował to pytanie poważnie.

– Nie cierpiałem go – powiedział, a potem wzruszył ramionami i dodał: – Ale myślę, że druidzi też mnie nie cierpieli. Sprawiałem im tyle kłopotów. Chodziłem na czworaka, rozrywałem ubrania i robiłem kupę na podłogę. Jadłem tylko surowe mięso i co chwilę im uciekałem.

– Ale teraz zachowujesz się i wyglądasz zupełnie jak jeden z nas – zauważył kąśliwie Skylan. – Jak Brzydał.

– Czasami tak – wymamrotał Wulfe. – A czasami nie. – Złożył usta w ciup. – Nie wierzysz mi, prawda?

– Myślę, że masz wspaniałą wyobraźnię. Mógłbyś być świetnym bardem...

– Tak? To patrz!

Wulfe podskoczył na równe nogi, ściągnął szatę przez głowę, zrzucił ją na ziemię i zaczął hasać wokół na czworaka. Skylan patrzył ze zdumieniem. Nagi chłopiec nie poruszał się jak niemowlak, ale pewnie opierał się na przodostopiu i biegał z kolanami ugiętymi, tyłem lekko w górze, a głową pochyloną do dołu. W tej pozycji poruszał się szybciej, niż większość ludzi zdołałaby biec na dwóch nogach.

– Jak to robisz? – spytał Skylan.

– Wilki biegają na czterech łapach – wyjaśnił Wulfe. – Nie znałem innego sposobu poruszania się. Myślałem, że jestem wilkiem tak jak one.

Westchnął ze smutkiem i wstał. Nie wydawał się zawstydzony czy zaniepokojony swoją nagością. Było mu jednak zimno, więc włożył znów swoje szaty.

– Popatrz na to, jeśli nadal mi nie wierzysz – powiedział i pokazał Skylanowi swoje dłonie. Były twarde i pokryte dużymi odciskami, tak że przypominały psie łapy. Skylan popatrzył na bardzo długie paznokcie chłopca, spojrzał w jego dziwne, żółte oczy i nagle wyobraził sobie, jak biega z watahą wilków.

– A druidzi nazwali cię Wulfe, bo...

– Bo znaleźli mnie u wilków, ty głupku – zdenerwował się chłopiec i zmarszczył brwi. – Nigdy jeszcze nikomu nie opowiedziałem tej historii. Druid powiedział, że nie powinienem. Że ludzie mnie znienawidzą. Że będą myśleć, że jestem wilkołakiem. Będą się mnie bać i zrobią mi krzywdę. Myślisz, że jestem wilkołakiem?

– Ty myślisz, że ja jestem mordercą, prawda? – odpowiedział mu Skylan.

– Może.

– Boisz się mnie?

– Trochę.

– Ja chyba też się ciebie trochę boję – uspokoił go Skylan z uśmiechem. – Ale nie zrobię ci krzywdy.

– Ja tobie też nie – zapewnił go serdecznie Wulfe.

Skylan mało się nie roześmiał, ale spojrzał na chłopca o dziwnych, żółtych oczach, który umie biegać jak wilk, i śmiech zamarł mu na ustach.

Zjedli wilgotne od mgły jedzenie i ponieważ nie było już zupełnie co robić, poszli spać. Skylan patrzył, jak Wulfe chodzi w kółko po swoich kocach, moszcząc sobie legowisko, i dopiero potem się w nim układa. Chłopiec od razu zapadł w głęboki sen. Gdy spał, jego ręce i nogi drżały czasem i warczał nieco przez sen. Skylan postanowił spać na pokładzie.

Leżał tak i nie mógł zasnąć. Słuchał, jak przepływa woda pod kilem, czuł kołysanie statku i wpatrywał się w ciemność, która była gęsta, mokra i lepka od mgły.

Smoczy okręt płynął w niej jak duch.

Rozdział 15

Wilgotna i zimna mgła napłynęła z północy i zasłoniła morze, a potem wpełzła na ląd i zakryła szarą, oślepiającą chmurą całą Ludę. Przyszła tak szybko, że zaskoczyła ludzi pracujących w polu, przesłoniła słońce, ukryła punkty orientacyjne. Ludzie gubili się, szli drogą na wschód, myśląc, że idą na zachód, kluczyli po lesie, do którego wcale nie chcieli iść, podchodzili za blisko ostrych klifów.

Ci, którzy zostali we wsi, rozpalili wielkie ogniska i zaczęli dzwonić jak najgłośniej, by krewni dotarli jakoś do domu. Norgaard podziękował Torvalowi, gdy wreszcie ostatnia zagubiona dusza znalazła drogę do wsi. Ludzie stali na progach domów, patrzyli na kłęby mgły płynące po ulicach i zastanawiali się z niepokojem, co zapowiada tak dziwna pogoda. Vindrasi byli przyzwyczajeni do mgły, ale tylko zimowej. Nikt nie pamiętał, by coś takiego wydarzyło się o tej porze roku, szczególnie zaraz po słonecznych, upalnych dniach.

Wśród tych, których mgła zaskoczyła poza wsią, byli Garn i Aylaen. Im jednym wcale ona nie przeszkadzała. Pracowali w polu, ale gdy mgła zmusiła ich do przerwania pracy, wymknęli się do swojej kryjówki w gaju.

Małżeństwo Skylana usunęło ostatnią przeszkodę do ich szczęścia, a przynajmniej Aylaen udało się przekonać Garna, że tak właśnie jest. Garn wiedział, że Skylan nie przepada za Drayą, wiedział, że jego przyjaciel wciąż kocha Aylaen, i mimo że miłość Skylana nie miała teraz już szans, Garn czuł w głębi duszy, że zdradza przyjaciela, kochając wybrankę jego serca.

Aylaen wyśmiała jego wątpliwości i zaprowadziła go do zagajnika zwanego Gajem Zakochanych. Tego dnia było upalnie i bezchmurnie. Gdy dotarli do gaju, Aylaen odpięła broszki i zdjęła fartuch i koszulę. Rozpuściła swoje długie włosy i stanęła przed nim naga.

– Kocham cię – powiedziała po prostu, wyciągając do niego ręce.

Garnem zawładnęła namiętność. Zostali kochankami i nie było dnia, by nie udało im się wymknąć i znaleźć ukojenia w swoich ramionach.

Aylaen miała powody, by oddać się Garnowi, ale nie powiedziała mu o nich. Jako że mężczyzna, któremu została obiecana, był teraz żonaty, Aylaen wróciła na rynek panien na wydaniu. Jej ojczym Sigurd szukał jej męża. Oczywiście nawet nie brał pod uwagę Garna, który był sierotą bez ziemi i jakiegokolwiek majątku. Gdyby jednak Aylaen zaszła z nim w

ciężę, Sigurd nie miałby wyboru i musiałby zezwolić jej na ślub z ojcem dziecka. Byłby oczywiście wściekły, ale Aylaen nic to nie obchodziło. A niech się wścieka. Nawet jeśli ją pobije, ona wygra, bo będzie miała Garna i dziecko. Dlatego bardzo się rozczarowała, gdy po dwóch tygodniach poczuła ból brzucha, który niechybnie zwiastował nadejście krwawienia.

Pocieszała się, że ma czas. Nawet jeśli Sigurd znajdzie jakiegoś kandydata, negocjacje trwały nierzadko całe miesiące.

Tego dnia, gdy na ziemię zeszyły chmury, uśmiechnęli się z Garnem do siebie i skryli pod mgłą jak pod wełnianym kocem. Leżeli spleceni, grzejąc się nawzajem. Dopiero gdy usłyszeli dzwony – ciche, rozpaczliwe nawoływania – Garn uświadomił sobie, że ludzie zauważą ich nieobecność i będą się martwić. Norgaard może nawet wysłać kogoś na poszukiwania.

Aylaen usiłowała przeturlać go z powrotem na siebie.

– Nie musimy iść. Mamy jeszcze czas – prosiła.

– Ludzie się pogubili – powiedział Garn. – Jak dziwnie brzmią te dzwony we mgle – dodał, wkładając spodnie. – Zupełnie nie jak dzwony, raczej jak jakieś demony.

– Dzwony jak dzwony – mruknęła urażona Aylaen.

Garn chciał pomóc jej wstać, ale wyrwała mu się i włożyła spódnice na gołe nogi. Jednak gdy zobaczyła, że jej kochanek się uśmiecha, rozpromieniła się od razu, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała namiętnie. Trzymając się mocno za rękę, poszli wąską ścieżyną, która wyprowadziła ich z gaju. Mgła była tak gęsta, że ledwo znajdowali drogę w lesie.

– Nasze życie jest jak taki spacer we mgle – powiedział Garn. – Zakryci przed czasem, żyjemy tylko daną chwilą. Przed nami nie ma nic i nic nie ma za nami. Jeśli tylko się obrócę, będę zgubiony. Jeśli choć na chwilę puszczę twoją dłoń, znikniesz. Jeden krok i spadnę w przepaść...

– W tym lesie nie ma żadnej przepaści – zauważyła trzeźwo Aylaen. – I wcale się nie zgubiliśmy. Ta ścieżka prowadzi prosto do drogi, a gdy tylko będziemy na drodze, skęcimy w prawo i zaraz będziemy we wsi. Cholerne jeżyny! – Zaczęła ssać krew z długiego zadrapania na dłoni. – Nie gadaj głupot, tylko patrz, gdzie leziesz, Garn. Wpakowałeś mnie w krzaki!

Doszli wreszcie do drogi i skręcili w prawo, lecz w zakrytym chmurami świecie nic nie wyglądało tak, jak powinno, więc choć Aylaen była prawie pewna, że idą w dobrym kierunku, cieszyła się, że słyszą dzwonki i nawoływania ludzi ze wsi.

Po chwili zobaczyli ogniska – pomarańczowe smugi w morzu szarości – i odetchnęli z ulgą. Na widok matki i Sigurda stojących przy ogniu Aylaen szybko puściła dłoń Garnu.

– Nikt nie powinien widzieć nas razem. Do zobaczenia jutro, najdroższy!

Garn posłusznie został w tyle i pozwolił jej pójść przodem. Była już dość blisko ogniska, choć szła bardzo powoli, wcale nie mając ochoty spotkać ojczyma, gdy czyjaś ręka chwyciła ją mocno.

– Aylaen! Jesteś nareszcie! Tak się cieszę! – szepnęła rozgorączkowana Treia. – Wszędzie cię szukałam!

Aylaen popatrzyła na nią zdumiona. Jej siostra, tak zawsze spokojna i opanowana, drżała okropnie.

– Treiu, co się stało?

Kapłanka rozejrzała się wokół, uświadomiła sobie, że ludzie na nie patrzą, i się zawahała.

– Nic nie widzę w tej mgle – powiedziała w końcu. – Musisz być moimi oczyma.

– Oczywiście, Treiu – szepnęła Aylaen i mocno chwyciła dłoń siostry. – To nie ten skręt – powiedziała po chwili. – To nie jest droga do domu.

– Wiem. Nie idziemy do domu. Idziemy na brzeg – syknęła Treia.

– Dlaczego? – zdziwiła się Aylaen, lecz siostra zbyła ją milczeniem.

Zacisnęła tylko palce na ręku Aylaen, wbijając paznokcie w jej dłoń. Aylaen przyszło do głowy, że może rybacy wyszli w morze i zgubili się we mgle, ale gdyby tak było, ludzie rozpaliliby ogniska przy brzegu, by pomóc im dotrzeć do domu, a nikt tego nie robił.

Siostry szły w milczeniu. Treia nie chciała nic mówić, a Aylaen znów myślała o Garnie, o dotyku jego rąk, o żarze jego pocałunków.

Treia przerwała nagle milczenie, mówiąc:

– Wzięłaś sobie Garna na kochanka, prawda?

Zaskoczona Aylaen nie wiedziała, co powiedzieć. Tak by chciała zwierzyć się wyrozumiałej i serdecznej siostrze. Treia jednak nie należała do tego typu sióstr. Zawsze odrzucała wszelkie próby zwierzeń i bliskości.

– Widziałam, jak wychodziliście razem z lasu. – Treia obrzuciła Aylaen spojrzeniem pełnym pogardy. – A twoja suknia jest z tyłu cała w liściach i błocie.

Aylaen spłonęła się i zaczęła rozpaczliwie strzepywać dowody zbrodni.

– Sigurd nigdy nie pozwoli ci za niego wyjść – stwierdziła Treia.

– Pozwoli, jeśli będę nosić pod sercem dziecko Garna – powiedziała Aylaen i odrzuciła w tył rude włosy.

Treia spojrzała na nią surowo.

– A więc o to chodzi.

– Kocham go! – dodała Aylaen, znów się rumieniąc. – Kocham Garna całym sercem.

– On tymczasem kocha cię całym sobą. Wkrótce zrozumie, co mu zrobiłaś, jak go wykorzystałaś. Zniszczysz go.

– Mówisz tak, bo jesteś zazdrosna! – krzyknęła dotknięta do żywego Aylaen. – Zazdrościsz mi, bo nikt ciebie nie kocha!

Treia zbladła. Zacisnęła usta. Puściła dłoń Aylaen i ze złością ruszyła przed siebie.

– Treiu! Przepraszam! – zawołała Aylaen z rozpaczą i pobiegła za siostrą. – Nie chciałam! Znajdziesz sobie kogoś. Jestem pewna, że znajdziesz.

– Nie bądź śmieszna – prychnęła Treia. – Sigurd mówi, że jestem za stara i półślepa.

– Sigurd ma zamiast mózgu krowie łajno! – zezłościła się Aylaen.

Trei zdrząły kącki ust. Rzadko się uśmiechała i prawie nigdy się nie śmiała, ale tym razem niemal to zrobiła. Aylaen złapała ją mocno za rękę i razem weszły na wydmy. Plaża pogrążona była w upiornej ciszy. Powietrze było ciężkie i gęste, a woda zupełnie spokojna. Ledwie dostrzegalne fale zostawiały nieco piany na piasku.

Mgła wiła się na płaskiej, szarej wodzie. Ogniska nie były potrzebne. Rybacy dojrżeli zbliżającą się mgłę na czas i udało im się dobić bezpiecznie do brzegu. Teraz Treia i Aylaen były jedynymi osobami na całej plaży i Aylaen poczuła się nieswojo, bo nie rozumiała zupełnie, po co tu przyszły.

Treia puściła rękę siostry i utkwiała wzrok we mgle. Mrużyła rozpaczliwie oczy i wyglądała na bardzo sfrustrowaną.

– Widzisz coś? – spytała siostrę.

– A co takiego miałabym widzieć? – zapytała Aylaen, lecz nagle urwała zdumiona.

Z mgły wyłaniał się smoczy okręt, jakby nagle na oczach dziewczyny zrodził się z chmur.

– Widzę okręt – szepnęła.

– Tak, teraz i ja go widzę – zgodziła się Treia.

Smoczy okręt był coraz bliżej. Aylaen popatrzyła na pokład i zaczęła dygotać ze strachu.

– Treiu, tam nikogo nie ma. To statek widmo!

– To okręt Skylana, *Venjekar* – stwierdziła z przerażającym spokojem Treia.

– Ależ Skylan wypłynął z liczną załogą – wybąkała Aylaen. – I była z nimi Kapłanka Kai. Gdzie się wszyscy podziali? Musiało stać się coś strasznego! Dlaczego smoczy okręt wróciłby bez nich?

– Biegnij po Norgaarda – rozkazała Treia.

Aylaen zawahała się, a potem zakasała spódnicę i popędziła przez wydmy, nawołując wodza.

Treia stała na mokrym piachu i patrzyła na zbliżający się okręt.

– Statek widmo – powtórzyła. – Tak. Oto co zostało z potęgi Vindrasów.

Tłum na plaży w milczeniu patrzył, jak Garn, Bjorn i kilku innych wojowników schodzą do wody i zbliżają się do okrętu. Wojownicy byli uzbrojeni i czujni. Smok Kahg nigdy nie pozwoliłby wejść wrogowi na pokład, ale smoki są stworzeniami śmiertelnymi. Być może Kahg nie żyje. To może być pułapka. Wszyscy przecież pamiętali historię klanu Olfet.

Dawno temu ich smoczy okręt został zaatakowany na morzu przez cyklopów. Jednoocy weszli na pokład, zamordowali smoka i załogę, a potem przybili do brzegu krainy Vindrasów. Gdy ludzie z klanu Olfet zobaczyli pusty okręt, weszli natychmiast na pokład. Cyklopi leżeli przyczajeni na pokładzie i na widok ludzi zerwali się i wymordowali wszystkich. Klan Olfet zniknął z powierzchni ziemi i pozostała po nim tylko przestroga.

Garn chwycił za krawędź burty i podciągnął się powoli na rękach. Zajrzał na pokład. Wyglądało na to, że okręt jest zupełnie pusty, a w każdym razie wróg nie czaił się na

pokładzie. Kość ducha wisiała na swoim miejscu. Oczy smoka Kahg wpatrywały się w mgłę. Garn wskoczył na pokład i dał znak pozostałym, by weszli za nim. Próbowali zachować ciszę, ale drewniane deski pokładu zaskrzypiały pod ich ciężarem. Statek zakołysał się na falach.

Garn zobaczył stertę koców i pochylił się, żeby pod nie zajrzeć. Usłyszał coś i zamarł. Jakiś odgłos dobiegał spod pokładu – tupot stóp i uderzenie, jakby ktoś nie mógł znaleźć drogi w ciemnościach i na coś wpadł.

Garn odwrócił się w stronę Bjorna i Erdmuna.

– Ktoś jest na dole! – powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem i wskazał na klapę.

Podeszli na palcach i stanęli nad klapą, nasłuchując. Cisza. Garn nakazał Bjornowi i Erdmunowi stanąć po obu stronach kłapy z toporami w dłoniach. Garn chwycił za uchwyt na klapie i pociągnął mocno. Otworzywszy luk, odskoczył do tyłu gotowy do walki.

– Kto to? Kto tam? – zawołał męski głos.

– Skylan?! – krzyknął Garn, zagładając w głąb ciemności. – Nic ci nie jest?

Na szczeblach drabiny pojawił się Skylan z mieczem w dłoni. Włosy miał potargane, twarz opuchniętą od snu. Patrzył na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Garn? – spytał zaspianym głosem i opuścił miecz. – Czy to naprawdę ty, czy śnię?

Garn zeskoczył na dół po drabinie.

– Jesteś w domu, przyjacielu!

Skylan spojrział na niego, a potem rzucił miecz i zakrył twarz dłonią.

– Torwalowi niech będą dzięki! – wyszeptał. – Nie wierzyłem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę!

Garn popatrzył na przyjaciela zdziwiony i zaniepokojony. Jego ramiona i tors pokryte były pręgami i ranami. Twarz miał posiniaczoną, a z brzydkiej rany z tyłu głowy sterczały kawałki włosów i skóry.

– Skylan, gdzie są wszyscy? – spytał Garn. – Co się stało? Gdzie Kapłanka Kai?

Skylan tylko pokręcił głową.

– Czy jest tu mój ojciec?

– Tak, czeka na brzegu.

– Muszę z nim pomówić – powiedział Skylan. Schylił się po miecz i to o czymś mu przypomniało. Zaczął się rozglądać po ładowni.

– Wulfe? – zawołał. – Gdzieś ty się podział?

Nikt nie odpowiedział, więc Skylan odwrócił się w stronę Garna.

– Widziałeś chłopca na pokładzie?

– Nie – odrzekł zaintrygowany Garn. – Jakiego chłopca?

– Pewnie się ukrył – stwierdził Skylan i uśmiechnął się do siebie. – No, tak, oczywiście. To przez wasze miecze. Wystraszyliście go. – Odwrócił się i głośniejszym głosem zawołał: – To moi przyjaciele, Wulfe! Nic ci nie grozi.

– Kim jest ten cały Wulfe? – chciał wiedzieć Garn.

– To dziwny dzieciak. Chyba jest trochę szurnięty, ale nieszkodliwy. Był mi dobrym przyjacielem. Doglądał mnie w chorobie. Powiedz wszystkim, że jest pod moją ochroną.

Jeszcze raz zawołał Wulfe'a, a gdy nikt nie odpowiedział, wzruszył ramionami.

– Pewnie znajdzie się, gdy zgłodnieje. – Westchnął i wyprostował się, przygotowany na trudne zadanie. – A teraz muszę przekazać ojcu i wszystkim te straszne wieści.

– Draya? – spytał Garn.

– Nie żyje. Zginęli wszyscy. Ich ciała spoczywają na dnie Morza Hesvolmskiego.

Rozdział 16

– Gdy dotarliśmy do Smoczycch Wysp – opowiadał Skylan – nie wyciągnęliśmy smoczego okrętu na brzeg, ale zostawiliśmy go na kotwicy. Coś było nie tak. Miałem złe przeczucia. Draya podzielała mój niepokój i zdecydowała się zostać na okręcie, gdy tymczasem my zeszlśmy na brzeg. Gdy tylko weszliśmy na plażę, zrozumiałem, że wyprawa na Smocze Wyspy była strasznym błędem.

Skylan przerwał, by napić się piwa. Nikt się nie odezwał. Torgunowie słuchali z uwagą w pełnej skupienia i szacunku ciszy. Nikt mu nie przerwał. Nikt nie wyraził żadnych wątpliwości czy niedowierzania. Skylan opowiadał swoją historyjkę bardzo przekonująco. I nic dziwnego – spędził nad nią wiele czasu, bez końca powtarzając sobie na smoczym okręcie ten stek kłamstw, udoskonalając każdy szczegół tak, że niemal sam zaczął w to wszystko wierzyć.

– Na piasku zobaczyliśmy dziwny ślad – ciągnął. – Z początku nie wiedzieliśmy co to takiego. Był wielki, tak duży jak ten dom. To nie było normalne. Popatrzyłem na ślad. Popatrzyłem na jego kształt. I nagle zrozumiałem. Był to odcisk stopy. Stopy tak wielkiej jak ten dom. – Skylan zamilkł na chwilę dla większego efektu, a potem ściszym głosem dodał: – Był to ślad olbrzyma.

– Olbrzyma? – Erdmun roześmiał się z niedowierzaniem, a z nim wielu młodych wojowników.

Starsi uciszyli ich ze złością.

– Czy śmiejesz się z Torvala? – spytał Norgaard z naganą w głosie, patrząc na Erdmuna, który usiłował się skryć przed gniewem wodza za plecami starszego brata. – To Torval dał olbrzymom Smoczą Wyspę. W zamian stoją oni na straży świątyni Vektii.

– Przyznam, ojcie, że i ja nie wierzyłem w te stare opowieści – rzekł Skylan. – Powinienem być uważniej ich słuchać.

Prawda była natomiast taka, że to właśnie opowieści Norgaarda natchnęły Skylana do zmyślenia tej historii. Według legendy na straży świątyni Vektii stoją olbrzymy. Nikt ich nigdy jednak nie widział i wielu Vindrasów, w szczególności tych młodszych, powątpiewało w ich istnienie.

Legenda o olbrzymach wspianale Skylanowi pasowała do jego celów. Przede wszystkim wierzył w nią jego ojciec oraz inni starzy wojownicy. Łatwo też było wyjaśnić to, że nikt ich nie widział od pokoleń. Olbrzymy pojawiały się tylko wtedy, gdy świątyni Vektii groziło jakieś niebezpieczeństwo.

– Nim się obejrzelśmy – snuł swoją opowieść Skylan – z nieba spadła na nas włócznia wielkości potężnego dębu. Powaliła trzech moich wojowników. Z lasu wypadły olbrzymy. Miały przy sobie włócznie i maczety, ale po co im broń? Wystarczyło im stanąć na moich ludziach i większość z nich zginęła na miejscu, zgnieciona na krwawą miazgę. Duża część poległa, nim w ogóle pojęła, co się dzieje.

– Ale dlaczego olbrzymy miałyby nas zaatakować? – nie mógł pojąć Norgaard. – Nie złamaliśmy prawa... – Urwał w pół zdania.

– Jak już się pewnie domyślasz, ojczu, chodzi o Torques Vektyjski – rzekł Skylan. – Walczyłem z tymi potworami. Draya była jeszcze na pokładzie, próbowała wezwać smoka Kahg. Nim jednak zakończyła swoje zaklęcia, jeden z olbrzymów pochwycił ją w swoje łapska. Walczyłem o nią jak mogłem – dodał ciszej. Choć to jedno było prawdą. – Próbowałem ją uratować. Ale olbrzym cisnął nią o ziemię, łamiąc jej kręgosłup. Nie była się już w stanie poruszyć. Umarła w moich ramionach.

Kobiety ocierały łzy. Mężczyźni tarli nosy. Aylaen łkała rozdzierająco. Norgaard patrzył ponuro. Skylan nie odważył się spojrzeć na Garna. Posępną ciszę przerwała Treia. Wydawało się, że te straszne wieści przyjmuje nadzwyczaj spokojnie.

– Olbrzymy zabiły Kapłankę Kai i wszystkich twoich ludzi. Jak to się stało, że ty przeżyłeś?

Skylan spodziewał się, że prędzej czy później padnie takie pytanie.

– Pragnąłem umrzeć wraz z nimi – powiedział z rozpaczą. – Chciałem poprowadzić moich wojowników przed oblicze Torwała. Ale nie dano mi szansy.

Wstyd i rozpacz chwyciły go za gardło i nie był w stanie dokończyć swojej opowieści. Jego uczucia były szczere, nawet jeśli opowieść mijała się z prawdą. Przecież naprawdę stracił swych ludzi. Naprawdę musiał patrzeć na śmierć Draia. Naprawdę próbował uratować żonę i nie udało mu się. Prawda i kłamstwo zaczęły mieszać się w jego głowie.

– Rzuciłem się w stronę olbrzymów, wyzywając je do walki, ale tak jak my, Vindrasi, zostawiamy zawsze w bitwie jednego wroga, by zaniósł wieści do swego ludu, tak i olbrzymy zostawiły mnie przy życiu. Wysłały mnie do domu z taką wiadomością: ponieważ Horg wydał Torques Vektyjski w ręce wroga, bogowie przeklęli nas. Nie mamy się pokazywać na Smoczycach Wyspach, póki nie odzyskamy torquesu od ogrów.

Skylan uważał, że to kłamstwo wyszło mu najlepiej. Vindrasi będą musieli natychmiast zacząć działać. Skylan odzyska torques, a dzięki temu zasłuży sobie na wybaczenie Torwała. Wszystkie jego kłamstwa, błędy i pomyłki pójdą w zapomnienie.

Wyciągnął miecz i uniósł go wysoko nad głowę.

– Przysięgam na Torwałę, że nim znów wszędzie księżyc, smocze okręty Vindrasów wypłyną na wojnę. Ja, Wódz Wodzów, poprowadzę naszych wojowników do bitwy! Odnajdziemy krainę ogrów, pokonamy je i odzyskamy nasz święty torques! Potem popłyniemy na Smocze Wyspy i złożymy go w darze naszym bogom!

Torgunowie zawiwatowali. Wojownicy zaczęli tupać w podłogę i uderzać w stoły. Dom Wodza zatrzęsł się od ich bojowych okrzyków. Minęło wiele lat, odkąd Vindrasi szli na wojnę.

Tylko dwie osoby nie dołączyły do ogólnego entuzjazmu. Aylaen stała z dłońmi przy sobie i zacisnęła pięści. Przy niej stał zatroskany Garn. Powiedział coś do niej, ale nie chciała na niego patrzeć.

Torgunowie zebrali się wokół Skylana, składając mu kondolencje i obiecując pomoc. Młodzi wojownicy cisnęli się do niego i każdy z nich miał nadzieję, że zostanie wybrany na tę wspaniałą podróż, która będzie przecież opiewana w pieśniach przez wieki.

Skylan odwrócił się od nich. Był w ponurym nastroju i marzył o tym, by zostawili go w świętym spokoju. Nie umiałby powiedzieć, czemu opadł go taki smutek. Wszystko szło przecież po jego myśli. Ludzie mu uwierzyli. Kłamstwo się udało. Może w tym właśnie tkwił problem. Nie uratował tych, których obiecał chronić, a teraz wykorzystywał ich śmierć, by osiągnąć swoje cele. Był jak tchórzliwy wojownik na polu bitwy, który kryje się za ciałami swych poległych towarzyszy, modląc się, by nie dojrzał go wróg.

Garn oparł mu dłoń na ramieniu.

– Nie wyglądasz dobrze – powiedział. – Treia powinna wyleczyć ci rany.

– Nie chcę, żeby jakaś Kapłanka Kości modliła się nade mną – burknął Skylan. – Jestem po prostu zmęczony. Muszę iść do domu.

– Odprowadzę cię – zaproponował Garn.

– Nie potrzeba mi przewodnika.

– Myślałem, że może potrzeba ci przyjaciela – powiedział cicho Garn.

Skylan pokręcił głową.

– Trafię do domu.

Pożegnał się z ojcem i ruszył w stronę drzwi. Był już na progu, gdy do Domu Wodza wkroczył jakiś mężczyzna.

– Cóż widzę?! – zawołał przybysz donośnym głosem. – Jakaś uroczystość! Coś mi się zdaje, że wracam w samą porę!

Skylan popatrzył na niego przerażony. Był to Raegar. Mrugnął do kuzyna i minął go, wchodząc do środka.

– Norgaardzie Ivorsonie! – ryknął. – Kopę lat! Poznałbym cię na końcu świata! Niech cię uściskam, bracie mój!

Norgaard wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem otworzył oczy w zdumieniu.

– Raegar? Czy to ty?

– A któż by inny? – Raegar się roześmiał. – Nie ma to jak w domu!

Treia wiedziała, że Skylan kłamie. Ludzie są tacy naiwni. Uwierzyli nawet w tę całą historyjkę o olbrzymach. Nie знаła tylko powodu tego kłamstwa, ale mogła się go domyślać. Z pewnością chciał zatuszować zbrodnię, którą popełnił wraz z Drayą. Tych dwoje zmówiło się przecież i wspólnie zamordowało Horga. Treia nie wiedziała tylko jak. Nie miała też żadnego dowodu. Ale miała swoje podejrzania. A gdy już zdobędzie dowody, pójdzie do Kai i zdemaskuje ich oboje. Kai będą przerażone, ale także wdzięczne. Będą tak wdzięczne, że wybiorą Treię na nową Kapłankę Kai.

Nigdy przedtem Treia nie miała takich ambicji. Wiedziała, że nie ma żadnych szans. Kapłanki nie lubiły jej. W normalnych okolicznościach nawet by jej nie brały pod uwagę.

Ale okoliczności dawno przestały być normalne. Draya nie wyznaczyła żadnej następczyni. A nawet gdyby to zrobiła, kiedy Kai odkryją, że zamordowała Horga i sfalszowała wyrok Torwała, przeklną ją. Będzie tak, jak gdyby nigdy jej nie było.

Treia powzięła podejrzania, bo Horg zachowywał się podczas pojedynku bardzo dziwnie. Nie widziała zbyt dobrze, ale przecież po tylu latach uzdrowicielskiej praktyki nie trzeba jej było wiele, by rozpoznać chorego człowieka. Horg zachowywał się jak ktoś, kto się struł – łapał się za brzuch, zataczał, wymiotował. Skylan nie zadał mu żadnej poważniejszej rany, tego Treia była pewna. Ludzie nawet się temu dziwili. Im dłużej Treia o tym myślała, tym bardziej była pewna, że został otruty. Upewniła się co do tego, gdy Draya tak prędko zakryła ciało, żeby nikt na nie nawet nie spojrział, a potem kazała smokowi się go pozbyć.

Treia zastanawiała się, czy się podzielić z innymi tymi wątpliwościami, i zrobiłaby to, gdyby ktokolwiek cokolwiek powiedział, ale nikt tego nie uczynił, więc milczała. Ludzie byli zadowoleni z decyzji bogów. Nie lubili Horga, za to lubili Skylana. To się jednak zmieni, gdy tylko Treia zdobędzie dowody.

Wymknęła się z Domu Wodza i przyświecając sobie pochodnią, poszła pustymi ulicami w stronę brzegu. Musi znaleźć jakiś dowód na to, że Skylan kłamie. Inaczej nikt jej przecież nie uwierzy.

Venjekar stał na plaży na kilu. Wiatr uniósł już mgłę. Chudy księżyc zalewał brzeg bladą poświatą. Gwiazdy były zimne i odległe. Ponure morze poruszało się nieprzyjemnie. Gdy Treia weszła na pokład okrętu, poczuła na sobie wzrok Kahg.

Treia chwyciła smoczą kość, zdjęła ją z gwoździa na galionie, zacisnęła dłoń i odważnie stanęła twarzą w twarz ze smokiem.

Wulfe siedział skulony w ładowni i bał się poruszyć. Ci straszni wojownicy z okropnymi mieczami i włóczniami z zabitych drzew przstraszyli go na śmierć. Uciekał w takim popłochu, że potknął się o taboret, przewrócił go i narobił tyle huku, że wojownicy zeszli na dół.

Nieco pocieszało go to, że Skylan wyraźnie uradował się na widok tych ludzi. Byli jego przyjaciółmi, a nie wrogami. Skylan nawet go zawołał, ale Wulfe był zbyt przerażony, by wyjść z kryjówki. Siedział za jakimiś beczkami i odetchnął trochę dopiero, gdy zeszli z okrętu.

Teraz jednak był już bardziej głodny niż przerażony, ale wciąż bał się, że gdy tylko zejdzie na brzeg, wojownicy go złapią i zabiją. Skylan tak barwnie opowiedział mu o tym, co Torgunowie zrobili z ogrami, które śmiały wejść na ich ziemię, że chłopiec wolał nie ryzykować. Poza tym miał nadzieję, że Skylan wróci po niego, ale mijały godziny, a przyjaciel się nie pojawiał.

Wulfe postanowił spać na pokładzie, bo uznał, że Skylan na pewno przyjdzie po niego o świcie. Już właśnie wziął się na odwagę, żeby wyjść z kryjówki, gdy usłyszał, że ktoś chodzi po pokładzie, i tak się przestraszył, że popędził z powrotem za beczki.

Ktoś mówił coś do smoka. To była kobieta. Nie draugra, ale prawdziwa, żywa kobieta. Jej głos był niski i Wulfe nie słyszał, co właściwie mówiła, ale po tonie słychać było, że zwraca się do smoka z szacunkiem.

Smok nie odpowiedział.

Ton głosu zmienił się na dość ostry.

Smok nadal milczał.

Kobieta zaczęła tupać ze złością, a jej słowa brzmiały jak rozkazy.

Wulfe czuł, że smok jest coraz bardziej zły. Chłopiec aż zadrżał ze strachu. Naprawdę by wolał, żeby ta kobieta przestała denerwować smoka i sobie już poszła. W końcu chyba się zorientowała, że nie powinna się tak zachowywać, bo zapadła cisza. Ale nie poszła sobie. Wulfe zobaczył światło pochodni zbliżające się do kłapy i uświadomił sobie z rozpaczą, że kobieta zamierza zejść do ładowni.

Zeszła powoli po drabinie, w jednej ręce trzymając pochodnię, a drugą podtrzymując szatę.

Wulfe poznał ją po szatach.

To jednak była draugra. Przyszła po niego.

Pisnął z przerażenia i wyskoczył zza beczek. Tak przestraszył draugrę, że mało nie wypuściła pochodni. Pchnął ją, że aż się cofnęła, i przebiegł obok. Zdążył się wspiąć na dwa szczeble drabiny, gdy poczuł, że na kostce zaciska mu się jej dłoń.

Wrzasnął jak opętany i piszczał rozpaczliwie jak zając, gdy wilk wbija mu kły w kark. Kopał z całych sił, by pozbyć się z nogi upiornej dłoni. Draugra pociągnęła, Wulfe stracił równowagę i runął w dół, aż wylądował na plecach u jej stóp.

Tylko że to nie była draugra. Teraz widział to wyraźnie. Była zwykłą, żywą kobietą, która gapiła się na niego zdumiona.

– Przestań się drzeć – rozkazała, więc Wulfe zamilkł. – Kim jesteś? Skąd się tu wzięłeś?
– spytała.

Wcale mu się nie podobała. Druidzi mówili, że Wulfe ma zwierzęcy instynkt, jeśli chodzi o ludzi. Może to dlatego, że tak dobrze czuł ich zapach. Ta kobieta na przykład wcale nie miała przy sobie żelaza, a jednak śmierdziała żelazem, jakby z żelaza była zrobiona jej dusza.

Nic dziwnego, że smok nie chciał z nią gadać. Wulfe postanowił przyjąć tę samą taktykę. Zacisnął usta i ani drgnął.

– Głuchy jesteś czy co? – Kobieta przyglądała mu się zmrużonymi oczami.

Wulfe pokręcił głową.

– Nie jesteś głuchy, tak? Słyszysz mnie? Umiesz mówić?

Wulfe przytaknął.

– Jesteś przyjacielem Skylana?

Znow kiwnął głową.

Głos kobiety stał się natychmiast niezwykle słodki, jakby próbowała obłaskawić warczącego psa.

– Nie bój się mnie. Także jestem przyjaciółką Skylana. – Wyciągnęła dłoń. – Mogę cię do niego zabrać, jeśli chcesz. Nikt cię nie skrzywdzi, póki będziesz ze mną.

Wulfe zignorował jej wyciągniętą dłoń, wstał i zachowując bezpieczną odległość, spytał:

– Mogę dostać coś do jedzenia?

Kobieta uśmiechnęła się sztywno.

– A więc rzeczywiście umiesz mówić. Mam na imię Treia, a ty?

Imiona mają moc. Wulfe przemilczał to pytanie.

Treia westchnęła głęboko i machnęła na niego ręką.

– Poczekaj na mnie na pokładzie. Zaraz do ciebie przyjdę.

Wulfe się zawahał, ale zrobił, co mu kazała. Wyszedł na pokład. Czuł się dziwnie na niekołyszącym się już okręcie. Słyszał, jak kobieta przeszukuje ładownię. Nie miał pojęcia, czego tam szuka, i wydawało mu się, że ona też go nie ma. Miał tylko nadzieję, że się pospieszy.

Treia wspięła się z powrotem po drabinie. Jej twarz wykrzywił przykry grymas. Wyglądała na poirytowaną. Na widok Wulfe'a próbowała się znow zmusić do uśmiechu, ale nie do końca jej się to udało.

– Chodź ze mną – rozkazała.

Podawała mu dłoń. Nie przyjął jej. Wzruszyła ramionami i przeszła przez pokład, a on za nią. Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na smoka, ale ten nie miał jej najwyraźniej nic do powiedzenia. Treia zacisnęła wargi.

– Jak się poznaliście ze Skylanem? – zagadnęła, gdy szli przez wydmy. Musiała się za nim oglądać, bo szedł kilka kroków za nią, wciąż zachowując bezpieczny dystans.

Wulfe udał, że nie słyszy. Widział sylwetki długich domów na de rozgwieżdżonego nieba. Skylan opowiadał mu dużo o tej wsi, o domu, o przyjaciółach, o ojcu i kobiecie, którą

kochał. Wulfe miał tylko nadzieję, że to nie ta kobieta. Ale nie wydawało mu się. Skylan powiedział, że tamta ma włosy koloru ognia. Ta miała kłaki koloru oślich sików.

Wciąż zadawała mu pytania i wszystkie dotyczyły Skylana. Wulfe wcale jej nie uwierzył, gdy powiedziała mu, że jest przyjaciółką Skylana. Gdyby nią rzeczywiście była, nie zadawałaby tylu pytań. Wolałby, żeby tyle nie mówiła. Jej głos był jak dżgający kij.

Weszli na ulice. Wulfe'owi ślinka nabiegła do ust, poruszyły mu się nozdrza. Czuł zapach mięsa i warzyw gotowanych w garnkach.

– Jestem bardzo głodny – powiedział. – I chcę się zobaczyć ze Skylanem.

Tym razem to Treia udała, że go nie słyszy. Patrzyła na dom na końcu ulicy. Był to największy budynek, jaki Wulfe w życiu widział. Drzwi były otwarte. Światło wylewało się na zewnątrz, a z nim hałas głosów, jakby wszyscy mówili naraz.

– Coś się stało – szepnęła Treia.

Wyciągnęła rękę i chwyciła Wulfe'a za ramię. Zaskoczony chciał się jej z początku wyrwać, ale ona ruszyła biegiem w stronę budynku, ciągnąc go za sobą, aż chłopiec pomyślał, że być może tam właśnie jest Skylan, a przynajmniej coś do jedzenia, więc pozwolił jej się trzymać, zastanawiając się jednak, po co ta kobieta tak go ściska. Jeśli obawiała się, że będzie miał trudności z dotrzymaniem jej kroku, to się grubo myliła. Umiał biec znacznie szybciej od niej. Szczególnie gdyby poruszał się na czterech łapach.

Kiedys jej jeszcze pokaże.

Torgunowie otoczyli Raegara, pokrzykując radośnie. Poklepywali go po plecach, częstowali jedzeniem i pić, przesunęli się na ławie, by mógł usiąść na honorowym miejscu.

Raegar uściskał Norgaarda, nazwał go bratem, a potem zupełnie naturalnym tonem spytał:

– A gdzie mój ulubiony kuzyn? Gdzie się podział mały Skylan?

Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Skylan wyszedł z tłumu. Raegar odegrał wielką scenę spotkania po latach, krzycząc, że ten przystojny mężczyzna nie może być przecież chudym, małym chłopcem, którego on pamięta. Nie mógł się nadziwić, że ten młodzieniec to rzeczywiście Skylan, a już popadł w zupełny zachwyt, gdy mu powiedziano, że Skylan jest teraz Wodzem Wodzów ludu Vindrasów.

Raegar uściskał kuzyna serdecznie.

– Nic się nie martw! Nie wydam twojej tajemnicy – szepnął Raegar, a Skylan poczuł jego oddech na swoim uchu.

Raegar uśmiechnął się szeroko, poklepał Skylana po plecach i odwrócił się z powrotem do Norgaarda.

Skylana wcale to nie uspokoiło. Wszystko, co robił i mówił Raegar, przypominało mu o tym, że ma tajemnicę, że Raegar ją zna i że może go wydać w każdej chwili. Skylan marzył o

tym, żeby pójść już do łóżka, ale nie mógł. Musiał znaleźć okazję, by porozmawiać z Raegarem na osobności i dowiedzieć się, po co jego kuzyn przyjechał do Ludy.

Wszyscy chcieli usłyszeć historię odnalezionego po latach krajana, a on opowiadał ją z wielką chęcią. Najpierw opisał, jak został ranny, jak niemal umarł, jak został wyleczony i sprzedany. Opowiadał o swoim nowym życiu na Ziemiach Południowych. Wszyscy słuchali jak oczarowani. Był już w połowie swojej opowieści, gdy w drzwiach stanęła Treia. Za rękę trzymała Wulfe'a.

– Skylanie – powiedziała, przerywając Raegarowi. – Ten chłopiec twierdzi, że cię zna.

Raegar urwał w pół zdania. Otworzył usta. Zerwał się na równe nogi i zrobił krok w jej stronę, jakby ciągnęła go jakaś niewidzialna nić.

Treia spojrzała na niego, a on nie spuszczał z niej wzroku.

– Zapomniałem już, jak piękne są Torgunki – wyszeptał. – Gdybym pamiętał, wróciłbym do domu choćby na kolanach.

Policzki Trei były zaczerwienione od biegu. Jej jasne włosy rozsypały się i zamiast w warkoczach, spływały luźno na ramiona. Oczy błyszczały w świetle ognia. Oddychała szybko. Nikt nigdy nie uważał jej za piękną kobietę, ale teraz, gdy Torgunowie spojrzeli na nią oczyma przybysza, zaczęli się zastanawiać, jak mogli dotąd nie zauważyć jej urody.

Treia zarumieniła się jeszcze bardziej. Zamrugęła, próbując dojrzeć Raegara, i już miała odpowiedzieć jakoś na jego komplement, gdy Wulfe wyrwał jej się i rzucił do stołu. Chwyił wielką michę potrawy, przytulił do siebie zaborczo, odwrócił się na pięcie i wypadł w ciemną noc.

– Co to było? – spytał zdumiony Norgaard. – Jakiś chochlik z Nethervoldu?

– To ten chłopak, o którym wam opowiadałem – wyjaśnił Skylan. – Ten, którego znalazłem na morzu. Mówiłem wam, że jest trochę stuknięty.

– Chyba bardziej niż trochę – zauważył z przekąsem Norgaard. – Może lepiej, żebyś spróbował go złapać, nim znów go stracisz z oczu.

– Kuzynie, czy mogę zamienić z tobą słowo? – powiedział Raegar, łapiąc Skylana za rękaw. Zaciągnął go w zacieniony kąt.

– Oczywiście, kuzynie, w czym mogę ci pomóc – odrzekł uprzejmie Skylan, ale gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem głosu, zmienił ton. – Co ty tu robisz, na Hevisa? Po co przyjechałeś?

– Przywożę dobre wieści. Znalazłem mapę, która pokazuje, gdzie się znajduje kraina ogrów – powiedział Raegar spokojnie i uśmiechnął się. – Myślałem, że się ucieszysz. Oгры nie mieszkają wcale tak daleko. Jakiś miesiąc żeglugi.

– To wspaniałe wieści – zgodził się Skylan. – Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Jest jeszcze coś. – Raegar obejrzał się przez ramię na roześmianych ludzi. – Gdy cię spotkałem, zacząłem myśleć o moim ludzie. Uświadomiłem sobie, że zbyt długo mieszkałem z dala od kraju. Czas wrócić do domu.

Jakby słysząc te słowa, Norgaard wstał i poprosił o ciszę.

– Cieszymy się wszyscy z powrotu naszego rodaka – powiedział. – Mam nadzieję, że nie opuści nas prędko. To była długa noc, zaczęła się smutkiem, a skończyła radością. – Uniósł swój róg. – Zdrowie Raegara, którego mieliśmy już za martwego.

Torgunowie uśmiechnęli się do Raegara, unieśli swoje rogi i wypili jego zdrowie.

Norgaard wznosił swój róg w stronę Skylana.

– Za naszego Wodza Wodzów i jego szczęśliwy powrót.

Torgunowie wypili toast i znów napełnili rogi. Wszyscy czekali na toast, który musiał nastąpić.

– Zbyt dużo już czasu upłynęło, odkąd Torgunowie ostatni raz poszli na wojnę. – Norgaard jeszcze raz uniósł swój róg. – Za Torvala i za zniszczenie wroga!

– Za Torvala! – zakrzyknęli Torgunowie.

– Mamy dużo pracy – powiedział Norgaard, odkładając pusty róg. – Ogłaszam koniec zebrania.

Powoli, walcząc z bólem i opierając się ciężko na lasce, starzec podszedł do Skylana i oparł rękę na ramieniu syna.

– Przeżyłeś straszne rzeczy – rzekł, a oczy zaszyły mu łzami. – Ale dzielnie sobie z nimi poradziłeś. Jestem z Ciebie dumny.

– Dziękuję, ojcze – powiedział Skylan, ale gardło ścisnęło mu się od tych wszystkich kłamstw.

Ludzie wysypali się z Domu Wodza. Norgaard porozmawiał jeszcze chwilę z Raegarem. Skylan umknął szybko i mało nie potknął się o Wulfe'a, który siedział w kucki na środku ulicy z misą na ziemi i pakował sobie jedzenie do buzi. Skylan wziął ze ściany domu płonąca pochodnię.

– Chodźmy – powiedział, łapiąc Wulfe'a, który z kolei złapał misę.

– Dokąd? Na statek?

– Nie. Do mojego domu.

Wulfe stanął w miejscu i nie chciał iść dalej.

– Chcę wrócić na statek.

Skylan zastanowił się nad tym. Może jeśli Wulfe zostanie na statku, wszystkim to wyjdzie na dobre. Nie będzie miał tak wielu okazji do rozmawiania z ludźmi, jeśli nie będzie mieszkał w domu Skylana we wsi.

– Dobrze – zgodził się Skylan. – Ale będziesz na statku zupełnie sam. Nie mogę zostać tam z tobą.

– Nie będę sam. Będzie ze mną smok.

– Myślałem, że nie lubisz smoka.

– Teraz już go lubię. Nie chciał gadać z tamtą babą.

– Jaką babą?

– Tą, która mnie przyprowadziła.

– Masz na myśli Treię? Rozmawiała ze smokiem? O czym mówili?

– O tobie – powiedział Wulfe i oblizwał sobie palce.

Skylan zatrzymał się w miejscu i od razu ogarnął go niepokój. Treia mogła rozmawiać ze smokiem tylko w jednym celu – żeby sprawdzić, czy Skylan mówi prawdę. Obejrzał się przez ramię. Torgunowie stali przed Domem Wodza i zaraz na pewno ktoś zacznie go szukać. Skylan zgasił pochodnię w pierwszym z brzegu wiadrze i szybko skręcił w boczną uliczkę, ciągnąc za sobą Wulfe'a.

– Co mówiła do smoka?

– Nie wiem – przyznał chłopiec. – Nie dosłyszałem. Ale to nie ma znaczenia, bo smok i tak jej nie odpowiedział. Tak się wściekła, że aż zeszła na dół do ładowni. Ale mnie przestraszyła. Myślałem, że to draugra. Bo była ubrana jak ona. Zadawała mi tyle pytań.

– Jakich pytań?

– Gdzie się poznaliśmy i jak się poznaliśmy, i kto wtedy z tobą był, i czy widziałem olbrzymy i...

– Co jej powiedziałaś? – Skylan aż się bał odpowiedzi.

– Nic. Nie lubię jej.

– To świetnie! – Skylan odetchnął z ulgą.

Wulfe wytarł kawałkiem mięsa resztki sosu z dna glinianej misy.

– O co jej chodziło z tymi olbrzymami? – spytał.

Skylan przygryzł wargę. Wiedział, że wcześniej lub później ta myśl przyjdzie chłopcu do głowy. Miał tylko nadzieję, że pytanie padnie raczej później. Przykucnął przed chłopcem i popatrzył mu w oczy.

– Olbrzymy to część historii, którą zmyśliłem, Wulfe – szepnął. – Jeśli Treia lub ktokolwiek będzie cię wypytywał, mów, że znalazłem cię na morzu, bo zgubiłeś się we mgle.

– Wcale się nie zgubiłem – zaprotestował urażony chłopiec.

– Tak, wiem. To tylko kłamstwo, ale takie dobre kłamstwo. Muszę kłamać, żeby chronić druidów i twoich ludzi z Apensji.

Wulfe popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie musisz kłamać.

– Muszę. Jeśli moi ludzie odkryją, że druidzi zabili moją żonę...

– Druidzi wcale jej nie zabili – przerwał mu Wulfe. – Druidzi nie zabijają ludzi.

– Na własne oczy widziałem, jak wbili jej drewniany szpikulec w brzuch – zezłościł się Skylan. – Nie kłóć się ze mną. Posłuchaj! Jeśli moi ludzie odkryją, co się stało, popłyną od razu na Apensję i swoimi mieczami zabiją tego twojego druida i resztę.

Wulfe uśmiechnął się do przyjaciela pocieszająco.

– Nie uda im się. Leśny ludek do tego nie dopuści. To twoi ludzie zginą.

Skylan odwrócił wzrok w stronę morza, ciemnej otchłani w równie ciemnej nocy.

- Wulfe – powiedział. – Jeśli moi ludzie poznają prawdę, zginę. Zabiją mnie.
- To jakby co, to mówię, że znalazłeś mnie na morzu – zapewnił go prędko Wulfe.

Księga IV

Smocze Wyspy

Rozdział 1

Vindrasi szli na wojnę.

Minął miesiąc, odkąd Skylan powrócił ze swej pechowej wyprawy. Vindrasi obchodzili uroczystości związane z letnim przesileniem, rozpoczynając sezon wypraw. Nadal było sucho i upalnie. Deszcz przychodził z rzadka, uderzał w twardą ziemię wielkimi kroplami i bardziej był groźny niż ożywczy dla zwiędniętego zboża. Vindrason przydałby się tydzień delikatnego deszczu, który nawilżyłby popękana ziemię. Kapłanki Kości zносиły błagalne modlitwy do Akarii, ale humorzasta bogini nie raczyła odpowiedzieć.

Mimo wszystko Skylan był w dobrym nastroju. Czas jego powrotu był ponury i nieszczęśliwy, lecz już minął. Jego słońce znów weszło i jasno przyświecała mu nadzieja na lepszą przyszłość. Przeprowadził się z Ludy do Vindraholmu i zamieszkał w domu Wodza Wodzów, który po śmierci jego żony świecił pustkami.

Symboliczne pogrzeby jego heudjuńskich wojowników były ciężkim przeżyciem, ale jakoś je zniósł. Jego smutek ludzie składali na karb tylu nieszczęść, które na niego spadły. Bez końca opowiadał o walecznych czynach swych wojów, ze szczegółami opisując zmyślane walki z olbrzymami. Heudjunowie opłakali swych zmarłych, uczcili ich heroizm, a potem zajęli się przygotowaniem do wojny.

Najtrudniejszy był pogrzeb Draii. Skylan rozpacział po niej boleścią zrodzoną z poczucia winy i samooskarżania. Próbował ukoić jej niespokojnego ducha i swoje sumienie, ofiarując statuetkę Vindrash piękny naszyjnik z turkusów, ale to nie poskutkowało. Draugra wciąż go nawiedzała. Przychodziła do niego co noc i tuż przed snem kazała mu grać ze sobą w smocze kości. Nie mógł pojąć, dlaczego to robi. Zdawało się, że jedyną przyczyną, dla której zamiast spocząć w grobie, chodzi jeszcze po ziemi, była chęć gry w smocze kości, gry, w której Skylan nigdy jeszcze nie zwyciężył.

Musiał przyznać, że przez tę draugrę stał się znacznie lepszym graczem. Nadal miał nadzieję, że gdy wreszcie ją pokona, zmora zostawi go w spokoju, i dlatego koncentrował się na grze jak nigdy jeszcze na niczym. Dawniej decydował się na każde posunięcie pod wpływem chwili, z rzadka robiąc jakiś plan na jeden czy dwa ruchy do przodu. Szybko dostrzegał słabości przeciwnika, nigdy jednak nie doceniał jego mocnych stron, póki nie było już za późno.

Draugra była świetnym graczem. SkyLAN nigdy przedtem nie grał z tak zdolnym przeciwnikiem. Była nawet lepsza od Garna, który mógł pokonać w grze każdego z Torgunów, tak że nikt we wsi nie chciał już z nim grać. SkyLAN w końcu zrozumiał, że jeśli zacznie uważnie analizować jej sposób gry oraz taktyki, którymi się posługuje, żeby go pokonać, czegoś się od niej nauczy. Zaczął więc ją obserwować i zauważył, że gra w smocze kości jest znacznie bardziej skomplikowana, niż kiedykolwiek przypuszczał. Stał się cierpliwszy, uważniejszy, uczył się najpierw myśleć, a dopiero potem działać. Nadal ani razu nie wygrał, ale mecze coraz częściej kończyły się remisem.

Poza pogrzebami SkyLAN musiał się zająć zbieraniem wojska. Wraz z oddziałem młodych wojów wędrował na Brzeszczocie lub płynął na *Venjekarze* do kolejnych klanów, i przekonywał wodzów, by dali mu wojowników i zapasy potrzebne na wojnę przeciwko ogrom.

Wodzów nie trzeba było długo przekonywać. Wszyscy chcieli wojny. Zbyt długo Vindrasi narzekali na Horga, który unikał wszelkiej walki, nie licząc zatargów między klanami. Cieszyli się, że wreszcie mają wodza, który poprowadzi ich na bitwę z prawdziwym wrogiem.

Wulfe nie towarzyszył SkyLANowi w tych wyprawach. SkyLAN trochę się niepokoił o niego i bał się go zostawiać samego. Próbował przekonać chłopca, żeby jechał z nimi, ale wojownicy byli uzbrojeni po zęby i Wulfe nie mógł znieść ich obecności. SkyLAN uważał ten strach chłopca przed metalem za jakąś bzdurę, którą wpoili mu miłujący pokój druidzi. Milion razy próbował mu już wytłumaczyć, że żeliwny garnek nie jest jego śmiertelnym wrogiem.

– Jak zamierzasz walczyć przy moim boku w ścianie tarcz, skoro nawet nie chcesz tknąć miecza? – spytał chłopca.

– Nie potrzebuję miecza, żeby walczyć – odrzekł Wulfe. – Zresztą nie będę walczył przy twoim boku, będę tam, by cię chronić. Uratowałem ci życie. Należysz do mnie.

Chłopiec miał bardzo poważną minę, więc SkyLAN wyciągnął dłoń i odgarnął mu szarobure włosy z oczu.

– Jesteś dziwny – powiedział. – Jeszcze cię kiedyś nauczę, jak się posługiwać mieczem.

Tak więc Wulfe wolał zostać we wsi. Raegar natomiast upierał się, by towarzyszyć SkyLANowi w każdej jego wyprawie. Jak obiecał, nie wydał sekretu kuzyna. W dodatku rzeczywiście pokazał SkyLANowi mapę, która jakoby ukazywała drogę do krainy ogrów. SkyLAN jednak nie umiał czytać, więc mapa nie na wiele mu się zdała. Musiał uwierzyć kuzynowi na słowo. Było coraz więcej rzeczy, co do których musiał mu wierzyć na słowo, i to sprawiało, że wolał mieć Raegara na oku.

Raegar był przynajmniej duszą towarzystwa – w przeciwieństwie do Garna, który zmienił się w zupełnego ponuraka. SkyLAN nie mógł pojąć, dlaczego przyjaciel jest zawsze tak ponury i wciąż chce „porozmawiać”, przez co ma oczywiście na myśli prawienie mu kazań.

Skylan pewien był, że Garn wie, iż zmyślił swoją opowieść o olbrzymach. Miał rację. Przyjaciel po prostu wiedział, kiedy on kłamie. Skylan mylił się jednak, sądząc, że Garn chce mu prawić kazania. Garn martwił się o niego i chciał mu pomóc.

Skylan miał też na głowie Treię.

Bynajmniej nie starała się ukryć tego, że uważa go za kłamcę, choć nie zarzuciła mu niczego otwarcie. Była jak żmija, wślizgiwała się wszędzie, obserwowała każdy jego ruch, czekała, aż sam się potknie, by móc rzucić się na niego i wbić mu zatrute kły. Skylan usiłował schodzić jej z drogi, gdy tylko było to możliwe, i między innymi dlatego właśnie chciał wypłynąć do Ludy nazajutrz, gdy ona przybywała do Vindraholmu na Zgromadzenie Kai.

Do Skyłana doszły tymczasem bardzo niepokojące wieści. Mówiono, że Kai rozważają kandydaturę Trei na Kapłankę Kai. Jeśli zaakceptują ją bogowie, będzie musiał ją poślubić! Pocięsział się tylko myślą, że i ona zrobi wszystko, by uniknąć tego małżeństwa. Nie znosiła go chyba jeszcze bardziej niż on jej. W dodatku wyraźnie wpadł jej w oko Raegar.

Choć Treia nie mieszkała w domostwie swego ojczyma i żyła sama w domu przynależnym Kapłance Kości, ponieważ wciąż nie była zamężna, oficjalnie znajdowała się pod opieką Sigurda. Jako że jej ojczym dawno uznał, że nikt jej nie zechce, Treia założyła, że kwestia ślubu leży wyłącznie w jej własnych rękach. Nie ukrywała, że sama dokonała wyboru swego przysłego męża i że ma nim zostać Raegar, a on nadal poważnie się nią interesował, przedkładając jej towarzystwo nad tyle młodszych i ładniejszych kobiet, które robiły wszystko, by zwrócić na siebie uwagę tego wysokiego, silnego i przystojnego blondyna.

Mimo że Skyłan był pewien, iż Treia nie chce wcale być Kapłanką Kai, nie ufał już bogom. Biorąc pod uwagę złamaną przysięgę daną Torwalowi i te wszystkie kłamstwa, które od tego czasu wszystkim naopowiadał, bóg mógł przecież ukarać go, dając mu za żonę tę żmiję. Dlatego Skyłan uznał, że najlepiej będzie jakoś zapobiec temu niebezpieczeństwu, więc gdy tylko zakończył swoje wyprawy do klanów, udał się do Ludy, by porozmawiać z Aylaen.

– Wkrótce odbędzie się Zgromadzenie Kai – powiedział jej. – Przyjedzie na nie Treia. Chcę, byś przyjechała razem z nią.

Aylaen szła po wodę do strumienia i Skyłan zaproponował, że będzie jej towarzyszył. Strumień płynął przez zagajnik jesionów, brzoź, orzechów, drzew laurowych i dębów. Uważano, że woda z niego ma właściwości lecznicze, i choć Treia wyśmiewała to i nie wierzyła w moce strumienia, jej pacjenci mieli odmienne zdanie.

Strumień znajdował się głęboko w lesie, niedaleko domu Matki Sowy. Skyłan znów przypomniał sobie, jak ta stara wiedźma uleczyła go z ran zadanych przez dzika. Tamtego dnia do Ludy przyplłynęły ogry. Zdawało się, że od tej chwili minęły całe wieki, wręcz jakby zdarzyło mu się to wszystko w poprzednim życiu. Lub może jakby było to w ogóle życie innej osoby. Nagle przypomniał sobie słowa Matki Sowy: „Nić twojego wyrdu przerwie się tej nocy, Skyłanie. Jutro twój wyrd zacznie się snuć na nowo”.

Zasepił się na to wspomnienie. Jej przepowiednia sprawdziła się i zadrzał na tę myśl. Skąd starucha wiedziała, co się mu przytrafi? Nagle dotarło do niego, że Aylaen się śmieje.

– Czy powiedziałem coś śmiesznego? – spytał zirytowany. Nie był w nastroju do żartów.

– Tak – odparła Aylaen. – Chcesz, żebym uczestniczyła w jakimś nudnym Zgromadzeniu Kai! Po co miałabym robić coś takiego? Dziękuję bardzo. Mam i tak dość okazji, żeby się wyspać.

– Wiem, że to zebranie będzie bardzo nudne i męczące – przyznał Skylan. Wziął od niej wiadro i przykłęknął, by nabrać wody ze strumienia. – Ale musisz wziąć w nim udział. Musisz im powiedzieć, że chcesz jak najszybciej zostać Kapłanką Kości.

– Ale ja wcale nie chcę zostawać żadną kapłanką – zaprotestowała ze śmiechem Aylaen. – Widzę przecież, co musi znosić Treia. Ludzie nic tylko przychodzą i narzekają, prosząc ją o rzeczy niewykonalne, byle tylko było im trochę lżej w życiu. Pojęcia nie mam, skąd ona bierze całą tę cierpliwość.

– Musisz to zrobić, Aylaen – upierał się Skylan. – To jedyny sposób, żebyś została Kapłanką Kai, a bez tego nie będziesz mogła za mnie wyjść.

– Skylan, ty nie mówisz poważnie...

– A niech mnie Hevis, jeśli nie jestem teraz śmiertelnie poważny! – zdenerwował się Skylan. – Dlaczego wciąż sobie ze mnie żartujesz? Jestem Wodzem Wodków i chcę, żebyś była moją żoną! Masz robić, co ci każe, Aylaen! To jest rozkaz!

Aylaen krew nabiegła do twarzy.

– Możesz sobie rozkazywać, komu ci się żywnie podoba, Skylanie Ivorsonie, ale nie mnie! Ja robię zawsze to, co chcę, a teraz jedyne, czego chcę to...

– ...to to samo, czego i ja chcę – przerwał jej zniecierpliwiony Skylan. – Wiem przecież, że mnie kochasz, więc przestań sobie wreszcie żartować. Nie jestem już małym chłopcem. Jestem mężczyzną i czasy takich żartów dawno minęły.

– Ja nie żartuję! – krzyknęła Aylaen, z wściekłości zapominając o wszystkich swoich postanowieniach. – Garn nie chciał, żebym ci mówiła, ale naprawdę nie mam wyjścia! Bo prawda jest taka, że...

– Garn! Garn! – wybuchnął Skylan. – A co tu ma do rzeczy Garn? Aylaen, rozumiem przecież, że nie chce ci się zostawać Kapłanką Kai, ale to będzie tylko nominalne stanowisko. – Chwył ją w pasie i przyciągnął do siebie. – Większość czasu spędzisz przecież i tak na wychowywaniu naszych synów. – Usiłował ją pocałować.

– Puść mnie! – Aylaen odwróciła twarz, unikając jego ust. – Muszę już wracać do domu. Muszę pomóc matce przy kolacji.

Skylan puścił ją, ale jego twarz wykrzywiła się w grymasie pełnym złości.

– Nie pojmuję cię, Aylaen. Wiem przecież, że kochasz mnie...

– ...jak brata, Skylan – powiedziała.

Spojrzał na nią wściekły i już miał odpowiedzieć, lecz odwróciła się na pięcie i ruszyła szybko ścieżką, a spódnica zafalowała jej wokół kostek.

– Kai nigdy nie wybiorą mnie na swoją przywódczynię, Skylan – rzuciła jeszcze przez ramię. – To by była obraza dla wszystkich tych Kapłanek Kości, które tak jak moja siostra poświęciły tej nauce całe swoje życie.

– To nie Kai decydują! – krzyknął Skylan i przelazł przez krzaki, by ją dogonić. Oboje zupełnie zapomnieli, po co tu przyszli. Wiadro na wodę leżało porzucone nad brzegiem strumienia. – To bogowie dokonują wyboru.

– Wiesz, co mam na myśli – zirytowała się Aylaen.

– Poza tym był już taki przypadek.

– Jaki znowu przypadek?

– Już kiedyś Kapłanką Kai została kobieta, która nawet nie była Kapłanką Kości.

Skylan dobrze wiedział, że kiedyś będzie potrzebował takiego argumentu, choć spodziewał się, że pytanie padnie na Zgromadzeniu Kai, a nie że zada mu je ukochana kobieta. Był nawet u Talgogrotha, by omówić tę sprawę.

– Griselda, mężczyznokobieta. Jej odwaga w walce tak spodobała się bogom, że nakazali Kai uczynić ją swoją kapłanką i dali ją za żonę synowi Thorgunnda, gdy został Wodzem Wodzów. Ty oczywiście nie możesz zrobić tego co ona. Nie będziesz przecież walczyć z mężczyznami...

Skylan w końcu dogonił ją, chwycił w płu, a gdy się wrywała, przyciągnął mocniej do siebie. Zaczął ją całować po twarzy, szukać jej ust.

– Będziesz moją żoną...

– Skylan! Zostaw mnie! – Aylaen wrywała się ze wszystkich sił. – Puść mnie!

Skylanem ośwładnęło pożądanie. Paliło jego ciało jak ogień. Wiedział, że i Aylaen go chce. To całe udawanie, że się opiera, czyniło ją tym ponętniejszą. Przycisnął ją do drzewa całym ciałem, a jego dłonie – które robiły to już przecież z niejedną dziewczyną – szybko odpięły jej broszki i zadarły suknię.

– Skylan! Przestań! – błagała Aylaen.

– Przecież chcesz tego, Aylaen. Wiesz, że tego chcesz. Jesteśmy w zasadzie jak mąż i żona... – Jego dłonie przesunęły się na przód koszuli. Gdy poczuł pod palcami jej piersi, jęknął z pożądania i rzucił się na nią.

– Skylan! – krzyknął ktoś. – Skylan, gdzie ty jesteś? Mam dla ciebie wiadomość!

– To tylko Garn – szepnął Skylan, podwijając jej halkę. – Jak będziemy cicho, to sobie pójdzie.

– Tu! – zaczęła wrzeszczeć Aylaen. – Tutaj, Garnie!

– Gdzie? – spytał Garn. Nie widział ich jeszcze, ale był coraz bliżej.

Skylan odepchnął Aylaen ze złością, a ona szybko zapięła broszki i poprawiła suknię. Z cienia drzew wyłonił się Garn.

– A, tu jesteście! – zawołał z uśmiechem, udając, że nie widzi rumieńców Aylaen, potarganego ubrania i wściekłej miny Skylana.

– Czego chcesz? – warknął Skylan.

– Matka Sowa prosiła, żebyś przyszedł – powiedział Garn. – Chce z tobą porozmawiać. Mówi coś o jakiejś umowie między wami.

– Skoro już jesteś jej chłopcem na posyłki, leć do tej staruchy i powiedz, że nie mam czasu na jej zachcianki – burknął Skylan. – Mamy z Aylaen za dużo rzeczy do omówienia.

Chwycił dziewczynę w pasie i przyciągnął do siebie.

– Lepiej rób, co ona mówi, Skylan – poradziła mu Aylaen drżącym głosem. – Nie ściągaj na siebie gniewu Matki Sowy.

– Mogę zostać z Aylaen, jeśli chcesz – zaproponował Garn.

Skylan zawahał się, nie kryjąc złości. Nie chciał zostawiać dziewczyny, ale wolał też nie narażać się na gniew Matki Sowy.

– Dobrze więc, idę, a ty, bracie, przemów Aylaen do rozsądku, bo upiera się, że nie zostanie Kapłanką Kai – powiedział w końcu. – Wy tłumacz jej, że to naprawdę jedyny sposób, żebyśmy mogli się pobrać.

Poszedł szybko ścieżką, ze złością kopiąc napotkaną gałąź. Słyszeli, jak idzie, szurając wściekle po poszyciu.

– Garn, kochanie! – załkała Aylaen, przytuliwszy się do niego i skrywszy twarz w dłoniach. – Tak strasznie się bałam!

Otulił ją ramieniem.

– Cii, wiem, już dobrze. Przyszedłem cię szukać. Treia powiedziała, że poszłaś nad strumień.

Aylaen spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

– Zmyśliłaś całą tę historyjkę o Matce Sowie? Garn! Skylan przecież dowie się, że go okłamałaś, i będzie na ciebie wściekły!

– Do tego czasu ochłonie i uświadomi sobie, jak się zachował. On cię kocha, Aylaen – dodał Garn, tuląc ją. – Nigdy cię nie skrzywdzi.

– Tak, Skylan, którego znałam, nigdy by mnie nie skrzywdził – przyznała Aylaen. – Ale nie poznaję tego nowego Skylana. Musisz mu powiedzieć prawdę, Garn!

– Wiem. Porozmawiam z nim, gdy będziemy już na wyprawie...

Aylaen wbiła w niego gniewny wzrok.

– Na wyprawie? Powiedziałeś przecież, że nie pójdziesz na wojnę! Powiedziałeś, że poprosisz, żeby zostawił ci wieś pod opieką. Z Norgaardem nie jest już dobrze. Ktoś musi zostać na straży wsi.

– Powiedziałem, że się nad tym zastanowię, Aylaen – poprawił ją łagodnie Garn. – Nie mówiłem, że tak zrobię.

Aylaen zarumieniła się, zacisnęła pięści i uderzyła go w pierś.

– Nie możesz jechać! Nie pozwalam ci! Jak możesz mi to robić?

– Aylaen...

– Zginiesz! – krzyknęła wściekła i nawet nie chciała go słuchać. – A gdy ty zginiesz, umrę i ja. Nie zniosę życia bez ciebie!

Pocałowała go namiętnie. Przytulił ją, ale po chwili odsunął od siebie.

– Skylan może nas zobaczyć...

– No i bardzo dobrze! – wrzasnęła. – Mam nadzieję, że nas zobaczy! Chcę, żeby wiedział o nas cały świat!

Zaczęła szlochać rozpaczliwie. Garn znów ją przytulił i głaskał po głowie tak długo, aż się uspokoiła. Otarła nos rękawem. Garn osuszył jej łzy.

Przycisnęła policzek do jego ramienia i spojrzała mu w oczy.

– Porozmawiaj ze Skylanem. Powiedz mu o nas. Powiedz, że się pobieramy. Powiedz mu, że nie popłyniesz z nim na wyprawę.

Garn westchnął.

– To nie takie proste...

– To może być proste, jeśli się tylko postarasz – powiedziała. Odsunęła głowę i zmarszczyła brwi. – Chcesz się ze mną ożenić czy nie?

– Wiesz przecież, że chcę. Niczego w życiu nie pragnę tak bardzo. – Ucałował ją w czoło.

– Więc powiedz to Skylanowi – upierała się.

– Powiem – obiecał jej, ale cicho, niemal do siebie dodał: – Choć to nie będzie takie proste.

Aylaen udała, że tego nie usłyszała.

Usłyszeli go natomiast Wulfe i nimfa, która strzegła strumyka.

Chłopiec zaprzyjaźnił się już z całym leśnym ludkiem z łąk, lasów i strumieni wokół wsi Torgunów. Całe dni spędzał na włóczeniu się po okolicy i plotkowaniu ze stworzeniami z lasu. Lubił Torgunów i żyło mu się przy nich znacznie łatwiej niż przy druidach, a jednak wolał przebywać z leśnymi stworzeniami.

Szybko przekonał się też, że mieszkanie na okręcie w towarzystwie samego tylko smoka jest nudne i niezbyt komfortowe. Smok wcale nie był zabawnym towarzyszem. Nigdy nic nie mówił i gdy tylko Wulfe wchodził na pokład, gapił się na niego nieprzyjemnie.

Skylan uważał, że Wulfe nie powinien jechać z nim do Heudjunów, którzy dopiero oswajali się ze swoim nowym wodzem, toteż zostawił chłopca w domu ojca. Ale Wulfe źle się czuł w małym, ponurym, zadymionym domku i wciąż trochę się obawiał Torgunów, którzy w przeciwieństwie do druidów nawet nie próbowali panować nad emocjami.

Z początku bał się nawet ich głośnych słów. Mnóstwo czasu przesiedział pod stołami albo kryjąc się po kątach. W końcu jednak zrozumiał, że hałaśliwi, kłótlivi i wybuchowi Torgunowie nie są w zasadzie niebezpieczni. (Gdyby zobaczył ich na wojnie, zmieniłby zdanie i uciekł od nich raz na zawsze).

Powoli, gdy wreszcie znikł strach, Wulfe znalazł upodobanie w głośnym śmiechu, w śpiewaniu tubalnym głosem i siarczystych przekleństwach. Najlepsze było jednak to, że Torgunowie nie mieli wobec niego żadnych wychowawczych zapędów. Skylan powiedział mu tylko, że będzie musiał zarobić na swoje utrzymanie. Wulfe bardzo chętnie na to przystał i razem z innymi dziećmi chodził na pole zbierać zboże i paść bydło.

Tyle że nie szło mu to najlepiej. Dzieci skarżyły się, że Wulfe cały czas gada sam do siebie (rozmawiał z leśnym ludkiem, ale skąd mogły wiedzieć).

Chłopiec świetnie dogadywał się natomiast ze zwierzętami, ale i to nie wyszło mu na dobre. Owce lały za nim wszędzie, aż w końcu wchodziły w szkodę. Gdy tylko zawołał konie, pędziły do niego przez pół pola i brykały jak głupie żrebaki, schylały łby, trącały go pyskiem. Wrony siadały mu na ramionach i wyjadały ziarno z dłoni, a słowiki śpiewały tylko dla niego.

W końcu jednak Wulfe znalazł sobie miejsce wśród Torgunów. Driady opowiedziały mu o Matce Sowie. Odszukał ją i zostali przyjaciółmi. Staruszka szybko odkryła jego sekret. Sama obdarzona podobnymi mocami nauczyła go, że magia nie musi być niebezpieczna. Jeśli Wulfe będzie ćwiczył wytrwale, nauczy się posługiwać swoją mocą tak, jak Skylan włada mieczem. Pozostali Torgunowie mieli chłopca za nieszkodliwego wariata. Nic nie wiedzieli o jego ciemnej stronie. Nie wiedzieli o jego demonach. Wulfe bowiem znalazł w sobie siłę, by z nimi walczyć – siłę, którą dała mu miłość do Skylana.

Wulfe słabo już pamiętał ojca, którego obraz zamazywał mu się, bo ojciec za dnia był wilkiem, a człowiekiem tylko w nocy. Chłopiec nade wszystko kochał matkę i serce mu pękało, gdy przestała do niego przychodzić, lecz wiedział, że leśny ludek jest zmienny. Domyślał się, że tak jak kiedyś jego matka kochała go ponad wszystko, tak teraz kocha coś innego. Pewnie nawet już nie pamięta o jego istnieniu.

Przede wszystkim Wulfe spragniony był miłości. Druid był dla niego miły i dobry, ale chłopiec wiedział, że staruszek go nie kocha. Druid zdawał sobie sprawę, że w duszy chłopca czają się demony. Cierpliwie próbował nauczyć go opanowania i samodyscypliny. Wulfe z trudem znosił te lekcje i nie posiadał się ze szczęścia, gdy odkrył, że Skylan jest taki jak on. Skylan pozwalał mu na wszystko. W zamian Wulfe uwielbiał go.

Chłopiec z taką samą siłą kochał Skylana i nienawidził Trei. Wciąż go nagabywała, próbując wyciągnąć od niego jakieś informacje o tym, jak poznał Skylana i co wydarzyło się podczas podróży. Instynkt podpowiadał mu, że Treia stanowi zagrożenie dla Skylana, toteż postanowił mieć na nią oko. Często krył się w lesie tuż przy jej domu, obserwował, jak wchodzi i wychodzi, śledził ją i podsłuchiwał jej rozmowy, choć niewiele z nich rozumiał.

Miał nadzieję, że kiedyś usłyszy, iż Treia zamierza zamordować Skylana, bo wtedy mógłby zrobić to, do czego namawiały go jego demony, które zawsze chciały, by zrobił jej coś złego. Lecz choć Treia zawsze mówiła o Skylanie z pogardą, nigdy nie padły z jej ust

żadne słowa, które sugerowałyby, że chce go skrzywdzić. Wulfe jednak nie poniechał nadziei i stale był czujny.

Co do innych osób z otoczenia Skylana, Wulfe'owi bardzo żal było Norgaarda, który błędził po ścieżce półcienia, zawieszanej między światem żywych i umarłych. Wulfe wiedział, że ten mężczyzna chce już umrzeć, zostawić za sobą zmęczone ciało kaleki i dołączyć do boga w chwale. Chłopiec zawsze był dla Norgaarda tak miły, jak tylko potrafił, a ten zaczął darzyć go sympatią i uważał za bardzo zabawnego.

Wulfe chciał z początku zniechęcić Garna i Aylaen. Niemal od razu odkrył ich sekret. Wiedział, że Skylan kocha Aylaen, bo zawsze o niej mówił, i Wulfe nie mógł zrozumieć, jak dziewczyna śmiała pokochać innego.

Zniechęcił ich więc oboje za to, że zdradzili Skylana, i chciał mu wszystko opowiedzieć. Ale Wulfe lubił plotki nie mniej niż driady, więc szpiegował i podsłuchiwał ich trochę dłużej i wkrótce zrozumiał, że żadne z nich nie chce zranić Skylana. Tajemnica ich miłości rzuciła na ich życie cień cierpienia. Wulfe zrozumiał też, że gdyby Skylan dowiedział się o tym, to odkrycie by go zniszczyło. I dlatego chłopiec milczał.

Wylegiwał się właśnie nad strumieniem, opowiadając nimfie o leśnym ludku z Apensji, gdy pojawili się Skylan i Aylaen. Wulfe skrył się za drzewami i zaczął podsłuchiwać. Nimfa ze strumyka, driady z jodły i brzozy, hamadriady, które mieszkały w dębie, oraz przechodzący właśnie przypadkiem satyr zebrali się natychmiast, by pośmiać się z figli Brzydali.

Patrzyli, jak Skylan narzuca się Aylaen i jak ona próbuje mu się wyrwać. Satyr zaczął go przedrzeźniać, biegać na swych owłosionych nogach i wyznawać miłość rozchichotanym driadom. Wymachiwał wielkim penisem i przechwalał się, co to potrafi. Driady śmiały się z niego, lecz gdy podszedł zbyt blisko, zaczęły go obrzucać żółędziami i przepędziły gdzie pieprz rośnie.

Gdy satyr zniknął, driady zatrzęsły konarami swoich drzew i posłały plotkę dalej w las. Piękna nimfa zaśpiewała piosenkę o miłości Brzydali i posłała ją w bąbelkach wody po kamieniach w dół strumienia. Pieśń powędrowała aż do jej kuzynki, okeanidy, która uznała ją za przezabawną.

Wulfe jednak wcale nie podzielał jej zdania. Uważał, że wszystko to jest bardzo smutne. Nie mógł zrozumieć, jak tych troje kochających się ludzi może się tak ranić. Miłość powinna być źródłem szczęścia i radości, a tymczasem była dla tych trojga źródłem cierpienia, zupełnie tak jak dla jego rodziców.

Rozdział 2

Skylan wściekał się całą drogę do domu Matki Sowy. Zupełnie nie rozumiał kobiet. Aylaen oczywiście go uwielbia, ale zawsze musi się z nim kłócić. Ta dziewczyna po prostu lubi sobie z niego kpić i zmieniać jego życie w jakiś koszmar. Tak było zawsze, odkąd byli dziećmi, ale czas na żarty już minął. Teraz powinna być słodka, kochająca i cieszyć się na myśl o ich ślubie. Zachowywała się tak, jakby zupełnie nie rozumiała, że on może mieć każdą.

Nie mógł się dosłownie ruszyć, by kobiety nie rzucały mu się do stóp. Co dzień kolejny ojciec próbował wcisnąć mu swoją córkę za żonę. Takie małżeństwo byłoby oczywiście bardzo krótkie, bo gdy tylko Kai wybiorą nową kapłankę, będzie trzeba przeprowadzić rozwód. Jednak była żona Wodza Wodzów wiele by zyskiwała. Do tego czasu być może byłaby matką syna wodza. Zresztą nawet pozycja konkubiny wydawała się niejednej atrakcyjną pozycją.

Skylan odrzucał wszystkie propozycje ze względu na Aylaen. Teraz wściekł się, że dziewczyna nawet nie chce myśleć o zostaniu kapłanką. Powinna być mu wdzięczna za ten pomysł. Przecież to rozwiązywało wszystkie ich problemy. Dlaczego tak się upierała przy swoim?

W tajemnicy przed wszystkimi Skylan próbował nawet zmienić prawo. Jako Wódz Wodzów mógł ogłaszać nowe zarządzenia, czemu więc nie poprawić tej tradycji? Udał się w tej sprawie do Talgogrotha i spytał, czy jest to możliwe. Balin rozwiął jego złudzenia.

– Małżeństwo Kapłanki Kai i Wodza Wodzów to coś więcej niż tradycja, panie – rzekł Talgogroth. – To połączenie dwóch połówek klanu i ludu. To małżeństwo każdego mężczyzny z każdą kobietą. To małżeństwo tego, co ziemskie, z tym, co boskie; wiary z logiką; miecza z tarczą. Na samą myśl o zniesieniu tej tradycji lud powstanie i obróci się przeciw tobie!

Trzeba Aylaen wytłumaczyć, że to poważna sprawa. Musi jej to wszystko na spokojnie wyjaśnić. Zrobi to, gdy tylko nadarzy się sposobność. A przy okazji powie jej, żeby traktowała go wreszcie z należyтым szacunkiem. Koniec żartów. Mogą poza tym przyspieszyć nieco noc poślubną. W końcu jako pan młody to on będzie miał prawo zwrócić ją ojczymowi, jeśli nie będzie dziewicą.

– A skoro to ja odbiorę jej dziewictwo, nikt przecież nie będzie mógł nic powiedzieć – mruknął Skylan i znów przypomniał sobie jej dotyk, ciepło jej piersi, zapach jej włosów. Przeszło go pożądanie.

Był tak pochłonięty tymi rozmyślaniami, że w ogóle nie patrzył, gdzie idzie. Nagle posłyszał warczenie wilka. Oprzytomniał w jednej chwili i rozejrzał się, ale nie zobaczył żadnego zwierza. Słyszać było tylko jego warczenie. W każdej chwili bestia może się na niego rzucić, powalić na ziemię, wgryźć się w gardło.

Warczenie było coraz bliżej. Skylan odruchowo sięgnął po miecz, ale liczył dziś na zupełnie inne atrakcje z Aylaen i nie wziął ze sobą broni. Miał przy sobie tylko nóż. Wyciągnął go i przygotował się na atak.

Warczenie zmieniło się w śmiech. Zza krzaka wyskoczył Wulfe i stanął na ścieżce przed Skylanem, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Ale cię wystraszyłem! – zawołał.

Skylan nie schował noża.

– Gdzie wilk?

– To byłem ja! – śmiał się Wulfe.

– Nie wierzę ci.

– To posłuchaj!

Wulfe stanął na czterech łapach i zaczął warczeć. Odsłonił zęby, zmrużył oczy, aż błysnęły w słońcu złowieszczo.

– Przystań natychmiast – rozkazał mu Skylan, który dostał gęsiej skórki od tego widoku.

– To nie jest śmieszne. Nie rób tego nigdy więcej. Ktoś mógłby wziąć cię za prawdziwego wilka i poderżnąć ci gardło.

– Niech spróbują – odpowiedział beztrוסko chłopiec.

Skylan pokręcił głową. Mimo wszystkich tych dziwactw Skylan lubił chłopca, może dlatego że czuł, iż Wulfe szczerze go lubi; że lubi go po prostu, a nie dlatego że Skylan jest Wodzem Wodków.

Chłopiec niczego od niego nie chciał. Nie zaciągał go w kąt, by męczyć o przysługi dla jakiegoś klanu bądź o wsparcie w tej czy innej sprawie. Wulfe nie oferował mu żadnej łapówki, by Skylan nie patrzył, gdy ktoś przesuwka kamień graniczny, ani nie prosił, by Skylan wybaczył jakiemuś bratu kuzyna ciotki kradzież kozy czy czegoś innego. Z początku Skylanowi pochlebiała świadomość, że ma władzę, ale z czasem niekończące się żądania i prośby, delikatne aluzje i zawoalowane pogroźki zaczęły go męczyć i przyprawiać o ból głowy.

– Co ty tu w ogóle robisz? – spytał Wulfe’a.

– Przyszedłem do Matki Sowy.

– Nie wiedziałem, że ją znasz.

– O, tak – powiedział zadowolony z siebie chłopiec. – Driady mi o niej powiedziały i zostaliśmy przyjaciółmi.

Skylan zmarszczył czoło. Nie wierzył Wulfe'owi, gdy chłopiec opowiadał o driadach. To znaczy wierzył oczywiście w same driady. Jak wszyscy Vindrasi, zawsze błagał driadę o wybaczenie, gdy ścinał jej drzewo, a potem zostawiał jej jakiś podarek, by nie była smutna. Ale nikt rozsądny nie utrzymywałby przecież, że widział kiedyś driadę lub z nią rozmawiał.

Miał teraz jednak za dużo na głowie, by znów wdawać się z Wulfe'em w dyskusję na ten temat, więc wzruszył tylko ramionami.

– Podobno Matka Sowa chce się ze mną widzieć.

Wulfe uniósł brew zdziwiony.

– Tak?

Skylan popatrzył na niego uważniej.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie?

Wulfe widział, że Skylan jest nie w humorze, więc na wszelki wypadek odpowiedział dyplomatycznie:

– Może.

– Garn powiedział, że Matka Sowa chce się ze mną widzieć.

– Garna nie było tu dzisiaj, ale mogła mu przecież powiedzieć kiedy indziej. – A widząc minę Skylana, dodał pospiesznie: – Może się myłę. Pójdę spytać. – I pobiegł, krzyżąc: – Matko Sowo! – nim Skylan zdołał go powstrzymać.

Czy Garn mu skłamał? Na to wyglądało. Skylan pomyślał z żalem, że już nikomu nie może ufać. Nagle zza krzaka wyskoczyła Matka Sowa.

– No, jesteś nareszcie – krzyknęła. – Czekałam na ciebie.

Obróciła się i podreptała ścieżką prowadzącą do jej domu. Nawet się nie obejrzała, zakładając najwyraźniej, że Skylan pójdzie za nią.

– Czy powiedziałaś Garnowi, że chcesz się ze mną widzieć? – spytał Skylan.

– Ja? – mruknęła Matka Sowa przez ramię.

– Więc nie mówiłaś?

Matka Sowa zatrzymała się tak raptownie, że Skylan musiał się gwałtownie zatrzymać, żeby się z nią nie zderzyć.

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Skylan uważał, że owszem ma, ale nie miał już ochoty przedłużać tej bezsensownej rozmowy z dziwną staruchą.

– Czego ode mnie chcesz?

– Zawarliśmy umowę, ty i ja – powiedziała Matka Sowa, dźgając go w pierś swym sękatym paluchem. – Kiedy cię wyleczyłam, pamiętasz? Wtedy przyrzekłeś, że zrobisz, o co cię poproszę.

– Pamiętam – zniecierpliwiał się Skylan. – Aie teraz jestem Wodzem Wodzów. Mam wiele obowiązków. Vindrasi idą na wojnę...

– Vindrasi idą na śmierć – prychnęła z pogardą Matka Sowa.

Dotarli do małej polany, na której stał zapuszczony dom Matki Sowy. Starucha wskazała mu zydela.

– Siadaj.

– Co masz na myśli? Jak to Vindrasi idą na śmierć? – pytał Skylan, nawet nie siadając.

– Wulfe, przynieś mi krzesło – rozkazała Matka Sowa.

Wulfe popędził do domu i wrócił, targając krzesło niemal tak wielkie jak on sam. Niósł je nad głową, nic sobie nie robiąc z jego ciężaru, choć krzesło miało grube poręcze i nogi oraz masywne oparcie ozdobione rzeźbionymi potworami. Ustawił krzesło naprzeciwko zydla. Między nimi znajdował się pniak.

Matka Sowa rozsiadła się wygodnie na krześle.

– Wulfe, skocz po planszę i kości.

Wulfe znów zniknął na chwilę w jej domu, a gdy wrócił, niósł drewnianą planszę i worek. Ułożył planszę na pniaku i wysypał pionki. Skylan wziął głęboki oddech. Na rękach i nogach dostał gęsiej skórki. Popatrzył na planszę i poczuł, że zimny pot cieknie mu po piersi. Spojrzał na Matkę Sowę i znów na planszę.

– Pomyślałam, że moglibyśmy zagrać partyjkę – powiedziała Matka Sowa i uśmiechnęła się niewinnie.

– Nie mam czasu na takie bzdury – odrzekł Skylan, ale głos mu zadrżał. – Mogę porąbać ci drewna, przynieść wody albo nareperować dach. Ale nie będę grał w smocze kości.

Matka Sowa zaczęła nucić jakąś dziwną melodię i wskazała palcem na nogę Skylana, który nagle poczuł skurcz, a potem ból tak silny, że aż jęknął i upadł. Zaczął gorączkowo rozmasowywać udo.

– Czy to nie tu zranił cię dzik? – Matka Sowa zachichotała i przestała nucić. – Zawarliśmy umowę. Lubię tę grę, a nikt nie chce ze mną grać.

Skylan popatrzył na nią i uświadomił sobie, że nie ma wyboru. Pokuśtykał w stronę pniaka i krzywiąc się z bólu, usiadł na taborecie. Wciąż rozmasowywał sobie usilnie nogę, która bolała, jakby ktoś dźgał ją rozgrzanym do czerwoności nożem.

– Ale ja zaczynam – zastrzegł się.

– Proszę bardzo – zgodziła się Matka Sowa. – Mnie tam wszystko jedno. Nie jestem taka jak twoja zmarła żona.

Skylan zbladł i popatrzył na nią zdumiony. Potem rzucił wściekle spojrzenie Wulfe'owi, który zaczerwienił się po uszy i uciekł do lasu. Skylan poczuł się w obowiązku wytłumaczyć jakoś.

– Nie wiem, co ci ten chłopak naopowiadał. Prawda jest taka, że na pokładzie tego statku widma miewałem koszmary – powiedział.

Matka Sowa rozkładała kości.

– Wulfe twierdzi, że widział draugę.

– Wulfe twierdzi, że rozmawia z driadami.

Matka Sowa ułożyła swoje kości przed sobą.

– A co? Nie wolno mu czy co?

Skylan popatrzył na nią ze złością.

– To był tylko zły sen – wymamrotał.

Z przyzwyczajenia sięgnął po pięć kości i zaczął je wyrzucać na planszę.

Matka Sowa zatrzymała jego dłoń.

– Dlaczego to robisz? – spytała.

– Co takiego? – Skylan poczuł tak przejmujące zimno, że aż mu się zrobiło gorąco.

– Dlaczego rzucasz pięć kości? Rzuca się tylko jedną.

Skylan wyrwał jej rękę.

– Nauczyłem się od kogoś takiej wersji.

– Od draugry – stwierdziła Matka Sowa i wbiła w niego świdrujący wzrok.

Skylan zacisnął palce na kościach, aż poczuł, jak kłują go ich ostre krawędzie. Patrzył w planszę i nic nie mówił.

– Pięć kości – szepnęła Matka Sowa. – Zatem ona zawsze zaczyna grę od pięciu kości?

Skylan nic nie odpowiedział.

Matka Sowa popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– Zmarli wracają w jakimś określonym celu. Ta draugra nie przyszła się mścić. Przyszła grać w smocze kości. Czy kiedykolwiek zastanowiłeś się dlaczego?

– To tylko sen! – krzyknął Skylan. – Dlaczego miałbym się nad nim zastanawiać?

– Powinieneś, bo draugra próbuje ci coś powiedzieć.

– To dlaczego po prostu tego nie powie? – warknął wściekły.

Zrzucił kości na ziemię i wstał niepewny, czy iść czy nie. W końcu usiadł z powrotem. Przeczesał włosy dłonią, otarł pot z czoła.

– Wróciła, by wybierać pięć kości, rozgrzewać miecz do czerwoności i zatrząskiwać klapy na okrętach. Gra tak dobrze, że wygrywa co noc. Dlaczego mnie prześladowuje? Dlaczego po prostu nie powie mi, o co jej chodzi? – pytał rozgorączkowany, waląc pięścią w pniak dla podkreślenia każdego słowa. Uderzał tak mocno, że aż z jego dłoni połała się krew.

– Może nie umie ci tego powiedzieć... – Matka Sowa urwała, a potem dodała w zamyśleniu: – A może jej nie wolno.

Skylan wyciągnął sobie drzazgę z dłoni. Próbował wyssać jej resztki, gdy nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. Spojrzał na Matkę Sowę.

– Czy jeśli zrozumie wreszcie, czego Draya ode mnie chce, zostawi mnie w końcu w spokoju?

Matka Sowa wzruszyła ramionami.

– Czy ja ci wyglądam na draugę? – Roześmiała się i dodała pospiesznie: – Może lepiej nie odpowiadaj na to pytanie.

– Ale znasz się na nich – powiedział Skylan i pochylił się w jej stronę. – Jesteś stara i mądra, Matko Sowo. Jak sądzisz, co ona próbuje mi powiedzieć? – spytał cichym, ciepłym tonem.

– Takie słodkie słówka to lepiej zachowaj dla młodych, Skylanie Ivorsonie – wykpiła go. – Nie osłodzą mojego octu. – Wstała i strzepnęła spódnice. – A teraz idź już i zostaw mnie w spokoju. Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż granie tu z tobą w jakieś gry. Zanieś mi to krzesło do domu, zanim sobie pójdziesz. Aha, przypomniało mi się, że rzeczywiście dach mi trochę cieknie...

Nim Skylan uporał się ze wszystkimi zadaniami, o jakich przypominała sobie raz za razem Matka Sowa, słońce chyliło się już ku zachodowi. Drzewa rzucały długie cienie na ścieżkę prowadzącą do wsi. Szedł z opuszczoną głową, nie patrząc, gdzie idzie, a myśli zaprzątnięte miał draugą i conocnymi meczami smoczycy kości.

– Skylanie! – zawołał Garn i podszedł do niego. – Chciałem cię przeprosić...

– Wracam właśnie od Matki Sowy – powiedział Skylan.

– Tak, wiem. – Garn zarumienił się. – Przepraszam...

– Co ci przychodzi na myśl, gdy myślisz o liczbie pięć? – przerwał mu Skylan.

– Pięć? – powtórzył zaskoczony Garn.

– Tak, liczba pięć.

– Każdy człowiek ma pięć palców – powiedział Garn.

Skylan przemyślał to i po chwili pokręcił głową.

– Nie, to ma jakiś związek z grą w smocze kości.

Garn zastanowił się i powiedział:

– Jest Pięć Smoków Vektii.

– Pięć Smoków Vektii – powtórzył Skylan. – Coś jeszcze?

– Coś jeszcze związanego z liczbą pięć? Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

– Pięć smoków. Ale nawet jeśli, to co ona mi takiego próbuje powiedzieć? – wymamrotał Skylan, marszcząc czoło.

– Kto? Matka Sowa? – spytał Garn.

– Matka Sowa? Co z nią? – Skylan wreszcie popatrzył na przyjaciela. – A, rozumiem. Nie, nie Matka Sowa. Mniejsza z tym zresztą. Nieważne.

– Skylan, musimy porozmawiać. To dla mnie ważne.

– Tak? Co takiego? – spytał Skylan, ale wciąż myślał o pięciu smokach.

– Chcę, żebyś zostawił mnie we wsi, gdy wyruszysz na wojnę. Chcę zostać z Norgaardem i stać na straży wsi...

Skylan popatrzył na niego, zachodząc w głowę, czy słuch go nie myli. Potem wybuchnął śmiechem.

– Świetny żart. – Poklepał Garna po ramieniu. – Świetny, naprawdę myślałem przez chwilę, że mówisz serio. Ale mnie nabrałeś. Teraz słuchaj. Ja naprawdę muszę z tobą poważnie porozmawiać. Chodzi o Aylaen. Próbuję ją przekonać, żeby została Kapłanką Kości. Ona jest taka uparta, jak zawsze zresztą. I tak sobie myślę, może tobie udałoby się ją przekonać...

– Skylan, ja nie żartuję – powiedział cicho Garn. – Nie wierzę w tę wojnę. Nie chcę brać w tym udziału.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem – powiedział Skylan, a w jego głosie zaczęły pobrzmiwać niebezpieczne tony.

– Obawiam się, że wiesz – rzekł ponuro Garn. – Obaj wiemy, że ta historyjka o olbrzymach i Smoczej Wyspie to kłamstwo. Ludzie wierzą ci, bo za wszelką cenę chcą iść na wojnę. Ja nie chcę i nie chcę brać w tym wszystkim udziału. Ktoś musi strzec wsi. Przydam ci się bardziej, gdy zostanę tutaj.

– Staruszkowie tacy jak mój ojciec zostają we wsi – syknął wściekły Skylan, postanawiając zignorować oskarżenie o kłamstwo. Mógłby zaprzeczyć, może nawet powinien, ale prawda była taka, że kłamał, i Garn o tym wiedział, więc po co się niepotrzebnie wysilać. – Młodzi, silni mężczyźni potrzebni są w ścianie tarcz! A jeśli ich tam nie ma, to znaczy, że są tchórzami!

Garn zbladł, ale widać było po zaciętym wyrazie jego twarzy, że nie zamierza zmienić zdania.

– Przyjacielu, musisz jechać z nami – dodał Skylan łagodniejszym tonem. – Nie ze względu na mnie, ale na siebie. Ludzie pomyślą, że się boisz.

– A niech sobie myślą, co chcą – odciął się Garn, ale Skylan widział, że przyjaciel traci pewność siebie.

– Poza tym – ciągnął Skylan, zobaczywszy szparę w zbroi Garna – wybaczone, że powiem ci szczerze, co myślę, ale jestem twoim bratem i chcę ci pomóc. Jesteś sierotą, Garn. Przez całe lata żyłeś na łasce mego ojca. Norgaard kocha cię jak syna. Ja sam kocham cię jak brata. Ale nie masz nic. Żadnego srebra, ziemi, bydła. Pewnego dnia będziesz chciał się żenić, a wtedy żaden ojciec nie pozwoli takiemu nędzarzowi ożenić się z jego córką.

Skylan uśmiechnął się, żeby te słowa wypadły łagodniej, ale Garn zbladł strasznie.

– Jedź ze mną na tę wyprawę, Garn – powiedział Skylan – a wrócisz bogaty. Kraina ogrów opływa w dostatki, przyjacielu! Wrócimy do domu z okrętami wypełnionymi po brzegi złotem, srebrem i klejnotami. Będziesz zamożnym człowiekiem. Ojcowie będą ci przyprowadzać swoje córki nagusienkie, jak je matka zrodziła. I nie wmówisz mi, że nie wierzysz w słuszność tej wojny. Wiesz, że musimy odzyskać Torques Vektyjski. Nie może pozostać w rękach ogrów. Przecież wiesz, że tak jest, prawda?

– Tak – zgodził się Garn.

Skylan nagle zrozumiał, że Garn ma jakiś inny powód, który przed nim ukrywa.

– Jest coś jeszcze. Coś, o czym mi nie mówisz.

Garn przełknął, oblizał wargę i powiedział cicho:

– Tak, nie chciałem o tym z tobą mówić, ale...

– Wiem, chodzi ci o ojca! – przerwał mu Skylan. – Teraz rozumiem. Chcesz zostać, by opiekować się Norgaardem.

Garn popatrzył na niego zaskoczony i zabrakło mu słów.

Skylan pokręcił głową.

– To nie ma sensu, przyjacielu. Ojciec byłby wściekły na nas obu, gdyby tylko coś podejrzewał. To dumny człowiek. Wiesz o tym.

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób – wybąkał Garn i westchnął. – Ale masz rację.

– A zatem jedziesz – powiedział Skylan. – Będziesz stał przy mnie w ścianie tarcz. I zdobędziesz tyle srebrnych naramienników za bohaterskie czyny, że nie będziesz w stanie unieść ręki.

– Tak, jadę – obiecał mu Garn ze słabym uśmiechem. – I stanę przy tobie w ścianie tarcz.

Młodzi mężczyźni uścisnęli się jak bracia.

– Przyjacielu – szepnął Skylan. – Chcę, żebyś wiedział, że naprawdę próbowałem uratować Drayę. Walczyłem o nią do końca, ale nie udało mi się. Złapali mnie i bili, a jej krew... – Głos mu zadrżał. Wziął głęboki oddech. – Gdybym mógł ją uratować, gdybym mógł zapłacić swoim życiem za jej... Zrobiłbym to, Garn. Przysięgam na Torvala! – Z rozpaczą zacisnął palce na amulecie. – Przysięgam!

– Wierzę ci, Skylanie.

– To dobrze – powiedział Skylan, nagle zawstydzony swoim wybuchem. Przetarł dłonią twarz. Już żałował tego wyznania. – Dobrze. A teraz idź do Aylaen i pomów z nią, proszę.

– Tak – zgodził się Garn i westchnął głęboko. – Muszę porozmawiać z Aylaen.

Rozdział 3

Zgromadzenie Kai trwało kilka dni. Kapłanki Kości i ich akolity zamknęły się w Wielkiej Świątyni Bogów, by omówić problemy, z którymi zmagał się lud Vindrasów. Obrady były tajne i teoretycznie Kapłanki Kości nie mogły wyjawić nikomu żadnych szczegółów, lecz żony rozmawiały z mężami, dziewczęta ze swymi ukochanymi i niemal każdy w mieście znajdował jakiś pretekst, by przejść obok świątyni, licząc na to, że coś przypadkiem usłyszy.

Zgodnie z tradycją Skylan wysłał strażników, by stanęli przy drzwiach do świątyni i nie wpuszczali nikogo, kto próbowałby skrzywdzić kapłanki lub wpłynąć jakoś na ich decyzje. Na ustawianie straży zdecydowano się po strasznym wydarzeniu, jakie miało miejsce za panowania wielkiego Wodza Wodzów Grimwalda Liefsona. Klan Laeradów miał pretensje do wodza o surową karę, jaką nałożył on na nich za kradzież bydła. W odwecie napadli na Zgromadzenie Kai i porwali Kapłankę Kai, a tym samym żonę Grimwalda. Zapowiedzieli, że nie wydadzą jej, póki wódz nie odwoła kary.

Grimwald wpadł w szał. Odmówił wszelkich negocjacji i ruszył na wojnę, by zniszczyć Laeradów. Klany stanęły naprzeciw siebie w ścianach tarcz i Grimwald już miał zaatakować, gdy ku swemu przerażeniu ujrzał, że Laeradowie umieścili w pierwszym szeregu jego żonę. Grimwald z rozpaczą nie wiedział, co robić. Jeśli zaatakuje, jego żona zginie od razu. Jeśli się wycofa, Laeradowie ogłoszą swoje zwycięstwo, a Wódz Wodzów zostanie uznany za słabego. Inni wodzowie także obrócą się przeciw niemu. Nikt już nie będzie považał jego sądów.

Kapłanka Kai zdawała sobie sprawę z okrutnego wyboru, przed jakim postawiono jej męża, więc podjęła decyzję za niego. Wyrwała miecz stojącemu obok wojownikowi i wbiła go sobie w brzuch. Zmarła na oczach zrozpaczonego małżonka.

Przysięgłszy Torwalowi, że Laeradowie zapłacą mu za śmierć ukochanej żony, Grimwald rzucił się wraz ze swoimi wojownikami z taką siłą, że zmietli okrutny klan z powierzchni ziemi. Odtąd jednak wodzowie zawsze ustawiali na straży Zgromadzenia Kai swoich wiernych wojowników.

Skylan wybrał wojowników ze swego klanu, w tym Bjorna i Erdmuna. Powiedział, że wybiera właśnie ich, by okazać szacunek dla Kai. Na jego decyzję wpłynęło też jednak to, że

wojownicy ci mieli stać tyłem do drzwi, w pozycji idealnej do podsłuchiwania. Zresztą Skylan bynajmniej nie był pierwszym Wodzem Wodzów, który zauważył tę dogodność.

Po wejściu do świątyni kapłanki nie miały prawa wyjść, póki nie zakończyły obrad, a to oznaczało, że musiały tam jeść i spać czasami przez wiele dni.

Starsze kapłanki, a na ich czele Fria, miały nadzieję, że Zgromadzenie Kai odbędzie się w spokoju i powadze. Okazało się to jednak niemożliwe. Skylan dowiedział się od Bjorna, że Kapłanki Kości dosłownie wpadły w popłoch. Od miesięcy z trudem zmagaly się z kolejnymi katastrofami, które waliły się na ich głowy jak głazy spadające z klifu: straciły Torques Vektyjski; umarła Desiria, bogini życia, a co za tym idzie, kapłanki nie były już w stanie leczyć chorych i rannych; oszałała z rozpaczy bogini słońca niszczyła zboże straszną suszą; tragicznie zginęła Draya, którą wszystkie kochały i poważały; na Smoczyc Wypach przekłeto lud Vindrasów.

Pogrążona w żałobie Fria, która wciąż jeszcze nie otrząsnęła się po utracie najdroższej przyjaciółki, nie była w stanie załagodzić sporów między kłótliwymi i uspokoić przestraszonych. Plotki rodziły kolejne plotki. Jedne kapłanki twierdziły, że wszyscy bogowie umarli, a Vindrasi są teraz zdani tylko na siebie. Inne kłóciły się, że to nieprawda, że wciąż rozmawiają z bogami, a nawet nadal mogą uzdrawiać w imię bogini życia. Mało kto im wierzył. Kobiety krzyczały jedna przez drugą i kłóciły się zajadle, a Fria bezskutecznie usiłowała zaprowadzić jakiś ład.

W tych chwilach kryzysu to Treia przejęła kontrolę nad sytuacją. Jej chłodny, beznamiętny głos podziałał na nie jak wiadro zimnej wody, którym oblewa się walczące suki. Konflikty natychmiast cichły, lecz psy wciąż patrzyły na siebie wściekłymi ślepiami i co jakiś czas pokazywały kły.

Fria zaproponowała, by poddać próbie te kapłanki, które twierdziły, że nadal posiadają moce uzdrawiania. Treia jednak zauważyła, że taka próba nic nie da, poza dodatkowym zaostreniem konfliktów. Stwierdziła, że jej zdaniem Kapianki Kości powinny zapomnieć o przeszłości i skupić się na bieżących problemach, a przede wszystkim wybrać nową Kapłankę Kai.

Stojący przy drzwiach Bjorn usłyszał jej słowa, więc natychmiast przekazał straż bratu i pobiegł do Skylana, który przebywał teraz w domu wodza w Vindraholmie. Skylan nie zamierzał wcale wracać do stolicy, dopóki nie skończy się Zgromadzenie Kai, ale Aylaen zaskoczyła go niezmiernie, przychodząc do niego z pokorą i oświadczając mu, że zmieniła zdanie. Weźmie udział w Zgromadzeniu Kai wraz z Treią, tak jak tego pragnął.

Skylan ucieszył się jak szalony i pogratulował Garnowi takiej skuteczności, ale przyjaciel zarzekał się, że to nie jego zasługa.

Garn mówił prawdę. Gdy powiedział Aylaen, że idzie na wojnę, dziewczyna wpadła w szal, wyzwała go od ostatnich tchórzy, wygarnęła mu, że boi się przeciwstawić Skylanowi, a potem uciekła i nie chciała go już widzieć. Garn nie rozumiał, dlaczego nagłe zmieniła zdanie

co do Zgromadzenia Kai, ale był pełen złych przeczuć. Pojechał nawet do Vindraholmu ze Skylanem, licząc na to, że uda mu się z nią porozmawiać, ale Aylaen unikała go jak ognia, a potem zniknęła w Wielkiej Świątyni Bogów.

Bjorn zastał przyjaciół razem. Skylan i Garn szykowali się na wojnę. Był z nimi Wulfe. Siedział na ziemi tuż przy drzwiach, które zostawili otwarte, by do środka wpadał wieczorny wiatr od morza. Chłopiec bawił się smoczymi kośćmi do gry. Układał je jedną na drugiej, a gdy w końcu wieża rozsypywała się z hukiem, wybuchał radosnym śmiechem.

Skylanowi nie podobało się, że Wulfe bawi się smoczymi kośćmi. Sam ich widok przypominał mu o draugrze, która wciąż zmuszała go do gry. Po rozmowie z Matką Sową zaczął wypytywać zjawę, błagać, by powiedziała mu, czego od niego chce, ale nic to zupełnie nie dało. Draugra nadal zaczynała każdą grę od rzucenia pięciu kości i niemal zawsze kończyła ją odebraniem mu wszystkich jego pionków. Bjorn zrobił krok nad wieżą Wulfe'a i wszedł do środka.

– Mam nowe wieści – powiedział.

Skylan i Garn odwrócili się w jego stronę. Sądząc po tonie Bjorna, były to ważne informacje. Skylan wskazał mu taboret, a Garn podał róg pełen pieniącego się piwa.

Bjorn wypił łączywie. Długo stał na słońcu i był bardzo spragniony. Nim zdążył zacząć mówić, Skylan zadał mu najważniejsze pytanie:

– Czy wybrały już Kapłankę Kai?

Bjorn pokręcił głową, a Skylan odetchnął z ulgą. Bjorn zaczął wyjaśniać, że ponieważ Draya nie wyznaczyła następczyni, Kai muszą wyłonić kilka kandydatek. Po wielu sporach ustaliły w końcu dwie: Frię, która była najbliższą przyjaciółką Draia, oraz Treię, która zaskoczyła wszystkich, sama zgłaszając swoją kandydaturę.

Tylko Skylana w ogóle to nie zdziwiło. Już od dawna podejrzewał, że Treia powoli prze w stronę władzy, ale nadal nie pojmował dlaczego.

– Treia mnie nienawidzi – powiedział w zamyśleniu. – Dlaczego chciałaby zostać moją żoną?

– Nie chce – odezwał się Wulfe.

Trzej mężczyźni popatrzeni na niego z zaskoczeniem. Choć chłopiec towarzyszył im niemal bez przerwy, nigdy nie wtrącał się do ich rozmów. Bjorn żartobliwie nazywał go pieskiem Skylana, którego zawsze można było znaleźć zwiniętego w kłębek u stóp pana.

– Rozumiem, że powiedziała ci to jakaś nimfa – zakpił Skylan i mrugnął porozumiewawczo do przyjaciół.

Wulfe ostrożnie położył czwartą kość na swojej małej wieży.

– Jak już wybiorą Treię na Kapłankę Kai, twój kuzyn Raegar wyzwie cię na... na... zapomniałem na co – przyznał i wzruszył ramionami.

– Co za wierutna bzdura – zawołał Bjorn i roześmiał się, a z nim pozostali. – Raegar nie ma najmniejszego powodu, by wyzywać cię na Vutmanę. Zresztą nikt nie dałby mu prawa do pozwania cię.

Skylan śmiał się z innymi, ale jego radość była udawana. Raegar miał świetny powód, by pozwać Skyłana. Raegar znał prawdę o śmierci Drai.

– Choć trzeba przyznać, że jak się tak nad tym zastanowić, to brzmi to na niezły plan – zauważył Bjorn, gdy ucichły śmiechy. – Gdyby Treia została Kapłanką Kai, byłaby odpowiedzialna za wybór zwycięzcy podczas Vutmany.

– Torval wybiera zwycięzcę – poprawił go Skyłan.

– Tak, oczywiście – zgodził się Bjorn, chytrze się uśmiechając. – Lecz Kapłanka Kai może zawsze nieco wpłynąć na decyzję boga.

– Z pewnością w to nie wierzysz, przyjacielu – powiedział Garn.

Bjorn uświadomił sobie nagle znaczenie swych słów i przestraszył się nie na żarty.

– Oczywiście, że nie wierzę. Skyłan, ty wiesz, że tylko żartowałem... – wybąkał.

– Wiem dobrze, że nie żartowałeś – syknął Skyłan i zmienił temat rozmowy. – Co zatem ustaliły Kapłanki Kości? Czy Treia zostanie Kapłanką Kai?

Bjorn pokręcił głową.

– Niektóre kapłanki chcą, żeby została nią Fria. Inne popierają Treię. Są też takie, którym nie podoba się żadna z nich.

– Co teraz? – spytał Skyłan.

– Kai czekają na znak od bogów.

– Jak wygląda taki znak?

Bjorn pokręcił głową.

– Nikt tego nie wie. Przy Drai znakiem była kometa, która przeleciała przez niebo. Przy poprzedniej kapłance Torval połknął księżyc.

– Kiedy Kai otrzymają znak?

– Chyba wtedy, kiedy bogowie uznają za stosowne. Kiedy wreszcie go otrzymają, muszą znów się spotkać i zdecydować, czy to rzeczywiście znak i co oznacza.

Skyłan poczuł, że się rozluźnia. Nic nie zdarzy się zbyt prędko.

– Tymczasem Fria zostanie w Vindraholmie, by zająć się ludźmi, a Treia popłynie z nami – dodał Bjorn.

Skyłan wyobraził sobie, jak będzie musiał mieszkać z Treią na jednym okręcie, gdzie jej krótkowzroczne oczy będą mogły go śledzić od rana do nocy, i zdusił jęk wściekłości. Na tym samym okręcie będzie także Raegar. No cóż, jak to zawsze powtarzał Norgaard: trzymaj przyjaciół jak najbliżej, ale wroga jeszcze bliżej.

Wulfe zebrał smocze kości i odłożył na miejsce, a potem skulił się w kącie i usnął. Skyłan nalał przyjaciółom piwa. Miał już róg przy ustach, gdy uświadomił sobie, że Bjorn kręci się jakoś niepewnie. Trzymał róg w dłoniach, ale nie tknął piwa.

– Co się stało? – spytał Skylan. – Dlaczego nie pijesz?

– Na Zgromadzeniu Kai stało się coś jeszcze – wymamrotał Bjorn, nie mając odwagi spojrzeć Skylanowi w oczy. – Chodzi o Aylaen.

– Tak, wiem – uspokoił go Skylan. – Chce zostać Kapłanką Kości...

– Wysłuchaj mnie, Skylanie – przerwał mu Bjorn. – Kai nie zgodziły się. Powiedziały, że jest za stara. Musiałaby najpierw zostać akolitką, a to zajmuje całe lata...

– Nie mogą jej zabronić! – ryknął Skylan i zerwał się na równe nogi. – Już ja im powiem...

– Wysłuchaj mnie! – prosił Bjorn. – Aylaen powiedziała im, że może zostać Kapłanką Kości bez tego. Twierdziła, że w historii Vindrasów był już taki przypadek.

Bjorn urwał i wziął wielki łyk piwa. Zdawało się, że naprawdę potrzebował odrobiny odwagi. Skylan czekał z niecierpliwością.

– Tak?

– Przypomniała im o Griseldzie, mężczyznokobiecie – powiedział Bjorn.

Skylan z trudem przełknął ślinę z przerażenia i wpatrywał się w Bjorna z niedowierzaniem.

– Nie mówisz poważnie.

– Uwierz mi, że czegoś takiego bym nie zmyślił – zapewnił go Bjorn.

Skylan popatrzył na Garna z wyrzutem.

– Wiedziałeś o tym?!

Garn pokręcił głową.

– Nie miałem pojęcia. – Wyglądał na równie przerażonego jak Skylan.

– A co na to Treia? – spytał Skylan. – Z pewnością jest temu przeciwna.

– Treia jest temu przychylna. Powiedziała, że w pełni popiera decyzję siostry. Kapłanki przedyskutowały to, lecz w końcu zgodziły się jednomyślnie – ciągnął Bjorn. – Aylaen stanie się mężczyznokobietą i popłynie z nami na wojnę.

– Nie zrobi tego – warknął Skylan. – Zabraniam jej.

– Chyba nie bardzo masz jak – wybąkał Bjorn. – Kai zgodziły się na to, bo Aylaen powiedziała im, że to ty poddałeś jej ten pomysł.

Rozdział 4

Skylan poszedł poszukać Aylaen i zabrał ze sobą Garna. Uznali, że jeśli obaj z nią porozmawiają, może uda im się ją przekonać. Poszli najpierw do świątyni, ale Erdmun powiedział im, że Zgromadzenie Kai już się zakończyło. Kilka kapłanek zostało jeszcze w świątyni, lecz nie było wśród nich Trei, a Aylaen na pewno towarzyszyła siostrze. Jednej z kapłanek wydawało się, że obie poszły do domu Friei, która gościła je na czas pobytu w Vindraholmie. Udali się więc do Friei, gdzie dowiedzieli się, że siostry już wracają do domu i prawdopodobnie wchodzi właśnie na pokład *Venjekara*. Pobiegli na brzeg. Smoczy okręt już wypłynął.

Wrócili do domu Skylana. Bjorna już nie było, bo poszedł szukać brata, a Wulfe spał zwinięty w kłębek w kącie. Ręce i nogi drżały mu lekko.

– Tak sobie o tym myślałem, Garn – powiedział Skylan. – Może Aylaen ma rację. Może skoro to jedyny sposób, by zostać Kapłanką Kości, powinna poddać się rytuałowi. Może powinna popłynąć z nami.

– Chyba nie mówisz poważnie – jęknął Garn.

– Aylaen świetnie posługuje się toporem i mieczem. Była przy bitwie z ogami i ani drgnęła, choć włócznie lądowały tuż przy niej.

– Ale nie była z nami w ścianie tarcz, Skylan – przypomniał mu Garn. – Nie stała tuż przy zarżniętych ludziach, nie tryskał na nią niczyj mózg.

– Zrobię wszystko, by nic jej się nie stało – zapewnił go Skylan. – Przydzielę ją do obrony Trei. Obu kobiet będzie chronił smok Kahg.

– Wiesz, że będzie w wielkim niebezpieczeństwie. Kapłanki Kości często giną podczas walki.

– Wyznaczę dodatkowych wojowników, by jej bronili...

– ...czyli zabierzesz ludzi ze ściany tarcz i tym samym wszystkich nas narazisz na niebezpieczeństwo. Cała misja może skończyć się katastrofą tylko dlatego, że ty zakochałeś się w Aylaen! – Garn był blady jak nigdy. Oczy płonęły mu z wściekłości. – Ten twój plan skończy się jej śmiercią!

Wypadł z domu, trzaskając drzwiami z taką siłą, że posypały się drzazgi.

Skylan opadł na krzesło. Można było go oskarżyć o wiele rzeczy, ale nie o to. Tylko wspomniał Aylaen o Griseldzie i na pewno nie chciał jej sugerować, że ma naśladować legendarną mężczyznokobietę!

Skylan wypłynął z Vindraholmu następnego poranka. Przeprowadził się małą łódką na drugi brzeg, by przygotować *Venjekara* na wojnę. Za dwa dni do Ludy miały przyплыć dwa inne smocze okręty należące do Sve Gundów i Martegnanów. Podczas tej krótkiej przeprawy rozpamiętywał słowa Garna. Przybiwszy na drugi brzeg, posunął się nawet do tego, że poprosił o radę Norgaarda. Stary wódz w pełni zgodził się z Garnem, a do tego dodał jeszcze jeden argument: żaden mężczyzna nie będzie czuł się pewnie, walcząc przy boku kobiety.

A jednak był to jedyny sposób, by Aylaen została Kapłanką Kości, a wkrótce i żoną Skylana.

Skylan nie wiedział, co robić, i jeszcze w noc przed wypłynięciem leżał i rozmyślał nad tym wszystkim, czekając, aż przyjdzie draugra na ich cowieczorną partyjkę smoczych kości. Nie pojawiła się jednak i po jakimś czasie Skylan zapadł w niespokojny sen.

Był na polu bitwy, ale nie w ścianie tarcz. Jego wojownicy byli w rozsypce. Jedni walczyli, inni uciekali, część zamarła z przerażenia. Skylan biegał od jednej grupki do drugiej, błagając, by walczyli z wrogiem bez twarzy. Po prawicy miał Garna, po lewicy Aylaen. Próbował namówić swych ludzi do walki i wysłać Aylaen z powrotem na okręt. Nie chciała go słuchać. Nagle wróg rzucił się w ich stronę i on, Garn i Aylaen walczyli z nim na śmierć i życie.

Kątem oka Skylan zobaczył błysk stali i uświadomił sobie, że wróg celuje włócznią w Garna. Krzyknął, ale przyjaciel walczył z dwoma wojownikami naraz i nie słyszał go. Skylan rzucił się w kierunku wroga, który trzymał grożącą Garnowi włócznię. Zamachnął się mieczem i wtem usłyszał krzyk. Obejrzał się i ujrzał, że Aylaen potyka się w kałuży krwi. Wróg rzucił się na nią. Próbowano się mu wyrwać. Skylan nie zdołał dobiec na czas. Topór runął w dół...

Skylan obudził się cały zlany potem. Drżał i sapał. Bał się tak strasznie, że dopiero po chwili doszło do niego, że to tylko sen. Ubrał się szybko, chwycił pochodnię i pobiegł porozmawiać z Aylaen.

Musiał iść aż do domu Trei, bo Sigurd wpadł w szal, gdy usłyszał o pomysłach Aylaen, i tak ją źle traktował, że musiała się przeprowadzić do siostry. W domu Trei było już jednak zupełnie ciemno. Była późna noc i siostry z pewnością dawno spały.

Skylan zaczął walić pięścią w drzwi i krzyczeć, że chce rozmawiać z Aylaen.

Drzwi się uchylły.

– Kto tam? – spytała Treia, osłaniając oczy przed światłem pochodni.

– Dobrze wiesz, że to ja! – ryknął Skylan. – Chcę mówić z Aylaen.

– Nie możesz – odparła Treia. – Oczyszcza się przed rytuałem. Nikt nie może jej widzieć ani z nią rozmawiać.

– Ma natychmiast porozmawiać ze mną! – wrzasnął Skylan i uderzył w drzwi, gotowy je wyważyć, by dostać się do środka.

Treia zapała się całym ciałem.

– Bogowie ci tego zabraniają!

– Z drogi, na Torwał, bo wedrę się tam przemocą!

Usta Trei drgnęły w szyderym uśmiechu.

– Za późno – powiedziała. – Zresztą zobacz sam.

Wskazała na coś na ziemi.

Skylan uparcie patrzył na nią.

– Nie wierzę ci. Wpuść mnie do środka.

Treia wzruszyła ramionami. Było jej zupełnie obojętne, czy jej wierzy czy nie.

– Za późno – powtórzyła.

Skylan niechętnie, powoli spojrzął na ziemię. Z początku nic zupełnie nie zobaczył, ale po chwili uświadomił sobie z rozpaczą, że patrzy na kłęby pięknych, bujnych, rudych jak ogień włosów.

– O świcie spotkamy się na okręcie – powiedziała Treia i zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Skylan miał ochotę staranować drzwi, ale co by potem zrobił? Podniósł jeden ze lśniących loków, pogłaskał go i pozwolił mu opaść na ziemię.

Powlókł się do domu.

Skylan nie był jedyną osobą, która włóczyła się tej nocy po lesie. Wulfe odwiedził Matkę Sowę i opowiedział jej wszystko o Zgromadzeniu Kai. Oboje pracowali pilnie przy rozmowie. Wulfe rozcierał liście w kamiennym moździerzu. Potem wiązał lawendę w bukieciki i wieszał je na belce pod sufitem, żeby wyschły, co rusz przerywając pracę i wachając chciwie zapachy dochodzące z garnka.

Matka Sowa nie mówiła wiele, ale Wulfe wiedział, że wysłuchuje go uważnie, bo co jakiś czas chichotała lub rzucała jakąś uwagę o ludziach, którzy wkładają głowy do gniazda szerszeni lub wchodzą w bagno po pas i to na własne życzenie.

Wulfe mówił i mówił, aż wreszcie nie miał już nic do powiedzenia. Drażnił się chwilę z wiverną, która próbowała dziobnąć go w palec, ale Matka Sowa zganiła go za to, a potem dała mu miskę potrawy i powiedziała, że jeśli chce, może spać na podłodze.

Wulfe podziękował jej za zaproszenie, ale wyjaśnił, że musi już iść. Torgunowie wypływają jutro rano, a on zamierza jechać z nimi.

Matka Sowa popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Dziwi mnie, że Skylan pozwolił ci płynąć.

– Nie pozwolił – wyznał spokojnie Wulfe. – Myśli, że będę mieszkał u ciebie. Kiedy zorientuje się, że jestem na pokładzie, będzie już za późno.

– Wojownicy będą mieć topory, miecze i włócznie – powiedziała Matka Sowa. – Cały okręt będzie śmierdział żelazem.

– Wiem. – Wulfe aż się wzdrygnął na samą myśl. – Wcale nie chcę jechać, ale muszę. Dużo o tym myślałem i teraz już wiem, że Skylan jest moim geisem.

Matka Sowa się uśmiechnęła.

– Twoim geisem? Jaki okrutny demon nałożyłby na ciebie taki okropny obowiązek?

– Żaden demon! – odrzekł urażony chłopiec. – Uratowałem Skylanowi życie. Muszę teraz dbać o jego wyrd.

– Ty lepiej dbaj o samego siebie – przykazała mu Matka Sowa. Przerwała na chwilę pracę i wbiła w niego uważny wzrok. – I pamiętaj, czego się uczyliśmy.

Wulfe pokiwał głową z powagą.

– Przywiozę ci prezent z podróży. Co byś chciała, Matko Sowo? Może worek rubinów?

– Lepiej przywieź mi siebie, całego i zdrowego – burknęła Matka Sowa. – I tego głupca Skylana też. Może się jeszcze na coś kiedyś przydać. – Wydeła usta. – Geis! No też coś.

Odprowadziła chłopca do drzwi. Ucałowała go w czoło tak jak niegdyś jego matka. Położyła mu dłonie na ramionach i popatrzyła w oczy.

– Druidzi chcieli dobrze, Wulfe, ale się mylili. Ty masz dar i to jest naprawdę dar, a nie żadne przekleństwo. Korzystaj z tego daru. Korzystaj z umiarem i w słusznej sprawie, ale nie wahaj się go użyć, gdy zajdzie potrzeba. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Wulfe popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Nie był za bardzo pewien, czy rozumie, ale nie chciał jej zmartwić, więc kiwnął szybko głową, a potem odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

Lubił być sam nocą. Nigdy nie bał się ciemności, może zresztą dlatego że noc właściwie nie była dla niego ciemna. Księżyc i gwiazdy oświetlały ziemię delikatnym światłem, które osiadało na drzewach, trawie, kwiatach i zwierzętach, ukazując Wulfe'owi drogę. To w nocy jego ojciec i rodzina przybierali ludzką formę. W nocy przychodziła do niego matka, cała w księżycowym blasku, by tańcząc w mroku, śpiewać swemu dziecku kołysanki.

Idąc przez las, Wulfe natknął się na driady wylegające się na gałęziach drzew i pomachał im na pożegnanie. Pożegnał się też z nimfą, która spała sobie smacznie w strumieniu, z głową na poduszce z kamienia i wodą opływającą z cichym pluskiem jej zmysłowe ciało. Zamruczała coś we śnie i przeciągnęła się z rozkoszą. Potem spotkał watahę wilków i zamienił z nimi dwa słowa, ale były głodne i szukały jedzenia, więc nie miały czasu na uprzejmości.

Szedł ścieżką, która prowadziła do domu Trei. Zawsze starał się mieć ją na oku, choć o tej porze na pewno już dawno spała. Podeszedł jednak cicho do drzwi, przyłożył ucho i nasłuchiwał. Nic nie usłyszał, więc poszedł dalej. Nagle coś na niego skoczyło, czyjaś ręka zacisnęła mu się na ustach i coś wciągnęło go za krzak.

– Wulfe, Wulfe! Nie gryź mnie tak! To ja, Garn. Cicho. Nic ci przecież nie zrobię. Tak myślałem, że cię tu spotkam. Widziałem już nieraz, że węszysz wokół domu Trei. Co tu robisz?

Wulfe patrzył na niego w milczeniu i był gotowy czmychnąć, gdy tylko Garn zluzuje uścisk.

– Zresztą mniejsza z tym – powiedział Garn i westchnął. – Prawdę powiedziawszy, czekałem na ciebie. Muszę cię o coś prosić.

Wulfe nadal bez słowa patrzył na niego uważnie. Nie zamierzał się na nic godzić zbyt pochopnie.

– Muszę zobaczyć się z Aylaen, a jej siostra nikogo nie chce wpuścić – ciągnął Garn. – Odesłała Skylana z kwitkiem, ale tobie być może udałoby się wślizgnąć do środka bez budzenia Trei. Mógłbyś powiedzieć Aylaen, że muszę z nią porozmawiać.

– Mógłbym to zrobić – stwierdził dyplomatycznie Wulfe.

– Ale czy zrobisz to dla mnie? – spytał błagalnym tonem Garn.

Wulfe przemyślał to i wreszcie kiwnął głową na zgodę. Oczekali z Garnem chwilę w milczeniu, aż w końcu chłopak dał mu znak, że Treia wróciła do łóżka. Wulfe przebiegł przez polanę aż do długiego domu. Tam przykucnął na chwilę, by z ciekawością przyjrzeć się kłębowi rudych włosów na podłodze, wzruszył ramionami i pchnął drzwi, które uchyliły się lekko.

Wślizgnął się do środka. Ogień był już wygaszony, garnek wymyty i odstawiony. Obie kobiety były gotowe do drogi. Wulfe stał chwilę, rozglądając się wokół, żeby zorientować się w sytuacji, aż zobaczył głowę Aylaen – łysą i lśniącą. Unosiła się w ciemności upiornie oderwana od ciała.

Panika chwyciła chłopca za gardło i po chwili dopiero uświadomił sobie, że Aylaen siedzi po prostu na ziemi owinięta ciemnym kocem. Nie spała. Patrzyła na niego smutnymi oczami.

– Wulfe? – szepnęła, a jej głos był ochrypnięty, jakby długo płakała. – Co tu robisz? Skylan już poszedł.

– Jest tu Garn – szepnął Wulfe. – Czeka na zewnątrz. Chce z tobą porozmawiać.

Treia poruszyła się we śnie, mrużąc coś nieprzytomnie. Aylaen chwyciła Wulfe'a za przegub. Jej palce były zimne i gładkie. Wulfe pomyślał, że takie są pewnie palce draugry. Nie były przyjemne w dotyku, więc chłopiec wyrwał jej rękę. Treia uspokoiła się. Aylaen odetchnęła.

– Czy bardzo się na mnie gniewa? – spytała.

Wulfe wzruszył ramionami. Nie wiedział i właściwie było mu wszystko jedno, czy Garn się gniewa czy nie.

– Powiedz mu... – Nagle Aylaen zrzuciła koc i wstała. – Nie, sama mu powiem.

Wyszła z domu niemal tak cicho jak Wulfe. Chłopiec wskazał jej, gdzie wśród drzew stoi Garn.

– Dziękuję – powiedziała Aylaen i dodała surowo: – Możesz już iść.

Wulfe pobiegł posłusznie, ale po chwili odwrócił się, przykucnął i schował na tyle blisko, by wszystko dobrze widzieć i słyszeć.

– Skylan nie miał prawa prosić cię, żebyś poddała się temu rytuałowi, Aylaen – mówił właśnie Garn. – On to wie. Wie, że popełnił błąd. Nie musisz tego dla niego robić...

– Dla niego? – zdziwiła się Aylaen. Potarła ręką swoją ogoloną głowę. – Nie zrobiłam tego dla Skylana!

– Nawet bogini nie może żądać od ciebie...

– Nie zrobiłam tego dla Vindrash – szepnęła Aylaen i popatrzyła na niego uważnie. – Czy ty nic zupełnie nie rozumiesz? Naprawdę nie wiesz, dlaczego to zrobiłam?

Garn pokręcił głową.

– Zrobiłam to dla nas! – wyszeptła Aylaen, zarzucając mu ramiona na szyję i próbując go pocałować.

Garn złapał ją jednak i odsunął od siebie, marszcząc czoło.

– O czym ty mówisz?

– Zrobiłam to tylko po to, byśmy mogli być razem – wyjaśniła Aylaen. – Skylan wcale nie kazał mi tego robić. Przypomniał mi tylko o Griseldzie i dzięki temu wpadłam na ten pomysł.

– Skłamałaś Trei? Skłamałaś Kai? – wyszeptał Garn. – Powiedziałaś przecież, że to bogini nakazała ci tak postąpić!

– Nie wiadomo, może to bogini poddała mi tę myśl – broniła się Aylaen, nieświadomie powtarzając argument Skylana o Torvalu. – Kto wie? Gniewasz się? Myślałam, że będziesz się cieszyć!

– Z czego? Z tego, że możesz zginąć...

– Ty także możesz zginąć! A jeśli ty umrzesz, nie chcę żyć!

– Tak nie wolno – powiedział Garn. – Nie możesz tego zrobić, Aylaen. Jesteś nie lepsza od Skylana. Dbasz tylko o swoje egoistyczne chęci. Jak mam walczyć w ścianie tarcz i starać się przeżyć, jeśli będę się wciąż zamartwiał o ciebie? Byłem wściekły na Skylana, Aylaen. Myślałem, że to był jego pomysł. Nie miałem pojęcia, że to ty na to wpadłaś.

Z domu wypadła Treia, ale kochankowie tak byli skupieni na sobie, że nawet jej nie zauważyli. Widział ją tylko Wulfe.

– Garn! Proszę cię! – Aylaen przyłgnęła do ukochanego. – Zrobiłam to dla nas. Zrobiłam to, bo cię kocham. Nie myślałam, że... Nie chciałam... Co zamierzasz zrobić? Dokąd idziesz?

– Musisz powiedzieć swojej siostrze prawdę – powiedział Garn, próbując oswobodzić się z jej uścisku.

– Za późno – rzekła Treia.

Kochankowie odskoczyli od siebie i z poczuciem winy odwrócili głowy w jej stronę.

– Nie może już powiedzieć prawdy – ciągnęła Treia. – Nie teraz. Jeśli Kai odkryją, że moja siostra zmyśliła to wszystko tylko po to, by móc z tobą sypiać, będą myślały, że brałam udział w tym kłamstwie. To by raz na zawsze przekreśliło moje szanse na zostanie Kapłanką Kai. A na to wam nie pozwolę.

– Nie powstrzymasz mnie. Muszę im powiedzieć... – zaczął Garn.

– Owszem, powstrzymam – odparła spokojnie Treia. – W dniu swego ślubu Aylaen dziedziczy po ojcu ziemię. Wystarczy, że powiem Sigurdowi, że uwiodłeś ją, by zdobyć majątek.

– Sigurd by go zabił! – jęknęła Aylaen.

– Tak, pewnie tak – zgodziła się Treia. Skrzyżowała ręce na piersi. – Aylaen, wracaj do środka. Musimy wstać wcześniej rano.

Garn spojrział na nią z rozpaczą. Zacisnął pięści. Potem przeniósł wzrok na Aylaen, bez słowa odwrócił się i odszedł w ciemny las.

– Garn! – zawołała za nim Aylaen. – Przepraszam! Wracaj, Garn!

Ale on nawet się nie obejrzał.

– Wejdz do środka – rozkazała jej Treia, rzuciwszy nerwowe spojrzenie na las. – Nocą kręć się tu złe duchy.

– Nie jestem śpiąca – wymamrotała Aylaen. – Idź spać. Zostanę tu jeszcze chwilę.

Treia wzruszyła ramionami i weszła do domu. Aylaen odczekała chwilę, a potem poszła do świątyni Vindrash i zatrasnęła za sobą drzwi.

Wulfe ziewnął. Bardzo mu się już chciało spać, a przecież musiał znaleźć jeszcze dobrą kryjówkę na okręcie. Miał dwa pomysły: może skryje się w wielkiej skrzyni, którą wojownicy wtargali na pokład, by mieć gdzie schować wszystkie te bajeczne skarby, co to je zdobędą w krainie ogrów, albo w stercie futer i koców, które przyniosła Treia, by pościelić sobie pod pokładem.

Nie bał się, że kapłanka może go znaleźć. Będzie zbyt zajęta komunikowaniem się ze smokiem, gdy będą rozpoczynać podróż. Nie będzie miała czasu na przetrząsanie swojego posłania w poszukiwaniu małego chłopca.

Co do Skylana, młody Wódz Wodzów miał zdecydowanie za dużo na głowie. Wulfe powiedział mu zresztą, że zamierza zostać u Matki Sowy, i Skylan nie miał najmniejszego powodu, by mu nie wierzyć. Skylan nie wiedział też jeszcze, że jest jego geisem. Geis jest zwykle nakładany na daną osobę w magiczny sposób, lecz w tym wypadku Wulfe sam podjął się tego obowiązku.

Skacząc po ścieżce, chłopiec zastanawiał się, co jest lepsze: koce czy skrzynia, gdy nagle zauważył jakieś migoczące światełko. Z początku myślał, że to błędny ognik. Po spotkaniach z draugrą naprawdę nie chciał mieć więcej do czynienia z żadnymi zmarłymi, więc już chciał uciekać, gdy zdał sobie sprawę, że światełko się nie porusza.

Zaintrygowany podkradł się bliżej. Czy cała wieś uparła się, że dziś w nocy będzie latać po lesie? Przemykał się przez zarośla jak młody wilczek, bezgłośnie stąpając gołymi stopami. Gdy był bliżej, płomień zaczął drzeć i Wulfe zobaczył, że pali się wiązka sitowia, dymiąc i pachnąc słodko. Ogień rozświetlił pochyloną nad nią twarz. Chłopiec rozpoznał Raegara.

Wulfe przysiadł wygodnie w kucki wśród drzew i patrzył. Raegar klęczał na polanie, a przed nim leżała duża srebrna misa wypełniona wodą. Ponieważ druidzi w ogóle nie dbali o metale szlachetne, Wulfe nie miał pojęcia, że taka misa jest niezwykle cenna. Wiedział jedynie, że to jakiś metal, i to wystarczyło, by dostał gęsiej skórki, choć mimo wszystko musiał przyznać, że misa pięknie odbija światło płomienia.

Raegar w jednej dłoni trzymał sitowie, a drugą sięgnął do sakwy, którą miał zawieszoną na pasie, i wyciągnął z niej małą fiolkę podobną do tych, w których Matka Sowa trzymała swoje lecznicze mikstury. Zębami wyciągnął korek i wypluł go na ziemię. Wylał zawartość fiolki do srebrnej misy i zanurzył płonące sitowie w cieczy.

Ogień buchnął płomieniem, oświetlając jego twarz. Wulfe patrzył z fascynacją na płonącą wodę. Raegar odczekał, aż ogień się wypalił, i pochylił się nad misą. Poruszył ustami, ale Wulfe nie słyszał słów, bo Raegar mówił bardzo cicho.

Wulfe leżał na ziemi na brzuchu, brodę oparł na rękach i czekał, aż stanie się coś fascynującego, na przykład z misy wyskoczy jakiś demon.

Ale nic się nie stało. Raegar wziął misę, wylał wodę i wrzucił naczynie do worka. Przyswiewając sobie płonącym sitowiem, wstał i poszedł w stronę domu.

Wulfe wzruszył ramionami i uznawszy, że zmarnował już aż nadto czasu, a tymczasem ranek blisko, pobiegł szybko.

Ogólnie rzecz biorąc, była to bardzo ciekawa noc.

Tak jak mawiała matka i jak Wulfe sam miał już nieraz okazję stwierdzić – Brzydale są bardzo dziwni.

W świątyni Vindrash Aylaen padła na kolana przed boginią. Na klepisku wciąż było widać ślad po podeście, na którym stał dotąd spalony przez Treię prastary posąg. Kapłanka Kości przywiozła z Vindraholmu nowy i postawiła go na tym samym miejscu. Był on jednak znacznie mniejszy i wydawał się Aylaen jakiś żaloszny, wręcz przykurczony.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie stary posąg, którego tak się bała w dzieciństwie. Bardzo za nim teraz tęskniła.

– Wybacz mi, Przenajświętsza Vindrash! – błagała. – Garn ma rację. Skłamałam Kai. Skłamałam Trei. Skłamałam Skylanowi. Naopowiadałam im kłamstw, bo za wszelką cenę chciałam ci służyć. Przepraszam! Przepraszam! Nie pomyślałam zupełnie, co to oznacza. Garn ma rację. Moja obecność narazi mężczyzn na niebezpieczeństwo. Przeze mnie zagrożona będzie cała wyprawa! Przyszłam, żeby błagać cię o wybaczenie! – szeptała Aylaen. – Chciałam ci powiedzieć, że nie pojedę. Zostanę tutaj. Garn odpłynie i nigdy go już

nie zobaczę. Tak mówi mi serce. Ale przynajmniej nie przyczynię się do jego śmierci ani do śmierci żadnego z wojowników. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Tak będzie lepiej. Błagam cię, Vindrash, powiedz, że mi wybaczasz!

Aylaen klęczała w cichej, przepelnionej spokojem ciemności. Treia powiedziała, że nocą kręcą się tutaj złe duchy, ale Aylaen jej nie wierzyła. Poczła nagle uspokajającą bliskość bogini. Wyobraziła sobie, że Vindrash obejmuje ją opiekuńczo lśniącymi skrzydłami, że ją chowa i chroni. Dziewczyna uśmiechnęła się i podziękowała szeptem. Oparła dłoń na klepisku, żeby wstać. Jej palce dotknęły metalu. Gładkie i zimne ostrze zraniło jej rękę.

Aylaen syknęła z bólu i spojrzała na lśniący w księżycowym świetle przedmiot. Był to miecz. Popatrzyła na niego w zdumieniu i podziwie. Jeszcze przed chwilą go tu nie było. Była tego zupełnie pewna.

Dziewczyna wyciągnęła krwawiącą dłoń i odważnie ujęła rękojeść broni. Miecz był lekki, dobrze wyważony. Dzięki Garnowi i Skylanowi знаła się na broni na tyle, by od razu poznać, że jest to broń stara, ale świetnej jakości. Zupełnie jakby była dla niej stworzona.

Aylaen spojrzała w niebo w zamyśleniu.

– Czy naprawdę to chcesz mi powiedzieć, Vindrash? Czy taka jest twoja wola?

Uniosła broń z nabożnym szacunkiem i zabrała ją do domu siostry.

Treia jeszcze nie spała. Siedziała i patrzyła w ogień. Gdy Aylaen weszła, jej siostra uniosła brwi na widok miecza.

– Gdzie znalazłaś ten rupieć? – spytała.

– Znasz tę broń? – zdziwiła się Aylaen. – Skąd się wzięła?

– Przed laty pewien wojownik kazał wykuć ten miecz dla Vindrash. Podarował go jej w podziękowanie za to, że ukazała mu się w bitwie i dała siłę do pokonania wroga. Kiedyś leżał tuż przy posągu, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo widziałam go tam chyba, gdy byłam ostatni raz w świątyni wiele lat temu. Myślałam, że się zgubił albo że poprzednia Kapłanka Kości jakoś się go pozbyła. Gdzie go znalazłaś?

– Nie znalazłam go – szepnęła Aylaen. – To miecz znalazł mnie.

Rozdział 5

Bogini Aylis jak co dzień walczyła z mrocznym bogiem Skovalem, aż w końcu go pokonała. Bogini morza Akaria była spokojna i opanowana. Bogini wiatru Svenses dmuchała na nich delikatnie. Dzień zapowiadał się pogodny, bezchmurny. Bogowie uśmiechali się do swego ludu. Vindrasi szli na wojnę.

Torguńscy wojownicy wkroczyli na pokład swego smoczego okrętu, *Venjekara*. Ponieważ to z tego klanu wywodził się Wódz Wodzów, Torgunowie mieli zaszczyt dowodzić wyprawą. Każdy z nich powiesił swoją tarczę na nadburciu, tworząc w ten sposób kolorowy, imponujący pokaz siły. *Venjekar* czekał już tylko na Kapłankę Kości Treię i jej siostrę, Aylaen. Ludzie mówili, że Aylaen zamierza poddać się rytuałowi mężczyznokobiety, i wszyscy byli bardzo ciekawi, czy rzeczywiście będzie miała na to odwagę.

Ani Skylan, ani Garn nie mieli co do tego wątpliwości. Jak stwierdził ponuro Skylan, prędzej dęby zaczną tańczyć, nim Aylaen zmieni zdanie.

Wojownicy tłoczyli się przy nadburciu, żegnając się z rodziną i przyjaciółmi oraz wykrzykując ostatnie instrukcje dla jednych i drugich. Raegar podszedł do Skylana, który chodził po pokładzie wściekły na te niepotrzebne opóźnienia. Skylan naprawdę miał już ostatnio dość swego kuzyna i tylko posłał mu ponure spojrzenie, nawet się nie zatrzymując. Raegar zauważył jego zły humor, ale uznał, że jest spowodowany zupełnie czym innym.

– Nie martw się, drogi kuzynie. Aylaen nie spełni swojej obietnicy – rzekł poufałym tonem. – Treia mi powiedziała, że od dwóch dni tłumaczy jej, że to nierozsądne. Aylaen jest może uparta i dzika, ale nie jest głupia.

Skylan pokręcił głową i zaczął surowo besztać młodego wojownika, który w złym miejscu postawił swoją skrzynię.

Słońce wzniosło się ponad horyzont i zajaśniało na płaskiej powierzchni morza jak błyszcząca moneta. Powinni byli już dawno postawić żagle. Jeśli zaraz nie wypłyną, stracą przyływ. Skylan już miał posłać kogoś po Treię, gdy wreszcie ją zobaczył. Szła sama przez wydmy. Dopiero kilka kroków za nią pojawiła się Aylaen.

Na brzegu zebrał się cały klan Torgunów. Wszyscy chcieli pożegnać wojowników. Panował radosny nastrój. Wszyscy śmiali się i rozmawiali z ożywieniem, pewni, że oto nastały znów dobre czasy. Gdy jednak zza wydmy wyłoniły się siostry, tłum ucichł.

Treia szła przodem. Większość jej rzeczy była już na pokładzie. Tak jak było w zwyczaju, Skylan dał jej kajutę pod pokładem, gdzie umieściła swoje ubrania i inne drobiazgi. Teraz niosła tylko małą skrzynkę z palisandru, w której przechowywała fiołki z miksturami, maści i kremy. Była przygotowana na to, że bogini uzdrawiania już jej nie pomoże. Gdy szła, fiołki i słoiczki brzdękały głośno. Szła powoli, ostrożnie, patrząc pod nogi swymi słabymi oczami. Za nic nie chciała się przewrócić i upuścić swego skarbu.

Kilka kroków za nią szła Aylaen. Kroczyła z głową uniesioną dumnie, a twarzą zarumienioną – częściowo ze wstydu, częściowo gotując się już na ataki. Patrzyła wprost przed siebie, udając, że nie widzi, jak ludzie się na nią gapią, jak otwierają usta w zdumieniu, jak kobiety jęczą współczująco, a mężczyźni pomrukują z niezadowolenia.

Jej rude loki zniknęły. Była niemal całkiem łysa. Treia wystrzygła ją do skóry, ale jej słaby wzrok sprawił, że tu i ówdzie pozostało kilka rudych kępek i nie brakowało krwawych zacięć.

Aylaen niosła tarczę ojca, pomalowaną jego barwami – na biało i niebiesko. Miała też przy sobie swój nowy miecz.

Ubrana była po męsku i pasowało jej to. Wzrostem dorównywała większości mężczyzn, ale była smuklejsza, więc musiała zwięzić trochę ubrania. Podobała jej się swoboda, jaką jej dawały. Miała na sobie skórzany pancerz z żelaznymi ćwiekami po ojcu, a od Trei dostała w podarunku nowe buty.

Na widok łysej córki ubranej jak mężczyzna matka Aylaen podbiegła do niej, chwyciła ją za rękę i zanosząc się płaczem, zaczęła błagać, by dziewczyna została w Ludzie.

– Matko, przynosisz mi wstyd! – burknęła na nią zezłoszczona Aylaen, na próżno usiłując wyrwać się z objęć zapłakanej rodzicielki.

Treia odwróciła się z ponurą miną i podeszła, by rozwiązać tę sytuację. Wystarczyło kilka ostrych słów, a ich matka zbladła i zamilkła. Przyjaciółki zajęły się nią troskliwie, posyłając siostronom złe spojrzenia.

– Że niby ta dziewczyna dba o wstyd! Też coś! – Sigurd był już na pokładzie wraz z pozostałymi wojownikami. Spiorunował Aylaen wzrokiem, potem odwrócił się do niej plecami i zaczął ją traktować jak powietrze.

Niemal wszyscy Torgunowie na własne oczy widzieli, w jaki wpadł w szal, gdy doszły go słuchy o decyzji Aylaen. Od razu popędził do Norgaarda i zażądał, by wódz zabronił Aylaen tych bzdur.

Norgaard wykazał zrozumienie i nawet udał się na rozmowę z Treią w tej sprawie. Spotkał się jednak z wyjątkowo chłodną reakcją. Sama bogini wezwała Aylaen do poddania się rytuałowi. Zgromadzenie Kai wydało zgodę i nikt, nawet jej ojczym, nie miał prawa sprzeciwiać się teraz Vindrash.

Oparłszy się ciężko na lasce i zacisnąwszy szczękę, żeby znieść jakoś ból w nodze, Norgaard zastanawiał się przez chwilę, w jakiej mierze rzeczywiście Vindrash miała wpływ

na decyzję Aylaen. Ból nie pozbawił go jasności widzenia i oceniania. Od dawna już był świadom tego, że Aylaen i Garn są kochankami, i teraz nie był pewien, czy na wojnę wzywa Aylaen bogini czy jej serce.

Co się stanie, gdy Skylan dowie się w końcu prawdy? Przecież niechybnie sekret wyda się podczas podróży na stosunkowo małym okręcie. Dotąd jego syna zaślepiła miłość do Aylaen, ale gdy pozna prawdę, straci dwoje najdroższych przyjaciół. Patrząc, jak Aylaen kroczy dumnie w męskich butach, Norgaard wzniosł modły do Torwała, prosząc boga, by chronił tych troje młodych ludzi, których tak bardzo kochał. Czuł w głębi serca, że już ich więcej nie zobaczy.

Treia weszła po trapie, a Skylan powitał ją uroczyście, choć nieco pospiesznie. Nikt tego jednak nie zauważył. Wszyscy patrzyli na Aylaen.

Gdy wkroczyła na trap, tarcza zsunęła jej się z ramienia. Deska była mokra, bo wszyscy biegali po niej w tę i z powrotem, wciągając skrzynie, liny, beczułki z piwem i smołą, worki z jedzeniem. Aylaen była już w połowie drogi, gdy się poślizgnęła. Rozpaczliwie machając rękoma, przewróciła się i z pluskiem wylądowała w wodzie.

Tłum ryknął śmiechem. Aylaen usiadła w płytkiej wodzie. Była cała przemoczona. Twarz piekła ją ze wstydu. Wyglądała przez moment, jakby chciała się skulić i rozplakać. Zaciśnęła usta. Otarła wodę z oczu i wstała. Woda spłynęła po niej, a dziewczyna weszła na pokład z zaciśniętą szczęką i dumnie uniesioną głową.

Mężczyźni patrzyli w milczeniu, jak na okręt wchodzi wojowniczką. Widać było, że żaden z nich tego nie pochwała. Aylaen obrzuciła ich groźnym spojrzeniem. Podeszła do nadburcia, na którym wisiały już tarcze innych. Zawiesiła swoją tuż obok tarczy Garna. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szybko i nieśmiało.

Spuścił oczy, pokręcił głową i odwrócił się do niej plecami.

Skylan wbił wzrok w morze za nią i powiedział:

– Twoja skrzynia jest już pod pokładem. Będziesz spała w kajucie wraz z siostrą.

Aylaen spojrzała na niego gniewnie.

– Będę spała na pokładzie tak jak wszyscy wojownicy!

Skylan popatrzył na nią i coraz bardziej rozdrażniony spytał:

– I może zamierzasz sikać do morza tak jak wszyscy wojownicy?

Aylaen spłoniła się. Potem zbladła. Jej szmaragdowe oczy błysnęły niebezpiecznie.

– Tak, będę – powiedziała głośno i wyraźnie i zaczęła rozpinąć sobie spodnie. – Prawdę powiedziawszy, właśnie czuję, że muszę...

Zgorszony Skylan chwycił ją za rękę.

– Co ty wyprawiasz? Oszalałaś?

– Tak, ani chybi musiałam oszaleć – odpowiedziała drżącym głosem.

Spojrzała na niego, a on na nią i wybuchnęli śmiechem. Aylaen śmiała się wesoło i z głębi duszy; SkyLAN śmiał się głośno jak dziecko. Ten śmiech splątał ze sobą ich wyrdy. Nagle poczuli się sobie bliżsi niż kiedykolwiek.

– Witaj na pokładzie, wojowniczo! – rzekł SkyLAN. Pochylił się i szepnął: – Ale błagam, obiecaj, że nie będziesz sikać przy ludziach i schowasz się w tym celu pod pokład!

– Obiecuję – odszepnęła Aylaen i uśmiechnęła się. – Ale będę spała na pokładzie z innymi wojownikami.

– Jak tam sobie chcesz – zgodził się SkyLAN i wyciągnął dłoń, by pogłaskać ją po głowie. – Na Torwała, wyglądasz jak źle ostrzyżona owca!

Potem odwrócił się w stronę swoich wojowników na pokładzie i ludzi na brzegu. Uniósł rękę i natychmiast śmiech i rozmowy umilkły.

– Ta kobieta – zawołał – Aylaen Adelbrand została powołana przez samą Vindrash. Bogini nakazała jej zostać Kapłanką Kości, a Kai zdecydowały, że ma poddać się rytuałowi przedzierzgnięcia się w mężczyznokobietę. Podróż Aylaen jest święta. Bogowie patrzą na nią i patrzą na nas, bo my wszyscy musimy wziąć udział w tym rytuale. Sama Vindrash przeklnie tego, kto nie będzie szanował wybranki bogów!

Aylaen posłała SkyLANowi wdzięczny uśmiech. Niektórzy nadal uparcie patrzyli na nią z dużą podejrzliwością, ale większość szczerze się zawstydziła. Bjorn i Erdmun spytali, czy mogą obejrzeć jej miecz, i obiecali, że nauczą ją, jak go czyścić i jak zapobiegać rdzewieniu. Tylko Garn wciąż był wściekły. Pokręcił głową i odszedł.

SkyLAN otarł pot z czoła. Żar lał się z nieba na pokład. Nawet jeszcze nie wypłynęli, a jego już opadło zmęczenie. Gdy będą wreszcie na morzu, owionie go świeża, morska bryza. Wszystkie kłopoty zostaną na brzegu. Spojrzał na pozostałe smocze okręty, które kołysały się na wodzie. Wojownicy stali na pokładach i czekali. Wszyscy byli już gotowi. Odwrócił się w stronę Trei.

– Kapłanko Kości, poproś smoka Kahg, by przepoił okręt swym duchem i wyprowadził nas w morze.

Treia położyła dłoń na kości ducha i przemówiła cicho. Oczy Kahg zabłysły. Drewniane łuski zaślniły metalicznym blaskiem w świetle słońca. Okręt odpłynął od brzegu. Torgunowie zawiwatowali.

Vindrasi szli na wojnę.

Kobiety nie płakały. Miały świadomość, że być może widzą swych mężczyzn ostatni raz, lecz lzy przynosiły wstyd, więc kobiety wiwatowały i unosiły w powietrze małe dzieci, by były świadkami tej wielkiej chwili. Chłopcy wbiegali do wody, machali i krzyczeli jeden przez drugiego, marząc o tym, by pewnego dnia powiesić swoje tarcze na nadburciu *Venjekara*.

Torguńscy wojownicy stali na pokładzie szczęśliwi i dumni. Śmiali się i rozmawiali z przejęciem.

Smok rzucił grzywę na wiatr. Okręt pruł fale, nabierał prędkości.

Norgaard pomachał synowi. Skylan popatrzył na ojca i ścisnęło mu się serce. Zamierzał go przecież przeprosić, zamierzał błagać go o wybaczenie za to wszystko: za złamanie przysięgi, za zabranie mu tytułu Wodza Wodzów i za wiele więcej. Teraz z rozpaczą myślał o tych chwilach, gdy nazwał ojca staruszką, o chwilach, gdy mówił i myślał o nim bez respektu, gdy puszczał mimo uszu jego rady i wskazówki.

Wiał silny i rzeźki wiatr. Fale mknęły pod kilem. Morska piana chlusnęła mu w twarz. Oczy smoka lśniły. Zmęczenie Skylana gdzieś zniknęło. Stał pewniej na kołyszącym się pokładzie, zachłannie zaczerpnął morskiego powietrza, poczuł na ustach sól.

Przepraszę ojca, gdy tylko wrócę, postanowił Skylan. Gdy wrócę jako bohater!

Vindrasi szli na wojnę.

Rozdział 6

Morze było niemal gładkie, pomarszczone jedynie lekką bryzą. Puszyste obłoczki płynęły po niebie i rzucały cienie na wodę. Tak jak wszyscy na pokładzie Skylan był w wyśmienitym humorze. Cieszył się wiatrem, wodą i wolnością. Już nie mógł się doczekać bitwy, chwały i wspaniałych zdobyczy, które rozwiążą wszystkie jego problemy.

Siadł z Raegarem na skrzyni i pochylili się nad mapą, a wiatr targał im ją we wszystkie strony. Raegar wskazywał mu najważniejsze punkty orientacyjne, które mijali. Smocze okręty zawsze płynęły tak, by – jeśli tylko było to możliwe – nie tracić z widoku lądu. Oczywiście pozycja słońca i gwiazd dawała Vindrasom pewne pojęcie kierunku, ale tylko punkty orientacyjne na lądzie pozwalały im określić dokładną pozycję okrętu.

Vindrasi nie używali map. Skylan nigdy nawet żadnej nie widział. Nikt zresztą nie umiał czytać ani pisać, więc mapy na nic by się im nie zdały. Skylan miał teraz dużą trudność ze zrozumieniem, jak kilka wyrysowanych kresek miałyby mu powiedzieć, gdzie się znajduje.

Raegar pokazał mu, że te kreski odpowiadają linii brzegu.

– Wyobraź sobie – wyjaśniał mu – że ta mapa to plansza do gry w smocze kości. Przesuwasz kość po ścieżce, używając „punktów orientacyjnych” z planszy jako wskazówek. Nasz okręt jest taką kością i poruszamy się po tej ścieżce.

Potem Raegar wskazał na jakąś małą kropkę na mapie.

– Wkrótce będziemy mijać tę wyspę. Będzie po prawej – powiedział. – Południowcy nazywają ją Wyspą Mew, bo jest na niej wiele morskich ptaków.

Skylan doskonale znał tę wyspę. Vindrasi nazywali ją Skałą Białego Skrzydła, bo gdy podpłynęło się zbyt blisko, ptaki unosiły się w popłochu i machały rozpaczliwie skrzydłami.

Po chwili ujrzeli wyspę i usłyszeli nawoływania ptaków, które zaraz otoczyły okręty i zaczęły szukać jedzenia. Najodważniejsza mewa dała nura i pochwyciła makrełę, którą ktoś upuścił na pokładzie.

Skylanowi nie mogło się pomieścić w głowie, że kuzyn wiedział o tym, iż są blisko wyspy, tylko dlatego, że patrzył na mapę. A jednak musiał przyznać, że Raegar się nie pomylił.

Mapa miała też inne funkcje, które Raegar próbował mu wytłumaczyć, ale Skylan nic z tego nie rozumiał, bo wyjaśnienia opierały się na jakimś tajemniczym „kompasie” i zakładały,

że da się pomierzyć odległość od gwiazdy, którą Vindrasi nazywali Okiem Torvala. Wierzyli, że gdy bóg musi udać się na wojnę w innej części niebios, wyciąga sobie oko i umieszcza je na niebie, by chronić swój lud.

– Dzięki takiej nawigacji – ciągnął Raegar – Południowcy są w stanie wypływać daleko na morze i nie muszą trzymać się blisko brzegu.

Skylan nie bardzo rozumiał, po co w ogóle mieliby to robić. Przecież skarby znajdują się zwykle na lądzie właśnie, a nie pośrodku niebezpiecznego przestworu oceanu.

– Jeśli płyniesz przez otwarte wody, oszczędzasz dużo czasu – tłumaczył mu cierpliwie Raegar. – Przecież przepływasz prosto przez fiord z Ludy do Vindraholmu, a nie płyniesz wzdłuż brzegu, bo to by ci zajęło całe dni.

Pokazał mu na mapie, jak można przepłynąć morze z jednego punktu przy brzegu do drugiego. Odległość, której pokonanie zajęłoby normalnie miesiące, można by przepłynąć w tydzień. Poza tym statki nie muszą wtedy przybijać do brzegu co noc, tak jak czynią to smocze okręty. Mogą płynąć wyznaczonym kursem i nie zgubią się nawet w ciemności.

Skylan musiał przyznać, że jest pod wrażeniem.

– Możesz mnie tego nauczyć?

Raegar uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

– Każdy kapitan zabiera ze sobą człowieka, który poznał tajniki tej wiedzy. Korzystają ze specjalnych narzędzi do odczytywania informacji z położenia gwiazd i słońca. Każdego dnia pokazują kapitanowi na mapie, gdzie dokładnie jest, tak by okręt nigdy się nie zgubił, bez względu na to, czy ląd jest w zasięgu wzroku czy nie.

Skylana zawsze irytowało uczenie się. By zbić majątek, wojownik nie potrzebował niczego poza mieczem, tarczą, morzem i okrętem. Teraz jednak patrzył na mapę i jego umysł otwierał się na nowe możliwości.

Porównanie mapy do planszy przywiodło mu na myśl draugrę. Uśmiechnął się ponuro pod nosem. Wreszcie przechytrzył zmore. A przynajmniej taką miał nadzieję. Zostawił swoją planszę do gry na lądzie i zabronił wojownikom zabierać ich własne plansze. Oświadczył, że chce, by skupili się na wojnie, a nie na grze. Kilku coś mruknęło pod nosem, ale były przecież inne gry, do których nie było potrzeba planszy, a poza tym Torgunowie tak bardzo się cieszyli, że idą wreszcie na wojnę, iż do głowy by im nie przyszło narzekać z powodu błahostki.

Słońce rozpoczęło wędrówkę ku morzu. Pasy czerwieni, pomarańcza i purpury załazy niebo i zakrwawiły morze. Ląd skrył się w mroku. Skylan musiał teraz znaleźć bezpieczny brzeg, by przenocować. Pamiętał ze swojej poprzedniej wyprawy, że niedaleko stąd znajduje się zaciszna, niezamieszкана zatoczka, która wydała mu się idealna do tego celu. Raegar znalazł ją na mapie i powiedział, że jest już bardzo blisko. Dobiją do brzegu jeszcze przed zachodem słońca.

Skylan zaczął sobie planować, kogo musi wysłać po wodę, a kogo lepiej zostawić na straży okrętu, gdy jego myśli zakłócił ostry pisk. Aż podskoczył na skrzyni.

Po drabinie wybiegł na pokład Wulfe. Pędził na złamanie karku, co pewnie byłoby i tak lepsze niż dostanie się w ręce Trei, która piekłąc się, biegła za nim z zaciśniętymi pięściami. Wulfe zobaczył Skylana i natychmiast schował się za niego jak za żywą tarczę. Treia wytknęła go palcem.

– Znalazłam go w moim posłaniu! – krzyknęła oskarżycielsko.

Wojownicy wybuchnęli śmiechem. Treia obejrzała się i śmiech zmienił się natychmiast w chrząkanie i kaszel. W stronę Wulfe'a zrobił krok zły i ostentacyjnie zgorzony Raegar.

– Tu się nie ma z czego śmiać, kuzynie – zaczął oburzony. – Powinniśmy natychmiast pozbyć się tego diabła. Nie może zostać na pokładzie. To by nam przyniosło pecha.

Śmiech zamarł ludziom na ustach, a Skylan zrozumiał, że ma poważny problem. Jeśli tylko wojownicy ubzdurają sobie, że Wulfe przynosi pecha, będą się upierać, żeby wysadzić chłopca przy najbliższym postoju. Skylan gorączkowo próbował wymyślić jakąś sprytną odpowiedź na atak Raegara, gdy niespodziewanie uratowała go Aylaen.

– Ten chłopiec jest częścią wyrdu Skylana. Jeśli cokolwiek stanie się Wulfe'owi, wyrd Wodza Wodzów pęknie.

Ludzie się zasepili. Ich wyrd także był spleciony z wyrdem Skylana. Nić każdego człowieka wpływa na losy innych. Jeśli pęknie, tkanina życia może zacząć się pruć.

Raegara bynajmniej to nie przekonało.

– Nadal uważam, że musimy się go pozbyć, kuzynie.

Wściekły na to, że Raegar otwarcie mu się przeciwstawia, Skylan zmarszczył brwi i rzekł:

– Na tym okręcie nie jestem twoim kuzynem, Raegarze. Jestem Wodzem Wodzów, więc zwracaj się do mnie z należyтым szacunkiem.

Raegar jednak nie spokorniał. Spojrzał Skylanowi prosto w oczy i ich spojrzenia zwały się jak tarcze, gdy wojownicy rzucają się na siebie i przepychają, by wypróbować wzajemną siłę.

Na to wtrąciła się Treia.

– Raegar nie zamierzał przecież skrzywdzić dzieciaka. Lecz musisz mieć na niego oko... panie.

Położyła taki nacisk na to słowo, że Skylanowi wydało się, że się z niego naigrawa, ale musiał to przełknąć. Sam był sobie winny. Zajęty przygotowaniem do rejsu i zamartwianiem się o Aylaen, niemal zapomniał o chłopcu. Założył też, że Wulfe będzie się trzymał z dala od okrętu, który płynął przecież na wojnę. Poza tym to on, Skylan, był odpowiedzialny za utrzymywanie spokoju na okręcie, co i tak nie było łatwe, gdy mieszkało na nim tyle osób, a każda miała własne cele. A przede wszystkim nie mógł sobie teraz pozwolić na jakiegokolwiek starcia z Kapłanką Kości.

– Wybacz, kapłanko – powiedział nieco sztywno. – Nie wiedziałem, że chłopak wślizgnął się na pokład. Masz rację. Powinienem lepiej go pilnować. Teraz zaś musisz powiedzieć smokowi Kahg, że czas już przybijać do brzegu.

Treia przemówiła do smoka, który najwidoczniej przekazał tę informację pozostałym, bo wszystkie trzy smocze okręty zmieniły kurs i zaczęły płynąć ku brzegowi.

Gdy to było już załatwione, Skylan chwycił Wulfe'a za ramię.

– Powinieneś być wdzięczny Aylaen. Uratowała ci tyłek.

– Ale ja musiałem płynąć z wami – bronił się Wulfe. – Jesteś moim geisem.

– Pojęcia nie mam, co to takiego – mruknął Skylan.

– Uratowałem ci życie, więc muszę cię teraz pilnować.

– Lepiej pilnuj własnego nosa – odburknął Skylan. – Nie pałętaj się pod nogami. Nie przeszkadzaj moim ludziom, a przede wszystkim nie wchodź w drogę Trei. Zrozumiano?

Wulfe pokiwał głową energicznie i uśmiechnął się radośnie.

– Ty się lepiej ciesz, że płynę z wami. Zapomniałbyś o planszy do smoczych kości, ale nie martw się. Spakowałem ją za ciebie.

Skylan wziął głęboki oddech, żeby nie wybuchnąć.

– Specjalnie zostawiłem planszę na łodzi! – wycedził przez zęby i potrząsnął chłopcem.

– Nie chciałem, żeby draugra przychodziła do mnie na okręcie!

– Matka Sowa mówiła mi, że będziesz się próbował pozbyć draugry – zgodził się Wulfe i mrugnął porozumiewawczo. – Ale to ci się nie uda. Draugra będzie przychodzić, czy tego chcesz czy nie. Matka Sowa mówi, że przede wszystkim musisz się dowiedzieć, czego draugra od ciebie chce. Wtedy zmora przestanie przychodzić. – Zobaczywszy reakcję Skylana, Wulfe wytrzeszczył oczy z przerażenia. – Czy wyrzucisz mnie teraz za burtę?

Skylan znów wziął głęboki oddech i odczekał chwilę, żeby się uspokoić.

– Powinienem – rzekł. – Ale Akaria pewnie wyrzuciłaby cię z powrotem. Co do draugry – wzruszył ramionami – mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Matka Sowa mówi, że nie masz – zauważył Wulfe.

– Skoro już jesteś na pokładzie – powiedział Skylan, zamiast odpowiadać na tę denerwującą uwagę chłopca – musisz robić coś pożytecznego... – Urwał, a po chwili dodał: – Masz natychmiast naoliwić mój miecz.

Wulfe popatrzył na niego przerażony i zaczął mu się wyrywać w panice.

– Mówię zupełnie poważnie! – syknął Skylan, nie puszczając chłopca. – Sam tego chciałeś. Musisz mieć swoje obowiązki na pokładzie i jednym z nich będzie oliwienie mojego miecza i dbanie o to, by nie zardzewiał. Będziesz to robił codziennie.

– Ale miecz jest z żelaza! – jęknął Wulfe. – Nie mogę go dotykać!

– Trzeba było pomyśleć o tym, zanim wkradłeś się na okręt! – zauważył Skylan bez litości. – Idź już.

Pchnął chłopca tak mocno, że Wulfe przeleciał przez pół pokładu. Wstał i spojrzał błagalnie na Skylana, licząc na to, że jednak nie mówi poważnie. Skylan posłał mu spojrzenie, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości, i Wulfe odwrócił się, ocierając sobie nos wierzchem dłoni. Powlókł się z rezygnacją w stronę skrzyni, w której Skylan trzymał zbroję i broń.

Obejrzał się na Skylana, ale ten wciąż patrzył na niego, by dopilnować wykonania rozkazu. Treia ma rację. Zupełnie to dziecko rozpuścił. Trzeba się wziąć do chłopaka.

Wulfe pociągnął nosem, otarł łzy i przykucnąwszy, sięgnął po pięknie wyszywaną pochwę z owczej skóry, którą Skylan kupił specjalnie dla Tańca Krwi. Lanolina pomoże chronić broń przed rdzą, ale trzeba też koniecznie codziennie ją oliwić, bo tak naprawdę najgorszym wrogiem wojownika jest rdza. Wulfe zacisnął dłoń na pochwie i nagle jego chudym ciałem wstrząsnął dreszcz tak silny, że Skylan dostrzegł to z drugiego końca pokładu.

Odwrócił się. Naprawdę na zbyt wiele mu dotąd pozwalał. Jak mógł dopuścić do tego, żeby dzieciak w ogóle nie dotykał żelaza. Co za bzdura! Chłopiec upierał się nawet, że nie może tknąć żeliwnego garnka! Trzeba położyć kres tym fochom, i to raz na zawsze.

Skylan rozejrzał się po pokładzie. Wojownicy siedzieli na skrzyniach zajęci swoimi pracami lub pogrążeni w rozmowie i żartach. Humor im dopisywał. Na szczęście Wulfe głównie ich rozśmieszył i nadal podśmiewali się cicho na myśl o tym zabawnym chłopcu w posłaniu Trei.

Zastanawiali się też nad Aylaen. Słowa Skylana o Vindrash dały im do myślenia. W zbliżającej się bitwie wszystko właściwie zależało od dobrej woli bogini i nie chcieli się jej niczym narażać. Nie czuli się jednak dobrze, mając świadomość, że Aylaen jest z nimi na pokładzie. Była jak skunks na uczcie – każdy bał się przy niej poruszyć, wskazać na nią, i w ogóle zrobić cokolwiek, co mogłoby ją rozzłościć.

Zobaczywszy, że Wulfe pochyła się nad mieczem, Aylaen uznała, iż chłopiec musi czuć się równie samotny jak ona, więc podeszła i siadła przy nim. Nawet jej nie zauważył. Był odwrócony plecami do niej i do całego świata. Co chwila wyrывało mu się rozpaczliwe westchnienie, jakby wciąż połykał łzy, a jego ciało drżało. Aylaen nie wydało się to szczególnie dziwne. W końcu Skylan właśnie na niego nawrzeszczał.

Tak bardzo chciała porozmawiać z Garnem. Chciała, żeby ją zrozumiał, ale nawet na nią nie spojrzał. Żeby o tym nie myśleć, zajęła się czyszczeniem swojego bardzo zardzewiałego miecza. Tarła metal naoliwioną szmatką, a plamy z rdzy i brudu gorliwie zdrapywała paznokciami.

Dopiero teraz zauważyła coś, czego nie widziała wcześniej. Ten miecz był naprawdę wyjątkowy. Im więcej brudu zdrapywała, tym piękniejszy się stawał.

Choć miecz miał jedynie zdobić ołtarz bogini, jej twórca nie obraził Vindrash orężem niepraktycznym. Aylaen wyobraziła sobie rzemieślnika, który być może chciał, by sama Vindrash walczyła tym mieczem w bitwie. To dlatego ta broń tak świetnie leżała w kobiecej

dłoni, była lekka i delikatna. W miarę pracy na głowni zaczęły się ukazywać runy skryte wcześniej pod warstwami brudu.

Rękojeść była zrobiona z kości słoniowej, która zżółkła ze starości, ale Aylaen widziała słabe zarysy jakichś zdobnych rzeźbień, choć powierzchnia tak się już wygładziła, że trudno było powiedzieć, co przedstawiały. Najwyraźniej ta broń była jednak używana w prawdziwej walce. Dziwne jak na miecz, który Treia uważała za bezwartościowy, obrzędowy rekwizyt.

Być może tę rękojeść dzierżyła kiedyś sama bogini. Aylaen z przyjemnością pograżyła się w takich rozmyślaniach. Może Vindrash lubiła tę broń. Może sama używała jej w bitwie. Może gdy pokonała już wszystkich wrogów, a na świecie zapanował pokój, odłożyła broń i zapomniała o niej. A teraz w niebiosach znów nastał czas wojny, lecz tym razem bogowie ją przegrali. Vindrash nie zdołała sama wrócić po swój miecz i dlatego oddała go w ręce tej, która może walczyć za nią...

Te wspaniałe wizje nagle zakłócił cichy jęk. Podniosła wzrok i zobaczyła, że piękna pochwa na miecz Skylana jest cała powalana krwią.

– Wulfe, zaciąłeś się? – spytała.

Odwrócił się od niej i skulił, kryjąc swój ból jak zranione zwierzę. Wstała i obeszła go, żeby móc się mu przyjrzeć. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Usta mu drżały, a ciałem wstrząsały drgawki.

Aylaen delikatnie wsunęła swoje dłonie pod jego ręce i ostrożnie uniosła je do światła.

Całe palce miał w pęcherzach. Skóra była czarna i spalona, jakby oliwiony miecz rozgrzany był do czerwoności. Wyrwał jej ręce i wrócił do pracy, lecz gdy tylko dotknął metalu, znów jęknął z bólu. Skóra palców przylgnęła do metalu, a Aylaen poczuła wyraźny swąd spalenizny. Złapała go za przegub i oderwała rękę od miecza.

– Lepiej, żeby nikt tego nie zobaczył! – ostrzegła go cicho, zabrawszy mu miecz.

Szybko zawinęła jego poparzone dłonie w szmatkę, której używała do oliwienia swojej broni. SkyLAN spojrział w ich kierunku i zmarszczył groźnie brwi. Aylaen kiwnęła na niego głową, żeby podszedł.

Zakrywając chłopca własnym ciałem, tak by nikt niczego nie zobaczył, odsłoniła przed SkyLANem szmatkę.

SkyLAN popatrzył na Wulfe'a zdumiony. Palce chłopca były poparzone, a przecież na całym okręcie nie było żadnego ognia, bo stanowił on zbyt duże zagrożenie. Płomień mógłby pochłonąć drewniane deski w kilka chwil i nawet smok nie zdołałby wtedy uratować znajdujących się na pokładzie wojowników.

– Gdzie się tak poparzyłeś? – zażądał wyjaśnień SkyLAN.

Wulfe odwrócił wzrok i milczał.

– To od miecza – wyszeptała Aylaen. – Ja... ja to widziałam na własne oczy, SkyLAN. Gdy tylko dotknął metalu, skóra przywarła i czuć było spalenizną! Treia powinna mu opatrzyć rany...

– Nie! – powiedzieli Skylan i Wulfe równocześnie.

– To przez żelazo! – wybąkał Wulfe i spojrział na Skylana z wyrzutem. – Mówiłem ci!

– Ja się nim zajmę – zdecydował Skylan. – Gdzie jest Treia? – Obejrzał się i zobaczył, że kapłanka stoi przy smoczej głowie i rozmawia z Raegarem. – Dobra. Ja zabieram chłopaka pod pokład i tam obandażuję mu rany, a ty zajmij się siostrą. Zrób coś, żeby nie zeszła na dół.

– Treia jest najszcześniejsza, jak się nią zajmuje Raegar, nie ja – zauważyła Aylaen. – Ale te rany mogą zacząć ropieć, jeśli się ich jakoś nie opatrzy. Przynajmniej powinienes nasmarować je maścią na oparzenia. Wiem, gdzie Treia ją trzyma, bo pomagałam jej przy pakowaniu.

Pospiesznie zabrali Wulfe'a na dół do zimnej, ciemnej kabiny. Wnętrze wyglądało teraz zupełnie inaczej niż podczas koszmarnej podróży powrotnej z feralnej wyprawy Skylana na Apensję. Skrzynie były ustawione równo, posłanie starannie zasłane. Wszędzie panował ład i pachniało suszoną lawendą.

– Zamknij klapę – rozkazał Skylan.

Widząc, że Aylaen się waha, dodał:

– Przecież nie chcemy, żeby Treia nam tu nagle weszła.

Aylaen wcale się nie podobało, jak na nią spojrział, ale zrobiła tak, jak jej kazał. Zaciągnęła klapę, a kabina pogrążyła się w ciemności i tylko przez szpary między deskami przebijało słabe światło. Skylan próbował spojrzeć Aylaen w oczy, ale ona unikała jego spojrzenia. Delikatnie nałożyła maść na palce Wulfe'a. Chłopiec zadrżał, gdy go dotknęła, ale nie krzyknął. Wyglądało na to, że maść pomogła niemal od razu. Dzieciak uspokoił się i cierpliwie patrzył, jak bandażuje mu dłoń.

– Jeśli ktoś cię będzie pytał, to zaciąłeś się mieczem – powiedział Skylan.

– To przez żelazo. Poparzyłem się – upierał się Wulfe, z konsternacją wpatrując się w grube zwitki bandażu, pod którymi skryły się jego ręce.

– Nikt nie uwierzy w to, że żelazo może poparzyć. Zaciąłeś się – powtórzył Skylan.

– Ale wy mi wierzycie, prawda? – spytał Wulfe i popatrzył na niego i na Aylaen.

– Ja ci wierzę – szepnęła Aylaen. Popatrzyła na Skylana. – Nie mam wyboru. Widziałam to na własne oczy.

– Ja też ci wierzę – dodał Skylan i westchnął. – Zadowolony?

– Zaciąłem się mieczem – odrzekł Wulfe.

– No, to biegnij na pokład.

– Pójdę z nim – szepnęła pośpiesznie Aylaen i wstała.

– No, biegnij już, Wulfe – ponaglił go Skylan. Odprowadził go do drabiny, pomógł mu wejść po szczeblach i otworzył klapę.

– Zaciąłem się mieczem! – obwieścił Wulfe głośno, wdrapując się po drabinie.

Skylan zatrzasnął klapę i zamknął ją na klucz. Zszedł szybko po drabinie.

– Powinam już iść. – Aylaen próbowała go minąć i dostać się do drabiny.

Skylan chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Myślałem, że będziesz wyglądała strasznie bez tych twoich pięknych włosów. Jak cię zobaczyłem łysą, wcale mi się nie podobałaś. – Pocałował ją w szyję, nie zważając na to, że próbuje mu się wyrwać. – Ale teraz wydaje mi się, że jesteś dzięki temu tylko jeszcze bardziej ponętna. – Dotknął palcami jej ostrzyżonej głowy i popatrzył na nią z uczuciem. – Dość już tych wygłupów, Aylaen. Pragnę cię i wiem, że i ty mnie pragniesz. Podobasz mi się w tych męskich ubraniach. Poza tym o wiele łatwiej je zdjąć niż te wszystkie suknie, brosze, fartuchy... – Jedną dłoń wsunął jej pod koszulę, szukając jej piersi; drugą zaczął wkładać jej w spodnie. – Zrobiłaś to wszystko z miłości do mnie – szepnął.

Aylaen próbowała go odepchnąć, ale nie puszczał jej. Była taka zmęczona; nie spała od wielu nocy. Bała się, a przecież nie mogła pozwolić, by ludzie zobaczyli jej strach. Ludziom i tak nie podobała się jej decyzja. Była zupełnie sama. Treia nie ukrywała nawet, że uważa, iż jej młodsza siostra zachowuje się jak rozkapryszony bachor. Aylaen nie mogła szukać wsparcia u Garna, bo nie odzywał się do niej. Nie mogła porozmawiać ze Skylanem, który zupełnie nie był w stanie traktować jej poważnie i wciąż się upierał, że jest w nim zakochana.

Zalała ją fala wściekłości na nich wszystkich. Na usta cisnęły jej się okrutne słowa prawdy i poczuła, że mają słodki smak. Gdy je powie, zrani i Skylana, i Garna. I dobrze. Niech cierpią, tak jak ona cierpi przez nich. Coś w niej pękło, jak pęka wyrd w rękach jednej z trzech sióstr. Zacisnęła pięści i uderzyła Skylana w pierś. Uderzyła z całych sił, jakby chciała pięściami wbić mu do głowy słowa prawdy.

– Nie kocham cię! – wrzasnęła ze złością. – Kocham Garna! Zrobiłam to, by być przy nim!

Skylan zbladł straszliwie. Spojrzała na niego i wiedziała, że tak właśnie będzie kiedyś wyglądał jego trup. Jego zimne dłonie opadły bezwładnie. Całe ciało zdawało się bez życia – poza oczami, które miały pioruny.

– Och! Skylenie! Przepraszam! – Aylaen wyciągnęła ręce, jakby chcąc złapać słowa, które między nimi zawisły.

Popatrzył na nią i z jego oczu zniknęły pioruny. Był tylko cieniem; był upiorną bledością.

– Nie patrz tak na mnie, Skylan! – jęknęła. – Błagam cię. Przecież nie chciałam...

– Od jak dawna? – wyszeptał, ledwie poruszając ustami.

Aylaen tylko pokręciła głową bezradnie.

– Od jak dawna? – ryknął Skylan dziko i uniósł dłoń, jakby chciał ją uderzyć. – Od jak dawna go kochasz?

– Całe moje życie – wyszeptała cicho Aylaen.

– Precz! Precz z moich oczu! Nie chcę cię więcej widzieć. Ani ciebie, ani Garna!

Aylaen ukryła twarz w rękach i załkała rozpaczliwie.

– Skylenie, zrozum, że nigdy nie chcieliśmy cię skrzywdzić. Musisz mi uwierzyć, że...

– Uwierzyć ci? – powtórzył Skylan i roześmiał się straszliwie. – Zejdź mi z oczu, nim cię zabiję!

Miał pianę na ustach. Trząsał się z wściekłości. Jak przez mgłę usłyszał chwiejne kroki Aylaen po deskach.

– Gdy tylko dobijemy do brzegu – powiedział, nie oglądając się nawet – ty i Garn zabierzecie swoje rzeczy i opuścicie okręt.

Ich kłótnię słyszeli wszyscy na pokładzie. Ich podniesione głosy, a w szczególności ryk Skylana, niosły się niezwykle wyraźnie. Garn już czekał na Aylaen. Pomógł jej wyjść na pokład. Panowała straszna cisza. Nikt nie wiedział, gdzie oczy podziać i co powiedzieć.

Ludzie odsunęli się od nich, ustąpili im z drogi. Aylaen osunęła się na skrzynię i skryła twarz w dłoniach. Garn siadł przy niej i położył jej rękę na ramieniu. Nie patrzył na nikogo. Wzrok miał utkwiony w ołowianą taflę morza.

Smoczy okręt zbliżał się do brzegu. Ludzie mieli dużo roboty. Każdy z ulgą pobiegł do swoich zadań, szczęśliwy, że ma się czym zająć.

Skylan nadal tkwił w ciemnościach pod pokładem, dopóki nie poczuł, że okręt zwalnia. Jego miejsce było przy załodze na pokładzie. Wspiął się po drabinie, postawił nogę na deskach pokładu. Obrzucił wszystkich wściekłym spojrzeniem. Wiedzieli dobrze, że należy mu teraz schodzić z drogi.

Treia ruszyła w stronę siostry, ale Raegar ją powstrzymał. Szepnął jej coś, a ona przytaknęła i poszła pomówić ze Skylanem. Rzucił jej spojrzenie, które mówiło jasno, że nie chce z nią rozmawiać, ale zignorowała je.

– Aylaen musi zostać ze mną na okręcie – powiedziała.

Skylan zmarszczył brwi i tylko pokręcił głową.

– Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia – uzmysłowiła mu. – Aylaen jest moją akolitką. Kai nakazały mi ją uczyć, więc musi zostać ze mną na okręcie.

Nie mam nic do powiedzenia! Skylan znów poczuł, jak zalewa go wściekłość. Warknął coś, co Treia postanowiła uznać za zgodę. Poszła porozmawiać z Aylaen, która uparcie kręciła głową i kurczowo trzymała się Garna. Potem oboje, Treia i Garn zaczęli ją przekonywać, aż w końcu dziewczyna spuściła głowę i się poddała.

– Chodź – powiedziała Treia. – Musisz się przespać choć trochę.

Aylaen wstała. Spojrzała na siedzącego Garna i nagle, obrzuciwszy wszystkich dookoła odważnym spojrzeniem, ujęła jego twarz w dłonie i złożyła na jego ustach pocałunek.

– Kocham cię – powiedziała.

Odrąciła siostrę, która chciała jej pomóc, sama podeszła do kłapy i po chwili zniknęła pod pokładem.

Trzy smocze okręty przybiły do brzegu. Vindrasi często rozbijali w tej zatoczce swój pierwszy obóz. Łąd był tu zalesiony i nie brakowało strumieni ze świeżą wodą do picia. Skylan zatrzymał się tu także podczas swojej ostatniej podróży. Zwęglone drewno leżało jeszcze w czarnych stosach otoczonych kamiennymi kręgami.

Garn nałożył kolczugę, którą podarował mu niegdyś Skylan. Ujął tarczę, którą dostał od Norgaarda. Wziął topór i skrzynię, a potem podszedł do Skylana.

Wódz Wodzów stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Popatrzył na Garna jak na obcego.

– Wybacz, Skylenie – rzekł Garn. – Nie chcieliśmy cię skrzywdzić.

Spojrzenie błękitnych oczu zmieniło te słowa w pył. Powoli, ostentacyjnie Skylan odwrócił się do niego plecami i odszedł.

Garn zszedł z *Venjekara*. Wszyscy odprowadzali go wzrokiem, gdy przechodził na okręt należący do Martegnanów. Kątem oka Skylan patrzył, jak jego przyjaciel i brat opuszcza jego okręt.

Byli dla niego jak martwi. Tych dwoje, których kochał i którym ufał. Byli martwi. A teraz musi się nauczyć żyć bez nich.

Rozdział 7

Skylan marzył tylko o jednym – by móc wreszcie zasnąć. Zaszyć się w bezpiecznej jamie snu i tam lizać rany. Wysłał wszystkich ludzi na brzeg, a sam został na pokładzie. Poza nim były tu tylko Treia i Aylaen. Kryły się w kajucie i miał nadzieję, że będą na tyle rozsądne, by z niej nie wychodzić. Zapadła noc. Ludzie pogasili ogniska i poszli spać. Skylan leżał na pokładzie z zamkniętymi oczami.

Sen nie przychodził. Zamiast niego przyszła draugra.

Stanąła nad nim, a jej blada skóra opinała się ciasno na czaszce. Spojrzała na niego zapadniętymi oczami. Wskazała na planszę, którą Wulfe przyniósł przezornie, nim wściekły Skylan kazał mu zejść na brzeg.

– Zostaw mnie w spokoju – burknął Skylan, odważniejszy teraz, gdy już na niczym mu nie zależało.

Draugra nie ruszyła się z miejsca.

Skylan zamknął oczy i udawał przed samym sobą, że jest sam, ale owiał go lodowaty podmuch śmierci, aż zaczął drzeć z zimna w środku upalnej nocy. Zdawało mu się, że widzi zmorę nawet przez zamknięte powieki.

Draugra usiadła na skrzyni. Wzięła pięć kości i wyrzuciła je na planszę. Była jego kolej, ale nie tknął swoich kości. Draugra zebrała je i rzuciła jeszcze raz. Skylan siedział z ponurą miną. Draugra znów rzuciła kośćmi.

Zrozumiał, że jest gotowa robić to całą noc. Zebrał kości i cisnął nimi o pokład. Poturłały się na wszystkie strony. Jedna wylądowała na klapie, pod którą spały Aylaen i Treia. Druga potoczyła się przez cały pokład i uderzyła w hełm Raegara. Następną odbiła się od rzeźbionej szyi smoka. Kolejna wpadła z pluskiem do morza. Ostatnia zatrzymała się u stóp upiora.

Draugra chwyciła go za drżącą dłoń i na siłę otworzyła mu palce. Włożyła mu do ręki kolejne pięć kości i mocno zacisnęła jego palce, aż jęknął z bólu. Potem puściła jego dłoń, która przybrała sinawy odcień, jakby miał odmrożenie.

– Nie rozumiem! – ryknął zrozpaczony Skylan. – Nie wiem, czego ode mnie chcesz! Pięć kości?! Pięć Smoków Vektii. Czy o to ci chodzi?

Draugra popatrzyła na niego, ale nic nie powiedziała. Chcąc mieć już to za sobą, Skylan rzucił wreszcie swoje kości.

Znow jak co noc rozegrali partię smoczych kości, ale tym razem Skylan wygrał.

Minęła dobra chwila, nim to sobie uświadomił. Wygrał. Pokonał draugrę. Popatrzyła na niego, kiwnęła głową i odeszła.

– Garn miał rację – wyszeptał zdumiony Skylan. – Pięć kości. Pięć Smoków Vektii. – Już wstawał, by pobiec do przyjaciela i mu o tym powiedzieć, gdy przypomniał sobie, że nie ma przyjaciela.

Leżał na pokładzie, patrzył w gwiazdy i widział twarz Aylaen. Słyszał jej głos. Wyobrażał sobie, jak ona i Garn kochają się, i coś się w nim skręcało ze wstydu i zazdrości. Dopiero gdy gwiazdy blakły już na niebie, zapadł w postrzępiony sen, z którego obudził się z krzykiem, ale nie pamiętał koszmaru, który mu się śnił.

Słońce wstało zza morza – czerwone i wściekłe jak dusza Skylana. Noc była gorąca, ale poranek jeszcze gorętszy. Panowała martwa cisza. Ludzie mówili, że słońce połknęło wiatr. Skylan zszedł na ląd, by obudzić wszystkich, wrzeszcząc i kopiąc opieszających. Nie mógł znaleźć Wulfe’a. Bjorn twierdził, że widział, jak chłopiec pobiegł gdzieś wzdłuż plaży.

Wilgoć w powietrzu utrudniała oddychanie. Ubrania lepily się do ciała. Chmary komarów wirowały wokół twarzy, wlatywały do ust. Pelikany przeleciały ponad falami równym szeregiem, poruszając skrzydłami jak jeden wielki ptak. Nad głowami wojowników kołowały mewy.

Ludzie pospiesznie wnieśli wszystko z powrotem na pokład. Każdy chciał wypłynąć jak najszybciej, licząc na chłodną bryzę na morzu. Skylan zobaczył, że Garn stoi na pokładzie okrętu Martegnanów. Odwrócił się od niego i zaczął szukać Wulfe’a.

Wołał go, chodząc po brzegu, i zaczął się nawet trochę niepokoić, że może chłopiec uciekł. Nie mógł marnować czasu na szukanie go. Ludziom się nie spodoba, że muszą czekać, aż ten dzieciak wreszcie się znajdzie. Zresztą większość wręcz by się ucieszyła, gdyby zniknął.

Skylan postanowił, że woła ostatni raz.

– Tu jestem! – krzyknął Wulfe i wyskoczył mu zza pleców.

– Gdzieś ty się podziewał? – warknął na niego Skylan, chwytając go mocno za ramię i ciągnąc za sobą.

– Rozmawiałem z przyjaciółmi – odparł Wulfe.

– Jakimi znowu przyjaciółmi? Zresztą nieważne. Powiesz mi potem. Zaraz wychodzimy w morze.

– Nie możemy – powiedział Wulfe, z przejęciem kręcąc głową. – Musimy tu zostać.

– Nie bądź śmieszny.

Wulfe uwiesił mu się na ramieniu i próbował go zatrzymać.

– Nie możemy wypływać! Okeanidy mówią, że to niebezpieczne!

Skylan tylko prychnął na to z pogardą.

– Wiem, że mi nie wierzysz...

– I masz rację – syknął Skylan, wciągając Wulfę’a na trap. Szybko policzył ludzi.

Wszyscy byli już na pokładzie. Treia trzymała rękę na smoczej kości, porozumiewała się ze smokiem. Przy niej stała Aylaen, która miała uczyć się rytuału, ale widać było, że myślami jest gdzie indziej. Była wyczerpana, oczy miała zapuchnięte i czerwone od łez. Posłała Skylanowi błagalne spojrzenie. Odpowiedział jej wzrokiem zimnym jak lód. Spłonila się. Jeszcze przed chwilą przepełniało ją współczucie dla niego. Teraz jednak zaczynała być na niego po prostu wściekła.

Trzy smocze okręty bujały się na płytkiej wodzie przy brzegu. Skylan zaczął się niecierpliwić. Dlaczego smok Kahg nie wyprowadza ich w morze? W końcu podszedł do Trei, żeby sprawdzić, czy coś się nie stało.

– Smok nie wypłynie, jeśli mu nie rozkażesz – odrzekła Treia.

– Co takiego? Dlaczego?

Kapłanka wzruszyła ramionami.

– Myślę, że wiem dlaczego – szepnęła Aylaen, a wzrok miała utkwiony gdzieś daleko, daleko ponad wodą. – Bogini morza chce się zemścić za śmierć swej siostry. Obarcza winą Torvala i chce, żeby cierpiał tak jak ona. Torval jest wściekły, ale i boi się, bo jego ukochana Vindrash zniknęła, i bóg lęka się, że stracił ją już na zawsze.

Treia pokręciła głową i machnęła na to wszystko ręką.

– Co zamierzasz zrobić, panie?

– Chcę płynąć! – powiedział Skylan, który był już naprawdę na granicy wytrzymałości.

Wojownicy poparli go krzykami.

Treia przytaknęła tylko.

– Smok Kahg chce wiedzieć, czy jesteś gotowy ponieść odpowiedzialność za to, że nakazujesz mu wyjść w morze.

– Jestem Wodzem Wodzów – ryknął Skylan. – To ja tu podejmuję decyzje.

– Dobrze więc. – Treia położyła dłoń na smoczej kości.

Venjekar postawił żagle i pomknął po gładkiej tafli wody.

Za nim posłusznie popłynęły pozostałe dwa smocze okręty. Sztorm dopadł ich, gdy słońce było w zenicie.

Wichura zerwała się tak nagle, że nie mieli szansy na dotarcie do lądu. Nikt jeszcze nie widział czegoś takiego. Czarne chmury o purpurowej poświacie wystrzeliły zza horyzontu i zalały morze. Między jednym uderzeniem serca a drugim spokojna woda rozszalała się i zakipiała.

Okręt to spadał, to wylatywał w powietrze. Morze zalewało pokład. Skylan nakazał ludziom znieść skrzynie, tarcze, broń i zbroję pod pokład, żeby ich nie zmyło. Zadanie to okazało się jednak niemal niewykonalne; ludzie ślizgali się na mokrych deskach, a część była w stanie tylko wychylać się za burtę i głośno jęczeć.

Bogini sztormu rozwarła paszczę i dmuchała wściekle wprost na nich. Wiatr zrywał pianę z fal i pluł nią w powietrze. Fala uderzyła w śródkręcie, podniosła kil. Ludzie wrzasnęli w panice i zaczęli się chwytać lin, masztu i siebie nawzajem, usiłując jakimś cudem nie wypaść za burtę. Okręt wisiał niemal w pionie. Skylan nie miał się czego złapać i runął, z hukiem zatrzymując się dopiero na burcie. W niego wpadł Erdmun. Przez cały pokład przetoczyła się beczka i uderzyła ich obydwu.

Na koszmarną chwilę okręt niemal zawisł między wiatrem a wodą, a gdy wiatr ustąpił nagle, jakby bogini wzięła głęboki wdech, runął w dół, wracając do poziomu, a ludzie na pokładzie przelecieli po deskach w przeciwnym kierunku.

– Czy ktoś wypadł za burtę? – wrzasnął Skylan, starając się przekrzyknąć wycie wiatru i szum ulewy.

To nie ma zresztą znaczenia, pomyślał z rozpaczą. Jeśli ktoś wypadł w takiej nawałnicy, już i tak go nie odnajdziemy.

Chwycił się wieszaka, na którym powiewały tarcze, i wbił wzrok w szalejące fale, usiłując dojrzeć pozostałe dwa okręty. Nie widział ich jednak, bo wszystko mu zasłaniała ściana deszczu i piany z morskiej wody chluszczącej na nich z potężnych fal. A może nie widział ich, bo już ich nie było.

Obejrzał się na dziób, gdzie jeszcze przed chwilą stały Treia i Aylaen. Zniknęły. Serce mu zamarło. Zobaczył jednak, że Raegar podnosi się z trudem i pomaga wstać obu kobietom. Pewnie złapał je i przytrzymał, gdy porywał je wiatr. Uratował je przed falami.

– Zabierz je pod pokład! – darł się Skylan, rozpaczliwie wymachując w stronę kajuty.

Raegar albo go usłyszał, albo po prostu i tak wiedział, co robić. Walcząc z wiatrem i trzymając obie kobiety, parł przez pokład. Skylan zgiął się wpół i choć oślepił go deszcz, usiłował podbiec, by mu pomóc.

Błysnęło i światem wstrząsnął grzmot. Wiatr walczył z nimi jak oszalały wojownik, nacierał z każdej strony. Smok Kahg nie pozwoli, by okręt zatonął, ale nawet on nie mógł nic zrobić, by nie miotało nim po falach. Woda lała się po pokładzie, chwytając za nogi, jakby celowo chciała ich ściągnąć i podarować śmierci.

Skylan dotarł wreszcie do klapy i próbował ją otworzyć. Wichur jednak pchał go tak mocno, że nie był w stanie. Raegar puścił Aylaen i Treię. Kapłanka padła na kolana. Mokra włosy opadły jej na oczy. Aylaen była tuż przy siostrze, gdy nagle ryknęła dziko i rzuciła się w stronę burty.

– Garn! – wrzeszczała, niebezpiecznie wychylając się za burtę.

Skylan obejrzał się i zobaczył twarz przyjaciela, a potem jego ręce na powierzchni wznoszącej się fali. Biała piana zalała go i zniknęła.

– Garn! – wyła Aylaen i Skylan zrozumiał, że dziewczyna zaraz rzuci się za ukochanym. Skoczył w jej stronę. Okręt znów się przechylił i Skylan wpadł na Aylaen, lecz zdołał w końcu odciągnąć ją od nadburcia.

– Trzymaj ją mocno! – wrzasnął do Raegara.

Skylan wbił wzrok w czarne, upstrzone pianą fale. Przez długą chwilę nic nie widział, ale potem z wody wynurzył się Garn. Próbował zaczerpnąć powietrza. Dostrzegł okręt i między jedną falą a drugą, między jedną błyskawicą a drugą próbował płynąć w ich stronę.

Skylan ustalił tylko jego położenie, a potem wskoczył na nadburcie i rzucił się do wody.

Zapał się w ciszę, która wydała mu się niemal uspokajająca po całej tej wrzawie, ryku wiatru i grzmotach. W wodzie było ciemno i nie wiedział już, gdzie jest powierzchnia. Mimo pieczenia w płucach brnął przez fale, nie mając pojęcia, czy płynie w górę czy w dół. Błysnęło, więc zaczął płynąć w kierunku światła. Przebił się głową na powietrze. Zaczerpnął tchu i zaczął się rozglądać za Garnem.

Ludzie stali przy nadburciu, drąc się i wskazując na coś. Skylan zaczął płynąć w tym kierunku. Fala poniosła go w górę i pod sobą zobaczył Garna. Woda pchnęła go tuż na niego. Próbowali chwycić się wzajemnie, ale morze pochłoneło ich obu.

Skylanowi udało się złapać Garna za włosy. Włożył ramię pod brodę przyjaciela i zaczął desperacko kopać, by zbliżyć się do powierzchni. Garn opadał już z sił. Było już niemal po nim, ale udało mu się nie wpaść w panikę i nie walczyć z ratującym, tylko zwiślał bezwładnie w ramionach Skylana.

Skylanowi zdawało się, że zaraz pękną mu płuca. Czuł, że musi wziąć oddech, choćby miał to przypłacić życiem, i właśnie wtedy jego głowa wyskoczyła na powierzchnię. Zachłysnął się powietrzem. Wyciągnął głowę Garna ponad taflę wody i zaczął płynąć zawzięcie przez fale. Zdawało się jednak, że stoi w miejscu. Ledwie przepląnął tyle co długość ręki, a fala pchała go z powrotem o dwie długości.

Nagle woda poniosła ich tak blisko burty, że wyciągnięta dłoń Skylana dotknęła rąk wychylających się mężczyzn, którzy nie bacząc na własne bezpieczeństwo, przechylili się jeszcze bardziej i chwycili go mocno. Morze zalało ich, rozdzieliło i zamknęło się nad jego głową. Skylan stracił nadzieję. Bolały go ręce, bolały go nogi, paliło go w płucach. Nie był już w stanie trzymać dłużej Garna.

Znów wypłynął na powierzchnię, wyciągając ze sobą przyjaciela. Garn stracił przytomność. Oczy miał zamknięte, usta otwarte. Był jak martwy.

A może po prostu był już martwy.

Powinienem go puścić, przemknęło Skylanowi przez głowę. Puścić i uratować przynajmniej siebie.

Nagle opadła go złość. Oto walczył z samą Akarią, i niech go licha, jeśli pozwoli jej wygrać. Raz jeszcze zaczął płynąć w stronę *Venjekara*, choć okręt wydawał się coraz mniejszym punktem.

Wtedy znów uniosła się fala i jakby w nagłym przypływie złości morze pchnęło obu mężczyzn na okręt. Skylan zdążył pomyśleć, że roztrzaskają się o burtę, ale fala wypchnęła

ich wysoko i cisnęła nimi o pokład, jakby byli jakąś wielką rybą. Skylan uderzył boleśnie o maszt i osunął się w wodę na pokładzie. Przy nim leżał Garn. Nie oddychał.

Ludzie chwycili go i znieśli pod pokład. Położyli go na brzuchu i zaczęli uderzać w plecy i wymachiwać jego rękoma, żeby wypompować z niego wodę.

Skylan poczołgał się w stronę steru, mając nadzieję, że uda mu się poprowadzić okręt w stronę brzegu. Ale ster zniknął. Została po nim tylko złamana deska.

Zaczął się modlić o wielką falę, która zamknęłaby się nad jego głową na zawsze. To on był Wodzem Wodków i to on rozkazał smokowi wyjść w morze. Z trudem szedł przez pokład, brnąc po kostki w wodzie. Chwytał kolejnych ludzi i kazał im się przywiązywać linami do masztu, do smoka, do czego tylko zdołają. Tych, którzy byli poważnie ranni – a było ich wielu – wysyłał pod pokład, by opatrzyła ich Treia.

W końcu sam zszedł do kajuty. Woda zalewała mu oczy, oślepiła go. Otarł twarz i zobaczył, że to nie woda, a krew.

Błyskawica rozświetliła niebo. Okręt zakołysał się niebezpiecznie. Skylan zatrzasnął za sobą klapę i upewnił się, że jest zamknięta. Potem zszedł po drabinie i rozejrzał się po kajucie. Trudno było cokolwiek zobaczyć w ciemności.

– Garn? – zawołał. Usta miał spierzchnięte od słonej wody; piekło go w gardle.

– Tutaj – wyszeptał słabo Garn. – Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

– Jesteś moim wojownikiem – powiedział krótko Skylan. Widział, że pochyla się nad nim Aylaen. – Wulfe?

– Tu jestem! – zapiszczał Wulfe. Był przerażony.

– Treia?

– Jestem bezpieczna, panie – odrzekła Treia, spokojna i opanowana jak zawsze.

Skylan uśmiechnął się mimo woli, choć był to uśmiech ponury i nieszczęśliwy. Przynajmniej to się nie zmieniło.

Na pokładzie zostało piętnastu wojowników. Byli w miarę bezpieczni, bo przywiązani do czego popadło. Przeliczył ludzi pod pokładem i z ulgą stwierdził, że nikt nie przepadł.

Mimo to jednak nie czuł wdzięczności. Przepelniała go nienawiść do bogów i zaczął się zastanawiać, czy Aylaen miała rację. Przecież bogowie powinni się zjednoczyć w walce z wrogiem. Dlaczego marnowali czas na spory między sobą? On i jego ludzie byli jak kości rzucone na jakąś boską planszę.

Pięć Smoków Vektii. Pięć kości rzuconych na planszę. Boże igrzysko. Pięć smoków. Pionki przesuwające się po planszy. To zupełnie jak... jak...

Skylan zmarszczył czoło. Poczul, że wszystko rozumie. Gdyby tylko mógł usiąść i to przemyśleć... ale nagle myśl mu uciekła, a może zmyła ją jakaś fala.

Wrócił na pokład i przywiązał się do masztu. Przykucnął na pokładzie i wsłuchiwał się w skrzypienie i pojękiwanie desek. Są bezpieczni na statku, póki te deski będą się opierać falom. Jeśli pękną, nawet smok nie będzie w stanie ich uratować.

Skylan nie wiedział, jak długo trwał sztorm. Dzień się nie pojawiał. Koszmarna noc trwała bez końca. Okręt skakał, opadał, kołysał się, wystrzelał w górę i leciał w dół, aż w końcu Skylan zaczął marzyć o tym, żeby w końcu utonęli, jeśli to jedyny sposób, by zakończyła się wreszcie ich męczarnia.

Był przemoczony. Drżał cały. Pękała mu głowa, a stara rana w nodze pulsowała nieznośnie. Co jakiś czas wstawał i ryzykował wszystko, by zejść na chwilę pod pokład. W kajucie śmierdziało. Ludzie leżeli we własnych wymiocinach. Spijali deszczówkę, która przeciekała przez deski pokładu – wyciągali rogi do picia i zbierali ciekącą wodę. Skylan spytał o rannych. Treia oświadczyła mu, że żyją i że więcej nie należy w tych warunkach oczekiwać. Rzucił okiem na Aylaen. Spała wtulona w śpiącego Garna.

Skylan patrzył na nich długo, a okręt spadał w dół. W końcu odwrócił wzrok i wyszedł na pokład. Przywiązał się znów do masztu. Spał i budził się, spał i budził się. Raz, gdy się obudził, zobaczył Wulfe'a. Drzemał skulony u jego stóp jak mały kundelek.

A potem pewnej nocy Skylan obudził się nagle. Leżał przez chwilę, nie wiedząc, co się dzieje i co go obudziło.

Cisza.

Nie słychać wycia wiatru, łomotu fal, huku grzmotów. Spojrzał w niebo i zobaczył gwiazdy.

Sztorm minął. *Venjekar* nie zatonął.

Rozdział 8

Skylan wstał z wysiłkiem. Nogi miał zeszywniałe, stopy zziębnięte i bez czucia. Wojownicy wstawali i rozglądali się wokół, by w zdumieniu wyszeptać dziękczynne modły do Torwala. Wstało słońce – biała kula, którą ledwie było widać zza kłębow mgły wijących się na powierzchni morza. Okręt wyglądał niczym duch.

Skylanowi znów przypomniała się podróż z Apensji, choć wtedy mgła była ciemna i gęsta, a teraz lekka, niemal eteryczna, migotała jasnym światłem.

Z kajuty wyłonili się ludzie. Stanęli na pokładzie i zapatrzyli się w zasnute mgłą spokojne, gładkie morze.

– Bogini wciąż jest wściekła – szepnęła Aylaen. – Zmęczyła się jedynie.

Skylan próbował dojrzeć pozostałe okręty, ale ledwo widział głowę smoka. Mgła rozstępowała się przed nimi, a gdy w nią wpływali, zamykała się za nimi szczelnie. Kazał ludziom nawoływać innych, więc zaczęli krzyczeć ile sił i walić mieczami w tarcze.

Odpowiedziała im cisza. Skylan chciał wysłać kogoś na oko i natychmiast Raegar zgłosił się na ochotnika. Stał wytrwale przy burcie i wpatrywał się we mgłę. Zaproponował nawet, że wdrapie się na smoczy galion, żeby mieć lepszy widok, ale Skylan mu zabronił, bojąc się, że figura nie utrzyma ciężaru Raegara, szczególnie po tak długim sztormie. Wulfe powiedział, że on może się wdrapać na szyję smoka, ale Raegar powiedział, że nie chce narażać chłopca na niebezpieczeństwo.

Skylan nawet się nad tym nie zastanawiał, ale potem, gdy spojrzął przypadkiem na Raegara wpatrującego się we mgłę, kuzyn odwrócił się nagle z niepokojem na twarzy, a gdy zobaczył, że Skylan na niego patrzy, wzruszył ramionami, pokręcił głową i odszedł. Skylan uznał takie zachowanie za nieco dziwne. Czym niepokoił się Raegar? Skoro ich okręt przetrwał, z pewnością przetrwały i inne. Nic dziwnego, że się pogubiły. Na pewno wkrótce się spotkają. Może Raegar martwił się o jakiegoś swojego przyjaciela, choć Skylan nie zauważył, żeby kuzyn zaprzyjaźnił się z kimkolwiek z innych klanów. Wątpił nawet, by Raegar znał choć jedną osobę z pozostałych dwóch okrętów. Dlaczego więc tak się przejmował ich zniknięciem?

Skylan poprosił Treię, by porozmawiała ze smokiem i spytała, co się stało z innymi okrętami. Chciał też wiedzieć, czy Kahg wie, gdzie one są i dokąd płyną, bo ich okręt dryfował na wschód, o czym świadczyła pozycja słońca.

Trei nie udało się jednak porozumieć ze smokiem. Kahg po prostu nie odpowiadał. Skylan spytał, czy smok jest na niego zły, a Treia odpowiedziała mu cierpko, że to całkiem prawdopodobne.

Venjekar przetrwał sztorm, ale był w bardzo złym stanie i Skylan nie był pewien, jak długo uda im się jeszcze utrzymać na powierzchni. Już nabierali wody; stracili ster. Mogli pić deszczówkę, ale zapasy pożywienia w dużej mierze zostały splukane przez fale, a to, co udało się uratować, tak nasiąknęło słoną wodą, że w większości nie nadawało się do jedzenia. Mieli puste żołądki. Udało im się zjeść jedynie kilka ryb, ale miały wiele ości, a w dodatku musieli jeść je na surowo. Na takiej diecie długo nie przetrwają.

Treia błagała smoka Kahg, by zabrał ich na ląd. Lecz smok odmówił. Nie zmienił kursu i wciąż płynął na wschód. Kahg wyraźnie dokądś ich zabierał i nie marnował czasu. Woda chlupotała pod dziobem i zostawiała na wodzie długi, spieniony kilwater.

Skylan był coraz bardziej sfrustrowany, ale nie mógł nic zrobić. Chodził po pokładzie lub stał na dziobie, wpatrując się w mgłę. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą tak się cieszyli, że przetrwali sztorm, teraz zaczęli psioczyć i narzekać. Niektórzy mówili wręcz po kątach o tym, że to Skylan rozkazał im wyjść w morze.

– Jesteśmy na obcych wodach. Smok dobieje do brzegu jeszcze przed zmrokiem – uspokajał ich Wódz Wodków. – Nie będzie miał innego wyjścia.

Smoki dobrze widzą w ciemności, ale nawet sokoli wzrok nie jest w stanie wypatrzeć wszystkich zdradzieckich, kryjących się pod taflą wody skał, które mogą rozciąć dno statku, ani łańcuch, na których można po prostu utknąć. Dlatego smok zaryzykowałby żeglugę nocą czy w gęstej mgle jedynie na znanych mu dobrze wodach, tak jak wtedy gdy zawoził Skylana do domu.

Zaszło słońce, a mgła zapłonęła pomarańczowym światłem. Zapadła noc. Księżyc lśnił jak duch w jasnej mgle, która kładła swe lepkie palce na skórze i wiła się po pokładzie. Smoczy okręt wciąż płynął na wschód.

Erdmun przypomniał sobie oczywiście o *Durtmundorze*, słynnym statku widmie, którego załoga zabiła wieloryba – święte zwierzę Akarii. Bogini przeklęła ich i skazała na tułaczkę po morzach, by bez końca przeklinali swój los.

– Może i my płyniemy na okręcie widmie? – mówił Erdmun do ludzi kulących się na skrzyniach. – Może wszyscy jesteśmy już martwi i nawet o tym nie wiemy.

Skylan podszedł do niego, postawił go na równe nogi i uderzył w twarz. Erdmun poleciał do tyłu, potknął się o skrzynię i wylądował na tyłku.

– Czuleś to? – spytał Skylan, pochylając się nad nim z zaciśniętymi pięściami.

Erdmun wymamrotał coś i splunął krwią.

– I dobrze – warknął Skylan. – To znaczy, że nie jesteś martwy.

Odszedł. Kątem oka zobaczył, że Garn uśmiecha się i niemal niedostrzegalnie kręci głową. Skylan zwolnił kroku. Całe życie zwracał się do przyjaciela po radę i wsparcie. A teraz potrzebował ich jak jeszcze nigdy przedtem. Garn patrzył na niego i samym wzrokiem błagał o wybaczenie.

Lecz Skylan nie umiał mu wybaczyć. Jak Aylaen mogła pokochać Garna? Miała przecież kochać jego! Powinna była go kochać! Był Wodzem Wodzów. Był odważnym wojownikiem. Miał ziemię i bydło, pięknego konia i miecz wart vindraholmskie sumy. Garn był nikim, był nędzarzem żyjącym na garnuszku u Norgaarda. Kobiety – wszystkie inne kobiety – kochały Skylana. A żadna, żadna kobieta nigdy nie kochała Garna.

Żadna z wyjątkiem Aylaen.

A niech się Garn wypcha z tymi swoimi poradami! – pomyślał Skylan. Nie potrzebuję go. W końcu jestem Wodzem Wodzów. Odszedł w stronę steru, by od Garna dzieliła go cała długość pokładu. Postawił kogoś na wachcie i położył się na deskach, licząc na odrobinę snu, ale natychmiast podbiegł do niego Wulfe, tupocząc bosymi stopami.

– Głodny jestem. Kiedy będzie coś do jedzenia?

Skylan popatrzył na niego groźnie. Chłopiec był niemal całkiem nagi.

– Coś ty zrobił z ubraniami?

– Są mokre – kaprysił Wulfe. – I drapały.

– Idź i się ubierz – rozkazał mu Skylan. – Bo zamarzniesz.

– Nie jest mi zimno – zapewnił go chłopiec i przysiadł obok. – Widziałeś? Okrętem steruje twoja draugra.

Skylan prychnął tylko.

– Takie bujdy o duchach to opowiadaj Erdmunowi, nie mnie – mruknął, próbując się jakoś ułożyć na deskach. Draugra nie pojawiła się ani razu od czasu sztormu. Miał nadzieję, że wreszcie się jej pozbył.

– Ale naprawdę to ona – upierał się chłopiec. – No sam zobacz!

Skylan westchnął i żeby wreszcie uciszyć chłopca, podniósł się na łokciu i spojrzał na dziób.

Przy kości ducha stała draugra i opierała dłoń na rzeźbionej smoczej szyi, tak jak Draya w dniu swojej śmierci.

Oczy smoka lśniły czerwonym blaskiem we mgle. Błada twarz zmory jaśniała upiornie. Skylan się wzdrygnął.

– Dokąd ona nas zabiera?

– Nie wiem – szepnął Wulfe. – Pytałem okeanidy, gdzie jesteśmy, ale nie chciały ze mną gadać. Drwiły sobie ze mnie i powiedziały, że wisi nad nami klątwa.

– Nie wisi nad nami żadna klątwa! – ryknął wściekły Skylan tak głośno, żeby wszyscy go usłyszeli; wszyscy, nie wyłączając jego zmarłej żony. – Nie wisi nad nami klątwa! Torval

chronił nas podczas sztormu i nadal się nami opiekuje. Bóg sprawi, że bezpiecznie wrócimy do domu. – Spojrzał na Wulfe'a ostro. – Idź i natychmiast się ubierz!

Rzucił się z powrotem na pokład i zamknął oczy. Zacisnął mocno powieki, żeby przypadkiem nie spojrzeć na draugę.

– Skylanie – wyszeptał cichy głos. – Mogę z tobą porozmawiać?

– Czego chcesz? – burknął Skylan. Za nic nie chciał otwierać oczu. Ten głos był jak miecz tnący jego ciało.

– Wiem, że nigdy mi nie wybaczysz – powiedziała Aylaen. – Rozumiem to, choć to mnie zasmuca, bo jesteś moim przyjacielem, jesteś mi jak brat...

Oczy Skylana otworzyły się raptownie. Aylaen aż drgnęła, zobaczywszy, jaki ból się w nich czai. Wyciągnęła dłoń.

– Zabierz rękę – warknął.

Aylaen pozwoliła dłoni opaść.

– Wiem, że nigdy mi nie wybaczysz – powtórzyła – ale mam nadzieję, że wybaczysz Garnowi...

– Dlaczego go kochasz?

– A dlaczego ty go kochasz? – odpowiedziała mu pytaniem.

– To ja tu zadaję pytania – wycedził.

Aylaen uśmiechnęła się.

– Powiem ci, dlaczego go kochasz. Bo jest mądry, dobry i troskliwy. Kochasz go, bo jego odwaga nie jest jak chorągiew, która powiewa ludziom prosto w twarz. Jego odwaga każe mu wykonywać co dzień nudną pracę w polu. Jego odwaga daje mu cierpliwość i pozwala dbać o Norgaarda, gdy twój ojciec zwija się z bólu. Jego odwaga nakazała mu skoczyć w morze za człowiekiem, którego imienia nawet nie znał. Kochasz go za to wszystko, Skylanie. I ja też kocham go właśnie za to.

Skylan chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Ale chcę, żebyś to mnie kochała!

– Masz zawsze w życiu to, czego chcesz, Skylanie – powiedziała Aylaen ze smutkiem. – Ale nie tym razem.

– A niech cię Freilis! Ciebie i jego też!

Odepchnął ją z mocą i z powrotem położył się na deskach. Zamknął oczy i nie chciał już na nią patrzeć. Czuł, że jeszcze nad nim stoi, że ma nadzieję, iż jej wybaczy. Ale wiedział, że nigdy tego nie uczyni. Jego zbolełe serce nękała szaleńcza zazdrość i zraniona duma, które wiły się wokół niego jak żmije. Wiedział, że powinien obciąć im głowy, że im dłużej je toleruje, tym stają się potężniejsze i bardziej trujące. Ale nie był w stanie. Dlatego karmił je mlekiem swojej nienawiści.

– Skylan! – Erdmun tarosił go za ramię. – Skylan! Obudź się!

– Wcale nie śpię – wymamrotał Skylan, wyczołgując się z otchłani snu. – Co znowu? – Usiadł, ziewnął i podrapał się po coraz dłuższym zarostcie. Nie cierpiał się nie golić. Czuł się wtedy po prostu brudny.

– Widziałem ziemię – powiedział Erdmun, który stał tego dnia na oku.

Skylan zerwał się na równe nogi, budząc się natychmiast. Z niepokojem spojrział w stronę smoczego łba i odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że draugry już tam nie ma. Zniknęła też mgła. Na horyzoncie czerwony pas światła zapowiadał wschód słońca i różowa poświata zalewała już niebo.

– Obudź pozostałych – rozkazał Skylan.

– Może lepiej nie – wybąkał Erdmun.

Skylan spiorunował go spojrzeniem.

– Dlaczego nie?

Erdmun wskazał na coś przed dziobem.

Z wody wylaniały się dwie potężne skały. Stały naprzeciwko siebie, pozostawiając tylko przesmyk o szerokości niewiele większej od smoczego okrętu. Nie były to naturalne skały, ale stanowiły pozostałość olbrzymiego łuku zbudowanego w tym miejscu całe wieki temu. Szczyt łuku dawno już pękł i runął do morza. Pozostały tylko kolumny, które go wspierały, a i one były tak zniszczone przez wiatr i morze, że jedynie Vindrasi pamiętali jeszcze, czym kiedyś były.

– Sam widzisz, czemu wydaje mi się, że lepiej ich jeszcze nie budzić – wyszeptał Erdmun ponurym głosem. Wargę wciąż miał opuchniętą od ciosu, który zadał mu Skylan. – Co zrobimy? Smok Kahg przywiózł nas właśnie w to miejsce, przed którym nas ostrzegłeś! Jesteśmy przeklęci!

Był to bowiem Łuk Vektyjski. Wrota do Smoczycych Wysp.

Ludzie wpadli w panikę. Błagali Skylana, żeby rozkazał smokowi zawrócić, bo przecież inaczej zaatakują ich olbrzymy. Nie mógł powiedzieć im, że nie ma się czego bać i że zmyślił całą tę historię. Nie było przecież żadnej klątwy, żadnych olbrzymów, a na Smoczycych Wyspach nie wywiązała się żadna bitwa.

Gdy minęło zdumienie, Skylan odetchnął głęboko z ulgą. Najwyraźniej smok Kahg cały czas wiedział dobrze, co robi. Skylan był już kiedyś na Smoczycych Wyspach. Było tam w bród zwierzyny łownej. Były też drzewa, które będzie można ściąć, by zrobić nowy ster.

Nie ulegało niestety wątpliwości, że zdryfowali daleko od ustalonego kursu. Ale nawet biorąc pod uwagę to opóźnienie, przed nimi przecież jeszcze kilka miesięcy dobrej pogody. Zdążą odnaleźć pozostałe dwa okręty i dopłynąć do ogrzej krainy.

Jedyne, co należało zrobić, to udoskonalić jakoś kłamstwo. Smoczy okręt płynął prosto na kamienny łuk i niektórzy wojownicy chcieli już nawet skakać za burtę, by nie narazić się na gniew bogów.

Raegar podszedł do nadburcia i oparł się na nim łokciem.

– To dziwne, że smok przywiódł nas na Smocze Wyspy, nieprawdaż? – stwierdził szeptem. Podszedł bliżej i jeszcze bardziej zniżył głos. – Nie martw się, kuzynie. Nie miałeś wyjścia. Uratowałeś reputację Draï, a i swoją własną. Bogowie przecież to rozumieją i na pewno ci wybaczyli. A co do tego, że smok Kahg nas tu przywiózł... tylko pomyśl, smok nie zrobiłby tego, gdyby nie nakazał mu sam Torval.

Skylan oparł się o nadburcie i zapatrzył w zbliżające się kamienne kolumny, zastanawiając się nad słowami kuzyna.

– To prawda – przyznał mu w końcu rację.

Lecz wiedział, że tak nie jest. To nie smok ich tu przywiózł, tylko Draya. To ona stała cały czas przy smoku i prowadziła okręt.

Jego ludziom potrzeba jedzenia. Muszą też naprawić statek, który zaczyna już dosłownie tonąć pod ich stopami. Skylan stał tak i zastanawiał się nad tym wszystkim, niemal nie zauważywszy, że Raegar odszedł, a zamiast niego pojawił się przy jego boku Garn.

Skylan wyprostował się i chciał odejść.

– Nie musisz ze mną rozmawiać – powiedział cicho Garn. – Posłuchaj mnie tylko. Przyszedłem cię ostrzec. Raegar zachowuje się bardzo dziwnie. Całe dni spędza na wpatrywaniu się w morze. On na coś czeka.

– Po prostu wypatruje pozostałych smoczycy okrętów – uciął rozmowę Skylan. – Nie widzę w tym nic dziwnego.

– Strzeż się go, Skylenie – szepnął Garn i odszedł.

Skylan obrzucił pokład wzrokiem. Ludzie stali przy nadburciu i wpatrując się w prastary łuk, kłócili się zawzięcie o to, czy powinni schodzić na Smocze Wyspy czy nie. Sprawa była tym bardziej niejasna, że smok wyraźnie ich tam przecież wiozł. Raegara wśród nich nie było. Stał sam przy nadburciu kawałek dalej, wpatrywał się w horyzont i uśmiechał pod nosem.

– Raegarze! – krzyknął Skylan.

Kuzyn odwrócił się raptownie, jakby zaskoczyło go to, że jest obserwowany.

– Widać gdzieś te okręty? – spytał Skylan.

Raegar popatrzył na niego podejrzliwie, zmrużył oczy.

– Jakie okręty? – spytał ostrożnie.

– No, pozostałe smocze okręty oczywiście – odrzekł Skylan, któremu reakcja kuzyna dała do myślenia.

– Ach! – Twarz Raegara wyraźnie się rozluźniła. Wzruszył ramionami i ze smutkiem potrząsnął głową. – Ani śladu po naszych smoczycy okrętach niestety.

Przeszedł przez pokład i dołączył do pozostałych wojowników.

Skylan otarł pot z czoła i potargał sobie włosy, żeby ochłodzić trochę głowę morską bryzą. Wszystko to było zdecydowanie zbyt skomplikowane. Znów spojrzął na kolumny i opanowało go przemożne pragnienie, by opowiedzieć o wszystkim Garnowi.

Powiedzieć mu, że skłamałem, gdy opowiadałem o Smoczycach Wyspach. Powiedzieć, że to nie Torval ani nie smok prowadzą nas na święte wyspy, ale draugra, żywy trup mojej żony. Żony, która nawiedza mnie w snach i która noc w noc zmusza mnie do gry w smocze kości, choć pojęcia nie mam, dlaczego to robi. Powiedziałbym mu też całą prawdę o Raegarze, o tym, jak go poznałem, o jego niewolnikach, o tym, że miał porwać Drayę, o tym, że wcale nie chciał wracać do domu, a potem nagle wrócił.

Garn mi wszystko wyjaśni. Będzie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Uratowałem go przed utonięciem, a teraz, gdy ciemne wody zamykają się nad moją głową, on uratuje mnie.

Skylan spojrzał na przyjaciela i nawet zrobił krok w jego stronę, ale w tej chwili podeszła do Garna Aylaen. Splotły się ich dłonie. Spojrzeli sobie w oczy. Zdawało się, że na całym świecie istnieje tylko tych dwoje.

Węże w sercu Skylana zasyczały wrogo.

– Słuchajcie! – krzyknął, a ludzie natychmiast przestali się kłócić. – Sam Torval przywiódł nas do tej błogosławionej przystani, gdzie możemy odpocząć, najeść się i naprawić nasz okręt. Musimy zanieść dziękczynne modły do Torvala i Vindrash za to, że bezpiecznie przeprowadzili nas przez sztorm. Przysięgniemy im także, że nie wrócimy do domu, póki nie odzyskamy Torquesu Vektyjskiego.

Wojownicy przedyskutowali to między sobą i w końcu zgodzili się, że Skylan musi mieć rację. Smok nie przywiózłby ich tutaj, gdyby byli przekłęci.

Może i nie zgodziliby się co do tego tak szybko, gdyby nie to, że żaden z wojowników nie mógł już patrzeć na surowe ryby.

Rozdział 9

Venjekar przepłynął między Kolumnami Vektyjskimi i wpłynął do Zatoki Kolumn. Woda tu była błękitna, znacznie jaśniejsza niż ciemne wody na morzu. Smok Kahg nie zwolnił. Smoki i ludzie przyplływali tutaj od niepamiętnych czasów. Jedyna łacha piachu była widoczna już z daleka – wąski pas brązowobiałego piasku ozdobiony samotnym, powyginanym przez wiatr drzewem. Smoczy okręt minął go i trzymając się głębokiej wody, pędził w stronę brzegu.

I wtedy, bez żadnej zapowiedzi, rozległ się straszliwy huk łamanego drewna. Okręt zatrzymał się tak raptownie, że wszystko i wszyscy poleciali do przodu. Wojownicy uderzyli z całych sił w dziób. Ci, którzy tak jak Skylan opierali się o nadburcie, wypadli i z pluskiem wylądowali w wodzie.

Venjekar osiadł na mieliźnie.

Skylan wypłynął na powierzchnię. Woda była tu spokojna i płytka. Nie dotykał stopami dna, ale widział je pod butami. Widział też łacę piachu i nieszczęsny okręt. Przy nim pluł i krztusił się Wulfe z wielce obrażoną miną.

– Umiesz pływać? – spytał Skylan.

Wulfe pokiwał głową.

– To płyn do brzegu – nakazał mu Skylan.

Z wody widział, że powrót na pokład nie ma żadnego sensu. Okręt tkwił na mieliźnie pod dziwnie ostrym kątem, a kil wbity był głęboko w piach. Nawet jeśli *Venjekar* nie odniósł większych szkód, samo zdjęcie go z mielizny będzie nie lada zadaniem.

Co innego, gdyby nadszedł przyplływ. Jeśli bowiem to jest odpływ, może wyższy poziom wody zepchnie okręt z mielizny.

Podpłynął do statku, by nakazać pozostałym zejście do wody. Kątem oka spojrzał na smoka. Nie mógł się oprzeć myśli, że Kahg dostał za swoje. Trzeba było nie poddawać się rozkazom draugry i nie przywozić ich tutaj. Oczy smoka były przymknięte. Brnąc przez wodę, Skylan widział w nich tylko nikłe, czerwone światełko, ale i tak można było zgadnąć, że smok jest wściekły.

– Zrzućcie wszystko z pokładu! – krzyknął Skylan do tych, którzy byli jeszcze na *Venjekarze*. – Odciążcie okręt!

Garn zrozumiał od razu. Z Aylaen i Bjornem zaczęli gorączkowo zbierać broń, tarcze i wszelkie zapasy, które przetrwały sztorm. Zsunęli skrzynie i beczułki za burtę. Skylan i inni, którzy byli już w wodzie, zaciągnęli je na brzeg. Gdy w wodzie wylądowała ostatnia baryłka, wyskoczył też Bjorn. Garn i Aylaen zaczęli usilnie przekonywać Treię do zejścia z pokładu. Przyłgnęła do nadburcia i trzymała się go kurczowo.

– Ona nie umie pływać! – krzyknął Garn.

– Zrzućcie ją, a ja ją złapię! – zawołał Skylan i nim Kapłanka Kości zdołała zaprotestować, Garn podniósł ją i przerzucił przez burtę.

Wpadła w ramiona Skylana z rozpaczliwym okrzykiem i złapała się go za szyję tak mocno, że mało go nie udusiła.

– Puść i nie kop tak! – warknęła na nią. – Bo inaczej oboje się przez ciebie potopimy!

– Kość ducha! – wycharczała Treia, łgnąc do niego w panice.

– Mam ją, Treiu! – zapewniła ją Aylaen.

Skylan zaciągnął Treię na brzeg, gdzie mężczyźni próbowali ratować zapasy i suszyć broń.

Zdjął koszulę i rozkładał ją właśnie na piasku, żeby wyschła, gdy podbiegła do niego Aylaen. Spiorunował ją wzrokiem, żeby nie ważyła się podejść, ale jak zwykle go zignorowała.

– Raegar zniknął – powiedziała.

Skylan zmarszczył czoło, ale potem wzruszył ramionami.

– Na pewno jest gdzieś niedaleko. Siedzi pewnie w krzakach i sobie spokojnie sra.

– Nie, Skylan – powiedziała z przekonaniem Aylaen. – Sprawdziłam. Szukała go też Treia, Garn i inni. Raegara nigdzie nie ma. Zniknął. A w dodatku Erdmunowi się zdaje, że Raegar wpadł do wody. I potem nikt go już nie widział. – Aylaen zaczął drżeć głos. – Ja... my się boimy, że utonął.

Skylan prychnął z pogardą.

– Woda jest tu tak płytka, że Raegar musiałby się naprawdę postarać, żeby utonąć.

– Raegar stał na rufie, a nie na dziobie, tak jak my. Erdmun twierdzi, że Raegar wypadł na drugą stronę łachy, gdzie jest bardzo głęboko. A Trei powiedział, że nie umie pływać.

Skylan zarządził poszukiwania. Wysłał kilku ludzi w las powyginanych od wiatru sosen, a innym kazał przeszukać jasne wody zatoki. Wraz z Erdmunem popłynął z powrotem na okręt i przeszedł pokład wzdłuż i wszerz.

– Stał tutaj i patrzył w morze, gdy nagle okręt uderzył w łachę – emocjonował się Erdmun. – Wyleciał za burtę głową naprzód.

– Widziałeś, co było potem? Słyszałeś, żeby krzyczał? – wypytywał go Skylan.

Erdmun pokręcił głową i wskazał na wielki guz na czole.

– Upadłem i chyba straciłem przytomność, bo zupełnie nic nie słyszałem.

Skylan popatrzył na granatową wodę.

Morze rzeczywiście wyglądało w tym miejscu na głębokie, a na pewno nie było tak płytkie jak pod drugiej stronie. Raegar był roslym mężczyzną, grubokościstym, ciężkim. Zatonął pewnie jak worek kamieni.

Skylan pokręcił głową i zmówił cichą modlitwę do Torwała za duszę kuzyna. Raegar wrócił z zaświatów, a teraz znów był wśród umarłych. Torwał z nim. Skylan i Erdmun popłynęli z powrotem do brzegu.

Aylaen utkwiała w Skylenie wzrok pełen nadziei.

– Ani widu, ani słychu – szepnął.

Treia klęczała na piasku, obejmując się chudymi ramionami i wbijając sobie paznokcie w ciało. Nic nie mówiła. Nawet nie płakała. Wpatrywała się w morze zrozpaczonym wzrokiem i była coraz bledsza.

Aylaen próbowała ją jakoś pocieszyć.

– Treiu, tak mi przykro. Raegar był dobrym mężczyzną...

Treia wzdrygnęła się, zeszywniała. Potem posłała Aylaen spojrzenie tak złe, że zabolalo jak uderzenie. Wstała i odeszła po piasku, ciągnąc za sobą mokre szaty.

Ludzie patrzyli na nią bezradnie. Milczeli.

– Idź z siostrą – rozkazał dziewczynie Skylan. – Nie powinna chodzić tu sama. Garn, idź z nimi. I weź ze sobą broń.

Garn złapał za topór i tarczę i pobiegł za Aylaen.

Skylan odwrócił się w stronę swoich ludzi.

– Raegar był Torgunem. Opłakujemy go i pewnego dnia oddamy mu należne honory. Teraz jednak musimy przede wszystkim zająć się tymi, którzy żyją.

Wysłał kilku ludzi na zwiady. Kazał im znaleźć wodę do picia i upolować sarnę lub kilka zajęcy. Pozostali zaczęli budować szałas wśród sosen, czyścić i oliwić broń, toczyć koleczugi po piasku, by zetrzeć z nich rdzę.

– Udam się teraz do świątyni Vektii, by pomodlić się do Vindrash – oświadczył Skylan. – Podziękuję jej za to, że nas tu przywiodła.

– Nie powinienes iść sam – zaprotestował Bjorn. – To niebezpieczne. Ktoś powinien iść z tobą.

– Jesteśmy na Smoczycach Wyspach. Znają nas tu.

– Ale sam przecież mówiłeś, że Vindrash jest na nas zła za to, że straciliśmy święty torques...

– Idę sam. – Skylan spojrział na niego tak ostro, że zarówno Bjorn, jak i pozostali nie odważyli się już nic powiedzieć.

Skylan wiedział, że postępuje niezbyt rozważnie, idąc sam, ale nie mógł nikogo ze sobą zabrać, bo wcale nie zamierzał modlić się do Vindrash. Zamierzał paść przed nią na kolana i ukorzyć się, błagając o wybaczenie. Draugra przywiodła go tutaj, a więc być może zrobiła to

właśnie w tym celu. Może jeśli wybaczy mu sama bogini, draugra przestanie go wreszcie nawiedzać.

Chwyił swój wspaniały miecz i tarczę. Gdy przypasał Taniec Krwi, znów pomyślał o kuzynie, od którego dostał go w podarunku. Skylan był naprawdę w rozpacz z powodu utraty tego wielkiego, wesołego człowieka, ale trochę mu także ulżyło. Raegar znał przecież prawdę. Wiedział, co wydarzyło się na Apensji, a teraz ten sekret utonął wraz z nim w ciemnych wodach morza.

Ledwie o tym pomyślał, zaczęły go nękać wyrzuty sumienia. Jeszcze tego mu tylko brakowało, żeby zaczął go nawiedzać duch kuzyna! Skylan położył dłoń na rękojeści miecza i poprosił duszę Raegara o wybaczenie. Poprzysiągł też złożyć na jego grobie bogaty upominek, gdy tylko wrócą do ojczyzny.

Teren wokół zatoki był płaski i piaszczysty. Gdzieś tam rosły zagajniki sosnowe, kępy szalwii i szczeciniasta, twarda trawa. Wyspa niewiele się zmieniła, odkąd był tu ostatni raz dwa lata temu z Norgaardem, by pokłonić się przed Smokinią. Złożyli jej wtedy taką nędzną ofiarę – byli na niewielu wyprawach, a i te nie przyniosły zbyt hojnych zysków.

Do świątyni Vektii nie prowadziła żadna ścieżka, choć Vindrasi często tu przyplływali. Wiatr i woda zmywały wszelkie ślady. Skylan pamiętał jednak drogę, a świątynię nietrudno było znaleźć. Należało stanąć na plaży twarzą w kierunku wschodzącego słońca, potem skrócić w lewo i podejść pod łagodny stok, aż zobaczyło się świątynię, która stała na najwyższym wzniesieniu na wyspie – klifie, z którego widać było morze.

Pogrążony w czarnych myślach Skylan szedł z głową pochyloną i nie zwracał uwagi na otoczenie. Z tego, co pamiętał, szło się cały czas lekko pod górę, aż w końcu dochodziło się do świątyni. Ze zdumieniem stwierdził po jakimś czasie, że stoi nad niewielkim stawem.

Nie pamiętał go i zdenerwował się, że się zgubił. Po chwili jednak zrozumiał, że nie był to wcale staw, lecz raczej dolinka, w której zebrał się deszcz. Pewnie wyspę nawiedziła ta sama burza, która tak ich wyczerpała na morzu. To by wyjaśniało powstanie tamtej łachy w zatoce i tego stawu o dziwnym kształcie. Szedł jego brzegiem, zastanawiając się dla zabicia czasu, skąd wzięła się dziura o tak cudacznym obrysie. Gdy był już po drugiej stronie, stwierdził ze zdumieniem, że zaraz za nią widać kolejny staw o takim samym mniej więcej dziwacznym kształcie.

– Skylan! Czekaj na mnie!

Odwrócił się i zobaczył Wulfe'a.

– Wiesz, że draugra idzie za tobą? – spytał chłopiec, dorównując Skylanowi kroku.

Skylan złapał za rękojeść miecza i obrócił się raptownie.

Draugra szła tuż za nim, a jej stopy nie zostawiały na piasku żadnych śladów. Zatrzymała się, gdy zobaczyła, że Skylan się do niej odwraca. Nie podeszła jednak bliżej, tylko przyglądała mu się w milczeniu.

Skylan poczuł, że oblewa go zimny pot.

– Idę właśnie do świątyni Vektii – wyjaśnił. – Idę błagać Vindrash o wybaczenie. Zrobię, cokolwiek bogini mi rozkaże, by ci wszystko wynagrodzić, Drayu! Przysięgam na Torvala!

Miał nadzieję, że upiór zrozumie, iż ma szczere intencje, i wreszcie go zostawi w spokoju. Ale Draya tkwiła w miejscu i ani drgnęła.

– Przecież robie, czego chcesz! – jęknął Skylan. – Przecież dlatego właśnie przywiodłaś mnie tutaj, tak?

– Nie – powiedziała draugra.

Na piersi upiora zajaśniało nagle jasne światło niczym gwiazda i ciało rozpadło się, wybuchając ogniem jak drzewo, w które uderzył piorun. Podmuch wybuchu pchnął Skylana na ziemię. Leżał na brzuchu, a w oczach miał pełno piasku. Leżał u stóp smoka.

Leżał u stóp bogini.

Olbrzymie lśniące skrzydła rozpostarły się nad nim. Długi, piękny ogon uderzył w ziemię, aż się zatrzęsła. Złocista grzywa jaśniała w słońcu. Łeb smoka pochylił się nad Skylanem groźnie. Paszcza rozwarła się, ślina pociekła po kłach i zalała mu twarz jak krew Draii, gdy umierała w męczarniach. Ślepia smoczycy były wielkie i płonął w nich pomarańczowy ogień wściekłości.

Wulfe pisnął z przerażenia i czmychnął. Skylan dałby wszystko, by móc uciec wraz z chłopcem, ale nie był w stanie się ruszyć. Słyszał nieraz o ludziach sparaliżowanych ze strachu – teraz dopiero rozumiał, jakie to uczucie. Poczul w ustach gorzki smak. Trząsł się jak w gorączce. Gdy próbował coś powiedzieć, odkrył, że ma ściśnięte gardło.

– Vindrash! – wycharczał. – Wybacz!

– Nie zwykłam wybaczać – rzekła bogini, a Skylan zamarł. – Masz jednak szczęście, Skylanie Ivorsonie. Torval lubi wybaczać, choć tym razem zrobiłeś wszystko, żeby go obrazić. Złamałeś przysięgę daną ojcu i ogłosiłeś się Wodzem Wodzów. Złamałeś przysięgę daną Draii, że będziesz ją kochał i jej bronił. A krzywoprzysięstwo jest naprawdę najmniejszym z twoich grzechów. Spiskowałeś przeciwko swej żonie i chciałeś, by ją porwano. By ukryć swoje zbrodnie, kłamałeś bez ustanku. Zmyśliłeś opowieść o olbrzymach ze Smoczkiej Wyspy. Co gorsza, zarzekałeś się, że mówisz prawdę, i wciąż wzywałeś imienia Torvala, a zatem szargałeś nie tylko swój honor, ale i honor swego boga.

Skylan czuł, że każde z tych oskarżeń uderza w niego jak ostra włócznia.

Surowy ton Vindrash złagodniał.

– Torval uzalił się nad tobą. Wierzy w ciebie, Skylanie Ivorsonie. A ponieważ w ciebie wierzy, postanowił dać ci szansę na odkupienie grzechów.

– Jestem mu za to dozgonnie wdzięczny – wyszeptał Skylan, niemal mdlejąc z ulgi. – Zrobię, co tylko bóg rozkaże! Przysięgam!

– Znów przysięgasz? – prychnęła Vindrash. – Wstań, Skylanie. Rozejrzyj się. Co widzisz?

Skylan wstał. Światłość bijąca od bogini oślepiła go, ale powoli jego wzrok przyzwyczajał się do jasnego blasku. Rozejrzał się, zachodząc w głowę, co za cuda ukaże mu bogini.

Z rozczarowaniem stwierdził jednak, że widzi tylko to, co przedtem: sosny, trawę, wielką kałużę o dziwnym kształcie i następną, i jeszcze następną, i jeszcze jedną taką samą, zupełnie jak jakieś wielkie odciski stóp... olbrzymich stóp... jak odciski stóp olbrzymia...

I Skylan przypomniał sobie swoje kłamstwo.

„Na piasku zobaczyliśmy dziwny ślad... Był to odcisk stopy. Stopy tak wielkiej jak ten dom”.

Skylan padł na kolana i wbił w boginię przerażony wzrok.

– Tak sobie wyrzucałeś te wszystkie kłamstwa – przemówiła Vindrash, a w jej głosie pobrzmiwała lekka ironia. – Łaskawy Torval uspokoi twoje sumienie...

Bogini uśmiechnęła się do Skylana.

– ...sprawiając, że kłamstwa staną się prawdą.

Rozdział 10

Smokini rozłożyła skrzydła i uniosła się w powietrze. Cień jej skrzydeł prześlizgnął się po pięciu olbrzymach, które szły powoli, rozglądając się wokół jakby w poszukiwaniu wroga. Skylan chciał zacząć błagać je o litość, ale ugryzł się w język. Gdy w dzieciństwie Norgaard dawał mu lanie za jakieś psoty, jeśli tylko Skylan płakał, ojciec bił go jeszcze mocniej.

Zasłużyłem na tę karę, pomyślał Skylan, wpatrując się z rozpaczą w olbrzymy. Nigdy jeszcze nie widział ani nawet nie próbował sobie wyobrazić czegoś podobnego do tych potworów, które szły w jego kierunku.

Olbrzymy z jego zmyślonej opowieści były stworzeniami z baśni i pieśni, wielkimi ludźmi, głupimi i tępymi. Ubrane w niedźwiedzią skórę dzierżyły w łapach włócznie wielkości dębu.

Olbrzymy ze Smoczyc Wysp wyglądały jak ludzie, lecz były wyższe niż dęby i chude jak patyki. Zdawało się, że to potężne szkielety powleczone cienką skórą. Miały wielgachne dłonie o rozczapierzonych palcach i jeszcze większe stopy. Gdy szły, podskakiwały wysoko, rozstawiały palce u nóg szeroko, a potem lądowały na nich lekko jak gigantyczne pająki. Ich ruchy były powolne, lecz każdy ich krok zbliżał je do Skylana w zawrotnym tempie.

Głowy miały małe jak pająki, a szyje długie i wiotkie. Ich oczy były niewielkie i jasne, usta wąskie, a włosy długie i jedwabiste. Zdawało się, że ich narządy wewnętrzne obszyte są tylko cieniutką tkaniną. Każdy z nich niósł coś, co wyglądało jak niewinna zabawka – dwa wielkie kamienie zawieszane na dwóch końcach liny.

Ale bynajmniej nie była to zabawka. Jeden z nich zaczął zręcznie wymachiwać liną, a kamienie zderzały się z zabójczą siłą. Olbrzym powalił nimi kilka sosen. Drzewa roztrzaskiwały się w drobny mak, jakby wybuchały. Konary łamały się, a gałęzie wylatywały w powietrze. Skylan wyobraził sobie te kamienie wśród swoich ludzi – zgmiotłyby ich w okamgnieniu.

„Moi ludzie zmarli na miejscu, zgnieceni na krwawą miazgę...”

Skylan odwrócił się i zaczął biec w stronę zatoki, rozmyślając gorączkowo, co robić. W jego zmyślonej historii Draya próbowała wezwać smoka Kahg na ratunek, lecz zabił ją olbrzym. Smok zdołałby pokonać te olbrzymy. Skylan musi tylko dobiec do obozu, nim dotrą tam te potwory.

W biegu minął swoich ludzi na łowach. Wystarczył jeden krótki rozkaz i już pędzili za nim. Gdy dotarli do obozu, zastali wojowników w pełnym uzbrojeniu i gotowych do walki.

Skylan był tak zziębnięty, że musiał przystanąć na chwilę, by złapać oddech. Wciąż jednak patrzył na wschód. Olbrzymy poruszają się szybko. Będą tu dosłownie za chwilę.

– Zaraz zaatakują nas... – wysapał – olbrzymy.

– A więc wszystko, co mówiłeś, było prawdą! – jęknął Erdmun. – Torval nas przeklął! Nie chce nas tu! Nie powinniśmy byli przybijać do tego brzegu!

– Torval zaraz ciebie przeklnie, jak się nie zamkniesz! – ryknął na niego Skylan. – Nie ma czasu na biadolenie. Gdzie Treia? Musi wezwać smoka, żeby pokonał te potwory.

Obrzucił ludzi na plaży spojrzeniem, ale Aylaen i Garna wrócili bez Trei.

– Gdzie Treia? – powtórzył, patrząc na nich.

– Myśleliśmy, że jest z tobą! – wybąkała Aylaen drżącym głosem.

– Ze mną? – Skylan patrzył na nią wściekły. – Niby czemu miałyby być ze mną?

– Powiedziała, że idzie z tobą do świątyni Vektii. – Aylaen urwała i zbladła. – Vindrash przenajświętsza! Treia jest gdzieś na wyspie... zupełnie sama...

– Niech to Skował trzaśnie! – przeklął siarczyście Skylan. – Nie widziałem jej tam. Kiedy się z nią rozstaliście? Jak dawno temu? – Spojrzał na Garna z wyrzutem. – Kazałem ci jej strzec! Dlaczego pozwoliłeś jej iść gdzieś samej?

– Nie pozwolił, Skylan – broniła chłopaka Aylaen. – Treia powiedziała, że jest jej słabo, więc zostałam z nią, a Garn poszedł po wodę. Wtedy Treia powiedziała, że specjalnie go odesłała, bo idzie do świątyni modlić się za Raegara. Błagałam, żeby ze mną została, ale zapewniła mnie, że nic jej nie będzie. Powiedziała, że spotka się tam z tobą. Jak miałam ją powstrzymać? Nim Garn wrócił, już jej nie było.

– Pobiegłem za nią – dodał Garn. – Znalazłem na ścieżce jej ślady i potem twoje. Ale wpadł na mnie Wulfe i krzyczał coś o smoku. Nie wierzyłem mu, ale chłopak był tak przerażony, że bałem się, iż jednak coś ci się stało, więc wróciłem tu i kazałem ludziom przygotować się do walki. Pomyślałem, że uzbrojeni bardziej ci pomożemy.

– Postąpiłeś słusznie – wymamrotał Skylan. Garn zawsze postępuje słusznie. To ja ciągle coś partolę, dorzucił w duchu. Teraz na przykład mam na głowie pięć olbrzymów i ani jednej Kapłanki Kości do zawezwania smoka. Chyba że...

Spojrzał na Aylaen.

– Czy Treia wzięła ze sobą kość ducha?

– Nie, ja ją mam... – W tym momencie Aylaen zgadła, co Skylan chce powiedzieć. – Nie umiem, Skylan! Nie prosz mnie o to!

– Ja cię o nic nie proszę – stwierdził ponuro Skylan. – Ja ci wydaję rozkaz. Treia już od wielu dni uczy cię, jak zostać Kapłanką Kości. Znasz rytuał. Musisz wezwać smoka Kahg, bo inaczej zostanie z nas krwawa papka.

– Ty nie rozumiesz... – Aylaen przełknęła ślinę.

– Rozumiem tylko jedno: jeśli nie wezwiesz smoka, wszyscy zginiemy! – wrzasnął Skylan.

– Nie krzycz na nią! – warknął ze złością Garn.

– A ty stul dziób! – ryknął na niego Skylan. – Aylaen?

– Skłamałam, Skylan! – załkała Aylaen, a oczy zaszkliły jej się od łez. – Skłamałam tobie, skłamałam Kai. Nie popłynęłam z wami, by zostać Kapłanką Kości. Popłynęłam, bo...

– Wiem, dlaczego popłynęłaś – przerwał jej Skylan głosem przepełnionym gorczą.

Miał ochotę uderzać, bić, łamać, niszczyć. Miał ochotę wyrwać się z wyrdy, który oplótł go jak pajęczyna. Miał ochotę drzeć się jak małe dziecko. Ale nie mógł zrobić nic z tych rzeczy. Był Wodzem Wodków. Jego ludzie liczyli na niego.

Podszedł do Aylaen. Ujął jej dłonie i zamknął w swoich. Opuściła głowę.

– Spójrz na mnie. Spójrz na mnie – powtórzył, bo nie reagowała.

Aylaen podniosła oczy.

– Skłamałaś Kai, Trei, mnie. Skłamałaś bogom. – Urwał. Tak bardzo chciał wyznać jej prawdę, powiedzieć, że i on kłamał, że opowiadał wszystkim same kłamstwa. Ale nie odważył się. Był Wodzem Wojennym Torgunów. Był ich przywódcą. Jego ludzie muszą mu ufać, bo inaczej już po nich. – Być może bogowie dają ci właśnie szansę na odkupienie tych kłamstw, Aylaen. Sprawiają, że twoje kłamstwa stają się prawdą. – Skylan zrobił głęboki wdech. – Treia szkolila cię od tak dawna. Znasz ten rytuał...

– Nie! Nie znam go! – Aylaen łkała. – Widziałam go tylko raz, całe miesiące temu, gdy zaatakowały ogry! Próbowала mi go tłumaczyć, gdy byliśmy na okręcie, ale nie słuchałam jej. Wydawało mi się, że nie muszę... Smok nigdy się ze mną nie komunikował...

– Aylaen, spróbuj – nalegał Skylan. – Proszę tylko, żebyś spróbowała. Pomódl się do Torwała. Poproś go o pomoc.

– Dlaczego miałby mi pomóc, skoro skłamałam nawet jemu? – spytała z rozpaczą.

– Bo wyrd bogów spleciony jest z naszym – powiedział cicho Garn. – Bo nawet bogowie się boją.

Czy to prawda? – pomyślał Skylan. Nie był pewien, czy ta myśl go przeraża, czy raczej jakoś go pociesza. Chciał spytać Garna, co ma na myśli. Chciał porozmawiać wreszcie z przyjacielem spokojnie. Zaraz po bitwie wszystko mu opowiem, postanowił nagle. Poproszę o przebaczenie. Nic dziwnego, że Aylaen go kocha. Ma rację, kocha go tak, jak i ja go Kocham. Garn zasługuje na naszą miłość. Ja natomiast jestem oszustem i kłamcą i na nic nie zasługuję.

– Spróbuję – wyszeptała Aylaen. – Pomodlę się do Torwała o wybaczenie.

– A ja będę się modlił, by Torwał wybaczył choć jednemu z nas – powiedział Skylan cicho, żeby nikt nie usłyszał.

Aylaen wyciągnęła małą, wyszywaną skórzaną torebkę, w której przechowywano kość poza okrętem. Upadła na kolana na piasek i zaczęła odmawiać rytualne słowa. Mówiła powoli i niepewnie, co chwilę się poprawiała i zaczynała od nowa. W końcu załamała się.

– Nie dam rady! – zacisnęła dłonie na kości z rozpaczą.

– Nie spiesz się – poradził jej Garn.

Ziemia zatrzęsała się, jakby z nieba spadł grzmot i potoczył się po wyspie. Albo jakby uderzyły o siebie wielkie kamienie.

– Wolałbym, żebyś jednak trochę się pospieszyła – zauważył Skylan.

Aylaen przygryzła wargę i znów zaczęła recytację. Skylan patrzył chwilę na Aylaen, a potem spojrzął na Garna.

– Zostań z nią.

Garn skinął głową. Skylan odwrócił się do swoich ludzi, którzy pod przywództwem Sigurda ustawiali się już w ścianę tarcz. Obrzucił ich wściekłym spojrzaniem.

– Oszaleliście czy co? Jak się tak ustawicie, olbrzymy zgniotą was jednym uderzeniem! Musimy się rozdzielić! Tej bitwy nie wygramy mieczami i tarczami. Łapcie za tyle włócznie, ile jesteście w stanie udźwignąć. Nawet jeśli nie umiecie celnie rzucać. Tym razem mamy tak dużego przeciwnika, że nawet ty, Alfric, trafisz bez pudła.

Alfric Jednooki zaśmiał się wesoło. Ostatnio podczas jednego z turniejów tak świetnie rzucił w cel, że zranił jednego z sędziów.

– Skryjcie się wśród sosen – ciągnął Skylan. – Tylko bądźcie w zasięgu głosu.

– W co celujemy? – spytał przerażony Erdmun. – W oczy?

– W jaja.

Erdmun zaśmiał się nerwowo.

– Ja nie żartuję – powiedział posępnym tonem Skylan.

Ludzie rozbiegli się, złapawszy włócznie, które udało im się uratować ze smoczego okrętu. Skylan uświadomił sobie nagle, że brakuje nie tylko Trei.

– Gdzie Wulfe? – spytał Garna. – Mówiłeś, że go widziałeś.

– Uciekł, nim zdołałem go złapać – westchnął Garn. – Miałem wrażenie, że bał się mnie bardziej niż smoka.

Brzydale uzbrojeni po zęby, śmierdzący żelazem. Miecze i topory.

Skylan zawołał Wulfe'a, ale chłopiec się nie pojawił, więc się poddał. Ziemia trzęsała się już niemal cały czas. Ludzie krzyknęli mu zza sosen, że już widzą olbrzymy.

Skylan wziął cztery włócznie – po dwie w każdą dłoń. Wrócił do klęczącej na ziemi Aylaen. Zaciskała dłonie na kości ducha, rozpaczliwie kręcąc nią to w tę stronę, to w drugą.

Skylan rzucił włócznie na ziemię między siebie i Garna.

– Ty i ja będziemy strzec Aylaen.

Bogowie się boją.

Ich wyrd spleciony jest z naszym.

Bogowie myśleli zawsze, że są wszechmocni i wszechwiedzący. Wierzyli, że są nieśmiertelni.

Nic jednak nie jest wieczne. Nawet bogowie.

Tworzenie niszczy. Niszczenie tworzy.

Ogień spala sosnę, ale ciepło płomieni sprawia, że szyszki otwierają się, wypadają z nich nasiona nowego życia i rosną w ciepłej ziemi, zapuszczają korzenie, stają się sosnami, które spala ogień...

Kurczowo zaciskając w dłoniach kość ducha, Aylaen trzymała wyrdy ich wszystkich: bogów, ludzi i smoków. Nici ich losu splecione były ze sobą, a tkanina zawsze jest znacznie mocniejsza niż pojedyncza nić. Nić tak mocna jak nić Torwała. Jego nić tak wąła jak jej.

– Gra w smocze kości! – wyszeptała Aylaen.

– Co z nią? – Skylan odwrócił się od wroga i spojrzał na nią z niezwykłą u niego uwagą.

– Co znowu ze smoczymi kośćmi?

Aylaen popatrzyła na niego zdziwiona tonem jego głosu.

– Przypomniałam sobie, co powiedziała mi kiedyś Treia! Rytuał wezwania smoka oparty jest na grze w smocze kości! Dzięki temu łatwiej go zapamiętać.

Ziemia zadrżała i zatrzęsała się. Ludzie czmychnęli, kryjąc się gdzie popadnie.

– Gra w smocze kości – powtórzył Skylan. Jego błękitne oczy zabłyśły dziwnie, radośnie.

– Rytuał... Może...

– Co? – spytała zdezorientowana Aylaen.

Pokręcił głową energicznie.

– Nic takiego. Dawaj tego smoka – uciął krótko.

Aylaen nie знаła rytuału, ale znała grę w smocze kości. Często wygrywała w pięknym stylu. Gdy przegrywała, to spektakularnie, a jej pionki zostawały zmiecione z planszy. Nie była aż tak zuchwała jak Skylan, ale umiała ryzykować i nie bała się odważnych posunięć.

Aylaen rzuciła kość na piasek i zamknęła oczy, żeby nie widzieć olbrzymów i nie tracić koncentracji. Skylan i Garn, ci dwaj, których kochała najbardziej, byli tuż przy niej, chronili ją i strzegli.

A bogowie są z nami wszystkimi. Nasze wyrdy są ze sobą splecione...

Rozdział 11

Treia czuła, że ziemia się trzęsie, ale nic jej to nie obchodziło. Gdyby się obróciła, nawet jej słabe oczy dojrzałyby olbrzymy idące ze źle wróżącym uporem w stronę plaży. Ale się nie obróciła. Nie patrzyła też przed siebie. Po co miałyby patrzeć? Wszystko było i tak rozmazane. Patrzyła pod nogi, na ziemię, po której szła, a i to było rozmazane przez wielkie łzy.

Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Uciekła z obozu, bo musiała uciec – od siostry, której zawsze tak zazdrościła; od Skylana, którego wprost nie mogła już znieść. Musiała uciec przed współczującymi spojrzeniami pozostałych Torgunów litujących się nad starą panną, która właśnie straciła szansę na małżeństwo.

Raegar przepadł, zatonął, umarł. Ten jedyny, którego kochała. Ten jedyny, który ją kochał, a w każdym razie który być może kiedyś by ją pokochał.

Rozpacz Trei rozdzierała jej serce z taką mocą, że nie była w stanie znieść bólu. Nie mogła znieść słów pocieszenia siostry ani triumfalnych spojrzeń Skylana.

Litują się nad starą panną. Litują się nad Kapłanką Kości tego zbiedniałego klanu, Kapłanką Kości, która całe dni spędza w samotności albo nacinając czyraki na dupach.

Raegar dał jej nie tylko miłość, ale i nadzieję – nadzieję na lepsze życie. Podsycił ogień jej ambicji. Sprawiał, że zaczynała się zastanawiać nad planami, o których nigdy nie odważyłaby się nawet marzyć. A teraz Raegar nie żyje, a jej marzenia utonęły wraz z nim.

Dopiero wtedy podniosła głowę i rozejrzała się. Zobaczyła świątynię Vektii, która z tej odległości była dla niej tylko wielką plamą koloru drewna, i uznała, że równie dobrze może iść do świątyni, więc szła dalej.

A miała być Kapłanką Kai. Raegar miał być Wodzem Wodzów.

– Znam sekret Skylana – powiedział jej Raegar jakiś czas temu. – Gdyby Vindrasi znali ten sekret, natychmiast zażądałoby jego śmierci.

Lecz gdy Treia chciała poznać tę tajemnicę, Raegar odmówił.

– Nie czas jeszcze. Muszę poczekać, aż złupimy ogry, aż Skylan odzyska Torques Vektyjski.

Raegar przywiązywał wielką wagę do odzyskania torquesu.

– Mimo wszystkich swoich wad – mówił – Skylan jest jednak odważnym wojownikiem. Ludzie go lubią i podziwiają. Pójdą za nim w ogień. Niech poprowadzi nas do zwycięstwa. Niech myśli, że zyskał przychylność bogów, że jest na szczycie. Upadek z tak wysoka będzie bolał bardziej.

Treia zgodziła się z nim. Zresztą zgodziłaby się z nim, cokolwiek by powiedział. No, może z kilkoma wyjątkami. Nie zgodziła się zostać jego kochanką, choć próbował ją do tego przekonać.

Pragnęła go. Nocami śniła o jego dotyku i pocałunkach. Ale w jasnym świetle dnia przypominał jej się Horg, zadzierający jej spódnice, wciskający w nią te grube paluchy, sapiący i pocący się jak wieprz. Przypomniawszy jej się cały ten wstyd, gdy przyłapała ich Draya, i pożądanie zmieniało się w odrazę. Nie zniesie, by jakikolwiek mężczyzna ją dotknął, nawet Raegar.

A teraz nie dotknie jej już nikt. Oczy znów zaszyły jej łzami, potknęła się i przewróciła. Nie miała po co wstawać, więc leżała na ziemi przed świątynią, łkając konwulsyjnie, bardziej z wściekłości niż z rozpacz. Była wściekła na bogów za to, że dali jej nadzieję, a potem odebrali. Gdy była już tak zmęczona, że nie miała nawet sił płakać, wstała z trudem i powlokła się w stronę świątyni Vektii.

Nie wiedziała, po co tam właściwie idzie, bo nie wierzyła, by Vindrash zdołała jej pomóc. Bywały chwile, że Treia w ogóle nie wierzyła w Vindrash.

Kamienna ścieżka się skończyła. Treia stała tak otepiała przez jakiś czas, a potem uniosła wzrok. Przed nią słaniała się plama, która była świątynią. Treia patrzyła tępo na schody prowadzące do głównego wejścia i nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zaczęła wchodzić po nich powoli.

Była już kiedyś w świątyni. Gdy Draya wypływała na swoje coroczne pielgrzymki, brała ze sobą kilka Kapłanek Kości i akolitek. Pewnego razu wybrała też Treię. Dziewczyna miała wtedy szesnaście lat. Była przejęta i zachwycona wizją przygody.

Niestety, podróż okazała się męcząca i nudna. Treia utknęła w kajucie i musiała się zajmować Drayą, która pochorowała się, gdy tylko odbili od brzegu, a gdy czuła się choć trochę lepiej, bez końca modliła się z pozostałymi Kapłankami Kości. Kiedy kobiety się nie modliły, spędzały czas na dyskusji o tym, o co będą się modlić następnym razem.

Treia nie mogła się już doczekać chwili, gdy zobaczy świątynię, o której tyle słyszała. Gdy ją wreszcie ujrzała, była pod wrażeniem pięknej budowli z misternie zdobionymi drewnianymi rzeźbami smoków na zewnętrznych ścianach i olbrzymim posągami Vindrash i smoków, które jej służyły. Jednak długie godziny spędzone na kolanach sprawiły, że znienawidziła świątynię, posąg, a nawet smoki. Była szczęśliwa, gdy wreszcie ruszyły w powrotną drogę, mimo że to oznaczało, iż znów musi się zająć chorą Drayą.

Treia przypominała sobie teraz, że w świątyni będą pewnie duchy smoków, które stoją na straży tego świętego miejsca, i przez chwilę pragnęła uciec, bo za nic nie chciało jej się

stawiać im czoła. Lecz była już zbyt zmęczona, by gdziekolwiek iść, a zresztą nie miała dokąd pójść.

– Jeśli jakiś smok powie choć słowo, ślepia mu wydrapię – mruknęła do siebie.

Wielkie drzwi ozdobione wizerunkiem Vindrash i Drzewa Świata były zwykle zamknięte. Treia będzie musiała poprosić smoki o ich otworenie. Już miała to zrobić, gdy zauważyła, że drzwi są lekko uchylone.

To było dziwne, ale Treia uznała to za dobry znak. Może uda jej się wślizgnąć niepostrzeżenie i może choć przez chwilę smoki nie będą jej nagabywać.

Wraz z Treią do świątyni wtargnęła bogini słońca, rzucając pas światła na drewnianą podłogę. Światło podeszło pod pomnik Vindrash jak fala i tam zatrzymało się, jakby się bało, pozostawiając boginię w ciemności.

Na pierwszy rzut oka świątynia wyglądała na pustą. Najwyraźniej smoków wcale tu nie było. Treię ogarnął niepokój. Jej słaby wzrok i tańczące po podłodze światło sprawiały, że nie widziała za wiele, ale czuła, że coś jest nie w porządku.

– Hop! Hop! – krzyknęła ostro. – Jest tu kto?

Ku swojemu zdumieniu usłyszała czyjś jęk.

Dźwięk dobiegał zza pomnika Vindrash. Treia podeszła powoli i ostrożnie po ścieżce z promieni słonecznych. I dopiero wtedy zobaczyła, dlaczego Aylis, bogini słońca, nie odważyła się iść dalej. Pradawny posąg Vindrash – który został podobno wyrzeźbiony z samego Drzewa Świata – leżał na ziemi. Posąg ten był wyjątkowy, ponieważ nie przedstawiał bogini gotowej do ataku tak jak wszystkie inne rzeźby: z rozłożonymi skrzydłami i wystawionymi pazurami. Ten posąg ukazywał Vindrash odpoczywającą, leżącą na brzuchu, z jednym okiem otwartym, a drugim zamkniętym, by pokazać, że bogini czuwa nad swym ludem nawet podczas snu.

Tyle tylko że to czuwanie nie na wiele się zdało. Głowa leżała osobno, a tułów porąbany był w drobne kawałki.

Znów rozległ się jęk, tym razem głośniejszy. Treia zmrużyła oczy i zobaczyła, że przy roztrzaskanym posągu coś leży. Nie była strachliwa. W jej żyłach płynęła krew vindrasyjskich wojowników. Jej słaby wzrok padł na zdobioną klejnotami urnę, więc chwyciła ją i trzymając jak maczugę, podeszła bliżej. Na ziemi, plecami do niej, leżał jakiś człowiek.

– Ani się rusz! – wrzasnęła groźnie Treia. – Bo ci roztrzaskam łeb!

Jęczenie ustało, a człowiek obrócił się w jej stronę i popatrzył na nią zdumiony.

– Treiu? To ty?

Urna wypadła jej z rąk. Zakryła sobie usta dłońmi i osunęła się na podłogę.

Mężczyzna usiadł i wyciągnął do niej dłonie.

– To ja, Treiu. To ja, Raegar!

Rzuciła mu się w ramiona, całując go, płacząc i bełkocząc nieskładnie. Przytulił ją i zaczął uspokajać, głaszcząc włosy i całując, z początku delikatnie, potem coraz namiętniej.

– Treiu! – Raegar znów jęknął, lecz tym razem z pożądania. – Jesteś moja! Musisz być moja! Bogowie uratowali mnie od śmierci, byśmy mogli być razem!

Treia nie pytała o nic. Wszystko jej było jedno, jak i po co znalazł się w świątyni Vektii.

Nie posiadając się z radości, że go odzyskała, przylgnęła do niego, całując go mocno. Jego dłonie powędrowały w górę po jej spódnicy, podciągnęły ją. Przesunął się nad nią i zaczął gorączkowo odpinać spodnie, a ona rozchyliła przed nim uda. Był z początku delikatny, przejęty jej dziewictwem, lecz ona zaczęła go ponaglać, więc wbił się w nią mocno i dziko. Zapamiętała się w bólu i wydała tylko cichy jęk rozkoszy, gdy wysunął się z niej i opadł bezwładnie na jej ciele.

Uśmiechnęła się do niego szczęśliwa. Dopiero wtedy Raegar uświadomił sobie, co zrobił. Usiadł raptownie i zaczął pospiesznie zawiązywać spodnie.

– Treiu, przepraszam cię. Nie chciałem. Tak się ucieszyłem, że cię widzę, że...

Ukrył twarz w dłoniach, by nie widziała jego łez. Treia przytuliła go mocno. Przylgnęli do siebie ufnie.

– Byłam pewna, że utonąłeś – szepnęła.

Raegar otarł łzy wierzchem dłoni. Przejechał rękawem po nosie. Jego zaczerwienione od płaczu oczy rozwarły się szeroko z przerażenia i zdumienia.

– Utonąłem, Treiu – powiedział i aż się wzdrygnął na to wspomnienie. – Nie byłem już w stanie dłużej wstrzymać oddechu. Otworzyłem usta i zalała mnie woda... i nagle znalazłem się tutaj, w tej wspaniałej świątyni. – Rozejrzał się wokół, a potem znów spojrzał na nią. – I ty, ty jesteś przy mnie, kochana moja, moja najdroższa. To cud!

– Vindrash cię tu przyniosła – powiedziała Treia. – Przyniosła cię tu i oddała mi.

Raegar popatrzył na nią dziwnie.

– Nie, najdroższa. Myślę, że to nie była Vindrash.

Treia roześmiała się cicho.

– Oczywiście, że to ona. Któż inny miałby cię przynieść do jej świątyni?

Raegar popatrzył na nią z uwagą.

– Śmierć była moją karą, Treiu – szepnął z powagą.

– Karą za co? Nie rozumiem. – Głos Trei stał się surowy. Odsunęła się od niego, nagle czujna i podejrzliwa. – Co masz na myśli?

Raegar ujął jej dłonie i trzymał je w swoich, by ją pocieszyć.

– To nie Vindrash mnie uratowała. – Spojrzał wymownie w stronę roztrzaskanego posągu. – Vindrash nie ma nawet dość sił, by uratować samą siebie. Wiesz o tym, Treiu. W głębi serca ty już wiesz.

Treia zlustrowała go chłodnym, sceptycznym wzrokiem. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

Raegar otworzył jej dłonie i ucałował je.

– Ukarano mnie za ukrywanie podłego sekretu Skylana. Za to, że nie ukazałem prawdy, choć ją znałem. Mieliśmy zamiar poczekać z tym, ale muszę oczyścić mą duszę.

Treia uśmiechnęła się i rozluźniła w jego ramionach. Wtuliwszy się w niego, spłotła swoje nogi z jego i poczuła, że jego męskość twardnieje pod wpływem jej ciała.

– Powiedz mi wszystko – powiedziała z rozpieszczającą radością. – Powiedz mi wszystko, co wiesz o Skylenie.

Raegar przyciągnął ją jeszcze bliżej i splelił się w uścisku u stóp Vindrash, a potem, kochając się z nią, powiedział Trei słowo w słowo to, co chciała usłyszeć.

Choć Raegar o tym nie wiedział, opowiadał swoją historię także Wulfe'owi.

Przerażony na śmierć przez smoka i olbrzymy Wulfe skoczył na czworaki i uciekł ile sił w nogach. Miał wyrzuty sumienia, że zostawił Skylana samego z wrogiem, ale nie aż takie, żeby zostać.

– Bogowie nie znoszą leśnego ludku – powtarzała mu zawsze matka. – Wciąż szukają sposobu, by nam zaszkodzić. Nigdy im nie ufaj.

Toteż na widok rozgniewanej bogini Wulfe wziął nogi za pas.

Niestety zaraz potem spotkało go coś jeszcze gorszego. Uciekając od Smoczycy, wpadł na groźnych Brzydali. I nieważne, że w zasadzie ich znał, bo byli to przyjaciele Skylana, a Garn próbował do niego łagodnie przemówić i go uspokoić – paskudny smród żelaza był nie do zniesienia. Ci Brzydale pachnieli śmiercią. Wulfe znalazł się między bogami a żelazem, więc musiał uciec od obydwu tych zagrożeń.

W końcu zmęczył się i zwolnił nieco. Ręce porozcinał sobie i poranił; bolały go nogi. Sapał straszliwie i wywalił język. Chciało mu się pić. Czuł się opuszczony przez wszystkich. Nie wiedział, gdzie jest. A w dodatku ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Nie miał pojęcia, jak znaleźć drogę do Skylana. Był przerażony i wtedy właśnie trafił na Treię.

Nie ufał jej, ale czuł, że lepsza Treia niż żadna zemsty bogini. Nie miała przy sobie żadnego żelaza i będzie w stanie zaprowadzić go do Skylana. Postanowił jednak nie pokazywać jej się, bo zachowywała się dziwnie: gadała sama do siebie, załamywała ręce, jęczała i łapała się za głowę. Szedł za nią w bezpiecznej odległości.

Zaprowadziła go w ten sposób do wielkiego budynku, który wydał się chłopcu niezwykle piękny. Zobaczył, że kapłanka wchodzi do środka. Usiadł więc i czekał, aż wróci. Gdy usłyszał jej nagły krzyk, zaczął się zastanawiać, czy coś się stało, i w końcu wszedł do środka. Wślizgnął się przez uchylone drzwi i zobaczył Treię oraz – ku swemu zdumieniu – Raegara.

Z początku wpadł w popłoch, bo myślał, że to kolejny draugr, ale potem stwierdził, że przecież Treia nigdy by nie kopulowała z trupem. Im bardziej tak na nich patrzył, tym bardziej się przekonywał, że Raegar na pewno jest zupełnie żywy.

Wulfe nie lubił Raegara ani trochę bardziej niż Trei. Nieraz już ich podsłuchiwał i wiedział dobrze, że nienawidzą Skylana, więc w zamian chłopiec także szczerze ich nienawidził.

Teraz usadowił się za jedną z licznych drewnianych kolumn, które podtrzymywały sklepienie, i bez większego zainteresowania śledził amory tych dwojga. Znudził się szybko, więc zaczął się rozglądać wokół. Zobaczył plamy krwi. Zadrżał na samą myśl o zbrodni, do jakiej musiało tu dojść, a potem zobaczył coś, czego Treia nie zauważyła: mokre ślady butów odbite wyraźnie na pokrytej pyłem posadzce świątyni.

Były to bardzo świeże ślady. Wulfe dotknął jednego z nich. Był jeszcze mokry. Woda z butów zmieniła pył z posadzki w błoto, więc widać było dokładne obrysy podeszwy. Były to bardzo duże stopy. Tak duże jak stopy Raegara. I te buty chodziły po posadzce świątyni w tę i z powrotem, jakby na coś czekały z niecierpliwością.

Były też inne ślady, suche. Te wyraźnie należały do dwóch różnych par butów. Jedna para była trochę większa, druga trochę mniejsza, ale żadna z nich nie była tak duża jak Raegara. Dwie pary Suchych Butów weszły i wyszły. Nie chodziły po świątyni. Ale – zgadywał dalej Wulfe – raz Suche Buty spotkały się twarzą w twarz z Mokrymi Butami.

Wulfe słyszał, jak Raegar opowiada Trei, że znalazł się w świątyni za sprawą cudu. Tymczasem prawda była taka, że wszedł do świątyni we własnych, mokrych butach. A gdy już tu był, spotkał się z tymi suchymi butami. Co w tym takiego cudownego? Po co więc zmyślił tę historyjkę? I po co udawać, że utonął, skoro wcale nie utonął? I do kogo należały te suche buty?

Treia i Raegar w końcu skończyli się kochać i Wulfe był im bardzo za to wdzięczny. Znow zaczęli rozmawiać i Wulfe nastawił uszu ciekaw, czy usłyszy odpowiedzi na swoje pytania, ale oni tylko spiskowali znow przeciwko Skylanowi. Czyli wszystko było tak jak zwykle.

Gadali tak i gadali, a potem zaczęli jeszcze raz kopulować. Wulfe przewrócił oczyma. Nawet nimfy i satyrowie nie byli tacy nienasytzeni. Ziewnął i podrapał się. Chciało mu się pić, z głodu bolał go brzuch i martwił się o Skylana.

Upewniwszy się, że Treia i Raegar zajmują się sobą, wymknął się ze świątyni w poszukiwaniu wody oraz Skylana. Może przyjaciel będzie umiał mu wytłumaczyć dziwne zachowanie Raegara.

Rozdział 12

Aylaen trzymała w dłoniach kość ducha smoka Kahg. Wzrok miała utkwiony w kości i ze wszystkich sił koncentrowała się na rytuale, starając się przypomnieć sobie grę w smocze kości i nie myśleć o strachu, który wstrząsał jej ciałem. Nabrała garść piasku i posypała nim kość. W grze pierwszy ruch należy do bogów.

– Vindrash, wysłuchaj mych modłów – szepnęła Aylaen.

Drugi ruch robią śmiertelnicy.

– Powiedz smokowi Kahg, że go potrzebujemy – mówiła dalej.

Los decydował o trzecim ruchu. Bogowie i śmiertelnicy spętani swym wyrdem związani są nim ze sobą nawzajem.

Aylaen wyrysowała na piasku runę symbolizującą wyrda. Pamiętała ją, bo była na jednym z pionków. Ten pionek był bardzo ważny w grze. Poruszał się losowo i mógł pokrzyżować strategię zarówno ludziom, jak i bogom.

Aylaen położyła kość na runie i nabrała więcej piasku. Wysypała go na kość.

No dobrze. Wszystkie te czynności na pewno należały do rytuału. Ale co trzeba zrobić potem? W grze pionki szły teraz po krętych ścieżkach od narodzin do śmierci, przez zwycięstwo, utratę, podróż, status, małżeństwo, dom, dzieci, przecinanie ścieżek, spotkanie, rozstanie, ponowne spotkanie, rozstanie na zawsze.

– Rytuał zawsze się zmienia – wyjaśniała jej kiedyś Treia. – Jego przebieg zależy od mojego wyrdu, wyrdu bogów i wyrdu smoka, zależy od tego, kim jesteśmy, kim byliśmy, skąd przybywamy i dokąd dążymy.

Trzeba też było jakoś poruszyć kością, pokręcić nią, pchnąć, zabrać, przytrzymać i rzucić.

– Ta część jest niezwykle skomplikowana – powiedziała wtedy Treia. – Nauczenie się jej zajmuje całe lata.

– Vindrash! Nie mam tyle czasu! – jęknęła z rozpaczą Aylaen. – Mam tylko tę chwilę i ludzi, których kocham. Oni na mnie liczą, a ja ci skłamałam. Przepraszam. Wybacz mi, Vindrash!

Wysypała jeszcze trochę piasku na kość ducha.

– Kocham Garna, tak jak ty kochasz Torvala, Vindrash! Błagam cię o błogosławieństwo, choć na nie nie zasłużyłam. Błagam, ześlij nam smoka, by walczył dziś przy naszym boku!

Chwyliła kość i ze wszystkich sił, z całego serca, serca pełnego miłości, rozpacz i strachu, cisnęła nią wysoko w powietrze. Kość ducha poleciała wysoko, a potem kręcąc się, zaczęła spadać. Zobaczywszy to, Aylaen pojęła, że się nie udało. Zawiodła wszystkich.

Kość kręciła się i kręciła, coraz szybciej i szybciej. Z początku była to jedna kość, potem dwanaście, a potem setki.

Smok Kahg przyjął swą cielesną powłokę z szybkością błyskawicy. Ukształtowany z piasku był białawy, a łuski miał twarde jak skały, które przed tysiącami lat stały dumne i silne, nim żywiły zmieliły je na drobne ziarna.

Smok Kahg zmaterializował się tuż przed nosem pięciu olbrzymów, które zawały się na jego widok. Popatrzyły na niego groźnie. Kamienie zawirowały w ich rękach.

Aylaen podziękowała bogini pospieszną modlitwą. Nie miała jednak czasu, by nacieszyć się swoim osiągnięciem lub nadzieić temu, że ona, która skłamała wszystkim, zdołała wezwać smoka.

– Dobra robota – pochwalił ją Skylan, rzucając jej włócznię. – A teraz walcz.

Smok Kahg nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Najpierw nie posiadał się ze szczęścia, że wreszcie odnalazła się jego bogini, Vindrash. Wyjaśniła mu, że bojąc się o własne życie, musiała upozorować przed wrogami swoją śmierć. Nawet czczące ją smoki nie mogły poznać prawdy. Poprosiła Kahg o zachowanie tajemnicy, a on poczuł się dumny, że tak go wyróżniła.

Był jej posłuszny. Zawiózł Skylana z Apensji do Ludy. Z pewnym rozbawieniem patrzył, jak Vindrash przybiera postać draugry i straszy Skylana jako trup jego żony, Draï. Smok wiedział dobrze, dlaczego z mora gra ze Skylanem w smocze kości. Wiedział, że smocze kości to nie zabawa, a gra na śmierć i życie. Rozumiał też problem bogini i współczuł jej bardzo, bo wiązał jej ręce edykt Torwała. Odkąd Hevis próbował użyć Pięciu w rozgrywkach z innymi bogami, Torwał zabronił bogom rozmawiać ze śmiertelnikami o smoczycy kościach. I dlatego właśnie Vindrash musiała znaleźć jakiś sposób, by powiedzieć Skylanowi o Pięciu, nie ukazując mu się i nie mówiąc o nich wprost.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem, lecz potem nastąpiła katastrofa.

Vindrash wyczuła narastający gniew bogini Akarii i ostrzegła smoka, by nie wypływał na morze. Ten postrzelony Skylan nie zwracał jednak uwagi na ostrzeżenia i choć smok mógł po prostu wbrew jego woli zostać przy bezpiecznym brzegu, Vindrash zdenerwowała się i postanowiła dać młodzikowi nauczkę. Nakazała im wyjść w morze.

Podczas sztormu stracił kontakt z pozostałymi dwoma smokami, co było bardzo niepokojące, ponieważ generalnie smoki komunikują się myślowo. Tymczasem Kahg nie mógł w ogóle wyczuć ich obecności i Vindrash twierdziła, że też nie wie, co się z nimi dzieje. Smoki są istotami śmiertelnymi i niewykłuczone, że zginęły, choć Vindrash twierdziła, że tak się nie stało. Kahg miał przecucie, że bogini wie dobrze, gdzie są smoki i ich okręty, ale z jakichś względów to przed nim ukrywa.

Gdy bogini morza wreszcie omdlała z wyczerpania, smok Kahg odkrył, że wiatr jej wściekłości zniósł ich w pobliże Smoczycich Wysp. Vindrash nakazała mu zawieźć na wpół zagłodzonych Torgunów do – jak mu się wydawało – bezpiecznej przystani. Natychmiast jednak utknęli na łasze piachu, której zupełnie się tu nie spodziewał. A teraz na własne oczy widział, że Torgunów atakują olbrzymy, które przecież miały ich strzec!

Smok Kahg nie pojmował też zupełnie, dlaczego – choć kilkakrotnie informował Vindrash o tym, że śledzi ich dziwny okręt – bogini w ogóle nie zwraca uwagi na jego ostrzeżenia. Ten statek płynął za nimi już od samej Ludy, wciąż kryjąc się tuż za linią horyzontu, tak by nikt go nie widział. Nawet gdy bogini morza nękała ich burzą, tamten okręt wciąż czaił się w bezpiecznej odległości. Wiatry boskiej furii, które przywiały *Venjekara* do brzegów Smoczycich Wysp, pchnęły ten podejrzany statek w to samo miejsce.

Smok Kahg próbował przekonać Vindrash, by zainteresowała się wreszcie tajemniczym okrętem, ale ona nie reagowała. Teraz dopiero smok pojął dlaczego.

Kołysał się już nad swą smoczą kością, czekając tylko na wezwanie, gdy usłyszał słowa Garna.

„Bogowie się boją”.

Kahg miał oczywiście świadomość, że Vindrash boi się o własne życie, ale nie rozumiał, jak bardzo się boi. Nie docenił zagrożenia. Nawet po ataku na świątynię Vektii, nawet po śmierci Desirii. Dopiero teraz smok pojął w pełni potęgę wrogów, którzy się przeciw nim zmówili. To nim wstrząsnęło.

Bogowie padali ofiarą strachu. Bogowie byli rodziną. Byli klanem nieśmiertelnych i poza tym niewiele tak naprawdę różnili się od ludzi, którzy ich czcili. Bogowie Vindrashów kłócili się i sprzeczali, kochali i pożądali. Albo pochłaniała ich pogoń za własną przyjemnością, albo spiskowali, by zepsuć przyjemność innym. Świat był dla nich jak lśniąca piłka, na którą trafili przypadkiem podczas zabawy, i od wieków bawili się nią beztrudnie, podzuczając ją tu i tam.

Teraz jednak pojawili się inni bogowie, którzy chcieli im ją zabrać.

A co gorsza, ci nowi bogowie zamierzali przy okazji zgładzić swych wrogów.

Kahg zaczął podejrzewać, że bogom rozum odjęło ze strachu. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że Torval nakazał strażnikom Smoczycich Wysp zaatakować tych samych ludzi, których mieli strzec?

I dlatego właśnie smok Kahg nie zaatakował olbrzymów. Postanowił z nimi porozmawiać.

Rozdział 13

Widząc potężnego, groźnego smoka, Skylan wydał okrzyk triumfu. Wychudłe, podobne do pajaków olbrzymy pędziły przez porośniętą rzadką trawą piach, wywijając bronią i co jakiś czas waląc kamieniami o ziemię.

Torgunowie zamarli z przerażenia na widok tych potwornych stworzeń o zapadniętych szczękach, bladych twarzach i wyłupiastych oczach. Wojownicy wzywali Torvala, by ich ratował, lecz mimo strachu w większości byli gotowi do ataku.

– Stójcie! Nie walczcie! Nie ważcie się skrzywdzić olbrzymów! – wrzasnęła nagle Aylaen. – Smok mówi, że to jakaś pomyłka. Olbrzymy stoją na straży świątyni Vektii. Kahg z nimi porozmawia...

– Porozmawia? – Skylan nie wierzył własnym uszom. – Ale one chcą nas zabić...

Jeden z olbrzymów cisnął swą dziwną broń w stronę smoka. Lina z dwoma kamieniami na końcach przecięła powietrze i zawinęła się na szyi smoka. Kamienie śmignęły i uderzyły Kahg w łeb tak mocno, że Skylan usłyszał zgrzyt łamiących się kości.

Ze zmiażdżonej szczęki smoka trysnęła krew, zalewając upiornym deszczem wojowników, którzy przed chwilą skryli się w cieniu swego smoka, a teraz uciekali spod niego w panice. Rycząc z bólu, Kahg runął w płytkie wody zatoki, mało nie zgniatając smoczego okrętu wielkim ogonem.

Miotał się coraz słabiej w wodzie, poważnie ranny, być może umierający. Czerwone od krwi fale wzburzone od jego upadku obmyły buty wojowników.

Smok nie powstrzymał ataku olbrzymów, ale przynajmniej dał wojownikom czas na otrząśnięcie się z szoku. Utrata smoka napelniła ich serca wściekłością. Nie czekali nawet na rozkazy swego wodza. Każdy chwycił włócznię i celował starannie, by trafić w jakieś czułe miejsce na tych groteskowych cielskach.

Alfric Jednooki trafił w piszczel. Włócznia wydawała się przy wielkim olbrzymie ledwie drutem do robótek ręcznych, ale skutecznie zraniła ciało potwora. Trysnęła posoka i olbrzym wrzasnął z bólu, mimo że włócznia odpadła od ciała i wylądowała na piasku. To, że ten koszmarny wróg w ogóle może krwawić, dodało ducha wojownikom i Torgunowie zaatakowali. Najpierw ciskali włóczniami, a potem – ryzykując życie – podbiegali pod same stopy olbrzymów, by odzyskać włócznie lub zadać cios toporem bądź mieczem.

Zabójcze kamienie śmigały tuż obok, świszcząc złowieszczo i trzęsąc ziemią, gdy tylko uderzyły w nią z siłą, która w jednej chwili miażdżyła ludzkie kości. Ludzie ginęli pod kamieniami tak szybko, że ledwie zdążyli krzyknąć z przerażenia, nim gładz zmieniał ich w makabryczną papkę.

Skylan chwycił włócznię. Zgodnie z własnym zaleceniem, celował w jądra olbrzyma.

Zaczął modlić się do Torwała, by dał mu pewną rękę, ale potem zwątpił. Dlaczego bóg miałby wysłuchać jego modłów? Torwał zesłał na niego karę, a zatem oczekiwał, że Skylan sam sobie z tym wszystkim poradzi. A jednak być może bóg wysłuchał go, bo jego włócznia poszybowała prosto i wbiła się w przyrodzenie olbrzyma. Potwór jęknął w panice, upuścił broń i złapał się swymi długimi palcami za krocze.

– Bliżej! Trzymajcie się bliżej wroga! – wrzasnął Skylan.

Kamienie były śmiertelną bronią, ale Skylan zauważył, że olbrzymy starają się trzymać je z dala od swoich ciał. Było to zresztą oczywiste. Bały się atakować wojowników, którzy byli zbyt blisko, bo mogłyby jednocześnie zranić same siebie.

Torgunowie popędzili w stronę olbrzymów. Bjorn i Erdmun dźgali ich w stopy i wbijali im włócznie w łydki. Sigurd rąbał toporem tył kostki, licząc na to, że przetnie olbrzymowi ścięgno. Olbrzymy wyły z bólu i skakały na swych pajęczych nogach, żeby rozdeptać wojowników. Miały ciekawą skórę i ich rany krwawiły bardzo obficie. Już po chwili Torgunowie cali pokryci byli posoką.

Skylan cisnął ostatnią włócznią i chwycił za miecz, gotowy rzucić się do walki. Wszystkie olbrzymy kuśtykały już i jęczały z bólu, ale nie wyglądało na to, by chciały się poddać. Ciskały w wojowników swymi kamieniami, które uderzały z hukiem i wstrząsały ziemią. Skylan zdążył zrobić krok do przodu, nim Garn chwycił go za ramię.

– Gdzie Aylaen?

– Tu, przy mnie! – krzyknął Skylan i odkrył, że wcale jej tam nie ma.

Aylaen walczyła odważnie i zręcznie. Wiedząc, że nie ciśnie włócznią dostatecznie mocno, podbiegła do jednego z olbrzymów i dźgnęła go włócznią w delikatne miejsce tuż pod kostką. Wyjąc z bólu, olbrzym zaczął kopać rozpaczliwie, usiłując strącić ją ze stopy. Aylaen trzymała się stopy z uporem, choć potwór wymachiwał nią na wszystkie strony jak szmacianą lalką. W końcu jednak udało się mu cisnąć nią o piasek.

Próbował rozdeptać ją swoją zakrwawioną stopą. Skylan i Garn rzucili się na niego z mieczem i toporem. Udało im się odwrócić jego uwagę. Aylaen zdołała wstać z ziemi. Była cała we krwi, choć w większości była to krew olbrzyma. Wyciągnęła miecz i już miała rzucić się w wir walki, gdy nagle zamarła i obejrzała się za siebie.

Ranny smok zniknął. Jego strzaskana czaszka, lśniące piaskowe łuski, wściekle oczy, kolczasta grzywa, silne łapy, potężny ogon i półprzezroczyste skrzydła kurczyły się i wyciekały do morza jak ziarna piasku z rozbitej klepsydry.

– Kość ducha! – jęknęła Aylaen, upuszczając miecz i biegnąc w stronę smoka.

Ranny smok może dojść do siebie, jeśli tylko wróci do swego legowiska w Królestwie Ognia, gdzie odpoczywa, a duch i ciało łączą się znów w jedno. Jako obietnicę powrotu smok zostawia po sobie kość ducha. Podczas bitwy Kapłanka Kości ma się skupić tylko i wyłącznie na smoku i nie powinna zajmować się niczym poza tym. Dlatego właśnie strzegą jej zawsze wojownicy. Jeśli smok jest ranny i musi wrócić do swego królestwa, jego fizyczna powłoka znika w zawrotnym tempie. Kapłanka Kości musi być gotowa w każdej chwili odzyskać kość ducha: zapamiętać, gdzie ona spadła, i znaleźć ją.

Smok Kahg przeniósł się właśnie do swojego królestwa, by leczyć rany. Pozostała po nim olbrzymia góra piachu. Na samym jej szczycie widać było białą kość ducha. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Aylaen rzuciła się, by za wszelką cenę ją odzyskać. Biegła pędem przez plażę, w której co krok widać było wielkie dziury wybite w piachu przez zabójcze kamienie olbrzymów.

Skylan i Garn przestali atakować i rzucili się w pogoń za Aylaen. Skylan był szybszy i przegonił Garna. Aylaen wbiegła do wody i pędziła przed nim, a za nim Garn. Wtedy Skylan usłyszał makabryczny świst. Podniósł oczy i zobaczył, że lecą na nich kamienie. Jeden celował w Aylaen, drugi – w Garna. Skylan miał w dłoniach swój Taniec Krwi. Był w stanie uratować jedno ze swoich przyjaciół. Tylko jedno.

Obejrzał się na Garna z rozpaczą. Przyjaciel zrozumiał, jak zawsze. Wskazał na Aylaen.

Skylan widział zbliżający się z zabójczą prędkością głaz. Ma jedną jedyną szansę. Wyczekał moment na zadanie ciosu. Lina była tak gruba jak pień drzewa, a on musiał ją przeciąć jednym szybkim uderzeniem miecza. Zamachnął się ze wszystkich sił, wkładając w ten cios całą moc swych ramion, pleców i modlitw. Taniec Krwi przeciął linę. Skylan rzucił miecz i skoczył na Aylaen, pchając ją w wodę. Kamień śmignął nad ich głowami i z pluskiem wylądował w morzu.

Aylaen nawet nie zauważyła zagrożenia i była przerażona upadkiem. Usiadła, krztusząc się i plując morską wodą.

Skylan skoczył na równe nogi i z sercem na ramieniu obejrzał się na Garna. Przyjaciel leżał na plaży.

Nie zważając na olbrzymy, Skylan popędził w jego stronę i padł na piasek tuż przy przyjacielu. Gorączkowo szukał rany, lecz żadnej nie widział. Garn spojrział na niego. Skylan zobaczył w jego oczach cień śmierci.

– Gdzie cię boli?

– Nic mnie nie boli – powiedział zdziwiony Garn. – Nie czuję nóg. Nic nie czuję.

Skylan zobaczył krew ciekącą na piasek spod przyjaciela, i wiedział już, że jego ciało jest złamane w pół. Było jak w tamtym śnie, tylko że wtedy trzymał w ramionach umierającą Drayę, którą zabiły olbrzymy.

„Nie była się już w stanie poruszyć. Umarła w moich ramionach”.

– Nie opuszczaj mnie! – powiedział Skylan, jakby wydawał przyjacielowi rozkaz. Ujął bezwładne ciało Garna. – Potrzebuję cię!

Garn uśmiechnął się.

– Nie... nie mam wyboru...

Zakaszłał i oddychał coraz ciężiej. Nie mógł już mówić i tylko oczami zadał pytanie: Aylaen?

– Jest bezpieczna – szepnął Skylan. – Uratowałeś jej życie.

Zacisnął palce przyjaciela na toporze i trzymał je tak, by Garn stanął przed Torvalem z bronią w dłoni.

Garn oddychał coraz wolniej, aż w końcu przestał. Jego oczy wpatrywały się w słońce bez mrugnięcia.

Skylan walczył ze łzami. Garn zginął jak prawdziwy wojownik. Skylan nie może przecież teraz splamić jego honoru mazganiem się na polu bitwy. Ale łzy były silniejsze od niego i popłynęły gorące po jego policzkach.

Usłyszał za sobą jęk, od którego ścisnęło mu się serce.

– Aylaen... – odwrócił się, by ją pocieszyć.

– Zabiłeś go! – wrzasnęła Aylaen i uderzyła go z całych sił w twarz.

Zadawała cios za ciosem, aż poczuł w ustach krew.

– Zabiłeś go z zazdrości! – wyła w szale rozpaczy i wściekłości, bijąc Skylana pięściami i kopiąc zapamiętale. – Zabiłeś go!

Pochylił tylko głowę, ale nie miał śmiałości się bronić, aż w końcu Bjorn i Erdmun musieli przestać walczyć i odciągnąć ją od niego.

Wulfe zobaczył zbliżające się olbrzymy. Usłyszał krzyki, poczuł zapach krwi i żelaza. Trzymałby się z dala od pola bitwy, ale rozpoznał postaci z bajek, które opowiadała mu kiedyś matka. Nazywano je Ciało-Krętami i choć Wulfe nigdy ich jeszcze nie widział, nienawidził ich ze szczerego serca.

Olbrzymy należały do leśnego ludu, ale były zdrajcami. Leśne stworzenia nie cierpiały ich z głębi duszy, bo podczas Pierwszej Wojny Ciało-Kręty wyparły się ich i walczyły po stronie Brzydali. Leśny lud nigdy nie wybaczył im tej zdrady. Poza tym olbrzymy wciąż służyły Brzydalom jak jacyś nędzni niewolnicy.

Leśny ludek wiedział, że olbrzymy przyczyniły się do stworzenia świata. To one rozrzuciły na niebie gwiazdy i to one wrzuciły własne ciało na olbrzymie kołowrotki, a usnutą z nich nić użyły do utkania tkaniny światów. Potem leśny ludek zamieszkał utkane światy i dbał o nie troskliwie.

Lecz przyszli bogowie i Brzydale. Zobaczyli piękne światy i zapragnęli mieć je na własność. Zaczęli wychwalać świetną robotę i Ciało-Kręty puszyły się z dumy. Nie słuchały leśnego ludku, który próbował je przestrzec, wyjaśnić im, że bogowie próbują je po prostu

oszukać. Ciało-Kręty uwierzyły w boskie kłamstwa i w końcu oddały im światy. Leśny ludek był wściekły i przeklął Ciało-Kręty, sprawił, że ich ciało nigdy już nie odrosło i nie mogły tworzyć więcej światów.

Złe na leśny ludek Ciało-Kręty stanęły po stronie bogów i walczyły przeciwko leśnym stworzeniom w Pierwszej Wojnie, lecz gdy tylko pomogły ją wygrać, Brzydale i ich bogowie wyśmiali je i wygnali. Męczone przez leśny ludek Ciało-Kręty ukryły się w swych legowiskach, oplakując ciężki los, aż wreszcie zlitował się nad nimi bóg Torval. Przedstawił im swoją ofertę: potrzebował kogoś, kto stanie na straży świątyni Vektii, a w zamian daje im dom na Smoczych Wyspach, gdzie nie będzie ich męczył leśny ludek, który boi się smoków i trzyma od nich z daleka. Ciało-Kręty przystały na tę propozycję i przeniosły całe swe małe plemię na Smocze Wyspy, gdzie zaczęły czcić Torvala i być mu we wszystkim posłuszne.

Wulfe pamiętał całą tę historię tylko piąte przez dziesiąte, ale jednego był pewien: wszystkie leśne stworzenia nie znosiły Ciało-Krętów. Tym razem wewnętrzne demony chłopca nie miały żadnych problemów z przekonaniem go, że należy zaatakować.

Wulfe popędził w stronę bitwy. Niechęć do żelaza ustąpiła przed dreszczykiem emocji – oto będzie mógł się zemścić na tych paskudnych olbrzymach i jednocześnie pomóc Skylanowi.

Uczył się magii tylko u Matki Sowy, bo nikt przedtem nie wprowadzał go w jej tajniki. Druidzi tak naprawdę nie pojmowali jej zasad. Rozumieli jedynie, że to potężna moc, tym bardziej w rękach dziecka, więc starali się ją poskromić, licząc na to, że jeśli nauczą chłopca samodyscypliny, jego ludzka natura zwycięży z chaotycznymi mocami leśnej magii.

Matka Sowa natomiast nauczyła go tylko podstaw czarów. Wyjaśniła mu, że nigdy nie będzie tak potężny jak jego matka, lecz że jego moce mogą być znacznie silniejsze niż u Matki Sowy, która miała w sobie ledwie odrobinę leśnej krwi (Wulfe chętnie by się dowiedział, skąd ją ma, ale Matka Sowa nie chciała mu powiedzieć). Z początku bał się, że lekcje magii będą tak nudne jak lekcje pisania i czytania.

Ale nauka u Matki Sowy okazała się świetną zabawą. Już się cieszył na okazję do wypróbowania swych nowych umiejętności.

Wulfe popędził w stronę brzegu na czworakach. Gdy biegł, obmyślał jak najlepszy plan ataku. Najpierw chciał zebrać kilka promieni słonecznych i cisnąć nimi w olbrzymy. To by było naprawdę fajne, bo słońce wypaliłoby wielkie dziury w ich cielskach. Potem jednak przypomniał sobie, co mówiła Matka Sowa: jeśli tylko możesz, posługuj się samą przyrodą. Szczególnie jeśli znajdujesz się w pobliżu Skylana czy kogoś z jego ludu. Brzydale boją się magii tak jak druidzi. Nie rozumieją jej. Kiedy odkrywają, że posługujesz się czarami – choćbyś robił to dla ich dobra – zaczną się ciebie bać. Używaj swej magii do wezwania przyrody, by ci pomogła, a wtedy Brzydale zawsze to sobie jakoś wytłumaczą.

Gdyby Wulfe był w lesie, poprosiłby driady, żeby zaatakowały Ciało-Kręty swymi drzewami. Ale sosen było tu bardzo mało i nie na wiele by się zdały. Mógł zawołać na pomoc

oceanidy, ale bał się, że jak się naprawdę zezłoszczą, to zaleją przy okazji Skylana i pozostałych Brzydali.

Był już tak blisko, że dobrze widział jatkę. Zrobiło mu się słabo od smrodu krwi i żelaza. Zaczął się trząść i pożałował, że w ogóle zbliżał się do tego miejsca. Już chciał się obrócić na pięcie i uciec, ale widok Ciała-Krętów przywiódł mu na myśl słowa matki, jej głos, jej nienawiść. Zatęsknił za nią całym sobą. I zaczął się gorączkowo zastanawiać, jak sprawić, by była z niego dumna.

Nad jego głową kołowały zirytowane mewy. Na plaży leżało mnóstwo martwych ryb, lecz za każdym razem, gdy mewy zniżały lot, by je pochwycić, jakiś olbrzym zamachnął się kamieniem albo człowiek dźgał mieczem, więc mewy pierzchały przerażone. Wulfe zaczął śpiewać tak, jak nauczyła go Matka Sowa. Z muzyki, z dźwięków tkął sieć czaru, by rzucić ją na ptaki.

*Rozdziobcie ich ciała!
Wydłubcie im oczy!
Kradną wam ryby,
Wysysają jaja, zabijają pisklęta!
To olbrzymy, to Ciała-Kręty!*

W ostatniej chwili dodał ten wers o olbrzymach, bo pomyślał, że wściekłe ptaki mogą zacząć dziobać kogo popadnie. Mewy pisnęły dziko i natychmiast dołączyły do nich inne od strony morza, a potem, drąc się zapamiętałe, rzuciły się wydziobywać olbrzymom oczy i wrywać włosy.

Torgunowie zamarli ze zdumienia, gdy zobaczyli tych dziwnych pomocników, lecz ktoś krzyknął, że to na pewno bogini morza wysłała im swoje ptaki, i pokrzepieni świadomością boskiej pomocy wojownicy rzucili się w wir walki z podwójną siłą. Zapomniawszy o strachu, Wulfe dołączył do tego przedziwnego przedstawienia, biegając wokół, piszcząc i wymachując rękoma, bo udawał, że też jest ptakiem.

Ciało-Kręty nie były może tchórzami, ale lubiły łatwą walkę. Bitwa była zabawna, póki mogły rozgniatać Brzydali na krwawą miazgę, ale teraz były już ranne – jeden z nich tak poważnie, że mało nie upadł, co byłoby przecież straszne, bo wtedy z pewnością Brzydale rzuciliby się na niego i zadźgali go tym swoim strasznym żelazem. Całe stado rozwrzeszczanych mew przeważało szalę. Ciało-Kręty zaprzestały walki, wzięły pod ramiona swego rannego towarzysza i odeszły z pola walki, odganiając z irytacją te głupie mewy, które wciąż za nimi leciały.

Wulfe przestał śpiewać i biegać wokół. Sapiąc ciężko, pogratulował sobie w duchu zwycięstwa i postanowił, że poszuka Skylana, żeby mu o wszystkim opowiedzieć, gdy nagle ktoś złapał go za włosy.

Myślał, że to olbrzym, i zaczął wrywać się w panice. Wtedy zobaczył Raegara. Wraz z Treią stał i gapił się na niego, jakby chłopiec był wężem wijącym się po ścieżce.

– Wezwałeś te ptaki! Ty należysz do leśnego ludu! – wycedziła Treia przez zęby.

Raegar zacisnął ręce na jego włosach, aż zabolalo.

– To demon wcielony. Diabelski pomiot – syknął Raegar.

– A ty nie lepszy! – pisnął Wulfe, patrząc na Raegara spod potarganej grzywki. – Czarowałeś! Widziałem, jak czarowałeś! Widziałem to dziwne światło przy twoim domu! I wcale nie utonąłeś! W świątyni naopowiadałeś samych kłamstw...

Raegar pociągnął go brutalnie za włosy i zatkał mu usta dłonią. Chwyił chłopca w pasie i podniósł z ziemi.

– Był w świątyni Vektii. Szpiegował nas – mruknął do Trei. – Pewnie z rozkazu Skylana.

Treia patrzyła za uciekającymi olbrzymami. Obróciła się w stronę Raegara.

– Widział nas w świątyni?

– No, przynajmniej nas podsłuchiwał – powiedział Raegar. – Nie może wrócić do obozu. Ostrzeże Skylana i mój kuzyn będzie miał czas nawymyślać jakieś nowe kłamstwa.

– Co więc zrobimy z tym paskudnym bachorem? – spytała Treia, wydymając usta z obrzydzeniem.

– Ja go zabiorę.

– Ale mieliśmy iść razem do obozu – zaprotestowała Treia.

– Nie możemy pozwolić, by latał tu luzem. Ja go zabiorę, a potem... – Raegar pochylił się i szepnął coś Trei na ucho.

Treia wysłuchała go z uwagą i spytała:

– A ty gdzie wtedy będziesz?

– Będę na ciebie czekał, kochana – szepnął i trzymając pod pachą rozpaczliwie kopiącego Wulfe'a, pocałował ją. – Będę czekał, by uczynić cię moją żoną. Ja, Wódz Wodzów, będę czekał na moją piękną Kapłankę Kai.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała namiętnie. Przytuliła się do niego zachłannie, ale Raegar odepchnął ją delikatnie.

– Już czas na ciebie, kochana. Bitwa się skończyła. Zaraz zaczną cię szukać. Skyłan nie powinien mnie zobaczyć. Nie powinien nawet się domyślać, co go czeka..

Treia utkwiała w nim rozkochany wzrok, wyraźnie nie chcąc się nigdzie ruszyć.

– Wkrótce się zobaczymy...

– Tak, zobaczymy się wkrótce – obiecał.

Pocałowała go po raz ostatni i odwróciła się. Z głową schyloną i wzrokiem wbitym w ścieżkę, żeby się nie przewrócić, ruszyła w stronę plaży. Raegar skrył się w cieniu drzewa, trzymał Wulfe'a pod pachą i patrzył za nią.

Chłopiec wykorzystał jego nieuwagę i ugryzł go mocno.

– Ty bachorze cholerny! – sklął go Raegar i cisnął nim o ziemię.

Wulfe skoczył na czworaki i już uciekał, gdy Raegar kopnął go z całej siły w brzuch. Chłopiec skulił się z bólu i jęknął głucho.

– Demoński pomiot – mruknął Raegar.

Znów zamachnął się nogą. Wulfe zdążył zakryć głowę ramionami, ale nic to nie pomogło. Zobaczył nagle jasne światło, a potem zapadła zupełna ciemność.

Rozdział 14

Torgunowie zajęli się poległymi. Zginęły cztery osoby, w tym Garn i Alfric Jednooki. Cios nadszedł z tej strony, gdzie Alfric miał ślepe oko. Nawet go nie zauważył, póki nie było za późno. Straszne pozostałości dwóch innych ciał leżały na dnie zagłębienia w piachu po wielkich kamieniach. Na widok tych makabrycznych szczątków ludzkich zbitych na krwawą miazgę Sigurd, wojownik zaprawiony w tylu morderczych bitwach, padł na kolana i zwymiotował.

Postanowili pozostawić te szczątki tam, gdzie były. Zaczynał się przypływ i wkrótce woda morska zaleje dziury, litościwie zakrywając te koszmarnie pozostałości.

Wojownicy przygotowali Alfrica na jego ostatnią podróż. Jego strzaskaną czaszkę i zmasakrowane ciało przykryli tarczą i włożyli mu topór w dłoń, by Torval wiedział, że Alfric zginął w walce.

Chcieli zrobić to samo z Garnem, ale Skylan kazał im go zostawić. Zwłokami zajmie się Aylaen, tak jak przystało żonie. Tylko tyle mógł dla niej zrobić.

– Zmarli spoczęli w pokoju – rzekł pozostałym. – My natomiast żyjemy i musimy pomyśleć co dalej.

Wysłał ludzi po sosny na stosy pogrzebowe. Rozkazał kilku pójść na polowanie. Sam z małą grupą udał się na smoczy okręt. Zanim przyjdzie przypływ i zniesie go z mielizny, *Venjekar* musi być gotowy do postawienia żagli, z pełną załogą.

Ranny smok zniknął w swym królestwie, by tam wrócić do zdrowia lub umrzeć. Wojownicy sami będą musieli płynąć. Skylan i jego ludzie wciągnęli żagiel na maszt i włożyli wiosła w dulki, by gdy wreszcie woda uwolni kil, ostrożnie przeprowadzić pokierszowany statek do brzegu. Ponieważ smoki są istotami śmiertelnymi i mogą polec w bitwie, Vindrasi zawsze zabierali ze sobą w podróż żagle i wiosła, by opuszczony przez smoka okręt nie był skazany na dryfowanie po morzu. Skylan chciał przycumować przy plaży i tam przeprowadzić konieczne naprawy.

Aylaen zostawił pod opieką Trei. Kapłanka Kości wróciła do obozu tuż po bitwie. Gdy spytali ją, gdzie się podziewała, odparła, że poszła do świątyni i pogrążona w modlitwie straciła poczucie czasu. Skylan zapytał ją, czy nie widziała Wulfe'a, a ona odpowiedziała wymijająco, że powinien lepiej pilnować tego bachora, skoro sam go zabrał w podróż.

Gdyby Skylan przyjrzał jej się uważniej, zobaczyłby w jej słabych oczach triumf. Ale Skylan nie zwracał uwagi ani na nią, ani na nikogo w ogóle. Był jak wojownik, który stoi sam i przygotowuje się na atak wrogów. Wrogowie ci parli już w jego stronę, a były to cierpienie, rozpacz i wyrzuty sumienia.

Aylaen miała rację, gdy obwiniała go o śmierć Garna. Skylan nie zadał przyjacielowi żadnego ciosu, ale to on był odpowiedzialny za jego śmierć. Torval sprawił, że kłamstwa Skylana stały się prawdą, a Garn umarł.

Wojownicy byli zdumieni oskarżeniami Aylaen i próbowali ją przekonać, że się myli. Bjorn opisał jej ze szczegółami, jak olbrzym zamachnął się potężnym kamieniem i zadał Garnowi jeden cios – cios, który złamał mu plecy. Erdmun opowiedział jej o tym, jak Skylan zaryzykował życie, by ją ratować, jak wskoczył na linię lecącego kamienia i przeciął sznur swym mieczem.

– Jeśli ktokolwiek jest winny śmierci Garna, to ty sama, Aylaen – rzekł jej ojczym. – Gdybyś została w domu, tak jak przystoi kobiecie...

– ...to wszyscy bylibyśmy martwi – dokończył za niego Skylan. – Aylaen wezwała smoka. Jego interwencja dała nam czas potrzebny do przygotowania się do ataku. Niech nikt nie waży się powiedzieć słowa przeciw Aylaen.

Ona jednak nie podziękowała mu za to, że stanął w jej obronie. Nie powiedziała słowa ani do niego, ani do nikogo w ogóle. Błada i sztywna zajęła się przygotowaniami do pogrzebu Garna. Zamknęła mu oczy, obmyła ciało z krwi. Ogołiła mu twarz i splotła włosy w warkocze. Wyprała mu ubrania, by nie stanął przed Torvalem brudny jak nędzarz. Gdy skończyła, mężczyźni zbudowali stos pogrzebowy dla Alfrica i Garna i ułożyli ich ciała na szczycie. Aylaen włożyła Garnowi topór w dłoń. Gdy wszystko było już gotowe, stanęła przy stosie.

Podeszła do niej Treia.

– Rozumiem, że to ty wezwałaś smoka.

Aylaen przytaknęła, ale nawet nie odwróciła wzroku od Garna.

– Nie było cię tu...

Treia zacisnęła usta. Skrzyżowała ręce na piersi i zaczęła nerwowo bębnić palcami.

– Ale teraz jestem – syknęła. – Możesz mi już oddać kość ducha.

Aylaen pokręciła głową.

– Nie mam jej.

– To gdzie jest? – spytała przerażona Treia. – Przecież zostawiłam ją w twoich rękach! Zgubiłaś ją? Co się stało?

– Wezwałam smoka Kahg. Był ranny w bitwie, więc schował się w Królestwie Ognia. Zniknął, a jego ciało zmieniło się w górę piasku. Zobaczyłam kość ducha... – Aylaen mówiła monotonnym, bezbarwnym głosem. Na niczym już jej nie zależało. – Zobaczyłam, jak lśni na szczycie góry... Pobiełam ją odzyskać...

Umilkła. Pogłaskała Garna po policzku. Leżał na stosie taki spokojny. Jego usta ułożyły się w ostatnim, smutnym uśmiechu.

– Gdzie upadła kość? – Treia domagała się odpowiedzi. – Gdzie widziałaś ją po raz ostatni?

Ale Aylaen nie odpowiedziała. Treia zadała jej to pytanie jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu dotarło do niej, że nic z siostry nie wyciągnie. Pokręciła głową rozsierdzona. Kazała wojownikom szukać kości. Ustawili się w szeregu i weszli do wody. Każdy szedł zaledwie na odległość ramienia od sąsiada. Brnęli powoli, uważnie wpatrując się w piasek u swych stóp.

Treia zadarła spódnicę i sama weszła do wody, wpatrując się w nią usilnie, macając ręką i przeklinając swój słaby wzrok.

– Kość jest biała – powtarzała bez ustanku, jakby ludzie nie wiedzieli, jak wygląda kość ducha. – Aylaen mówi, że widziała ją z brzegu! Nie może być trudno jej znaleźć. Szukajcie wokół tej kupy piachu.

Lecz zaczął się już przyływ i zerwał wiatr, wiejąc od lądu i walcząc z napływającymi falami. Morska woda wypłukiwała coraz większe dziury w stercie piachu, który był kiedyś ciałem smoka. Piasek zasypywał stopy szukających. Gdy tylko pochylali się, żeby podnieść coś, co błysnęło na dnie, fala zalewała ich i kryła, cokolwiek zdawało im się, że znaleźli.

W końcu Treia poszła z powrotem na brzeg i trzęsła Aylaen tak długo, aż siostra trochę oprzytomniała. Potem zaprowadziła ją na skraj morza.

– Gdzie ją widziałaś?

Aylaen popatrzyła na wodę i wolno pokręciła głową.

– Już jej tam nie ma. – Wzruszyła ramionami i z goryczą dodała: – Może nigdy jej tam nie było.

Wróciła do Garna. Położyła się na stosie, oparła głowę na jego piersi i objęła go ramionami. W jej oczach płonął ogień szaleństwa. Nie było w nich łez.

Wojownicy wrócili bez kości. Drżąc w swych mokrych szatach, Treia wpatrywała się bezradnie w morze. Była coraz bledsza. Zaciśnęła usta. Czuła na sobie wzrok mężczyzn i wiedziała aż za dobrze, co myślą. Smok i Kapłanka Kości, która go wzywa, są połączeni więzią, którą niełatwo zerwać.

Smok często kryje się w swym świecie, by w świętym spokoju lizać rany, lecz zostawia wtedy kość ducha pod opieką kapłanki. Dzięki kości kapłanka jest w stanie ocenić, jak rozległe są obrażenia smoka, i może zawsze pomóc mu, zanosząc modły do Vindrash. Dlatego właśnie nawet zagubiona kość zawsze jakoś znajduje w końcu drogę do swej kapłanki, chyba że...

...smok nie chce, by ją znaleziono.

Treia musiała przyznać przed samą sobą, że smok Kahg odpowiedział na wezwanie jej siostry, która była ledwie akolitką, gdy tymczasem ją, prawdziwą Kapłankę Kości, nieraz albo

w ogóle ignorował, albo jej wprost odmawiał. A teraz kość ducha przepadła i nie chciała dać się znaleźć. Ludzie będą ją za to obwiniać.

Cienkie usta Trei drgnęły lekko.

Chyba że winą za to wszystko obarczą kogoś innego...

Rozdział 15

Venjekar zsunął się z mielizny. Skylan i jego ludzie przyplłynęli nim do brzegu, co nie było takie łatwe, jako że brakowało steru. Wojownicy wybiegli, żeby pomóc wyciągnąć okręt na plażę. Leżąc tak na boku, z odstającym złamanym sterem, *Venjekar* wyglądał żałośnie – jak zranione zwierzę, które czeka, by je uratować.

Nim skończyli go wyciągać, zapadła noc. Udało się upolować sarnę. Ludzie zjedli, rzucili się na ziemię i zasnęli.

Skylan także był wycieńczony, ale nie mógł spocząć, póki duch Garna nie rozpocznie swojej ostatniej podróży. Stanął na straży zmarłego, by w nocy nie męczyły go żadne duchy. O świcie podpalał stos, spalała ciała, uwolnił duchy Garna i Alfrica oraz pozostałych dwóch poległych. Duchy powędrują z boginią słońca. Aylis oświetli ich drogę do Komnaty Torwała.

Trei udało się wreszcie przekonać Aylaen, by zostawiła ciało ukochanego.

– Szargasz pamięć Garna, robiąc z siebie takie pośmiewisko – łajała ją. – Jego duch opuści ciało nad ranem. Czy chcesz, żeby zobaczył cię bladą i wymizerowaną?

Aylaen spojrzała na Garna, który leżał na stosie pod gwiazdami. Przy nim stał Skylan, gotowy czuwać całą noc. Aylaen przeniosła na niego wzrok. Ostrze jej nienawiści wbiło się głęboko w jego serce. Pozwoliła Trei zaprowadzić się na smoczy okręt.

Skylan padł na kolana na piasek przy stosie. Przed nim długa noc, noc gorzkiego samooskarżania. Patrzył na szarą twarz Garna, na ciemniejące usta, na kurczące się ciało i myślał o tych chwilach, gdy razem zabili dzika, gdy walczyli z ogrami, gdy skoczył w morze ratować przyjaciela, brata...

Zapłakał z rozpacz. Łkał bezgłośnie, by nie usłyszeli go jego ludzie, by nie usłyszał go duch Garna.

Gdy wyplakał wszystkie łzy, gdy nie miał już sił szlochać ani nad sobą, ani nad przyjacielem, zamilkł. Klęczał na piasku, a od morza wiał wiatr, fale biły o brzeg i moczyły go słonymi kroplami piany. Zaczął się modlić do Vindrash.

W odpowiedzi poczuł dotyk lodowatej dłoni.

Podniósł oczy i zobaczył, że stoi przed nim Draya, a nad nią i w niej ujrzął lśniące skrzydła i błyszczące łuski oraz surową twarz Smokini.

– To ty, bogini, byłaś draugrą – powiedział Skylan. – Ożywiłaś ciało mojej żony. To ty zmuszałaś mnie do gry w smocze kości.

– Tak – przytaknęła Vindrash. – A czy wiesz dlaczego?

– Wydaje mi się, że tak – zaczął powoli Skylan. – Kapłanki wymyśliły tę grę, by pomagała im zapamiętywać rytuał wezwania smoków. Kości, które wyrzuca się na początku, mają jakiś związek z Pięcioma Smokami. Ale nie rozumiem...

– To prawda. Nie rozumiesz. A przez całą tę klątwę Hevisa nie wolno mi nic ci powiedzieć. – Między kłami smoka mignął język. – Ale lubiłam z tobą grać. Choć ciebie pewnie to specjalnie nie bawiło.

Skylan uśmiechnął się posepnie.

– Wulfe mówi, że druidzi nie uznają zabijania. Powiedział, że nie zabili mojej żony. Chłopak ma rację, prawda?

– Draya poprzysięgła oddać mi swe życie i dotrzymała obietnicy. Wiedziała, że zgrzeszyła, trując Horga. Z pokorą przyjęła karę za uzurpowanie sobie prawa Torvala do osądzenia Horga. Wypiła śmierć chętnie i odeszła w pokoju. Oddała mi swoje ciało, bym miała gdzie ukryć się przed wrogami.

– Draya żałowała swych czynów i ja ich żałuję. – Skylan spojrzał odważnie w jasne, lśniące światło. – Proszę cię o wybaczenie, Vindrash. Proszę Torvala o wybaczenie.

– Wybaczymy ci. – Smoczyca westchnęła. – Ale czy ty nam wybaczasz?

– Co masz na myśli? Bogowie nie potrzebują ludzkiego przebaczenia – wyszeptał zdumiony Skylan. – Bogowie nie popełniają błędów.

Vindrash zamachała skrzydłami. Poczul na twarzy ostry, złowieszczy wiatr.

– Wezwałeś mnie nie bez powodu, Skylanie Ivorsonie – rzekła bogini. – Czego chcesz?

Skylan oparł dłonie na kolanach. Spojrzał w górę na boginię i powiedział:

– Odbierz mi życie, Przenajświętsza Vindrash. Spraw, by moje ciało spoczęło na tym stosie. Niech spalą je płomienie. Ale pozwól, by Garn żył, bo zginął z mojej winy.

Vindrash uśmiechnęła się łagodnie i pokręciła głową.

– Torval nie życzy sobie twojej śmierci, Skylanie Ivorsonie. Torval potrzebuje cię żywego. Potrzebuje miecza, który zahartowała woda i ogień. Potrzebuje miecza, którego jasne, mocne światło rozświetli niebiosy.

– Czy ja jestem tym mieczem? – spytał zdziwiony Skylan.

Vindrash roześmiała się. Wszechświat zatrząsł się od jej śmiechu. Rozkołysały się gwiazdy i ucichło wyjące morze. Bogini pochyliła swą smoczą głowę w stronę Skylana, jej kły błysnęły, jaszczurczy jezior zatańczył w paszczy. Upadł przed nią na twarz, kuląc się pokornie.

– Ty? Ty miałbyś być mieczem bogów? – ryknęła Vindrash z pogardą. – Ty jesteś najwyżej nożem do patroszenia ryb!

Skylanowi zrobiło się gorąco od tych obraźliwych słów. Spuszczając wzrok przed drwiącym wzrokiem bogini, zobaczył, że z ręki Garna wyslizgnął się topór. Ciało sztywniało. Skylan zacisnął dłoń na zimnej ręce Garna, usiłując ułożyć martwe palce tak, by trzymały trzonek topora.

Oczy Garna otworzyły się. Spojrzał na Skylana, jakby go przed czymś ostrzegając.

– Patrz na południe! – szepnął.

Skylan wypuścił jego dłoń i odskoczył przerażony. Czy oto postanowił go nawiedzać kolejny draugr?

– Patrz na południe! – powtórzył Garn.

Skylan odwrócił głowę.

Przez ciemność nocy sunęły skrzydlate węże, srebrne i lśniące, potężne jak rzeki. Ich wielkie ciała przesłoniły rozgwieżdżone niebo. Było ich siedem i przybywały z południa. Ich skóra marszczyła się jak srebrne wstążki. W ich wąskich oczach krył się ogień – ogień wymierzony w Vindrash.

Skylan przypomniał sobie, że Vindrash mówiła, iż ukrywa się przed wrogami. Oto wrogowie ją odnaleźli. Sięgnął po miecz.

– Bogini! – krzyknął i wskazał na węże.

Smokini zobaczyła wrogów. Ryknęła groźnie i zawołała po pomoc. Bogini morza nadal obrażona na pozostałych bogów odmówiła udziału w walce. Bogini słońca uciekła na drugą stronę świata. Księżyc skrył się za chmurą. Gwiazdy zniknęły. Fale cofnęły się i pozostały po nich jedynie przestraszone zmarszczki.

Vindrash stała naprzeciw swego strasznego wroga zupełnie sama.

Ta wojna nie była wojną Skylana. Mógł powiedzieć, że to nie jego sprawa. Był zresztą wściekły na bogów. Torval go napiętnował. Vindrash go wyśmiała. Akaria niemal utopiła, a Aylis osmagała swymi promieniami. Wróg bogów musiał być doprawdy straszliwy, skoro oni sami uciekali przed nim. Skylan zatem mógł spokojnie pójść ich śladem.

Nagle jednak zrobiło mu się wstyd. Wstyd mu było za tych tchórzliwych bogów i za siebie. Nie miał pojęcia, kim lub czym są te potworne węże. Wiedział tylko, że chcą zniszczyć Vindrash. A skoro atakują jego boginię, atakują jego samego.

Vindrash rozłożyła skrzydła i oderwała się od ziemi, by stawić czoło wrogom, którzy nadciągali z chmur. Nie namyślając się wiele, z głębokim przekonaniem, że nie zostanie na ziemi i nie będzie patrzeć bezradnie na tę bitwę na niebie, Skylan wskoczył na stos i chwycił się tylnej łapy smoczycy.

Bogini spojrzała na niego zdumiona. Skylan kurczowo trzymał się jej wielkiego pazura jedną ręką, a w drugiej dzierżył Taniec Krwi. Nie miała czasu nic powiedzieć, bo jej wrogowie byli już blisko. Zdawało mu się jednak, że uśmiechnęła się do niego ponuro. Potem machnęła nogą i cisnęła nim w stronę gwiazd.

Przez przerażająco długą chwilę wisiał na ciemnym niebie i patrzył na morze i brzeg pod sobą, a potem nagle spadł na piaszczystą plażę pod białym jak kreda klifem. Od razu poznał to miejsce. Był tu już kiedyś, choć nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i co to za miejsce.

Smok poleciał na spotkanie węzom, ziejąc ogniem i błyskawicami. Wystawił swe przerażające pazury. Skylan usłyszał krzyk, obrócił się i zobaczył, że z północy nadciąga Torval, rycząc z wściekłości i wywijając potężnym toporem.

Posłyszawszy Torvala, trzy węże porzuciły Vindrash i rzuciły się walczyć z bogiem. Torval jednak nie był już tym samym silnym wojownikiem, który walczył przed wiekami z Wielką Smoczycą Ilyrion. Był starcem. Był to ten sam wojownik, którego Skylan przyłapał na smażeniu ryb nad brzegiem morza. Miał siwe i długie włosy, krótki biały zarost. Twarz miał pomarszczoną i pofałdowaną, jakby kryły się na niej całe pasma górskie i głębokie doliny. Jego oczy jednak pełne były żaru, a zbroja lśniła mocniej niż promienie tchórzliwego słońca. Jego topór błyskał jaśniej niż strachliwy księżyc.

Posłał Skylanowi groźne spojrzenie.

– Czego chcesz?

– Pomyślałem, że przyda ci się pomoc w patroszeniu ryb, panie – zawołał Skylan bez lęku.

Torval odrzucił głowę w tył i ryknął głośno.

– A zatem plecy w plecy – krzyknął bóg i uśmiechnął się szeroko. – Pięta w piętę.

Skylan stanął plecami do pleców boga i zapał się piętami o jego pięty. Ogromne węże rzuciły się na nich. Wąskie jak szpary oczy błysnęły groźnie. Bezzębne szczęki poruszyły się. Ich skrzydła wydawały się za małe na tak wielkie ciała i wyrastały im tuż za głowami. I wtedy Skylan zrozumiał dlaczego, bo jeden z węży walczących z Vindrash zgiął się nagle i zamachnął zwinnie ogonem.

Na twarz Skylana chlusnęła krew bogini. Z przerażeniem patrzył, jak ogon węża przecina łuski smoczycy i wbija się w jej cielsko. Kolejny cios ogonem zranił łapę smoczycy, odciął jej pazury.

Skylan oderwał wzrok od bogini i skupił się na własnym wrogu. Trzy węże krążyły wokół dwóch wojowników, którzy trzymali już gotowe miecze i nieustannie zmieniali miejsce, by nie stracić wroga z oczu.

– Uderzają w pośpiechu – syknął Torval. – Celuj w...

Wąż rzucił się na Skylana. Wąskie oko rozszerzyło się, szczeka rozwarła, jakby miał go połknąć. Skylana zdjęła panika, lecz wtedy poczuł za sobą mocne plecy boga. Pozwolił wężowi zbliżyć się jeszcze bardziej i dopiero wtedy zamachnął się mieczem, wkładając w ten cios całą siłę ciała i duszy.

Miecz zagłębił się w szyję węża, odciął mu głowę. Trysnęła krew. Głowa potoczyła się w ciemność nocy. Skylan wydał z siebie triumfalny ryk, który w ułamku sekundy zmienił się w

jęk przerażenia. Ze zranionej szyi wyskoczyły dwie nowe głowy. Dwie paszcze rozwarły się zachłannie. Cztery szpary wbiły w niego upiorny wzrok.

– ...w serce – dokończył Torval ze złością. – Tylko tak można zabić te oślizgłe glisty.

Skylan zaczął się więc gorączkowo zastanawiać, gdzie te potwory mają serca. Chciał o to spytać, gdy zobaczył, że jeden z nich rzuca się na Torvala.

– Z lewej, panie! – krzyknął ostrzegawczo.

Torval zrobił unik, z groźnym rykiem zamachnął się toporem i uderzył węża tuż przy skrzydle, przecinając monstrum w pół. Krew zalała ich obu. Połówki węża zadrżały, zamigotały i natychmiast urosły im dwie głowy i dwa ogony. Przed nimi wiły się już dwa węże.

– A niech to – zdenerwował się bóg i splunął krwią. – Nie trafiłem. Uważaj, na prawo, szczeniaku!

Serce musi więc być gdzieś koło skrzydeł, domyślił się Skylan. Pozostawało mu mieć nadzieję, że tak właśnie jest, bo dwugłowa poczwara czaiła się w górze, by zaatakować go ponownie. Runęła w dół. Skylan czekał na nią i przygotowywał się do zadania ciosu. W ostatniej chwili, gdy rozwarta paszcza miała już pochłonąć jego głowę, schylił się i przykucnął. Wąż poleciał z rozpędu nad jego głową. Skylan zacisnął obie dłonie na rękojeści i starając się uderzyć obok małych, niezwykle szybko poruszających się skrzydeł, wbił miecz głęboko.

Krew pociekła po wyłobieniach miecza, który Skylan nazwał kiedyś Tańcem Krwi. Krew zalała mu ramiona i ręce, aż rękojeść stała się śliska i trudno ją było utrzymać. Zacisnął dłonie mocniej i dźgnął głębiej. Nadziany na głównię miecza wąż ryknął ze złości i bólu, zaczął się wic z wściekłości i przez to wbijał miecz coraz głębiej w swoje serce.

Zdechł w końcu, ale w agonii zdołał jeszcze zadać ostatni cios. Zamachnął się ogonem i zacisnął go na piersi Skylana. Mignął raz jeden, z szybkością błyskawicy, i wbił się w ciało aż do kości. Skylana przeszył ból nie do zniesienia. Jego serce zamarło z przerażenia, a potem zaczęło bić jak szalone. Taniec Krwi wyslizgnął mu się z dłoni. Stracił oddech i byłby upadł, lecz nie było gdzie. Spadał więc i spadał spiralą w dół. Widział jeszcze, że Torval nadal walczy; że Vindrash ma podcięte skrzydła i z trudem utrzymuje się w powietrzu.

– Uciekaj, moja pani! – krzyknął Torval. – Będę cię osłaniał!

Zaatakował z podwójną siłą, zadając wściekle ciosy. U jego stóp leżało już kilka martwych węży, a pozostałe cofnęły się nieco. Vindrash otuliła skrzydłami poturbowane ciało i rzuciła się głową naprzód w morze. Dwa węże puściły się za nią w pogoń i już prawie ją miały, gdy przeciwstawiła im się jednak bogini morza. Woda uniosła się wielką falą i pochłonęła Vindrash, niosąc ją w bezpieczne głębiny oceanu, w które węże najwyraźniej bały się zapuścić.

Skylan wylądował wreszcie na miękkim piasku. Zdołał jeszcze zobaczyć, że Torval miota swym toporem z furją, walcząc z węzami, które obkoczyły go wściekle.

Świat zniknął w ciemnościach i nagle był już świt. Skylan leżał twarzą w piasku przed stosem Garna. Wokół zgromadzili się wojownicy. Nad nim stała Treia i patrzyła na niego z triumfem, mściwie, jakby miała go połknąć żywcem.

– Skylanie Ivorsonie – rzekła, wskazując na niego palcem – słyszałeś postawione ci zarzuty. Słyszałeś, że oskarżyłam cię przed bogami i ludźmi o kłamstwo, oszustwo i morderstwo. To przez ciebie zginęli dobrzy ludzie, a smok Kahg opuścił nas. Co masz do powiedzenia, Skylanie Ivorsonie?

Skylan popatrzył na nią zdumiony. Walczył przy boku Torwała, lecz jednocześnie musiał być tutaj, bo pamiętał jak przez mgłę, że Treia wezwała o poranku wojowników. Pamiętał, że opowiedziała im o jego zbrodniach. O tym, jak zmówił się z Drayą, by zabić Horga i okraść Torwała z jego wyroku. Potem postanowił się pozbyć Draii ze strachu, że go wyda. Wraz z pewnym niewolnikiem zaplanował porwanie Kapłanki Kai i wywiezienie jej do Ziemi Południowych. Jego spisek pokrzyżowali mu druidzi, którzy zabili Drayę i zmienili jego wojów w zające. A gdy Bjorn spytał, skąd Treia wie o tym wszystkim, odparła, że opowiedziała jej o tym sama Vindrash.

Skylan wiedział, że to nieprawda. Vindrash wybaczyła mu. Treia kłamała. Uśmiechnął się z goryczą. Zostanie ukarany za pomocą kłamstwa. Co za ironia losu.

Być może cała ta walka tylko mu się śniła. Spojrzał w dół i zobaczył ogniście czerwony obrzęk na swej nagiej piersi.

Bitwa z bogami nie była snem. Ten koszmar był jego życiem.

– Jak odpowiesz na moje zarzuty, Skylanie Ivorsonie? – krzyknęła Treia.

Spojrzała na niego z satysfakcją, czekając na to, że będzie się wił i miotał, by się jakoś oswobodzić.

Skylan uniósł głowę. Wziął głęboki oddech i przemówił cicho i spokojnie.

– Odpowiem, że rzekłaś prawdę.

Rozdział 16

Treia wyglądała na rozczarowaną. Tak spokojne przyznanie się do winy odebrało jej pewność siebie.

– Nie możemy mu ufać. Na pewno będzie próbował uciec – pisnęła. – Zwiążcie go i zabierzcie na smoczy okręt. Zamknijcie go pod pokładem. Zawieziemy go do Vindraholmu na Vutmanę.

– On jest przeklęty! – ryknął Sigurd i machnął toporem. – Zabijmy go!

Wojownicy poparli go głośno.

– Skylan winny jest odebrania Torvalowi prawa do sądenia! – Treia rzuciła wokół rozeźlone spojrzenie. – Czy chcecie rozgniewać boga, popełniając tę samą zbrodnię?

Sigurd wbił w pasierbicę groźny wzrok, ale Treia spojrzała na niego bez strachu. Jej ojczym mruknął coś pod nosem i chwycił linę.

Skylan wyciągnął przed siebie ręce i złożył nadgarstki. Był gotów pogodzić się z karą, lecz mimo wszystko ubodło go, że wśród tych, którzy chcieli go wiązać, była i Aylaen.

Gdy owijała jego nadgarstki liną, pochyliła się i syknęła mu do ucha:

– Widziałam bitwę w niebiosach. Słyszałam, jak przemówiła do ciebie Vindrash. Może i bogowie ci przebaczyli, ale ja nie. Nigdy nie przestanę cię nienawidzić!

Zacisnęła linę mocno. Sznur wbił się w jego ciało boleśnie, ale to jej słowa, a nie lina zraniły go najmocniej. Aylaen odeszła i stanęła przy zmarłych. Mężczyźni trzymali już płonące pochodnie, by zapalić stos.

Związali Skylanowi nogi. Nie mógł poruszyć rękoma i musieli go podciągnąć, żeby stanął.

– Przynajmniej pozwólcie mi pożegnać przyjaciela – poprosił Skylan.

Wojownicy ryknęli gniewnie.

– Duch Garna przekląłby nas, gdybyśmy pozwolili ci zostać na jego pogrzebie – stwierdził Bjorn.

Pchnęli go, żeby szedł przez plażę. Ze związanymi nogami nie był w stanie zrobić kroku, potknął się, upadł. Nie poczekali, aż wstanie, tylko siłą pociągnęli go po piasku.

Poranek był upalny i parny. Powietrze ani drgnęło. Słońce smagało brzeg promieniami. Lśniaca, zupełnie płaska tafla morza już była rozgrzana. Było już po odpływie i płytka woda

chlupotała cicho pod warstwą błota. Mężczyźni zanieśli Skylana na pokieroszowany smoczy okręt. Bjorn i Erdmun wzięli go za ręce i nogi i rzucili nim o drabinę. Spadł w ciemność pod pokładem. Zrzućli mu bukłak z wodą i zamknęli klapę.

Usłyszał, że czymś szurają. Pewnie przeciągnęli coś ciężkiego – może jedną z beczek z wodą. Postawili ją na klapie, żeby się nie mógł wydostać.

Skylan leżał tam, gdzie upadł. Nie miał sił się ruszyć. Stracił wolę walki. Sznur związany był mocno i wbijał mu się w ciało. Rana na piersi piekła. Ból ciała stawał się trudny do zniesienia, lecz był niczym w porównaniu z bólem serca. Garn nie żyje. Aylaen jest dla niego jak martwa.

A co się stało z Wulfe'em? Dawno już powinien był wrócić do obozu. Coś mu się stało. Może też już nie żyje.

I ja nie pożyję długo, dodał w duchu z goryczą.

Co dziwne, myśl o śmierci wcale go nie przerażała. Niemal się na nią ucieszył. Jego serce i dusza były już jak martwe.

Usłyszał, że wojownicy śpiewają pieśń pogrzebową, i poczuł dym. Podczołgał się i przyłożył oko do szpary między deskami.

Mężczyźni rzucili pochodnie na stos. Polane smołą drewno zajęło się natychmiast. Dym zaczął się wiać po stosie. Skylan poczuł smród płonących ciał.

W powietrzu nieporuszonym najmniejszym podmuchem wiatru dym się nie unosił, lecz osiadał wielką chmurą na ludziach, którzy zaczęli się krztusić i urwali pieśń. Dym przedarł się przez deski. Skylan zakaszał. Piekły go oczy. Zamrugał i znów spojrzał przez szparę.

Wokół stosu nadal stali ludzie, zasłaniając nosy i oczy. Czekali, aż duchy odejdą, a to się nie stanie, póki stos nie spłonie zupełnie.

Ludzie krztusili się i kaszleli. Ich ubrania były mokre od potu i brudne od sadzy. Dym był już tak gęsty, że Skylan nic nie widział. Chciało mu się pić. Usta miał spierzchnięte, a gardło ściśnięte. Podskoczył niezgrabnie i znalazł się koło bukłaka z wodą. Udało mu się podnieść go związanymi rękoma i przyłożyć do ust. Już miał się napić, gdy spojrzał przez inną szparę.

Bukłak wypadł mu z dłoni.

Na głębokiej wodzie tuż przy łasze piachu rzucił kotwicę jakiś okręt. Był wielki, miał trzy pokłady, trzy rzędy wioślarzy, dwa maszty na środku i trzeci tuż przy dziobie. Wioślarze siedzieli spokojnie i patrzyli na ludzi schodzących po trapie na mieliznę. Byli to wojownicy. Każdy z nich miał hełm z płytami zakrywającymi policzki oraz zbroję z zachodzących na siebie płatów lśniącego metalu, która chroniła ich ramiona, piersi i plecy. Skórzane spódnice nabijane metalowymi ćwiekami osłaniały ich krocza i uda. Każdy z nich niósł potężny miecz i prostokątną tarczę.

Skylan przyglądał do szpary w deskach i wpatrywał się w nich z przerażeniem. Oczy piekły go od dymu, więc mrugał i ocierał je, by patrzeć i patrzeć, ale nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Na tarczach widniały skrzydlate węże.

Gdy tylko kolejny wojownik docierał do łachy, natychmiast stawał w formacji bojowej. Nie padał żaden rozkaz. Wszystko odbywało się w zdyscyplinowanej ciszy. Dowódca dał znak i wojownicy weszli w płytką wodę, brnąc ku brzegowi z tarczami i mieczami uniesionymi wysoko nad głowami.

Torgunowie byli w potrzasku. Wróg szedł prosto na nich. Skylan zaczął kicać nieporadnie na drugą stronę kabiny, ale zbyt się spieszył, stracił równowagę i upadł. Przeklął cicho, przeturlał się i przyłożył oko do szpary w deskach.

Dym zakrył całą plażę. Skylan nie widział już nawet swoich ludzi, więc i oni nie zobaczą niebezpieczeństwa nadciągającego od morza. Z szacunku dla zmarłych żaden z Torgunów nie był uzbrojony. Broń i tarcze wbili w piasek tuż przy hełmach i zbroi.

Skylan zaczął krzyczeć, by ich ostrzec, ale gęste powietrze tłumilo jego wołanie. Trzaskał ogień, skwierczało palone ciało. Nikt go nie słyszał. Znów zaklął z niemocy i usiłował zerwać więzy z kostek, ale wkrótce nogi zaczęły mu krwawić, a sznury nadal tkwiły w tym samym miejscu. Podczołgał się pod drabinę i popatrzył na klapę. Słyszał, jak wtoczyli na nią jakąś ciężką beczkę, lecz może, jeśli z całych sił pchnie ją od dołu, uda mu się ją dźwignąć.

Zdołał się wdrapać po drabinie, zaczepiając łokciami o szczeble, bo ręce nadal miał związane w nadgarstkach. Pot zalewał mu twarz. Ledwie oddychał z wysiłku. Wcisnął się pod klapę z opuszczoną głową i z całych sił pchnął deski ramieniem.

Klapa ani drgnęła. Spróbował jeszcze raz, zapierając się nogami, ale stopy ześlizgnęły mu się, a związanymi rękoma nie miał jak się złapać, i runął na podłogę.

Zaczął się modlić do Torvala o pomoc, ale potem przypomniał sobie, jak bóg walczył ze skrzydlatymi węzami. Torval ma własne problemy. Skylan jest zdany tylko na siebie.

Jego lud jest zdany tylko na siebie.

Torgunowie zauważyli atakujących dopiero, gdy z dymu wyłoniły się równe szeregi wroga. Vindrasi rzucili się w stronę broni, ale żołnierze byli tam już przed nimi. Chcieli walczyć gołymi rękami, ale żołnierze powalili ich mieczami, ogłuszyli tarczami. Padli nieprzytomni na piasek.

Skylan patrzył z rozpaczą. Słyszał, jak dowódcy krzyczą:

– Brać ich żywcem! Potrzeba nam więźniów, a nie trupów!

Próbował dojrzeć Aylaen. Ona będzie walczyć. Był tego pewien. Przycisnął twarz do szpary, przeklinając dym, który zasłaniał mu widok.

Nagle zorientował się, że i on jest w opałach. Nad nim na pokładzie rozległy się uderzenia ciężkich butów. Wróg wtargnął już na smoczy okręt. Skylan usłyszał, jak ludzie rozbiegają się po pokładzie, by zająć pozycje.

– Wy, tam, przesunąć tę beczkę – rozkazał jakiś głos, głos aż nazbyt znajomy. – Pod nią jest kajuta. Wrzucimy tam tego bachora.

Skylan stanął u stóp drabiny. Nie wezmą go żywcem. Usłyszał, jak przesuwana beczka trze o deski.

Kłapa otworzyła się. Słońce i dym wdarły się do środka. Podniósł wzrok i ujrzał niezwykle wysokiego mężczyznę, rosnącego w barach, o silnych ramionach, odzianego w lśniącą zbroję. Na głowie miał hełm tak jak inni wojownicy, których Skylan widział przez szpary. Hełm zdobiły czerwone pióra, które być może oznaczały, że jest on dowódcą.

Skylan zacisnął pięści gotów do walki. Dowódca popatrzył na niego.

– Proszę, proszę – powiedział i zarechotał. – Czy to nie nasz mały Skylan?

Skylanowi bezwładnie opadły ręce. Zmrużył oczy, usiłując zobaczyć cokolwiek mimo dymu.

– Raegar?

– Jasne. – Raegar znów zarechotał. – Tak, kuzynie, znów wróciłem z zaświatów.

Zdjął ozdobiony piórami hełm. Raegar zgolił brodę i długie jasne włosy. Biała skóra na głowie odbijała się wyraźnie od opalenizny na twarzy. Od czoła aż po sam czubek głowy ciągnął mu się tatuaż: skrzydlaty wąż. Czerwony jęzor gadziny lśnił mu niemal na czole. Raegar popatrzył na Skyłana z rozbawieniem.

– Ponoć Treia opowiedziała już wszystko twoim ludziom – zagadnął. – Zamierzali zabrać cię z powrotem do Vindraholmu, zmusić do walki w Vutmanie. – Przysiadł na pośladkach. – Zrobiłem ci przysługę, kuzynie. Tam, dokąd cię zabieram, nie będziesz musiał wcale walczyć.

– Ty tchórz! Ty zdrajco! – wrzasnął Skylan. – Zdradziłeś własny lud!

Raegar pokręcił głową.

– Torgunowie nie są już moim ludem, kuzynie. To jest mój lud. – Wskazał na wojowników stojących wokół. – To już od dawna jest mój lud.

Skylan zacisnął pięści.

– Wyzywam cię na pojedynek!

Raegar odchylił głowę i zaniósł się głośnym śmiechem, a wraz z nim ludzie, którzy zebrali się wokół kłapy. Skylan miotał się z wściekłości.

– Wyzywam was wszystkich! – wrzeszczał. – Będę walczył z wami wszystkimi! Gołymi rękami!

Żołnierze uznali to za bardzo zabawne i śmiali się jeszcze głośniejszymi głosami, rzucając jakieś uwagi o „bestii w klatce”.

– Choć to mogłoby być zabawne, w szczególności dla moich ludzi, na pewno nie spodobałoby się Trybunowi – rzekł Raegar. – Widzisz, kuzynie, stanowisz teraz jego własność, jego cenny towar. Trybun byłby bardzo niezadowolony, gdybyś odniósł jakieś obrażenia.

Skylan zaczął rozumieć coraz więcej. Było tak, jakby spoglądał przez szpary między deskami. Widział tylko fragmenty całości, ale to i tak było aż nadto. Ścisnął mu się żołądek. Niestraszna mu była śmierć. Ale to tak.

– Co masz na myśli?

– Na Aelona, ty, kuzynie, to jednak jesteś tępy – stwierdził Raegar. – Na szczęście w Oranie inteligencja nie jest ostatnio w cenie. Liczy się krzepa. Jak mam to ująć? Z Wodza Wodzów, Skyłanie Ivorsonie, stałeś się Niewolnikiem Niewolników.

Żołnierze roześmiali się z żartu dowódcy.

Raegar spojrział na nich i zmarszczył czoło.

– Co z innymi wojownikami? Czy kogoś zabiliście?

– Nie, Czcigodny. Mężczyzn wzięliśmy bez walki. Kilku trzeba było ogłuszyć, ale wkrótce dojdą do siebie.

– A co z siostrami?

Krew uderzyła Skyłanowi do głowy. Lecz w ostatniej chwili uświadomił sobie, że musi się uspokoić, by usłyszeć odpowiedź.

Żołnierz roześmiał się.

– Jedna z nich walczyła jak lwica. Musieliśmy zająć się nią aż we trzech, a i tak niezłe nas podrapała! W końcu udało nam się wepchnąć jej worek na łeb i jak ją trochę poddusiliśmy, to się uspokoiła. Ta druga nie próbowała nawet walczyć. Chyba jest na wpół ślepa. Ale i tak bym jej nie ufał. Jest w niej coś dziwnego. Moim zdaniem jest bardziej niebezpieczna niż ta jej szalona siostra.

– A co z kością ducha? – spytał ostro Raegar. – Odzyskaliście ją?

– Nie znaleźliśmy żadnej kości, poza tymi na stosie, Czcigodny. Ta kobieta twierdzi, że kość się zgubiła.

Raegar popatrzył na niego gniewnie.

– Kłamie. Na pewno gdzieś ją ukryła.

– Co zrobić z więźniami, Czcigodny?

– Kobiety przenieście na statek Trybuna. Mężczyzn dajcie na smoczy okręt. Przykujcie ich do wiosel. Ile zajmą naprawy?

– Niezbyt długo, Czcigodny. Powinniśmy być gotowi przed następnym przyplywem.

– Dobrze. Do roboty.

– A co z tym smarkaczem? Co mamy z nim zrobić?

Raegar zajrzał znów do kajuty.

– A wrzucie go tutaj, do naszego małego Skyłana.

Żołnierz zawołał i dwóch mężczyzn przyniosło Wulfe'a. Chłopak miał na policzku siniaka, a jedno oko tak opuchnięte, że było całkiem zamknięte. Pchnęli go do kajuty. Wulfe spadł na podłogę bezwładnie i spojrział dość nieprzytomnie na Skyłana.

– Przepraszam – wyszeptał. – Nie zdążyłem cię ostrzec.

– Nic nie szkodzi – powiedział cicho Skyłan. Zadarł głowę i wbił wzrok w Raegara, który właśnie zamykał kłapę. – Dwa razy udało ci się wrócić z zaświatów, Raegarze. Gdy spotkamy się znowu, już nie będzie trzeciego razu.

– Gdy spotkamy się znowu, kuzynie, będziesz wystawiony na sprzedaż, a ja będę przeliczał swój zysk – odrzekł Raegar.

Zatrzasnął klapę. Skylan usłyszał, jak znów toczą nad nim beczkę.

Zamknął oczy i opadł na podłogę. Wpatrywał się w mrok, próbując zobaczyć jakieś wyjście, ale widział tylko ciemność. Położył dłoń na amulecie, na toporze Torvala, który wciąż miał na szyi. Poczuł chłód srebra pod palcami. Dłoń opadła bezwładnie. Zaczął się nagle zastanawiać, co się stało z jego mieczem, z Tańcem Krwi. Ostatni raz widział go, jak leciał spiralą z niebios. Tak jak i on sam.

– Ktoś tu jest – szepnął przestraszony Wulfe.

Skylan otworzył oczy, spinając się jak przed walką.

Przed nim stał Garn. Ubrany był jak przed bitwą, miał przy sobie miecz i tarczę.

Skylan nie zdziwił się na widok swego przyjaciela i brata. Nic go już nie dziwiło.

– Czy możesz mi wybaczyć? – spytał tylko.

Garn uśmiechnął się.

– Nie ma czego wybaczać. Nasze wyrdy były ze sobą splecione, lecz nić moich dni się skończyła.

– To niesprawiedliwe! Nie możesz mnie teraz opuszczać – jęknął Skylan, czując, że opada go straszne zmęczenie. – Nie teraz, gdy tak cię potrzebuję. Co się stanie z naszym ludem?

– Widzę długą podróż, Skylanie. Widzę śmierć i rozpacz. Widzę nadzieję. Widzę mroczny koniec i jasny początek.

– Dlaczego ty nigdy nie mówisz jak człowiek? – spytał Skylan, ale uśmiechnął się.

Duch Garna zaczął niknąć.

– Żegnaj, Skylanie. Spotkamy się w Komnacie Torvala i wtedy opowiesz mi o swoich bohaterskich czynach.

Skylan uniósł związane nadgarstki.

– Wątpię, żeby bóg mnie tam wpuścił, przyjacielu.

– Nie bądź tego taki pewien – rzekł Garn, a jego głos był coraz słabszy. – Nić twego wyrdu jest mocna. Ty sam jedynie możesz ją zerwać.

Skylan opadł z powrotem na deski. Słyszał, że jego ludzie zapędzani są na pokład; słyszał, jak pogrzekują łańcuchami i szurają nogami.

– Wojownicy ludu Vindrasów! – krzyknął Raegar. – Wasi bogowie umarli. Jestem tu, by opowiedzieć wam o nowym, potężnym bogu, Aelonie, Panie Nowego Świtu.

Wulfe pokręcił głową.

– On kłamie. Wasi bogowie wcale nie umarli. Vindrash jest ranna, ale żyje. Torval zdołał wrócić do swojej komnaty. Tam wezwał na pomoc dusze poległych wojowników i razem przegnali węże.

Skylan popatrzył na niego zaintrygowany.

– A ty niby skąd to wiesz?

– Okeanidy mi powiedziały – wyjaśnił Wulfe i ziewnął. – Nudzi mi się. Pogramy w smocze kości? Mogę przesuwac twoje pionki, no bo ty masz związane ręce, nie?

Jestem uwięziony. Moi wojownicy stali się niewolnikami. Pojmano Aylaen. Kość ducha przepadła, smok Kahg jest ranny, może nawet nie żyje. A wszystko to przeze mnie – przez moją arogancję i głupotę, moje kłamstwa i moje krzywoprzysięstwo. Skylan spuścił głowę w rozpacz. Nie chciał grać w kości. Chciał cisnąć tę całą planszę i pionki w morze i sam skoczyć za nimi. Niech ciemne wody zamkną się nad jego głową. Oparł się o drewnianą ścianę i poczuł, że coś go kłuje boleśnie w pośladek. Przeklął siarczyście i uniósł się, by zobaczyć, co to takiego.

Przez szparę w deskach wdarł się promień słońca i zaśnił na małym ostrzu do patroszenia ryb.

Skylan podniósł cienki nóż, wątki jak jego nadzieja, a potem szybko schował go za cholewę. Upewnił się, że go nie widać, i odwrócił się w stronę Wulfe'a.

– Rzuć pięć kości – powiedział.

Aneks

Wysłane przez ogień, wodę i oliwę do Obserwatora w Świątyni Nowego Świtu.
Przekazać Trybunowi Acronisowi

Do Acronisa, Szanownego Trybuna Dwudziestu Czterech, Komandora Porucznika Marynarki Jego Cesarskiej Mości, Cesarza Dunumadi. Witaj!

Wspaniałe wieści. Nasz wielki bóg Aelon pobłogosławił nam ponad wszelkie oczekiwania. Wraz z moimi ludźmi, przebrani za kupców, dobiliśmy do brzegów mojej ojczyzny. Rozbiliśmy obóz i chcieliśmy wykonać nasze zadanie, i porwać jedną z Kapłanek Kości, gdy bóg obdarował mnie hojnie. Aelon zetknął mnie z aroganckim i głupim szczeniakiem, moim kuzynem. Skytan Ivorson ożenił się niedawno z Kapłanką Kai, Drayą, najpotężniejszą kapłanką Vindrasów.

Bezgraniczna jest hojność Aelona: mój głupi kuzyn nie znosi swej nowej żony!

Niech Aelonowi będą dzięki. Wysłuchał naszych modłów. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł sprowadzić Kapłankę Kai ludu Vindrasów i że uda nam się „przekonać” ją do opowiedzenia nam, co wie o smoczej kości, którą Aelon w swej nieskończonej mądrości kazał nam znaleźć, gdy zaatakowaliśmy świątynię Vektii.

Napiszę wkrótce, gdy obmyślę szczegóły planu.

Pozostaję Twym pokornym sługą w służbie Przenajświętszego Aelona, Pana Światła itd., itp. Raegar, Kapłan-Wojownik Chwały Bitwy.

Wysłane przez ogień, wodę i oliwę do Obserwatora w Świątyni Nowego Świtu, następnej nocy

Do Acronisa, Szanownego Trybuna Dwudziestu Czterech, Komandora Porucznika Marynarki Jego Cesarskiej Mości, Cesarza Dunumadi. Witaj!

Wszystko ustalone. Zaplanowałem porwanie Kapłanki Kai. Mój głupi kuzyn sam odda ją w nasze ręce, a wtedy mogę go zabić, jeśli taki będzie Twój rozkaz, Panie. Odważę się jednak zasugerować, że przyda nam się żywy. Sam bóg nam go zsyła – to bezmyślny młokos, który sprowadzi katastrofę na lud Vindrasów. Jeśli go zabijemy,

Vindrasi szybko wybiorą nowego Wodza Wodzów, a tym razem mogą wybrać jakiegoś sprytnego starego wygę, a nie takiego szczeniaka.

Mój kuzyn przywiezie Kapłankę Kai na Apensję. Wybrałem tę wyspę, ponieważ w ten sposób możemy przy okazji zaatakować pogan, którzy na niej żyją, i ukazać im straszną potęgę Boga Nowego Świtu, by zagnać tych niewiernych do owczarni Pana. (Lub jeśli taki będzie rozkaz Aelona, wybić w pień grzeszników, by nie sprowadzali innych na złą drogę!)

Pozostaję Twym pokornym sługą w służbie Przenajświętszego Aelona, Pana Światła itd., itp. Raegar, Kapłan-Wojownik Chwały Bitwy.

Wysłane przez ogień, wodę i oliwę do Obserwatora w Świątyni Nowego Świtu, jakiś czas później

Do Acronisa, Szanownego Trybuna Dwudziestu Czterech, Komandora Porucznika Marynarki Jego Cesarskiej Mości, Cesarza Dunumadi. Witaj!

Jeszcze raz błagam o wybaczenie tej strasznej katastrofy, która spotkała mych ludzi na wyspie Apensji. To dowodzi, że druidzi są ludem barbarzyńskim i niebezpiecznym. Należy ich usunąć. Lecz nie czas na to teraz.

Zgodnie z rozkazem wróciłem do Torgunów. Moi rodacy nie posiadali się ze szczęścia na mój widok i powitali mnie z otwartymi ramionami, może z wyjątkiem mego młodego kuzyna, który boi się, że wydam jego sekret.

Aelon nam pobłogosławił: torguńską Kapłanką Kości jest stara panna o imieniu Treia, która odda wszystko za mężczyznę. Jest niebrzydka i prawie w moim wieku, toteż nikt się przesadnie nie zdziwił, gdy się nią zainteresowałem.

Prawdę rzekłszy, wydaje mi się wielce intrygująca. Mamy wiele wspólnego i nie męczę się wcale, spędzając z nią czas. Pochlebiam sobie, że zrobi dla mnie wszystko.

Kuzyn mój, ten niby Wódz Wodzów, szykuje wyprawę w poszukiwaniu krainy ogrów, by odzyskać Torques Vektyjski. Dam znać, kiedy wypływamy, byś mógł, Panie, wysłać okręt. Potem możemy sami odzyskać torques, a zatem będziemy mieć już dwie z tych cennych kości.

Pozostaję Twym pokornym sługą w służbie Przenajświętszego Aelona, Pana Światła itd., itp. Raegar, Kapłan-Wojownik Chwały Bitwy.

Wysłane przez ogień, wodę i oliwę do Obserwatora w Świątyni Nowego Świtu, wysłane pośpiesznie i nieco wymięte

Acronisie! Aelonowi niech będą dzięki, że udało Ci się przetrwać ten straszny sztorm i że nie straciłeś nas z oczu! Uciekłem ze smoczego okrętu, pozorując śmierć przez

utonięcie. Jestem w świątyni ich bogini. Wyślij do mnie ludzi. Mam plan.

Raegar

Posłowie

Pamięci Briana Thomsena

Gdy *Smocze kości* były już w druku, dowiedzieliśmy się z Tracym, że nasz przyjaciel i redaktor tej książki, Brian Thomsen, zmarł nagle na niewydolność serca. Brian miał zaledwie pięćdziesiąt cztery lata – był za młody, by od nas odchodzić.

Poznaliśmy go w Lake Geneva w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy zaczął pracę w TSR Inc., wydawcy gry *Dungeons & Dragons*. Był tam kierownikiem działu literatury. Szybko zrozumieliśmy, że Brian to redaktor, który uwielbia swoich autorów i naprawdę chce, żeby odnieśli sukces. Redagowanie książek było nie tylko jego pracą – to była jego pasja.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych firma TSR Inc. borykała się z problemami finansowymi. Pisałam wtedy należącą do serii „Dragonlance” *Kuźnię dusz*, opowieść o wczesnych latach jednego z najbardziej popularnych bohaterów serii, Raistlina Majere’a.

Mieszkałam w pobliżu biura firmy, zadzwoniłam więc do Briana i powiedziałam, że skończyłam książkę i że przyniosę ją. zaproponował jednak wspólny lunch i książkę miałam przynieść na spotkanie.

Przy lunchu przyznał, że martwi się o finanse firmy. Obawiał się, że wydawnictwo może wkrótce ogłosić bankructwo i że w takim wypadku, jeśli moja książka będzie się znajdowała w biurze, położy na niej łapy komornik. Chciał temu zapobiec. Powiedział, że będzie ją trzymał przy sobie, póki sytuacja się nie poprawi. Dopiero jakiś czas później dowiedziałam się, że woził ją ze sobą w samochodzie!

Brian był nadal moim przyjacielem i mentorem, gdy już przeniósł się do Nowego Jorku. Został zewnętrznym redaktorem wydawnictwa Tor Books, gdzie z pasją opracowywał plany dla autorów. Pewnego dnia zadzwonił i powiedział, że ma dla mnie pomysł. zaproponował mi napisanie serii powieści o smokach i zasugerował, żeby pierwsza część nosiła tytuł *Mistress of Dragons*. Powiedział, że ma przeczucie, iż Tor byłby zainteresowany taką serią.

Byłam bardzo przejęta tą niespodziewaną szansą. Spytałam go, czy ma może jakieś gotowe pomysły i jak sobie wyobraża, o czym dokładnie miałyby być ta seria.

– Nie – powiedział beztrąsko. – To zostawiam tobie. Wiem, że wymyślisz coś wspaniałego. A, zapomniałem chyba powiedzieć, że potrzebuję streszczenia pierwszych trzech książek za dwa tygodnie.

Zwykle obmyślenie fabuły serii zajmuje mi całe miesiące, ale byłam tak przejęta tym pomysłem, że pracowałam jak wariatka. W ciągu dwóch tygodni opracowałam plan dla serii o smokach, „Dragonvarld”, która została wydana przez Tor Books i którą bardzo lubię. Pierwsza książka nosiła tytuł zasugerowany przez Briana – *Mistress of Dragon*.

Gdy zaczęliśmy z Tracym pracować nad złożoną fabułą „Smoczycy okręty Vindrasów”, od razu pomyśleliśmy o Brianie. Byliśmy niezwykle szczęśliwi, gdy Tor zgodził się wydać serię, a Brian został naszym redaktorem. Jego wsparcie w pracy nad tą książką było nieocenione. Był zaangażowany we wszystkie jej aspekty – od pięknej okładki po rady dotyczące postaci.

Po redakcji *Kości smoka* zadzwonił do nas tylko po to, by powiedzieć nam, jak dobrze pracowało mu się nad tą książką. Dodał ze śmiechem, że podobała się nawet osobie, która robiła korektę! Był pełen entuzjazmu podczas pracy nad *Smoczymi okrętami* i jest nam z Tracym bardzo żal, że nie będzie go z nami, by wspierać nas podczas pracy nad całą serią.

Tracy i ja chcielibyśmy zadedykować serię „Smocze okręty Vindrasów” naszemu przyjacielowi, redaktorowi i opiekunowi, Brianowi Tnomsenowi, którego kochaliśmy, szanowaliśmy i podziwialiśmy.

– Margaret Weis i Tracy Hickman
25 września 2008